

THE FRANKIE



WELADCA WYSP

David Drake

Władca Wysp

(Lord of the Isles)

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Danowi Breenowi,
*mojemu pierwszemu czytelnikowi,
będącemu najlepszym przykładem tego,
jak różni mogą być ludzie bardzo do siebie podobni*

PODZIĘKOWANIA

Sandrze Miesel dziękuję za to, że ogromnie mi pomogła przy opracowaniu mikrostruktury tej książki. Tom Doherty i Harriet McDougal poczynili równie istotne sugestie dotyczące makrostruktury, odpowiednio, na początku i na końcu procesu jej tworzenia.

Ponadto fakt, że w połowie tej powieści nie musiałem powrócić do tradycyjnej metody pisania, zawdzięczam wysiłkom Marka L. Van Name'a i Allyn Vogel. Ludzie tak dobrze znający się na komputerach jak Mark i Allyn uważają moje potrzeby za niezwykle, ale dokonują nadludzkich wysiłków, żeby je zaspokoić.

DO CZYTELNIKA

Wszystkie cytowane w tej powieści wiersze podkradłem greckim i rzymskim poetom. Celondre to Horacy, którego *Ody* towarzyszyły mi podczas szkolenia rekruckiego i w Wietnamie. Rigal to Homer, a cytowany fragment – moim zdaniem najbardziej poruszający cytat wszech czasów – pochodzi z *Iliady*. Etter to Hildebert z Lavardin; średniowieczna łacina to znacznie więcej niż tylko psalmy i pijackie przyśpiewki, chociaż przyznaję, że twórczość Hildeberta była dla mnie przyjemnym zaskoczeniem.

Żaden przekład nie oddaje sprawiedliwości oryginałowi. Moje nawet nie podjęły takiego wysiłku.

Religia Wysp jest oparta na wierzeniach Sumerów (oraz – w mniejszym stopniu – na sumeryjskich praktykach religijnych). Opisany w powieści rytuał pogrzebowy zaczerpnąłem z wersów do bogini Inanny.

Sądzę, że powinienem wspomnieć jeszcze o czymś. Magiczne zaklęcia (*voces mysticae*) cytowane w tekście są prawdziwe. Nie twierdzę, że naprawdę przywołują magiczne siły. Osobiście nie wierzę, aby tak było. Jednak wielu ludzi szczerze wierzyło w moc tych słów i najzupełniej poważnie posługiwało się nimi w dobrych lub złych intencjach.

Każdy może mieć własne zdanie na ten temat, ale zapewniam, że pisząc *Władcę Wysp* nie wypowiedziałem żadnego z tych *voces mysticae*.

Dave Drake Chacham
County, NC

PROLOG

Czarodziejka Tenocris przystanęła na spiralnych schodach, by złapać oddech i odgarnąć za ucho kosmyk siwych włosów. Tłum na dziedzińcu głośno wiwatował. Diuk Yole ze swymi doradcami zapewne wyszedł z pałacu, by ogłosić ludowi zwycięstwo, już zapowiadane przez plotki.

Sześć miesięcy temu Tenocris należałaby do ścisłego kręgu dworaków stojących teraz wraz z władcą na stopniach pałacu. Straciła łaski diuka Tedry'ego na rzecz Zakapturzonego.

Tenocris westchnęła i znów podjęła wspinaczkę. Gdyby nadal była nadworną czarodziejką Yole, tłum nie świętowałby zwycięstwa. A przynajmniej nie takie.

Tenocris nie była wielką czarodziejką. Miała umysł naukowca i duszę jubilera. Wielkie dzieła pozostawiała innym. Dostrzegała i rozumiała moce, które należało wykorzystać, ale po prostu nie była zbyt silna psychicznie, żeby nimi manipulować.

A może widziała i rozumiała je zbyt dobrze. Tenocris nie byłaby w stanie zadać takiego ciosu, jaki wymierzył przeciwnikowi Zakapturzony. Zdawała sobie sprawę z niezamierzonych konsekwencji tego rodzaju działania. Nie była jednak w stanie ich przewidzieć.

Za następnym zakrętem schody rozświetlała smuga światła, wpadającego przez wąskie okno wychodzące na port. Tenocris ponownie zatrzymała się, chociaż od szczytu wieży dzieliło ją zaledwie kilkanaście stopni. Miała już swoje lata, a nigdy nie była ani zbyt silna, ani zbyt szybka.

Był pogodny, słoneczny dzień. Kiedy słońce wznie się wyżej, dziedziniec zmieni się w rozgrzaną patelnię, ale na razie wysokie mury cytadeli rzucały cień i chłodziły powietrze masą swych zimnych kamieni.

Diuk Tedry wyszedł na zewnątrz by przemówić do swego ludu, ponieważ sala audiencyjna w pałacu nie byłaby w stanie pomieścić tłumu, jaki zebrał się tu tego ranka. Wszyscy mieszkańcy podzamecza usiłowali wcisnąć się do cytadeli, a i wielu wieśniaków ściągnęło do miasta, gdy rozeszła się po całej wyspie wieść, iż diuk Tedry pokonał króla Carusa i całkowicie zniszczył królewską flotę. Ta część była prawdą. Król Carus, który pokonał tuzin uzurpatorów, największy król Wysp od czasów króla Lorcana – założyciela królewskiego rodu – utonął, a z nim cała jego flota. Natomiast druga część pogłoski, a mianowicie, że w ciągu kilku miesięcy diuk Yole umocni swoją pozycję i zostanie nowym królem Wysp... No, to zupełnie co innego.

Tenocris otworzyła wąż i wyszła na niewielką platformę, z której zazwyczaj obserwowała gwiazdy. Miała stąd widok na całą okolicę, aż po horyzont.

Spociała się bardziej ze zdenerwowania niż na skutek wspinaczki. Wyczuwała budzące się siły i skupiające się teraz na Yole. Nie wiedziała, co się zdarzy, lecz to przeczucie zapowiadało nadchodzący kataklizm równie pewnie, jak włosy stające dęba na moment przed uderzeniem pioruna.

W dole kapelusze, czapki i czepce obywateli Yole szczelnie wypełniały dziedziniec. Diuk Tedry stał w posrebrzanej zbroi na progu drzwi wiodących do pałacu. Za nimi pięciu jego najbardziej zaufanych doradców, a poniżej, na rzeźbionym czarnym tronie, który słudzy wynieśli z sali audiencyjnej i ustawili u podnóża schodów, siedziała zakapturzona postać nadwornego czarodzieja Yole.

– Ludu mój! – krzyknął diuk, potężny mężczyzna, obdarzony stosownym do postury głosem. Wznoszący się nad drzwiami łukowaty portal tworzył rodzaj tuby, jeszcze wzmacniający jego słowa. – Oto najwspanialszy dzień waszego życia i w dziejach Yole!

Wiwaty tłumy odbiły się echem od kamiennych murów, płosząc siedzące na blankach mewy. Ptaki zaczęły kołować po niebie, zgiełkliwie akompaniując ludzkim okrzykiem.

Tenoctris potrząsnęła głową. Zaledwie tydzień temu lud Yole drwiłby z diuka, gdyby nie obawiał się jego żołnierzy stacjonujących w całym mieście. Przynajmniej mewy nie zmieniły zdania.

Diuk Tedry nie był popularnym władcą, ponieważ nakładane przez niego podatki i grzywny doprowadzały wszystkie warstwy społeczeństwa do granic ubóstwa – a czasem poza nią. Budowa okrętów wojennych, które teraz stały przycumowane w porcie, pochłonęła ogromne sumy, a ich wyposażenie i utrzymanie jeszcze większe. Zawodowi żołnierze, którzy mieli walczyć na morzu na pokładach tych trirem oraz zbrojnymi regimentami lądować na innych wyspach, kosztowali najwięcej... Lecz oni i dobrze opłacani wioślarze gwarantowali, że diuk utrzyma się przy władzy dopóki w Yole pozostanie cokolwiek, co można by opodatkować i przeznaczyć na ich żołd.

– Moja moc pokonała Carusa, tak zwanego króla Wysp, wraz z jego statkami i ludźmi! – rzekł diuk. – Carus i jego zbrojni chcieli stawić mi czoło. Zginęli co do jednego, zanim zdążyli zobaczyć ten łód! Moja potęga zniszczyła ich, nim zdolali zadać choć jeden cios!

Tłum znowu zaczął wiwatować. Tenoctris zastanawiała się, czy ktokolwiek z nich rozumie, co mówi diuk. On sam nie rozumiał – tego była pewna. Natomiast Zakapturzony...

Zakapturzony nie chciał ujawnić swojego imienia, ale twierdził, że fotel, który przywiózł ze sobą do Yole, jest tronem Malkara. Ten, który zasiadał na tronie Malkara, sam stawał się Malkarem, kwintesencją czarnej magii, dorównującej mocą i przeciwstawnej słońcu.

Tenoctris wiedziała, że fotel Zakapturzonego jest duplikatem, wykonanym na podstawie przekazów pozostawionych przez największych starożytnych magów, którzy podobno widzieli ten tron, a nawet zasiadali na nim. Mówiono, że oryginał był starszy niż ludzkość, a nawet starszy od samego życia.

Król Lorcan zakończył epokę chaosu, gdy wraz z czarodziejem należącym do przedludzkiej rasy na zawsze ukrył tron Malkara. Zakapturzony był tylko czarodziejem, lecz dysponował mocą, która zdumiewała Tenoctris, nawet teraz, kiedy adepci mogli manipulować siłami znacznie potężniejszymi niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego tysiąclecia.

– Jutro moja flota wyruszy na zachód i podporządkuje mi wszystkie wyspy! – mówił dalej diuk Tedry. – Aż po Carcosę, miasto od wieków uzurpujące sobie tytuł siedziby króla Wysp, przysługujący jedynie Yole!

I to też lud przyjął owacjami. Wiwatowali aż do zachrypnięcia.

Zakapturzony zamieszał swoją fiołkową różdżką w błotnistej kałuży w jednym z ogrodów Yole, rzucając czar. Jego zaklęcie sprawiło, że zapadło się dno morza pod statkami, na których król Carus i jego wojska płynęły po Morzu Wewnętrznym, w odpowiedzi na groźby i przechwałki diuka Yole. Tenoctris obserwowała maga ze szczytu wieży, tak jak i spoglądała na ogłaszającego zwycięstwo diuka.

Zakapturzony wezwał na pomoc siły, które Tenoctris postrzegala jako osobne płaszczyzny kosmosu, a które dla postronnych były lśnącymi pasmami błękitnego światła. Miały nieznacznie różniące się odcienie, co świadczyło, że czarodziej, który zajął na dworze miejsce Tenoctris, nie panował nad swoją magią tak dobrze, jak twierdził. Pomimo to, niewiarygodna potęga sił, które wysłał do wybranego celu, zaparła jej dech. Gdyby nie ujrzała tego na własne oczy, nie uwierzyłaby, że jakikolwiek mag może dysponować taką mocą.

– Bogactwa, które spływały do Carcosy, teraz napłyną do Yole! – rzekł diuk. – Mój lud będzie chodził w jedwabiach i jadał ze złotych półmisków!

Tenoctris nie miała nic przeciwko temu, że pozbawiono ją pozycji nadwornego maga. Diuk nie

wyгнаł jej ze dworu, zapewne po prostu zapomniawszy o jej istnieniu. Miała bardzo skromne potrzeby: trochę pożywienia do utrzymania przy życiu jej kruche go ciała i możliwość korzystania ze starego księgozbioru biblioteki Yole, który i tak nie interesował żadnego z mieszkańców pałacu. Było jej obojętne, czy królem będzie Carus czy Tedry, chociaż w miarę swoich skromnych możliwości starałaby się nie dopuścić do tego, by królewskie wojska pokonały zbuntowanego diuka Yole.

Chociaż jednak zwycięstwo króla Carusa doprowadziłoby do zniszczenia Yole i śmierci wielu mieszkańców wyspy, Tenoctris wiedziała, że sukces Zakapturzonego był znacznie większym zagrożeniem niż ogień i miecz. Czarodziej, który posługiwał się siłami przekraczającymi ludzką zdolność pojmwania, po prostu nie był w stanie nad nimi zapanować.

– Jako diuk Yole władałem tysiącami – rzekł Tedry. – Teraz, kiedy jestem królem Wysp, będę miał pod moim sztandarem sto tysięcy ludzi, a morza pociemnieją od kadłubów moich statków!

Tłum wiwatował. Czy żaden z nich nie czuł jak przesuwają się płaszczyzny sił, odchodząc znad połaci pustego dna morza i skupiając się wokół Yole? Palce Zakapturzonego lekko zadrżały na poręczy tronu, lecz najwidoczniej nawet on nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie sprowadził na wyspę.

Tenoctris rozumiała je aż za dobrze. Czując jak wieża drży pod jej nogami, obejrzała się za siebie. Pod wpływem wstrząsu w porcie na powierzchni morza pokazały się tysiące drobnych fal, podobnych do grotów włóczni. Ani diuk, ani słuchający go tłum zebrany na dziedzińcu, nie zwrócili na to uwagi.

– Jam jest przyszłością! – zawołał diuk Tedry, unosząc zakutą w stal pięść. – Niechaj wszyscy pójdą tam, gdzie ich powiodę!

Drugi wstrząs uderzył Yole jak cios gigantycznej pięści. Deszcz czerwonych dachówek spadł z dachów domów poniżej cytadeli. Tuzin budynków runęło w obłokach kurzu, przesywanych migotliwymi odłamkami szyb.

Wieża, na której stała Tenoctris, zakołysała się jak gałąź drzewa. Odłamki kamieni osypały się ze ścian, budząc przerażenie tłumu.

Tenoctris uklękła na platformie i swoją zwykłą drewnianą różdżką nakreśliła znaki na pobielałych od deszczu deskach. Nie mogła zrobić nic, żeby uratować Yole. Nie sądziła, że zdoła ocalić siebie, lecz tak potworne spiętrzenie sił dawało odrobinę nadziei nawet magowi o tak skromnych umiejętnościach praktycznych, jakimi ona dysponowała.

Diuk Tedry wyjął miecz i wymachiwał nim w powietrzu. Wrzeszczał coś, lecz jego słowa i krzyki tysięcy zgromadzonych na dziedzińcu ludzi utonęły w potwornym ryku trzęsienia ziemi.

– *Zoapher ton thallassosemon* – Tenoctris z niezmaconym spokojem wymówiła zaklęcie. Wprawdzie nie słyszała swoich słów, lecz to w niczym nie osłabi ich efektu.

Zaskoczony Zakapturzony zerwał się na równe nogi, pojmując w końcu skutki rzuconych przez siebie czarów. Jego fałszywy tron pękł na pół, a potem rozpadł się w czarny proch, zasypując stopy maga aż po kostki.

Wieża kołysała się tak samo jak ziemia, gdy cytadela, miasto i cała wyspa Yole zapadały się piętnaście metrów w dół. Z dachu północnego skrzydła pałacu osypały się grube gonty, rozbijając się o bruk i tarasując przejście między budynkiem a murem cytadeli.

Ulicami popłynęła woda. Morze aż po horyzont uniosło się kipiela białej piany, szykując się do ataku, którym podbije wyspę. Ta zapadała się coraz bardziej, powoli, lecz nieuchronnie jak kamień rzucony w gorącą smołę.

– *Eulamoe ulamoe latnoeu* – powiedziała Tenoctris, gdy morze i ziemia zgodnie wydały triumfalny ryk. Gdy jej wargi wymawiały poszczególne sylaby, różdżka czarodziejki dotykała

nakreślonych na platformie symboli. – *Amoeul moeula oeulam...*

Yole nadal zapadała się, gładko i niepowstrzymanie. Wieża, na szczycie której klęczała Tenoctris, zachwiała się lecz nie runęła. Morze ruszyło ze wszystkich stron, z łoskotem znacznie donośniejszym od pomruków poprzedzających to trzęsienie ziemi. Fale uderzyły w mury cytadeli i obaliły je w rozbryzgach piany, które w blasku słońca migotały wszystkimi barwami tęczy.

– *Amuekarptir erchonsoi mzaabua* – powiedziała Tenoctris, nie odczuwając już napięcia, jakie towarzyszyło jej od rana. Moce, które wywoływały ten niepokój, pojawiły się w materialnej rzeczywistości. Mury dzielące kosmos runęły i ich psychiczny napór osłabł, gdy zmieniły Yole w ruinę.

– *Druenphisi noinistherga...*

Morze przetoczyło się po dotychczas suchym lądzie, pochłaniając wszelkie formy życia. Zaledwie kilka metrów poniżej krawędzi wieży Tenoctris dostrzegła wydłużony pysk potwora, który chwycił zębiskami tonącego człowieka i wciągnął go w spienioną toń. Długa płetwa na grzbiecie zabójcy zakołysała się węzowym ruchem. Ten stwór był wilkiem morskim, jednym z wielu drapieżnych jaszczurów, które powróciły do życia w wodzie. Rzadko występowały na Wyspach, a prawie nigdy nie zapuszczały się tak daleko na wschód. Najczęściej polowały na ryby na otwartych wodach i tylko sporadycznie wychodziły na ląd, aby porwać z brzegu jakąś nieostrożną ofiarę.

Dziś będą miały obfitą ucztę.

– *Bephurorbeth!* – zakończyła Tenoctris.

Chociaż te ostatnie słowo jej zaklęcia zagłuszył ryk wód, kosmos wibrował zgodnie ze zmianami sił. Wokół Tenoctris w idealnej równowadze skupiły się moce napierające z tysiąca stron. Wieża runęła w spienione fale, lecz platforma ze stojącą na niej czarodziejką oddzieliły się od padającej budowli.

Tenoctris nie mogła ocalić Yole. Może zdoła uratować siebie.

W spienionej toni podskakiwały kawałki drewna i ludzkie głowy. Macki wciągnęły w toń parapet okienny, a potem wypuściły go jako niejadalny i pochwytyły siwowłosego mężczyznę, który nadzorował ściąganie podatków dla diuka Yole. Z wód wyłonił się olbrzymi amonit o ciele ukrytym w spiralnej skorupie barwy ognistego opalu. Tenoctris spojrzała w jedno z wielkich ślepi o szczelinowatych źrenicach, za lasem dwudziestu lub więcej macek. Amonit ponownie zapadł w toń, porywając ze sobą poborcę. Mackami przesunął ciało człowieka w kierunku papuziego dzioba pośrodku łba.

Oślepiające błękitne światło otoczyło Tenoctris. Gwiazdy wirowały nad nią przez tysiąc lat, wymazując jej pamięć niczym gumka ścierająca rękopis i przygotowująca go pod nowy zapis.

W niewyobrażalnie odległym od niej miejscu i czasie, ocean przetaczał się nad świeżym grobem Yole.

KSIEGA I

Kiedy w pierwszym blasku świtu spojrzała na planszę, ujrzała na niej nowego pionka. Znieruchomiła.

Plansza była ogromną płytą matowego agatu, o naturalnym wzorze, starannie dobranym przez czarodzieja, który przyciął ją i wypolerował wiele wieków przed pojawieniem się ludzi. Trzymała ją w ukryciu, nie za kratami i zamkami, lecz w innym wymiarze, z którego mogła przywoływać ją do medytacji.

Dla niewprawnego oka pionki były tylko kawałkami cennego turmalinu, nieobrobionymi lub topornie rzeźbionymi przez jakiegoś pełnego zapału, lecz niewiele umięjącego barbarzyńcę. Dla wprawnych, bystrych oczu... oczu czarodziejki takiej jak ona, te pionki były obdarzone wszelkimi subtelnymi cechami żywych istot, na które oddziaływała jej wola – ludzkimi marionetkami, które przesuwiała wraz z niewidzialnym przeciwnikiem, a których ruchy wpływały na posunięcia pozostałych pionków.

Poświęciła nieskończenie wiele czasu i wysiłku na studiowanie tych turmalinowych pionków, doskonaląc swoją strategię postępowania z żywymi istotami, które uosabiały. Na planszy znajdowały się ich setki, a każdy miał swoją wartość, lecz sztuka rozgrywki polegała na zidentyfikowaniu tych, które zapewniały drogę do zwycięstwa. Poprzedniej nocy znalazła cztery z nich.

Dwa były pionkami o wielkiej sile. Twarde, kruche kamienie, z których je ukształtowano, były na jednym końcu zielone jak morze, a rubinowo czerwone na drugim. Kryształy różniły się kształtem u góry i na dole, a także od siebie nawzajem.

Były Mieszkańcami: potomstwem człowieka i istoty mającej ludzkie jedynie kształty, hybrydami o umiejętnościach, jakich nie wykazywało żadne z rodziców. Nie były magami, lecz potrafiły posługiwać się mocami, nad jakimi nie panował żaden człowiek, nawet posiadający nadzwyczajne umiejętności i siły.

Mieszkańce mogły być niebezpieczne, ale nie z własnej woli, jedynie gdyby kierował nimi jej przeciwnik. Jeśliby nie zdołała wykorzystać ich do swoich celów, mogła w najgorszym razie wycofać je z gry.

Pozostałe dwa pionki były spiralnie splecione, jakby wyrzeźbiono je z jednego kryształu... co było niemożliwe, niewiarygodne. Jeden miał brązową metaliczną barwę, jakby związaną ze znacznym dodatkiem żelaza. Był ciemny, lecz przezroczysty i w jego głębi przepływały niewyraźne kształty. Druga spirala była przejrzysta jak woda, choć podobnie jak toń lekko zabarwiona. W tym przypadku świetlistym blaskiem pierwszych kropli rosy.

Czubkami palców dotknęła tych dwóch spiral. Były zimne lub gorące – nie potrafiła powiedzieć. Chociaż tak długo studiowała pionki, niektóre ich cechy pozostawały nieuchwytnie. Powinna rozdzielić je i zbadać osobno, gdyż jeden z nich był kluczem, który odkryje miejsce, gdzie przed tysiącem lat Lorcan z Haft ukrył tron Malkara.

W tym pionku kryła się cała potęga kosmosu i można było nim kierować. Poruszałyby się zgodnie z jej wolą lub wolą przeciwnika, zakapturzonej postaci, którą wyczuwała, lecz nigdy nie zdołała dostrzec. W tej grze nie było trzeciego gracza!

A jednak...

Tej nocy, gdzieś pomiędzy zmrokiem a świtem, na planszy pojawił się niewielki stożek z błękitnego turmalinu, powiązany z tymi czterema kluczowymi pionkami. Musiała dowiedzieć się, co

on oznacza, a przede wszystkim przyczynę jego obecności.

Narzuciła na planszę szkarłatną kapę i skierowała się do drzwi. Na pozór jedynym ich zamknięciem było niewielkie pasmo pajęczyny, lecz ktoś, kto usiłowałby wtargnąć do środka, znalazłby się w miejscu, do którego nie zamierzał się dostać i które z pewnością by mu się nie spodobało.

Otworzyła drzwi. Stojący tam sługa nisko się jej skłonił.

– W żadnym wypadku nie wolno mi przeszkadzać – powiedziała. Ruchem głowy wskazała na nakrytą serwetą tacę z przekąskami, czekającą na stoliczku obok drzwi. – Będę pościć, więc zabierz to.

Sługa ponownie się skłonił.

– Jak sobie życzysz, królowo – powiedział.

Zamknęła i zapieczętowała drzwi. Jej zakapturzony przeciwnik nie mógł umieścić tego nowego pionka na planszy...

A jeśli nie on, to kto?

Garric or-Reise rzucał się w swoim łóżku na poddaszu należącej do rodziców gospody, śniąc o potwornym wirze. Woda była lodowata i tak gęsta, że wydawała się twarda jak kamień. Nitki brudnobiałej piany znaczyły spiralę wiru, jak pasma agatu. Garric zdołał unieść z wirującej wody głowę i prawe ramię, lecz reszta jego ciała tkwiła w toni, jak mucha w bursztynie.

– Pomocy! – krzyknął, ale ryk wody zagłuszył jego wołanie. Napór wody żelazną obręczą ścisnął mu pierś, nie pozwalając zaczerpnąć tchu.

Potężny prąd pochwycił w swe objęcia również inne stworzenia. Przeważnie potwory.

We śnie Garric widział wilka morskiego, który miotał się niemal w samym środku wiru. Za życia Garrica wilki morskie kilkakrotnie napadały na pastwiska otaczające Barca's Hamlet, lecz ta bestia miała ponad sześć metrów długości, a więc była dwukrotnie dłuższa i wielokrotnie cięższa od każdej z tych, jakie dotychczas widział. Miała paszczę tak długą jak jego ramię i żółte zębiska, którymi mogła przeciąć człowieka na pół.

Nieco dalej unosił się segmentowany stwór o spłaszczonym, okrytym chitynowym pancerzem ciele, dłuższym od łodzi rybackiej. Rzędy jego wiosłowych nóg dygotały w próżnym wysiłku w gęstej jak żel wodzie. Miał parę szczypiec jak skorpion z jakiegoś koszmarne snu, a jego mozaikowate wylupiaste oczy lśniły w słabym świetle.

Daleko w dole tkwił wywijający mackami amonit o skorupie wielkości stodoły. Żółtymi ślepiami z bezmyślną nienawiścią spoglądał na Garrica, lecz i on był więźniem potwornego wiru.

Na dnie morza, nieskończenie odległa, stała ludzka postać, zarzucając linę z drgającego fioletowego ognia. Ta postać była okryta długą czarną szatą z kapturem, który zasłaniał jej twarz. Trzaskający płomień powoli pełził w górę, zbliżając się do Garrica, podczas gdy śmiech zakapturzonej postaci zagłuszał ryk wiru. Coraz bliżej...

Garric obudził się ze ściśniętym gardłem, z którego nie mógł wydostać się krzyk. Był owinięty mokrą od potu pościelą, a nie w objęciach wiru. Szyba w niewielkim okienku jaśniała już szarością przedświt.

– Niech Pani i Pasterz mają mnie w opiece – szepnął Garric, czekając aż serce przestanie mu walić jak młotem. – Niechaj Duzi, która pilnuje naszych stad, strzeże i mnie.

Otworzył okno, wpuszczając chłodne powietrze. Grube szkło zbyt zniekształcało obraz, aby można przez nie dostrzec cokolwiek poza przemianą nocy w dzień. Kiedy Garric je uchylił, dojrzał jakąś postać, leżącą na tratwie niedaleko brzegu.

Garric odrzucił lniane prześcieradło i lekki koc, pod którym spał. Nawet późną wiosną sztorm przynosił zimne noce. Nie chciało mu się spinać pasem tuniki, w której spał i jak wszyscy w Barca's Hamlet chodził boso już od pierwszych roztopów.

Zeskoczył z okna i opadł na ziemię dwa metry niżej. Nie zawołał, żeby zbudzić innych, gdyż obawiał się, że to może być jeszcze sen. W pierwszej chwili pomyślał, że postać na tratwie jest zakapturzonym rybakiem z jego koszmarne snu. Jeśli naprawdę przy brzegu ktoś pływa, Garric nie potrzebuje niczyjej pomocy, żeby wyciągnąć go na brzeg. Natomiast jeśli zwiódła go wyobraźnia, lepiej, żeby nie dowiedzieli się o tym inni.

Bez wysiłku zbiegł po murze oporowym na zwirowatą plażę. Tunika łopotała mu wokół nóg. Garric był rosły jak na siedemnastolatka, chociaż chudy i kościsty. Jego siostra Sharina też była wysoka, jednak smukła w sposób pasujący do pukli jej jasnych włosów, natomiast ich przyjaciel

Cashel przypominał krzepki dąb. Cashel był tak krępy i szeroki w barach, że wydawał się przysadzisty, chociaż wzrostem prawie dorównywał Garricowi.

Rybacy powyciągali swe sześciorosłowe kutry na brzeg, lecz fale wczorajszego sztormu wpełchnęły je jeszcze dalej. Trzy łodzie były przewrócone, a dwie inne złączone jak w miłosnym uścisku – ta na górze zmiażdżyła dwie trzecie drugiej.

Morze Wewnętrzne z sykiem omywało plażę. Ten dźwięk był głośniejszy niż się wydawało, co można było stwierdzić dopiero wtedy, kiedy odeszło się w głąb lądu, za pierwsze pasmo wzgórz. Fale z pluskiem uderzały o tratwę. On i leżąca na niej twarzą w dół kobieta były równie rzeczywiste jak sięgająca do kolan woda, którą rozpryskiwał biegnący na pomoc Garric.

Tratwa osiadła na łasze muszli i żwiru tak niskiej, że podczas odpływu niczym by się nie odróżniała od reszty płaskiej plaży. Ku zdumieniu Garrica tratwa okazała się fragmentem jakiegoś budynku, a nie pokrywą okrętowego luku, jak początkowo przypuszczał.

Kobieta cicho jęknęła, kiedy ją podniósł. Przynajmniej była żywa. Była starsza od matki Garrica, chociaż w tym nikłym świetle nie potrafił dokładnie ocenić jej wieku. Wziął ją na ręce. Niewiele ważyła, chociaż gruby brokat jej szaty nasiąknął morską wodą.

Garric odwrócił się i ruszył w górę omywanego przez fale zbocza, starając się nie potknąć i nie upuścić nieszczęsnej. Woda szarpała kraj jego tuniki, jakby wzdorliwie usiłując go obalić.

– Mam rozbitka! – zawołał ile tchu w płucach. Nie spodziewał się, by ktoś go usłyszał nim dotrze do gospody, chociaż mógł jakiś rybak oglądać szkody wyrządzone przez straszliwą burzę, jaka rozpełtała się poprzedniego dnia. – Przygotujcie łóżko i wodę!

Garric nie miał pojęcia, skąd mogła się wziąć ta kobieta. W promieniu siedemdziesięciu kilometrów od wschodniego wybrzeża Haft nie było żadnej wyspy z drewnianymi zabudowaniami. Jeśli sztorm przygnał tutaj tę prowizoryczną tratwę – a tak najwidoczniej było – to cud, że ofiara znalazła dość siły, by się na niej utrzymać podczas najgorszej burzy, jaka w tym pokoleniu rozszalała się na Morzu Wewnętrznym.

– Na pomoc, mam rozbitka!

Długimi, zręcznymi krokami wspiał się na stromy brzeg. Garric miał dość sił, żeby wyjąć z bagna dorosłą owcę i wynieść ją na ramionach na suchy brzeg. W porównaniu z tym, ten wysiłek był niczym.

Garric przy tej czy innej okazji wykonywał większość gospodarskich prac w Barca's Hamlet. Razem z Shariną mieli pewnego dnia odziedziczyć gospodę – jak twierdził ich ojciec, Reise. Jednak Garric nie wiedział, czy chce być karczmarzem, a Sharina... Kto wie, czego naprawdę pragnęła? Ich matka, Lora, traktowała ją tak, jakby była zbyt dobra do czegokolwiek!

Reise zdawał się nie przywiązywać wagi do tego, czy po jego śmierci dzieci zechcą prowadzić gospodę czy nie. Jego obowiązkiem było ich wszystkiego nauczyć. Co potem zrobią ze swoim życiem, to ich sprawa.

Reise or-Laver był obowiązkowym i wykształconym człowiekiem, który przybył na wielką wyspę Haft ze stołecznego Valles na Ornifal i został urzędnikiem na dworze księcia Niarda. Kiedy przed siedemnastu laty Niard i księżna Tera zginęli podczas rozruchów, Reise przybył do Barca's Hamlet z dwojgiem małych dzieci i żoną Lorą – miejscową dziewczyną, która służyła w pałacu księcia w Carcosie. Chociaż kupił tu podupadłą gospodę i podniósł ją z ruin, mieszkańcy Barca's Hamlet nadal traktowali go jak obcego.

Reise zapewnił utrzymanie dzieciom i osobiście nauczył je nie tylko podpisanie się i liczenia na palcach, ale także literatury oraz matematyki. Pracował bez narzekań i bez słowa płacił długi. Cieszył się szacunkiem wszystkich w Barca's Hamlet... ale Reise był zawziętym, skorym do gniewu

człowiekiem, którego naprawdę nikt nie lubił, nawet jego syn.

Domostwa w Barca's Hamlet były bardzo skromne – dwa lub trzy pokoje i stryszek, szopa i letnia kuchnia na podwórzu; ściany zrobione z wikliny przeplecionej między pionowo wbitymi palikami, uszczelnionej gliną oraz mchem i pokrytej tynkiem. Dachy były strome, a kominy zbudowane z kamienia, cegły lub – jak u najuboższych – z patyków i gliny, co nieustannie groziło pożarem.

Gospoda mieściła się w wiekowym, piętrowym budynku z pomarańczowej cegły. Po jej zachodniej ścianie pięły się grube jak męskie ramię pędy wisterii, z których w maju zwisały grona dzwonekowiastych purpurowych kwiatów. Na wewnętrznym dziedzińcu zmieściłoby się kilka powozów jednocześnie, a w stajni na północnym końcu znajdowały się boksy dla dwudziestu koni. Garric nigdy nie widział, aby więcej niż połowa z nich była zajęta, nawet w Święto Barana, kiedy kupcy przybywali po wełnę, a pasterze sprzedawali zbędne zwierzęta, których z braku żywności nie mogli utrzymać przez zimę.

Drugim dużym budynkiem w wiosce był młyn, znajdujący się obok gospody. Ta była stara, ale młyn był jeszcze starszy. Tę zbudowaną z idealnie dopasowanych kamieni budowlę wzniesiono w czasach Dawnego Królestwa. Podczas przyływu fale wypełniały zbiornik, a młynarz mógł potem w dowolnej chwili podnieść zastawkę i wypuścić kanałem wodę, która poruszała młyńskie koła. Przyływ był daleko pewniejszą i przewidywalną siłą napędową od wiatru czy strumienia, gdyż nie zależał od wiatrów czy pór roku, ale tylko najmocniejsze konstrukcje mogły wytrzymać napór wiosennych przyływów, podczas koniunkcji słońca i księżyca. Od tysiąca lat na Haft nikt nie odważył się wybudować drugiego takiego młyna.

– Gdzie ja jestem? – zapytała kobieta-rozbitka. Jej głos był tak ochrypły i słaby, że niosący kobietę Garric usłyszał te słowa tylko dlatego, że jej głowa opierała się na jego ramieniu, tuż przy uchu.

Otworzyły się tylne drzwi gospody. Stał w nich Reise, trzymając zapaloną łodygę namoczonej w tłuszczu cykuty, która dawała słabe żółte światło.

– Jesteś w Barca's Hamlet – rzekł Garric. – Za chwilę położymy cię do łóżka. Dostaniesz, pani trochę mleka z żółtkiem i cukrem.

– Gdzie znajduje się Barca's Hamlet? – szepnęła kobieta. – Czy jestem na Yole?

Reise otworzył drzwi na oścież i odsunął się. Lora stała w głównym korytarzu, a Sharina przechylała się przez balustradę, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

– Yole? – rzekł Garric. – Co za Yole?

– Yole? – powtórzył pytającym tonem jego ojciec. – Yole zapadła w morze tysiąc lat temu!

Sharina przewiązała paskiem tunikę, którą nosiła zamiast nocnej koszuli.

– Sharino! Idź po pustelnika! – zawołał Garric, przechodząc bokiem przez próg, żeby zwisające nogi niesionej przez niego kobiety nie zawadziły o framugę. – Ta kobieta potrzebuje pomocy!

– Zaraz go przyprowadzę! – powiedziała Sharina. Płaszczyk miała na górze, lecz ten lekki poranny chłód nie był wart zwłoki. I tak większość drogi do chaty Nonnusa pokona biegiem, chociaż ostatni odcinek, opadający aż na brzeg strumienia, nawet w pełnym blasku dnia wymagał zachowania ostrożności.

– Nie możesz tam iść o tej porze, Sharino! – zawołała matka. – W dodatku nie ubrana!

– Weź światło, Sharino! – powiedział Reise, wymachując kagankiem. Nie mógł unieść go nad głowę, żeby nie okopcić sufitu.

Sharina zignorowała Lorę i Reisego. Nie potrzebowała światła, tak samo jak płaszczyka... Chociaż może wzięłaby jedno i drugie, gdyby nie żądali tego rodzice. Wypadła przez frontowe drzwi na podwórze, zanim któreś z nich zdążyło ją zatrzymać.

Szeroka brama na dziedziniec nie była zamykana od tak dawna, że oba jej skrzydła zarosły wysoką trawą, a prawe trzymało się tylko na jednym dolnym zawiasie. Nad głową widziała jasny półksiężyc, ale niebo było już zbyt blade, żeby można dostrzec gwiazdy.

Jedyna prawdziwa ulica w Barca's Hamlet wiodła wzdłuż rzędu domów ciągnących się nad płytką zatoką. Nad zbiornikiem wodnym przerzucono płaski most, zbudowany w tym samym czasie co młyn. Pozostała część ulicy była – zależnie od pogody – pokryta gliną, kurzem lub błotem. Po gwałtownej burzy z poprzedniego dnia woda stała w koleinach wyłobionych w jej nawierzchni przez przejeżdżające tędy od wielu wieków pojazdy. Sharina z pluskiem i świadcząca o długiej praktyce wprawą przebiegła przez drogę i ruszyła jedną z bocznych ścieżek.

Granic Barca's Hamlet nie wytyczało nic poza linią brzegową. Domy były rozrzucone chaotycznie, tak że obcy z trudem mógłby rozróżnić, gdzie kończy się wioska, a zaczynają okoliczne farmy. Do niektórych domostw przylegały połacie pól uprawnych i lasów, tworząc to, co mieszkańcy tego regionu nazywali Barca's Hamlet.

Ścieżka, którą podążyła Sharina, niemal natychmiast doprowadziła ją w głąb należącego do wspólnoty lasu, gdzie dzikie świnie szukały żołądź, a niektóre rodziny miały przywilej ścinania suchych drzew na opał. W tym lesie mieszkał tylko jeden człowiek, a i on w pewnym sensie stanowił własność wspólnoty.

Zamiast przyjść tu osobiście, Garric kazał Sharinie przyprowadzić pustelnika Nonnusa. Wszyscy wiedzieli, że Sharina jest jedyną osobą, którą pustelnik zdaje się traktować jak człowieka, a nie jak wiosnę czy deszcz. Miodowej barwy włosy i szare oczy odróżniały ją od wszystkich znanych jej ludzi, włącznie z rodzicami. Może z powodu tego wyglądu czuła się wśród miejscowych obco, chociaż zamieszkała w Barca's Hamlet już tydzień po narodzinach. Akceptacja Nonnusa była dla niej równie krzepiąca jak dotyk pościeli, kiedy budziła się ze snu, w którym spadała w przepaść.

Wijąca się ścieżka dochodząca do traktu w pobliżu Hafner's Ford, lecz prawie nikt nie chadzał tędy przez las, jeśli nie chciał zobaczyć się z Nonnusem – co zdarzało się niezmiernie rzadko. Z obu stron falowały gęste krzaki malin, chwilami zaczepiając Sharinę. Oswobadzała się, nie zwalniając kroku. Wiedziała, że od pośpiechu może zależeć życie tej kobiety.

Nonnus pełnił rolę wioskowego uzdrowiciela. Babcia Halla mówiła, że przybył nie wiadomo

skąd kilka lat przed tym, zanim Lora wróciła do Barca's Hamlet z cudzoziemskim mężem i dwojgiem niemowląt – bliźniąt.

– Myśleliśmy, że jest bandytą, naprawdę – zwykła mówić babcia – ale ówczesny wójt był taką samą nadętą purchawką, jak dzisiaj Katchin. Nikt nie miał odwagi zaprotestować, kiedy ten człowiek zamieszkał nad strumieniem. A gdy syn Trevina or-Cessala złamał sobie nogę – a rok później zmarł na gorączkę – ten człowiek usłyszał jego piski i wprawnie złożył mu kości. W ten sposób przekonaliśmy się, że to święty mąż. Jednak gdyby mnie kto pytał, to wygląda jak bandyta.

Jeśli o nic nie zapytasz babci Halli, pewnie i tak ci to powie. A raczej powiedziałyby. Sharina przypomniawszy sobie, że tej zimy minie już pięć lat od śmierci staruszki, którą znaleźli w łóżku sąsiedzi, gdy zauważyli, że z komina jej domku nie unosi się dym.

Nawet Sharinie z trudem przychodziło myśleć o Nonnusię jako o świętym człeku, chociaż tak często klęczał przed wyrzeźbionym w korze wysokiej sosny ołtarzem Pani, że ziemia tam była twarda jak kamień. Oprócz modłów, Nonnus zajmował się ogrodem, łowieniem ryb i polowaniem. Kiedy ktoś prosił go o pomoc, nie odmawiał. Brał w zamian produkty rolne lub zaferowany czasem kawałek boczkusa, lecz w rzeczywistości był równie samowystarczalny jak wiewiórki stanowiące znaczną część jego diety.

Kapłani Pani i jej małżonka, Pasterza, raz w roku wykonywali obchód włości, zbierając dziesięcinę. Nonnus nie chodził tak jak oni. Poruszał się jak pies, zawsze czujny i szybki jak cios krótkiej drewnianej włóczni, którą używał do polowania.

W miejscu, gdzie ścieżka do pustelni odchodziła od traktu, na sznurze ze splecionej kory wisiały dwa kawałki twardego drewna. Sharina przystanąła na chwilę, żeby uderzyć jedną pałeczką o drugą.

– Nonnusię? – zawołała. – Mój brat znalazł wyrzuconą przez morze kobietę, która potrzebuje twojej pomocy!

Na ostatnim odcinku ścieżka opadała do parowu i znów pięła się na jego strome zbocze. Sharina przytrzymała się rękami potężnych korzeni rosnącej na przeciwległym zboczu olchy.

Jeśli ktoś nie zakołatał, idąc na spotkanie z Nonnusem, pustelnik i tak wychodził mu naprzeciw. Z jedną tylko różnicą: ci, którzy nie okazali należytej uprzejmości i nie zapowiedzieli swego przybycia, napotykali pustelnika z trzema włóczniami w lewej i czwartą, gotową do rzutu, w prawej ręce. Nikt w wiosce nie twierdził, że kiedykolwiek zdołał niepostrzeżenie podejść do Nonnusa.

Pustelnik wyszedł z chaty, trzymając w jednej ręce wiklinowy koszyk z medykamentami i laskę w drugiej ręce.

– Złamane kości, dziecko? – zapytał.

Jego powitalny uśmiech wyglądał jak wyrzeźbiony w korzeniu wrzośca.

Nonnus był mężczyzną niewielkiego wzrostu, niższym nawet od Shariny, a jego klatka piersiowa miała taki sam obwód jak jego brzuch. W jego włosach i w brodzie pojawiły się już pierwsze nitki siwizny. Sharina podejrzewała, że pustelnik musi mieć już ponad czterdzieści lat, chociaż nic prócz siwych włosów nie zdradzało tak sędziwego wieku.

Zaczepił pasek kosza o zakrzywioną laskę i zarzucił ją na ramię. Miał na sobie prosto skrojoną tunikę z naturalnej czarnej wełny, splecioną grubo jak płaszcz i szorstką w dotyku jak końska grzywa.

– Nie wiem, Nonnusię – powiedziała Sharina, przystając na moment i łapiąc oddech. – Garric powiedział tylko, że wyrzuciło ją morze.

Nonnus nosił szeroki pas z wierzbowej kory, podobny do liny, na której zawiesił kołatkę. Zatknął zaś długi, ciężki nóż w szerokiej karbowanej pochwie – chyba jedyne metalowe narzędzie, jakie posiadał.

– No cóż, wiesz gdzie rośnie mój żywokost – powiedział, ruszając przed nią ścieżką tym

niezgrabnym, rozlazłym krokiem, który jednak szybko niósł go naprzód. – Możesz wrócić i wykopać kilka korzeni, żeby sporządzić z nich wywar na usztywniający opatrunek, gdyby okazał się potrzebny.

Nonnus zasadził w pobliżu swej chaty wiele jednorocznych ziół. Byliny i dwuletnie warzywa, takie jak pasternak, rzepa i cebula rosły w oddzielnym ogródku. Chociaż do uprawiania ogródka miał tylko zaostrzony kij, wcześniej wschodzące rośliny rosły w równych rzędach, rozmieszczonych regularnie jak rybie łuski.

– Nonnusie? – zawołała Sharina zza pleców pustelnika, spiesząc za nim. Szybkie tempo marszu nie wpływało na jego chód; ani razu się nie potknął. – Jak sądzisz, skąd ona się wzięła? Mówię o tej kobiecie.

– Och, dziecko – odparł pośepnie pustelnik. – Ja nie zastanawiam się nad postępowaniem innych ludzi. Nigdy.

Jego zwalista postać pomaszerowała ścieżką. *I nikt nie powinien zastanawiać się nad moim postępowaniem*, milcząco mówiły jego plecy Sharinie, która zmieszała się i przygryzła wargi.

Ilna os-Kenset starannie rozwiesiła szatę rozbitka, aby wyschła w popołudniowym słońcu na wieszaku przed wejściem do młyna. Haftowane symbole wyraźnie odcinały się od materiału. Przypominały Ilnie runy wyryte na starych kamieniach fundamentów gospody. Brokat błyszczał zielonkawo, kiedy spoglądała nań pod jednym kątem, a niebiesko, gdy patrzyła pod innym.

Miała wrażenie, iż znaki te również zmieniały się w świetle, ale ta myśl zaniepokoiła ją. Dotykając szaty, czuła jeszcze większy niepokój, chociaż w żaden sposób nie zdołałaby tego nikomu wyjaśnić. Nieznacznie przesunęła wiklinowy parawan, aby przez następną godzinę osłaniał materiał przed bezpośrednim działaniem słonecznych promieni. Potem i tak trzeba będzie go odwrócić. Kiedy o zachodzie słońca Ilna zdjęła szatę z wieszaka, aby nie zmoczyła jej wieczorna rosa, wietrzyk wiał dostatecznie silnie, aby wysuszyć nawet tak gruby brokat.

Gołębie uniosły się z trzepotem skrzydeł z dachu stojącej obok młyna szopy, którą dzieliła z bratem, Cashem. Zatoczyły krąg nad jej głową, a potem wsiadły z powrotem na dach. Co się roiło w ich ptasich łebkach? Wystarczająco trudno było powiedzieć, co kieruje człowiekiem. Szczególnie mężczyznę.

Zwłaszcza Garricem or-Reise.

Rano Sharina przyniosła Ilnie tę szatę, tłumacząc, że należy do kobiety, którą Garric znalazł wyrzuconą przez fale na brzeg. Tunikę trzeba było wyczyścić. Czyszczenie nie stanowiło problemu. Ilna szybko zdecydowała, że nie musi posypywać materiału płatkami zbożowymi, które wchłonęłyby brud i tłusty pot. Barwy szaty nie ucierpiały na skutek zanurzenia w morzu, jedynie słone zacieki należało wyprać w słodkiej wodzie.

Gdyby koło młyńskie było poruszane wodą, Ilna włożyłaby ten strój do wiklinowego kosza i zanurzyłaby go w stawie albo nawet w kanale. Jej wuj, młynarz Katchin mógłby narzekać, a jego kocmołuchowata młoda żona, Fedra, z pewnością miałaby jej to za złe. Ilna i tak zrobiłaby to, ponieważ miała do tego prawo i nikomu nic do tego – włącznie z jej rodziną.

Jednakże w stawie była słona woda, więc nie doszło na szczęście do scysji. Ilna nie była z tego specjalnie dumna. Żałowała jednak, że nie ma okazji zmusić Katchina do kolejnego ustępstwa, niż tego, że musi nosić wiadrami wodę ze studni, aby delikatnie sprząć palcami słone zacieki.

Kenset or-Keldan był starszym z dwóch synów młynarza, „tym żądnym przygód” – jak mawiali ludzie, którzy go znali. Na rok opuścił wioskę i nikt nie wiedział, gdzie się podziewał. Kiedy wrócił równie niespodziewanie, jak wyjechał, przywiózł ze sobą dwoje dzieci – Ilnę i jej brata Cashela – ale nie żonę.

Keldan zmarł podczas nieobecności Kenseta. Ilna dostatecznie dobrze знаła wujka Katchina by wiedzieć, jaki był wściekły, kiedy musiał podzielić na dwie części spadek, który uznał za swoją wyłączną własność, ale zrobił to. Tak nakazywało prawo, a Katchin zawsze go przestrzegał.

Ci sami ludzie, którzy uważali młodego Kenseta za awanturnika uznali, że młodzieniec, który powrócił z dwojgiem dzieci, zupełnie się zmienił – ale nie na lepsze. Kenset po powrocie przestał szukać przygód, ale zaglądać do dzbana z winem. Pożyczał od brata coraz więcej pieniędzy na poczet udziałów w zyskach. Nie przejmował się nikim – a już najmniej swoimi dziećmi – i też nikt nie przejmował się nim.

Kenset zmarł, kiedy Ilna i Cashel mieli siedem lat. Nie zapił się, ale zamarzył, kiedy pewnej zimowej nocy zasnął pijany w rowie kilka kilometrów od wioski. Z jego spadku nie zostało nic prócz

połowy udziału w samym młynie.

Dzieci wychowywała babka, dopóki żyła. Kiedy umarła we śnie dwa lata po śmierci jej starszego syna, Ilna zajęła się bratem-bliźniakiem i sobą. Cashel wykonywał prace, które wymagały jego rosnącej siły, i pilnował owiec. Został głównym pasterzem większości stad owiec w okolicy. Ilna zaś tkala tak szybko i zręcznie, że niektóre miejscowe gospodynie przynosiły jej swoje przędze.

Ponadto zajmowała się domem. Była dumna z tego, że kiedy Katchin w końcu się ożenił – a raczej kupił sobie żonę – każdy w Barca's Hamlet mógł zauważyć kontrast między nienaganną czystością domostwa Cashela i Ilny, a bałaganem panującym w drugiej połowie młyna.

Kiedy bliźniaki były małe, wszyscy mieszkańcy wioski chętnie im pomagali, ponieważ nie lubili ich wuja. Ilna przy każdej okazji starała się z nawiązką zwrócić wszelkie długi.

Katchin został wójtem, reprezentującym w okolicy interesy księcia Lascarga, ponieważ w inny sposób nie potrafił zasłużyć sobie na szacunek sąsiadów. Lecz sprawowany urząd niczego nie zmienił. Młynarz Katchin i tak był najbogatszym i najznamienitszym członkiem tej społeczności. Jego przodkowie zamieszkiwali w Barca's Hamlet od dziesięciu pokoleń. Pomimo to napotykanii na drodze ludzie ciepłej pozdrawiali pijanego Sila Jąkałę niż Katchina.

Cashel or-Kenset wyrastał na najsilniejszego człowieka, jakiego widzieli. Zaś jego siostra była tak filigranowa, że gdyby zakryła oczy przed zgadującym, mógłby przypisać jej najwyżej połowę z tych osiemnastu lat, jakie ukończyła. Gdyby jednak zapytał miejscowych, kto jest najtwardszą osobą we wiosce, nie znalazłby nikogo, kto nie wskazałby na Ilnę. Wiedziała o tym i nie zwracała na to uwagi.

Żona jej wuja znów wrzeszczała na dwuletniego synka. Fedra nie była lepszą matką niż gospodynią i nie zdołała zrzucić nadwagi z okresu ciąży. Ilna uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała czym jest zemsta i czym jest obowiązek. Czasem najlepiej odpłacić komuś, pozwalając, by natura zrobiła swoje.

Ilna rozpięła szatę na wieszaku przy drzwiach i nie miała powodu by się nią zajmować, dopóki nie przyjdzie pora, by ją odwrócić i przestawić parawan. Jednak strój ten przyciągał jej wzrok. Ostrożnie, jakby wyciągała rękę do cierpiącego kota, Ilna ponownie pogładziła materiał.

Widziała już jedwab, chociaż przeważnie jako rąbek szat bogatych hodowców. O ile wiedziała, w całej Barca's Hamlet nie było nawet trzech jedwabnych szat, a i te były z surowego jedwabiu niepodobnego do tego grubego brokatu. Jednak nie to fascynowało ją w tym stroju.

Materiały przemawiały do niej obrazami, kiedy je dotykała, a szczególnie jeśli spała w uszytych z nich szatach. Wełna przeważnie była łagodna w uspokajający sposób. Ilna miała żywy, ptasi charakter, całkowicie odmienny od natury owcy. Mimo to tylko raz założyła koszulę sprezentowaną jej przez pewną pogrążoną w żałobie matkę i nigdy nie wyjawiała, dlaczego jej córka zażyła truciznę, ani kim był ojciec dziecka. Miała również inne wyraźne wizje, równie niemożliwe do opisanie innym jak wschód słońca niewidomemu.

Suknia tej kobiety była zupełnie inna. Sceny, które przemykały w myślach Ilny, kiedy dotykała gęstego splotu, były zbyt krótkie, by pozostawić ślad w jej pamięci, ale nie budziły niepokoju w zwykłym znaczeniu tego słowa.

Rzecz w tym, że dotykając tego materiału, Ilna była absolutnie pewna, iż nie pochodzi z tego świata.

Garric powrócił do gospody wczesnym wieczorem, z łopataą na ramieniu. Gwiazdy na wschodzie były ledwie widoczne: wczesna pora dla rolnika, ale Getha twierdziła, że wykonał już pracę za dwóch i zapłaciła mu pełną dniówkę.

Getha była wdową, której najstarszy syn miał dopiero dziesięć lat. Jej rodzina radziła sobie z większością gospodarskich obowiązków, ale kopanie rowów melioracyjnych wymagało usuwania głazów, które miewały wielkość owcy. Getha i jej dzieci pomagały w miarę swych możliwości, ale Garric rzeczywiście wykonał pracę dwóch mężczyzn.

Kury gdakały z urazą, gdy szedł przez podwórze do stajni. Drób przeważnie sam troszczył się o siebie, ale Lora wieczorem rzucała mu garść pszenicy, aby przyzwyczaić stado do przychodzenia tam, gdzie w razie potrzeby można było którąś złapać i zarznąć. W tym samym celu sypano kurom owies, kiedy w stajni karmiono konie, ale teraz w gospodzie nie było gości, a Garric nie pamiętał, żeby kiedykolwiek zajechał pod nią powóz.

Powiesił łopatę na kołkach pod daszkiem. Szpadel był zrobiony z twardego hikorowego drewna, a ostrze było okute żelazem. Garric spojrzał na nie krytycznie. Na jednym rogu ostrze było starte do samego drewna i należało je wymienić, kiedy w wiosce znów pojawi się druciarz.

Usłyszał plusk i wyszedł ze stajni. Ojciec wylewał z wiadra wodę do kamiennego koryta obok studni na środku dziedzińca.

– Widziałem jak wracasz – powiedział Reise. – Zająłeś się wdową?

– Tak, ojcie – rzekł Garric. – Zaniedbała rowy i podczas burzy zalało jej niżej położone pole. Myślę, że osuszyliśmy je dostatecznie szybko, żeby owies jednak wszedł.

Zanurzył ramiona po łokcie w zimną wodę i potarł dłonie. Czuł przyjemne zmęczenie po pracy, która wymagała wysiłku wszystkich mięśni i została dobrze wykonana. Prawdę mówiąc, trochę popisywał się przed tą kobietą i jej czworgiem dzieci. Ostatni głaz, który przetaczał, mógłby połamać komuś kości, gdyby pozwolił mu stoczyć się z powrotem do rowu – co prawie się zdarzyło.

Reise podał mu myjkę. Sucha wewnętrzna część miękkiej tykwy drapała skórę w miejscach nie pokrytych odciskami.

– Sharina mówi, że nic nie będzie tej kobiecie, którą znalazłeś – rzekł Reise. – Pewnie pustelnik tak powiedział. Jej szata jest z jedwabiu. Nie poznaję kroju, ale ta gospoda jeszcze nigdy nie widziała materiału tej jakości. – Zamilkł i po chwili dodał: – Dlaczego pytałeś o Yole, Garricu?

Garric spojrzał na ojca. Trudno byłoby opisać Reisego or-Lavera w sposób, który nie czyniłby go przeciętnym, a mimo wszystko nie pasował do Barca's Hamlet, jak srebrne nakrycia do chlewa. Reise był tego samego wzrostu co większość jego sąsiadów. Nie był szczupły, wcale nie, ale miejscowi mężczyźni wyglądali przy nim niezgrabnie. W porównaniu z nimi jego włosy były odrobinę jaśniejsze nim posiwiały, twarz miał pociągłą, zaś od słońca skóra czerwieńiała mu, a nie brązowiała.

Reise mieszkał w Barca's Hamlet od siedemnastu lat, a wcześniej przez sześć w stolicy Haft, Carcosie. Miejscowi między sobą nadal mówili o nim jako o „tym obcym z Ornifal”.

– No cóż, ona myślała, że tam się znajduje – odparł Garric. – A przynajmniej tak usłyszałem.

Reise z irytacją potrząsnął głową.

– Jest wykształcona, skoro powiedziała coś takiego – rzekł – ale najwyraźniej nie była przy zdrowych zmysłach. Mam tylko nadzieję, że odzyska je na tyle, żeby powiedzieć nam, kto mógłby ją

stąd zabrać i zapłacić za jej pobyt. Pewnie, ma kosztowną szatę, ale nie miała przy sobie sakiewki ani żadnej biżuterii, którą mogłaby sprzedać.

Garric skrzywił się, chociaż wiedział, że gdyby ojciec był inny, to nie mógłby prowadzić gospody w tym odludnym miejscu. Reise nie odmówiłby pomocy rozbitkowi bez grosza, ale uczyniłby to z niechęcią, której wcale nie krył.

– Mogę ją zobaczyć? – zapytał Garric.

– Nie widzę przeszkód – odrzekł Reise. – Przecież jest w moim domu, prawda?

Garric wszedł do środka. Za plecami usłyszał mamrotanie ojca:

– Po burzy dach przecieka w tuzinie miejsc, a teraz mam jeszcze wariatkę pod opieką!

Garric położył kobietę na niskim łóżku na kółkach, w zbiorowym pokoju. Na górze były mniejsze pokoje dla hodowców i majątnych kupców, ale bał się wnosić ją po stromych i wąskich schodach. Wciąż tam była: ponieważ w tej chwili nie mieli gości, nie było sensu jej prznosić.

Nonnus klęczał przy posłaniu z żytniej słomy, splecionej w grube powrósto i zwiniętej wyżej na brzegach, żeby śpiący nie stoczył się z łóżka. Sądząc po odgłosach, Lora i Sharina były teraz w kuchni. W połączeniu ze światłem sączącym się przez okienka, wąty płomyk zwisającej z sufitu lampki olejowej dostatecznie rozjaśniał pomieszczenie.

– Powiedziała, że zwie się Tenoctris – wyjaśnił pustelnik. Mówił powolnym głosem człowieka, który większość czasu spędza w samotności. – Myślę, że nic jej nie będzie.

Garric przykucnął przy posłaniu kobiety. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek znalazł się tak blisko pustelnika. Światło lampy rzucało cień, który jeszcze podkreślał liczne blizny na twarzy i ramionach Nonnusa. Garric usłyszał, że siostra wychodzi z kuchni.

– Wygląda okropnie – wypalił.

Tenoctris miała na sobie wełnianą koszulę. *Jedną z wyrzuconych przez Lorę*, pomyślał Garric. Ledwie oddychała, a jej skóra miała niezdrowy szarawy połysk, którego Garric nie zauważył, kiedy wyciągał ją z morza. Nonnus uśmiechnął się obojętnie.

– Głównym problemem było odwodnienie i oparzenia od słońca – rzekł. – Dałem jej wypić tyle maślanki, ile mogła wypić bez szkody dla zdrowia, a potem posmarowałem maścią odsłonięte oparzone miejsca. Ponadto dodałem do maślanki wywaru z sałaty, żeby spała do jutra rana.

Garric skrzywił się. Teraz, kiedy to usłyszał, poznał zapach lanoliny będącej podstawą maści używanej przez pustelnika. Nic dziwnego, że skóra Tenoctris błyszczała.

– Sałata tak działa? – spytała Sharina.

– Och tak – rzekł Nonnus. – Jej sok wygotowany do zgęstnienia. Oparzenia słoneczne nie są groźne, ale bolą tak, że można zapomnieć o strzale w udzie.

Garric wstał.

– Chcesz przenieść ją na górę? – zapytał.

Nonnus pokręcił głową.

– Twój ojciec mówi, że może tu zostać na noc – odparł. – Będzie przy niej twoja siostra. Kiedy chora się zbudzi, będzie mogła zacząć chodzić. Jeśli Pani pozwoli.

Garric skierował wzrok na muskularne ramiona pustelnika. Teraz poczuł się podwójnie głupio, ponieważ ten mężczyzna mógł bez trudu przenieść nieprzytomną na górę, gdyby tylko chciał.

– Daliśmy jej ubranie Ilnie, żeby oczyściła je z soli – powiedziała Sharina. – Jest uszyte z cudownego materiału. Zauważyłeś?

Garric wzruszył ramionami. Nigdy nie interesowały go stroje, ale wiedział, że siostra Cashela, Ilna, była najlepszą tkaczką w promieniu wielu kilometrów. To oczywiste, że właśnie ona powinna zająć się tym ubraniem.

– Jak długo była w wodzie? – zapytał Nonnusa.

– Dzień, może półtora – odparł pustelnik. – Myślę, że niedługo. Ma zbyt jasną cerę, by nie dostała pęcherzy, gdyby dłużej przebywała na słońcu.

– Ojciec mówi, że ona nie mogła przybyć z Yole – rzekł Garric. – Twierdzi, że Yole zatonała tysiąc lat temu.

Pustelnik uśmiechnął się delikatnie, ale nic nie powiedział. Garric nie zadał pytania, chociaż z pewnością miał nadzieję na jakąś odpowiedź.

– Słyszałeś coś o Yole, Nonnusi? – zapytała Sharina.

– Słyszałem, że leży daleko na wschodzie – odparł Nonnus, podnosząc się. – I że zatonała dawno temu. Jednak nie byłem tam, więc wiem tylko tyle, ile usłyszałem od innych.

Kiwnął głową Garricowi, a potem z takim samym, lecz jakby łagodniejszym wyrazem twarzy zwrócił się do Shariny.

– Gdyby niespodziewanie obudziła się w nocy, dajcie jej znowu napić się maślanki – tyle ile zechce. Wrócę rano.

I od drzwi, nie odwracając się, dorzucił:

– I oczywiście będę się za nią modlił.

Cashel or-Kenset wyszedł z lasu, słuchając skocznej melodyjki wygrywanej na fletni przez siedzącego na szczycie pagórka Garrica. Jedna ze skubiących gęstą trawę owiec zabezpieczała na widok nadchodzącego. Garric odwrócił się i odłożył instrument.

– Wszystko w porządku? – zawołał.

– Tak. Bodger skubała pączki derenia i zawisła w gałęziach, kiedy omsknęła się jej tylna noga – odparł Cashel, wspinając się na pagórek. – Wciąż mówię Beilinowi, że powinien sam ją zarznąć, a nie czekać aż pewnego dnia zeżrą ją wrony, kiedy nie znajdę jej dość szybko, ale on mówi, że ta owca daje dużo mleka, a do tej pory nie dałem jej się udusić.

– I nie dasz – rzekł Garric. Plecami opierał się o krzepki dąb, który nawet w środku lata rzucał głęboki cień, chociaż ten teraz znajdował się po przeciwnej stronie pnia. Garric oparł o pień kołczan i nie napięty łuk, a na węzełku ze śniadaniem położył książkę. Dzięki naukom przyjaciela Cashel potrafił się podpisać i skreślić kilka słów, lecz Garric był prawdziwym uczonym, który dla przyjemności czytywał starożytnych poetów.

– Ja też jeszcze nie umarłem – mruknął Cashel – ale nie wątpię, że kiedyś to się stanie.

Zauważył, że trzy owce oddaliły się razem od skraju lasu. Cashel miał dziwne przeczucie, że przestraszyły się czegoś. Nie sprawił tego ich wygląd – gdyż owcze pyski zawsze mają idiotyczny wyraz.

Poszedł to sprawdzić, podczas gdy Garric obserwował resztę stada, pasącego się na zboczu wzgórza na południe od wioski. Oczywiście, znalazł jedną z owiec Beilina wiszącą w rozwidleniu gałęzi i nie mogącą się uwolnić.

– Gdyby owce były równie mądre jak ludzie, gospodarze nie musieliby płacić pasterzom – zauważył z uśmiechem Garric. – No, posłuchaj tego, dobrze?

Otworzył tom w miejscu zaznaczonym kawałkiem wstążki. Książka była jedną z kilku, które ojciec Garrica przywiózł ze sobą z Ornifal. Miała okładkę z ciemnej skóry i strony z dobrego pergaminu. Chociaż Cashel nie potrafił przeczytać słów, potrafił docenić zręczność skryby, który potrafił zachować jednakową wielkość liter i długość odstępów w całym tak obszernym tekście.

– Teraz owczarze grają na fletniach owcom skubiącym wiosenną trawę, a te dźwięki radują bogów, którzy strzegą stad i lesistych wzgórz Haft – przeczytał Garric. – Jak to brzmi?

Cashel wzruszył ramionami.

– Podoba mi się, pewnie – odparł. – To piękne słowa. Chciałbym tylko, żeby to było takie proste.

– Właśnie o tym mówię – rzekł Garric, ponownie odkładając książkę na węzełek. – Jasne, owce tuczają się na świeżej trawie, ale trzeba pilnować, żeby się nie powiesiły, nie utonęły w bagnie i nie spadły z urwiska, ponieważ są za głupie, by wiedzieć, że nie umieją latać. Założę się, że tak samo było w czasach Dawnego Królestwa, kiedy Celondre napisał te słowa. Ojciec mówi, że on nie był pasterzem, tylko bogatym człowiekiem, który pisał o pasterzach.

– No cóż, ty grasz na fletni – rzekł ze smutnym uśmiechem Cashel. Nie miał żadnych uzdolnień muzycznych i nigdy nie potrafiłby zagrać niczego, czego choć sam mógłby wysłuchać z przyjemnością. Używany do przekazywania sygnałów, krowi róg z drewnianym ustnikiem był jedynym instrumentem, na którym umiał coś zagrać. – Nie wątpię, że sprawiasz tym przyjemność Duzi.

Poklepał osadzony na szczycie pagórka, sięgający mu do kolan głaz z topornie wrytą na nim

twarzą. Duzi nie należała do największych bóstw, nie była Pasterzem, lecz dopóki na Haft pasą się stada owiec, owczarze będą składać przed jej wizerunkami ofiary w postaci kwiatów i pożywienia.

– Wiem, że mnie to sprawia przyjemność – dodał Cashel z szerokim uśmiechem.

Kucnął, położył na ziemi okutą żelazem laskę i podniósł instrument. Ten składał się z kilku wydrążonych kawałków trzciny o tej samej grubości, lecz różnej długości. Koniec każdej z siedmiu rurek był zasklepiony pszczelim woskiem. Drewniane obejmy i wierzbowa kora łączyły je w całość. Grający dmuchał na krawędzie otworów, uzyskując pełne, przeciągłe dźwięki. Cashel uważał, że kiedy muzyk jest niezły – a tego popołudnia Garric był naprawdę dobry – dźwięk fletni jest ładniejszy od pieśni jakiegokolwiek ptaka.

– No cóż, owcom chyba też się podoba – przyznał Garric. – Wprawdzie nie mylą mnie z pasterzem, który naprawdę zna swoją robotę, ale kiedy im gram, nie rozłążą się po całej okolicy.

Cashel ze szczytu pagórka spojrział na stado, pospiesznie je przeliczając. Palcami prawej ręki odliczał sztuki, a lewej dziesiątki. Znał te owce i wiedział, ile sztuk pozostaje na widoku, a ile zwykle kryje się w lesie. Czarno-brązowo-białe runo owiec z Haft skrywało nawet przed jego byстрыm wzrokiem te osobniki, które weszły do lasu.

Fale gniewnie uderzały o brzeg na wschód od pagórka. Od czasu tego gwałtownego sztormu morze pozostało wzburzone i Cashel zauważył, że jego powierzchnia przybrała dziwną barwę, niepodobną do zwykłego bladozielonego odcienia.

Kilka owiec skubało sitowie na mokradle, w pobliżu miejsca, gdzie strumień Pattern wpływał do morza. Słonawa woda nadawała smak ich mięsu, które niektórzy lubili spożywać z sosem z czerwonych wodorostów. Nawet z perspektywy Barca's Hamlet można było dostrzec, że ten świat jest wielki i Cashel powoli nabierał przekonania, że ludzie miewają różne gusty.

Wrony polatywały i krakały nad wrakiem, który sztorm cisnął na brzeg. Fale wyrzuciły też martwe ryby, wodorosty pokryte festonami skorupiaków oraz przeróżne, trudne do zidentyfikowania szczątki z całego Morza Wewnętrznego, będące pożywieniem dla padlinożerców. Cashel zanotował w myślach, żeby starannie sprawdzić czy owce nie mają insektów. Zwykle o tej porze roku wrony oczyszczały owcze futra, wybierając owady, lecz teraz nie będą tego robić, dopóki mają taką obfitość pokarmu.

Nie dostrzegł niczego podejrzanego, lecz coś było nie tak.

Lekko marszcząc brwi, Cashel podniósł laskę i obszedłszy krzepki dąb stanął w miejscu, skąd mógł spojrzeć na wijącą się na północy kotlinkę i zobaczyć wszystkie swoje podopieczne – a przynajmniej domyślić się, gdzie. Te, które widział, spokojnie gryzły trawę i żuły ją monotonnym ruchem, regularnym jak oddech śpiącego.

Garric zauważył niepokój przyjaciela. Nic nie powiedział, ale zablokował stopą dolny koniec łuku i oburącz ścisnął górny. Używając kolana jako punktu podparcia, wygiął grube drzewce i nałożył na uchwyt pętlę cięciwy z końskiego włosia, szykując broń do strzału.

Łuk Garrica był zrobiony ze sprężystej gałęzi cisu i choć mierzył niewiele ponad metr długości, miał sporą siłę przebicia. Drzewce popękałoby, gdyby zbyt długo pozostało wygięte, dlatego nałożenie cięciwy było ostatnią czynnością wykonywaną przez myśliwego zamierzającego użyć tej broni.

Teraz jednak nie było niczego, przeciw czemu można by wykorzystać tę broń albo długą pałkę z hikorowego drzewa, którą Cashel wywijał tak gracko, jak ktoś inny gałązką. Niczego...

Garric nałożył strzałę na cięciwę, spoglądając na spokojną okolicę, ale kątem oka obserwując Cashela. Ufał instynktowi przyjaciela, chociaż sam nie zauważył niczego podejrzanego.

Ciennobrzowe bagno eksplodowało fontanną lśniącej jak diament wody. Owca zabczała

żałośnię, wywijając przednimi nogami w powietrzu. Bryzgi skryły wilka morskiego, który chwycił zwierzę za tylne nogi, ale drugi napastnik wyłonił się z trzciny i zacisnął długie szczęki na szyi ofiary, kładąc kres jej beczeniu i życiu.

– Są jeszcze dwa! – zawołał Garric. Napiął łuk w sposób przyjęty na Haft – przenosząc cały ciężar ciała na lewe ramię, a nie ciągnąc za cięciwę.

Cashel już dostrzegł drugą parę przysadzistych drapieźników, sunących przez fale. Grzbiety wilków morskich były cętkowane, szaro-zielono-czarne, a ich karbowane brzuchy miały jasnokremową barwę. Jeden z tych płynących do brzegu był naprawdę ogromny: miał co najmniej trzy i pół metra długości i ważył tyle co jałówka.

Cashel przyłożył róg do ust i zadał, ostrzegając mieszkańców wioski przed niebezpieczeństwem. Gdy przeciągły dźwięk odbił się echem od wzgórz, Cashel ruszył w kierunku brzegu, oburącz ściskając pałkę.

Cztery wilki morskie razem. Stary Hudden twierdził, że widział cztery, kiedy był jeszcze chłopcem i nawet jeśli mówił prawdę, to od tego czasu minęło czterdzieści lat. Ten sztorm musiał zagnać je na zachód, w kierunku Haft...

Łuk Garrica jęknął i zafurczał, gdy gruba cięciwa zadrgała i znieruchomiała. Półmetrowa strzała przeszła na wylot morskiego wilka, który trzymał owcę za gardło. Drapieźnik na pewno zdechnie, ale może mu to zająć cały dzień. Jedynie przecinając kręgosłup lub przebijając czaszkę, można było położyć bestię trupem na miejscu.

Przebijając czaszkę albo ją rozbijając. Cashel pobiegł w kierunku wychodzących na brzeg drapieźników.

Wilki morskie były gadami, dawnymi jaszczurami, które wróciły do wody. Ogon tego stworzenia był spłaszczony i tworzył szerokie wiosło, poruszające się węzowatymi, zwinnymi ruchami. Płynący wilk morski trzymał kończyny mocno przyciśnięte do ciała, chyba że sterował uderzeniami błoniastych łap, ale i te na krótkich dystansach mogły przenosić go z szybkością biegnącego człowieka.

Wilki morskie miały zęby jak ćwieki. Największe z tych kłów miały długość środkowych palców Cashela i doskonale nadawały się do przytrzymywania i zabijania zdobyczy, lecz nie do jej rozszarpywania. Drapieźniki wciągały do wody zabite na lądzie ofiary i gwałtownie obracając się, wyrwały z nich kęsy ciała. W morzu polowały na ryby. Kiedy wychodziły na ląd, równie chętnie napępniały brzuchy mięsem owcy, co mężczyzny lub dziecka.

Owce gramoliły się po zwirowatym brzegu, w panice uciekając przed pierwszą parą napastników. Kilka biegło w kierunku drugiej pary wilków morskich, które właśnie wychodziły z fal. Cashel nie próbował krzyczeć, gdyż wiedział, że w ten sposób tylko skierowałyby głupie zwierzęta bliżej wody i pewnej zguby.

Ponownie warknął łuk. Cashel nie zauważył, gdzie trafiła strzała. Sądząc po dźwięku, Garric też zszedł z pagórka. Cashel wiedział, że przyjaciel ma w kołczanie tylko kilka strzał. Musiał zatem podejść na odległość mniejszą niż trzydzieści metrów, żeby skutecznie razić te stwory, które tak trudno było zabić.

Najbliżej stojąca owca zauważyła czającego się do skoku trzymetrowego potwora i odskoczyła tak gwałtownie, że wywróciła się. Gad skoczył, wywijając ogonem. W powietrze wzbiły się fontanny żwiru i słonej wody.

Cashel z całych sił wbił pałkę w pysk drapieźnika, jakby była zakończona ostro, a nie płasko.

Weszła głęboko. Kły drapieżnika skrzesały skry na żelaznym okuciu. Wilk morski odruchowo zacisnął mordercze szczęki, chociaż cios dosięgnął jego mózgu i położył go trupem.

Cashel oburącz uniósł pałkę i uderzył nią o ziemię, żeby strząsnąć tkwiącego na jej końcu gada. Ten, chociaż mały w porównaniu z innymi okazami, ważył prawie sto kilogramów. Pomimo to Cashel strząsnął go jak kocię.

Trzy i pół metrowy gad był już tuż przy nim, pędząc z wysoko uniesionym łbem i rozdziawionym pyskiem, cuchnącym jak z rzeźni w gorący letni dzień. Cashel cofnął się, trzymając stwora na odległość pałki. Wilki morskie nie miały gruczołów jadowych, ale gnijące między zębami resztki pokarmu sprawiały, że nie oczyszczone natychmiast rany po ugryzieniach niechybnie wywoływały gorączkę i zakażenie krwi.

Rozległ się przenikliwy świst i wypuszczona przez Garrica strzała trafiła wilka morskiego tuż pod lewe oko na ułamek sekundy przed tym, zanim okuta pałka strzaskała grubą kość.

Rozwidlony język wystrzelił z bezwargiego pyska gada, który zasyczał jak woda wlewana na gorący tłuszcz. Bestia ruszyła do ataku, odrywając obie przednie łapy od ziemi. Cashel rąbnął trzymaną oburącz pałką, odrzucając łeb gada w bok, a w tej samej chwili kolejna strzała wbiła się aż po bełt w miękkie gardło drapieżcy.

Wilk morski zwinął się, zaciskając szczęki na swoim ogonie. Cashel uniósł pałkę nad głowę, wybrał odpowiedni moment i z całej siły uderzył w grzbiet gada, łamiąc mu kręgosłup tuż poniżej łopatek.

Przednie łapy potwora nadal gwałtownie kopały żwir, ale ogon i tylna część tułowia tylko lekko drgały, poruszane skurczami mięśni. Cashel cofnął się, chwytając oddech. Krew wilków morskich miała zimny, metaliczny zapach.

Garric krzyknął przeraźliwie. Cashel obrócił się na pięcie, opierając cały ciężar ciała na lasce.

Wilki morskie, które pochwytyły owcę na moczarach, wiły się obok ciała swej ofiary, trafione strzałami Garrica i dogorywając powoli, lecz nieuchronnie. Piąty wilk morski, niezauważony przez obu młodzieńców, którzy zajęli się czterema drapieżcami wychodzącymi z wody, prawdopodobnie zdążył już podплыnąć kawałek w górę strumienia zanim jego pobratymcy przypuścili atak. Słyszając odgłosy walki, zawrócił wiedziony instynktem stadnym, typowym dla tych stworów. Garric zauważył jego obecność dopiero w chwili, gdy gad zacisnął zęby na jego prawej łydce.

Cashel krzyknął z przerażenia. Garric wepchnął koniec łuku w pysk potwora i rozchylił potężne szczęki, z których trysnęła jego własna krew. Cashel doskoczył i uderzył w czaszkę gada – raz, drugi i znowu. Jednym z tych rozpaczliwych ciosów wybił kilka lśniących kłów.

Garric był wolny. Chwiejnie odszedł dwa kroki od wijącego się w konwulsjach gada i powiedział:

– Nic mi nie jest! Nic...

Pokiereszowana noga odmówiła mu posłuszeństwa i upadł. Pobladł pod wpływem szoku. Cashel upuścił pałkę i porwał przyjaciela na ręce. Potem pobiegł w kierunku wioski ciężkim, rączym kłusem jak muł kierujący się po całodniowej orce do wodopoju.

– Sprowadźcie pustelnika! – krzyczał, chociaż wiedział, że z tej odległości nikt go nie usłyszy. – Sprowadźcie pustelnika! Garric jest ranny!

Garric widział dwa światy, jakby jeden z nich był namalowany na przezroczystej szybie, stojącej przed tym drugim. W duchu zastanawiał się, który z nich jest realny. Chociaż właściwie wiedział, że oba są rzeczywiste.

Leżał na posłaniu ze słomy w zbiorowej sali gospody. Widział i słyszał. Sądził, że mógłby chodzić i mówić, gdyby zechciał, ale ta część jego umysłu, która podejmowała decyzje w tym otoczonym szybami świecie, nie widziała powodu, żeby robić to czy cokolwiek.

W pobliżu był Nonnus, Tenoctris oraz członkowie rodziny Garrica. Nawet Lora miała zatroskaną minę, chociaż okazywała swój niepokój głównie bezsensownym narzekaniem.

Cashel siedział w kącie, trzymając głowę w wielkich dłoniach i wciąż przepraszał za to, co się stało. Gdyby Garric zechciał mówić, powiedziałby – zgodnie z prawdą – że to wyłącznie jego wina. Patrzył tylko na tego monstrualnie wielkiego wilka morskiego, którego miał przed sobą. Nikt nie mógł przewidzieć, że będzie ich pięć, ale też nikt nie spodziewałby się czterech, a strzały, które wpakował tamtym dwom na mokradle, mogły nie unieruchomić ich wystarczająco, by uniemożliwić atak.

Ilna raz po raz wchodziła i wychodziła, zajęta obowiązkami, których rozkojarzona rodzina nie była w stanie wykonać. Kiedy pochwyciła spojrzenie Garrica, spokojnie skinęła głową. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, lecz lekko napięte mięśnie świadczyły, że zaciskała zęby.

Co chwilę zachodzili inni mieszkańcy wioski, aby złożyć wyrazy współczucia, wypić kufel piwa, a najczęściej wysłuchać emocjonujących opowieści. Garric był lubiany, lecz ten napad wilków morskich był najdonioślejszym wydarzeniem, jakie miało miejsce w Barca's Hamlet za pamięci najstarszego jej mieszkańca.

Pięć potworów! I sztorm, jakiego jeszcze nigdy nie było. Mówią ci, Rasenie, to zły znak. Zamierzam powiadomić księcia Lascarga.

Katchinie, twierdziłeś, że to zły znak, kiedy wielki okoń morski wyskoczył za burtą, zanim zdążyłeś go przytrzymać. Tymczasem po prostu byłeś niezdarny jak świnia na lodzie. Czy o tym okoniu też zawiadomiłeś twojego przyjaciela księcia?

Garric miał paskudnie poharataną prawą łydkę i cała noga zdrętwiała mu, jakby trzymał ją w lodzie. Nonnus oczyścił rany, ale zamiast wypalić je rozżarzonym żelazem, napchał do nich pajęczyn i posmarował maścią.

Czy nie powinieneś zaszyć śladów po kłach? Głos Reisego, przestraszony i natarczywy.

Te rany muszą się osuszyć, odparł spokojnie Nonnus. *Szczególnie rany po kłach, a ugryzienia wilków morskich jątrzą się jeszcze gorzej niż pozostawione przez ludzkie zęby. Z pomocą Pani te rany zagoją się, pozostawiając w najgorszym razie niewielkie wgłębienia.*

Tenoctris miała na sobie inną koszulę niż poprzedniego dnia, chociaż i ta była połatana. Na jej prawym policzku i grzbietach dłoni czerwieniła się warstwa świeżej maści, ale poza tym najwidoczniej w pełni doszła już do siebie. W miejscach, gdzie nie spaliło jej słońce, miała zdumiewająco białą skórę.

Podczas gdy pozostali trzymali się na uboczu, Tenoctris i pustelnik zgodnie zajmowali się Garricem. Kobieta nakreśliła jakiś znak na deseczce, a potem mamrocząc spaliła ją na palenisku, którym Reise ogrzewał w zimie pokoje na górze. Dym otoczył Garrica pierścieniem, którego najwidoczniej nie poruszał panujący w komnacie przeciąg. Chwilami wydawało mu się, że w tym

oparze odczytuje jakieś słowa, chociaż ich sens umykał mu jak śmigające w wodzie ryby.

Migotały błękitne płomienie, a dym miał miedzianą woń, różną od zwykłego żywicznego zapachu płonącego sosnowego drewna. Garric wiedział, że częściowo czuje się tak dziwnie w wyniku poczynań Tenoctris, lecz ta myśl wcale go nie niepokoiła.

Teraz niczym się już nie przejmował. Nawet tym, że kobieta, którą wyłowił z morza, okazała się czarodziejką.

Płomienie dogasły. Dym nadal powoli wirował wokół Garrica, który uznał, iż może to być złudzeniem takim samym jak widmowe słowa. Nonnus wstał z miejsca, gdzie klęczał obok kamiennego kominka i dołączył do Tenoctris krzątającej się przy postaniu Garrica.

Czy on wyzdrowieje? zapytała Ilna od drzwi kuchni. Garric poczuł zapach gulaszu doprawionego większą ilością ziół niż używała jego matka. Ten zapach był przyjemny, lecz głód był dla niego uczuciem równie obcym, jak dla nieboszczyka.

Jego płyny ustrojowe szybko wracają do równowagi, odparła Tenoctris. *To silny młodzieniec. A jego rany zostały wprawnie opatrzone.*

Skłoniła się Nonnusowi. Jej krótkie siwe włosy wyglądały jak mycka.

Zapewne pozostanie mu po tym zaledwie kilka szram.

Z pomocą Pani, przytaknął lub może przestrzegł pustelnik.

Modliłeś się, powiedziała Tenoctris lekko zacinającym się głosem, jakby między sylabami tkwiła rdza. Garric nie mógł rozpoznać jej akcentu nawet teraz, kiedy zdawał się rozumieć cały sens świata. *Także wtedy, kiedy zajmowałeś się mną.*

Nonnus wzruszył ramionami.

Ufam, że wielcy bogowie istnieją, rzekł. *Bo jestem pewien, że są pomniejsze bóstwa. Modłę się, ponieważ mam nadzieję, że bogowie pomogą mi czynić dobro i dlatego, że potrzebują tej nadziei.*

Pójdę już, rzekł Cashel, podnosząc się z trudem, jak zaprząg ciągnący pług przez ciężką glebę. *Trzeba przynieść z pastwiska rzeczy – książkę Garrica, łuk i wszystko. Beilin spędził stado, a przynajmniej tak mówi.*

Podszedł do postania, przyklęknął i obiema rękami uścisnął dłoń Garrica.

Wieczorem będziemy jedli tutaj, Cashelu, zawołała Ilna z kuchennych drzwi.

Jakbym mógł jeść!, mruknął jej brat. I odszedł.

Widzę płaszczyzny sił, rzekła Tenoctris do pustelnika, mówiąc jak fachowiec rozmawiający z przedstawicielem nieco innej specjalności. *Nigdy nie widziałam innych rzeczy, o których mówią ludzie, takich jak bogowie, los, dobro i zło.*

Och, ja widziałem zło, powiedział Nonnus. Mówił miękkim głosem, a jego uśmiech był pusty jak zimowe niebo. *To ja byłem złem, pani.*

Oba światy wirowały wokół Garrica, oba wyraźnie widoczne: przyjaciele i rodzina, kipiel pod przewieszoną skałą. Wir obracał się powoli, jak gwiazdy na niebie. Pochwycił w swoje objęcia zastygłego Garrica i potwory.

Z suchego dna morza jakaś zakapturzona postać zarzucała na duszę Garrica linę z fioletowego ognia.

– Doglądałaś brata w nocy – powiedziała Ilna, rozgrzebując dużym palcem nogi żwir. Maleńki czarny krab umknął do nowej kryjówki między wygładzonymi przez fale głazami. Rozbitek z jakiegoś odległego lasu wodorostów, rzucony tu przez sztorm tak samo jak Tenoctris. – Co o tym sądzisz?

Obie z Shariną wyszły mówiąc, że chcą zobaczyć, co fale wyrzuciły na brzeg podczas burzy. Może znajdą skrzynkę ze srebrnymi sztuccami jakiegoś kupca, a może kawałek bursztynu, oderwanego od skamieniałego drzewa, przyniesiony gdzieś z odległego krańca Morza Wewnętrznego. W rzeczywistości Ilna chciała porozmawiać z przyjaciółką o ostatnich wydarzeniach, a Sharina zapewne też miała na to ochotę.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś spał tak głęboko – powiedziała Sharina. Podobnie jak Ilna, nie odrywała oczu od plaży. – Przestraszył mnie, ale oddychał miarowo. Miał lekką gorączkę, lecz Nonnus powiedział, że nie ma się czym martwić. Spodziewał się, że będzie gorzej.

Ilna spojrzała na przyjaciółkę.

– A więc ufasz pustelnikowi? – zapytała.

Sharina napotkała jej spojrzenie.

– Tak – ucieła. – Ufam.

Ilna kiwnęła głową i znów zaczęła rozgarniać żwir. Wśród czarnych kamyków zabłysła odwrócona muszla, delikatna jak płatek śniegu. Ilna obróciła ją, dziwiąc się, że żaden z pięciu delikatnych kolców nie został złamany. W górnej części muszli ziała poszarpana dziura. Coś przedostało się do środka i pożarło ukryte wewnątrz zwierzę. Ilna skrzywiła się i cisnęła muszlę do morza.

– Była śliczna – łagodnie zaprotestowała Sharina.

– Dopóki nie zobaczyłaś drugiej strony – powiedziała Ilna. Przełknęła ślinę. – Tak jak w życiu.

Poszły dalej.

– Kobieta uratowana przez Garrica to czarodziejka – rzekła Sharina, nie odrywając oczu od piasku. – Rzuciła na niego zaklęcie. Całkiem jawnie.

– Widziałam – mruknęła Ilna. Lodowaty chłód ścisnął jej serce, gdy patrząc z kuchni zobaczyła, jak Tenoctris rzuca zaklęcia nad dymiącym paleniskiem. Chciała coś powiedzieć, ale rodzina Garrica patrzyła na to tak obojętnie, jakby nie było w tym niczego niezwykłego, a pustelnik spokojnie robił swoje. Niektórzy goście szeptali coś ze zgrozą, ale nikt nie próbował przeszkadzać.

Ilna też nie.

– Myślałam, że czarodzieje robią wszystko w mroku – powiedziała znekany głosem Sharina. – Sądziłam, że składają dzieci w ofierze i przywołują okropne stwory z Podziemi. A ona tylko spaliła kawałek drewna i wymówiła kilka słów. Nie wiedziałam co robić, więc nic nie zrobiłam. To wyglądało tak nieszkodliwie... Ale ona naprawdę jest czarodziejką.

– Tak – potwierdziła Ilna. Jej przyszła do głowy ta sama myśl. W głębi duszy wiedziała, że nie przeszkodziłaby nikomu, kto próbowałby pomóc Garricowi, nawet gdyby ten ktoś składał krwawe ofiary o północy. – Czułam, że ona jest... kimś takim. Gdy tylko dotknęłam jej szaty. Ten materiał jest nie z tego świata.

Sharina z roztargnieniem skinęła głową, przyjmując to jako stwierdzenie dotyczące jakości materiału, a nie jego pochodzenia. Nie kwestionowała tego tak samo, jak nie wąpiła w to, co Cashel mówił o zachowaniu owiec.

– Nonnus nie ma nic przeciwko niej – powiedziała po chwili. – Pytałam go o to. Powiedział, że on nie decyduje o tym, co dla kogo jest dobre, a poza tym Tenoctris nie poszłaby tam, dokąd on sam by się nie udał. Myślę, że wiem, co miał na myśli.

Nie rozwinęła tego ostatniego stwierdzenia, tak samo jak Ilna nie próbowała wyjaśnić, co takiego niezwykłego jest w tym materiale.

– Boję się tego, co teraz się dzieje – powiedziała cicho Ilna. Nie była pewna, czy chce mówić dalej. Gorące słońce zalewało plażę i roztańczone fale, lecz ona objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się zimno. – To mnie przytłacza i nie wiem, co robić.

Sharina zerknęła na nią z lekkim zdumieniem i w milczeniu, jakim zazwyczaj kwituje się kłopotliwe wyznania przyjaciół. Na wschodzie, na horyzoncie coś się poruszyło. Ilna wyprostowała się.

– To statek – powiedziała. – Za duży na łódź rybacką.

Sharina osłoniła oczy rękami, tworząc z nich szparę odcinającą nie tylko promienie słońca, ale blask odbity od wody.

– Musimy wracać – powiedziała napiętym głosem. – Biegnijmy.

Obie dziewczyny pobiegły truchcikiem, trzepocząc tunikami. Odeszły o kilometr od wioski, ale teraz, kiedy chciały tam wrócić, ta odległość wydawała im się znacznie większa.

– To pewnie jakiś duży statek kupiecki pochwycony przez sztorm – wysapała Ilna, biegnąc, aż żwir tryskał spod jej nóg. – Nie przybiłby do Barca's Hamlet, gdyby nie był uszkodzony.

– To nie jest statek kupiecki – zauważyła Sharina. Obejrzała się, uważnie oceniając szybkość przyjaciółki i dostosowując się do jej tempa.

Ilna przyspieszyła kroku, wiedząc, że na takim dystansie Sharina może prześcignąć każdego mieszkańca wioski.

– Jest za duży na łódź rybacką! – dyszała.

– Ma dziesiątki wiosła, a nie tylko kilka, jak kupiecki – powiedziała Sharina. – Kupiec nie mógłby zapłacić tylu wioślarzom, bo straciłby cały zysk. To okręt wojenny, taki jak w podaniach!

Przeciągły zgrzyt obudził Garrica, któremu w pierwszej chwili zdawało się, że to dopiero ranek. W następnej chwili zorientował się, że leży w zbiorowej sali, a nie na swoim poddaszu, a słońce wpadające przez wychodzące na południe okna świadczy, że jest już środek dnia lub jeszcze później.

Spróbował wstać i zanim oderwał głowę od wypchanej końskim włosiem poduszki, poczuł że jest bliski omdlenia. Nie miał nawet pojęcia, ile dni leżał nieprzytomny.

– Jaki dziś dzień? – usiłował zapytać, ale zdołał tylko wyrzucić: – Aach!

Pustelnik podparł go twardym jak dąb ramieniem i pomógł mu usiąść.

– Masz – rzekł, przytykając mu do ust szyjkę drewnianego pasterskiego bukłaka, który trzymał w drugiej ręce. – Przepłucz sobie usta. To ale.

Odwrócił się i zawołał w kierunku kuchni:

– Przynieś miskę rosołu i łyżeczkę. Szybko!

Lora wyrzwała z kuchni, jak wiewiórka z dziupli.

– Co? – powiedziała. – Nikt nie będzie mi rozkazywał w moim domu! A na pewno nie jakiś brudny wyrzutek, który mieszka w jaskini!

– Ja przyniosę – mruknął Reise, który właśnie wszedł przez drzwi od podwórza. Zapewne pisk zawiasów obudził Garrica. Lora przesunęła się tylko tyle, żeby przepuścić go przez próg. Nie popatrzyli na siebie nawet wtedy, kiedy prawie otarli się o siebie.

Ponieważ ale było w bukłaku, a nie w kuflu, Garric zdołał napić się, nie rozlewając ani kropli. Pierwszym łykiem splukał gorzką flegmę z dziąseł i języka, potem wypluł ją, zanim przełknął resztę piwa. Sitowie pokrywające podłogę i tak należało wymienić. Zamierzał naciąć go na mokradłach, ale w ostatniej chwili postanowił spędzić ranek czytając i rozmawiając z przyjacielem.

– Byłam osobistą pokojówką księżnej Tery – powiedziała Lora, nie zwracając się do nikogo z obecnych w pokoju. – Mężczyźni mówili, że jestem piękniejsza od szlachetnie urodzonych dam!

Garric nie wątpił, że to prawda. Jego matka była drobną kobietą o delikatnych rysach. Nawet teraz miała gładką skórę o kremowym odcieniu barwy kości słoniowej.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł pustelnik. Zabrzmiało to szczerze, chociaż nie oderwał oczu od Garrica. – Żle się wyraziłem.

– Coś nadciąga z morza – powiedziała Tenoctris. Stała tak cicho przy wychodzącym na morze oknie, że Garric zauważył ją dopiero wtedy, kiedy się odezwała. Spojrzał wokół, ale w pokoju nie było już nikogo więcej.

– Co takiego? – zapytała Lora, podnosząc głos. – Chcesz powiedzieć, że płynie tu więcej tych bestii?

Tenoctris odsunęła rygiel – drewnianą zasuwkę dostatecznie twardą by wytrzymać wschodnie burze, takie jak ta, która niedawno przeszła nad wioską – i otworzyła drzwi. Słona bryza poruszyła dym i przyniosła wspomnienie drewna, spalonego podczas rzucania zaklęć. Tenoctris poszła w kierunku morza, znikając z pola widzenia Garrica.

Reise powrócił z parującą drewnianą miską i rogową łyżeczką, którą zwykle używał do dozowania przypraw do gulaszu. Nonnus chyba wątpił, czy Garric zdołałby przełknąć zawartość dużej łyżki.

– Myślę, że nic mi nie jest, mamó – rzekł Garric. Teraz, kiedy już się rozbudził i jego organizm otrząsnął się z szoku, czuł się stosunkowo nieźle. Stosunkowo, ponieważ dobrze przyjrzał się swojej

nodze, kiedy końcem łuku podważył szczęki gada. Widział dziurę, jaką pozostawiły górne i dolne kły morskiego wilka. Teraz doszedł do wniosku, że cokolwiek miała na myśli Tenoctris, mówiąc że „płyny ustrojowe szybko wracają do równowagi”, z pewnością dzięki temu mógł się już poruszać.

Korzystając z pomocnego ramienia pustelnika, Garric podniósł się i uklęknął. Obandażowana prawa noga piekła go jak przypiekana na wolnym ogniu, ale kolano zginało się normalnie i ból nie obejmował górnych mięśni.

– Garricu, co ty wyprawiasz? – spytała matka. – Nie powinienes wstawać, twoja noga jest jak surowy bekon! – Odwróciła się do męża i powiedziała: – Reise! Każ synowi leżeć!

– Nic mi nie jest! – rzekł Garric. Pochylił się do przodu, przenosząc ciężar ciała na nogi i usiłując wstać. Przez chwilę kręciło mu się w głowie, ale nie pociemniało mu w oczach i nie zaparło mu tchu.

– Może jesteś twardy, chłopcze – rzekł cicho Nonnus – ale wilki morskie były twardsze i już nie żyją. Nie przesadzaj.

Garric wstał, opierając się całym ciężarem ciała na lewej nodze. Ramię pustelnika nadal lekko spoczywało na jego ramionach, nie pomagając mu wstać, lecz zapewniając oparcie w razie potrzeby.

– Czy on powinien to robić? – zapytał Reise Nonnusa. Chyba instynktownie stanął pomiędzy żoną a Garricem.

Garric powoli obciążył prawą nogę. Nadal nie czuł bólu, chociaż pod wpływem nacisku łydka zaczęła mu pulsować jak tłukąca się na wietrze okiennica.

– Oczywiście, że nie powinien! – powiedziała Lora. – Straci tę nogę, ot co, a wy zamierzacie na to pozwolić!

– Jeśli może się ruszać – rzekł Nonnus, kompletnie ją ignorując – to dobrze zrobi i jemu, i ranie. Ludzie częściej gniją w łóżku, niż umierają od ciosu włóczni. Jednak nie spodziewałem się, że zobaczę tutaj kogoś, kto chodzi z taką raną jak ta.

– Na Heft jest wielu prawdziwych mężczyzn – warknął Reise. – I na Ornifal też, skoro o tym mowa.

Nonnus skinął głową.

– Wybacz – rzekł. Ciężki nóż w zawieszanej u pasa pochwie zakołysał się lekko, gdy pustelnik wyprostował się. – Obawiam się, że duma jest gorszym grzechem niż gniew, ponieważ tak łatwo dochodzi do głosu.

– Jeśli ktoś tu płynie – powiedział Garric – chciałbym to zobaczyć.

Przełożył prawą nogę za krawędź łóżka i stanął. Zraniona noga utrzymała ciężar jego ciała. Zrobił następny krok. Nonnus nie odstępował go.

– Ja mu pomogę – rzucił Reise. Postawił miskę z zupą na brzegu baru i podszedł do syna. Lora odwróciła się i zjeżona poszła po schodach na piętro.

Garric nadal szedł w kierunku drzwi, stawiając krok za krokiem. Był lekko przestraszony, ale czuł, że musi się dowiedzieć.

Musiał wiedzieć, czy to coś, co według czarodziejki przybywało z morza, było zakapturzoną postacią z jego koszmaru.

Sharina stała tuż nad wodą, patrząc na ogromny statek manewrujący na płyciźnie. Bardziej przypominał zniesiony w morze budynek niż coś, co miało pływać po morzu. Wszyscy mieszkańcy wioski, którzy przyszli z ciekawości na to popatrzeć, przy tym wielkim okręcie wydawali się karzełkami.

Burty statku były szkarłatne. Katchin pomalował na ten kolor okiennice swego domu, ale nikt w wiosce nie widział tak dużej powierzchni zabarwionej w ten sposób. Ponad pięćdziesiąt wiosła poruszało się po obu burtach statku, kierując go wysoko wygiętą rufą ku plaży. Pióra wiosła migotały jak płetwy zranionej ryby. Puste otwory wskazywały na to, że statek mógł pomieścić prawie dwa razy więcej wiosłarzy niż obecnie.

Nawet niewprawne oko Shariny dostrzegło ślady uszkodzeń spowodowanych przez sztorm. Załoga zdołała położyć maszt i reję, przywiązując je do pokładu na całej długości statku, ale spod lin nadal sterczały strzępy żagla. W kilku miejscach spod pokrywającej reling brązowej farby przebierały jasnożółte drzazgi – ślady po kawałkach odłamanych przez fale. Cały statek miał wyraźny przechył na prawą burtę, świadczący o uszkodzeniu poniżej linii wodnej.

Wiosłarze mocniej naparli na wiosła, kierując statek na plażę. Z unoszących się piór wiosła bryzgała woda, podobna do sznurów pereł. Widząc to, wieśniacy westchnęli z zachwytem.

Sharina była sama, o ile można mówić o samotności w takim tłumie, w którym znaleźli się wszyscy jej znajomi. Nawet Garric stał przy wejściu do gospody, oparty o ścianę, ale wyprostowany. Reise zajął miejsce po jego prawej, a Tenoctris po lewej ręce. Lora stała w pobliżu, z rękami założonymi na piersi, co świadczyło o tym, że coś ją rozgniewało. Ilna też znajdowała się niedaleko. Przyszła sprawdzić, jak czuje się Garric, gdy tylko razem ze Shariną przekazały nowinę mieszkańcom wioski.

Sharina trzymała się na uboczu. Patrzyła na okręt z dziwnym niepokojem i wyczekiwaniem, płynącym raczej z głębi ciała niż umysłu. Nie wiedziała, dlaczego tak się czuje, ale była pewna, że nie ma to nic wspólnego z jej rodziną.

Rozejrzała się wokół. Nonnus wszedł w wodę, tak głęboko, że większe fale sięgały mu do kolan. Skinął głową, gdy pochwycił spojrzenie Shariny. Ruszyła w jego stronę i ku jej zdziwieniu wyszedł na brzeg, podchodząc do niej.

Bęben na śródokręciu statku dudnił w rytm uderzeń wiosła. Na pokładzie stało około sześćdziesiąt do osiemdziesięciu osób, znacznie więcej niż powinno znajdować się ich tam, kiedy statek był w ruchu, ale Sharina nie dostrzegła żadnego zamieszania. Zwyczajni marynarze nosili tylko przepaski biodrowe oraz opaski na głowach – jeśli nie golili ich, ani nie mieli krótko przystrzyżonych włosów. Wielu z nich ustawiło się na występie, pod którym był zawieszony górny z trzech rzędów wiosła. Oficerowie w spiętych szerokimi pasami tunikach wykrzykiwali rozkazy, lecz w ich szorstkich głosach nie było gniewu.

Ze zgrzytem przypominającym huk załamującej się w sporej odległości od brzegu fali, statek wszedł na płyciżnę. Żeglarze zeskoczyli z pokładu. Oficerowie rzucili im cumy, a potem też skoczyli w wodę.

Wiosła wsunęły się w otwory i znikły. Kolejne półnagie postacie pojawiły się na pokładzie, a potem zeskoczyły z burt, żeby pomóc przy cumach.

– To są wiosłarze – rzekł Nonnus, podnosząc głos, aby być słyszany przez rytmiczne komendy

rzucane przez oficerów i powtarzane przez trujących się marynarzy. – Ten statek ma tylko około dwudziestoosobową załogę do sterowania i stawiania żagli, tak więc ciężkie prace jak na przykład cumowanie nocą, muszą wykonywać wioślarze.

Właśnie był przyływ. Statek centymetr po centymetrze przesuwał się na brzeg, w rytmie nadciągających fal. Teraz, kiedy pokład nie był już zatłoczony ludźmi czekającymi na rozpoczęcie manewru, Sharina mogła lepiej przyjrzeć się pozostałym postaciom. Siwobroda postać będąca masywniejszą odmianą tych oficerów, którzy wskoczyli do wody, wykrzykiwała rozkazy z wygiętej tylnicy: prawie na pewno był to kapitan. Oprócz niego na pokładzie pozostało niewielu marynarzy.

Na dziobie stał około dwudziestoosobowy oddział żołnierzy w czarnych zbrojach. Jeden z nich trzymał sztandar. Nie było wiatru, który rozwiałby proporzec, więc Sharina dostrzegła tylko jakieś czerwone znaki na czarnym tle.

Obróciła się do Nonnusa, żeby spytać go o to, ale pytanie uwięzło jej w gardle, gdy ujrzała wyraz jego twarzy. Pustelnik także spoglądał na żołnierzy. Zesztywniał, a jego twarz stała się równie groźna, jak nadchodząca burza. Była zupełnie beznamiętna, nieludzko spokojna.

– Nonnusię? – powiedziała cichutko Sharina. Dotknęła jego ramienia.

Przez chwilę czuła twarde jak korzeń wrzośca ciało, a potem Nonnus rozluźnił mięśnie twarzy i ramienia, mówiąc z lekkim rozbawieniem:

– Ta kobieta w czerwonym płaszczu, która stoi na dziobie, pochodzi z naprawdę wysokiego rodu, moje dziecko. Jej obecność przynosi zaszczyt Barca's Hamlet, o czym niewątpliwie nie omieszka wam powiedzieć.

A potem niemal tym samym żartobliwym tonem – przy czym to „niemal” mogło być różnicą między życiem a śmiercią – dodał:

– Wygląda na to, że Pani ma dość dziwne poczucie humoru, przysyłając ich tutaj.

Statek gwałtownym zrywem przebył resztę drogi. Teraz był lżejszy o ciężar kilkuset ciągnących liny ludzi, którzy mogli lepiej zaprzeć się nogami w żwir i sprawniej wyciągnąć kadłub na brzeg.

Kiedy zakończyli manewr, rufa statku prawie dotykała obwałowania opodal drzwi gospody. Chociaż wyciągnięto go najdalej jak było to możliwe, fale nadal omywały taran z brązu, zmieniający dziób okrętu w groźną broń.

Czterej marynarze podnieśli trap z pokładu i opuścili go dwóm swoim towarzyszom, czekającym na obwałowaniu. Potem przywiązali kładkę do relingu, podczas gdy ich koledzy przytrzymywali drugi koniec, stojąc na nim bosymi nogami.

– Nie chcą ryzykować, że jaśnie pani wpadnie do wody – rzekł Nonnus z ponurym rozbawieniem.

– Ta podróż z pewnością nie podobała jej się nawet przed burzą. Trirema to nie pałac, obojętnie jak bogatym i potężnym jest się na lądzie.

Sharina ponownie dotknęła jego ramienia. Wiele z jej najwcześniejszych wspomnień wiązało się z pustelnikiem, który podnosił ją, gdy upadła, przemywał skaleczenia i smarował je maścią kojącą ból równie łatwo jak trawa na łące podnosi się po deszczu.

Nonnus zawsze zachowywał rezerwę i niezmacony spokój, zarówno w obecności Shariny jak i wszystkich innych ludzi. Słyszając, jak żartuje z wisielczym humorem, podszytym drapieżnym okrucieństwem, Sharina zaniepokoiła się bardziej, niż przed chwilą na widok jego ponurej miny.

Jeden z żołnierzy przyłożył do ust trąbkę – nie zrobioną z krowiego rogu, lecz z jakiegoś srebrzystego metalu – i wydobyl z niej przesywający, dwutonowy sygnał. Żołnierz z białym – a nie czerwonym jak mieli pozostali – czubem na hełmie, wydał krótki rozkaz.

Cały oddział miarowym krokiem ruszył dwójkami po trapie. Ich podkute buty dudniły po deskach, a metalowe sprzączki zbroi z brzękiem uderzały o siebie. Stawiając lewą nogę, żołnierze za każdym

razem uderzali włóczniami o tarcze i wydawali donośny okrzyk. Sharina zeszczywniała.

– Ten dźwięk ma przstraszyć wroga, kiedy ruszają do ataku – rzekł Nonnus z tym samym wisielczym humorem. – Mówiono mi, że czasem to działa.

Pozostali na pokładzie marynarze przycisnęli się do relingu, usiłując nie rzucić się w oczy, gdy w ślad za żołnierzami zeszła po trapie kobieta. Jej siwe włosy okrywał czepek ze srebrnej koronki, upięty diamentowymi spinkami, które błyszczały w słońcu. Miała urodziwą twarz, na której malowała się znudzona rezygnacja.

U boku kobiety i pół kroku za nią, tak by nie dotknąć jej powiewnej szaty, szedł młodzieniec od stóp do głów odziany w czerń: od sięgających kolan skórzanych butów, przez jedwabną tunikę, po satynowy płaszcz. Na głowie miał pilśniowy kapelusz z podwiniętym z trzech stron rondem i zatkniętym za opaskę piórem czarnego łabędzia. Wypielęgnowany wąsik i bródka zapewne miały dodać powagi jego delikatnym rysom, ale wyglądały jakby je sobie domalował.

– Kolejny z najznamienitszych mieszkańców Ornifal – rzekł lodowatym tonem pustelnik. – Przyjrzyj im się dobrze, dziecko. Pewnego dnia opowiesz o tym twoim wnukom.

– Nonnusie – powiedziała Sharina. – Proszę, nie mów tak. To...

Pustelnik drgnął, jakby go dźgnęła nożem. Przyklęknął jak do modlitwy, z pochyloną głową i skrzyżowanymi ramionami.

– Przepraszam, dziecko – rzekł, podnosząc się z morskiej piany. – Przypomniałem sobie, co było i zapomniałem, jak powinno być. Jeśli Pani pozwoli, to się już nie powtórzy.

Pokrywając zmieszanie, Sharina obserwowała młodzieńca. Przystanął przed wejściem na trap, przepuszczając przodem kobietę.

– To jeszcze chłopiec – mruknęła Sharina.

– Sądzę, że ma około dwudziestki – rzekł pustelnik, tym razem głosem wyzutym z emocji. – Szlachetnie urodzeni nie starzeją się tak szybko, jak pospólstwo.

Gdy młodzik w rozwiewanym przez bryzę płaszczu pomaszerował trape, Nonnus dodał:

– Dwudziestka to kiepski wiek dla mężczyzny. Ma siłę, by zdobyć niemal wszystko, co zechce, tylko nie potrafi zrozumieć, jaką cenę będzie musiał później zapłacić za niektóre z tych rzeczy.

– Podejźmy bliżej – powiedziała Sharina, częściowo dlatego, że nie chciała zastanawiać się nad tym, co miał na myśli Nonnus.

Ze swobodą płynącą z wprawy i krzepkich nóg, poszli po nierównej krawędzi obwałowania. Murarze Dawnego Królestwa budowali tak zręcznie, że nawet po tysiącletnich zmaganiach z kaprysmi pogody w kamiennym murze nie było najmniejszej rysy.

Żołnierze utworzyli szpaler między młynem i gospodą. Dwoje szlachetnie urodzonych pasażerów marszcząc brwi, stało obok trębacza, chorążego i oficera z białym czubem na hełmie.

Mieszkańcy wioski obserwowali to, szepcząc między sobą, ale nie odzywając się do nowoprzybyłych. Obcy byli tu rzadkością, większym wydarzeniem niż wyrzucony na brzeg wieloryb. Młynarz Katchin stał z boku za plecami tłumu, jakby gotowy do ucieczki.

– Może myśli, że to królewscy poborcy – szepnęła Sharina do pustelnika. – I może ma rację!

– Nie, moje dziecko – odparł cicho Nonnus. – Jeszcze żaden poborca podatkowy nie otrzymał eskorty Krwawych Orłów.

Pozostali na statku marynarze wynieśli spod pokładu pakunki z rzeczami osobistymi i rzucili je towarzyskom na plaży. Kilku z nich mocowało mały żagiel do rusztowania z wiosł, tworząc namiot. W porównaniu ze zdyscyplinowanymi żołnierzami, żeglarze wydawali się wesołą gromadą. Zapewne cieszyli się z tego, że zdołali bezpiecznie wylądować pomimo uszkodzeń spowodowanych przez sztorm.

Naradziwszy się z kobietą, oficer zawołał:

– Prokurator Asera bos-Gezaman żąda pożywienia i zakwaterowania na czas jej pobytu w tej społeczności. W imieniu Valence’a Trzeciego, króla Wysp!

Mówiąc to, powoli powiódł spojrzeniem po wszystkich gapiach.

– Domaga się także pożywienia i zakwaterowania dla dwudziestu pięciu żołnierzy gwardii królewskiej oraz żywności dla dwustu marynarzy. Natychmiast!

Ojciec Shariny wystąpił naprzód.

– Jestem Reise or-Laver, właściciel tutejszej gospody – powiedział do oficera. – Mogę zaoferować twojej pani pożywienie i zakwaterowanie, aczkolwiek nie takie, jakie znalazłaby w Carcosie lub w domu któregoś z siebie równych.

– Oczywiście – powiedziała Asera, odzywając się po raz pierwszy. – To jest Haft, a nie cywilizowane miejsce!

Reise przyklęknął, opuścił głowę i wyciągnąwszy prawą rękę, wykonał nią dziwny gest, jakby zmiatał coś z ziemi. Sharina jeszcze nigdy nie widziała, żeby ojciec zachowywał się ten sposób. Potem wstał i rzekł do Asery:

– Oczywiście, skoro jej wysokość tak mówi.

Asera zaśmiała się w odpowiedzi, przy czym jej twarz wygładziła się i stała nieoczekiwanie atrakcyjna.

– Dworne maniery na wschodnim wybrzeżu Haft? – powiedziała. – Zaskoczyłeś mnie, karczmarzu. Wejźmy do środka i zobaczymy, czy twoje jedzenie również mnie zaskoczy.

Reise ponownie się skłonił i ruszył w kierunku drzwi gospody.

– Czy jesteś również naczelnikiem tej wioski, czy jak to się tu zwie? – zapytała Asera, ruszając za nim wraz z młodym szlachcicem, ale bez oficera. – Ten przeklęty statek wymaga naprawy i nowego żagla zanim ruszymy do Carcosy...

Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, Katchin przecisnął się przez tłum.

– Ja jestem tutaj wójtem! – zawołał, gdy szlachetnie urodzeni weszli do gospody.

Oficer wydał żołnierzom rozkaz „spocznij”. Zaczęli rozglądać się wokół. Wieśniacy rozmawiali teraz głośniej, a paru najodważniejszych podeszło do przybyłych, aby zapytać ich o coś lub coś im zaproponować.

– Pewnie przygnała ich tu burza – powiedziała Sharina, zadowolona z wyjaśnienia zagadki. – Tak jak Tenoctris i wilki morskie.

– Tylko które porównanie jest lepsze? – mruknął pustelnik. Sharina spojrzała na niego z takim zdziwieniem, że dodał łagodnie: – Czasem lepiej zadawać się z wilkami morskimi niż szlachetnie urodzonymi. Ludzie, których nazwiska zaczynają się od „bos”, i „bor” uważają się za innych od zwykłych ludzi... i może mają rację.

Podmuch wiatru rozwiał sztandar. Kilka śmiałych szkarłatnych linii tworzyło stylizowany orli łeb na czarnym tle. Poniżej widniały wypisane czerwonymi literami słowa, których Sharina nie mogła odczytać z powodu łopotania chorągwi.

– Krwawe Orły są osobistą strażą króla – rzekł beznamiętnie Nonnus. – Jeśli wysłał oddział tych żołnierzy z Aserą, to ona musi być znacznieszą figurą, niż zwykły prokurator wysłany w królewskich sprawach na Haft.

Wietrzyk ucichł. Wieśniacy i przybysze zmieszali się ze sobą. Niektórzy nowoprzybyli ruszyli w kierunku wioski. Pustelnik obserwował to.

– Co głosi napis na sztandarze, Nonnusie? – zapytała Sharina. – Zdaje się, że „wytrwać”?

Nonnus spojrzał na nią. Jego szare oczy były jak błysk odbity od lodowej tafli.

– Głosi „wytrwaliśmy”, moje dziecko – rzekł głuchym głosem. – Oni byli z królem Valencem, kiedy przed dwudziestu laty walczył przy Kamiennym Murze z earlem Sandrakkanu. Gdy pękło prawe skrzydło królewskich sił, Krwawe Orły pozostały i osłoniły go.

Pustelnik powoli obrócił się i splunął w kierunku morza.

– A król umieścił na sztandarze Krwawych Orłów słowo „wytrwaliśmy”, ze względu na ten ich chwalebny czyn.

Odszedł w kierunku swojej chaty, nie powiedziawszy już nic więcej, z ciężkim nożem kołyszającym się u boku. Sharina obserwowała go, aż znikł w lesie. Chciało jej się płakać, chociaż nie wiedziała dlaczego.

– Uwaga, idę! – zawołał Garric, przekrzykując panujący w kuchni zgiełk. Na ugiętych nogach przeszedł pod nadprożem, które w przeciwieństwie do sklepienia nie było dostatecznie wysokie, by zmieścić się pod nim żelazny kocioł, który niósł na ramieniu. Ruszył w kierunku paleniska. – Zawieszę go na haku!

Daya i Tilgar, dwie gospodynie zwykle gotujące dla większej ilości ludzi w porze żniw, pomagały przygotować posiłek dla żołnierzy. Ze względu na niesiony sagan Garric nie mógł patrzeć pod nogi ani na boki, a w tym tłumie łatwo mógł się potknąć. Kocioł był masywny, a dziesięć galonów wody, które do niego wiano, podwajały jego ciężar.

– Garricu, to za ciężkie. Mówiłam ci, żebyś napełnił go wiadrami, a nie przynosił w nim wodę ze studni! – krzyknęła Lora.

Garric ostrożnie przyklęknął i zaczepił rączkę sagana o hak z kutego żelaza, który służył do wieszania takich naczyń nad paleniskiem. Kucharki natychmiast zabrały się do warzenia zupy na jutrzejszy dzień i kilka następnych, jakie zapewne zajmie żeglarzom naprawa statku.

Hak zazgrzytał pod ciężarem. Garric wstał, powstrzymując westchnienie ulgi. Był pewien, że zdoła przenieść pełny kocioł wody, zamiast wielokrotnie wędrować z wiadrami przez zatłoczoną kuchnię. Udało mu się, ale bolała go prawa łydka, a mięśnie obu ud dziwnie mu zwiotczały, gdy tylko pozbył się ciężaru kotła. To była jedna z tych nielicznych sytuacji, kiedy matka miała rację.

Sharina zapaliła lampę, gdyż blask zachodzącego słońca nie sięgał kącika, w którym siekała warzywa. Do późnej nocy będzie trwała krzątanina przy gotowaniu posiłku i smolna szczapa w kagańcu nad paleniskiem nie da dość światła wszystkim kucharkom. Tilgar biodrem otworzyła drzwi do jadalni i wniosła tam kosz świeżego chleba.

– Widzę, że możesz chodzić – rzekł Reise, chwytając drzwi zanim zdążyły się zamknąć. – A dasz radę wiosłować?

– Jeśli chcecie gadać, róbcie to gdzie indziej! – warknęła wracająca Tilgar, przeciskając się obok Reisego. – A jeśli chcecie zostać, to przydadzą mi się dwie dodatkowe pary rąk do zagniatania ciasta.

Reise uśmiechnął się. Wprowadził Garrica do jadalni, teraz pełnej żołnierzy i marynarzy.

– Wiosłować? – powtórzył Garric. Przygarbił się, rozluźnił mięśnie i potarł obojczyk w miejscu, w którym opierał się kocioł.

Reise otworzył synowi boczne drzwi i wyszedł za nim na zewnątrz.

– Tak, na łódce, którą Tarban używa do łowienia przynęty. Dasz radę?

– Tak, ojciec – odparł Garric. Nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Reise nigdy nie był wylewny. Nawet w gniewie zachowywał zimny spokój. Jednak Garric jeszcze nigdy nie widział ojca w takim nastroju.

– To dobrze – powiedział Reise – ponieważ ja pewnie bym ją wywrócił. Jak wiesz, to jeszcze jedna z umiejętności, jakich nie opanowałem. Nie odpłyniemy daleko, tylko kawałek od tego miejsca, gdzie załamują się fale.

Wzdłuż całej plaży paliły się ogniska, na których żeglarze gotowali zakupioną u wieśniaków żywność. Trirema nadal wydawała się Garricowi ogromna, ale uświadomił sobie, że mogła pomieścić zapasy wystarczające tak licznej załodze zaledwie na jeden lub dwa dni. Jeśli byli na morzu od czasu sztormu, to mieli prawo być głodni.

Zgodnie z milczącym porozumieniem, załoga triremy obozowała na plaży, a nie za obwałowaniem. Jeśli nie nadciągnie kolejny sztorm, to w tej kwadrze księżycy przypyływ nie powinien sięgnąć tak wysoko. Chociaż marynarze trzymali się na uboczu, odwiedzało ich wielu miejscowych – w tym kobiety.

Przy jednym z większych ognisk mężczyzna bez jednego ucha i z złotym kolczykiem w drugim, tańczył przy dźwiękach muzyki wydobywanych przez innego marynarza z instrumentu zrobionego z wielorybiej kości. W regularnych odstępach czasu siedzący wokół ogniska marynarze wydawali głośny okrzyk, a tancerz wykonywał przewrót w tył. Złoty kolczyk i białe zęby lśniły w blasku ognia. Wiejskie dziewczyny – i co najmniej jedna mężatka – witały to chóralnymi owacjami.

Mężczyźni z wioski spoglądali na to z daleka, niektórzy z groźnie zmarszczonymi brwiami. W ciągu dnia doszło do jednej czy dwóch bójek ale załoga triremy była zbyt liczna, by mieszkańcy wioski mogli stanowić dla nich zagrożenie. Dopóki statek pozostanie w Barca's Hamlet, kobiety mogły same decydować, gdzie chcą spędzać czas i co chcą robić. Później w niektórych rodzinach dojdzie do awantur i bijatyk, ale w obliczu tak niezwykłego wydarzenia nie można oczekiwać od kobiet normalnego zachowania.

Łódka wisiała na murze pod domem Tarbana, już na samej plaży. Garric odwiązał sznur z wbitego między kamienie kołka, na którym wisiała łódeczka, zabezpieczona w ten sposób przed wiatrami i wysoką falą.

Sznur był w takim stanie, iż Tarban miał szczęście, że sztorm nie porwał mu łódki, pozostawiając tylko kołek i wystrzępiony sznur. Garric wyprostował łódkę i chwycił za dziób.

– Mam złapać za drugi koniec? – zapytał Reise.

– Weź tylko wiosła – odparł Garric, przecząco kręcąc głową. Zaczął ciągnąć łódkę do wody. Po tej stronie Haft nie było naturalnych portów ani nawet piaszczystych plaż. Budowane tu łodzie miały obity listwami szeroki kil, służący jako płoza przy przeciąganiu po żwirze. Listwy wymieniano, kiedy starły się na ostrych kamieniach.

Mężczyzn z wioski dziwiła nieudolność Reisego. Był chętny i wcale nie słaby, a przynajmniej jak na mieszcza, ale – jak sam powiedział – obawiał się, że wiosłując wywróci łódkę, źle zaprzęgnie konia, a nawet wyleje niesioną w wiadrze wodę. Nawet jeśli nic takiego się nie działo, Reise przez cały czas martwił się, że do tego może dojść. Garric zaczął przypuszczać, że lęk przed śmiesznością był powodem gniewu, jaki tlił się w oczach ojca.

Spieniona fala omyła Garricowi kostki, a potem cofnęła się. Godzinę wcześniej zaczął się odpływ. Garric zaczekał na następną falę i wepchnął na nią łódkę.

– Szybko, wskakuj na dziób! – zawołał do ojca.

Reise wbiegł w wodę i zdołał przetoczyć się przez burtę nie zahaczając o dulkę, a nawet nie wypuszczając wiosła – istny cud! Garric ustawił łódkę, teraz już unoszącą się na wodzie, dziobem do fal, a potem wskoczył do niej i usiadł na ławeczce. Wyciągnął rękę, wziął od ojca wiosła i potężnymi uderzeniami skierował łódkę w morze.

Dziesiątki palących się na plaży pomarańczowych ognisk tworzyły niezwykły widok. W blasku niektórych widać było jednego lub wielu tancerzy. Wesole okrzyki odbijały się od obwałowania.

– W wiosce będzie więcej pieniędzy niż w czasach, gdy w gospodzie zatrzymywały się powozy jadące z północy na południe – rzekł Reise. – Jednak przez następny miesiąc, dopóki nie zaczną się żniwa, będzie brakować żywności. Nie można jeść srebra.

I dodał z chłodnym rozbawieniem:

– Szlachetna prokurator powiedziała, że ponieważ nie mogła skontaktować się z bankierem po tej stronie wyspy, będzie musiała wystawić mi czek – królewski rewers – który mogę zamienić na

brzęczącą monetę u kanclerza na Ornifal. Powiedziałem jej – bardzo grzecznie, rzecz jasna – że mam nadzieję, iż będzie jej smakowała gotowana kapusta podawana do wszystkich posiłków, a także sypianie w stajni.

– Jeśli nie mają pieniędzy... – zaczął Garric, zerkając przez ramię i nie przestając wiosłować.

Reise prychnął.

– Och, mają złoto – rzekł. – Może nawet monety bite przez nią i jej kompana Medera, a nie króla. Tacy szlachetnie urodzeni nie podróżują bez pieniędzy. I tak trudno byłoby zmienić złoto nie udając się do Carcosy. Natomiast co do Ornifal... Nawet gdybym chciał się tam udać, mógłbym to przypłacić życiem.

Garric zeszywniał. Skupił się na wiosłowaniu. Wiedział, że ojciec pochodzi z Ornifal i wczesne lata życia spędził w Valles, stołecznym mieście tej wyspy. Jednak Reise nigdy nie mówił o tym okresie z Garricem, ani z nikim innym.

– Wystarczy – orzekł Reise. – Odwróć się i spójrz na mnie, Garricu.

Garric wciągnął wiosła i przeniósł nogi na drugą stronę ławeczki, na której siedział. Łódka powoli kołysała się na fali, lecz załamujące się grzywacze zagłuszały szmer fal na zwirowatym brzegu. Niebo było puste, a księżyc w drugiej kwadrze. Odbijał się w wodzie, nie oświetlając niczego prócz sporadycznych grzebieni białej piany.

– Musiałem przyplłynąć tutaj, żeby spokojnie z tobą porozmawiać – rzekł Reise. Nie powiedział „żebyśmy mogli porozmawiać”. Garric zdziwiłby się, gdyby to zrobił. – Może wszystko to, co wydarzyło się w ostatnich dniach to tylko zbieg okoliczności. Może całe życie składa się z przypadków. Jednak...

Potał rękami czoło. Jego zachowanie zawsze przypominało Garricowi łuszczaki: idealnie zbudowane ptaszki o gładkich piórach i swarliwej naturze. Reise ponownie uniósł głowę.

– Jestem nieudacznikiem, chłopcze – powiedział. – No, przecież wiesz. Czasem zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie był tak słaby. – Prychnął. – Równie dobrze mógłbym nigdy się nie narodzić.

– Ojczy? – rzekł Garric. – Ja... Nikt nie uważa cię za nieudacznika.

Rozłożył ręce, mocno przytrzymując wiosła w dulkach, gdy łódka kołysała się na fali. W ten sposób mógł zająć czymś myśli i nie słuchać, nie zastanawiać się nad tym, co mówi ojciec. Reise ponownie uśmiechnął się tak nikle jak blask księżyca na jego gładkich policzkach.

– Chcesz powiedzieć, że mimo to nikt nie uważa mnie za głupca? – powiedział. – Nie to miałem na myśli. Nigdy nie potrafiłem odmówić kobiecie, która mnie o coś prosiła. Z tego powodu musiałem opuścić Valles, a także Carcosę.

Jego uśmiech stał się chłodny jak zimowy wiatr.

– I ożeniłem się z Lorą. To także.

– Ojczy, opuściłeś Carcosę w czasie zamieszek. Nie ma w tym słabości – powiedział Garric. Patrzył na sakiewkę u ojcowskiego pasa, nie na jego twarz. Rozpaczliwie próbując zmienić temat, dodał: – Nigdy nie rozumiałem dlaczego wybuchły zamieszki i czemu zabito księcia oraz księżną.

Reise zachichotał z niemal szczerym rozbawieniem.

– Cóż, chłopcze – odparł. – Byłem w tym czasie osobistym sekretarzem księżnej Tery, ale też nie potrafię ci tego wyjaśnić. Rozruchy zaczęły się od sporu o to, czy na czele letniej procesji będzie niesiony posąg Pani, czy Pasterza. Kiedy się to zaczęło, Lascarg był dowódcą gwardii. Po stłumieniu zamieszek obwołał się księciem. Niektórzy sądzą, że to on za tym stał.

Reise wzruszył ramionami.

– To prawda, że gwardia niewiele robiła, dopóki tłum nie splądrował pałacu, ale wielokrotnie

przekonałem się, że kiedy coś idzie nie tak, najczęściej przyczyną jest brak kompetencji, a nie zdrada. Nikt nie wie, w jaki sposób zginął Niard i Tera. Ona była w ostatnich dniach ciąży, mogła więc umrzeć z przyczyn naturalnych.

– Nie wiedziałem, że byłeś sekretarzem księżnej, ojcze – rzekł Garric. Skupił się na nieznacznym ruchu łódki, wznoszącej się i opadającej na falach.

– „Byłeś” to najważniejsze słowo, chłopcze – odparł chłodno ojciec. – W Valles byłem dworzaninem lady Belkali bos-Surman, „przyjaciółki” – jak ją nazywano – ojca obecnego króla. Natomiast teraz jestem karczmarzem w Barca’s Hamlet, ożenionym z miejscową dziewczyną o języku ostrym jak piła.

– Nie mów tak, ojcze! – rzekł Garric, podnosząc głos. Gniew oczyścił jego umysł z bezsilnej rozpacz, jaką czuł, słysząc ojca podsumowującego swoje życie jak rzeźnik z obojętnością patroszący świnię. – Jesteś człowiekiem, który bywał w wielu miejscach i wiele widział! Nikt inny w wiosce nie może tego powiedzieć. Kiedy będę stary, opowiem moim wnukom, że ich dziad nie był zwykłym farmerem, takim jak wszyscy w Barca’s Hamlet.

– Nie! – rzekł Reise. Po raz pierwszy Garric usłyszał w jego głosie dziką determinację, jaką musiał cechować się człowiek, który postawił na nogi podupadłą gospodę. – Nie, nie powiesz tak, chłopcze, ponieważ jakiegokolwiek popełniłem błędy, nie wychowałem cię na głupca!

Chwycił Garrica za prawy nadgarstek i odwrócił jego dłoń grzbietem w dół.

– Spójrz na to – rzekł. – Czytałeś książki, chłopcze. Kiedy tysiąc lat temu Wyspy były wielkim państwem, kiedy ich władcy coś znaczyli, pochodzili właśnie z Haft! Takie ręce jak twoje dzierżyły berło, a w razie potrzeby miecz. Nigdy nie odrzucaj twego dziedzictwa!

Garric zwilżył wargi językiem. Z plaży nadleciał strzęp granej na fletni melodii, poszarpany przez niosącą go bryzę. Niemal równie dobrze mógł to być ptasi trel.

– Przepraszam, ojcze – rzekł Garric. – Przepraszam. Jednak nie nazywaj się nieudacznikiem, ponieważ nim nie jesteś.

Reise lekko uściśnął rękę Garrica, a potem puścił ją i oparł się o burtę łodzi.

– Nigdy nie dowiemy się, jak mogło być – powiedział łagodniejszym, zamyślonym tonem. – Choć to prawda, że wielu gorzej poradziłoby sobie z tym, z czym ja musiałem sobie radzić. Włącznie z wychowaniem chłopca na mężczyznę.

Ku zdumieniu Garrica roześmiał się i dodał:

– Kto wie? Może Barca’s Hamlet bardziej potrzebowała karczmarza niż Valence Drugi marszałka, którym mogłem zostać.

Garric odchrząknął.

– Ojcze? – zapytał. – Trochę nas znosi. Czy mam znów wypłynąć w morze, czy...?

Czy zawrócić i zakończyć tę kłopotliwą rozmowę?, dokończył w myślach.

– Za chwilę – rzucił krótko Reise dobrze znanym Garricowi tonem człowieka, który sam podejmuje decyzje.

Reise otworzył sakiewkę i wyjął z niej mały zamszowy trzosik. Wręczył go Garricowi.

– Masz – powiedział. – To dla ciebie. Nie obchodzi mnie, co z tym zrobisz. Noś to lub nie, jak uważasz.

Potał czoło i ponownie spojrzał mu w oczy.

– Zawsze starałem się spełniać moje obowiązki – dorzucił cicho. – Zawsze.

Trzos był dość ciężki jak na jego niewielkie rozmiary. Garric rozwiązał rzemyk i wsunął palce do środka, zamiast wytrząsnąć zawartość na dłoń, jak zrobiłby na suchym lądzie i w lepszym świetle. Kiedy wyciągał z sakiewki monetę na jedwabnym sznurku, czuł na sobie baczne spojrzenie ojca.

Podniósł monetę wyżej, oglądając ją w blasku księżyca. Była trochę mniejsza od miedziaków, które zasadniczo były jedynymi monetami jakie widywano w Barca's Hamlet. Miała średnicę jego kciuka. Z jednej strony wydawała się gładka, a z drugiej miała ledwie widoczny napis w Dawnym Piśmie. Odczytanie czegoś więcej wymagałoby lepszego oświetlenia, a nawet i to mogłoby nie wystarczyć. Powierzchnia monety słabo błyszczała w blasku księżyca, lecz Garric nagle zrozumiał, co oznacza jej ciężar. Mocno zacisnął ją w dłoniach w obawie, że mógłby ją upuścić.

– Ojczy! To złoto!

– Tak – rzekł Reise, kiwając głową. Nie dodał ani słowa więcej.

– Dlaczego mi ją dajesz? – spytał Garric. Metal ziębił mu dłonie, a śliski jedwabny sznurek wydawał się żyć własnym życiem.

– Ponieważ jest twoja, chłopczy – odparł szorstko ojciec. – Masz prawo ją nosić. Tylko to ma znaczenie. A teraz wracajmy, zanim Tarban oskarży mnie o kradzież łodzi, a ten zazdrosny dureń Katchin poprze jego roszczenia.

Garric jeszcze przez chwilę nie poruszył się.

– Czy ty ją nosiłeś, ojczy? – zapytał. Fala klasnęła o burtę łódki. Naprawdę dryfowali.

– Nie miałem prawa jej nosić – rzekł Reise. – Tylko przechować i dać tobie, kiedy nadejdzie czas. Rób z nią, co chcesz.

Garric chwycił za jedwabny sznurek i zawiesił ją sobie na szyi. Schował monetę pod koszulę.

– Tak, ojczy – powiedział, odwrócił się na ławce i znów chwycił za wiosła.

Kilkoma szybkimi uderzeniami lewego wiosła obrócił łódkę. Był ogromnie poruszony. Sam nie wiedział dlaczego i co z tego wyniknie.

Czując jak przy każdym pociągnięciu wiosła, moneta lekko podskakuje mu na piersi, Garric nie doznał uczucia niepokoju, tylko radość i nadzieję.

Ilna małym palcem odciągnęła rygiel, a potem pchnęła drzwi ramieniem i weszła do głównej izby po jej stronie młyna. Cashel jeszcze nie wrócił ze słomianymi posłaniami, które zbierał po sąsiadach, więc upuściła dodatkowe kołdry na posadzkę.

– O, księżniczka wróciła, śliczniejsza niż przedtem! – rzekł jeden z siedzących przy kuchennym stole żołnierzy. Dwaj z nich wstali na jej widok, ale żaden nie pospieszył jej z pomocą.

Sama kopnięciem zamknęła drzwi i powiedziała:

– Co robicie, kiedy nie znajdujecie wioski, w której moglibyście się zatrzymać? A może rzadko kiedy wychodzicie z pałacu?

Piętnastu gwardzistów kwaterowało w sali jadalnej gospody. Pozostałych dziesięciu było we młynie, drugim i ostatnim solidnym budynku Barca's Hamlet: pięciu po stronie Ilny i pięciu u Fedry.

Krwawe Orły przechwalili się swoim znaczeniem i pozycją w Valles, mówiąc, że strzegąc pałacu, spotykają się z najznamienitszymi, ale przybyli do Barca's Hamlet, mając tylko to, co na sobie. Załoga statku miała własne koce, ale ci dumni żołnierze musieliby dygotać pod przykryciem z liści, gdyby zatoczka była niezamieszka.

– Och, wszystkie nasze rzeczy były na pozostałych statkach – powiedział najmłodszy z żołnierzy. Miał dwadzieścia kilka lat i był wysokim mężczyzną o jasnych włosach świadczących o tym, że wywodził się z jakiegoś szlacheckiego ornifalskiego rodu, chociaż zapewne nie z prawego łoża. – Straciłem moje ubrania, za które mógłbym kupić całą tę psiarnię.

Wzgardliwym machnięciem wskazał na całą Barca's Hamlet.

– Nie powinniśmy o tym mówić, Ningirze – rzekł żołnierz siedzący ze skrzyżowanymi nogami w kącie pokoju i czyszczący kawałkiem miękkiej skóry inkrustowaną pochwą sztyletu. Był dwa razy starszy od Ningira, poznaczony bliznami i łysy.

– Daj spokój, Mesilimie – rzekł trzeci żołnierz. – Czyżby ktoś umarł i zrobił cię królem?

Spojrzał na Ilnę i ciągnął tonem, który najwidoczniej uznał za łaskawy:

– Wypłynęliśmy na trzech statkach. My wszyscy byliśmy z prokurator, ale nasz ekwipunek załadowano na pozostałe dwa. Na triremie jest diabelnie mało miejsca, tylko pokład i smród tych małąp, które na dole zginają grzbiety, wiosłując.

– Zabarze... – zaczął Mesilim, marszcząc krzaczaste brwi.

– Daj spokój! – powiedział Ningir i kopnął starego w podeszwę buta. Szczęknięty blaszki. – Jeśli myślisz, że masz coś do powiedzenia, to wyjdź i powiedz to komuś, kto chce słuchać, dobrze?

Żołnierzy rozdzielono tak, że wszyscy kwaterujący po tej stronie młyna mieli tę samą rangę. Oficerowie wybrali sobie na kwatery gospodę albo wygodniejsze pokoje w domu Katchina.

Ilna uśmiechnęła się, klękając przy palenisku, by sprawdzić gulasz gotujący się na jutrzejszy obiad. Ci w gospodzie zostaną dobrze obsłużeni, ale ludzie po drugiej stronie domu zapewne już żalowali, że spożyli posiłek przygotowany przez Fedrę. Będą mieli szczęście, jeśli nie znajdą w łózkach pcheł i wszy! Wstała.

– A więc rozdzielił was sztorm? – zapytała. W przeciwieństwie do wielu mieszkańców wioski, którzy zimą urozmaicali sobie w ten sposób częste deszczowe dni na tym wybrzeżu, nie lubiła plotkować, ale przybycie statku naprawdę było wielkim wydarzeniem. Od niepamiętnych czasów w Barca's Hamlet nie pojawiło się tylu obcych.

– Rozdzielił! – rzekł czwarty żołnierz. Udał, że przeciąga ostrzem po szyi. – Taak, można tak

powiedzieć. Rozdzielił kilometrem wody, jeśli tak głębokie jest Morze Wewnętrzne w tym miejscu, gdzie dopadła nas burza!

– Och, Eshkolu... – mruknął Mesilim. Zgarbił się gniewnie i udawał, że nie słucha dalszej rozmowy. Był starym żołnierzem, potrafiącym z zapalem wykonywać proste rozkazy, lecz najwidoczniej zbyt głupim, żeby awansować. Młodszy i sprytniejsi towarzysze ignorowali jego rady, nawet, jeśli były słuszne.

– To było okropne – powiedział Ningir, potrząsając głową. – Wiem, co mówię. Ten sztorm mógł nadciągnąć prosto z piekła.

Jeszcze przed chwilą Ningir plótł bzdury, przechwalając się przed ładną dziewczyną w nadziei, że okaże się chętniejsza niż do tej pory. Na wspomnienie sztormu, zupełnie zmienił mu się nastrój.

– To było tak, jakby ktoś spuścił kurtynę z nieba – powiedział w zadumie Zabar. – Całkiem czarną. Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego.

– Marynarze też nie widzieli – dodał Ningir. – Nie było wiatru i płynęliśmy tylko na wiosłach. – Wszystkie trzy statki znajdowały się tak blisko, że mogliśmy do siebie krzyczeć – rzekł piąty żołnierz. Położył na stole splecione dłonie i nie odrywał od nich wzroku. – Był piękny dzień, tylko słońce prażyło trochę za mocno.

– A potem burza spadła na nas, czarna jak kobiece serce – ciągnął Zabar. – Nawet nie patrzyłem w tamtą stronę. Przyglądałem się płynącym tuż obok nas, przy burcie, wilkom morskim. Obejrzałem się dopiero wtedy, kiedy zrobiło się ciemno. W następnej chwili uderzył w nas wiatr.

Ilna spojrzała na żołnierzy ze zdziwieniem, którego nie zdradzała jej obojętna mina. Niektórzy z nich niewątpliwie byli odważniejsi od innych, ale na pewno nie było wśród nich tchórzy, gdyż tacy nie mogliby zostać wcieleni do tej elitarniej jednostki.

A ten sztorm ich przeraził. Wszystkich.

– Kiedyś, gdy byłem dzieckiem, przywaliła mnie hałda śniegu – rzekł Mesilim. Palcami wciąż pocierał wzór na pochwie sztyletu, czarne niello na srebrnych okuciach. – Wówczas też się tak czułem. Ten wiatr także zatykał dech w piersi.

– Ci żeglarze coś krzyczeli – powiedział żołnierz. – Ale widać było tylko, jak otwierali usta. Nic nie było słychać. Krople deszczu uderzały tak silnie i głośno jak grad.

– Maszt się wygiął, chociaż żagiel był zrefowany – ciągnął Ningir. – Wioślarze trzymali okręt dziobem do wiatru i tylko to nas uratowało. Może to i banda małąp, ale gdyby sztorm nas obrócił bokiem, poszlibyśmy na dno...

Pstryknął palcami.

– Ot tak.

– Czarodziej Meder mówi, że to on nas ocalił – wtrącił Eshkol. Nadal polerował szmatą ostrze miecza, ale robił to machinalnie.

– Meder czarodziejem? – mruknął Zabar. – Nie sądzę, by był kimś więcej niż maskotką prokurator!

Eshkol pokręcił głową.

– Nie wierz w to – rzekł. – Może Meder to dzieciak, lecz jego rodzina posiada ponad pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych północnej Gainstup Parish. Kimkolwiek jest, na pewno nie jest podnóżkiem starszej pani.

– Dlaczego twierdzi, że to on uratował statek? – spytała Ilna. – Co takiego zrobił?

Kiedy dyskusja zeszała na czary, jej umysł niespodziewanie podsunął pewną myśl. Było to uczucie podobne do tego, jakiego doznaje człowiek, któremu wysuwa się z ręki nóż, przyciągany przez magnes. Być może stało się tak z powodu tego, co poczuła, dotykając szaty tamtej kobiety-rozbitka.

Jedwab obudził w niej jakieś wspomnienie.

– On i prokurator byli pod płóciennym daszkiem – wyjaśnił żołnierz. – Zerwał go pierwszy podmuch. Meder pochylił się, chowając się za masztem, po czym miedzianym nożem nakreślił jakiś znak na pokładzie. Zdaje się, że mamrotał coś przy tym.

– Następnego dnia obejrzałem to miejsce – powiedział Ningir. – Zobaczyłem te znaki, ale nie zdołałem ich odczytać.

– Bo nie były przeznaczone dla ludzi, lecz dla bogów! – warknął piąty żołnierz. – A raczej dla demonów. Jeśli on naprawdę jest czarodziejem.

Ilna zastanowiła się. Meder czarodziejem? A przecież Tenoctris w tej połatanej wełnianej koszuli też wcale nie wyglądała na czarodziejkę. A tymczasem jej zaklęcia uratowały nogę Garrica, a może i jego życie.

– Wiem tylko – ciągnął z uporem Eshkol – że statek na prawo od nas pękł jak skorupa jajka, a ten po lewej poszedł w jego ślady. Nie pozostało z nich nic prócz morskiej piany, w której przez chwilę widziałem chwytającą powietrze rękę. Tymczasem my uszliśmy cało, a Meder przez cały czas siedział i rzucał zaklęcia.

– Czy komuś oprócz mnie wydawało się, że podczas burzy wszystko było czerwone? – spytał Ningir. – A właściwie nie czerwone, ale jakby różowe?

– Zgadza się – powiedział piąty żołnierz do swoich dłoni. – Jakbyśmy utkwili w bloku różowego kwarcu. Zamknąłem oczy, ale nadal widziałem ten blask.

– Nie było niczego takiego – zaprzeczył Zabar. Z rosnącą konsternacją spoglądał na towarzyszy pojmując, że oni widzieli tę dziwną barwę światła. – Przez cały czas byłem na pokładzie. Widziałem tylko błyskawice, a te nie były czerwone.

– To robota czarodzieja – rzekł z podłogi Mesilim. Wszyscy popatrzyli na niego. Mrugając oczami, stary mówił dalej: – Było światło. Kiedy zatonął pierwszy okręt, a potem drugi. On jest czarodziejem. To były czary takie jak przy Kamiennym Murze, tylko tym razem działały na naszą korzyść.

Ilna stała w głuchej ciszy, wodząc po nich spojrzeniem. W końcu Zabar zadrżał i powiedział do niej:

– Powiedz, piękna, gdzie tu można się czegoś napić?

– Właśnie – dodał Eshkol, ze szczękiem wpychając miecz do pochwy. – Jest tu gdzieś wino?

– W gospodzie, jeśli macie czym za nie zapłacić – odparła Ilna. Była rada ze zmiany nastroju, chociaż ze zdziwieniem stwierdziła, że zarazem żałuje, że przerwali rozmowę o czarach. – Nie znam cen. Dostaniecie tam też piwo po siedem miedziaków za dzban – to połowa waszego srebrnika z Ornifał. Co mam wam przynieść?

Szermierz wstał.

– Lepiej sam sprawdzę tę piwniczkę – rzekł. – Nie sądzę, żeby śliczna dama odróżniała Blue Hills White od źródlanej wody.

– Przynies parę butelek czegoś czerwonego i mocnego, Eshkolu – poprosił Ningir. – Nie te wymyślne trunki, które mają tyle samo mocy, co woda.

– Ja wolę piwo – oświadczył Mesilim. Metodycznie wsunął sztylet do ozdobnej pochwy i przypiął ją do pasa, po czym wstał. – Przyniosę je.

Ilna otworzyła drzwi.

– Po co król wysłał was wszystkich na Haft? – spytała. – Jak długo żyję, w okolicy tej nie widziano królewskiego urzędnika.

– Och, to przez ten sztorm – odparł Zabar, z przesadną galanterią przytrzymując drzwi. –

Płynęliśmy do carcosańskiej cieśniny na zewnętrznym wybrzeżu, ale wiatr zepchnął nas na południowy wschód i mieliśmy szczęście, trafiając na suchy ląd.

Cała grupa – trzech żołnierze i Ilna – wyszli w noc. W oknach gospody, zaledwie sześć metrów dalej, paliły się światła. Na bezchmurnym niebie jasno świeciły gwiazdy.

– Tylko po co w ogóle płynęliście na Haft? – dopytywała się Ilna. – Wiem, że Valence jest królem wszystkich Wysp... (Przynajmniej tytułarnym, ale zawsze). Przecież Ornifal leży tak daleko i nawet bez burz...

– No cóż... – zawahał się Zabar.

– Och, to przez książęcego potomka – powiedział Mesilim. Zapomniał o rozkazach, albo uznał, że już nie mają znaczenia, gdyż jego młodzi towarzysze wszystko opowiedzieli. – Mówię o starym księciu. Król Valence dowiedział się, że tuż przed śmiercią żona Niarda, księżna, wydała na świat dziecko. Księżna Tera pochodziła ze starego rodu z Haft, a to oznacza, iż to dziecko pochodzi ze starożytnego królewskiego rodu, wywodzącego się od króla Carusa!

Sharina przyniosła półmisek z baraniną do pokoju, który teraz stał się prywatną komnatą, w której jej matka podawała do stołu Aserze i Mederowi. Tylko podczas Świąta Barana to pomieszczenie nie pełniło roli magazynu, ale teraz na stole położono najlepszy obrus i nakrycia. Wainer, dowódca Krwawych Orłów, jadł ze swoimi ludźmi w jadalni.

– Ktoś w tej okolicy musi mieć konie! – ze zdziwieniem i irytacją mówiła Asera do Lory. – Nie upieram się, by moja eskorta jechała konno, ale chyba nie oczekujecie, że ja i Meder pójdziemy do Carcosy pieszo?

– Proszę, wasza wielmożność – odparła z zakłopotaniem Lora. Dygnęła, ani na chwilę nie spoglądając w oczy szlachetnie urodzonym, którym usługiwała. – Tutaj konno jeżdżą tylko hodowcy i kupcy z Carcosy. My do orki używamy mułów, a jeśli się dokądś udajemy, to na własnych nogach.

Sharina postawiła półmisek na komodzie, a obok położyła stalowy nóż i widelec, które trzymała w prawej ręce, podtrzymując nią tacę. Zwykle pilnowała baru, kiedy Reise obsługiwał jedzących w pokojach gości, ale postanowił zamienić się z nią, kiedy zobaczył tłum żołnierzy i marynarzy ciągnących do jadalni w poszukiwaniu napitku. Garric pomagał Reiseum, przynosząc z piwnicy dzbany piwa i wina.

Nie spodziewaliśmy się, że przybędą tutaj arystokraci z Ornifal – wodą, lądem czy powietrzem, pomyślała Sharina. Była podekscytowana widokiem tych szlachetnie urodzonych gości i wiedziała, że przez nadchodzące lata będzie chwalić się tym, że ona, Sharina os-Reise, usługiwała im. Chociaż zasadniczo była nastawiona tak samo jak ojciec: traktuj szlachtę dobrze, gdyż to twój obowiązek, bierz ich pieniądze, ale nie uważaj ich za bogów ani siebie za ich pieska. Lora była dumna z kontaktu z takimi osobistościami, a jednocześnie przerażona, że nie zdoła ich zadowolić.

– Co za barbarzyńskie miejsce – powiedziała Asera, kręcąc głową. – Sądzę, że mimo wszystko powinniśmy byli popłynąć do Carcosy.

Tuzin świec zapalono we wszystkich lichtarzach, jakie były w gospodzie, oraz we dwóch pożyczonych od Katchina w zamian za obietnicę wpuszczenia go po kolacji przed oblicze szlachetnych gości, których chciał uroczyście powitać. Połowa tych świec była ogarkami z łożu, a nie pszczelego wosku i sądząc po tym, jak Meder wyteżał wzrok, łowiąc ostatnie kęsy z półmiska, to oświetlenie nie robiło na nim takiego wrażenia, jakie zrobiłoby na miejscowych.

Sharina szybko przeciągnęła nożem wzdłuż jednego, a potem drugiego boku pieczeni, szykując ją do krojenia. Wbiła widelec w mięsiwo, kątem oka dostrzegając, że Meder odwrócił się i przygląda się jej. Zaczęła odkrawać mięso od żeber.

– Asero, spójrz – rzekł młodzieniec. – Spójrz na nią!

Lora pozbierała półmiski po rybach i ze szczękiem postawiła je na komodzie. Musiała być zaniepokojona, bo zwykle nie trzaskała naczyniami.

Sharina z rozmysłem nie odwracała się. Rumieniec, który oblał jej policzki, był wywołany zarówno gniewem, jak i zakłopotaniem. Jeżeli mówili o niej, to jakim prawem robili to w taki sposób, jakby była... koniem?

– Dziewczyno? – powiedziała Asera. – Ty tam! Ty z nożem, na miłość Pani! Odwróć się i spójrz na mnie.

– To moja córka, wasza wielmożność – powiedziała Lora, ponownie dygając. Miała na sobie niebiesko-zieloną suknię z wykrochmalonego lnu, którą Sharina dotychczas widywała tylko w kufrze.

Suknia wydeła się przy tym dygnięciu, upodabniając Lorę do straszącego pióra dzięcioła. – Sharina os-Reise. Sharino, pokłoń się panu i pani.

Sharina odłożyła sztucę i skłoniła głowę, usiłując ukryć niesmak wywołany zachowaniem matki. Nigdy nie potrafiła dygać jak należy, chociaż Lora usiłowała ją tego nauczyć, kiedy córka była mała. Gdyby teraz próbowała dygnać, zrobiłaby z siebie idiotkę.

– Skąd pochodzisz, dziewczyno? – zapytał Meder. Przebrał się na wieczór w kaftan z czerwonego aksamitu. Rozpuszczone blond włosy spadające mu na ramiona kontrastowały z tym strojem w sposób, który Sharina uznałaby za atrakcyjny, gdyby jego twarz nie była tak ściągnięta i blada.

– To moja córka, wasza wielmożność – powtórzyła Lora, jakby tamci nie usłyszeli jej za pierwszym razem.

– Masz nas za głupców, kobieto? – warknął Meder. Wstał, tak gwałtownie odsuwając krzesło, że upadło z głośnym trzaskiem. Całe umeblowanie gospody było wykonane przez miejscowych rzemieślników i raczej solidne niż ładne. – Spójrzcie na nią!

Wyciągnął rękę do Shariny, najwyraźniej zamierzając ująć jej brodę kciukiem i palcem wskazującym, żeby obejrzeć jej profil. Cofnęła się, czując ogarniający ją chłód. Jej palce musnęły rękojeść noża do porcjowania mięsa. Gwałtownie cofnęła dłoń, przerażona obrazem, który pojawił się w jej umyśle.

– Mederze – ostrzegła prokurator. Ona także wstała i wzięła ze stołu jeden z cynowych lichtarzy. – Jeśli ona jest...

Młodzieniec zamarł, cofnął się o krok, a potem ku bezgranicznemu zdumieniu Shariny, skłonił się jej.

– Przepraszam, panienko – rzekł. – Pod wpływem wzburzenia zachowałem się w sposób niegodny cywilizowanego człowieka. To się już nie powtórzy.

– Mój towarzysz chciał powiedzieć, że... Sharina, prawda? – powiedziała Asera – nie wygląda na miejscową pannę i córkę swego ojca. Jesteś wysoka i masz...

Uniosła świecę, oświetlając twarz Shariny.

– ...szare oczy. A twoje włosy są jaśniejsze niż u kogokolwiek, kogo widziałam w tej wiosce.

– W rzeczy samej – rzekł Meder z wyraźną satysfakcją – wyglądasz na szlachciankę z Ornifal. Taką jak świętej pamięci księżę Niard. Pytam jeszcze raz: skąd pochodzisz?

– Jestem stąd! – powiedziała Sharina. – Urodziłam się tutaj!

Lora uspokajająco położyła dłoń na jej ramieniu. Z godnością, na jaką zdobyła się po raz pierwszy od chwili przybycia nobliwych gości, powiedziała:

– Moje dzieci urodziły się w Carcosie, wasza lordowska mość, gdzie Reise i ja służyliśmy w pałacu. Od chwili ich narodzin przez cały czas mieszkamy w tej wiosce, nie licząc kilku dni, jakie zabrała nam podróż.

– Kiedy się urodziła? – spytała Asera. Stała nieruchomo, lecz jej poza kojarzyła się Sharinie z gotowym do skoku kotem. – Siedemnaście lat, pięć miesięcy i trzy dni temu, prawda?

– A może cztery dni – rzekł Meder, nieznacznie marszcząc brwi. – Jeśli to córka, a nie syn, to pewnie cztery. Słońce było w zenicie.

– Być może – powiedziała powoli Lora. – Mniej więcej w tym czasie. Jednak Sherina to moja córka.

Asera ostrym spojrzeniem zmierzyła towarzysza.

– Powiedziałaś, że ten sztorm był wywołany przez czary. Czy to możliwe, że nie miał nas zabić, lecz zagnać tutaj?

– Gdyby nie moja magia... – zaczął gniewnie Meder. Zamrugał, zastanawiając się nad znaczeniem sztormu w świetle obecności Shariny. – Myślałem, że to zły czar. Walczyłem ze wszystkich sił, a i tak niewiele brakowało, a byłoby po nas. Gdyby nie ja, statek na pewno by zatonął.

– Jednak byłeś na pokładzie – powiedziała Asera. Odstawiła lichterz na stół i starannie usunęła kroplę wosku z dłoni. Zarówno ona, jak i Meder, zachowywali się tak, jakby byli sami w komnacie. – A gdyby burza nie zepchnęła nas z kursu, szukalibyśmy w Carcosie śladów tego, czego tam nie ma.

Meder i prokurator ponownie uważnie spojrzeli na Sharinę. Lorna zasłoniła ją swoim ciałem, chcąc ją bronić albo chroniąc swoją własność. Asera zacisnęła wargi w grymasie, który mógł być szyderczym uśmiechem. Lora cofnęła się.

– Czy możemy mieć pewność? – Asera zapytała towarzysza, nie odrywając oczu od Shariny.

– Oczywiście – rzekł Meder, zirytowany retorycznym pytaniem. – W moim pokoju mam wszystko, czego potrzebuję. Tam dokonamy próby.

Goście zajmowali pokoje jej rodziców: prokurator komnatę Reisego, a Meder sypialnię Lory na piętrze. Sharina i jej matka gnieździły się teraz w pokoiku na poddaszu, podczas gdy Reise i jego syn spali w stajni.

Asera skinęła głową.

– Chodź ze mną, dziecko – powiedziała do Shariny przyjaznym tonem, jakby zwracała się do ulubionego psa. Skinęła ręką i ruszyła do drzwi.

– Chwileczkę! – powiedziała Sharina.

Spojrzeli na nią ze zdumieniem. Lora dotknęła jej dłoni.

– Chwileczkę – powtórzyła Sharina spokojniejszym i pewnym głosem. – Co zamierzacie zrobić?

– Zrobić? – powiedziała Asera. – Zamierzamy sprawdzić, czy twoimi prawdziwymi rodzicami byli książę i księżna Haft, moje dziecko.

– A jeśli byli – dodał Meder, lekko popychając Sharinę do drzwi – to czeka cię życie, o jakim nawet nie śniło się nikomu w tej nędznej owczarni!

Garric zawiesił lampę na osi opartej przy drzwiach stajni; obok stały drewniane koła. Zeszłej zimy spadły z nich obręcze, a kowal jeszcze nie pojawił się we wsi i nie zdążył ich naprawić.

– Czy potrzebne ci jeszcze światło? – zawołał do Tenoctris, przygotowującej sobie na drugim końcu stajni posłanie ze słomy.

– Nie, ja... – zaczęła Tenoctris. A potem z lekkim zdumieniem dodała: – To dziwne. Ty...

Obie połowy drzwi otwarto na oścież, tworząc otwór dostatecznie szeroki, żeby mógł przez nie przejechać powóz. Mimo to stojący na zewnątrz pustelnik zapukał lewą ręką w drewniane wrota: szybkie puk-puk-puk przypominało olbrzymiego dzięcioła wabiącego samicę.

– Mogę wejść? – zapytał chrapliwym, zduszonym głosem.

– Pewnie – rzekł Garric. Tuzin żeglarzy wyszło z gospody i dziedziniec rozbrzmiewał ich śmiechem. Kilku z nich zaczęło śpiewać szanty, każdy inną. – Och, jest tu mnóstwo miejsca do spania, jeśli nie chcesz wracać po ciemku.

Nonnus uśmiechnął się.

– Dziękuję za propozycję – rzekł – ale mrok jest dla mnie najlepszym przyjacielem. Ponadto gwiazdy świecą dziś jasno.

Wszedł do stajni, opuszczając ręce. Garric uświadomił sobie, że pustelnik wcześniej rozłożył je, pokazując, że nie ma broni.

– Pomyślałem, że obejrzę wasze rany. Obojga. Czy chce pani jeszcze trochę maści?

Tenoctris spojrzała na grzbiety swoich dłoni, a potem obróciła je do światła i pustelnika.

– Już tylko lekko mnie pieką – powiedziała.

Nonnus podszedł bliżej i delikatnie dotknął dwoma palcami jej policzka.

– Boli? – zapytał.

– Nie, tylko piecze, jak już mówiłam – zapewniła Tenoctris. – Wiem, że bez twojej pomocy bardzo by mnie bolało.

– Zrobiłaś więcej niż ja – rzekł Nonnus, ponownie lekko się uśmiechając.

– Nie mogłabym tego zrobić, gdybym z bólu odchodziła od zmysłów, prawda? – odparła.

Pustelnik zwrócił się do Garrica.

– A ty, chłopcze? Niech zobaczę twoją nogę.

Garric obrócił się na pięcie i oparł prawą nogę o ścianę na wysokości talii, pokazując, że kończyna jest sprawna, a rana dobrze się goi. Pustelnik przysunął lampę. Opuchlizna wokół śladów ugryzienia była różowa, ale nie zaczerwieniona czy zaropiała. Kiedy Nonnus dotknął strupa pokrywającego to, co przedtem było dziurą przechodzącą na wylot, Garric poczuł tylko miejscowe pieczenie, a nie rozzarzony sztylet wbijający mu się w łydkę. Maskując grymas bólu, pochwalił się:

– Pracowałem dziś tak jak zawsze. Mogę przenieść cię wokół dziedzińca, jeśli chcesz.

– A dlaczego miałbym chcieć czegoś tak głupiego? – rzekł z lekkim rozbawieniem pustelnik. – Nie musisz mi udowadniać, że jesteś dzielnym mężczyzną. Ani nikomu innemu.

– Minie trochę czasu, zanim się tego nauczy – powiedziała Tenoctris. – Jeśli w ogóle.

Nonnus zachichotał. Garric po raz pierwszy usłyszał taki dźwięk wydobywający się z jego ust. Pustelnik klepnął go w kolano dłonią jak drewniana szufla.

– Wyzdrowiejesz – rzekł. – Tylko ostrzegam cię, że za dziesięć lub dwadzieścia lat odczujesz każdy wysiłek, do jakiego teraz zmuszasz ciało. – Zerknął na Tenoctris i dodał: – W to też nie

uwierzy.

– Nonnusie? – rzekł Garric, opuszczając nogę. Był zaambarasowany, słysząc starszych rozmawiających o nim w taki sposób, jakby był ciekawym układem obłoków. – Czy możemy ci jakoś zapłacić? Uratowałeś co najmniej moją nogę i zdaję sobie z tego sprawę.

– Ludzie z tej okolicy nie wygnali mnie, chociaż mogli, kiedy osiadłem w tutejszym lesie – rzekł Nonnus. – Niczego więcej nie potrzebuję...

Uśmiech na jego twarzy ponownie pojawił się i znikł, jak tęcza.

– Przynajmniej niczego materialnego. Jeśli mogę nastawić kilka kości albo wyleczyć kogoś z gorączki, jest to niewielka rekompensata za to, co dała mi ta społeczność.

Ruchem głowy wskazał Tenoctris i dodał:

– Ponadto jej zawdzięczasz to, że już możesz chodzić. No cóż, nigdy nie wątpiłem w działanie magii. Wykorzystując ją do uzdrawiania, robi się z niej najlepszy użytek.

– Jesteś z wyspy Pewle, prawda? – spytała Tenoctris. – Za moich czasów polowali tam na foki.

Nonnus skinął głową.

– Za moich też – odparł beznamiętnie. – Mam nadzieję, że nadal to robią. To uczciwy sposób życia.

– Ten młodzieniec towarzyszący prokurator jest czarodziejem – Tenoctris niespodziewanie zmieniła temat. Zerknęła w kierunku Garrica, włączając go do rozmowy, ale niewątpliwie chciała poznać punkt widzenia pustelnika. – Jest potężny i przerażająco nieświadomy mocy, które przywołuje.

– Skąd wiesz? – spytał Nonnus z zainteresowaniem fachowca innej specjalności. – Czy używał tu magii?

– A skąd wiesz, że foka się wynurzy? – odparła Tenoctris. – Skąd Garric wie, w którą stronę upadnie drzewo, które ścina? Moc ciągnie się za Mederem jak warkocz komety przez pół nocnego nieba.

– A zatem on też wie, że jesteś czarodziejką? – rzekł Garric. – Rozmawiałaś z nim o tym?

Przez dziedziniec przeszedł jakiś marynarz z dwoma mieszkańcami wioski. Głośno i bełkotliwie mówił:

– ...a mieszkańcy tej wyspy nie nosili niczego prócz naszyjników z kości. Zrobili mnie królem, wiecie, tak było, a tylko dlatego, że uratowałem z wraku srebrne lusterko.

Głos zamilkł i zabulgotała butelka. Wieśniacy mruknęli coś z szacunkiem. Potem głosy oddaliły się w kierunku bramy.

Garric cofnął się od drzwi stajni, a dwoje pozostałych poszło w jego ślady. Zawieszona przed wejściem lampa zniechęci szukających samotności do robienia tego, czego nie będąc dostatecznie pijani lub zdesperowani, nie chcą robić na oczach wszystkich.

Nonnus ukucnął, opierając się plecami o ceglana podstawę jednego ze słupów. Te, jak również podpierane przez nie krokwie były ze starego dębu, tak pociemniałego z wiekiem, że tylko dotykając ich, można było rozróżnić słoje.

– Jeśli Meder bor-Mederman w ogóle o mnie myśli, to sądzi, że jestem tutejszą starą panną – powiedziała Tenoctris. Jej uśmiech przypominał Garricowi wyraz twarzy Nonnusa, wspominającego przeszłość. – On prawie nie dostrzega sił, które wykorzystuje, a tym bardziej nie zauważa, że i ja potrafię z nich korzystać. Ponadto, według jego standardów, ja wcale nie jestem czarodziejką.

– Pani... – zaczął Garric. Nie miał pojęcia jak traktować Tenoctris. Z jednej strony była rozbitkiem bez grosza o manierach i upodobaniach tak prostych jak pasterz z Haft – nie miała nic przeciwko spaniu w stajni, kiedy w gospodzie było pełno płacących gości. A zarazem była

wykształcona znacznie lepiej niż Reise, z pewnością szlachetnie urodzona i bywała na dworze tak samo jak tych dwoje z Valles, a ponadto była czarodziejką. Stanowiła istną łamigłówkę, a jej kawałki tworzyły całość równie dziwną dla Garrica, jak rzeka płynąca pod górę.

– Przybyłaś tu z tak daleka – wymamrotał – że... musisz być potężną czarodziejką. Tamtemu dzieciakowi... (Wprawdzie Meder miał kilka lat więcej od Garrica, ale był cherlawym maminsynkiem) ...udało się tylko nie utonąć podczas burzy. Mamy tu rybaków, którzy potrafiliby to samo!

Nonnus uśmiechnął się.

– Mówisz jak owczarz, chłopcze – rzekł. – Ten sztorm zatopiłby nawet statki z Pewle, gdyby zaskoczył je na pełnym morzu. Nie pozwól, byś przez niechęć do kogoś nie potrafił dostrzec, kim on jest i co potrafi.

Garric zamrugał jak uderzony pięścią. Przywykł wypowiadać się w obecności ludzi, którzy tak naprawdę go nie słuchali lub nie zastanawiali się nad jego słowami: Cashela, Shariny i innych mieszkańców wioski. Zaszokowało go to, że ktoś szuka luki w jego wypowiedzi, zamiast przytaknąć i dodać jakiś równie bezsensowny komentarz.

– Hm, przepraszam – rzekł.

– Widziałam tylko jednego równie potężnego maga – powiedziała Tenoctris, chwytając w palce kosmyk swoich krótkich siwych włosów. Wyprostowała go, patrząc nań kątem oka. – Przez tamtego zatonąła Yole, jak kamień rzucony do sadzawki. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Meder potrafił zrobić coś takiego. W tę sieć, jaką zarzuca, niemal na pewno i nieświadomie może złowić coś, czego wcale nie pragnie.

– Dworacy żyją w innym świecie, pani – rzekł cicho Nonnus. Podobnie jak ona, mówiąc, myślał o dawnych czasach, chociaż i o chwili obecnej. – Oni nie rozumieją świata zwykłych ludzi zawsze żyjących na krawędzi. Lepiej aby te dwa światy nigdy się nie spotkały.

– Chciałam tylko korzystać z biblioteki i spokojnie studiować sposób, w jaki stykają się siły – rzekła Tenoctris. – Nie miałam zamiaru z nich korzystać. I tak nie byłam w tym dobra.

Uśmiechnęła się smutnie do Garrica i dodała:

– Nigdy nie zdołałabym wezwać mocy, które przyniosły mnie tutaj. A to „tutaj” było po prostu miejscem, gdzie zaniósł mnie fale. Nie umiałam nad tym zapanować, ani nawet przewidzieć. To był czysty przypadek.

– Albo zrządzenie losu – powiedział Nonnus. On też się uśmiechał, ale chociaż nie był wrogo nastawiony do Tenoctris, najwidoczniej nie zgadzał się z jej wnioskami. – Lub wola Pani.

Lampka zamigotała, dając sygnał, że kończy się w niej olej. Garric powinien przynieść trochę z kuchni, jeśli nie chce, by zgasła.

– A zatem wracam do siebie – oznajmił Nonnus. – Chciałem się tylko upewnić, że oboje dobrze się czujecie.

– Na pewno nie chcesz przespać się w stajni? – zapytał Garric. – Może przynajmniej przyniosę ci pochodnię.

– Doceniam twoją uprzejmość – powiedział pustelnik, odmownie kręcąc głową. Płomyk lampki przygasł do żółtawej poświaty, a potem znów rozbłysł na chwilę.

– Kiedy teraz na ciebie patrzę, Garricu – powiedziała Tenoctris podnosząc głos, żeby Nonnus też ją usłyszał – widzę dwie osoby. Wczoraj tak nie było.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Garric. – Jestem tu sam.

Tamci oboje spojrzeli na niego. Na twarzy Tenoctris malowała się zaduma, lecz pustelnik jak zwykle spoglądał z chłodną obojętnością.

– Czy czujesz się inny? – zapytał.

– Ja nie... – zaczął Garric. – Ja... Wszystko się zmieniło, od kiedy przyplłynęły wilki morskie i statek. I ty, pani.

Skłonił głowę przed czarodziejką. Pomimo arystokratycznych rysów wyglądała niepozornie w tej znoszonej wełnianej koszuli, lecz jedwabna szata nie pasowałaby do Barca's Hamlet – a szczególnie osobie wyłowionej z morza i śpiącej w stajni.

– Sam nie wiem, co o tym myśleć – zakończył, chociaż miał nieprzyjemne wrażenie, że „gdzieś tam” stoi muskularna postać, spoglądająca na świat jego oczami i śmiejąca się z tego.

– Chyba jak my wszyscy – powiedziała Tenoctris. Nie mówiła tego z troską, lecz z zaciekawieniem.

Lampka w końcu zgasła. Pustelnik cicho odszedł w rozgwieżdżoną noc. Zaszleściła słoma, gdy Tenoctris mościła się na posłaniu, pozostawiając Garrica sam na sam z myślami.

Jednak niezupełnie samego.

– Pewnie potrzeba więcej światła? – zaproponowała niepewnie Lora, osadzając świecę w kinkietowym lichtarzu na drzwiach komnaty, która zwykle była jej pokojem. – Przyniosę...

– Bądź cicho, kobieto – warknęła Asera. – A jeszcze lepiej wyjdź i nie wracaj dopóki cię nie zawołam.

Lora nie posłuchała, tylko z zaciętą miną oparła się plecami o parapet okna. Sharina postawiła drewniany lichtarz na trójnożnym stoliku. Pozostałe umeblowanie pokoju składało się z łóżka, dwóch szaf oraz topornego fotela, zrobionego z częściowo wydrążonego i przeciętego pnia sosny. Z lekkim zdumieniem zerknęła na matkę. Do tej pory sądziła, że gdyby prokurator kazała Lorze wyskoczyć przez okno, ta usłuchałaby bez wahania.

– Nie, nie, zabierz to stąd – powiedział z roztargnieniem Meder, stawiając na krześle okute żelazem pudro. – Wykorzystam blat do kreślenia znaków.

Przyklęknął i włożył do zamka klucz o czterech różnej długości piórach. Przekręcił go o ćwierć obrotu, mamrocząc coś pod nosem.

Sharina wzięła lichtarz ze stołu. Wydawało jej się, że pudło nagle rozbłysło, jakby odbijał się w nim blask kominka.

– Poświeć tutaj – polecił Meder, podnosząc wieko. Wnętrze było podzielone na wiele przegródek, a w każdej leżał jakiś przedmiot. Do wieka skrzynki był przymocowany nóż z rdzawej miedzi o rękojeści pokrytej ozdobnymi zawijaszami Dawnego Pisma.

Młody mag wyjął ten nóż. Kiedy odwrócił się i zobaczył stojącą tuż obok i trzymającą lichtarz Sharinę, rzekł:

– Nie, nie ty. Ty jesteś mi potrzebna przy rzucaniu zaklęcia. Oddaj lichtarz jednej z nich.

Asera otworzyła usta, by zaprotestować przeciwko zrównywaniu jej ze zwykłą wieśniaczką, ale zaraz zamknęła je bez słowa. Było oczywiste, że zajęty swoimi sprawami Meder nie zastanawiał się nad towarzyskimi niuansami.

Sharina skinęła na matkę, która w milczeniu wzięła od niej lichtarz i zajęła jej miejsce.

Meder wyjął coś, co przypominało kawałek zwyczajnej kredy, położył ją na stoliku i znów zamknął pudełko. Wyprostował się i spojrzał na Sharinę. Wydawał się wyższy niż w jadalni na dole.

– Nakłuję twój palec sztyletem i przeniosę na kredę kroplę twojej krwi – rzucił krótko, pokazując miedziany nóż. – Wcale nie potrzeba pisać całego zdania krwią; jej siła zupełnie wystarczy do osiągnięcia celu. Potrzebny mi też pukiel twoich włosów.

Sharina spojrzała na matkę. Jej nieruchoma twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Równie dobrze mogłaby szukać pomocy u kuchennego stołu.

– Dobrze – powiedziała Sharina, wyciągając lewą rękę. Zastanawiała się, co zrobiłby Meder, gdyby odmówiła. Sądząc po sposobie, w jaki mówił, taka myśl nawet nie przyszła mu do głowy.

Jego dłoń była zaskakująco ciepła. Podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się. Po raz pierwszy od kiedy on i prokurator zakończyli dyskusję o czarach, popatrzył na nią jak na żywego człowieka, a nie martwy przedmiot. Zmarszczył brwi i wracając do dotychczasowego stylu bycia, rzekł:

– Stój spokojnie.

Końcem sztyletu nakłuł opuszkę jej kciuka. Sharina poczuła lekkie pieczenie, całkiem inne niż ukłucie podczas szycia. Kropelka krwi wypłynęła z płytkiej rany, jak grzyb wyrastający z ziemi po deszczu. Meder wymienił sztylet na kawałek kredy i przyłożył ją do ranki. Potem odwrócił się

i szybkimi, stanowczymi ruchami zaczął kreślić znaki na blacie stolika. Nie używał znaków przestankowych ani spacji pomiędzy poszczególnymi słowami. Było to Dawne Pismo, takie jak symbole na rękojeści noża.

Z jadalni dochodziły podniesione głosy, kłócili się lub usiłowali się przekrzyczeć. Sharina czuła, że oddziela ją od nich coś więcej niż tylko gruba dębowa podłoga. Pomiedzy nią a wszystkim, co dotychczas znała, wznosił się zimny mur.

Meder zeszkrobał nożem krew z powierzchni kredy i odłożył resztę do pudełka.

– Dobrze – powiedział, znów podchodząc do Shariny. – Teraz utnę ci pukiel włosów.

Przez chwilę boleśnie tarmosząc, odciął kilka kosmyków. Nóż był ostry, ale twarde włosy szybko stępiły miedziane ostrze. W końcu Meder położył ciemnoblonde pukiel na środku stolika, między nakreślonymi kredą znakami.

– Niech nikt się nie odzywa – rozkazał.

Dotykając drewna ostrzem sztyletu, wymamrotał:

– *Huessemigadon iao ao baubo eeaeie...*

W uszach Shariny jego słowa brzmiały jak rechot żab w letnią noc albo pobekiwanie owiec w zagrodzie.

– *Sopesan kanthara ereschitigal sankiste...*

Meder dotykał czubkiem noża każdą udręczoną sylabę. Obchodził stół, idąc w lewo, tak by nie sięgać nad blatem do kolejnych skreślonych kredą znaków.

– *Akourbore kodere dropide...*

Zasłona oddzielająca Sharinę od reszty świata stawała się grubsza. Czerwona mgła zawisła w powietrzu nad stołem, choć kiedy Sharina zamrugała oczami, ten kolor na moment znikł, a potem znów się pojawił.

– *Tartarouche anoch anoch!* – krzyknął Meder. Pchnął sztyletem kosmyk włosów Shariny.

Z czubka sztyletu buchnął ciemnoczerwony ogień. Zimne płomienie dotknęły sufitu, a potem skurczyły się, tworząc głowę mężczyzny o długich do ramion włosach, arystokratycznych rysach i wypielęgowanej bródce. Głowa obracała się, nie tak jak na ramionach, lecz jak na obrotowym stoliku.

Lora przycisnęła pięść do ust i zagryzła knykcie, powstrzymując krzyk. Świeca w jej ręce dygotała jak liść na wietrze.

Obraz znikł równie błyskawicznie jak się pojawił. Blask świec, przyćmiony przez rubinową poświatę, znów stał się jedynym źródłem światła w komnacie. Meder siadając na okutej żelazem skrzynce, opadł na krzesło. Zbladł.

– To był twój ojciec, dziewczyno – powiedziała z satysfakcją Asera. – Nie ten karczmarz na dole.

Sharina odwróciła się i otworzyła kufer, który stał za jej plecami w kącie komnaty. Sięgnęła ręką i pod warstwami koszul oraz sukni wymacała owalne brązowe pudełeczko, które po raz pierwszy zobaczyła jako dziecko, kiedy bawiła się pod nieobecność matki. Lora jęknęła, ale nie próbowała jej powstrzymać.

Pudełeczko było wyściełone czerwoną satyną. Leżał na niej złoty medalion. Sharina otworzyła go i pokazała matce namalowaną na kości słoniowej młodą parę.

– To on, prawda? – powiedziała. – Jestem ich dzieckiem, nie twoim i Reisego!

Mężczyzna na obrazku był tym samym, którego wizerunek przywołały zaklęcia Medera. Nad jego głową widniał napis: NIARD, Z ŁASKI PANI KSIĄŻĘ. Nad bardziej wyrazistą, ciemniejszą twarzą kobiety napisano: TERA, KSIĘŻNA Z ŁASKI PASTERZA.

Asera zatarła ręce.

– Znaleźliśmy potomka, którego szukaliśmy – powiedziała. – Popłyniesz z nami do Valles, dziewczyno!

Meder obrzucił ją zmęczonym spojrzeniem.

– To twoje przeznaczenie, Sharino.

Garric śnił.

Człowiek szedł ku niemu przez równinę, która zdawała się zmieniać przy każdym jego kroku. Z początku była łąką, a w chwilę później mężczyzna maszerował przez gąszcz koralowych krzewów, pochylając się pod ich odgałęzieniami. Żywe kolory rafy przeszły w pastelowe barwy, jakby światło sączyło się tu przez grubą warstwę wody, lecz przybysz szedł, nie zwracając na to uwagi.

– Kim jesteś? – zawołał Garric ze snu, chociaż właściwie był pewien, że już zna odpowiedź. Wydawało mu się, że jego własny głos dochodzi gdzieś z daleka.

Mężczyzna był młodo wyglądającym, muskularnym czterdziestolatkiem. Nosił buty do połowy łydki i ciemnoniebieską tunikę, a skórę na odsłoniętych miejscach ciała miał równie zbrązowiałą od słońca, jak pasterze z Haft.

Obraz zafalował. Mężczyzna poruszał ustami, ale Garric nie słyszał słów. Był teraz w lesie, wchodząc i wychodząc w strumienie słonecznych promieni, które odbijały się od jego szaty i metalowych ozdób.

Uśmiechnął się. Jego twarz sprawiała wrażenie, że śmiał się często, głośno i donośnie. Garric słyszał ten śmiech w myślach przez cały wieczór i noc.

Garric ze snu zacisnął dłoń na wiszącej na jego szyi monecie. Ten ciepły, gładki metal w jego pięści nie był snem.

W skromniejszym odzieniu ten mężczyzna mógłby uchodzić za mieszkańca Barca's Hamlet, chociaż był wyższy niż większość wieśniaków i dostatecznie barczysty, aby zwrócić na siebie uwagę. Wyglądał jak starsza wersja Garrica or-Reise, ubranego w błyszczącą szatę. Prosty złoty diadem spinał czarne kędziory jego włosów.

– Kim jesteś? – powtórzył Garric. Jego okrzyk zapadł w niezmierną głębię. Jego sobowtór ze snu stał w nicości, oddzielony wiecznością od wszystkiego i wszystkich.

– Jestem Carus, król Wysp, chłopcze! – odkrzyknął tamten stłumionym przez odległość głosem. Z pluskiem szedł przez mokradło. – Przecież mnie znasz.

Garric wytrzeszczył oczy. Jakby patrzył w lustro, które nie zniekształcało wizerunku, tylko uwzględniało czas.

– Przecież ty nie żyjesz! – odkrzyknął.

– Naprawdę, chłopcze? – rzekł Carus. Jego śmiech był niczym odległy grzmot. Wiatr zwiął piasek z wydmy i otoczył go wirami, lśniąc na jego spoconej skórze jak diamentowy pył. – Czyżby?

Postać starego króla nie zmieniła rozmiarów, lecz jego głos potężniał z każdym krokiem. Na jego twarzy malowała się znużona determinacja człowieka, który odbył daleką podróż i jest gotów kontynuować ją aż do końca, zanim odpocznie.

– Pomogę ci zostać królem Wysp, chłopcze – rzekł Carus. – A ty zaprowadzisz mnie do księcia Tedry'ego z Yole, z którym mam nie dokończoną sprawę.

Garric obserwował tę postać, teraz smaganą deszczem na kamienistym zboczu. Pnie sosen gięły się na wietrze. Carus skulił się i szedł dalej, poruszając nogami z regularnością wahadła.

– Yole zatoneło tysiąc lat temu! – zawołał Garric. – Król Carus nie żyje!

Carus odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem człowieka, który bawi się, czym tylko może, czy jest to zachód słońca czy brzęk stali na polu bitwy.

Garric odwrócił się. Połączył siebie ze snu z młodzieńcem śpiącym na słomie w stajni,

owinięty w cienki koc i zaciskającym w dłoni starożytną monetę, którą nosił na szyi.

Ptak przedrzeźniacz przysiadł na gałęzi derenia i wydawał serie melodyjnych dźwięków zaledwie trzy metry od postukującej kołatką Shariny. Był ładny, pogodny ranek i pąki kwiatów otworzyły się, otaczając ptaka swymi białymi kwiatostanami.

Ładna pogoda trochę poprawiła Sharinie nastrój, chociaż nie dodała jej pewności siebie. Dziewczyna ruszyła w dół zbocza, ku chacie, wołając:

– To ja, Nonnusi! Potrzebuję twojej pomocy!

Pustelnik stał przy strumieniu, wygładzając jesionowy kij, przytrzymywany poziomo przez dwie rozwidlone podpórki. Skrawki kory pokrywały ziemię i wisiały w trzcinach nad brzegiem strumyka. Woda w nim miała najwyżej dziesięć centymetrów głębokości. Głębsza była tylko wykopana przez Nonnusa i wyłożona kolorowymi kamieniami sztuczna sadzawka, w której kąpał się i zmywał miedziane naczynia.

– Mam nadzieję, że nie jesteś chora, moje dziecko? – powiedział, ocierając nóż połą czarnej tuniki. Posłał jej ten krzywy uśmiech, który Sharina widywała częściej niż ktokolwiek z mieszkańców wioski. – Nie, na pewno nie, sądząc po twoim różnym kroku.

Nonnus krytycznym spojrzeniem obrzucił ostrze noża, obracając go pod światło. Zadowolony, schował go z powrotem do pochwy.

Każdy wieśniak na Haft nosił nóż, który służył do rozmaitych celów: ucinania sznurów, wyłuskiwania kamieni spomiędzy owczych racic, nacinania karbów przy liczeniu stad – mnóstwa czynności niezbędnych w rolniczej społeczności. Te noże najczęściej były sporządzane przez miejscowego kowala z kawałków kutego żelaza, a następnie obsadzone w rękojeściach z kości, rogu lub drewna. Klinga zazwyczaj miała dziesięć do piętnastu centymetrów długości, zaokrąglony koniec oraz była naostrzona wedle potrzeby na najbliższym kamieniu.

Nóż pustelnika był niezwykłym, chociaż niemniej praktycznym narzędziem. Miał ostrze z polerowanej stali i ponad trzydzieści centymetrów długości, a jego tępą krawędź była grubości małego palca. Ostrze było zgrabnie wygięte i rozszerzone na końcu, co ułatwiało rzucanie.

Nonnus używał tego noża do wszystkiego, od oprawiania zwierzyny po cięższe prace, przy których miejscowi posługiwali się toporami, sierpakami lub strugami. Nóż był wystarczająco mocny, by nie złamać się przy ciężkich pracach i dostatecznie ostry, by można nim przystrzyc brodę lub czuprynę. Sharina czasem widziała jak pustelnik rąbie nim drzewo, miarowymi uderzeniami, przy których drzazgi leciały aż na drugi brzeg strumyka.

– Nie, nie jestem chora – przyznała Sharina. Podskoczyła, złapała się gałęzi i zakołysała, po czym znów zeskoczyła na ziemię. – Nonnusi – powiedziała śmiało. – Oni, Asera i Meder, chcą, żebym popłynęła z nimi na Ornifal. Chcę, żebyś wybrał się tam ze mną, ponieważ ci ufam. A ponadto, ty bywałeś już w miastach.

Nonnus odparł z nieznacznym uśmiechem:

– Tak czy inaczej, bywałem – przyznał. – Jednak ja nie jestem człowiekiem miasta, tak jak twój ojciec, Sharino. To on powinien popłynąć tam z tobą, albo twoja matka.

Wyjął ze strumienia wiadro z kory pozszywanej ścięgnami, uszczelnionej żywicą drzewa kauczukowego. Było pełne soku brzoźowego. Pustelnik trzymał je w bieżącej wodzie, tak że napój był chłodny nawet w najgorętsze sierpniowe dni. Z kabłąka zwisały dwa kubki z kory. Napełnił je i podał biały kubek Sharinie.

– Gdyby Reise lub Lora pojechali ze mną, zrobiliby to z własnych powodów – powiedziała smętnie Sharina znad kubka. – Potrzebny mi ktoś, kto martwiłby się głównie o mnie.

Nonnus odwrócił się, spoglądając na chatę i ogród.

– Na Haft było mi dobrze – powiedział. – Przybyłem tutaj, ponieważ było to najdalej położone miejsce, do którego mogłem dotrzeć, nie spadając z krawędzi świata.

Ponownie popatrzył na Sharinę i posłał jej uśmiech jak błysk słońca odbitego od lodowca.

– Do czego jeszcze nie byłem gotowy. Od dawna nie byłem na Ornifal.

Sharina spojrzała pustelnikowi w oczy, a potem znów spuściła wzrok, nerwowo zaciskając usta.

– Wiesz, Nonnusie? Reise i Lora nie są moimi rodzicami. Byli nimi książę Niard i księżna Tera.

Nonnus parsknął z lekkim rozbawieniem.

– Jesteś mądrą dziewczyną, skoro jesteś tego tak pewna – rzekł. – Zawsze wydawało mi się, że to niejasna sprawa, ale wolałem nie pytać.

– Nie ma żadnych wątpliwości – powiedziała Sharina. Trochę zirytowało ją, że pustelnik bez zdziwienia przyjął tę rewelację. – Meder rzucił zaklęcia. On jest czarodziejem.

– I to potężnym, sądząc z tego, co mówi Tenoctris – przytaknął Nonnus – ale nie ryzykowałbym życia, opierając się na tym, co mówi lub robi czarodziej.

Kiedy zaczął formułować tę myśl, w jego głosie słychać było nutę zadumy, lecz koniec zdania zabrzmiał zupełnie inaczej. Twarz pustelnika była jak wyrzeźbiona w drewnie.

– Nonnusie? – nalegała Sharina. – Ja nic nie wiem o czarodziejach, ale myślę, że mówił prawdę.

Nonnus z wystudiowanym spokojem zawiesił kubek z powrotem przy wiadrze, a potem odwrócił się plecami do Shariny.

– Och, ja nie wątpię, że to prawda – rzekł ochryłym głosem. – Tylko że tacy jak on myślą, że zaklęciami mogą zmienić świat. Mylą się!

Sharina trzymała kubek w obu dłoniach, już z niego nie pijąc. Obawiała się, że może zrobić coś, co jeszcze bardziej rozdrażni pustelnika, więc stała nieruchomo jak wizerunek Pani wyrzeźbiony w pniu żywego drzewa.

– Earl Sandrakkanu miał czarodziei na wałach swojego obozu, kiedy spotkał się z królem Valence'em przy Kamiennym Murze – powiedział Nonnus. Jego głos zmienił się w groźny warkot, który przypominał pomruk jakiejś bestii lub świst wichru. – Kiedy wojska ruszyły na siebie, czarodzieje złożyli w ofierze kury i barany, podrzynając im gardła tak, by krew spływała po murach. Potem rzucili zaklęcia i ziemia zadrżała.

Zerknął na płaskorzeźbę Pani i uśmiechnął się. Obrócił się do Shariny i mówił dalej:

– Od ich zaklęć ziemia zafalowała jak szmata na wietrze. I co z tego? Przy każdym sztormie o brzegi wyspy Pewle biją trzydziestometrowe fale! Jednak milicja na prawym skrzydle Ornifal wpadła w panikę i kawaleria Sandrakkanu przedarła się przez lukę, otaczając króla Valence'a.

Usiłował mówić normalnym tonem, ale ze wzburzenia plątał mu się język i brakowało mu słów. Spojrzał na Sharinę. Czując, że powinna coś powiedzieć, podsunęła:

– Lecz Krwawe Orły wytrzymały, Nonnusie?

– Och tak – odparł głuchym, pełnym rozpaczony tonem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała z ludzkich ust. – Wytrzymały.

Sharina wyciągnęła do niego rękę, jakby usiłowała dotknąć niewiarygodnie delikatnej tkaniny. Nie podał jej swojej, ale uśmiechnął się. Jego laska stała oparta o pobliskie drzewo. Teraz wziął ją w ręce.

– Szlachetnie urodzeni chcą zabrać cię do Valles – rzekł spokojnie. – A ty chcesz się tam udać?

Na obu końcach tego leszczynowego kija były żelazne obejmy. Nonnus obejrzał je uważnie,

a potem oparł pałkę jednym końcem o płaski kamień.

– Meder twierdzi, że to moje przeznaczenie – odparła zmieszana Sharina. Mieszkańcy Barca's Hamlet nie mieli przeznaczenia, tylko życie. – Ponadto nie sędzę, aby pozwolili mi odmówić. Wiesz, że mają żołnierzy.

– Owszem, mają – rzekł dziwnym tonem Nonnus. – Zapytałem jednak, czego ty chcesz.

Przyłożył koniec jesionowego klina do nitu przytrzymującego obręcz, a potem mocno uderzył rękojęścią noża. Główka nitu wyskoczyła na pół centymetra z drugiej strony. Nonnus chwycił ją i wyjął nit. Miał tak silne palce, że mógł nimi prostować haczyki na dorsze.

– Myślę, że chcę tam popłynąć, Nonnusie – odparła. – Tylko trochę się boję, bo nigdy nie opuszczałam wioski. Ale chcę popłynąć.

Pustelnik nie odpowiedział natychmiast, tylko zdjął nasadkę i wszedł z nią do chaty. Po chwili wrócił, niosąc niewielki pakiecik nasączonego olejem płótna, którego Sharina jeszcze nigdy u niego nie widziała.

– Oni... – zaczęła. – Oni szykują dziś statek. Chcą odpłynąć jutro rano.

Nonnus przykucnął i rozwinął pakiecik, trzymając go tak, że Sharina mogła zobaczyć zawartość. W płótnie był zawinięty stalowy grot włóczni, z dwoma szerokimi i dwoma wąskimi kantami. Jego szpic był ostry jak igła.

Umocował grot na końcu drzewca, a potem spojrział na Sharinę.

– Nic nie wiem o przeznaczeniu, moje dziecko – rzekł. – Znam się jednak na śmierci i zrobię co będę mógł, żeby utrzymać ją z daleka od ciebie.

Uśmiechnął się łagodnie. Zawsze był łagodny, wobec niej i innych wieśniaków. Jednak Sharina nigdy nie brała tej grzeczności za słabość.

– Wracaj, dziecko – powiedział pustelnik. – Będę tam, kiedy statek będzie gotowy do drogi.

– Dzień dobry, pani Tenoctris – powiedziała Ilna, dołączając do Garrica i kobiety-rozbitka w zagrodzie do strzyżenia owiec. – Nadal mam pani szatę. To wspaniałe barwniki, skoro wytrzymały kąpiel w słonej wodzie i prażące słońce.

Tenoctris podniosła głowę. Wskazującym palcem wodziła po znakach i omawiała je lub odczytywała Garricowi. On też się odwrócił i uśmiechnął, kiedy zobaczył Ilnę.

Znajdująca się na północ od wioski zagroda składała się z wysokich na metr murków, zbudowanych z polnych kamieni i resztek budynków, czasem bardzo starych. Kamień, który oglądała Tenoctris był płytą zaledwie centymetrowej grubości. Jego boki zostały wyrównane, a potem pokryte znakami, w których Ilna rozpoznała Dawne Pismo.

Nie potrafiła go czytać. Nie umiała czytać nawet wywodzących się z niego prostszych współczesnych liter. W dzieciństwie nie miała czasu na takie zbytki, jak nauka.

– Nie wygląda na to, żebym miała tu wiele okazji do chodzenia w jedwabiach, prawda? – zauważyła Tenoctris. Z uśmiechem spojrzała na Ilnę i Garrica. – Jak sądzicie, czy księżę Haft potrzebuje nadwornej czarodziejki? W dodatku niezbyt potężnej.

Garric stropił się. Tenoctris równie dobrze mogła zapytać go, co znajduje się po drugiej stronie świata.

– Nie wiem, pani – odparł. – Może mój ojciec potrafiłby na to odpowiedzieć. Mówi, że znał Lascarga, zanim ten został księciem.

Ilnę nie obchodziło, co stało się z szatą. Ten strój był wspaniały i niewątpliwie bardzo cenny dla jakiegoś kupca, lecz dotykając go czuła niepokój. Skorzystała z tego pretekstu, żeby spotkać się z Garricem. Prawie go nie widywała, od kiedy przyłynął statek, przynosząc jej zyskowną okazję kwaterowania pięciu żołnierzy.

Być może Tenoctris zauważyła, że to pytanie zbiło go z tropu, ponieważ powiedziała:

– Garric pokazywał mi rzeźbione kamienie, które zostały wykorzystane przy stawianiu współczesnych budynków. Ten, to kamień nagrobny.

Ponownie powiodła palcem po znakach pisma.

– Z twoich czasów? – spytała Ilna. Słyszała plotki o kobiecie z odległej przeszłości, ale chciała usłyszeć potwierdzenie z jej własnych ust.

– Znacznie późniejszych – odparła Tenoctris. – Ten jest niewiele starszy od gospody. Zapewne Dawne Pismo było urzędowym jeszcze długo po tym, jak przestało być używane na co dzień.

– Skąd wiesz? – spytała Ilna, mrużąc oczy na to pozornie nielogiczne stwierdzenie. – Jeśli naprawdę przybyłaś z przeszłości, daty na tych kamieniach nic nie powinny ci mówić.

Dotykając szaty Tenoctris, Ilna przekonała się, że ta kobieta pochodzi z niewyobrażalnie odległego czasu, ale nie chciała w to wierzyć. Ta wiedza nie należała do zrozumiałego dla niej świata.

– Tutaj, na obrzeżu jest prośba do Pasterza, by strzegł dusz tych, którzy odeszli – wyjaśniła Tenoctris z uśmiechem aprobaty. – Zapewne jest też data, w miejscu, gdzie teraz nie możemy jej zobaczyć. Oszacowałam wiek kamienia na podstawie mocy, jaką wchłonał, kiedy położono go na grobie.

– Aha – mruknęła Ilna i zaczerwieniła się. – Przepraszam, pani.

– To było dobre pytanie – powiedziała Tenoctris bez śladu sarkazmu czy wyższości. Zerknęła na

Garrica, a potem skupiła wzrok na jego prawej ręce, w której zaciskał coś przez materiał tuniki na piersiach. – Co tamnosisz, Garricu? Zdaje się, że to z tego powodu jesteś taki... nieswój. Prawda?

Garric zdjął z szyi pętlę jedwabnego sznurka, jasnoniebieskiego jak zimowe niebo. Podał go Tenoctris razem z zawieszoną na nim monetą. Ilna jeszcze nigdy nie widziała tej ozdoby.

– Tę monetę dał mi wczoraj ojciec – rzekł przepaszajaco. Świadomie czy nie, dotykał tego przedmiotu, by zwrócić nań uwagę czarodziejki. – Nie powiedział mi o nim nic poza tym, że należy do mnie.

Tenoctris trzymała monetę na otwartej dłoni. Kciukiem przyciskała sznurek, żeby nie upuścić oglądanego z obu stron pieniążka. Po jednej stronie widniał zatarty profil jakiegoś mężczyzny, a po drugiej napis, chociaż Ilna nie była tego pewna.

– To pochodzi z moich czasów – stwierdziła Tenoctris, spoglądając na Garrica. – Wiesz, to nie jest przedziurawiona moneta, ale medalion. Widzisz, że ten otwór został zrobiony na sztancy?

Oddała go Garricowi.

– To medalion Carusa – powiedziała. – Został wybity w dniu jego koronacji na króla Wysp.

Ze zdziwieniem kręcąc głową, Tenoctris mówiła dalej:

– Wiecie, pamiętam większość rzeczy, jakie wydarzyły się wcześniej. Dopiero pod koniec wszystkie wspomnienia zacierają się jak stary fresk, z którego łuszczy się farba. Kiedy widzę Dawne Pismo i dotykam przedmiotów z moich czasów, coś sobie przypominam, ale nie wszystko.

– Tenoctris? – zapytał ostrożnie Garric. – Czy widziałaś kiedyś króla Carusa?

Czarodziejka potrząsnęła głową. Wszystkie jej ruchy były oszczędne i precyzyjne. Ilna pomyślała, że niemal wszyscy ignorowaliby tę kobietę, popełniając poważny błąd. Tenoctris była niepozorna, ale tak twarda, że można by nią ciąć szkło.

– Nigdy przedtem nie byłam na Haft – wyjaśniła. Uśmiechnęła się i dodała: – Pewnie gdyby królewska flota nie została zatopiona, zobaczyłabym go na Yole.

Para ziemnych wiewiórek gonila się po szczycie muru, skrzecząc przeraźliwie. Kiedy dostrzegły ludzi, stanęły jak wryte, gapiąc się w milczeniu, a potem umknęły z powrotem tam, skąd przyszły.

– Czy widziałaś kiedyś człowieka w czarnej szacie z kapturem zasłaniającym twarz, nawet oczy? – spytał Garric. Wbijał wzrok w ziemię. – Nie wiem jak mógłbym go lepiej opisać, bo...

Tenoctris powoli wyciągnęła rękę, dotknęła jego brody i lekko uniosła ją, aż napotkał jej spojrzenie.

– Gdzie spotkałeś Zakapturzonego? – zapytała cichym, łagodnym tonem.

– Nie spotkałem go naprawdę – odparł Garric. Z powrotem zawiesił sobie medalion na szyi, korzystając z okazji, by przerwać kontakt wzrokowy. Czuł się równie nieswojo, jak Ilna dotykająca szaty czarodziejki. – To był tylko sen.

– Być może – mruknęła Tenoctris, opuszczając rękę. – Nie wątpię jednak, że był bardzo realistyczny.

Ponownie potrząsnęła głową, jakby układając w niej rozsypane wspomnienia.

– Nie wiem, kim on naprawdę był ani skąd się wziął, chociaż był najpotężniejszym czarodziejem, jakiego spotkałam. Twierdził, że jest Malkarem, ale kłamał.

– Podawał się za Złego? – zapytała ze zdumieniem Ilna. Malkar był demonem, którym straszono dzieci, a nie bogiem jak Pani i jej małżonek Pasterz, czy choćby władająca światem podziemi Siostra. Nikt nie czcił Malkara. Byłoby to jak oddawanie czci szambu.

– Malkar nie jest... – zaczęła Tenoctris. Powiodła spojrzeniem od Ilny do Garrica, rozważając jak zareagowaliby na stwierdzenie, którego była bliska. Kiwnęła głową i powiedziała: – No cóż. Ujmę to inaczej.

Zanim podjęła wąż, usadowiła się na murku. Musiała stanąć na czubkach palców, gdyż murek był dla niej odrobinę za wysoki. Cała wioska korzystała z tej zagrody podczas wiosennego strzyżenia owiec i w Święto Barana, kiedy kupcy przybywali z Carcosy i jeszcze odleglejszych miast.

– Dla czarodzieja – zaczęła – największym źródłem siły jest słońce, a także Malkar. Jednak nikt nie zdoła bezpośrednio dotrzeć do samego źródła. Moce, jakie wykorzystuje czarodziej, nie są czyste, tak samo jak nie jest czysta woda, którą pijecie.

– Chcesz powiedzieć, że Malkar nie jest zły? – rzekł Garric z marsową miną, jaką Ilna rzadko widziała na jego twarzy. Ponieważ Garric or-Reise zazwyczaj miał na niej chłopięcy uśmiech, łatwo było zapomnieć jaki w rzeczywistości jest wysoki i silny. – Słyszysz Malkarowi?

– Nie – odparła Tenoctris, podkreślając swoje słowa mocnym postukiwaniem w murek. Siedziała na prostokątnym bloku białego wapienia, będącym fragmentem jakiejś starożytnej jaskini. – Nikt nie służy Malkarowi. Co zaś do wykorzystywania sił wywodzących się od Malkara, to nie pije się słonej wody. Nie wszystko jest takie proste.

Ilna obróciła głowę i obserwowała tańczące w blasku słońca fale. Przy brzegu woda była ciemna, prawie purpurowa, ale dalej – i jak mogła sięgnąć okiem – Morze Wewnętrzne miało bladozieloną przejrzystość najpiękniejszego jadeitu. Było znacznie piękniejsze niż bezbarwny płyn wyciągany ze studni, a przecież żaden człowiek nie może pić morskiej wody...

– Zakapturzony był bardzo potężny – ciągnęła w zadumie Tenoctris. – Potrafił zawalić dno morza pod flotą Carusa. A także zatopić Yole, chociaż bezwiednie... To było naprawdę zdumiewające i żaden czarodziej nie uwierzyłby, że coś takiego jest możliwe. Jednak moce, które wykorzystywał Zakapturzony i których używają wszyscy czarodzieje, w ciągu niecałego roku stukrotnie urosły w siłę. Kryło się za tym coś więcej niż tylko ludzkie działania.

– Czy to Malkar spowodował ten wzrost? – zapytała Ilna. Rozmawiając o magii czuła dziwne podniecenie i niepokój, jakby wyobrażała sobie, że pływa w błyszczącym, cudownym morzu.

Tenoctris potrząsnęła głową, sfrustrowana niemożnością znalezienia odpowiednich słów.

– To jakby pytać czy zima chce być mroźna – odparła. – Są pory roku i są moce. Działają niezależnie od tego, czy je rozumiemy, czy nie. Malkar pojawia się i znika. Jednak nie...

Urwała i spojrzała na tych dwoje młodych ludzi w blasku słońca.

– Nie sądzę, by słońce i Malkar miały jakąś świadomość. Jednak mogę się mylić, prawda?

Uśmiechnęła się ujmująco. Chociaż jej twarz nie była piękna nawet za młodu, teraz wydawała się miła jak miękki aksamit.

– Wiem tylko – rzekła – iż moc rośnie tak samo jak za moich czasów. Te same siły, które zatopily Yole, rzuciły mnie na Haft. Może to zbieg okoliczności.

Garric skrzywił się. Wskazującym palcem dotknął medalionu, uświadomił sobie, co robi i ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie wiem, co o tym myśleć – powiedział. – Chyba nie muszę. Barca's Hamlet nie zmieni się, choćby nie wiem co.

Ilna spojrzała na Garrica i wyczytała kłamstwo w napiętych mięśniach jego zaciśniętych szczęk. Były teraz twarde jak dębowe deseczki.

– Pamiętam, że pod koniec – ciągnęła Tenoctris – Zakapturzony zasiadał na czarnym tronie. Twierdził, że to tron Malkara, prawdziwe źródło mocy. Tymczasem pierwszy wstrząs strząsał ten stołek.

– Ale Malkar istnieje naprawdę? – zapytała spokojnie Ilna, mierzając ją spojrzeniem głębokim i zimnym jak morze.

Tenoctris w milczeniu odwzajemniła się jej spojrzeniem, w którym szybko pojawiła się aprobata.

– Och, tak – powiedziała czarodziejka. – Malkar jest równie realny jak słońce i tak samo wieczny. I obawiam się, że Zakapturzony może być częścią obecnej rzeczywistości, jeśli Garric widuje go we snach.

Ilna zadrżała, jakby czarny obłok nagle przesłonił słońce. Niebo nad ich głowami było błękitne i bezchmurne aż po horyzont, a pod nim zielone morze tańczyło radośnie.

Na brzegu i na obwałowaniu zebrały się setki ludzi, więcej niż wioska widziała w najbardziej tłoczne Święta Barana. Przybycie triremy było niespodzianką, za to wszyscy w okolicy wiedzieli, kiedy wypłynie w morze i ściągnęli, żeby to zobaczyć.

Sharina jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

– Przepraszam, że na statku jest tak mało miejsca – paplał wesoło Meder – ale naprawdę, Sharino, żaden ze strojów dostępnych na tym odludziu nie był ciebie wart. Kiedy dotrzemy do Valles, król wyposaży cię jak wielką damę, którą jesteś.

Marynarze wnosili ostatnie zapasy po trapie i chowali je pod pokładem statku. Na rozkaz Asery jeden z nich wniósł wiklinowy koszyk z kocem i zapasową koszulą Shariny. Był pogodny, słoneczny dzień, lecz było jej zimno i otulała się płaszczem.

– Masz szczęście, że znaleźliśmy cię w porę – rzekł Meder. – Agenci królowej również cię szukają. Zabiliby cię bez wahania, gdyby znaleźli cię pierwsi.

Od czasu tamtego seansu w gospodzie Sharina unikała Medera, ale teraz, gdy oboje znaleźli się na statku, nie mogła już tego robić. Był przystojnym młodzieńcem, bogatym, wysoko urodzonym, a w dodatku potężnym czarodziejem. Po prostu w jego obecności czuła się nieswojo.

– Dlaczego królowa miałaby pragnąć mojej śmierci? – zapytała, marszcząc brwi. To ostrzeżenie raczej zdziwiło ją niż przeraziło. Nie należało do jej świata. – Dlaczego ktoś miałby chcieć mnie zabić?

Asera siedziała opodal na składanym krzeselku, pisząc rylcem na tabliczce zrobionej z pokrytej woskiem drewnianej deseczki. Szlachetnie urodzeni urzędnicy państwowi zazwyczaj mieli liczną służbę, w tym sekretarzy. Prawdopodobnie płynęli oni na jednej z tych trirem, które zatoneły.

Żaden z przyjaciół z Barca's Hamlet nie podszedł do Shariny. Nawet jej rodzina trzymała się z daleka. Lora płakała, Reise miał kamienny wyraz twarzy, nawet Garric stał sztywno z rękami założonymi do tyłu, a uśmiechy, jakie posyłał jej, kiedy na niego spoglądała, były wymuszone. Tak jakby już umarła.

– Och, królowa jest zła, zepsuta do szpiku kości, Sharino – wyjaśnił Meder zdziwionym tonem. – Sądzę, że mieszkając tutaj, nie widzisz tego tak jak my na Ornifal. Królowa chcąc zniszczyć stary królewski ród z Haft, posunęłaby się wraz ze swoimi sługusami do każdego czynu. No wiesz, ona nie pochodzi z Ornifal. I jest czarodziejką. Rzuciła na króla czar, żeby się z nią ożenił.

– W Barca's Hamlet nie widzimy królowej ani króla – powiedziała lekko zirytowana Sharina. Czy Meder uważał, że wszyscy żyją sztucznym życiem świata polityki i zdrad? Możliwe. Prawdopodobnie tak sądził. – Nie widzimy tu nikogo z Carcosy oprócz poborców podatkowych. Raz do roku kapłani urządzają tu pochód i zbierają daninę na Panią i Pasterza.

Większość załogi zebrała się przy rufie, przy obu burtach triremy, szykując się do zepchnięcia jej na wodę. Fale już omywały im kostki – był przypływ. Kilku wioślarzy weszło na pokład, żeby kierować statkiem, gdy znajdzie się na wodzie.

Krwawe Orły otaczały lśniącym kręgiem arystokratów i Sharinę. Ich obecność była jednym z powodów tego, że wieśniacy nie podchodzili do Shariny, choć podejrzewała, że mogliby się do niej przedostać, gdyby spróbowali.

– No cóż, zaufaj mi – rzekł Meder. – Królowa nie cofnęłaby się przed niczym, żeby cię zniszczyć. Ona wie, że twoje istnienie uprawomocni rządy króla Valence'a. Tylko najbardziej zdeprawowani

nie staną po jego stronie.

Sharina nie ufała Mederowi. Nie podejrzewała, by ją okłamywał – wydawał się lubić ją, a nawet szanować – lecz jego poglądy tak różniły się od jej zapatrywań, że nie mogła oczekiwać jednakowej oceny sytuacji.

– Nie rozumiem, w jaki sposób moja obecność w Valles ma uprawomocnić rządy króla – powiedziała. – Co miałyby tam robić?

– Co? – powtórzył Meder. Przez moment wyglądał na zaskoczonego, a potem w jego oczach pojawił się błysk przerażenia lub zakłopotania. Opanował się i rzekł: – Oczywiście, ja jestem tylko królewskim posłańcem. Co on... jakie ma plany...

Prokurator z ponurą miną podniosła głowę znad tabliczki.

– Mederze – powiedziała. – Twoim obowiązkiem jest wykonywać moje polecenia. Nie kazałam ci, żebyś paplał jak papuga. Rozumiesz?

Twarcz młodego szlachcica wykrzywił grymas wściekłości.

– Jak śmiesz... – zaczął.

Zamilkł, zobaczywszy spojrzenie, jakim obrzuciła go Asera. Dowódca gwardzistów, Wainer, poklepał po ramionach trzech najbliższych stojących żołnierzy. Ci odwrócili się, czujnie spoglądając na stojącą w kręgu trójkę. Meder był szlachcicem, ale oddział Krwawych Orłów miał strzec wysłanniczki króla – przed każdym zagrożeniem.

Meder skrzywił się i skłonił.

– Przepraszam – rzekł ze szczerym żalem. – Oczywiście, masz rację.

Był młody, może zbyt młody, by posługiwać się taką mocą, jaką władał, jednak dość porządnym pod powierzchowną arogancją.

Kapitan triremy podszedł do nich ze swego stanowiska przy trapie i przystanął tuż przed kręgiem żołnierzy.

– Pani? – zawołał. – Mamy już przyплыw. Powinniśmy wypłynąć zanim się skończy, inaczej zostaniemy tu do zmroku.

– Tak, w porządku, Lichnau – powiedziała prokurator. Zamknęła spięte skórzanymi zawiasami tabliczki notatnika i wstała. – Chodź ze mną, dziewczyno – rzekła do Shariny i pomaszerowała w kierunku trapu.

Jeden z żołnierzy chwycił kapitana Lichnaua za ramię i mruknął coś. Kapitan z gniewną miną podniósł pozostawione przez Aserę krzeselko i poniósł je za nią. Żołnierze poszli za nim.

Sharina podbiegła do Garrica i uścisnęła go. Niezgrabnie poklepał ją po plecach. Jak to często bywa wśród rodzeństwa, wciąż się spierali, lecz teraz, kiedy opuszczała wioskę, serce bolało ją na myśl, że tego wieczoru nie zobaczy go przy kolacji.

– Pamiętaj, że jesteś jedyną osobą z Barca's Hamlet, jaką widziano w Valles – mruknął. – Postaraj się, żebyśmy byli z ciebie dumni.

Cofnął się. Reise podał jej rękę. Uścisnęła ją, a potem przysunęła się i objęła i jego.

– Bądź zdrow, ojciec – powiedziała.

Reise uśmiechnął się jak zwykle, skąpo i chłodno.

– Bądź zdrowa, Sharino – rzekł. – Pomogę ci w miarę możliwości.

– Chodź za mną, dziewczyno! – powtórzyła Asera z trapu. Meder stał w pobliżu, wykręcając palce, ale nie próbując oderwać jej od rodziny.

– Matko? – powiedziała Sharina.

Lora gniewnie spojrzała na nią błyszczącymi od łez oczami.

– Och, nie musisz udawać, że jestem twoją matką! – powiedziała. – Traktowałam cię jak córkę,

ale teraz, kiedy wybierasz się do królewskiego pałacu, możesz mnie tu zostawić. W końcu jestem tylko pokojówką!

Sharina otworzyła usta, żeby ją przebłagać, ale zaraz je zamknęła. Jedyne sposoby w jakie mogłaby uszczęśliwić Lorę, to zabrać ją do Valles. Sharina nie chciała jednak tego robić, nawet, gdyby Asera pozwoliła jej na to.

Uścisnęła rękę Lory i powiedziała tylko:

– Bądź zdrowa, mamó.

Odwróciła się i poszła w kierunku trapu. Za jej plecami Lora łkała histerycznie. Tłum wokół trapu rozstał się. Nonnus wyłonił się z niego, trzymając na ramieniu włócznię. Na jej końcu wisiał węzełek z jego osobistymi rzeczami. U pasa kołysał mu się wielki nóż.

Dwaj żołnierze zastąpili mu drogę, stając ramię w ramię. Nonnus zatrzymał się przed nimi. W jego zachowaniu zaszła jakaś dziwna zmiana, której Sharina nie była w stanie pojąć, ale instynkt podpowiadał jej, że sytuacja stała się groźna.

– On jest ze mną! – zawołała, podbiegając i stając obok pustelnika. – Musicie go przepuścić!

Prokurator zdążyła już wejść na pokład.

– Nie mów głupstw! – zawołała z rufy.

Żołnierze zeszywnieli. Nonnus uśmiechnął się. Jeden z żołnierzy dotknął rękojeści miecza i szybko cofnął dłoń.

– Nonnus płynie z nami, albo ja zostaję! – powiedziała Sharina głosem dźwięcznym jak stal. – Nie żartuję! Nikt nie zdoła mnie dogonić, jeśli zechcę uciec!

– Znam ją dłużej niż ty, pani – rzekł Nonnus, bez trudu zagłuszając gwar. – Na twoim miejscu uwierzyłbym jej.

Asera ścisnęła reling. Ten kawałek poręczy był świeżo wymieniony. Słońce i słona woda jeszcze nie wybieliły drewna.

– W porządku, wejdź na pokład! – rozkazała. – Już!

Sharina wbiegła po trapie, ciągnąc za sobą pustelnika. Meder i dwaj żołnierze, ostatni pasażerowie statku, poszli za nimi.

– Co za dziwny strój! – usłyszała głos czarodzieja. – Skąd przybywasz, wieśniaku?

I odpowiedź Nonnusa:

– Z wielu różnych miejsc, przyjacielu. I jeśli spotka cię szczęście, nie będziesz musiał odwiedzić żadnego z nich.

KSIEGA II

Cashel stał z dala od innych gapiów, w miejscu gdzie południowy koniec obwałowania wioski zastępowały trawy i naturalne kruche skały tego regionu. Patrzył jak załoga triremy spycha okręt na wodę i płakał.

Wszyscy pasażerowie byli na pokładzie. Załoga osadziła maszt w gniazdach przytwierdzonych do kilku pod pokładem, a nawet do ławek wioślarzy, ale jeszcze nie postawili żagla. Pozszywali wszystkie kawałki brezentu jakie znaleźli w Barca's Hamlet, uzyskując grotżagiel, którym zastąpili ten porwany przez burzę. Trirema mogła używać żagla tylko podczas dobrej pogody, gdyż olinowanie było bardzo niewygodnie rozmieszczone i nagły szkwał groził wywróceniem długiego, wąskiego statku. W wietrzne dni stawiano tylko mały trójkątny fok, który wspomagał pracę wioślarzy.

Garric ruszył po szczycie obwałowania w kierunku Cashela. Uśmiechnął się i pomachał mu, gdy pochwycił jego spojrzenie.

Cashel pomachał mu w odpowiedzi i szybko otarł oczy przedramieniem. Nie pragnął towarzystwa – przecież dlatego tu przyszedł! Jednak nie mógł odprawić Garrica, nie robiąc z siebie jeszcze większego głupca.

Kapitan triremy zawołał „Gotowi!” głosem, który bryza przyniosła do uszu Cashela, przypominając ptasi pisk. Ponad setka żeglarzy stojących w wodzie oparła się o kadłub i wzmocnienia burt przy dulkach.

Na rufie dobosz zaczął wybijać rytm na wydrażonym pniu. Zwyczajny bęben obciągnięty skórą rozmiękłby w wilgotnym wnętrzu statku. Żeglarze pokrzykiwali miarowo, spychając statek na fale. Morze pieniało się wokół nich, sięgając do kolan tym, którzy stali najbliżej dziobu.

– Te ostatnie trzy dni zupełnie zamieszały mi w głowie – rzekł Garric, gdy podszedł na tyle blisko, że przyjaciel mógł go usłyszeć. – Czuję się tak, jakby to wszystko przytrafiło się komuś innemu.

– Chciałbym, żeby tak było – rzekł Cashel. W oczach znów stanęły mu łzy. Nie mógł ich powstrzymać.

Oficerowie stali w wodzie za plecami marynarzy, wykrzykując rozkazy do wtóru wznoszących się i opadających fal. Przyptyw kończył się, ale bez trudu zepchnęli okręt na wodę. Dziób był wolny, a rufa przy każdym pchnięciu przesuwawała się dalej. Deski burty poniżej linii wodnej były czarne od smoły, którą uszczelniono kadłub.

Stając obok Cashela, Garric obrócił się, by patrzeć na statek. Cashel pospiesznie znowu otarł oczy, chociaż wiedział, że to mu nie pomoże na długo.

Na obu burtach obsadzono już trzydzieści wiosła, chociaż w tej chwili były one jeszcze uniesione i nieruchome. Jeden z oficerów stał na dziobie, wypatrując większej od innych fali, która mogłaby unieść statek i rzucić go na brzeg. Cashel nie był marynarzem, lecz każdy kto mieszka nad morzem, uczy się respektu dla jego nieobliczalnej natury.

Poranne słońce zaróżowiło kadłub triremy, która wyglądała teraz jak płomień na wodzie. Namalowane na dziobie oko wydawało się mrugać, omywane przez fale. Garric zapewne też to zauważył, ponieważ rzekł:

– Kapitan powiedział mi, że to oko nie służy statkowi do wypatrywania drogi, jak sądziłem. Ma odstraszać morskie potwory.

Kolejny tuzin wiosła pojawił się w otworach w rufowej części statku. Trirema unosiła się już na

wodzie. Wiosła na dziobie zaczęły poruszać się, utrzymując statek w miejscu, podczas gdy marynarze znajdujący się w wodzie chwytały za wiosła przy rufie i wspinali się na pokład. Dobosz zmienił rytm.

Pasażerowie i ich eskorta stanęli na śródokręciu, gdzie najmniej przeszkadzali załodze i gramolącym się na burty wiosłarzom. Pod masztem stała wysoka, jasnowłosa kobieta w zimowym płaszczu.

– Żegnaj, Sharino! – zawołał Garric. Pomachał rękami nad głową. – Bądź zdrowa! Bądź zdrowa! Obrócił się do Cashela i powiedział:

– Nie mogę pogodzić się z tym, że Sharina nas opuszcza. Jakby to wszystko działo się w innym świecie.

Cashel zaczął szlochać. Powoli opadł na kolana, jak pchnięty w serce muł. Podparł się laską.

– Cashelu? – zaniepokoił się Garric. – Cashelu?

– Zostaw mnie samego, dobrze? – krzyknął Cashel. Łzy zmieniły te słowa w bełkot. – Och, Duzi, tak bardzo ją kocham. Tak bardzo.

– Kochasz Sharinę? – zdziwił się Garric. Nawet w tym stanie Cashel usłyszał niedowierzanie w głosie przyjaciela. Potem Garric dodał zupełnie innym tonem: – Czy ona o tym wie?

– Nie, nikt nie wie – rzekł Cashel. Już poczuł się lepiej, jakby wyjawiając prawdę pozbył się jadu rozpacz, zatruwającego mu duszę. – Nawet moja siostra.

Chociaż nie miał co do tego pewności. Ilna czasem czytała jego myśli, zanim jeszcze przyszły mu do głowy. Wstał, nadal oślepy od łez, ale już nie drżący. Otarł oczy i tym razem nie popłynęły z nich nowe łzy. Zakłopotany Garric nie patrzył na Cashela.

– Nic mi nie jest – mruknął Cashel do zatroskanego przyjaciela. Przypuszczał, że tak rzeczywiście jest. Pozostało tylko zimne, puste miejsce w jego sercu, z którego łzy wypłynęły wraz z uczuciami.

Okręt już odbił od brzegu. Jego wiosła poruszały się miarowo, niczym odnóża stonogi. Tylko dwa rzędy ławek były obsadzone. Sztorm musiał połamać wiele wiosel, a w Barca's Hamlet nie zdołali ich uzupełnić.

– Nie wiedziałem, że ludzie odczuwają w ten sposób... – zaczął Garric. Bezgłośnie poruszał ustami, usiłując jakoś ująć tę myśl w słowa, lecz w końcu zrezygnował.

– Jak w jednym z twoich poematów miłosnych, prawda? – rzekł z goryczą Cashel. – Może na tym polega problem, że pozwoliłem, abys czytał mi poezje. Tutaj nie ma miejsca na miłość. Ona nie pasuje do takich jak ja.

Barca's Hamlet była zbyt małą społecznością, by dzieci dorastały w niewiedzy co do tego, co dzieje się między kobietą i mężczyzną. Kiedy para kłóciła się, wszyscy słyszeli gniewne słowa. Żony rzucały się z pazurami na rywalki, mężczyźni okładali się pięściami na zabłoconych podwórzach.

Jednak bili się także o miedze i zaginione owce. Gniew był tu czymś naturalnym. Natomiast bolesna pustka, jaką Cashel czuł po wyjeździe Shariny, była jak trąd, jak uparta plama, której nie da się zmyć.

– No cóż, ona wróci, przecież wiesz, Cashelu – rzekł Garric, pokrywając kłamstwo pozorną wesołością. – Ja też ostatnio dziwnie się czuję. Sądziłem, że to jad wilka morskiego...

Lekko poklepał prawą łydkę. Rany już się zamknęły, chociaż blizny pozostaną jeszcze długo.

– Wiesz co? Może to jest zaraźliwe i też złapałeś tę gorączkę?

– Ona nie wróci – rzekł beznamiętnie Cashel. Już nie czuł smutku, tylko pustkę. – Ja też stąd odejdę, Garricu. Nie mogę tu zostać. Do końca życia pamiętałbym o tym, że ona była tutaj, a teraz jej nie ma.

– Odejdiesz? – powtórzył Garric. – A dokąd miałbyś pójść? Posłuchaj, nie widzę powodu, żeby Sharina nie miała tu wrócić. Po prostu przez kilka ostatnich dni tyle się wydarzyło, że pogubiliśmy

się. Wszystko wróci do normy.

– Nie wiem, dokąd pójde ani kiedy – rzekł poważnie Cashel – ale nie zostanę tu długo.

Z wymuszonym uśmiechem spojrział na przyjaciela.

– A teraz wracam do owiec. Nie powinienem ich zostawiać, ale musiałem popatrzeć.

Garric otworzył usta.

– Nie – uciął ostro Cashel. – Nie potrzebuję towarzystwa. Nie dziś.

Ruszył ku pobliskiemu pastwisku, gdzie owce powoli przesuwały się w świeżej trawie. Na szczycie pierwszego wzniesienia przystanął, żeby ponownie obejrzeć się przez ramię.

Statek był już w połowie drogi do horyzontu. Nie dało się rozróżnić poszczególnych postaci na jego pokładzie, lecz nadal było widać niebieską plamkę płaszcza Shariny.

– Trzy rumby na północ – protestował wysoki młody oficer obok Shariny. Przytrzymująca mu jasne włosy opaska oraz lniana przepaska na biodrach miały ten sam jasnoczerwony kolor, nadając mu wygląd eleganta, wyróżniającego się z tłumu zwykłych marynarzy z ich kolczykami i tatuażami. – Tyle by wystarczyło, by postawić grotzagiel i dać wioślarzom odpocząć.

Gdy tylko statek wypłynął w morze, załoga ustawiła nadbudówkę z lekkiego lakierowanego drzewa między dwoma wiosłami steru a krzesłem kapitańskim pod nawisem wygiętej rufy. Ta prowizoryczna konstrukcja osłaniała Aserę i Medera od słońca i bryzgów fali, ale przy gorszej pogodzie trzeba ją było zdemontować, żeby nie porwał jej wiatr.

Sharinie było tam za ciasno i w taki dzień wolała otwartą przestrzeń, więc odrzuciła zaproszenie czarodzieja.

Pomimo sporych rozmiarów, na triremie było niezwykle mało miejsca. Krwawe Orły tłoczyły się wokół skrzyni z bronią, która znajdowała się przed masztem. Wzdłuż burt było trochę więcej miejsca, ale żołnierze, jako szczury lądowe, woleli trzymać się z daleka od spienionej wody. Wprawdzie burty miały nadburcia, lecz nie relingi.

– Mamy komplet załogi, Kizuta – odparł kapitan Lichnau. – Płyniemy powoli, więc odrobina wysiłku nie zmęczy wioślarzy. Prawdę mówiąc, tylko poprawi ich formę. A trzy rumby na północ skierowałyby nas trzy rumby bliżej Tegmy, niż chcę ryzykować. A teraz idź do przedniego luku i sprawdź czy uszczelnienia trzymają.

Sharina stała prawie między nimi, ale nie zwracali na nią uwagi, uważając, że cokolwiek robią pasażerowie, to nie ich sprawa. Na Ornifal pozycja marynarza – przynajmniej w porównaniu do królewskiego urzędnika – musiała być wyjątkowo niska.

A jaka jest pozycja wieśniaka z Haft? *Niechaj czeka na mnie Pasterz. Niech poprowadzi mnie Pani. Jestem taka samotna...*

Nonnus pół stał, pół leżał w zagięciu forpiku. Jedną nogę opierał o burtę, a drugą podwinął pod prawe kolano i wsparłszy głowę na splecionych dłoniach, spoglądał na pokład triremy. W odpowiedzi na spojrzenie Shariny posłał jej nieznaczny ukłon i uśmiech.

Nawet przy tej spokojnej pogodzie obciążony taranem z brązu dziób triremy mocno uderzał w fale, wychodząc z każdej wodnej bruzdy. Bryzgi wody opryskiwały pustelnika. Błyszczały na jego owłosionych kończynach i moczyły tunikę, chociaż gruba czarna wełna wydawała się nie przepuszczać wody. Nie robiło to żadnego wrażenia na Nonnusi. Tutaj nikomu nie przeszkadzał i mógł obserwować wszystko, co działo się na pokładzie.

Sharina ruszyła ku niemu. Bogowie mogli być po jej stronie lub nie. Natomiast co do Nonnusa nie miała żadnych wątpliwości.

Spór między oficerami zakończył Lichnau, mówiąc:

– W porządku, postawcie foka, ale po tym, co spotkało nas na wschodzie, nie ufałbym nawet jemu.

Kizuta potruchtał wzdłuż sterburty, pokrzykując na załogę. Nonnus zwinnie poderwał się z pokładu i ruszył do Shariny. Żeglarze niosący zwinięty w rulon fok ominęli go szybkimi piruetami, idąc w przeciwną stronę przez tłumek Krwawych Orłów.

Napierśniki i hełmy żołnierzy wraz z innymi bagażami tarasowały poniżej przejście między ławkami. Skromny dobytek wioślarzy był pochowany pod ławkami lub podłożony pod siedzenia.

Teraz Krwawe Orły nosiły kaftany i czapki z miękkiej skóry, które zakładali pod zbroje. Sucha skóra może wytrzymać cios miecza, lecz zmoczona przez deszcz lub fale staje się miękką masą, równie wytrzymałą jak ser.

Krwawe Orły pochowały oręż do skrzyni, ponieważ teraz nie zagrażało im nic prócz ewentualnych kaprysów pogody. Na zatłoczonym pokładzie statku bez trudu można było upuścić włócznię za burtę lub skaleczyć przyjaciela. Miecze i sztylety uderzałyby o poręcze i knagi, niszcząc ozdobne pochwy, a szlachetna stal ich ostrzy niemal na pewno zardzewiałaby w słonym powietrzu.

Żołnierze siedzieli na tej długiej skrzyni lub stali w pobliżu, gdyż była to jedyna część okrętu, z którą odczuwali jakąś więź. Jeden z młodszych spojrzął na Nonnusa i rzekł;

– Niezły masz nóż, stary. Jeśli wypadniesz za burtę, pociągnie cię na dno. Nie chcesz schować go tutaj?

Kopnął piętą w skrzynię za plecami.

– Będę musiał uważać, żeby nie wypaść za burtę – odparł spokojnie Nonnus. Wszedłszy na pokład, schował włócznię do skrzyni, lecz Sharina nie pamiętała, by pustelnik odkładał nóż kiedykolwiek prócz tych chwil, kiedy się modlił.

Pospiesznie przecisnęła się do Nonnusa i w następnej chwili zrozumiała, że powinna była poczekać. Na widok ślicznej młodej dziewczyny u boku starca młody żołnierz sposepniał. Jego towarzysze patrzyli na to, najwyraźniej nie mając ochoty wtrącać się do tego, co zamierzał zrobić.

– Tak, taki stary piernik jak ty mógłby bardzo łatwo wylecieć za burtę, gdyby zirytował lepszych od siebie – rzekł żołnierz. – Myślę, że ten wielki nóż jest trochę za duży, żeby się nim golić, więc może byś go odłożył? A najlepiej, może rzuciłbyś go za burtę?

Pustelnik spoglądał na niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem, panie – powiedział. Prawie nie poruszył głową, ale zerknął na boki. Żołnierze otaczali go ze wszystkich stron.

– Ningirze, co ty do diabła wyprawiasz? – wrzasnął Wainer, przedzierając się przez krąg swoich żołnierzy. Twarz miał czerwoną z gniewu. Podbiegł do nich z miejsca, gdzie klęczał przy nadbudówce, rozmawiając z ukrytą w środku prokurator.

– No, ja... – jękał się zaskoczony żołnierz.

– Posłuchaj, ty młody głupcze – warknął Wainer. – Nigdy nie widziałem, żeby pewlański nóż nie mógł dokonać czegoś, co robi się mieczem, a raz widziałem jak tymi nożami zrobiono coś, czego nie byli w stanie zrobić szermierze. Teraz zejź na dół i nie wracaj dopóki nie sporządzisz spisu wszystkich bagaży!

– Nie mam na czym pisać – protestował Ningir.

Oficer szturchnął go w pierś wskazującym palcem grubości kija od miotły.

– To zdejmij kubrak i pisz na nim! – powiedział. – Albo siedź na dole aż zgnijesz i porośniesz grzybem! Mało mnie to obchodzi. Tylko zejź z tego pokładu!

Słyszac krzyki, Sharina cofnęła się, jak owca przed nożycami postrzygacza. Nonnus stał jak dąb wrośnięty w ziemię. Nie przytrzymał jej, lecz był dla niej jak opoka.

Poblady Ningir odwrócił się i poszedł w kierunku zejściówki na rufie. Pozostałe Krwawe Orły przeżyły się. Ci, którzy siedzieli na skrzyni, teraz stali. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Przeklęty młody dureń – rzekł Wainer, prawie nie patrząc przy tym na Nonnusa.

– Dziękuję ci, panie – rzekł Nonnus dziwnie chrapliwym głosem. – Widać Pani miała mnie w opiece, że pojawiłeś się w porę.

Wainer prychnął.

– Założę się, że Pani miała raczej w opiece Ningira – mruknął. Obrzucił spojrzeniem Nonnusa

i Sharinę, a potem lekko zmarszczył brwi i znów popatrzył na pustelnika. – Byłem przy Kamiennym Murze – rzekł.

Nonnus spokojnie skinął głową, ale Sharina poczuła, że zeszywniał tak samo, jak przed chwilą, stojąc przed Ningirem.

– Masz tyle lat, że mogłeś tam być – powiedział.

– Tak samo jak ty – rzekł Wainer, uważnie przyglądając się pustelnikowi.

– Ja mam dość lat, by mieszkać w lesie, panie – odparł Nonnus – tak daleko od świata, jak zdołałem odejść, nie opuszczając go. Posłał Wainerowi krzywy uśmiech. – Podziękuję Pani za twoją interwencję, panie – dodał i poprowadził Sharinę w kierunku odległego dziobu.

Marynarze przypięli już żagiel do bomu. Wydał się na prawą burtę. Na płótnie był namalowany czerwoną farbą kontur rekinich szczęk, zapewne wojskowe oznakowanie lub ostrzeżenie.

– Co on miał na myśli mówiąc o Kamiennym Murze, Nonnusie? – zapytała cichutko Sharina.

– Inni ci o tym opowiedzą, dziecko – odparł Nonnus. – Nie ja.

Spoglądał na morze. Sharina stała obok niego, nie zważając na bryzgi wody. Żadne z nich nie odezwało się słowem, dopóki słońce nie opadło tuż nad horyzont. Wtedy pustelnik odwrócił się i zawołał:

– Ziemia na sterburcie!

Na kamiennym tarasie młyna czółenko Ilny ze szczękiem poruszało się tam i z powrotem na krosnach, z regularnością kapiącej z dziury wody. Naciskała stopą pedał lub pedały i rzucała krosienko w jedną, a potem w drugą stronę. Co sześć splotów ubijała watek.

Wzór w kształcie szarobiałych diamentów otaczał czarne pole, na którym umieściła białe gwiazdki konstelacji widzianych z Barca's Hamlet. Wypukły księżyc, na którym widoczne były wgłębienia kraterów, był prawie skończony. Do utkania pozostała tylko jego dolna krawędź.

Nitki miały naturalny kolor wełny. Dostępne barwniki były albo zbyt matowe w porównaniu z barwami występującymi w przyrodzie – ptaków, kwiatów, a nawet nasyconych odcieni wschodów i zachodów – albo traciły kolory na słońcu lub w czasie prania. Ilna gardziła sztucznymi barwnikami i doskonale wykorzystywała różne odcienie wełny owiec z Haft.

Tkany przez Ilnę materiał miał tak precyzyjny wzór, że ktoś patrzący na to w popołudniowym słońcu byłby przekonany, że to zajęcie pochłania ją bez reszty. W rzeczywistości tą czynnością były zajęte wyłącznie jej kończyny i podświadomość. Myślami błądziła wokół ostatnich wydarzeń i otaczającej ją rzeczywistości, więc w rezultacie była pierwszą osobą w Barca's Hamlet, która zobaczyła obcych przybywających drogą wiodącą do Carcosy.

Na czele szli czterej groźnie wyglądający mężczyźni. Mieli miecze i napierśniki z wielu warstw lnu, usztywnionego klejem i dodatkowo wzmocnionego metalowymi ćwiekami. Dwaj z nich prowadzili juczne muły.

Jadący za nimi mężczyzna dosiadał pięknej gniadej klaczy. Nosił kubrak z czerwonego aksamitu i czarne jedwabne rajtuzy, a jego lekki miecz, w przeciwieństwie do uzbrojenia eskorty, pełnił głównie dekoracyjną rolę. Jeździec był pulchny, ale nie gruby, mniej więcej czterdziestoletni. Ilnie trudno było ocenić wiek bogatych ludzi, których stać na to, by bronić się przed piętnem upływającego czasu.

Za nim jechała kobieta – a raczej dziewczyna – której kremowej barwy rumak wydawał się większy niż wysoka klacz mężczyzny. Nieznajoma miała na sobie brązową opończę, którą zapewne uważała za strój podróżny. Ilna wiedziała, że w całej wiosce nie znalazłoby się piękniejszego stroju, może z wyjątkiem szaty, w której znaleziono Tenoctris.

Z szerokiego ronda kapelusza zwisała woalka tak cienka, że raczej podkreślała niż skrywała rysy właścicielki. Miała kruczoczarne włosy i była najpiękniejszą dziewczyną jaką Ilna widziała w życiu.

Na końcu kolumny szli jeszcze dwaj zbrojni. To jeden, to drugi oglądał się za siebie, czujnie jak pasący się na polance jeleni.

Ilna ubiła świeżo utkane sploty i wstała. Przybysze kierowali się w stronę gospody. Psy zaczęły szczekać i klacz zarżała, zawiadamiając wszystkich wokół o niezwykłym wydarzeniu. Ilna pomaszerowała do drzwi gospody i weszła do środka, wołając:

– Reise! Przybywają bogaci goście!

Lora wyszła z kuchni, z oczami jeszcze czerwonymi od płaczu. Opłakiwała swoją zranioną dumę, nie córkę, chociaż jak daleko Ilna sięgała pamięcią, karczmarzowa rozpieszczała Sharinę, a zanedbywała Garrica. Już samo to stanowiło wystarczający powód, by budzić niechęć Ilny, nie mówiąc o jej humorach i wiecznych pretensjach do wszystkich poza córką.

A właściwie córką księcia i księżnej. Ten fakt świetnie pasował do charakteru Lory i sprawiał, że Ilna gardziła nią jeszcze bardziej.

– Statek wrócił? – zapytała Lora.

– Nie – odparła krótko Ilna, wychodząc przez frontowe drzwi.

Reise odstawił wiadro, które właśnie wyciągnął ze studni, gdy przybysze wkroczyli na dziedziniec.

Teraz, kiedy grupka bezpiecznie dotarła do wioski, mężczyzna na koniu znalazł się na czele.

– Mogę ci pomóc, panie? – zapytał Reise. – Jestem Reise or-Laver. To moja gospoda.

– Ja jestem Benlo or-Willet – odparł mężczyzna. Głos miał melodyjny, ale z odrobiną akcentu świadczącego o tym, że nie urodził się na Haft. – Potrzebne mi kwatery dla mnie i mojej córki Liane, oraz dla sześciu moich ludzi.

– Oczywiście, panie – rzekł Reise. – Czy możesz mi powiedzieć, jak długo tu zostaniesz, żebym mógł zamówić odpowiednie zapasy żywności?

Benlo zsiadł z konia i skrzywił się, gdy dotknął nogami ziemi. Sierść jego konia była pokryta kurzem i potem. Zbrojni wyglądali na znużonych, chociaż wszyscy byli twardymi ludźmi w kwiecie wieku. Dziewczyna była zbyt dobrze wychowana, by jej twarz zdradzała jakieś uczucia, lecz jej zaciśnięte usta i zmrużone oczy świadczyły o zmęczeniu. Ilna zastanawiała się, ile kilometrów przebyli od ostatniego postoju.

– Tego nie mogę ci powiedzieć, panie – odparł gładko Benlo. – Sądzę, że kilka dni, lecz to zależy od tego, jak szybko załatwię tu moje sprawy. Jestem handlarzem bydła i w Carcosie stoi w porcie mój statek, na który chcę załadować owce z Haft.

Jeden ze zbrojnych chwycił za uzdę jego wierzchowca. Drugi pomagał zsiąść z konia Liane, chociaż ta sprawiała wrażenie, że doskonale poradziłaby sobie sama. Dwaj inni zdejmowali z grzbietów mułów wiklinowe kosze z bagażami. Garric przyszedł z ulicy i wprowadził konie do stajni.

Większość mężczyzn z wioski pracowała w polu, a i niektóre kobiety również, lecz te, które zostały w domach, żeby gotować lub tkać, teraz powoli ciągnęły do gospody, zobaczyć obcych. Pomimo to widok przybyłych nie wzbudził takich emocji i gwaru, jakie wywołałby tydzień wcześniej. Okręt, który odpłynął tego ranka, całkowicie przyćmił niezwykle wydarzenie, jakim było pojawienie się handlarza poza sezonem.

– To nie jest czas sprzedawania owiec, panie – powiedział Katchin, wpadając na dziedziniec. Ubrał czystą tunikę z satynowym obszyciem, ale stopy miał uwalane w mące i bezskutecznie usiłował zapiąć skomplikowaną kłamrę pasa. – Jestem Katchin or-Keldan, wójt tej wioski. Dla dobra naszej społeczności mam nadzorować wszystkie transakcje, jakie zechcesz tu zawrzeć.

Benlo odwrócił się i z wystudiowaną uprzejmością, bardziej miażdżącą niż wzgardliwe prychnięcie, powiedział:

– Dziękuję, wójtce. Jestem przekonany, że twoje obowiązki nie będą kolidowały z moimi interesami. Mam na Sandrakkanie klienta, który zamierza skrzyżować swoje stado z owcami z Haft. Chce to zrobić o tej porze roku, żeby przyzwycząić zwierzęta do nowych pastwisk, dlatego przybyłem tu na wiosnę, a nie na jesieni.

Rozejrzał się po podwórzu, teraz pełnym gapiów. Garric wrócił ze stajni i chwycił wodze uwolnionych już od juków mułów. Handlarz zmierzył go taksującym spojrzeniem i chociaż trwało to tylko krótką chwilę, Ilna gniewnie zmarszczyła brwi. Jednak nie było w tym nic dziwnego, gdyż postura i wygląd Garrica przyciągały uwagę.

– Ponadto chcę tu wynająć miejscowego pasterza, który przegoni mi te owce do Carcosy – dodał po namyśle Benlo. – A teraz, Reise, usmaż nam kilka kurczaków i zagrzej dla mnie i mojej córki wodę, żebyśmy mogli się odświeżyć.

Klepnął się po siedzeniu, podkreślając trudy odbytej podróży.

– Później omówię interes z waszym wójtem.

Benlo i jego córka weszli do gospody, podążając za Reitem, niosącym wiadro wody.

– Loro, usmaż kilka kurczaków! – zawołał karczmarz.

– Ja się tym zajmę, Reite – powiedziała Ilna. Po odjeździe Shariny w gospodzie brakowało rąk do pracy, więc mogła dorobić sobie u Reitego, z korzyścią dla obu stron.

Liane obrzuciła wieśniaków przeciągłym spojrzeniem, najwidoczniej uznając ich za niegodnych uwagi. Weszła do gospody, nie rozglądając się wokół i nie okazując żadnych emocji.

Ilna widywała posągi Pani mające więcej ludzkich uczuć, ale nigdy nie widziała posągu równie pięknego jak ta zimna kobieta, która przybyła do Barca's Hamlet.

Wyspa nie miała nazwy. Przy wysokiej fali niewprawne oko Shariny wzięłoby ją za pas wzburzonej wody nawet po tym, jak Nonnus pokazał jej, gdzie patrzeć. Ostatni sztorm odarł wyspę z roślinności, chociaż po zawietrznej stronie pagórków rosły kępy twardych traw, a na brzegu leżał pień wyrwanej z korzeniami palmy. Załoga zaczęła rąbać go na ognisko.

Plaża była piaszczysta. Na jej wschodnim krańcu znajdowały się rafy koralowe, uformowane na kształt grzybów przez prądy, które naniósł tu piasek tworząc brzeg, na którym spoczywała trirema.

– Nigdy nie byłam tak długo na morzu – powiedziała Sharina, grzebiąc palcami stóp w piasku i czerpiąc zmysłową przyjemność z tego, że grunt nie kołysze się jej pod nogami. Rozłożyła ramiona i okręciła się na pięcie. – Tyle tu miejsca!

Nonnus uśmiechnął się.

– Pewlańska łódź tak ciasno obejmuje ci biodra, że możesz obrócić się z nim głową w dół i nie wypaść – rzekł. – W porównaniu z nim ten okręt jest wielki jak świątynia.

– Sharino! – zawołał Meder. Grupa żeglarzy rozstawiła nadbudówkę na brzegu, przytrzymując jej ściany stertami piasku, zamiast klamer, które normalnie mocowały ją do pokładu – Chodź do nas. Zamierzam przywołać sprzyjający wiatr. Możesz mi pomóc.

Sharina zerknęła na Nonnusa. Pustelnik nieznacznie wzruszył ramionami, czego nie dałoby się zauważyć z daleka.

– Idę – odkrzyknęła Sharina i poszła w kierunku dwojga arystokratów.

Krwawe Orły zeszły na ląd, niosąc posłania – różnokolorowe koce i kołdry nabyte w Barca's Hamlet po cenach, o jakich wieśniacy będą opowiadać sobie latami. Wainer rozbijał obóz opodal nadbudówki. Większość jego żołnierzy była zadowolona z pobytu na stałym lądzie, chociaż kilku starszych nawykło do morskich podróży tak samo jak żeglarze.

– Rzucimy zaklęcia w środku – rzekł Meder ze szczerym entuzjazmem, jaki okazywał zawsze, kiedy mówił o magii. – Lepiej by nie patrzył na to żaden z niewtajemniczonych, gdyż mógłby później sam spróbować i sprowadzić jakieś nieszczęście. Oczywiście, to nie jest niebezpieczne.

– Co mam robić? – zapytała Sharina. Nie czuła się dobrze w towarzystwie Medera. Wystarczająco irytowały ją spojrzenia Asery, taksujące ją jak farmer wybierający zwierzęta na rzeź przed ciężką zimą. Jednak w domu nauczono ją pomagać przy wszystkich zajęciach. Jeśli czarodziej ma dla niej jakąś pracę, to Sharina wykona ją tak samo, jakby myła naczynia czy podawała do stołu w gospodzie.

– Teraz utniemy łeb jednemu z tych ptaków i nakreślę krąg jego krwią – wyjaśnił Meder. – Potem...

– Czy musisz robić to tutaj? – zapytała z urazą Asera. – Zamierzałam tu spać.

– Kiedy skończymy, każę ludziom przestawić ściany – odparł Meder. – Krew wsiąknie w piach. Czy chcesz, żeby jakiś bufon przypadkowo ściągnął piorun?

Asera skrzywiła się, ale wzruszyła ramionami, zgadzając się.

– A teraz, Sharino – podjął Meder – kiedy ci powiem, zarżniesz...

– Nie – powiedziała Sharina.

– ...drugiego... – czarodziej urwał. – Co mówisz?

– Nie – powtórzyła. – Nie zrobię tego. Niech ktoś inny ci pomoże.

– Przecież na pewno zabijałaś już kury, dziewczyno? – spytała ze zdumieniem Asera. Zachodzące

słońce rzucało cienie, które pogłębiały zmarszczki na jej czole.

– Całe setki – odparła spokojnie Sharina. – A może więcej. Po to, żeby je zjeść. Nie lubię czarów i nie zamierzam brać w nich udziału.

Odwróciła się i odeszła, drżąc jak liść.

– Nie rozumiem! – zawołał za nią Meder.

Sharina też tego nie rozumiała. Zbyt długo mieszkała na wsi, żeby darzyć kury jakimiś uczuciami. Były kłótlive, głupie i wymagające: najlepsze były po upieczeniu. Często ukrecała łby dwom takim, jakie trzymał teraz jeden z marynarzy, a potem w mgnieniu oka patroszyła je, żeby sparzyć wrzątkiem i obedrzeć je z pierza. Jednak na myśl o zabijaniu ich tylko po to, żeby wytoczyć z nich krew, przechodził ją dreszcz i zbierało się jej na mdłości. Niechętnie myślała nawet o tym, że rano ponownie wejdzie na pokład statku wiedząc, skąd wziął się wydymający żagiel wiatr.

Nagle zauważyła, że weszła między żołnierzy. Ningir wyciągnął do niej rękę, ale Wainer bez słowa odpędził go gestem. Nonnus czujnie obserwował Sharinę kątem oka. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Asera z czarodziejem wchodzą do domku, a marynarz z kurami podąża za nimi. Pustelnik odprężył się.

Sharina poczuła nagły przyływ gniewu. Czy była dzieckiem, które trzeba bronić przed chuderlawym chłopakiem, którego mogłaby złamać gołymi rękami? Wiedziała, że jej gniew jest nieuzasadniony i wywołany odrazą do czarnej magii Medera, ale nie mogła się opanować. Gniewnie spojrzała na Nonnusa, a potem obróciła się do oficera Krwawych Orłów i powiedziała dobitnie:

– Zdaje się, że zwiesz się Wainer? Mam kilka pytań, które chciałabym ci zadać na osobności.

Jakiś żołnierz parsknął drwiąco, ale natychmiast pokrył śmiech kaszlnięciem, gdy Wainer przeszył go wzrokiem. Potem oficer z obojętną miną powiedział:

– Jeśli sobie życzysz, panienko. Sądzę, że jeśli staniemy kawałek dalej po zawietrznej, będziemy mogli rozmawiać na oczach wszystkich i nikt nas nie usłyszy.

Sharina skinęła głową i rażnym krokiem wyszła poza prowizoryczny obóz. Zerknęła przez ramię. Nonnus patrzył na nią, ale nie ruszył się z miejsca.

– Tu będzie dobrze, panienko – rzekł Wainer. Obrócił się tak, że oboje stali bokiem do obozu, a potem cofnął się o dwa kroki w głąb lądu. W przeciwieństwie do Shariny, żołnierz nosił buty, których nie chciał zamoczyć w słonej wodzie. – Czego sobie życzysz?

– Wspomniałeś o Kamiennym Murze – powiedziała. Gniew już jej przeszedł i jego miejsce zajęło powątpiewanie w słusność tego, co robiła. – Wiem, że przed dwudziestoma laty miała tam miejsce bitwa, w trakcie której król Valence pobił earla Sandrakkanu, lecz nie to miałeś na myśli, kiedy pytałeś o nią Nonnusa. O co ci chodziło?

– Hm – mruknął Wainer. – Czy pytałaś go o to, panienko?

– Pytam ciebie – warknęła Sharina. – Jeśli chcesz, by prokurator kazała ci odpowiedzieć, mogę to załatwić.

Wainer spojrzał na siedzącego piętnaście metrów dalej pustelnika. Ten skinął głową. Był równie nieporuszony jak rafa koralowa w ciemniejszym morzu.

– W porządku, panienko – odparł powoli Wainer. – Sądzę, że masz prawo o tym wiedzieć. Muszę jednak rzec, że tylko dzięki temu, co owego dnia zrobili najemnicy z Pewle, żyję i mogę z tobą rozmawiać, a na tronie zasiada król Valence, a nie uzurpator z Sandrakkanu.

Zdjął skórzaną czapkę i otarł chustą czoło, chociaż wieczór nie był zbyt ciepły.

– Rzecz w tym – ciągnął, zmrużonymi oczami spoglądając na falujące Morze Wewnętrzne – że earl miał kawalerię. My nie mogliśmy przewieźć koni na odległą o trzysta kilometrów wyspę, a poza tym Ornifal nie jest krainą koni. Jest zbyt górzysta. Sandrakkańska kawaleria nie jest najlepsza, ale to

świetni jeźdźcy, a my musieliśmy przypląć do nich, żeby ugasić bunt.

Coś rzuciło się z pluskiem za pasem płycizny. Zapewne ryba, a może foka. W tych ciepłych wodach foki pojawiały się rzadko, ale na północ od głównego archipelagu, wokół skalistych wysepek Morza Zewnętrznego, pływały i rozmnażały się tysiącami.

– Tak więc Valence... – ciągnął Wainer. – A raczej jego generałowie, gdyż on był wtedy chłopcem, niedawno koronowanym, wynajęli oddział najemników z Pewle, by ci odparli atak sandrakkańskiej kawalerii. Najemnicy nie nosili zbroi, więc mogli skakać jak króliki z tymi ich włóczniami i wielkimi nożami. Chodziło o to, by powstrzymali szarżę jazdy, zabijając konie i wszczynając zamieszanie. Uważaliśmy, że to zadanie graniczy z samobójstwem, ale oni zdawali się uważać to za mniej ryzykowne niż polowanie w łodzi na foki podczas zimowego sztormu.

Wainer odchrząknął i splunął w morze. Sharina zupełnie innymi oczami spojrzała na siedzącego nieruchomo pustelnika. To musiało być przerażające, patrzeć jak naciera na ciebie uzbrojony jeździec... ale jeśli byłeś dostatecznie szybki i odważny, by zanurkować pod brzuch pędzącego konia, a potem przeciąć mu pęcinę takim nożem, którym Nonnus rozłupywał polana...

Jeżeli zdołałeś to zrobić, to żaden kawalerzysta nie był ci straszny. Stu takich jak Nonnus mogło sprawić krwawą łaźnię oddziałowi najprzedniejszej jazdy.

– Rozumiem – powiedziała Sharina i rzeczywiście rozumiała.

– Jednak tak się nie stało – ciągnął Wainer. – Buntownicy rozbili wielki obóz, dwukrotnie większy od naszego, chociaż ich armia wcale nie była liczniejsza. Pamiętaj, że oni byli u siebie i zabrali ze sobą służbę. A także żony – wielu z nich zabrało tam całe rodziny. Wszyscy oni potrzebowali miejsca. Otoczyli obóz palisadą, tak samo jak my nasz, tylko że ich earl przywiódł ze sobą czarowników. Kiedy oba wojska stanęły naprzeciw siebie na równinie, ci magowie stali na palisadzie składając ofiary, tak jak to robi ten tu młodzieniec...

Wainer wskazał kciukiem w kierunku nadbudówki, ale nie obejrzał się.

– I wywołali trzęsienie ziemi. Milicja na naszym prawym skrzydle poddała tyły i sandrakkańska konnica zaatakowała nas stojących w środku szyku i otaczających króla. Nikt nie zwracał uwagi na kilkuset łowców fok stojących na uboczu.

– I ludzie z Pewle zaatakowali konnicę z tyłu? – domyśliła się Sharina. Czytała opowieści. Mogła mówić o flankach i zasadzkach, chociaż zanim Krwawe Orły przybyły do Barca's Hamlet, nigdy nie widziała prawdziwego żołnierza.

Wainer pokręcił głową.

– To nic by nie dało – rzekł. – Ludzi z Pewle było za mało, żeby zdołali się przebić. Rozumiesz, panienko, że to nie to samo, co odeprzeć szarżę. Nie, oni jak górskie kozły wspięli się na palisadę nieprzyjacielskiego obozu. Sandrakkańska służba miała go bronić, ale wobec pewlańskich noży było z niej tyle pożytku, co z cyków u odyńca.

– Pozabijali magów – powiedziała Sharina.

Wainer z ponurą miną wzruszył ramionami.

– Pewnie tak – rzekł – ale i to by nam nie pomogło. Ci czarodzieje i tak już zrobili swoje. Nie, panienko, ci pewlańscy najemnicy zaciągnęli na palisadę kobiety i dzieci. A potem podrzynali im gardła i rzucali ciała między owce i kury złożone w ofierze przez magów.

– Och – westchnęła Sharina. – Rozumiem.

Spojrzała na morze, nie chcąc patrzeć na żołnierza, a przede wszystkim na Nonnusa, dopóki się nie opanuje.

– No cóż, buntownicy wycofali się – rzekł Wainer. – Rzucili się biegiem z powrotem do obozu, żeby ratować rodziny. A my popędziliśmy za nimi, siekąc i kłując. To już nie była bitwa, tylko rzeź,

i zabijaliśmy ich, aż rozbolały nas ręce.

– Dziękuję – powiedziała Sharina – że mi o tym powiedziałeś.

– Musieli tak zrobić, panienko – rzekł Wainer, przecierając oczy, jakby chciał zetrzeć z nich obraz tego, co widział przed dwudziestoma laty. – Zginęlibyśmy wszyscy, gdyby nie ci ludzie z Pewle, a król Valence zginąłby razem z nami. Wytrwaliśmy, ale to oni wygrali bitwę.

Stary żołnierz ze zniechęceniem potrząsnął głową i zacisnął usta.

– Jednego nie mogę zapomnieć – rzekł zduszonym szeptem. – Modliłem się o to do Pani, lecz to wspomnienie wraca, ilekroć zobaczę takie jasne włosy, jak twoje. To dziecko mogło mieć najwyżej trzy latka. Miało jasne włosy. Jakiś pewlański najemnik podniósł je za włosy i poderżnął mu gardło tym wielkim nożem. Krew trysnęła w powietrze, panienko, a on wymachiwał odciętą głową, gdy ciało upadło na stos trupów pod palisadą. Nie mogę zapomnieć jego śmiechu.

– Nie sądzę, żeby nadal się śmiał – powiedziała Sharina. Odwróciła się i poszła do Nonnusa, jej obrońcy.

Tłoczące się w gospodzie, odziane w najlepsze stroje kobiety z wioski niczego nie piły, a niewielu mężczyznom chciało się przedzierać przez gąszcz wykrochmalonych sukien, haftowanych fartuszków i koronkowych szali, żeby kupić kufel piwa od stojącego za szynkwasem Garrica. Ten nie pamiętał większego tłumu gości i mniejszych obrotów. Nawet sześciu zbrojnych szybko umknęło po kolacji na górę.

Tilusina, żona Revana, zaśmiała się głośno i zastukała wachlarzem o stół. Jej córka Khila zawtórowała jej – jeszcze głośniejszym daniem Garrica – i zakreśliła wskazującym palcem w powietrzu. Miały tylko jeden wachlarz, zapewne będący prezentem ślubnym. Był zrobiony z cienkich płytek z brązu, z wytłoczonym obrazkiem królewskiego pałacu w Carcosie.

Liane zeszła po schodach. Zmieniła brązową tunikę na błękitną podobnego kroju, tylko że usztywniony len tej był ozdobiony satynowym kołnierzem.

Kobiety zamilkły. Siedzące wstały, a stojące wyprostowały się. W pomieszczeniu rozległ się głośny szelest usztywnionych warstw materiału, przypominający odgłos kur kokoszących się w kurniku.

Liane drgnęła, jakby ktoś skoczył na nią zza zasłony. Zrobiła taką minę, jakby ugryzła coś kwaśnego. Wiejskie kobiety natychmiast podjęły przerwane rozmowy, udając, że mówią do siebie, lecz najwyraźniej nikogo nie słuchając. Ozdobione sztucznymi kamieniami tandetne tiary, spinki i pierścionki migotały w blasku świec, usiłując przyciągnąć uwagę przybyłej.

Liane była pierwszą tak modnie ubraną kobietą, która pojawiła się w Barca's Hamlet. Asera była arystokratką, lecz budziła wśród wieśniaków respekt zniechęcający do tego rodzaju przedstawienia, jakie urządziły dla Liane. Ponadto prokurator była odziana w urzędowy strój: beżową jedwabną szatę o prostym kroju, skrywającą jej ciało od ramion do kostek i spiętą w talii brązową szarfą.

Liane była kimś, kim miejscowe kobiety mogłyby być – gdyby były młode, piękne i bardziej bogate niż wszyscy mieszkańcy wioski razem wzięci.

– Barman? – powiedziała Liane do Garrica. Podniosła głos, by przekrzyczeć beładną paplaninę kobiet, lecz te zamilkły w tej samej chwili, gdy otworzyła usta. W rezultacie to słowo zabrzmiało jak okrzyk myśliwego, przywołującego psy.

Zaskoczona, zaczerwieniła się, a potem podjęła normalnym tonem:

– Czytałam w moim pokoju i potrzebuję więcej świec. Tym razem z wosku, jeśli masz.

– Przykro mi, panienko – rzekł zaambarasowany Garric. – Zazwyczaj mamy je, lecz wszystkie woskowe świece wypaliliśmy przez ostatnie dwa dni, kiedy gościła u nas prokurator króla. Obawiam się, że możemy zapewnić tylko kaganki lub łojowe ogarki.

– No cóż, niech będzie – odparła zrezygnowana. Nie odrywała oczu od Garrica, żeby nie patrzeć na tłum kobiet, które z zapartym tchem czekały na okazję, by nawiązać z nią rozmowę.

Zapasowe świece przechowywano w komodzie pod schodami. Aby je wyjąć, Garric obszedł Liane, przez cały czas czując na sobie jej wzrok.

– Co czytałaś, panienko? – zapytał, grzebiąc w szufladzie komody.

– Poezję – odparła ze znużeniem – starożytnego poety imieniem Rigal, jeśli ci to coś mówi.

Garric znalazł świece. Wyjął sześć sztuk. Miały przycięte knoty i były połączone po dwie, tak jak je odlano. Odwrócił się do Liane, uśmiechnął się i zacytował:

– „O Pani i Pasterzu! Pozwólcie, aby pierwszym pomiędzy Sandrakkanu mężami był mój syn, ten

krzepki chłopiec. Niech będzie silny i dzielny, i włada wszystkimi Wyspami, by pewnego dnia rzekli: «Jest lepszy nawet niżli jego ojciec!»,»

Wyraz twarzy dziewczyny zmienił się tak nagle, jak śnieg osuwający się z dachu na wiosnę.

– Znasz Rigala? – zdziwiła się. – Ty cytujesz Rigala! Och Pani, wysłuchałaś moich modlitw!

Kobiety ruszyły naprzód, zarzucając ją pytaniami. Liane skoczyła na schody, a Garric, zdumiony i przerażony, zastąpił drogę wieśniaczkom. Te w tylnych rzędach napierały na stojące z przodu, niemal wpychając je na niego. Najwidoczniej kiedy dziewczyna zwróciła uwagę na kogoś z miejscowych, uznały, że każda z nich może z nią porozmawiać.

– Dość tego! – krzyknął Garric. – Duzi świadkiem, że gdaczenie jak stado kur! Czy chcecie, żeby obcy tak o was myśleli?

Reise wyszedł z kuchni. Ręce miał mokre do łokci – widocznie mył je przy studni, oporządziwszy konie i muły.

– Co tu się dzieje? – spytał ostro syna.

– Karczmarzu? – spytała Liane lodowatym tonem. – Czy mogę prosić twego sługę, by poświecił mi latarnią na plaży? Oczywiście, zapłacę ci za ten trud. I zapewniam, że przez cały czas pozostaniemy na widoku. Nie zamierzam naruszać wiejskich obyczajów.

– Zajmę się interesem, Garricu – powiedział Reise. Spojrzał na spłoszony tłum w odświętnych sukniach. – Takim, jaki tu mamy. – A do Liane rzekł: – Jeśli mój syn Garric zechce ci towarzyszyć, panienko, będę bardzo rad. Jednak nie jest to sprawa, w jakiej wydawałbym moim dzieciom polecenia.

Skłonił się.

– Będę zaszczycony – rzekł Garric. O mało nie zaplątał mu się język. – Ach, ojczy? Jej ojciec nadal jest we młynie z Katchinem. Powiesz mu, gdzie jesteśmy, kiedy tu przyjdzie?

Reise kiwnął głową. Garric ze zdumieniem dostrzegł na jego ustach cień uśmiechu.

Liane poszła schodami na górę. Kobiety opuszczały salę pod wzgardliwym spojrzeniem Reisego. Niektóre głośno rozmawiały ze sobą, inne szły ze spuszczoneymi głowami. Wszystkie były zmieszane, tylko w rozmaity sposób okazywały swe uczucia.

Garric zrozumiał, że chęć wystrojenia się, żeby wywrzeć wrażenie na gościu był przejawem instynktu stadnego, a nie świadomą decyzją. Podobnie jak u zwierząt, zachowanie ludzkiej zbiorowości zazwyczaj jest gorsze niż jednostek wchodzących w jej skład. W tym przypadku kobiet. Wieśniaczki wygłupiły się i zrozumiały to, kiedy ktoś im to udowodnił.

Przynajmniej nikt nie zginął, co często się zdarza, kiedy tłum mężczyzn wbija sobie coś do głów.

Garric zauważył także, iż Ilna, jedyna kobieta w Barca's Hamlet mogąca dorównać przybyłej urodą i stylem, nie pojawiła się. Ilna os-Kenset nie należała do tych, którzy idą za czyjś przykładem, a na pewno nie za gromadą idiotek.

Liane wróciła w sięgającej do pasa pelerynce z ufarbowanej na czerwono wełny, niosąc lampę ze szklanymi szybkami, a nie zrobionymi z rogu czy miki.

– Będzie mi potrzebny? – spytała, wskazując płaszczyk.

Wzruszył ramionami.

– Lepiej go weź – powiedział. – Poniosę go, jeśli będzie ci za gorąco.

Nie miał pojęcia, jak Liane zareaguje na wiejący na brzegu wiatr. Dla Garrica będzie on odświeżający po wieczorze spędzonym w zapchanej podnieconymi wieśniakami sali jadalnej.

Odsunął szybkie lampy, ocenił wysokość koszyka i nożem, który miał zawieszony u pasa w pochewce z obciążonych skórą deseczek wiązu, przyciął świecę na odpowiednią długość. Potem osadził ją w uchwycie i zapalił szczapą wyciągniętą z kominka.

Reise skinął mu głową, nalewając Gilzani dzban piwa, które chciała zanieść do domu mężowi. Garric nic nie zdołał wyczytać z twarzy ojca, lecz choć raz zdawała się nie skrywać gniewu. Może smutek... Tak, chyba smutek.

Garric otworzył Liane boczne drzwi, skłonił się i poszedł za nią z latarnią. Przyptyw kończył się i huk fal przeszedł w głuchy pomruk. Garric podał Liane rękę i poprowadził ją po nachylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni zboczu, pilnując by się nie poślizgnęła i nie upadła.

– Och, bogom niech będą dzięki! – powiedziała Liane. Gdy tylko zeszła na plażę, zdjęła płaszczyk i owinęła go sobie wokół głowy. – Dusiałam się w obecności tych kobiet. Jak ty to znosisz, Garricu?

– No cóż, nie zawsze tak jest – odparł, zmieszany. – I to nie jest kwestia znoszenia tego, panienko. Jestem jednym z nich, jak wiesz.

– Ty jesteś Garric, a ja Liane – powiedziała. – Dobrze?

– Tak, Liane – rzekł. Uśmiechnął się. Powiedziała to tonem, który znał od wielu lat. Tak samo jak Reise, Liane nie oczekiwała sprzeciwu, kiedy wydawała polecenia.

Powoli poszli plażą. Garric oświetlał drogę latarnią trzymaną na wysokości piersi. Jej żółtawy blask padał na ziemię, lecz ich twarze pozostawały w cieniu, rozświetlane jedynie przez sporadycznie błyski padające przez otwory wentylacyjne lampy. Żwir chrzęścił pod grubymi podeszwami sandałów Liane. Kiedy zeszła na dół po świecę, miała na nogach wyszywane cekinami pantofelki. Zaskoczyło go to, że tak szybko zmieniła obuwie.

– A zatem – zaczęła – czy czytałeś innych poetów, Garricu?

– Och tak – lekko się uśmiechnął. Był niewymownie dumny z tego, że może zaimponować tak pięknej dziewczynie jak Liane. – Vardana, Costradina... Właściwie większość starożytnych. Celondre'a, Hithuma, barona Maremi...

Liane zachichotała.

– W akademii dla dziewcząt panny Gudei nie pozwalano nam czytać Maremiego – powiedziała. – Oczywiście, w każdym pokoju dormitorium był jeden egzemplarz. Gdybyśmy równie pilnie czytywały Rigela, mogłabym ci go recytować.

– To tylko jeden urywek – rzucił niedbale Garric. W rzeczywistości rozpierała go duma, że w ogóle zapamiętał jakiś fragment poezji Rigela. – Moim ulubionym jest Celondre, ponieważ... No cóż, on pisze o tym, jakie powinno być życie pasterza i jakim być może było w Złotym Wieku przed Malkarem.

Chociaż szli powoli, już dotarli do końca falochronu. Dalej stało tylko kilka domów, a mieszkańców żadnego z nich nie było stać na sztuczne oświetlenie. Lampa w ręku Garrica była tu jedynym śladem ludzkiej obecności.

– Gdzie się kształciłeś, Garricu? – spytała Liane. – W Carcosie? Jestem zdumiona, że mają tam tak dobrego nauczyciela. Ta miejscowość wydała mi się prawie tak zaściankowa jak ta wioska.

– Ojciec uczył moją siostrę i mnie – odparł Garric. Zabrał dodatkowe świece, ale musiał zapalić następną zanim ta zgaśnie, inaczej wracaliby po ciemku. – Urodził się na Ornifal. Czy ty również jesteś z Ornifal, pa...

Klepnęła go w ramię.

– Przepraszam, Liane – poprawił się. – Hm, myślę, że powinniśmy już wracać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– My jesteśmy z Sandrakkanu – odparła dziewczyna. – Chodziłam do szkół w Valles na Ornifal. Do akademii panny Gudei, jak już mówiłam.

Odwróciła się na pięcie. Kiedy Garric chciał ją obejść, żeby nadal trzymać lampę w lewej ręce,

między nimi, chwyciła go za przegub i przytrzymała, zmuszając, by szedł u jej lewego boku.

– W Carcosie kobiety noszą takie stroje, jakie w Velles noszono przed dziesięciu laty – powiedziała Liane. – Ludzie spoglądali na mnie tak, jakbym była Panią, przybywającą ich ocalić. Nie mogłam się nigdzie ruszyć, bo zaraz ktoś pytał mnie o mój ubiór, odrysowywał go na wzór lub mierzył mnie gniewnym wzrokiem. Czułam się jak w klatce! A tutaj...

– Po co więc tu przybyłaś? – zapytał szorstko Garric. – Jeśli moda jest dla ciebie najważniejsza, to chyba najlepiej zrobiłabyś, zostając w Valles.

To byli jego ziomkowie. Oczywiście, byli typowymi wieśniakami i kiedy usiłowali się stroić, takiej dziewczynie jak Liane wydawali się błaznami. A przecież on nie pojechał do Valles, by obrażać tam mieszkańców z powodu tego, że nie umieją strzyc owiec!

Minęła chwila, zanim Garric uświadomił sobie, że słyszy płacz Liane.

– Panienko? – Zaniepokoił się. – Liane, ja nie chciałem..

Nie miał zielonego pojęcia, co powinien zrobić. Ta sytuacja zaskoczyła go tak samo, jak nieoczekiwany atak wilków morskich.

– Nic mi nie jest – odparła Liane. Przystanęła i wytarła nos w chusteczkę, którą wyjęła z rękawa. – Postójmy tu chwilę. Nie chcę wracać do gospody z czerwonymi oczami, zapłakana i brzydka.

– Nie sądzę, abyś była brzydka nawet gdybyś wysmarowała sobie twarz sadzą – rzekł Garric, z niewypowiedzianą ulgą widząc, że Liane odzyskała panowanie nad sobą. – W tej kwestii z pewnością zgodziliby się ze mną wszyscy w okolicy. – Uniósł latarnię, wskazując na pobliski brzeg morza. – Dziś rano mieliśmy tu trzypokładowy okręt, lecz nawet on nie zrobił na miejscowych takiego wrażenia jak ty.

– Masz na myśli kobiety – powiedziała Liane. Wysoko uniesiona lampa ukazała uśmiech w kącikach jej ust.

– Nie, Liane, nie mówię tylko o kobietach – odarł ze śmiechem Garric. – Na pewno nie.

Podjęli przerwany spacer.

– Nie wiem, dlaczego tutaj jestem – powiedziała cicho. – Osiem miesięcy temu żołnierze przyszl i zabrali mnie ze szkoły. Nic mi nie powiedzieli. Umieścili mnie w klasztorze Pani w Valles. Nie zrobili mi... krzywdy. Tylko że mogłam opuszczać pokój jedynie w asyście jednej z Córek Pani i nikt się do mnie nie odzywał. Po kilku tygodniach zjawił się ojciec i powiedział, że teraz będę z nim podróżowała.

– Ja... – zająknął się Garric. – Przepraszam, że cię uraziłem, Liane.

– Tak bardzo się boję – szepnęła dziewczyna. – Nie poznaję mojego ojca i nie rozumiem, co się dzieje. Jestem taka samotna!

Garric otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko zamknął je, nie mówiąc słowa. O mało nie wyznał, że on także czuł się samotny od czasu tych wydarzeń, jakie miały miejsce w ubiegłym tygodniu.

Jednak na piersi czuł gładki ciężar medalionu i gdzieś w podświadomości słyszał śmiech króla Carusa.

– Mogę wziąć pościel do prania – powiedziała Ilna do Lory z kuchennych drzwi. – Jeśli pogoda się utrzyma, odniosę ci ją jutro wieczorem.

Lora siedziała w kuchni przy kamiennej stolnicy, na której miesiła ciasto na chleb. Poderwała głowę.

– Nie liczyłam, że przyjdiesz – oznajmiła z urazą. Oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione. – Myślałam, że zapomniałaś.

– Nigdy nie zapominam o niczym, co obiecałam zrobić – odparła z chłodną niechęcią Ilna. – Mam zabrać to pranie, czy nie?

Lora wstała ze stołka i zaczęła formować z ciasta bochenki. Pozwoliła, by ciasto za bardzo wyrosło, a potem opadło na stolnicę. Bochny, chociaż zagniecione z białej pszennej mąki, po wyjściu z pieca będą miały konsystencję drewna.

– Tak, pewnie, weź je – powiedziała Lora. – Teraz, kiedy nie ma Shariny, nie mam innego wyjścia – muszę płacić tobie.

– Musiałam poczekać, aż ten tłum opuści gospodę – powiedziała Ilna. Pościel do prania stała w wiklinowym koszyku przy drzwiach na podwórze, gdzie byłaby wygotowana w kotle, gdyby Lora sama musiała ją wyprać. – Nie chciałam, żeby ktoś wziął mnie za jedną z nich. Próbowaly zrobić wrażenie na kobiecie z Ornifal!

– Wiesz, mają się za równe szlachciankom – mruknęła Lora, gniewnie ugniatając ciasto. – Ten Benlo może podawać się za „or-Willet”, ale urodził się, mając w nazwisku „bor” – klę się na Panią.

– Gdzie ona teraz jest? – spytała Ilna. Rozłożyła prześcieradło na podłodze, a potem zaczęła układać na nim resztę pościeli. Była w równie ponurym nastroju co Lora, chociaż z zupełnie innego powodu. – Ta strojnisia?

– Zdaje się, że wyszła – odparła obojętnie Lora. – Jest na plaży z Garricem.

Ilna zachwiała się, chociaż właśnie tego się obawiała od chwili, gdy ujrzała tę obcą kobietę w pięknym stroju. Ilna znała się na valleskiej modzie. Kupcy, z którymi handlowała, wymagali tego przy składaniu u niej zamówienia na materiały, które miała utkać do czasu ich następnego pobytu w Barca's Hamlet.

– Na plaży? – powtórzyła zimno. – Cóż, to mnie nie dziwi. Z pewnością niczego lepszego nie można się spodziewać po takiej wystrojonej lali!

– Traktowałam Sharinę jak własną córkę! – powiedziała Lora. Zacisnęła palce na cieście. Na chwilę znieruchomiała, jakby znów zbierało jej się na płacz. – Lepiej niż traktowałabym moje własne dzieci, ponieważ wiedziałam, iż ona jest prawdziwą szlachcianką. A co ona robi? Porzuca mnie, gdy tylko stała się pełnoletnia!

Ilna chwyciła rogi prześcieradła i zawiązała je na podwójny węzeł.

– Tak – powiedziała, spoglądając na Lorę oczami płonącymi jak węgle na palenisku – zawsze traktowałaś Sharinę lepiej od własnego potomka.

Zarzuciła na ramię większy od niej toból. Bawiący w gospodzie żołnierze pobrudzili wszystkie prześcieradła.

Przy drzwiach obejrzała się. Lora stała nieruchomo. W nagłym przyływie gniewu Ilna powiedziała:

– Nie ma w okolicy głupszej kobiety niż matka Garrica, która nie potrafi dostrzec jego zalet!

I wychodząc z tobą na zewnątrz, mruknęła pod nosem:
– A ta ornifalska dziwka na pewno go nie dostanie!

Był cudownie pogodny dzień i trirema żwawo płynęła na wydętym silnym bejdewindem grotzaglu. Spod jej dziobu unosił się wielka grzywa białej piany, a para mniejszych ciągnęła się za piórami steru, pozostawiając za statkiem skomplikowany wzór na wolno kołyszącej się fali.

Okrętowi towarzyszyły cztery wilki morskie: trzy z lewej burty, idealnie zgodnie poruszające się obłe ciała, niczym części jednego organizmu. Przy prawej burcie płynął następny, ponad trzymetrowy potwór – przeszło tona mięśni z kłami długości męskiej dłoni.

– Nie podoba mi się to! – rzekł kapitan Lichnau. – Spójrzcie na te jaszczury. Tak jak wtedy, kiedy spadł na nas poranny sztorm, prawda? Myślę, że powinniśmy zmienić kurs na Sandrakkan.

Sharina i Nonnus przysiedli po obu stronach rufy, za stanowiskiem kapitana i stojących przy wiosłach sterników. Krwawe Orły zajęły dla siebie pokład na dziobie. Ich towarzystwo byłoby raczej nieprzyjemne, chociaż Sharina nie obawiała się o bezpieczeństwo własne czy pustelnika. Krwawe Orły były zdyscyplinowanym oddziałem, a ponadto bacznie pilnowanym przez oficera i szlachciców, których strzegli.

– Nie możemy popłynąć do Sandrakkanu – odparła beznamiętnie Asera. Oboje z Mederem i Kizutą, pierwszym oficerem, przysliby przeprowadzić z Lichnauem naradę, która ze względu na panującą na pokładzie triremy ciasnotę stała się publiczna. Słuchało jej pół tuzina obecnych w pobliżu marynarzy. – Earl w najlepszym razie jest wrogo nastawiony do króla Valence’a i zaszkodzi nam, jeśli tylko będzie mógł. W najgorszym razie działa ręka w rękę z agentami królowej.

Tylko jedna ławka była obsadzona wiosłarzami i nawet ci nie przykładali się do wiosł. Czekali w pogotowiu, lecz przy tak sprzyjającym wietrze wiosłowanie nie zwiększyłoby szybkości statku.

Ci wiosłarze, którzy nie mieli wachty, siedzieli wzdłuż burt, chociaż ze względu na obecność wilków morskich nie zwieszali za nie nóg i nie zanurzali stóp w wodzie. Nieliczni łowili ryby, ale większość kąpała się w słońcu i rozmawiała o tym, jak przyjemnie jest nie ścierać dłoni do krwi na szorstkich od soli wiosłach.

– Jeśli ten wiatr się utrzyma, to po południu dotrzemy do Kish – protestował Kizuta. – Needles na Sandrakkanie nie leży ani o godzinę rejsu bliżej, a poza tym mielibyśmy mniej sprzyjający wiatr.

– Wiatr będzie nam sprzyjał – rzekł Meder bor-Mederman. Zerknął na rufę i ze zboląłą miną spojrzał na Sharinę. Odwróciła się, udając zainteresowanie wilkiem morskim. Jego niska płetwa grzbietowa falowała jak wstęga, ledwie wystając nad powierzchnię. Skórę między kręgami miał przezroczystą z widocznymi szkarłatnoczerwonymi nitkami naczyń krwionośnych. Nawet potwór może być piękny, jeśli spoglądać nań w odpowiedni sposób.

Zadrzała i popatrzyła na Nonnusa. Uśmiechnął się nieznacznie, jakby wiedział o czym myślała. Może tak było...

– Nie potrzebuję, by chłopiec pomagał mi obliczać odległości, Kizuto – skarcił go Lichnau. – Nie odległość mnie martwi.

Kapitan zawiązał na głowie chustkę, zakrywając łysinę. Dotknął ją, sprawdzając węzły na rogach, usiłując zyskać w ten sposób na czasie.

– Kurs wiedzie nas prosto na Tegnę – dodał. – Nie obchodzi mnie, jakie problemy polityczne macie z earlem Sandrakkanu. Z pewnością będą lepsze, niż gdyby burza miała rozbić nasz okręt o rafy.

Wskazał na trzy wilki morskie, z łatwością płynące tuż obok szybkiej triremy.

– Jeśli uważacie, że te jaszczury są paskudne – dodał – to powinniście zobaczyć, co czeka tam na rozbitków.

– Nie spodziewam się burzy, żeglarzu – rzekł chłodno Meder.

– Z całym szacunkiem, panie, nie spodziewałeś się też pierwszej! – zaprotestował Lichnau. – Gdybyśmy wówczas znajdowali się tak blisko raf jak teraz, już od tygodnia byłibyśmy żerem dla jaszczurów!

Meder podniósł rękę, by uderzyć kapitana. Asera powstrzymała towarzysza zimnym spojrzeniem i ruchem palca, po czym obrzuciła marynarza iście drapieżnym wzrokiem.

– Uważaj co mówisz, plebejuszu – powiedziała lodowatym tonem. – Albo zaraz staniesz się żerem dla jaszczurów.

Lichnau klęknął i uderzył czołem o pokład.

– Pani – jęknął w tej pozie – moim obowiązkiem jest dowieźć was bezpiecznie do Valles. Przebacz mi, jeśli uraziłem was swą gorliwością.

Sharina skrzywiła się z niesmakiem. Nie wiedziała, kto ma rację w tym sporze, lecz irytował ją widok uczciwego człowieka upokarzanego za to, że szczerze wyraził swoją opinię. Społeczeństwo Haft zawsze było bardziej egalitarne niż na większości wysp archipelagu. W Barca's Hamlet kwestie urodzenia nie miały żadnego znaczenia, gdyż szlachta po prostu nie bywała w tych okolicach.

– Wilki morskie lęgną się na rafach Tegmy – rzekł Nonnus, starając się odwrócić uwagę Shariny od nieprzyjemnej sceny. – Czasem można spotkać je i tysiąc mil stąd, ale rzadko, gdyż te rafy są jedynym miejscem, gdzie składają jaja.

Sharina skinęła głową, zastanawiając się nad tą nazwą.

– Myślałam, że Tegma to wyspa na Morzu Zewnętrznym – powiedziała. – Rigel umieścił na niej akcję „Wędrówek diuka Lachisha”.

– Nie wiem, gdzie znajdowała się Tegma, kiedy odwiedził ją ten twój diuk Lachish – rzekł sarkastycznie Nonnus, starannie jednak dobierając słów. – Kiedy ja na niej byłem, leżała pięćdziesiąt mil od południowego wybrzeża Sandrakkanu. Niegdyś była wyspą, lecz zatonięła tak samo jak Yole. Teraz jest tylko pierścieniem raf, ciasnym jak dziewczęca...

Pustelnik urwał i prychnął krótkim śmiechem.

– Dziecko – mruknął – zdaje się, że powróciwszy między ludzi, znów wracam do moich dawnych nawyków. Zechciej mi wybaczyć i pokornie modlę się, żeby Pani również...

Pospiesznie nakreślił palcem wzór na deskach pokładu. Wprawdzie nie pozostał na nich żaden ślad, ale Sharina dostrzegła symbol Pani. Nonnus ponownie spojrzał na Sharinę.

– ...jeśli zdarzy się coś, czego bym nie chciał – dokończył.

– Niech strzeże nas Pasterz – mruknęła niechętnie Sharina. Wielcy bogowie nigdy nie odgrywali większej roli w życiu Barca's Hamlet, chociaż w większości domostw znajdowały się ołtarzyki Pani i jej małżonka, a pasterze – oczywiście – składali w górach ofiary Duzi.

Przebywając tak blisko Nonnusa, uświadomiła sobie, że wiara pustelnika nie była czymś wrodzonym. Wyłączyła z potrzeby, z rozpaczliwej nadziei, że gdzieś jest coś większego niż świat, w jakim żył.

– Kiedy woda w lagunie jest przejrzysta – powiedział spokojnie Nonnus – można dostrzec dachy budynków z czasów, gdy Tegma była wyspą. Zarysy szarych prostokątów, lekko różowych, kiedy promienie słońca padają pod odpowiednim kątem. Teraz są kilkadziesiąt metrów pod wodą.

Dowódcy zakończyli naradę. Sharina nie słyszała jej ostatniej części, ale statek nie zmienił kursu. Meder usłyszał słowa Nonnusa i podszedł bliżej.

– Już od jakiegoś czasu zamierzałem odwiedzić Tegmę – rzekł czarodziej, mrużąc oczy. –

A właściwie te rafy. Mówiono mi, że nie można przepłynąć przez nie do laguny. Jak się tam dostałeś, starcze?

Nonnus obrzucił Medera tym samym beznamiętnym, skupionym spojrzeniem, jakim patrzył na morze.

– To było dawno temu, kiedy jako chłopiec polowałem na foki – rzekł, wzruszając ramionami. – Od tego czasu Tegma mogła się zmienić.

– Tegma nigdy się nie zmienia – powiedział Meder. Na jego twarzy złość walczyła z zaciekawieniem. – Tegma to ognisko starożytnej mocy.

– Zatonęła tak samo jak Yole? – spytała Sharina, żeby odwrócić uwagę Medera od Nonnusa. Z pustelnika nie da się wyciągnąć więcej niż ten sam chce powiedzieć, a jego zdawkowe odpowiedzi mogły wywołać gniew czarodzieja.

– Zapewne tak samo – odparł Meder łagodniejszym tonem, zadowolony z tego, że Sharina okazała zainteresowanie jego wiedzą. – Tylko znacznie wcześniej, o wiele wcześniej, Sharino. Zatonęła tysiące lat przed Yole i być może z tysiąc razy przedtem.

Spojrzał na pustelnika i ponowił pytanie:

– Jak się tam dostałeś, starcze?

– Pewlańska łódź dopłynęła prawie wszędzie – odparł Nonnus, z obojętną miną napotykając spojrzenie młodzieńca. – Mówiliśmy, że po rosie przepłynie przez łąkę. To żart, ale wybrałem porę wiosennych przyptywów, a wtedy poziom wody był dostatecznie wysoki, więc przepłynąłem między koralami i dostałem się do atolu. – Ze smutnym uśmiechem pokręcił głową. – Byłem wtedy młodszy – dodał.

Meder w zadumie uderzył dwoma palcami jednej dłoni o drugą. Ponownie skupił wzrok na Nonnusi.

– Przedyskutujemy to... – zaczął.

Nonnus zerwał się na równe nogi, spoglądając przez ramię czarodzieja i wskazując na południe.

– Opuścić żagiel! – ryknął głosem, który mógł kruszyć skały. – Wioślarze do wiosł!

– Co? – zakrzyknął kapitan Lichnau, gdy wszyscy obecni na pokładzie spojrzeli we wskazywanym przez Nonnusa kierunku. – Kto...?

Niemal aż po horyzont Morze Wewnętrzne przybrało zielonkawą barwę i wygładziło się, jak stawek w upalne sierpniowe popołudnie. Sam horyzont zmienił się w litą ścianę czarnych chmur, przecinanych zygzakami błyskawic, z szybkością konia wyścigowego, mknących w kierunku statku.

– Opuścić żagiel! – wrzasnął Lichnau, gdy sprzyjający wiatr ucichł i pierwszy szkwał zakołysał triremą.

Cashel obudził się, kaszląc i plując, jakby zanurzył się w lodowatych falach morza. Był zlany zimnym potem i żelazne obręcze ściskające mu pierś puściły dopiero wtedy, gdy wyciągnął się na słomianym materacu.

W kuchni młyna było cicho – zbyt cicho nawet jak na środek nocy. Nie słychać było gry świerszcza, żaden gołąb nie gruchał na poddaszu, a nieruchomego powietrza nie poruszał nawet leciutki wietrzyk, jaki zwykle owiewał wioskę. Przez kuchenne okienko ujrzał niebieskawą poświatę, która nie była blaskiem gwiazd.

Wstał i wziął stojącą przy drzwiach laskę. Ilna spała w jednym z dwóch pokoi na górze, lecz Cashel wolał pozostać na dole, skąd łatwiej było mu wyjść, gdyby ktoś potrzebował go późną nocą. Wyszedł na zewnątrz. Niebo miało jasnoniebieską barwę, która skrywała wszystkie prócz najjaśniejszych gwiazd.

Jeszcze nigdy nie było tak cicho. Nic się nie poruszało.

Wiedziony przecuciem, Cashel przeszedł wzdłuż frontowej ściany młyna. Wydawało mu się, że zrobił to bezszelestnie, ale Tenoctris, stojąca w cieniu zrobionego z cyprysowego drewna wielkiego młyńskiego koła, odwróciła się i przywołała go machnięciem ręki. Podeszedł do niej, uważając, by nie uderzyć laską o sterzące łopatki koła.

– Nie spłosz go – szepnęła Tenoctris, przesadnie poruszając wargami, żeby zrozumiał prawie bezdźwięczne słowa. – Chcę się dowiedzieć, kim się interesuje.

Cashel wyjrzał zza krawędzi koła. Kanał spływowy był suchy, ponieważ młyn był teraz nieczynny. W korycie klęczał handlarz, Benlo or-Willet. Jego cichy przyśpiew był pierwszym dźwiękiem, jaki Cashel usłyszał, od kiedy obudziła go ta złowroga cisza.

Prastare głązy wokół Benlo ociekały niebieską fosforescencją, takiego samego koloru jak niebo, tylko jaśniejszą. Handlarz trzymał w ręku nóż, którym zataczał kręgi wokół jakiegoś niewielkiego przedmiotu leżącego na dnie kanału. Za każdym razem gdy czubek noża dotykał kamienia, bezgłośnie tryskała niebieska iskra.

– Rzuca zakłęcie rozpoznające – szepnęła Tenoctris do ucha Cashela. – Ma jakiś przedmiot – włos, kość, cokolwiek – i chce by ten doprowadził go do właściciela.

– Przecież to czary – rzekł Cashel, usiłując naśladować jej bezdźwięczny sposób mówienia.

– Owszem – potwierdziła z nikłym uśmiechem. – Właśnie. Benlo to potężny czarodziej.

Niebieska mgła zaczęła sączyć się z przedmiotu, nad którym czarodziej odprawiał czary. Benlo wciąż postukiwał sztyletem o kamienie. Błyski były coraz jaśniejsze, rozświetlając mgłę jak błyskawice przeszywające letnią burzową chmurę.

– Za pomocą tego zaklęcia można dzięki jednej monecie znaleźć zgubioną sakiewkę – szepnęła Tenoctris. – Nie sądzę jednak, żeby o to mu chodziło.

Mgła wokół przedmiotu zgęstniała, a potem przybrała ludzką postać. Cashel nie mógł dostrzec szczegółów, ponieważ blask był zbyt silny. Nie rzucał cienia, który normalnie uwydatnia rysy ludzkiej twarzy.

Zjawa uniosła się z ziemi i odpłynęła w bok, w tempie wolno idącego człowieka. Wydawało się, że jej nogi przeszły przez ścianę kanału. Handlarz wstał, by pójść za nią. Zawahał się i wepchnął sztylet za pas. Nie miał pochwy na tę broń.

– To magiczne ostrze – wyjaśniła Tenoctris. Uniosła rękę, ale Cashel nie potrzebował tego

ostrzeżenia, żeby się jeszcze nie ruszać. Często polował na zwierzynę i wiedział, że cierpliwy bezruch jest kluczem do sukcesu. – Nie zdziwiłabym się, gdyby sam je wykuł, w dodatku z żelaza. Wątpię, by wizyta dwojga tak potężnych czarodziejów w tej wiosce była tylko zbiegiem okoliczności.

Zjawa nie poruszała kończynami: przypominała posągi Pani i Pasterza, ciągnięte przez wioskę na wózkach przez kapłanów z Carcosy podczas dorocznej procesji. Benlo szedł kilka kroków za nią. Poruszał wargami, jakby nadal rzucał zaklęcia, lecz nie było słychać słów. Minął narożnik budynku i zniknął im z oczu. Tenoctris nadal trzymała rękę w powietrzu.

– Dlaczego jest tak cicho? – zapytał Cashel. Zapach morza był silniejszy niż zwykle: woń soli, schnących wodorostów i ostry zapach jodu, który odróżniał je od smrodu gnijącego mięsa.

– Zanim zaczął odprawiać czary, rzucił zaklęcie ciszy na wioskę – wyjaśniła Tenoctris. – Pod jego wpływem większość ludzi będzie spać, dopóki go nie zdejmie. Na czarodzieja, nawet tak kiepskiego jak ja, to zaklęcie działa jak sygnał alarmowy.

Opuściła rękę i ostrożnie poprowadziła Cashela wzdłuż bocznej ściany budynku aż do narożnika, zza którego znów mogli obserwować Benlo i przywołane przez niego widmo. Poświata gładów w kanale odpływowym zgasła. Niebieskawy ślad powoli gasnący, znaczył szlak zjawy jak błyszczący w porannym słońcu śluz pozostawiony przez ślimaka.

Skóra tak piekła Cashela, jakby spędził cały dzień na łodzi, w prażących z nieba i odbitych od wody promieniach słońca. Laska w jego dłoni była lekka jak słomka. Miał wrażenie, że uleciałaby w noc, gdyby ją puścił.

– Ja też się zbudziłem – rzekł bezgłośnie do Tenoctris – a nie jestem czarodziejem.

– Tak – przytaknęła. – Ty też się obudziłeś.

Zjawa przystanęła przed gospodą, odwróciła się i przeszła przez otwartą bramę. Handlarz poszedł za nią i razem zniknęli na podwórzu.

Tenoctris ruszyła naprzód. Cashel chwycił ją za rękę i pociągnął w bok.

Przez zimę Garric wyciął bluszcz porastający dwumetrowy mur i usunął cegły obluzowane w ciągu wielu lat przez korzenie. Te cegły były teraz ułożone w równy stos i czekały aż Anan wypali w swoim garncarskim piecu wapno na świeżą zaprawę. Cashel wskazał Tenoctris jedną z nieregularnych dziur w murze, a sam wspiał się na stos, żeby patrzeć przez otwór znajdujący się wyżej. Mieli doskonały widok na dziedziniec gospody i znajdujące się po jej drugiej stronie stajnie.

Zjawa stała nieruchomo na środku podwórza, niedaleko muru. Obróciła się i wskazała ręką na stajnię. Jedno skrzydło drzwi otworzyło się na oścież i na podwórze wyszedł Garric. Twarz miał bez wyrazu i poruszał się jak lunatyk.

Cashel o mało nie krzyknął. Tenoctris przytknęła palec do jego ust.

– Nic mu nie grozi – szepnęła.

Frontowe drzwi gospody otworzyły się z trzaskiem. Garric krzyknął i zachwiał się. Zjawa zmieniła się w obłok mgły, który otoczył go, wtopił się weń i znikł.

Z gospody wyszło coś, co miało ludzką postać i kord ciemny od rdzy albo krwi. Noc znów zaczęła przynosić głosy, woń morza i rozkładu szczątków.

Cashel krzyknął. Złapał lewą ręką za krawędź muru, podciągnął się, podpierając laską. Przez moment balansował w powietrzu, bosą stopą szukając oparcia w dziurze, przez którą patrzył.

Gdy błękitna poświata zgasła, Benlo zachwiał się jak pijany wychodzący na światło dnia. Stwór zaś szedł na Garrica, unosząc kord do ciosu. Na niebie znów pojawiły się gwiazdy i niedawno wzeszły księżyc.

Cashel znalazł oparcie dla stopy i przeskoczył przez mur. Garric chwiejnym krokiem znikł

w drzwiach do stajni. Z gospody wypadli dwaj strażnicy Benlo z mieczami w dłoniach. W oknie na piętrze pojawiła się blada twarz Liane.

Cashel zeskoczył z muru i niezgrabnie, lecz nie tracąc równowagi, wylądował na ziemi.

– Zabijcie to! – krzyknął do strażników handlarza, wiedząc, że nie zdąży w porę dobiec ze swoją laską do stajni.

Garric wyszedł ze stajni, trzymając w ręku oś od wozu, którą sam Cashel z trudem zdołałby podnieść.

– Haft i wyspy! – krzyknął głosem, który odbił się echem w każdym zakamarku dziedzińca. Ruszył na spotkanie nadchodzącego stwora, również unosząc broń do ciosu.

Masywna dębowa oś uderzyła w uniesione ostrze i z chrzęstem łamanych kości spadła na przeciwnika. Rękojeść korda poleciała w kierunku gospody, a złamana klinga zawirowała w powietrzu i wbiła się w ziemię pod nogami Cashela. Garric obrócił się z uśmiechem i runął na twarz obok stwora, którego zabił.

Dolny pokład triremy był wilgotny, ciemny i śmierdzący. Przez wąskie otwory wentylacyjne wpadało więcej deszczu niż słońca.

Statek niemal stawał dęba, podrzucany przez potężne fale gnane przez sztorm. Na polecenie Nonnusa Sharina zeszła pod pokład z wiosłarzami. Wielu z nich jeszcze usiłowało dotrzeć do swoich ławek. Gdy w statek uderzała szczególnie silna fala, wyrywała im z rąk drzewca wiosel i miotła nimi jak pałkami. Bagaże złożone w luku przelatowały w powietrzu, utrudniając ludziom usiłującym utrzymać wiosła w dłoniach.

Załoga usiłowała obrócić triremę rufą do wiatru, gdyż przy tak silnej burzy nie dało się sztormować. Ci na lewej burcie wiosłowali normalnie, podczas gdy wiosłarze na prawej poruszali nimi do tyłu. Sharina nie miała pojęcia, w jaki sposób oficerowie wydają im rozkazy. Ledwie słyszała siedzącego obok dobosza, który miarowo uderzał w bęben, podając wiosłarzom tempo.

Owinięta płaszczem, kulila się, starając się nie przeszkadzać. Asera była gdzieś na górnym pokładzie. Pozostali przy niej żołnierze z Krwawych Orłów, chociaż poruszali się tak niezgrabnie, że mogli zgnieść prokurator przy jakimś gwałtownym podskoku statku.

W panującym zamieszaniu minęła dobra chwila, zanim Sharina zorientowała się, że Nonnus nie zszedł razem z nią na dolny pokład. Spojrzała w górę. Luk zamknięto, lecz nie do końca. Jedna połowa klapy została otwarta, ukazując pociemniałe niebo.

Sharina wstała i przestąpiła przez jakiegoś żołnierza, który leżał skulony, kwiląc jak dziecko. Jedną ręką złapała się poręczy, a drugą i ramieniem spróbowała unieść zamkniętą połowę luku. Fala spadła na pokład, opryskując ją i udaremniając tę próbę.

Sharina trzymała się poręczy. Kiedy zielona fala przeszła, dziewczyna otworzyła luk. Zanim następny grzywacz runął na statek, wyskoczyła na pokład i oburącz złapała się relingu, usiłując rozejrzeć się wokół w półmroku.

Żeglarze kręcili się po pokładzie, a każdy z nich rozpaczliwie starał się trzymać czegoś jedną ręką, drugą wykonując niezbędne czynności. Żagiel i olinowanie splątane leżały na śródkręciu, a maszt niebezpiecznie giął się na wietrze.

Nie zdążyli złożyć nadbudówki, więc wiatr oderwał jej dach i dwie ściany. Pozostałe dwie utworzyły rodzaj parawanu, w kształcie litery „V”, za którym chował się Meder. Różowa poświata otaczała czarodzieja. W dłoni trzymał swój miedziany sztylet i poruszał wargami, rzucając zaklęcia zagłuszane przez wiatr. Wokół niego kuliło się pół tuzina Krwawych Orłów, pilnując go lub nie chcąc zejść pod pokład statku, który ich zdaniem niebawem pójdzie na dno.

Nonnus siedział na samym dziobie, zapierając się nogami o grube nadburcia. Spienione fale omywały go do pasa. Był czymś zajęty: w białym świetle błyskawic migotał jego nóż. Sharina starała dowlec się do niego, ze wszystkich sił przytrzymując się relingu. Wiatr napierał na nią jak osypujący się piach i ogłuszał swym wyciem. Cały fragment relingu, wymieniony w Barca's Hamlet po poprzedniej burzy, z trzaskiem wygiął się do wewnątrz na kołkach mocujących je do oryginalnej konstrukcji. Sharina zaczęła na krótką przerwę między kolejnymi falami, a potem szybko pokonała ten niebezpieczny odcinek.

Nie wiedziała, co robi pustelnik i nie obchodziło ją to. W tym momencie myślała tylko o tym, że nie chce umierać wśród obcych. Nonnus podniósł głowę i zauważył ją. Próbował wstać. Wrzasnęła i przecząco machnęła ręką. Sprężył się do skoku, lecz nie opuścił względnie bezpiecznego

schronienia w zagłębieniu dziobu, jedynie pochylił się i żelaznym chwytem za rękę przeciągnął Sharinę przez ostatni odcinek drogi.

– Nonnusie – krzyknęła do niego. – Czy statek zatonie?

Nie bała się. Chociaż zapytała, w głębi duszy była przekonana, że statek pójdzie na dno, a ona zginie. Była przemoczona i zziębnięta. Drżała przy każdym błysku i trzasku poprzedzającym przeciągły łoskot pioruna, lecz śmierć nie była czymś przerażającym, lecz takim samym faktem jak wiszące nad głową obłoki, czarne i zbite jak udeptana ziemia.

– Nie zdołam ocalić statku – powiedział Nonnus. Odłożył wielki nóż i za pomocą pociętej liny związał trzy kawałki grubego kija w trójkąt. – Myślę jednak, że mogę uratować ciebie, moje dziecko, co też przysiągłem zrobić.

Pustelnik porąbał bom foka na trzy kawałki i związał je razem. Teraz wyciągnął spod siebie zwinięty fokzagieli, na którym siedział jak na poduszce, żeby wiatr nie porwał płótna za burtę. Zaczął go rozwijać.

– Robisz tratwę! – powiedziała Sharina. Złapała róg żagla, żeby powstrzymać jego gwałtowne łopotanie, kiedy Nonnus przywiązywał go do ramy.

– Raczej koło ratunkowe – odparł. Jego szerokie dłonie poruszały się z instynktowną precyzją pajaków osnuwających ofiarę pajęczyną. Nie przeszkadzał mu ani wiatr, ani sztywna od soli lina. – Zawiążę pętle, których będziemy się trzymać, kiedy tratwa będzie na wodzie.

– A co z wilkami morskimi? – wypaliła Sharina i natychmiast tego pożałowała. Te zębate gady były pierwszą rzeczą, jaka przyszła jej na myśl. Nie chciała narzekać w obecności człowieka, który robił dla niej wszystko, co w ludzkiej mocy.

– Na surowo ich mięso jest jak galareta i tak też smakuje – odparł pustelnik, nie przerywając pracy. Sharina miała wrażenie, że się uśmiechnął. – Chyba jednak będziemy musieli pogodzić się z tym, dopóki nie znajdziemy jakiegoś miejsca, gdzie można rozpałcić ogień.

Sharina śmiała się, aż kolejna fala wypełniła jej słoną wodą usta, zmuszając do milczenia. Nonnus mówił poważnie. Wątpić w niego, to jakby wątpić w istnienie nieba: po prostu było tam, w noc czy w dzień, w sztorm czy w pogodę.

Spojrzała na pokład statku. Oba salingi na przemian zanurzały się w falach. Jakiś marynarz złapał za ramię kapitana Lichnaua i wskazał mu prawą burtę. Lichnau zawołał coś. Sharina nie dosłyszała słów, lecz w następnej chwili kapitan z dwoma marynarzami ruszyli w kierunku gnącego się masztu.

– Chciałem, abyś jak najdłużej została pod pokładem – rzekł Nonnus, nie odrywając oczu od tego, co robił – ale cieszę się, że tu przyszłaś. Dryfujemy szybciej niż przypuszczałem. Widocznie zmienił się nie tylko wiatr, ale i prąd.

Sharina przytrzymała końce liny i płótna, ale nie próbowała mu pomagać. Pustelnik wiedział, co robi. Ona nie знаła się na tej robocie przeszkadzając mu, straciliby bardzo cenny w tych okolicznościach czas.

– Dokąd nas znosi? – spytała, odchylając się do tyłu, żeby Nonnus mógł obrócić tratwę.

– Spójrz na prawą burtę – rzekł, wskazując kierunek ruchem głowy, lecz nie odwracając się. – Słyszę je już od kilku minut.

Sharina spojrzała tam, mrużąc oczy. Sztorm smagał jej twarz włosami, niczym tysiącem biczyków: warkocze i sploty nie wytrzymały na wietrze. Biała linia oddzielała czerń nieba od ciemnych fal.

– Rafy Tegmy – powiedział Nonnus, wiążąc, splatając i znów zawiązując.

Jakiś oficer wyprostował się, żeby chwycić linę. Wiatr wydał mu tunikę i uniósł go z pokładu. Wymachując rękami, przeleciał nad relingiem. Morze pochłonęło go łapczywie.

Lichnau i jego ludzie rąbali maszt siekierami, gdyż wiatr napierał nawet na ten słup, przyspieszając boczny dryf statku. Rafy były ociekającymi pianą kłami i znajdowały się tak blisko, że Sharina mogła już odróżnić ich pomruk od ponurego wycia wichru.

Otoczająca śródokręcie kula czerwonego światła rozszerzyła się, obejmując maszt i otaczających go marynarzy. Jej odcień zmienił się od głębokiej czerwieni do różu barwionych zachodzącym słońcem obłoków.

Maszt wygiął się jeszcze mocniej i trzasnął na wietrze. Ostra jak sztylet drzazga odleciała w tył. Trysnęła fontanna krwi, gdy rozpruła brzuch kapitanowi Lichnauowi.

Poświata otoczyła cały statek, wściekle czerwona, jak jaśniejący w słońcu rubin. Sharinie wszystkie włosy stanęły na głowie. Usiłowała krzyknąć, lecz gardło miała jak z marmuru.

Trirema uniosła się z rykiem głośniejszym niż trzęsienie ziemi. Wiosła zawisły w powietrzu, a kil wynurzył się z odmętów. Spowity czerwonym płomieniem statek wraz z pasażerami przeleciał nad ostrymi rafami i z hukiem wylądował na spokojnej wodzie atolu. Olbrzymi bałwan wyżej niż poprzednio sięgał maszt, lecz kadłub zaraz wyskoczył jak korek na powierzchnię.

Powietrze było siwe od ciepłej mgły. Sharina z trudem podniosła się z pokładu. Wiatr ucichł i odgłosy burzy zamierały w oddali.

Statek łagodnie osiadł na brzegu. Gęsta dżungla porastała cyklopowe mury nabrzeża.

Wyspa Tegma wyłoniła się z morza.

Garric popłynął ku światłom lśniącym na powierzchni czarnych wód. Słyszał szum fal. Kończyny miał zlodowaciałe, ale zmusił je by się poruszały i...

– Dochodzi do siebie! – rzekł Cashel. – Cofnijcie się i dajcie mu oddychać.

Garric już otworzył oczy. Potem nagle koncentrując spojrzenie, stwierdził, że leży na twardej ziemi dziedzińca gospody, a głowę ma na kolanach Cashela. Wokół stała gromada ludzi, niektórzy trzymali w rękach lampy lub latarnie. To te błyski widział, odzyskując przytomność.

– Co się stało? – zapytał. – Zasłabłem?

Bolało go całe ciało i miał wrażenie, jakby podkuty koń podeptał mu dłonie. Obrócił je grzbietami i obejrzał. Twardy naskórek nie był rozerwany, lecz na ciele pozostały białe odciski tego, co zaledwie przed chwilą trzymał w morderczym uścisku.

Tenoctris klęczała przy nim, dwoma palcami lewej dłoni dotykając jego szyi. Garric domyślił się, że mamrotała jakieś zaklęcie, ponieważ teraz jej monotony głos nagle ucichł.

– Zaatakowało cię lichy, Garricu – oznajmiła. – Zabiłeś je kijem.

– Oską wziętą ze stajni – odruchowo poprawił Cashel. – Machałeś nią jak piórkiem.

– Co za lichy? – spytał Garric. Czyżby naprawdę sam podniósł tę oś? To by wyjaśniało, dlaczego mięśnie ramion bolą go jak przepuszczone przez maszynkę do mielenia mięsa. – Cóż to takiego?

Jego ojciec i wędrowny handlarz bydlą przykucnęli między Garricem a tym, co leżało na ziemi. Reise wstał z ponurą miną. Poklepał Benlo po ramieniu i rzekł:

– Dajmy spojrzeć na to chłopakowi. Może pozna co to takiego.

Garric ostrożnie usiadł. Był już przytomny, lecz chwilami widział podwójnie: dwa różne światy jedną parą oczu.

– Nic mi nie jest – rzekł, bardziej do siebie, niż chcąc przekonać Cashela. Reise tak blisko przysunął nasączoną łojem łodygę szaleju, że w łagodnym żółtym świetle Garric ujrzał trupa.

Był to człowiek. A przynajmniej jego szkielet. Cios leżącej w pobliżu ośki rozbił czaszkę i złamał lewy obojczyk oraz kilka górnych żeber. Garric wyraźnie widział te uszkodzenia, gdyż ciało otaczające kości było przezroczyście jak galareta.

– Nic nie pamiętam – mruknął Garric. Zamknął oczy i czubkami palców lekko dotknął skroni. Nie był pewien, co właściwie pamięta. Nawet nie wiedział, kim jest. – Spałem w stajni – rzekł, nie otwierając oczu. – Miałem sen. Śniło mi się, że król Carus kazał mi wstać. Wskazywał na mnie. Wyszedłem ze stajni...

Otworzył oczy i powiódł nimi po kręgu przyjaciół i obcych. Sześciu strażników otaczało Benlo ciasnym pierścieniem. Mieli w dłoniach miecze i niewyraźne miny.

– To wszystko co pamiętam! – oznajmił Garric. Dźwignął się z ziemi i spojrzał na stworzenie, które podobno zabił. – Nigdy przedtem go nie widziałem. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nie wiem, co to jest.

– To lichy – powtórzyła Tenoctris. – Szkielet i dusza topielca, odziane w szlam z największych morskich głębin. To dzieło potężnego czarodzieja.

– Jakiego czarodzieja? – zapytał Benlo. On też wyglądał na oszołomionego i zaniepokojonego. Garric zastanawiał się, czy handlarzowi również kręciło się w głowie. – Gdzie?

– Sądziłam, że ty możesz to wiedzieć, mistrzu Benlo – rzekł Cashel tonem, na dźwięk którego strażnicy handlarza zeszywnieli. Garric, który znał łagodne usposobienie przyjaciela, często

zapominał jak groźny wydaje się obcym ludziom ten ogromny mężczyzna z pałą. Oczywiście, reakcja strażników była w pełni uzasadniona. Pasterz łagodnie obchodzi się ze swym stadem, ale człowiek, który w ciągu kilku sekund rozbił czaszki trzech wilków morskich, nie zawsze jest uosobieniem łagodności.

– Nie – odrzekł Benlo. – Nie mam pojęcia.

Te słowa zabrzmiały przekonująco, gdyż powiedział je, marszcząc w zadumie brwi. Był zbyt zamyślony, by zważać na gniew Cashela.

Liane przedarła się przez tłum i z niepokojem spoglądała na ojca i Garrica. Ilna z rozmysłem wysunęła się przed nią i skinęła głową, napotykając spojrzenie Garrica. Ten popatrzył na ośkę. Trącił ją dużym palcem nogi, przy czym gruby dębowy kołek ledwie się ruszył.

– Ja to podniosłem? – zapytał.

– I machałeś nią jak piórkiem – potwierdził Cashel. – Na całe szczęście, bo tamten szedł na ciebie z mieczem.

– Nie pamiętam – mruknął Garric. Ciało już zaczęło odpadać od kości łoża. W powietrzu rozszedł się duszący smród zgnilizny i morza. – Po prostu nie pamiętam.

Zamiast tego pamięć podsuwała mu wspomnienie rękojeści długiego miecza, który trzymał w dłoni, tnąc zgraję stworów takich samych, jak ten, którego zabił tej nocy.

Padał deszczyk i powietrze było znacznie wilgotniejsze niż na rodzinnej wyspie Shariny, nawet w najcieplejsze sierpniowe dni. Słońce było czerwoną plamą na zachodnim horyzoncie. Ogromne drzewiaste paprocie wyrastały na każdym skrawku gleby, a po kamiennych budowlach wiły się liściaste pędy.

Podwójny rząd ciągnących za liny ludzi sięgał aż w głąb lasu. Na czele kolumny maszerował oddziałek Krwawych Orłów, uzbrojonych i spiętych, sami zaś żeglarze byli spokojni, a nawet weseli. Żartowali ze swoimi towarzyszami. Pewnie cieszą się, że nadal żyją, pomyślała Sharina. Ona zdecydowanie cieszyła się z tego.

– *Matka dziś ci nie pomoże* – zawołał jeden z oficerów, trzymając kciuki wepchnięte za szeroki pas.

– *Ciągnij!* – ryknęli wioślarze, których pozostało jeszcze ponad stu, chociaż podczas sztormu stracili sporo zabitych i rannych towarzyszy. Trzymali uwiązaną do rufy linę i krok po kroku wyciągali triemę na brzeg.

Marynarze byli spokojni, gdyż na razie zrobili swoje: wprowadzili statek bezpiecznie do portu. Obowiązki żołnierzy, którzy strzegli panią prokurator, dopiero się zaczynały.

– *Ojciec też ci dziś nie pomoże! Ciągnij!*

– To port dla okrętów wojennych, prawda? – zapytała Sharina stojącego obok Nonnusa. Gładka kamienna pochylnia miała kilkadziesiąt metrów szerokości i mogły się na niej pomieścić tuziny triem. Pozwalała wyciągnąć statki z wody, aby dokonać załadunku lub napraw. Wokół zatoki widać było zarysy kilku takich miejsc. – To prawdziwy port, a nie plaża, do której nocami przybijają łodzie.

– Tak, to prawdziwy port – potwierdził beznamiętnie pustelnik. Był czujny tak samo jak żołnierze, choć w jego przypadku była to raczej czujność myśliwego niż zwierzyny. – W Valles nie mają niczego lepszego. A chyba nawet równie dobrego.

Przeciągnął palcem nogi po pochylni, rozgarniając na boki spleśniałe liście. Spod nich odstąpił się różowawo-szarawy gnejs, wygładzony do połysku. Wszystkie budowle, jakie widziała wokół Sharona – zadaszone budynki, hangary do przechowywania wyciągniętych na brzeg statków i sama pochylnia – były zrobione z tego samego, twardego kamienia.

– *Siostra też ci dziś nie pomoże! Ciągnij!*

– Można by sądzić, że na wszystkim powinien być muł, jeśli wyspa tylko co się wynurzyła z morza – powiedziała Sharina, mając nadzieję, że w jej głosie nie słyhać zdenerwowania. – Jedyne leśne poszycie takie samo jak w naszych lasach.

Nie było tu niczego równie przerażającego jak to, co widziała podczas sztormu, ale wtedy straciła wszelką nadzieję. Teraz było inaczej. Nadzieja to niebezpieczna rzecz, gdyż mając ją, masz coś do stracenia.

– Ja też spodziewałbym się tu mułu – odparł sucho pustelnik. – Jednak te drzewa nie wyrosły pod wodą. Cokolwiek tu się stało, nie jest to po prostu wypiętrzenie morskiego dna.

Salamandra warknęła na ludzi, siedząc na roślinie, której kolczaste liście tworzyły rodzaj pucharu. Miała szarą skórę w niebieskie i błękitne paski, a jej wyciągnięty jęzor też był niebieski. Sharina jeszcze nigdy nie widziała takiego stworzenia, ale salamandra miała zaledwie trzydzieści centymetrów długości i z pewnością nie stanowiła żadnego zagrożenia.

– *Brat też ci dziś nie pomoże! Ciągnij!*

Kizuta, pełniący obecnie funkcję kapitana okrętu, stał na rufie, skąd nadzorował operację.

– Wystarczy! – krzyknął. – Zawiązać podwójne cumy. Nie ufam tej spokojnej pogodzie!

Sharina powoli odeszła od statku, wiedząc, że pustelnik pójdzie za nią.

– Sądziś, że znaleźliśmy się tutaj z powodu tego, co zrobił Meder, prawda? – zapytała ściszym głosem. Nie zamierzała daleko odchodzić, zaledwie kilka metrów, by nikt nie usłyszał tego, co Nonnus miał jej do powiedzenia o tej sytuacji.

Asera zeszła na brzeg, tak samo jak większość załogi i pasażerów. Stała obok jednego z hangarów, nerwowo założywszy ręce na piersi. Wainer był przy niej, trzymając w ręku miecz i usiłując spoglądać we wszystkie strony jednocześnie. Kolejnych dziewięciu Krwawych Orłów z włóczyniami, pocąc się w ciężkich zbrojach, otaczało kręgiem panią prokurator.

Mgła zmiękczała kontury przedmiotów znajdujących się w odległości zaledwie kilkunastu metrów. Wszystkie poziome powierzchnie pokrywała warstwa zbutwiałych liści, lecz pionowe ściany nabrzeżnych budowli ukazywały ten sam gładki, różowawo-szarawy kolor.

Nonnus obejrzał się na triremę. Meder nadal stał na pokładzie, skulony pod daszkiem zasłaniającym go przed oczami innych. Miał tam mały dzbanek z żarem, z którego od czasu do czasu unosił się obłoczek kolorowego dymu.

– Sam nie wiem – odparł Nonnus. – Nie sądzę, by to Meder wywołał burzę. Może nie miał też nic wspólnego z wynurzeniem Tegmy.

Wyspa wznosiła się stromo od samego brzegu, chociaż mgła i gęsta roślinność skrywały prawdziwe nachylenie tej stromizny. Wyłożone gnejsowymi płytami ścieżki wiodły od portu w dżunglę. Otaczały je niskie murki, a nie poręcze.

Teraz, gdy wyciągnęli okręt na brzeg, marynarze mieli trochę czasu na zbadanie okolicy. Rozgarniali nogami suche liście, a ich głosy unosiły się wśród drzew, mieszając się z odgłosami leśnego życia Tegmy.

Nigdzie nie było ani śladu ludzi, którzy zbudowali te olbrzymie budowle.

– Nie sądzę, aby Meder wiedział, czy to on jest za to odpowiedzialny, czy nie – stwierdziła Sharina. Dopóki nie wypowiedziała tych słów, lęk krył się gdzieś w głębi jej podświadomości. – Nie sądzę, aby rozumiał wszystko, co robi. Obawiam się, że nie rozumie nawet połowy.

– Tenoctris mówiła to samo – rzekł spokojnie Nonnus. – Chciałbym, żeby tu była. Jednak chciałbym wiele innych rzeczy.

Trzymając oszczep w prawej ręce, przykucnął na szczycie muru. Z ostrożnością chirurga operującego klatkę piersiową pacjenta, wskazującym palcem lewej ręki rozgarnął liście. Jakiś robak skręcił się w panicznej ucieczce, niczym kropla deszczu w piasek, ponownie wtapiając się w ściółkę. Zaledwie kilka centymetrów pod warstwą liści znajdowała się żółta i twarda glina.

Marynarze oczyszczali długie, podłużne schrony. Te budynki nie miały frontowych ścian, tylko prostokątne filary podtrzymujące dachy tak niskie, że większość mężczyzn musiała pochylać głowy, żeby nie uderzyć o sufit. Znaleźli w nich schronienie przed deszczem, gdyż nie było wiatru, który zacinałby do środka.

Kolejna grupka żeglarzy zniosła na brzeg ciężko rannych towarzyszy, którzy nie mogli chodzić. Było też kilku zabitych – głównie wioślarzy z rozbitymi głowami lub piersiami zmiażdżonymi przez drzewca tarmoszonych przez fale wioseł. Zanieśli ich w las. W tej żółtej glinie trudno będzie kopać, a warstwa liści zaledwie wystarczy, by przykryć zwłoki. Gdyby trirema nie stała w porcie, wilki morskie oddałyby marynarzom ostatnią posługę.

– Rzućmy okiem na te drzewa – powiedział Nonnus. Zerknąwszy na Sharinę, żeby upewnić się czy idzie za nim, poszedł w kierunku kępy zarośli. Chociaż łodygi tych roślin miały węzły jak u traw,

kiedy pustelnik przeciął jedną z nich dwoma szybkimi uderzeniami pewlańskiego noża, w środku okazała się wypełniona mięszem.

Deszcz ustał, przynajmniej na chwilę. Marynarze wrócili z lasu z salamandrą dwukrotnie większą od lisa, którą zabili nożami. Dwaj z nich rozłupali leżącą na brzegu gałąź, żeby dostać się do suchego drewna, a inny zaostrzył kij, który miał posłużyć za rożen.

Miejscowa zwierzyna była łatwym i pożądanym pożywieniem, zarówno dla załogi, jak i dla Shariny. Dziewczyna zastanawiała się, czy Asera i czarodziej z takim samym entuzjazmem spoglądali na to trofeum.

Nonnus przeszedł dziesięć kroków wzdłuż pnia zwalonego drzewa, po czym odciął koronę, złożoną z kilku poskręcanych gałęzi. Zmierzył okiem kępę, szukając drugiej rośliny o takiej samej wysokości.

– Wainerze! – zawołał jakiś żołnierz, wybiegając z lasu. Usiłując zatrzymać się, pośliznął się na zbutwiałych liściach i byłby runął jak długi, gdyby nie złapał go jeden ze strzegących Asery żołnierzy. – Znaleźliśmy miasto! – wysapał przybyły. – Całe miasto na szczycie wzgórza i nikogo w nim nie ma!

Wainer i Asera podeszli do postąńca. Przez chwilę rozmawiali z ożywieniem, lecz zbyt cicho, by Sharina zdołała coś usłyszeć.

– Nonnusię – zapytała zniżając głos, chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. – Jak myślisz, co teraz będzie?

Wzruszył ramionami i posłał jej krzywy uśmiech.

– Nie sądzę, aby sprowadzono nas tutaj z powodów, które nam się spodobają – odparł. – Jednak lepsze to, niż leżeć na dnie morza czy w brzuchu jaszczura. Lepiej być żywym niż martwym.

Pustelnik naciął następne drzewo, a potem obalił je potężnym pchnięciem ramion.

– Te powinny wystarczyć na odsadnie – orzekł. – A teraz zobaczmy, czy uda nam się pożyczyć topór do zrabania pnia, który nadałby się na kadłub naszej łodzi.

Cashel powoli szedł kanałem spływowym, nie odrywając oczu od jego dna, aby niczego nie przegapić. Kamienie były śliskie od morskiej wody, która pędziła tędy z rykiem, kiedy młyn był czynny, chociaż ostatni raz miało to miejsce przed kilkoma dniami. Poranne słońce nie weszło jeszcze dostatecznie wysoko, by zajrzeć do kanału, ale i tak było dostatecznie jasno.

Oby można było co zobaczyć.

– Myślę, że to chyba tu – zawołała Tenoctris, która stała przy młyńskim kole, gdzie wraz z Cashelem schowali się w nocy, by obserwować handlarza.

Był we właściwym miejscu: widział słabe zadrapania, jakie sztylet Benlo pozostawił na kamieniach. Czyżby handlarz zabrał ten przedmiot, którego użył do wywołania zjawy? Ani Tenoctris, ani sam Cashel nie zauważyli, żeby się schylał, ale leżał tu tylko...

– Znalazłem kamyk – zawołał Cashel. – Czy on mógł się nim posłużyć, pani?

– Tak! – odparła. – To bardzo możliwe.

Cashel wygramolił się z kanału i podszedł do czarodziejki. Zastanawiał się, czy Benlo zauważy, że sprawdzają miejsce, gdzie w nocy rzucał czary. Nie przejmował się tym. Pomimo zaprzeczeń handlarza i wątpliwości Tenoctris, Cashel był przekonany, iż to Benlo był odpowiedzialny za atak na Garrica. Jeśli Benlowi nie spodoba się to, co robi Cashel, to niech spróbuje mu w tym przeszkodzić.

Rybitwy muskały powierzchnię morza i unosiły się z rybkami w dziobach. Ich stada mimo woli przyciągały spojrzenie Cashela ku morzu. Tam odplynęła Sharina i w głębi serca był przekonany, że już nigdy nie wróci.

Tenoctris wzięła od niego kamyk i obróciła w palcach, dokładnie oglądając w słońcu.

– Marmur – orzekła. – Czy macie tutaj marmury, Cashelu?

Przecząco pokręcił głową.

– Myślałem, że to kawałek kwarcu z plaży – odparł. Teraz, kiedy lepiej mu się przyjrzał, dostrzegł, że rysy z jednej strony, które początkowo uznał za naturalne, w istocie były wydrapane. Kamyk nie był większy od jego kciuka.

– Nie mogę z nim zrobić tego, co Benlo – powiedziała Tenoctris, mierząc kamyk krytycznym wzrokiem. – Myślę jednak, że mam wystarczającą moc, by dowiedzieć się, skąd pochodzi.

Usiadła, krzyżując nogi, zamiast kucnąć jak zrobiłby to każdy wieśniak. Urwała łądźkę twardej trawy z kępki rosnącej między ścianą młyna a korytem.

– To mój rytualny sztylet – powiedziała z uśmiechem do Cashela, pokazując mu łądźkę trawy. – Te narzędzia używane przez Medera i Benlo wspaniale skupiają siły, ale nie z jednego źródła. Znacznie lepiej użyć czegoś neutralnego. W każdym razie tak jest bezpieczniej.

Cashel przykucnął obok niej, ze zrozumieniem kiwając głową. Nic nie wiedział o czarach, ale rozumiał pojęcie sił, jak każdy pracujący fizycznie. Jeśli używasz długiej dźwigni, by zwielokrotnić swą siłę, musisz bardzo starannie wybrać punkt nacisku i podparcia – szczególnie, jeśli jesteś tak silny jak Cashel or-Kenset.

Tenoctris położyła kamyk na ziemi, a potem zmarszczyła brwi i obróciła go rzeźbioną stroną do góry. Żdźbłem trawy nakreśliła wokół niego krąg w powietrzu.

Stojąc w tylnych drzwiach, mała córeczka Mitir spojrzała na nich, po czym sypnęła ziarno kurom i wróciła do środka. Cashel trochę się niepokoił tym, że widzi ich każdy, kto znajdzie się na południe od młyna, lecz Tenoctris najwidoczniej wcale nie przejmowała się, czy przy rzucaniu czarów ktoś ją

widzi czy nie.

Szkoda, że tak mało ludzi – nie mówiąc już o czarodziejach – nie ma nic do ukrycia, pomyślał. Świat byłby znacznie lepszym miejscem.

– *Miuchthan salaam athiaskirtho* – mamrotała Tenoctris, postukując ǳǳbłem o ziemię przy każdym wymówionym słowie. – *Dabathaa zaas ouach kol...*

Kątem oka Cashel dostrzegł jakiś ruch. Zaskoczony, podniósł głowę. Śliczna córka Benlo obserwowała ich, stojąc przy narożniku młyna.

– *Semisilam bachaxichuch!* – podniosła głos Tenoctris, uderzając trawką kamyk.

– Przepraszam – powiedziała zmieszana Liane. – Nie chciałam przeszkadzać...

Kamyk rozdał się jak ryba najeżka, tworząc czerwony zarys budynku. Ta widmowa budowla miała prostokątne ściany, niskie sklepienie i tylko jeden łukowaty otwór – drzwi. Na narożach była ozdobiona rzeźbami z kamienia podobnego do tego znalezionego.

– Och, to przecież... – zaczęła Liane.

Czary, podsunął jej w myślach Cashel.

– ...grobowiec księżnej Tery w Carcosie – dokończyła Liane. – Co za wspaniałe złudzenie, pani!

– Tak – odparła sucho Tenoctris. – Czasem biorą mnie za czarodziejkę. Oczywiście, tylko ci, którzy nie widzieli prawdziwego czarodzieja.

Obraz znikł. Cashel zdał sobie sprawę, że nie zauważył, jaki był duży. Wydawało mu się, że budynek miał naturalną wielkość, a przecież od siedzącej obok Tenoctris dzieliła go tylko odległość wyciągniętej ręki, lecz ta czerwona budowla nie dotknęła żadnego z nich. Czyżby istniała tylko w jego pamięci?

– W jaki sposób rozpoznałaś grobowiec, panienko? – spytała Tenoctris. Spojrzała na ǳǳbło trawy, jakby ze zdziwieniem dostrzegając je w swojej dłoni i upuściła na marmurowy kamyk.

Liane lekko zmrużyła oczy, spoglądając z bliska na Tenoctris. Chociaż ta kobieta siedziała na ziemi i nosiła połataną tunikę, wyraziste rysy twarzy wyróżniały ją spośród mieszkańców Barca's Hamlet.

– Mój ojciec interesował się nim – odparła po chwili dziewczyna. – Zapewne dlatego, że trochę przypomina nasz rodzinny grobowiec w Erdinie. Odwiedził go kilkakrotnie, kiedy byliśmy w Carcosie.

Cashel wstał. Liane była dosyć ładną dziewczyną, chociaż nie widział, dlaczego kobiety z wioski robią wokół niej tyle zamieszania. Miała kruczoczarne włosy i bladą cerę po ojcu, osłonięte teraz szerokim rondem kapelusza z usztywnionego płótna. Jej twarz była trójkątna, nie owalna, a delikatne rysy twarzy z pewnością odziedziczyła po matce.

– Twój ojciec jest czarodziejem – rzekł prosto z mostu. Nie groził jej, ale wiedział, że świadomie czy nie, stoi nad dziewczyną jak osioł nad kociakiem. – Czy to on przywołał z morza to coś, co w nocy zaatakowało mojego przyjaciela?

Zaskoczona Liane zamrużyła oczami, ale nie ustąpiła.

– Mój ojciec jest dobrym człowiekiem – powiedziała zdecydowanie. – Mówi, że to nie on sprowadził tu lichy. Nigdy nie okłamał ani mnie, ani nikogo innego.

Tenoctris zaczęła wstawać. Liane pochyliła się i pomogła jej, wiedzona odruchem nawet teraz, kiedy była zła i być może przestraszona.

Cashel skręcił się ze wstydu. Kimkolwiek był jej ojciec, ona była miłą dziewczyną. Jednak...

– Tenoctris także twierdzi, że się mylę, panienko – powiedział. – Przykro mi. Jednak twój ojciec jest czarodziejem, widziałem go minionej nocy.

Liane przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Kiedy ponownie je otworzyła, spoglądała na morze

i daleki horyzont.

– Kiedy byłam mała – powiedziała – piastunka przynosiła mnie i sadzała matce na kolanach, a ojciec śpiewał nam piosenki. Piękne miłosne pieśni z wszystkich odwiedzanych podczas podróży krain.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, bliska łez.

– On jest dobrym człowiekiem – rzuciła. Odwróciła się i odeszła, znikając na tyłach młyna, gdzie żona Katchina wrzeszczała na niemowlę, a ono na nią.

– Nie powinienem był tego mówić – mruknął Cashel. Zacerwienił się ze zmieszania na myśl o tym, co zrobił wiedziony gniewem.

– Jesteś uczciwym człowiekiem – powiedziała łagodnie Tenoctris. – Zawsze uważałam, że uczciwy człowiek może powiedzieć wszystko, co jego zdaniem powinien. Ponadto...

Uśmiechnęła się do niego. Jeśli Liane była kotem, to Tenoctris ptakiem – bystrookim wróblem.

– Uznałam, że jej odpowiedzi są bardzo interesujące. Może jeśli uzbieram dość kawałków łamigłówek, dowiem się, czy sprowadził mnie tu przypadek czy coś innego. Pustelnik ubawiłby się.

– Pani? – spytał grubym głosem Cashel. – Czy Benlo jest równie potężnym magiem jak ty?

Tenoctris zaśmiała się i poklepała go po ramieniu.

– Cashelu – odparła – ja wcale nie jestem potężna. Czytam i patrzę, a to bardzo ważne. Moje umiejętności można porównać do zdolności szlifierza diamentów, który wie, gdzie stuknąć w klejnot, żeby uzyskać równą płaszczyznę. Co do surowej siły... Benlo mógłby kruszyć diamenty, gdyby tylko potrafił wykorzystać swoją potęgę.

Cashel rozłożył wielkie, silne ręce.

– A na co komu skruszone diamenty, pani? – zapytał.

Tenoctris ponownie zaśmiała się.

– Byłbyś zdumiony jak niewielu ludzi to rozumie, panie Cashelu – powiedziała. – Zakapturzony z pewnością tego nie rozumiał.

Popatrzyła na morze i jej twarz przybrała zdecydowany wyraz.

– Nadal pozostaje pytanie, dlaczego Zakapturzony umieścił mnie właśnie tutaj. No cóż, może tego też się dowiemy.

– Spokojnie, dziewczyno, spokojnie – mrucał Garric do wysokiej gniadej klaczy handlarza, stojącej przy poidle obok cembrowiny studni. Klacz i tak podrzuciła łbem. Nie była to poważna próba wyrwania się na wolność, lecz gdyby choć na chwilę puścił uzdę, w mgnieniu oka znalazłaby się za bramą.

Klacz była płochliwa i wierzgała, jeśli próbował ją karmić czy poić z innymi zwierzętami. Chociaż była chyba najpiękniejszym wierzchowcem, jaki Garric widział w swoim życiu, gdyby miał wybierać, wolałby jechać na wałachu Liane. A nawet na jednym z jucznych mułów o kościstych grzbietach.

– Dobry wieczór, panie Garricu – rzekł Benlo, wychodząc z gospody. Jego strażnicy pozostali w środku, gdzie przez uchylone drzwi Garric widział podającą do stołów matkę. – Trochę nerwowa, prawda? Nazywa się Anielica.

– Po prostu jeszcze się do niej nie przyzwyczaiłem – rzekł Garric, wolną ręką głaszcząc konia za uchem. – Chodź się napić, Anielico, wiem, że jesteś spragniona.

Z takiego czy innego powodu – może znudziło jej się sprawiać kłopoty – klacz opuściła łeb i zaczęła pić wodę z kamiennego koryta. Garric pogłaskał ją po szyi.

– Wprost przeciwnie, Garricu – powiedział Benlo. – Przy tobie zachowuje się spokojniej niż przy kimkolwiek innym. Masz dar obchodzenia się ze zwierzętami, prawda?

Garric był rad, że nie musi napotykać jego spojrzenia. Chociaż handlarz usiłował zachowywać się przyjaźnie, jego zbyt gładkie słowa zaniepokoiły Garrica. Mówił jak jeden z młodszych kapłanów, który zwykle prowadził we wiosce doroczną procesję. Zawsze mówił o sympatii, jaką darzy Barca's Hamlet, ale Garric wyczuwał, że jeden z ministrantów zaledwie chwilę wcześniej podpowiadał mu nazwę wioski. W przeciwnym razie na pewno by się pomylił.

– Na Haft wszyscy umieją obchodzić się ze zwierzętami, panie – mruknął Garric, obserwując muchę bzykającą u boku Anielicy. – Przynajmniej w tej okolicy.

– Wiesz, że kupuję owce, by zawieźć je na Sandrakkan – powiedział Benlo. – Będę potrzebował zręcznego człowieka, żeby przegonił je do Carcosy, gdzie stoi w porcie mój statek. Chciałbyś wziąć tę pracę, Garricu? Zapłacę jedną haftyjską srebrną kotwicę za każdy dzień w drodze. To pełna dniówka według stawki obowiązującej w Carcosie.

– Nie, dziękuję, panie – odparł Garric ze ściśniętym gardłem. Klacz wyjęła pysk z koryta. Garric przesunął ręką jej wielki łeb w lewo, tak że znalazła się między nim a handlarzem. Klacz parsknęła, zdziwiona ostrzejszym niż dotychczas traktowaniem. – Mój przyjaciel Cashel jest dobrym pasterzem. Wykona tę pracę lepiej niż ja, a poza tym, te pieniądze bardzo przydadzą się jemu i jego siostrze.

Garric rażnym krokiem poszedł do stajni, trzymając uzdę tuż przy pysku klaczy. Mocno pociągnął za nią, gdy klacz zaczęła się ociągać. Ponownie zaprotestowała parsknięciem, chociaż nie próbowała się opierać. Mimo że Garric był silny, przeszło półtonowy koń zawsze mógł wygrać utarczkę z ważącym osiemdziesiąt kilo człowiekiem.

Dwaj rybacy zawinęli lichy w starą plandekę i wrzucili w głęboką wodę, ale ośka nadal leżała tam, gdzie Garric upuścił ją nad ranem. Ponieważ obszedł ją z Anielicą, Benlo dogonił ich.

– Posłuchaj, chłopcze – powiedział stanowczo handlarz. – Twój przyjaciel może sobie być dobrym pasterzem, ale to ciebie chcę wynająć, nie jego. Zaproponowałem ci godziwą zapłatę, naprawdę godziwą, ale jeżeli chcesz więcej...

– Posłuchaj, przybyszu! – rzekł Garric. Może sprawił to widok ośki, a może ostatnie burzliwe wydarzenia, ale poczuł, że narasta w nim wściekłość – jak w tych snach, w których trzymał miecz. – Nie wiem, skąd przybyłeś, z Carcosy, Erdinu czy z samych morskich głębin i mało mnie to obchodzi! Jednak tutaj, w Barca's Hamlet, nie podkradamy sobie pracy! Jeśli potrzebny ci pasterz, możesz wynająć Cashela.

Strażnicy Benlo wypadli na dziedziniec. Garric widział ich podwójnie, jedną parą oczu. Puścił uzdę i sięgnął po ośkę. Klacz cofnęła się, ale nie uciekła.

– Wracajcie do środka! – krzyknął handlarz. – Rald, natychmiast zabierz ludzi do gospody!

Dowódca strażników, krępy mężczyzna o stalowym spojrzeniu, odwrócił się i odepchnął dwóch najbliższych stojących mężczyzn.

– Słyszeliście, co powiedział szef – rzekł głośno i stanowczo. – Chodźcie, nic się nie dzieje. Dopijmy piwo.

Garric zadrżał i wyprostował się. Znowu był sam: śmiejąca się w jego głowie postać, która przymierzała się do zmasakrowania strażników ciosami dębowej ośki, znikła, wracając tam, skąd mogła go czujnie obserwować.

– Chodź, Anielico – rzekł Garric ochryplym głosem. – Znajdziemy ci trochę obroku.

– Porozmawiamy później, Garricu – rzekł z wymuszoną wesołością handlarz. Wrócił do gospody i zamknął za sobą drzwi.

Garric zaprowadził gniadą klacz do stajni. Innym razem zostałyby i nakarmił oba konie marchewkami, lecz po rozmowie z Benlo był cały roztrzęsiony. Opuścił stajnię, zadowolony z tego, że na dziedzińcu nie ma nikogo, kto by go zobaczył, po czym wyszedł na ulicę.

Wszystko się zmieniało. Pokrywał gniewem lęk.

Sztuka srebra dziennie nie była tylko godziwą, ale wspaniałą zapłatą. Ludzie w tej okolicy widywali srebro wyłącznie podczas Święta Barana, a nawet wtedy przeważnie płacono miedziakami.

Benlo chciał czegoś więcej niż tylko chłopca do poganiania stada. Garric nie obawiał się go, lecz propozycja była kolejnym dowodem na to, że wszystko, co dotychczas uważał za pewnik, zaczęło się zmieniać. A to go przerażało.

– Chcę, żeby wszystko było tak jak dawniej – szepnął do siebie. Wiedział, że to niemożliwe, że nie można cofnąć biegu wydarzeń. Kurczęta nie wracają do skorupki, a słońce nie podąża z zachodu na wschód. Mimo to nie zamierzał rezygnować z nadziei na stabilizację, chociaż wiedział, że jest złudna. Szedł po ulicy ze spuszczoną głową, zgarbiony. Ludzie zerkali na niego, ale nie odzywali się, a jeśli nawet, to ich nie słyszał. Musiał zebrać myśli. Prawie dotarł do zagrody na północ od wioski, kiedy zauważył czekającą tam na niego i obserwującą go Tenoctris.

– Właśnie odchodziłam – zawołała Tenoctris. – Czasem przychodzę tutaj pomyśleć.

Garric zamknął oczy i zadrżał, obejmując się ramionami. Dotarł do zagrody i zapytał:

– Czy mogę z tobą porozmawiać, pani? Nie wiem z kim mógłbym pomówić. Niczego nie rozumiem.

– No cóż, powiadają, że to pierwszy krok do mądrości – odparła staruszka. Przesunęła się nieco, wygodniej sadwiąc się na murku. – Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że to ty wyciągnąłeś mnie z morza. Powinnam podziękować ci wcześniej.

Garric przerzucił długą nogę przez murek i usiadł na nim okrakiem, twarzą do kobiety. Cienie wydłużały się, a pasmo chmur nad morzem przybierało różową barwę.

– Gdyby mnie tam nie było, wyciągnąłby cię któryś z rybaków – rzekł, uśmiechając się. – Chociaż jeśli chcesz, to możesz mi podziękować za to, że mam ojca, u którego rozbitkom mieszka się

wygodniej niż w chacie Tarbana.

– Belki sufitu w gospodzie pochodzą ze starego okrętu – powiedziała z lekkim zdumieniem Tenoctris. – To drewno jest pełne opowieści z odległej przeszłości, która dla mnie jest jeszcze przyszłością. Nie pasuję do tego świata. A przynajmniej jeszcze nie znalazłam w nim miejsca dla siebie.

Garric energicznie kiwnął głową.

– Ja też do niego nie pasuję – rzekł. – Albo ten świat do mnie. Benlo właśnie próbował mnie wynająć, żebym przegonił jego stado do Carcosy, ale nie o to naprawdę mu chodzi. I Sharina odpłynęła... Pani, co tu się dzieje? Nie chcę, żeby wszystko się zmieniło!

– Rzecz w tym – odparła z namysłem Tenoctris, spoglądając na morze – że wszystko się zmienia. Ja lubiłam taki świat, jakim był tysiąc lat temu. Myślę, że większość ludzi lubiła go takim, choć mogli marzyć o własnej świni lub mniejszej dziesięcinie. Jednak Zakapturzony chciał czegoś więcej i wpędził Królestwo Wysp w stulecia wojen i głodu.

Obdarzyła Garrica krzywym uśmiechem.

– O takich czasach ciekawie się opowiada – ciągnęła – ale nie w takim świecie większość ludzi chce żyć. A teraz, kiedy na Wyspach w końcu zapanował pokój, Malkar powstaje i znów wszystko się zmienia.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż Zakapturzony utonął – rzekł Garric, splatając dłonie. – Podobno on nie żyje.

– Malkar nie zginął – odparła krótko. – I Zakapturzony też żyje, przynajmniej w twoich snach.

Garric wyprostował się.

– Czy myślisz, że los rzucił cię na Haft, żebyś walczyła z Malkarem? – zapytał bardziej zdecydowanym głosem, przestając uzalać się nad sobą i zapominając o wątpliwościach.

– Los może być mitem – odparła równie stanowczo Tenoctris.

– Moce nie są nim i rosną w siłę, tak jak za moich czasów. Widzę je, Garricu, tak jak ty widzisz ciemniejące chmury przed burzą.

Uśmiechnęła się, by okazać, że nie jest zła, przynajmniej nie na Garrica.

– Natomiast co do Malkara... Nie można z nim walczyć, tak samo jak nie można walczyć ze słońcem. Ono jednak zachodzi na jakiś czas i wpływy Malkara również można osłabić.

Tenoctris potrząsnęła głową i zachichotała żałośnie.

– Wątpię, by taka mizerota jak ja mogła osłabić jego wpływ, ale i tak zamierzam spróbować.

Garric pochylił się i delikatnie ujął dłonie staruszki. Jakby trzymał wróbla...

– Pani – rzekł. – Co powinienem zrobić? Odejść z Benlo? I nie mów mi, że decyzja należy do mnie: proszę cię o radę!

Dwukrotnie skinęła głową, sygnalizując mu, że zastanawia się nad tym pytaniem, a nie ignoruje je w milczeniu. Wyjęła jedną rękę z dłoni Garrica, poklepała go, a potem złożyła obie na podołku i wyprostowała się.

– Gdybyś stanął w kanale młyna, kiedy jest w ruchu – powiedziała w końcu – woda porwałaby cię, choćbyś nie wiem jak się opierał. Lepiej zrobiłbyś płynąc z jej prądem, żeby zachować minimalną kontrolę nad tym, dokąd zmierzasz.

Garric skinął głową.

– Jesteś związany z królem Carusem, Garricu – ciągnęła Tenoctris. – Przynajmniej poprzez ten medalion, a sądzę, że i przez więzy krwi. Benlo użył królewskiego rodu Haft, żeby cię zidentyfikować. Jeśli tutaj zostaniesz, będziesz przyciągał następnych gości. Nie tylko do siebie, ale i twojej rodziny oraz przyjaciół.

– To lichy – mruknął Garric.

– To lichy – przytaknęła Tenoctris. – I inne stwory, których lepiej nie oglądać. Chciałabym móc ci powiedzieć, że to nieprawda.

– Żadna to uprzejmość wmawiać komuś, że jego stodoła się nie pali – rzekł Garric.

Uśmiechnął się. To było nawet zabawne, jeśli tylko spojrzeć na to we właściwy sposób. Śmiał się, kiedy pijany Sil wrzeszczał o niewidzialnych pająkach, które łążą mu po twarzy. Gdyby Garric wyjawiał innym mieszkańcom wioski, co teraz myśli, Sil ryczałby ze śmiechu i odpłacił mu za niezamierzone okrucieństwo sprzed lat.

– Nie sędzę, by Benlo był ci wrogiem, Garricu – ciągnęła Tenoctris, marszcząc brwi – ale na pewno nie jest twoim przyjacielem. Szukał cię z własnych powodów, być może takich samych, jakie kierują gospodynią wychodzącą na podwórze, by złapać kurę na obiad.

– Pójdiesz ze mną, pani? – zapytał Garric. – Do Carcosy, czy gdzie tam naprawdę zmierza?

– Tak – powiedziała.

Garric wstał. Na górze było jeszcze jasno, ale wioska nad brzegiem była już pogrążona w mroku.

– Chyba sprawdzę, czy propozycja Benlo jest wciąż aktualna – rzekł. – Mogę cię odprowadzić do gospody?

– Zostanę tu jeszcze chwilę – odparła Tenoctris. Ona też się uśmiechnęła. – Przyszłam tu obejrzyć układ gwiazd, który pojawi się dopiero za dwie godziny. Skłamałam na wypadek, gdybyś chciał zostać tu sam.

Garric gwizdząc poszedł ścieżką. Robił to raczej z brawury niż z radości, ale na pewno nie ze strachu. Jeśli dopadł cię deszcz, musisz zmoknąć i nie ma sensu narzekać. Cokolwiek się stanie, powinien podchodzić do tego tak samo.

W oknach bogatszych domów migotały świece. Garric kroczył po ścieżce równie pewnie, jak w biały dzień. Wciąż pogwizdując, przeciął dziedziniec i wszedł do gospody, gdzie Reise zastąpił żonę za szynkwasem.

Miejscowi zeszli z pól, by wypić razem po kufelku przed powrotem do domów. Niemal nie zwrócili uwagi na wracającego Garrica. Był trwałym i znajomym elementem ich świata. Benlo wstał od stołu, przy którym siedział ze swoimi strażnikami i zawołał:

– Panie Garric? Porozmawiałem z twoim przyjacielem Cashalem, który zgodził się przegonić moje owce do Carcosy.

– Ach tak! – powiedział zaskoczony Garric. A był tak pewny tego, że handlarzowi chodzi o Garrica or-Reise, a nie pasterza owiec. – Och, to doskonale. Cashel jest najlepszym owczarzem w okolicy.

– Pozwól, że naleję ci odrobinę waszego zacnego piwa – ciągnął Benlo, podnosząc ze stołu dwa kufle i skórzany bukłak. Wskazał Garricowi spokojny kąt izby. Jeden ze strażników poszedł po inny bukłak z piwem.

– Doceniam twoją troskę o przyjaciela, Garricu – rzekł Benlo, napełniając drewniane kufle – ale nadal szukam pomocnika. Człowieka, który potrafi pędzić owce, rozmawiać z moją córką o poezji, a w razie potrzeby walczyć jak demon. Dziś rano zrobiłeś wrażenie na moim Raldzie. Prawda, Rald?

Dowódca strażników zmierzył Garrica beznamiętnym spojrzeniem.

– Tak, proszę pana – rzekł. – I owszem.

Zamiast niezwłocznie odpowiedzieć, Garric upił łyk z drewnianego kufła. Nasmołowane ścianki naczynia nadawały piwu lekko gorzkawy smak – interesujący, jeśli ktoś był przyzwyczajony. Benlo uśmiechał się z coraz większym przymusem.

– Oczywiście zapłata taka sama jak proponowałem – dodał.

– Doszedłem do wniosku, że nie mogę wciąż unikać zmian – rzekł Garric. – Z przyjemnością wezmę tę pracę.

Reise obrzucił go szybkim spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

– Cudownie, cudownie! – rzekł z entuzjazmem Benlo. – Już zebrałem stado, więc wyruszmy jutro rano, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Od kiedy handlarze czekają na zgodę poganiaczy?, pomyślał Garric, a głośno powiedział: – Sądzę, że Cashel zechce wyruszyć po południu. Pierwszy dzień powinien być krótki, żeby przyzwycząić owce.

– A więc w południe – powiedział handlarz, lekko napinając mięśnie szczęk. – Będziemy mieli okazję lepiej się poznać, podróżując razem ze stadem.

– Przy okazji – powiedział Garric. – Wyłowiona z morza kobieta, Tenoctris, mieszkała w naszej gospodzie, wracając do sił. Ona też udaje się do Carcosy. Ja pokryję jej wydatki.

– Ta staruszka? – zapytał Benlo. Wzruszył ramionami. – Jeśli chcesz. Nie wydaje mi się, żeby była na to dość silna, ale to nie moje zmartwienie.

Garric dopił piwo i wstał.

– A zatem wrócę do moich obowiązków w stajni.

Pochwycił spojrzenie stojącego za barem ojca i dorzucił:

– Chyba powinienem też spakować trochę rzeczy.

Gwiżdżąc, opuścił gospodę.

Deszcz na moment przestał padać, lecz z gałęzi nadal spadały krople: kap, kap, kap! W głębi lasu pomrukiwała salamandra. Musiała być większa od człowieka, skoro wydawała tak głośne dźwięki.

Sharina wzięła nóż zabitego w czasie burzy marynarza. Delikatnie wepchnęła ostrze między dwa kamienne bloki. Nie weszło. Gdyby nacisnęła mocniej, złamałaby klingę.

– Nonnusie? – zawołała. – Między tymi kamieniami nie ma zaprawy, ale są dopasowane lepiej niż te w ścianach młyna w Barca's Hamlet. To robota z czasów Dawnego Królestwa. Obejrzałeś je sobie?

– Wystarczająco, by wiedzieć, że masz rację – odparł pustelnik. – Jednakże nigdy nie byłem kamieniarzem, więc nie potrafię ocenić jakości ich pracy.

Nonnus rozpałił ogień, który powoli trawił pień drzewa o półmetrowej średnicy – a przynajmniej taką miało, kiedy okorowali go we dwoje. Sharina posługiwała się przy tym wypożyczonym z triremy toporkiem, a pustelnik swoim nożem.

Padający, czterokrotnie grubszy olbrzym obalił to drzewo, oszczędzając im trudu ścinania go. Wyciosanie rufy i dziobu będzie wymagało sporo pracy, przy której Sharina niewiele mogła pomóc. Nonnus nie przejmował się tym.

Gęsta roślinność tłumiała głosy nawołujących się ludzi, chociaż czasem kilka słów dolatywało do uszu Shariny. Cała załoga triremy udała się na wzgórze, żeby obejrzeć opuszczone miasto. Nonnus powiedział tylko:

– Kiedy skończę dłubankę, będzie czas na zwiedzanie miast.

Sharina chętnie poszłaby tam z nim lub bez niego, ale poprosiła Nonnusa by towarzyszył jej w tej podróży, ponieważ wierzyła w jego umiejętność oceny sytuacji i doświadczenie, więc nie chciała ich teraz kwestionować. Została z nim i starała się pomóc, chociaż nie była w stanie pracować bez przerwy tak jak on, więc od czasu do czasu rozglądała się wokół.

– Chciałam powiedzieć... – zaczęła. – Nonnusie, nie sądzę, żeby ludzie potrafili zbudować coś takiego. Mówię o zwykłych ludziach. Myślisz, że to była wyspa czarowników?

Nonnus wyprostował się i przeciągnął, po czym zaśmiał się wesoło, czym zadziwiłby wszystkich mieszkańców Barca's Hamlet, którzy znali go jedynie jako ponurego pustelnika.

– No cóż, ja też nie znam się na czarach, dziecko. Jednakże wiem z doświadczenia, że zwyczajni ludzie mogą dokonać tego wszystkiego, co potrafią czarodzieje. Mogą potrzebować więcej czasu i zrobić to w inny sposób, ale w końcu dopną swego.

Podszedł do drzewa, by sprawdzić ogień, upewniając się, że zmieniające pień w łódkę płomienie nie sięgają zbyt blisko krawędzi. Duże drzewa były zbyt rzadkie na Haft, aby Sharina pomyślała o zastosowaniu ognia jako narzędzia, lecz doświadczenia wyniesione przez pustelnika z mniej zaludnionych ziem natychmiast podsunęły mu takie rozwiązanie.

Wolno płonące ognisko z wilgotnego mchu i patyków drażyło kłodę równie szybko jak silny mężczyzna z toporkiem. Ogień nigdy się nie męczył i pracował całą noc. Rama z gałęzi podtrzymywała nad nim daszek z liści, osłaniając przed deszczem, a naturalna wilgotność powietrza nie pozwalała tłącemu się ognisku buchnąć mocnym płomieniem.

Sharina i Nonnus nie dyskutowali o tym, dlaczego robią tę dłubankę. Nie musieli.

Za kurtyną mgły ryczały fale przyboju. Rafy znajdowały się daleko – być może nie tylko w przestrzeni – ale nie znikły. Trirema nie zdoła przedrzeć się przez nie bez pomocy silnej burzy oraz

magii takiego rodzaju jak ta, jaką wywołała okropna śmierć kapitana.

Podejrzewała, że Meder złożył w ofierze kapitana. Wolałaby utonąć niż dobrowolnie uczestniczyć w próbie ponownego pokonania raf w podobny sposób.

– Czy będziemy mieli żagiel? – zapytała. – Pewnie nie pozwolą nam wziąć brezent ze statku, ale mogłabym pozszywać płaszcze zabitych marynarzy. Szkoda, że nie ma tu Ilny...

Zamilkła. Pustelnik zeszywniał i podniósł oszczep, który przez cały czas miał w zasięgu ręki. Obrócił go grotem w dół, tak że był gotowy do rzutu.

– Nonnusię? – powiedziała Sharina. Nadal trzymając nóż, szybko stanęła za jego plecami, gdzie przy zwalonym pniu zostawiła toporek. Nóż o tępym końcu to żadna broń, jeśli ma się pod ręką lepszą.

Z lasu wyszło sześciu Krwawych Orłów i Meder bor-Mederman. Żołnierze rozmawiali między sobą. Byli spoceni i znudzeni, chociaż dwaj poznaczeni bliznami weterani wyraźnie zeszywnieli na widok pustelnika.

– Dzień dobry, Mederze – zawołała głośno Sharina. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy ci w tym, co sprowadza cię z powrotem na statek?

– Prokurator zdecydowała, że powinnaś przez cały czas być przy niej, pani – rzekł Meder. – Masz pójść z nami do miasta, gdzie pozostaniemy, aż lepiej zorientujemy się w sytuacji.

Obrzucił Nonnusa spojrzeniem, które miało być lekceważące, ale było po prostu nieprzyjemne.

– Twój sługa może pójść lub zostać, jak wolisz.

Meder był rozdrażniony i niespokojny. Jego szaty z czarnego aksamitu były zupełnie przemoczone. Nawet cienka tunika Shariny była ciężka od wchłoniętej wody. Wilgotne powietrze było duszące i nieprzyjemne. Jednak nie klimat tak niepokoił młodego czarodzieja. Pochlebiało jej – jak każdej kobiecie – że tak podoba się młodemu szlachcicowi, a jednocześnie sam Meder, jego sposób myślenia i nierozważne działania, były dla niej odstręczające. Chłodna wzgarda była zarówno naturalną reakcją Shariny Jak i najlepszym znanym jej środkiem, by trzymać go na dystans. Nie była to kwestia, jaką chciałaby omawiać z Nonnusem. Szczególnie na ten temat nie chciała z nim rozmawiać.

– Wolałabym tam nie iść – powiedziała głośno Sharina.

Meder zacisnął pięść. Żołnierze, którzy stali drapiąc się i leniwie gawędząc, teraz zamilkli i czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

– Och, sądzę, że przez kilka następnych godzin nie mamy tu co robić – rzekł pustelnik spokojnym i donośnym głosem. Niedbałym ruchem zarzucił oszczep na ramię jak zwykły kij. Przeszedł wzdłuż pnia, zaglądając do środka i sprawdzając ogień. – Tak, wszystko w porządku.

Odwrócił się do Medera i uśmiechnął, okazując raczej dobrą wolę niż humor.

– Chyba czas obejrzeć coś nowego – rzekł.

Meder zmarszczył brwi jak kopacz, który nie może rozgnieść ani odgonić natarczywej muchy.

– W porządku – rzekł. – Jeśli tak życzy sobie panienska Sharina.

Podał jej ramię. Ominęła go i poszła kamienną ścieżką.

– Sądzę, że możesz już schować nóż, dziecko – powiedział tuż za jej plecami Nonnus.

Zaczerwieniła się i wepchnęła nóż do pochwy.

– Zapomniałam o nim – powiedziała. – Jestem przyzwyczajona do kuchennych noży, które trzyma się lub odkłada.

Ścieżka wiła się stromą serpentyną, wznosząc się przy każdym kroku o dobre dwadzieścia centymetrów. Była dość szeroka, by sześć osób mogło nią iść ramię w ramię, ale Meder dopiero po chwili zdołał dogonić Sharinę i Nonnusa. Gładkie podeszwy butów czarodzieja ślizgały się na

zbutwiałych liściach. Boso szło się tu o wiele wygodniej niż w żołnierskich podkutych butach, gdyż gąbczaste podłoże nie stawiało dostatecznego oporu ostrym gwoździom. Tam, gdzie stopy przechodzących odsłoniły podłoże, lśnił gładki jak lustro gnejs. Sharina spojrzała na krawężnik zrobiony z sześciometrowych kamieni.

– Niektóre z tych bloków ważą tony, Nonnusie – zauważyła.

– I owszem – przyznał pustelnik. W jego głosie usłyszała lekkie rozbawienie, gdy podjął przerwana rozmowę. – Jednak nie widziałem żadnego głazu, którego nie mogłoby podnieść czterech ludzi. Czterech zwyczajnych ludzi.

– Ta wyspa jest skupiskiem mocy – rzekł Meder, prawie do siebie. Otarł twarz rękawem. – Czarodziej mógłby tu dokonać wielkich rzeczy. Niewiarygodnych rzeczy.

Sharina zrozumiała, że zdenerwowanie czarodzieja wynikało nie tylko z tych pobudek, jakie dotychczas mu przypisywała. W jakikolwiek sposób zbudowano te budowle Tegmy, wynurzenie się tej wyspy z morza dowodziło, że jej istnienie jest związane z ogromną magią. A to musiało wpłynąć na zachowanie czarodzieja.

W pobliżu rozległy się okrzyki niewidocznych w gąszczu marynarzy. Polowali na jakieś zwierzę, tak duże, że łowy na nie wymagały skoordynowanego działania.

Na Tegmie były robaki i owady, oraz żywiące się nimi salamandry. Sharina nie widziała ssaków czy gadów, ani nawet ptaków, chociaż w pierwszej chwili wydawało się, że słyszy ich śpiew. Niektóre owady miały skrzydła długości jej przedramienia i latały z basowym warkotem.

Trzciny trzasnęły, gdy coś dużego tratowało je w pośpiechu. Las był tak gęsty, że Sharina nie widziała nawet ścieżki poza następnym i poprzednim zakrętem.

Żołnierze dyszeli i przeklinali po cichu. Włócznie tyleż pomagały im co zawadzały, ale przynajmniej mogli się nimi podpierać, podczas gdy ciężkie pancerze i hełmy tylko utrudniały im marsz. Zdaniem Shariny fakt, że ich nie zdjęli, najlepiej świadczył o ich karności, a zarazem dowodził do jakich idiotyzmów może prowadzić wojskowa dyscyplina.

Nonnus niósł swój oszczep na ramieniu, grotem w dół, gotowy do niespodziewanego ataku. Może nie uważał, w przeciwieństwie do Shariny, że podjęte przez Krwawe Orły środki ostrożności są nieuzasadnione...

Nagle wskazał coś lewą ręką. Sharina popatrzyła w górę. Na stromej i nieustannie wijącej się ścieżce przez cały czas instynktownie spoglądała pod nogi, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Każdy ze stojących na grani budynków był większy niż wszystkie zabudowania Barca's Hamlet razem wzięte. Mury i wysokie mosty łączyły te wyniosłe budowle w całość równie skomplikowaną i wielopoziomową, co tunele mrowiska. Zaróżowione od mgły słoneczne promienie pogłębiały różową barwę kamienia, zmieniając ją w krwawy szkarłat. Marynarze krążyli po krużgankach lub wychylali się z okien, pokrzykując do siebie głosami pełnymi dziecinnego podziwu.

Droga wiodła do wysokiej na sześć metrów bramy w kształcie trapezu o podstawie dwukrotnie szerszej od górnej krawędzi. Sharina lekko zmrużyła oczy. Ten kształt otworu był bardzo praktyczny, ale spodziewała się raczej łuku. Teraz, kiedy podeszli bliżej, zobaczyła, że wiele okien ma ten sam kształt zwężających się ku górze szczelin.

– Prokurator jest w cytadeli – powiedział Meder. W oczach miał gorączkowy błysk i zaciskał palce, jakby usiłując złapać coś, czego inni nie mogli dostrzec. – Mówię o najwyższym budynku, tym na prawo.

Nonnus przyklęknął i przeciągnął wolną ręką wzdłuż framugi bramy. Odnalazł w niej wgłębienie, jakby na zawias, po którym – tak samo jak po bramie – nie pozostał żaden ślad, nawet plama rdzy na kamieniu.

Słowa i stukot podkutych butów odbiły się głośnym echem od ścian. Wskazany przez czarodzieja budynek był tak wysoki, że Sharina nie była pewna, czy dostrzega jego szczyt, czy też mgła skrywa przed nią najwyższą część tej budowli.

– Panie Mederze! – rozległ się gromki głos Wainera, który stał w kącie na balkonie znajdującym się dwadzieścia metrów nad dziedzińcem, naprzeciw bramy. Obok niego stała Asera, pozostawiając żołnierzowi upokarzające zajęcie, jakim było wykrzykiwanie rozkazów. – Prokurator prosi, abyś niezwłocznie do niej dołączył!

Przeście było tak wąskie i niskie, że Sharina odruchowo pochyliła głowę, chociaż zapewne przesłaby pod nim z dwucentymetrowym zapasem. Idąc przejściem wiodącym przez pięciometrowe mury, czuła się jak w tunelu. Ten budynek z pewnością mógł pełnić rolę twierdzy, celowo lub nie zbudowany w taki sposób przez starożytnych budowniczych.

Dalej znajdowało się ogromne pomieszczenie o ścianach nachylonych pod dziwnymi kątami, pilnowane przez dwóch marynarzy. Ci zawołali coś do innego mężczyzny, ukrytego gdzieś w rozbrzmiewającym echem mroku. Sharina wiedziała, że w tym budynku lub w jego pobliżu znajduje się co najmniej dwustu mężczyzn, a mimo to czuła się, jakby pływała w pustym oceanie.

Jakiś żołnierz zamruczał coś do Medera. Ten odwrócił się, marszcząc brwi.

– Tak, w porządku, możecie odejść – warknął.

– Chcemy tylko pobrać nasze racje żywnościowe, rozumie pan – rzekł żołnierz z urażoną miną.

Oddziałek odwrócił się i znikł w korytarzyku, zrzucając już z siebie zbroje. Skórzane kamizele, które nosili pod spodem, były zupełnie mokre.

Z sali można było wyjść przez tuzin trapezoidalnych drzwi, lecz okienka w przedniej i tylnej ścianie były małe i umieszczone tuż pod sufitem. Na górne piętra wchodziło się po spiralnej rampie podtrzymywanej przez grube kolumny. Jakiś żołnierz – nie Wainer – pomachał z jej szczytu, gdzie łączyła się z kasetonowym sufitem.

– Dlaczego nie zbudowali schodów? – zapytała Sharina, gdy we troje ruszyli w górę. Spirala wznosiła się jeszcze bardziej stromo niż ścieżka i Sharinę już bolały łydki.

– Ze względów estetycznych, panienko – rzekł wyniosłe Meder. – Budowniczywie tych wielkich konstrukcji usiłowali połączyć swe dzieło ze skupionymi tu siłami. Tylko ktoś biegły w sztuce potrafi to docenić.

Na przykład taki czarodziej jak ty, pomyślała z obrzydzeniem Sharina.

– A może po prostu byli wężami – rzekł z poważną miną Nonnus. – Korzystali ze sztuki, w której byli tak biegli, zamiast rąk, których nie mieli.

Meder zamrugnął oczami, nie mogąc uwierzyć, że ten pokrecony stary wieśniak z niego drwi. Sharina zachichotała, zatykając sobie usta dłonią, żeby stłumić śmiech. Czarodziej zbladł jak ściana, tylko na obu policzkach wykwitły mu krwiste rumieńce.

W pięciokątnym pomieszczeniu na końcu schodni w każdej ze ścian znajdowały się drzwi. Żołnierz, który do nich machał, odsunął się na bok. W jednym z otworów drzwiowych pokazała się Asera i zawołała:

– Tak, chodźcie tu. Powiedźcie mi, co o tym myślicie.

Razem z Wainerem stała na długiej galerii wychodzącej na drugą stronę grani. Półka miała zaledwie pół metra szerokości i zamiast balustrady zaledwie niski krawężnik, taki sam jak te, które biegły wzdłuż ścieżek wiodących tu z portu. Sharina poczuła się nieswojo, chociaż od kiedy trirema wylądowała na Tegmie, nie powiał najłżejszy wiatr.

Po drugiej stronie góry rozpościerała się dolina spowita mgłą. U podstawy cytadeli tryskał strumień, parujący siarkowym dymem i spływający po kamienistym zboczu. W promieniu kilku

metrów od tej wody nie rosła żadna roślinność, tylko wytrącone związki mineralne barwiły brzeg na żółto i pomarańczowo. Unoszący się stamtąd opar zabarwiał napływającą mgłę.

– Widać stąd całą okolicę – powiedziała z podziwem Sharina. Choć po prawdzie nie widziała nic prócz gęstego lasu.

– To mogą być te budynki, które widziałem w lagunie Tegmy – powiedział cicho Nonnus. – Lecz te rafy wyrosły wokół małej wysepki, a nie...

Końcem oszczepu wskazał na spienione fale w oddali.

– Wiesz coś o tym, Mederze? – zapytała bez ogródek Asera. – Czy wiesz dokąd nas przywiodłeś?

Była spięta w nieco inny sposób niż towarzyszący jej Wainer. Żołnierz niepokoił się tym, co mogło kryć się w tym ogromnym kamiennym pustkowiu – nieznanym, lecz konkretnym niebezpieczeństwem. Prokurator nadal myślała o misji, która przywiodła ją na Haft. Musiała brać pod uwagę rozległe i skomplikowane plany, którym poważnie zagroziło lądowanie na Tegmie.

Jeśli to była Tegma.

– Ja nie przy... – zaczął Meder, ale dostrzegł błysk w oczach Asery i zamilkł. Oczywiście, miał rację, gdyż to nie on wywołał burzę. Jednak przestraszona i rozgniewana prokurator była gotowa gwałtownie zareagować na protesty kolegi. – Pani – dodał. – Tegma jest starsza niż wszystkie zachowane zapisy. Niektórzy twierdzą, że starsza niż człowiek.

Asera zmarszczyła brwi.

– Bzdura – powiedziała, stukając paznokciem w mur. – Te budynki dowodzą, że to bzdura.

– Pomijając te budynki, pani – rzekł czarodziej, kiwając głową, jakby zgadzał się z Aserą. – Jak już mówiłem, wszystko to domysły, gdyż dotychczas nie można było dotrzeć choćby do laguny tej zatopionej wyspy.

Nonnus odchylił głowę i spojrzał w górę. Uśmiechnął się. Sześć metrów wyżej i piętnaście metrów w bok sterczał kolejny balkon. Spojrzawszy na tę cytadelę z zewnątrz, Sharina zapamiętała, że ten potężny budynek ma jeszcze co najmniej kilka wyższych pięter.

– Zaczę badać tę sprawę moimi umiejętnościami – rzekł Meder.

– Lepiej dowiedz się, jak się stąd wydostać – warknęła Asera.

– Tak, oczywiście – przytaknął Meder – ale najpierw muszę określić, dokąd przywiedli nas czarodzieje królowej. Zapewniam cię, że moje umiejętności...

W przedpokoju rozległy się kroki.

– Wainerze! – zawołał żołnierz. – Pani Asero, proszę spojrzeć, co leżało na górze!

Dwaj żołnierze stanęli w drzwiach wiodących na wąski balkonik, pokazując zwierzchnikom garście biżuterii. Naszyjniki zbyt ciasne by pasowały na szyję, wąskie żłobione płytki połączone w rury za ciasne na ludzki tors, a zarazem za długie na ciało nawet najwyższego człowieka, ozdoby, których Sharina w żaden sposób nie mogła wyobrazić sobie na ludzkim ciele...

Zrobione ze złota. Szczerego złota, niezmienionego przez niezliczone wieki, które pochłonęły wszystko, prócz kamieni Tegmy.

– Marynarze znajdowali je wszędzie, pani – powiedział jeden z żołnierzy. Ten, który strzegł wejścia na balkon stał teraz za plecami dwóch przybyłych, usiłując rzucić okiem na skarb. – I pewnie nie zamierzali się do tego przyznać, ale nauczyliśmy ich moresu, Ningir i ja.

Meder podniósł naszyjnik, oglądając go w czerwonym świetle słońca. Obrócił biżuterię w rękę, uważnie oglądając wyryte wszędzie wzory. Jeśli miały przekazywać jakąś treść, a nie tylko zdobić, to Sharina jeszcze nigdy nie widziała takiego pisma.

– Właśnie czegoś takiego potrzebuję! – rzekł czarodziej. – Zabierzemy to z powrotem na statek. W ten sposób zaoszczędzimy czas, bo nie będziemy musieli przynosić tutaj moich narzędzi. Dowiemy

się, co się tu dzieje, a powiedzą nam to dawni mieszkańcy tego miasta!

Nadal trzymając naszyjnik, Meder tak szybko przeszedł przez drzwi, że żołnierze ledwie zdążyli uskoczyć mu z drogi. Jakby dopiero teraz ich zauważył, rzekł:

– Wy trzej! Będę potrzebował do tego zwierząt, jak najwięcej. I chcę mieć je żywe!

Sharina zauważyła już wcześniej, że kiedy Meder zajmował się tym, co nazywał swoją sztuką, kompletnie nie zwracał uwagi na prokurator. Stawała się dla niego tylko dodatkową parą rąk do wykonywania rozkazów. Asera miała urażoną minę, lecz jej gniew szybko zmienił się w pełne nadziei oczekiwanie.

– Chodź z nami, dziewczyno – powiedziała do Shariny. – Jeśli jest jakiś sposób, żeby się stąd wydostać, chcę jak najszybciej go poznać. Wainerze – skinęła głową na żołnierza. – Będę potrzebowała co najmniej sześciu ludzi. Niech natychmiast dołączą do nas na pokładzie, gdy tylko ich zbierzesz.

Dowódca eskorty kiwnął głową i różnym krokiem opuścił balkon.

– I dobrze – mruknął Nonnus, gdy schodzili po rampie do głównej sali. – Już czas sprawdzić nasze ogniska.

Sharina miała wrażenie, że jest lekko rozbawiony. Była przekonana, że razem z pustelnikiem wydobędzie się z wyspy Tegmy, cokolwiek przydarzy się pozostałym członkom załogi triremy.

Zagnane już do kamiennej zagrody owce wydawały miłe, ciche dźwięki, gdy Garric zbliżał się tam z resztą stada, tuzinem owiec z Beilin. Bodger, białoucha i mleczna, odbiła od stadka, gdy tylko stwierdziła, że Garric nie zwraca na nią uwagi.

Zacisnął usta i sięgnął nad grzbietami trzech grzeczniejszych owieczek, by mocno zdzielić ją końcem nie napiętego łuku. Garric i Cashel nie nosili lasek. Ataki wilków morskich były rzadkie, lecz każdy pilnujący owiec przy Barca's Hamlet musiał być na nie przygotowany. Łuk i pałka Cashela były normalnymi narzędziami pracy pasterza i warto było mieć je zawsze pod ręką, kiedy jeden z tych jaszczurów niespodziewanie pojawiał się na brzegu.

Cashel czekał przy bramie zagrody, trzymając torebkę i garnek. Głośno cmoknął i zawołał:

– Bodger! Wracaj tu.

Owca, która ignorowała poszturchiwania Garrica, natychmiast dołączyła do pozostałych. Zaczęły przechodzić przez wąską bramkę. Przy każdym kolejnym zwierzęciu Cashel wrzucał do garnka ziarno fasoli.

– Jest ich dwanaście, tak jak oczekiwaliśmy – oznajmił Garric.

– To dobrze – odparł Cashel. – Bałem się, że zatrzyma sobie Bodger. Chyba ze sto razy słyszałem jak mówił: „Nigdy nie miałem tak mlecznej owcy, synu”. A ja mu na to, że lepiej niech jakiś biedny dureń na Sandrakkanie martwi się, że ona skręci sobie kark lub utonie.

Liczył dalej, po ziarnku na każdą owcę, jakby przyjaciel nic nie powiedział. Cashel taki już był: kończył każdą pracę, do jakiej się zabrał, bez ociągania się i bezbłędnie. Czasami doprowadzał Garrica do szału, ale miało się pewność, że wszystko zrobi jak należy – w końcu.

Garric łagodnie zawrócił owieczkę, która zaczęła się oddalać, nie mogąc od razu wejść do zagrody.

– Cóż – powiedział. – Najwidoczniej Beilin posłuchał twojej rady, albo skusiła go cena zaproponowana przez Benlo.

Ostatnie owce weszły do zagrody. Cashel odstawił naczynie, wysypawszy z niego ziarna na dłoń, a Garric wepchnął trzy drewniane belki w otwory w kamieniach, zamykając bramkę. Owce Beilina były ostatnimi z pięćdziesięciu zakupionych przez handlarza.

– Wiesz – rzekł Garric – farma Beilina znajduje się przy samej drodze do Carcosy. Mogliśmy odebrać te owce jutro i zaoszczędzić sobie dwa kilometry drogi w obie strony.

Cashel pokręcił głową.

– Chciałem, żeby całe stado od początku przyzwyczało się do chodzenia razem – rzekł. – Owce potrzebują czasu, by oswoić się z nowymi pomysłami.

Wrzucił do ust pół tuzina ziaren fasoli i żuł z milczącą satysfakcją. Rano i podczas każdego postoju będzie ponownie obliczał stan stada za pomocą fasoli. Garric zaśmiał się.

– No cóż, jestem twoim pomocnikiem – powiedział. – Robię co mi każesz, mistrzu.

Cashel spojrział na niego, ale odezwał się dopiero, kiedy przeżuł i połknął ziarnka.

– Garricu, rad jestem z twojego towarzystwa, a mimo to martwi mnie to, że wybrałeś się ze mną. Nie ufam temu Benlo. To czarodziej.

– Zatem ty jesteś bezpieczny, a ja nie? – zapytał Garric. – Nie sądzę.

Cashel pokręcił głową.

– Jemu chodzi o ciebie – wyjaśnił. – Widzieliśmy z Tenoctris jak przywołał widmo, żeby

odnaleźć ciebie. Mówiła ci o tym? To było tuż przed tym, zanim zaatakowało cię lichy.

– Tak przypuszczałem – przyznał Garric. Czuł się nieswojo, kiedy myślał o sobie jako o kimś ważnym dla bogatego przybysza i niechętnie mówił o tym z przyjacielem. – Poprosiłem, by zabrała się ze mną, ponieważ ona lepiej ode mnie będzie wiedziała, jeśli wydarzy się coś... no wiesz, czym powinniśmy się martwić.

– W każdym razie – dodał Cashel – chciałem wydostać się stąd, więc zaryzykowałbym podróż z Benlo, nawet gdyby był wilkiem morskim chodzącym na tylnych łapach. Z powodu Shariny.

– Hm – mruknął Garric, spoglądając na morze. Przez chwilę obaj unikali swoich spojrzeń. – Jeśli tego chcesz...

Ostatnie wydarzenia wywróciły do góry nogami uporządkowane życie Garrica. Dotknął palcami blizny na rozoranej kłami wilka morskiego łydce. Ścisnął ją nieco silniejszy kurcz niż można by oczekiwać po całodziennej ciężkiej pracy. A w dodatku triema, Benlo, a nawet Tenoctris, aczkolwiek przybycie tej ostatniej powitał z takim samym zadowoleniem jak wiosenny deszczyk.

Jednak życie Cashela również rozpadało się, lecz w tym przypadku, pod ciosami jego własnego umysłu. Jak ktoś może tak bardzo przejmować się dziewczyną? Jasne, Garricowi także brakowało siostry, ale żeby z jej powodu miał zrezygnować z uporządkowanego życia...? No cóż, decyzja Cashela to wyłącznie jego sprawa.

– Zastanawiam się – powiedział Cashel – co zrobiłby Benlo, gdybyś odmówił.

Garric pokiwał głową, zadowolony ze zmiany tematu i okazji do omówienia pewnej dręczącej go kwestii.

– Nie wiem, czy mógłby coś na to poradzić – odparł ostrożnie. – Pewnie, ma swoich strażników, ale w wiosce jest zbyt wielu ludzi, by sprawiało to jakąś różnicę. Nie pozwoliliby wywlec jednego ze swoich jak wieprzka na zarznięcie.

– Przecież to czarodziej – przypomniał mu Cashel. – Pewnie to niewiele dla ciebie oznacza, bowiem spałeś i nie widziałeś tego, co robił. Mówię ci, na sam widok przeszedł mnie dreszcz. Nie sądzę, abyś mógł liczyć na to, że po wykonaniu tej roboty uwolnisz się od Benlo. Jesteśmy silni, ty i ja, ale to nie jego strażników się obawiam.

Garric skinął głową, udając zainteresowanie ścianą chmur, wznoszącą się dziesięć kilometrów od brzegu.

– No cóż – powiedział. – Wracamy?

– Ja przenocuję tutaj – odparł Cashel. – Wziąłem płaszcz i kolację. Owce muszą przyzwycząić się do mnie jak do członka stada.

Garric lekko klepnął go w ramię i obdarzył krzywym uśmiechem.

– Nie tylko owce mają kłopoty z nowymi pomysłami – rzekł. – Chyba jakoś się przyzwyczaję.

Ruszył w dół wzgórza, ku wiosce, pogwizdując szantę, której nauczył się od jednego z marynarzy triemy.

– Hej, raz! – powiedział Nonnus, stojąc przy burcie dłubanki, opierając się całym ciężarem ciała na prawej nodze. Przy drugim słowie machnął toporkiem, wzbijając w powietrze chmurę drzazg – zwęglonych lub białych kawałków nie spalonego drewna.

– Hej, dwa! – machnął ponownie, popierając uderzenie ciężarem ciała. – Hej, trzy!

Ostrze spadło po raz trzeci, poszerzając otwór. Sharina wiedziała, że gdyby sprawdziła dzieło Nonnusa, nie znalazłaby śladów poszczególnych cięć – wszystkie miały identyczną głębokość. Pustelnik przeszedł nieco do przodu, pochylił się i znów zaczął rąbać.

Pożyczyli toporek z warsztatu cieśli okrętowego. Być może żołnierze nie pozwoliliby zabrać narzędzia Nonnusowi, ponieważ byli rozdrażnieni a wojskowi w każdej sytuacji wolą mówić „nie” niż „tak”. Jednakże nie mogli zabronić tego Sharinie, nie wciągając w spór Asery, a wtedy prawdopodobnie ściągnęliby na siebie gniew równie zirytowanej prokurator. Od kiedy Sharina weszła na pokład triremy, wszyscy traktowali ją jak szlachciankę.

Wszyscy prócz Nonnusa. On traktował ją jak przyjaciółkę.

Deszcz znów przestał padać, a słońce wisiało tuż nad horyzontem. Asera wyszła z kamiennej izdebki, w której schroniła się przed deszczem. Jej nieruchoma twarz skrywała z trudem powstrzymany gniew. Dotychczas jedynymi efektami poczynań Medera w sąsiednim pomieszczeniu był dym, mamrotane zaklęcia i nieoczekiwane zapachy. W pewnej chwili Sharina miała wrażenie, że powietrze stało się chłodne jak w starym grobowcu; w następnej wdychała zapachy, które nie miały nic wspólnego z pozbawionymi kwiatów lasami Tegmy.

Niestety, nic poza tym. Czarodziej nawet jeszcze nie zaczął zarzynać salamander, które strażnicy przynieśli mu w zawiniątku zrobionym z opończy martwego marynarza.

Mimo deszczu, Sharina nie przerwała pracy, wygładzając drąg przeznaczony na maszt dłubanki. Rzadkie i ciepłe krople nie były zbyt dokuczliwe w porównaniu z wilgotnością powietrza.

Nonnus też nie zwracał uwagi na pogodę, wygładzając dno i burty koryta, w jakie zamieniła się nadpalona ogniskami kłoda. Gdyby próbował dalej drążyć ją za pomocą ognia, ryzykowałby wypalenie dziury w dnie.

Trudno było sobie wyobrazić, by pogoda mogła jakkolwiek wpłynąć na Nonnusa. Natomiast co do Shariny, no cóż, wychowała się, pracując w wiejskiej gospodarce.

Sześciu żołnierzy Krwawych Orłów stało lub siedziało w pobliżu, leniwie gwarząc ze sobą. Byli znudzeni, a pełniąc straż – a przynajmniej sprawiając takie wrażenie – nie mogli schronić się przed deszczem ani zdjąć zbroi. Nawet Wainer wyglądał na niezadowolonego. Sharina zdążyła się już zorientować, że wbrew temu co opowiadano, żołnierskie życie składało się głównie z nudy i niewygód.

Asera zerknęła do schronu, w którym pracował Meder, ale nie weszła do środka. Tym razem nie zasłonił się, gdyż potrzebował światła. Żołnierze odwracali głowy, starając się nie patrzeć na to, co robił.

Prokurator podeszła do Shariny, która wygładzała maszt, używając toporka jak hebla.

– Co robicie? – zapytała Asera. W jej głosie pobrzmiwała irytacja i chyba specjalnie stanęła bliżej niż zyczyłby sobie tego cieśla.

– Hej, raz! – powiedział Nonnus. Odrobinę podniósł głos by podkreślić fakt, że żyje w zupełnie innym świecie niż szlachta. – Hej, dwa!

– Coś dla zabicia czasu – powiedziała Sharina. Przerwała pracę i przeciągnęła się. Gdyby kontynuowała pracę przy tak blisko stojącej Aserze, zdenerwowałaby się i popełniła błąd. A to mogło oznaczać drzazgę w rękę lub skaleczenie, chociaż ostrze toporka nie było dostatecznie ostre, aby mogła wyrzucić sobie krzywdę, trzymając narzędzie w taki sposób. – Robimy łódź.

Asera prychnęła.

– To rzeczywiście strata czasu – mruknęła. Złościła ją ta sytuacja, a także bezowocne starania czarodzieja. Wyszłaby na głupią, gdyby wygrażała niebu, a dokuczanie Mederowi byłoby bezsensowne. Natomiast Sharina i pustelnik byli doskonałymi obiektami.

Nie było to niczym nowym dla Shariny: matka rozładowywała gniew w taki sam sposób, chociaż najczęściej jej złość kierowała się nie przeciwko dzieciom, lecz Reisemu.

– Szybko! – krzyknął Meder. Usłyszeli jego głos przez otwarty bok chatki, zanim odwrócił się i wyrzwał. – Przynieście mi zwierzęta. Migiem! Niech was piekło pochłonie! Chcecie, żebym musiał powtarzać cały rytuał?

Żołnierze zeszywnieli. Na twarzy Asery pojawiło się żywe zainteresowanie. Szybkim krokiem, prawie truchtem poszła do czarodzieja. Skinęła na Wainera, który ruszył za nią, trzymając zawiniątko z wijącą się zawartością.

– Hej, raz! – powiedział pustelnik. – Hej, dwa!

Pomimo odrazy do tego, co robił czarodziej, Sharina przeszła na drugą stronę masztu, zanim znów podjęła pracę. Z tego miejsca mogła obserwować, co dzieje się w schronie.

Meder nucił i machał magicznym sztyletem. Zakreślił na ziemi krąg wokół złotego naszyjnika. Kiedy skinął głową, Wainer rozciął brzuch salamandry, tak że jej krew i wnętrzności spadły na metal. Twarz żołnierza była jak wykuta z kamienia.

Asera chwyciła drugą salamandrę, małą w pomarańczowe plamki. Niechętnie dotknęła śliskiej skóry. Gdy Meder ponownie skinął głową, upuściła stworzonko do miski, w której czarodziej palił swoje proszki na węglach drzewnych. Słyszając syk i rozpaczliwe piski, Sharina skrzywiła się.

Powietrze wokół Medera zaczęło trzeszczeć, jakby ktoś łamał grubą gałąź. Czerwona mgła uniosła się nad naszyjnikiem, była coraz większa i gęściejsza. Wainer tak szybko wyszedł ze schronu, że uderzył głową o górną krawędź otworu. Prokurator cofała się powoli, nie odrywając oczu od czerwonej poświaty wokół naszyjnika.

– Nonnusie – powiedziała cicho Sharina. Pustelnik już odstawił toporek. Wyskoczył z łodzi, kiedy Sharina przysunęła się do niego. Prawą ręką chwycił oszczep, nie przestając obserwować poczynań czarodzieja.

Płonąca mgła przybrała wrzecionowaty kształt, ciemniejac jak kawał żelaza, wyjęty przez kowala z paleniska. Ukazały się kończyny i trójkątna głowa. A także złocisty naszyjnik na szyi.

Zjawa miała nie cztery kończyny, lecz sześć. Dwie tworzyły rodzaj zębatych ostrzy, dwie inne były zakończone palczastymi wyrostkami, a pozostałe dwie pokryte chitynowym pancerzem i owadzimi odnóżami.

To stworzenie niczym prócz wyprostowanej postawy nie przypominało człowieka.

– Archaj! – wykrzyknął uradowany Meder. Wyszedł ze schronu, zacierając ręce. – Mieszkańcami Tegmy byli ci, których Cassarion w swoim „Manuskrypcie” nazywa Archajami!

Wszyscy żołnierze odwrócili się i obserwowali tę scenę. Asera i Meder odsunęli się, aby z daleka patrzeć na nieruchomą zjawę. Czarodziej uśmiechał się, lecz prokurator zmarszczyła brwi.

– Jak zamierzasz... – zaczęła.

Zjawa zaczęła rosnać. Przez chwilę mgła zachowała poprzedni kształt, a potem pękła jak mydlana bańka. Różana poświata rozeszła się, powoli przygasając. Można było dostrzec wyraźną granicę

między nią a otaczającym ją powietrzem.

– Stań za mną, dziecko – mruknął Nonnus, odsuwając Sharinę prawą ręką, w której trzymał oszczep. Lewą wyjął swój pewlański nóż i trzymał pionowo ciężkie stalowe ostrze między nimi a nadciągającą poświatą.

Mgła przepłynęła wokół ostrej klingi oraz ich dwojga, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Sharina nie poczuła jej dotknięcia. Teraz, kiedy spowiła ich ta mgła, jej różowy kolor nie był już tak widoczny.

– Co to było? – spytała ostro Asera. Dotknęła swoich policzków, by sprawdzić, czy mgła pozostawiła na nich jakiś ślad. – Nie mówiłeś mi, że to zamierza mnie dotknąć!

Wainer wyjął miecz. Czujnie rozglądał się wokół.

– To nic – prychnął niecierpliwie Meder. – Aby zdobyć potrzebne informacje...

Coś poruszyło się w schronie. W pierwszej chwili Sharina pomyślała, że to jedna z salamander wydostała się z worka.

– ...będę musiał powtórzyć zaklęcie...

Z kamiennej podłogi schronu uniosła się jakaś postać, jakby proch odzyskał swój pierwotny kształt. To nie była zjawa, lecz prawdziwe, żywe stworzenie.

– ...tylko tym razem szybciej, ponieważ...

Ziemia na całym nabrzeżu zatrzęsała się, a wraz z nią wzgórze. Poświata powoli rozchodziła się, a za nią poruszał się proch minionych wieków.

– Spójrzcie! – powiedziała Sharina, wskazując na schron. Wszyscy powiedli wzrokiem za jej gestem.

Okryty brązowym chitynowym pancerzem oryginał przywołanej przez Medera zjawy, stanął na tylnych nogach. Asera wrzasnęła i odskoczyła, potknęła się i o mało nie upadła. Archaj zamierzył się na nią. Wainer doskoczył i wbił szeroki na dłoń miecz głęboko w odwłok stwora. Archaj padając, uderzył ostrą górną kończyną po przedramieniu żołnierza. Wainer wyrwał ociekające purpurową krwią ostrze z ciała napastnika.

Ziemia poruszała się, jak lawa bliska wrzenia. Kiedy Tegma zapadła się w morskie fale, zapewne setki, tysiące Archajów tłoczyły się w porcie. Krwawe Orły walczyły zawzięcie, ale równie dobrze mogli próbować dźgać włóczniami ogień.

– Biegnij do miasta! – zawołał Nonnus, jak zwykle pierwszy reagując na nieoczekiwane niebezpieczeństwo. – Musimy wyprzedzić mgłę!

Zwracał się do Shariny, lecz biegnąc ścieżką zaledwie o kilka kroków wyprzedzili pozostałych, włącznie z Mederem. Tylko stanowczy rozkaz Wainera powstrzymał żołnierzy przed startowaniem do panicznej ucieczki. Odwaga w walce z wrogiem to jedno, lecz ten przeciwnik wzbudził pierwotny strach w żołnierzach, którzy na chwilę zapomnieli o dumie. Przywołani do porządku, sformowali tylną straż.

Podczas zagłady Tegmy Archajowie byli także na zygzakowatej ścieżce, chociaż szczęście stworzenia, które Sharina mijiała, biegnąc po zbutwiałych liściach, były nieco słabiej rozwinięte od tych, które powstawały w porcie. Tę różnicę spowodowało zapewne nieco późniejsze przejście zaczarowanej mgły.

Sharina poślizgnęła się na pierwszym zakręcie. Nonnus sapnął niespokojnie, nie mogąc jej złapać, gdyż w obu rękach trzymał broń. Jednak dziewczyna nie potrzebowała pomocy. Złapała równowagę, wystawiając w bok rękę z toporkiem i energicznie machając drugą.

Tuż przed nią kulił się Archaj, prawie uformowany. Zaczął się podnosić. Przeskoczyła przez niego i pobięła dalej.

– Może powinniśmy biec na skróty? – zawołała.

– Nie znamy terenu! – odkrzyknął Nonnus. – Wystarczy, że jakiś parów zagrozi nam drogę.

Na ścieżce pojawiało się coraz więcej Archajów. Sharina usłyszała za plecami szczęk stali i wrzaski. Pobiegła dalej.

Kiedy Garric wszedł do gospody, zastał ojca stojącego za barem, przepisującego kwoty z tabliczek na arkusz zrobiony ze szmat. Przez zachodnie okno wpadało jeszcze dość światła, by uwypuklić słoje na nawoskowanych deskach. Wieczorni goście dopiero zaczęli się schodzić.

Jedynie należności przekraczające równowartość srebrnej kotwicy wymagały odnotowania, ale Garric wiedział, że rachunek za pobyt Benlo, jego córki, strażników i koni znacznie przekroczy tę kwotę. Miniony tydzień był niezwykle dochodowy dla całej wioski, a szczególnie dla gospody.

Reise odwrócił się, słysząc skrzypienie drzwi. Badawczo spojrzał na Garrica.

– Ach, ojciec – powiedział młodzieniec. – Pomyślałem, że... hm... rano będzie ruch. Dlatego chcę pożegnać się dzisiaj, dopóki jest... spokojnie.

Reise z aprobatą skinął głową.

– Zawsze byłeś przewidujący – rzekł. – Oprócz innych zalet, oczywiście.

Spojrzał na gęsie pióro, które trzymał w ręce. Otarł dutkę kciukiem i palcem wskazującym, żeby atrament nie wysechł i nie skleił pióra, a potem ponownie spojrzał Garricowi w oczy i dodał:

– Nikt z nas nie wie, co przyniesie przyszłość: pod tym względem jutro nie różni się od każdego innego dnia. Spodziewam się, że wrócisz tu z niezłą sumką w srebrze i doświadczeniem, jakie może zdobyć w mieście młody człowiek z pieniędzmi w kieszeni.

Reise uśmiechnął się lewym kąciukiem ust, co przypominało nerwowy tik.

– Mam nadzieję, że będziesz rozsądny – rzekł. – Jednak nie jestem głupcem, a ty nie jesteś starym próchnem jak twój ojciec. Baw się dobrze, ale nie trać głowy.

– Powinienem wrócić za dziesięć dni – powiedział Garric. – Zapewne zaraz wyruszę z powrotem, ale jeśli Tenoctris nie zostanie w Carcosie, dotrzymam jej kroku.

Zerknął na zestawienie. Reise miał bardzo ładny charakter pisma: każda litera była jak wzięta z kart książki, lecz bez ozdobników i zawijasów, które w imię piękna skrywały sens. Garric pisał równie dobrze jak inni mieszkańcy wioski, ale wiedział, że nigdy nie dorówna w tym ojcu.

– Tak, jak już powiedziałem, będzie, co ma być – rzekł Reise.

Położył pióro na skraju baru, otarł dłonie i podjął:

– Chociaż nie mam najmniejszych wątpliwości, że umiesz zatroszczyć się o siebie, Garricu... ani żadnych złudzeń co do moich umiejętności w tej kwestii. Pomimo to, możesz znaleźć się w sytuacji, w której będziesz potrzebował pomocy, jakiej mógłbym ci udzielić. Pomogę ci, jeśli tylko będę mógł.

Reise powoli odwrócił się, jedną ręką podniósł pióro, a drugą przysunął bliżej światła woskową tabliczkę. Ponownie zanurzył pióro z kałamarzu z inkaustem.

– Och, dziękuję – powiedział Garric do odwróconego plecami ojca. – Wiesz, myślę, że... wrócę za dziesięć dni.

Ruszył w kierunku schodów, zamierzając zabrać się do pakowania. Lora stanęła w otwartych drzwiach kuchni i powiedziała:

– Garric? Możesz tu przyjść? Mam ci coś do powiedzenia.

Garric poczuł pustkę w żołądku. Ojciec nie podniósł głowy znad rachunków.

– Tak, mam – odparł Garric.

Lora przytrzymała drzwi i zamknęła je za nim. Byli sami w kuchni. Lora nie potrzebowała pomocy przy gotowaniu posiłków dla Benlo i jego świty. Garric przystanął na środku pomieszczenia

i założył ręce do tyłu, ponieważ nie wiedział, co z nimi zrobić. Lora stanęła twarzą do niego. Wyglądała jak rozżłoszczona lalka.

– Zawsze cię kochałam, Garricu – powiedziała. – Żadna matka nie kochała bardziej swego syna!

Jej chrapliwy, zaczepny głos dowodził, iż w głębi serca wiedziała równie dobrze jak Garric, że skłamała. Jeśli Lora w ogóle troszczyła się o kogoś poza sobą, to tylko o Sharinę.

Drzwi na dziedziniec otworzyły się. Do kuchni weszła Ilna.

– Przyszłam po... – zaczęła.

– To może poczekać! – krzyknęła Lora. – Pewnie dlatego, że nie masz matki, nikt nie nauczył cię pukać do drzwi zanim wejdiesz, tak? Rozmawiam z moim synem!

Garric obrócił głowę w kierunku otwierających się obok drzwi. Zobaczył, że twarz Ilny zastygła, stała się nieruchoma jak kamień. Lora w gniewie zwykła mówić, co jej ślina na język przyniosła. Wydawała się uważać, że inni, tak jak ona, zapominają o tym, co powiedziała. Z Ilną, a szczególnie z jej gniewem, było zupełnie inaczej.

Teraz z lodowatym spokojem skinęła głową i wycofała się z kuchni, zamykając za sobą drzwi. Wcale nimi nie trzasnęła. W gniewie Ilny nie było niczego porywczego ani przelotnego.

– Uważasz matkę za starą idiotkę, która nie może ci powiedzieć niczego, co chciałbyś usłyszeć – rzekła Lora zupełnie innym tonem od tego, jakim rozpoczęła tę rozmowę. – Owszem, jestem stara. Nie musisz mi tego mówić, mam lustro. Wiem jednak co nieco o kobietach, chłopcze, a także o mężczyznach, nawet po tych wszystkich latach, jakie tu spędziłam.

Nie po raz pierwszy Garric uświadomił sobie, że jego matka nie jest głupia. Gdyby była, nie potrafiłaby tak dokuczać ludziom.

– Mamo – mruknął, spoglądając na zacieki na ścianie za Lorą – wróć za dziesięć dni. Najwyżej dwa tygodnie. Przepędzę tylko stado owiec do Carcosy.

Lora prychnęła.

– Jakbyś miał tu wrócić, kiedy zobaczysz miasto – powiedziała. – Jakby zrobił to ktokolwiek, kto ma olej w głowie. A poza tym ta Liane ma na ciebie oko.

– Mamo! – zaprotestował Garric. Miał ochotę wejść pod stół ze wstydu.

– No, właśnie, o tym chcę ci coś powiedzieć, chłopcze – ciągnęła Lora. – Zadając się z tą czy każdą inną dziewczyną, pamiętaj, że ty jesteś panem. Nie zważaj na ich maniery, wygląd czy stroje. Nie skamlaj, nie prosz. Niech wiedzą, że same muszą do ciebie przyjść.

Z chłodną aprobatą zmierzyła go wzrokiem, tak jak on mógłby spoglądać na stado owiec. Miał ochotę zapaść się pod kamienną podłogę. Skinęła głową.

– I przyjdą – powiedziała. – Nie ma obawy, chłopcze. Przyjdą stadami.

– Nie chcę stad kobiet! – rzekł Garric. – Mamo, ja tylko pędzę owce do Carcosy! A poza tym...

Usłyszał swój podniesiony głos i zniżył go niemal do szeptu.

– Liane jest damą. Ja jej nie interesuję.

Lora ze zdumieniem i niesmakiem potrząsnęła głową.

– Och, widzę, że wychowałam ideał – powiedziała. – Mężczyznę, o jakim marzy każda dziewczyna i jedna na tysiąc znajduje.

Podeszła do Garrica, ujęła go dwoma palcami za brodę i zmusiła, by spojrzał jej w oczy.

– Posłuchaj, chłopcze – powiedziała. – Zawsze pamiętaj o tym, że dama jest przede wszystkim kobietą.

Dziwne było słyszeć Lorę przemawiającą tak stanowczym tonem, zupełnie innym od krzykliwych przechwałek, będących równie nieodłączną częścią jej postaci jak wymyślna fryzura.

Położyła rękę na klamce drzwi, ale nadal nie odrywała oczu od syna.

– Nie mówię ci, co masz robić z Liane lub każdą inną damą, jaką spotkasz na swej drodze. Mówię ci tylko, żebyś narzucał im swoje własne warunki, inaczej będziesz głupcem.

Otworzyła drzwi i machnęła ręką, odpowiadając Garrica.

– Takim samym głupcem jak twój ojciec – dodała.

Ostatni odcinek ścieżki do miasta Archajów omijał występ pionowej, litej skały, zbyt twardej, by zakorzeniły się w niej wielkie skrzypy i paprocie. Ponieważ nie zasłaniała jej roślinność, Sharina widziała jak słaba magiczna poświata dotarła do gładkich różowych ścian prastarych budowli.

W gąszczu na prawo od ścieżki rozległ się krzyk strachu. Niektórzy Archajowie zapewne zginęli w lesie, może usiłując ukryć się przed nieszczęściem, jakie spadło na wyspę. Teraz szukający żywności marynarze padli ofiarą ich ostrych jak miecze kończyn.

Sharina myślała – miała nadzieję, modliła się o to – że niekontrolowana magia czarodzieja wyczerpie swą moc, zanim dotrze do miasta, którego mury zatrzymają okrytych chityną budowniczych, kiedy ona i Nonnus się tam schronią. Meder naprawdę był potężnym czarodziejem, tak jak mówił. *I głupcem!*

– Powiniennem zabrać mój kuferek – jęknął zdyszany Meder. – Mogę nas uratować, ale muszę go mieć!

– Ty durniu! – wrzasnęła Asera. – Zabiłeś nas, zabiłeś!

Nogi Shariny były jak z ołowiu, po całodziennej ciężkiej, stojącej pracy. To ponowne wejście na wzgórze, tym razem biegiem, byłoby dla niej trudne nawet gdyby nie musiała pomagać Nonnusowi.

Pustelnik miał w rękach więcej siły niż większość dwukrotnie potężniejszych od niego mężczyzn. Jego mięśnie rozwinęły się podczas wiosłowania w kruchej łódce po wodach Morza Zewnętrznego. Nogi miał krzepkie, ale nie nawykłe do biegania. Sharina dwukrotnie chwyciła go za ramię, nie pozwalając mu upaść, kiedy poślizgnął się na warstwie zbutwiałych liści. Jednak i ona z trudem biegła pod górę. Wolała jednak nie myśleć, co będzie, jeśli nie zdołają tam dobiec.

Na zakręcie zerknęła przez ramię. Nie zamierzała spoglądać za siebie, lecz zrobiła to, wiedzona instynktowną potrzebą oceny sytuacji. Czarodziej i prokurator biegli sześć metrów za nią. Asera rzuciła beżową szatę i biegła w sukni z białego jedwabiu, którą słońce barwiło na czerwono. Meder w jednej ręce trzymał magiczny sztylet, a drugą wystawił w bok, łapiąc równowagę, jakby próbował płynąć w wilgotnym powietrzu.

Czterej żołnierze Krwawych Orłów wycofywali się po zboczu za arystokratami, co chwilę odwracając się, by rozpaczliwie powstrzymać pościg. Wainer trzymał włócznię, którą zapewne wziął od jednego ze swych poległych żołnierzy. Zarówno jej grot jak i metalowy stożek na końcu drzewca były zbroczone krwią.

Poniżej całą ścieżkę zajmował zbity tłum Archajów, a kilku z nich przemykało przez las, zamierzając przeciąć drogę ludziom. Dwa sześcionogie potwory wyszły spomiędzy drzew, zachodząc od tyłu Wainera i jego ludzi, walczących z napierającymi wrogami.

– Wainerze! – wrzasnęła Sharina. Potknęła się i upadła na kolano.

– Chodź! – krzyknął do niej gromkim głosem Nonnus. – Pilnuj swoich spraw!

Znajdujący się w mieście i wokół niego ludzie rozdziawili usta na widok nadbiegających. Słabe krzyki rozbrzmiewające echem wśród murów wskazywały na to, że i tu sześcionogie stwory budziły się do życia. Wielu marynarzy miało włócznie do polowania na salamandry, a każdy z nich nosił nóż. Powinni zająć jeden z budynków, zanim Archajowie zaatakują ich całą gromadą...

Sharina i Nonnus minęli ostatni zakręt. Gnejsowa ścieżka biegła dalej prosto przez trzydzieści metrów, aż do wysokiej bramy miasta.

Spomiędzy pobliskich drzew wyszli trzej Archajowie. Unosili zębate przednie kończyny jak

szukujące się do ataku modliszki.

Sharina wyprzedzała o pół kroku pustelnika, ponieważ mijając zakręt biegła po wewnętrznej. Nie zawahała się, tylko przyspieszyła kroku i machnęła toporkiem, jakby rąbała drewno na podpałkę. Żelazne ostrze było tępe, ale spuszczone z siłą rozpaczy wbiło się w oczodół trójkątnej czaszki. Trysnęła purpurowa krew. Miała kwaśną woń.

Sharina z rozpędu wpadła na stworzenie, które właśnie zabiła. Segmentowe płytki pancerza na jego piersi były twarde, lecz elastyczne, jak wygotowana skóra. Archaj spazmatycznie machnął odnóżami: palczaste wyrostki tylko musnęły ciało Shariny, zaś zębate ostrza przeorały jej plecy. Archaj zwałił się ze ścieżki, o mało nie wrywając toporka z ręki dziewczyny.

Nonnus pchnął oszczepem następnego napastnika, mierząc w nasadę cienkiej szyi. Pod uderzeniem stalowego ostrza chitynowy pancerz pękł gwiazdźście. Pustelnik gwałtownym szarpnięciem obalił Archaja na bok, prosto pod nogi trzeciego stwora. Machnął na odlew trzymanym w lewej ręce pewlańskim nożem, głęboko rozcinając pierś napastnika. Twarda chityna rozeszła się jak gaza pod uderzeniem ciężkiego ostrza.

Nonnus przeskoczył przez drgające w konwulsjach ciała zabitych, zręcznym ruchem wrywając z jednego z nich swój oszczep. Pobiegł dalej, ramię w ramię z Sharina.

Zimna strużka spływająca po jej plecach nie była potem, lecz krwią.

Ilna wyszła z młyna, niosąc dwa niezbyt duże węzłki na krótkim kijku, który oparła o ramię, kiedy zamykała drzwi. Te drzwi i zamek były o prawie tysiąc lat młodsze od kamiennych murów budynku, ale równie krzepkie jak one.

Młynarz Katchin stał przed gospodą, rozmawiając z Benlo. Liane or-Benlo czekała niedaleko, odwrócona plecami do nich. Spoglądała w górę, jakby przyglądała się chmurom na północy, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie życzy sobie, by jej ktoś przeszkadzał.

Dwaj strażnicy Benlo również stali w pobliżu, w swobodnych pozach świadczących, że nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa. Ich czterej towarzysze byli z Reitem na podwórzu, pakując juki i kulbacząc konie.

Paru wieśniaków przyglądało się temu z daleka, ale natłok wydarzeń minionego tygodnia sprawił, że na widok handlarza opuszczającego ze swym stadem Barca's Hamlet, mieszkańcy nie mieli ochoty odrywać się od swoich zajęć. Widząc jak Ilna zamyka drzwi, panna Kurruri trąciła łokciem sąsiadkę i zaczęły naszeptować, ukradkiem przyglądając się dziewczynie.

Mężczyźni nie zwracali uwagi na nadchodzącą Ilnę. Katchin właśnie przedstawiał swój plan, w wyniku którego Barca's Hamlet miała stać się portem mogącym konkurować z Carcosą. Był to poroniony pomysł, nawet gdyby znalazł bajecznie bogatego sponsora, gdyż nadciągające z nad Morza Wewnętrznego sztormy niemal zawsze nadchodziły ze wschodu, uniemożliwiając korzystanie z portów wschodniego wybrzeża, nawet jeśli te zapewniały schronienie przed złą pogodą. Benlo „słuchał” ze skupioną miną. Najwyraźniej myślał o sprawach nie mających nic wspólnego z Katchinem – ponurych sprawach, jak uznała Ilna, widząc wyraz jego twarzy.

Cashel i Garric powoli sprowadzali stado ze wzgórza. Na zboczach widać było jeszcze Garrica, łagodnie poganiającego pobekujące owce. Idący na przedzie Cahel nie wyłonił się jeszcze zza zakrętu na północnym krańcu wioski.

– Dzień dobry, wuju Katchinie! – powiedziała Ilna, dość głośno, by przerwać monotony monolog młynarza. – Ponieważ jesteś moim najbliższym krewnym pozostającym w wiosce, oddaję ci go na przechowanie.

Podala mu ciężki klucz. Kiedy Katchin wytrzeszczył oczy, chwyciła go za rękę i wcisnęła mu w nią klucz.

– Tylko na wypadek nagłej potrzeby – dodała, przeszywając go wzrokiem. – Nie chciałabym, aby podczas mojej nieobecności zniknęły rzeczy należące do mnie i do mojego brata.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? – spytał z rosnącym zdziwieniem Katchin. – Dokąd pójdziesz? Nigdy nie opuszczałaś wioski i nie możesz sobie na to pozwolić, nawet gdybyś chciała!

Ilna rozwiązała róg jednego węzła. W lnianym zawiniątku leżał zwój wełny w delikatnych odcieniach czerni, bieli i szarości.

– Zaniosę na targ w Carcosie zasłony, które właśnie skończyłam – powiedziała. – Dostanę za nie trzy razy tyle, ile zapłaciłby mi handlarz, który przychodzi do Barca's Hamlet.

Zerknęła w kierunku północnego krańca wioski. Jeszcze nie było widać stada, ale słyszała już Cashela nawołującego owce i oswajającego je ze swoim głosem.

– Dotychczas nie mogłam tego zrobić, ponieważ musiałam zajmować się domem i moim bratem – powiedziała. Widząc, że zwróciła już niepodzielną uwagę wszystkich obecnych w pobliżu, zniżyła głos, ale i tak każde jej słowo dźwięczało jak stal. Spojrzała na Liane i dodała: – Chłopcy nie mają

rozumu. Ani trochę.

Liane odwróciła się i badawczo spojrzała na wpatrzoną w nią Ilnę. Leciutko uniosła brew, ale nic nie powiedziała.

– To niespokojne czasy – rzekł Benlo, marszcząc brwi. Potem dodał gładko: – Nie sądzę, by taka śliczna dziewczyna powinna w taki sposób po raz pierwszy opuszczać dom.

– Zdaję sobie sprawę, że czasy są niespokojne – odparła Ilna z chłodną wzdargą, która, jak wiedzieli wszyscy w Barca's Hamlet, była jej typową reakcją na męskie poczucie wyższości. – Może pamiętasz, że ja też widziałam lichy. Sądzę jednak, że te kłopoty opuszczą nas równie szybko jak obcy, którzy je tu sprowadzili.

Katchin jęknął ze zmieszania, chociaż słyszał już z ust bratanicy gorsze rzeczy i jego zdaniem mniej usprawiedliwione. Benlo poczerwieniał.

– Nie miałem nic wspólnego z tym lichem – rzekł przytłumionym głosem. Odwrócił się, udając, że spogląda wzdłuż ulicy. – Jeszcze nie ma tu tych chłopców z owcami?

– Możesz udać się wraz z nami do Carcosy, panienko – powiedziała niespodziewanie Liane. – Będziesz z nami bezpieczna. Tylko czy pomyślałaś o tym, w jaki sposób wrócisz tutaj do twojego domku?

Popatrzyły na siebie.

– Miło z twojej strony, że się tym przejmujesz, panienko – odparła Ilna. – Zapewniam cię, że jeśli ktoś tak jak ja obywatel się bez wygód do jakich przywykłaś, nauczył się troszczyć o siebie i o przyjaciół, choćby ci nie mieli ani trochę rozumu.

Uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie mocno związaną Liane, krzyżującą i przypiekającą na wolnym ogniu.

Siedemnastu ocalałych Krwawych Orłów strzegło jedynych drzwi do cytadeli. Dzięki lepszemu uzbrojeniu znacznie większa część żołnierzy niż marynarzy przeżyła zamieszanie, jakie wybuchło w pierwszych minutach po pojawieniu się Archajów. Mężczyźni próbowali zatarasować przejście tym, co jedynie było pod ręką – ciałami zabitych, przeważnie wrogów.

Sharina starała się nie krzywić, gdy Nonnus wcierał maść w jej rany. Podstawa maściowa była chłodna i oleista – jakiś tłuszcz, pomyślała Sharina, a nie lanolina zazwyczaj używana w krainie hodowców owiec – ale zawierała jakiś środek ściągający, który początkowo mocno piekł, potem zaczął przyjemnie rozgrzewać mięśnie.

Barykada nie spełniła zadania. Kolejne fale Archajów ściągnęły ciała towarzyszy na dziedziniec, by zaatakować i również zginąć. Tępiły się miecze, łamały się drzewca włóczni, a ostre kończy Archajów trafiały czasem w nieosłonięte pancerzem ciała Krwawych Orłów. Nawet ci żołnierze, którzy nie zostali ranni, byli zmęczeni masakrą.

– Nie zauważyłam, że zabrałeś apteczkę, Nonnusie – powiedziała Sharina, częściowo pragnąc w ten sposób zagłuszyć odgłosy toczącej się przy wejściu walki. A raczej rzezi. Żołnierze sapali i klęli, stal z chrzęstem przebijała chitynę i czasem świszczała w powietrzu. Umierający Archajowie wydawali przeszywające posykiwania, od których Sharinę przechodziły ciarki.

– Jestem łowcą fok, dziecko – rzekł ze smutnym uśmiechem pustelnik. – W małej łódce musisz cały dobytek mieć przy sobie. Wprawny myśliwy potrafi wyrzucić łódkę i postawić ją z powrotem dwoma pociągnięciami wiosła, lecz nie zdoła złapać wszystkich luźnych przedmiotów, które pójdą przy tym na dno.

Archajowie nadal atakowali. Marynarze pod wodzą Kizuty usiłowali przesunąć kamienny ołtarz i zatarasować nim wejście, ale nawet gdyby im się udało, Sharina nie spodziewała się, by to na długo powstrzymało atak.

– Nonnusie – powiedziała spokojnie. – Jak sądzisz, jak długo wytrzymamy?

– Och, wcale bym się nie zdziwił, gdybyśmy zdołali bronić się przez długi czas, dziecko – odparł Nonnus. Wsunął rękę w rozdarcie tuniki na jej plecach, żeby dotknąć palcami skórę pod jej prawą łopatką. Miała tam skaleczenie od zębatego ostrza, raczej nakłucie niż rozcięcie. – Szczególnie, jeśli uda nam się zatarasować wejście.

Marynarze zaniechali prób przesunięcia ołtarza. Próbowali podważyć jego blat swoimi cienkimi włóczniami. Kamienny blok miał dziesięć centymetrów grubości i ważył całe tony, więc powinien być wystarczającą przeszkodą dla napastników.

– Przecież nie mamy żywności ani wody! – powiedziała Sharina, zdając sobie sprawę z tego, że przemawia przez nią gniew i strach.

Marynarze krzyknęli z radości, gdy kamień zazgrzytał o kamień: blat drgnął. Jeden z Krwawych Orłów zaklął wściekle i wycofał się od drzwi, oburącz ściskając rozcięte do kości udo.

– Przez chwilę będzie bolało – rzekł pustelnik. Kciukiem oraz wskazującym palcem rozciągnął ranę i palcami drugiej ręki wtarł w nią maść. Ciągnął stanowczym tonem: – Przy takiej wilgotności powietrza woda nie będzie tu problemem. Możemy zbierać ją na górnych piętrach budynku. Jeśli nie zdołamy zatkać rynien, możemy rozkładać ubrania, a potem wyżymać je.

– Nie upuście tego! – krzyknęła Asera, podchodząc do marynarzy przy ołtarzu. – Musi być cały, jeśli ma się nam przydać! Podłóżcie coś pod spód, żeby osłabić uderzenie.

– A więc umrzemy z głodu, prawda – powiedziała Sharina, zbyt obojętnie, by można to uznać za pytanie. Kiedy biegła i wyrąbywała sobie drogę do cytadeli, robiła to pod wpływem gwałtownego wzrostu stężenia adrenaliny we krwi. Teraz, kiedy poziom hormonu opadł, czuła się wypalona i bezradna. Wiedziała, że w tej chwili nie przemawiało jej prawdziwe „ja”, tylko cień osoby, jaką byłaby następnego ranka. Na razie nie była w stanie powstrzymać tych słów, chociaż budziły w niej niesmak.

– Jadałem homary, moje dziecko – odparł spokojnie Nonnus. – Będę jadł te owady, jeśli nie będzie niczego innego.

Skinęła głową.

– Dziecino? – pytał Nonnus.

Uniosła głowę i napotkała jego wzrok.

– Zanim umrę z głodu i zostawię cię bez obrońcy, jestem gotów jeść ludzkie mięso – rzekł. – Niech mi Pani wybaczy, ale zrobię to – i ty także.

Zmusiła się do uśmiechu, który nieoczekiwanie jeszcze się poszerzył.

– Nie sądzę, żeby szybko zabrakło nam tych homarów – powiedziała.

Jakiś marynarz przeraźliwie wrzasnął. Inni zawtórowali mu. Archaj wyszedł z głębi ołtarza, przez otwór powstały przy przesunięciu blatu. Zajęta podnoszeniem ciężkiej płyty załoga rozpięchła się, zaskoczona niespodziewanym wydarzeniem.

Ołtarz był zarazem grobowcem. Magia, która wymknęła się czarodziejowi spod kontroli, ożywiła również pochowane w nim ciało.

Wainer odwrócił się, zaalarmowany nowym niebezpieczeństwem w chwili, gdy całą jego uwagę zaprzętała obrona drzwi. Archaj przysiadł jak drapieżny ptak na krawędzi ołtarza, a potem z szeroko rozłożonymi odnóżami rzucił się na prokurator.

Oszczep Nonnusa trafił go w powietrzu, przeszywając na wylot szyję. Impet obrócił Archaja, tak że uderzył Aserę częścią brzusznią, a nie odwłokiem i ostrymi kończynami.

Sharina nie zauważyła, kiedy pustelnik to zrobił. Zamrugała oczami. Dopiero teraz poczuła, że palce Nonnusa nie dotykają już jej ran. Chwyciła toporek i wstała.

Kizuta, Wainer i jeszcze dwaj żołnierze podbiegli do Asery. Nonnus już przy niej był i mocnym szarpnięciem za drzewce oszczepu odrzucił Archaja od prokurator. Kolejnym szarpnięciem wyrwał zboczony krwią grot. Robiąc to, ani przez moment nie znalazł się w zasięgu chitynowych odnóży potwora.

Meder zauważył podnoszącą się Sharinę.

– Och, droga panno, jesteś ranna! – zawołał. W rękę trzymał magiczny sztylet, jakby o nim zapomniał. Dziewczyna odsunęła się od podbiegającego czarodzieja, obawiając się, że ją skaleczy.

– Nic mi nie jest – mruknęła. Spojrzała na toporek, sprawdzając ostrze. Powinna je naostrzyć, jeśli chciała używać go jako broni, ale nie wiedziała czy w cytadeli znajdzie odpowiedni kamień. Drobnosiarnisty gnejs był do tego zbyt gładki.

– Posłuchaj, mogę uleczyć cię moją sztuką – powiedział Meder. – Inaczej pozostaną ci blizny!

Położył rękę na jej ramieniu, żeby odwrócić ją i obejrzeć rany. Wyrwała się gniewnie.

– Mederze! – krzyknęła Asera, podnosząc się bez pomocy Wainera, który wyciągnął do niej dłoń.

– Co robisz? To wszystko twoja wina, a ty tylko stoisz i gapisz się jak głupi!

– Muszę... – zaczął czarodziej, odwracając się do niej.

– Zostaw mnie – powiedziała Sharina. – Nic mi nie będzie.

– Ja...

Nonnus stanął między Shariną a Mederem. Chwycił w dłoń fałd tuniki czarodzieja i powoli otarł

nią zakrwawiony grot oszczepu. Przez cały czas patrzył Mederowi w oczy. Czarodziej cofnął się i odwrócił do rozgniewanej prokurator.

– Moja sztuka ocaliła nas podczas burzy – powiedział. – Podczas obu burz. Przepraszam za... tę sytuację, ale teraz tylko moja sztuka może nas uratować.

– Muszę naostrzyć toporek, Nonnusie – powiedziała cicho Sharina. Załoga Kizuty znów zajęła się wiekiem grobowca, a Krwawe Orły wróciły, by bronić drzwi.

Pustelnik skinął głową.

– Kiedy skończę opatrywać ci rany – rzekł. – Może uda się go zaostrzyć o krawędź grobowca, a jeśli nie, to poszukamy czegoś lepszego.

Sharina ponownie uklękła i pochyliła głowę, żeby mógł obejrzyć jej plecy. Te rany, których jeszcze nie namaścił, paliły ją żywym ogniem, dokuczliwszym od pieczenia wywołanego przez maść.

– Wejdę na najwyższą wieżę, żeby użyć mej sztuki! – zawołał Meder. Jego głos zagłuszył szcęk oręża. Sharina nie odwróciła głowy.

– Będiesz miała blizny, dziecko – rzekł Nonnus, delikatnie dotykając jej ran.

– Takie brzydkie jak twoje, Nonnusie?

Roześmiał się.

– Podnieś rękę – powiedział. A potem dodał: – Nie od tego, dziecko. Jednak jeszcze nie opuściliśmy Tegmy, prawda?

Oboje zaśmiali się. Wokół słyhać było szcęk oręża i jęki walczących.

Garric oparł łuk o stary święty dąb i spojrzał na opadającą do morza łąkę. Przyptyw już się skończył. Wrony i kruki patrolowały wybrzeże, a nad falami krążyły stada mew.

Dzisiaj nie było tu wilków morskich. Woda skrzyła się jak szmaragd, chłodna, zielona i niewinna. Garricowi trudno było uwierzyć, że o mało nie zginął na tej łasze żwiru, na której dziś nie było nawet ptaków.

Brodziec przebiegł kilka kroków i wzbil się łagodnym łukiem, wydając przenikliwy krzyk. Garric odwrócił się i wyciągnął szyję, usiłując dostrzec szlak wiodący do Carcosy. Nawet ze szczytu pagórka nie mógł go dojrzeć. No cóż, za godzinę znów będzie ze stadem.

Benlo przypuszczał, że przed opuszczeniem wioski Garric chce pożegnać się z rodzicami lub ukochaną. Handlarz nie miał nic przeciwko temu, byle tylko Garric wrócił przed pierwszym postojem, sześć kilometrów na zachód od wioski. Cashel sam da sobie radę ze stadem – nawet Garric by to potrafił. Owce nie wymagały nadzoru obu młodzieńców.

Obszedł drzewo i przykucnął. Dno kołczana oparło się o ziemię, a nakrywka wbiła mu się w żebra. Zwykle nie nosił kołczana u pasa, więc jeszcze się do niego nie przyzwyczyił.

Przesunął go na pasie. Benlo obiecał dać im takie miecze, jakie mieli strażnicy. Ta myśl była ekscytująca, lecz Garric nie sądził, by ten oręż mógł być dla niego czymś więcej niż zbędnym ciężarem.

Dobrze posługiwał się łukiem. Nikt w Barca's Hamlet nie nosił miecza, a Garric nie był na tyle głupi, by uwierzyć, że zdoła odpędzić przeciwnika, wymachując żelazem. Nawet krojenie pieczeni wymaga zręczności i wprawy.

Cashel nie spytał Garrica, dokąd się wybiera. Powiedział tylko, że poradzi sobie ze stadem. Cashel rzadko zadawał pytania, a jeszcze rzadziej wypowiadał się na jakiś temat. Obcy człowiek łatwo mógł dojść do wniosku, że ma przed sobą nieszkodliwego tępaka.

W pobliżu zabeczwała owca, reagując na sobie tylko znany bodziec. Może po prostu cieszyła się z tego, że w końcu przyszła wiosna. Martan i Sanduri, dwaj chłopcy z zachodniego końca wioski, mieli pilnować pozostałych owiec podczas nieobecności Cashela i Garrica. Sanduri miał dar do tej roboty.

Ilna, nie zapytała Garrica, dokąd idzie, lecz odprowadzała go wzrokiem, kiedy zostawił stado przed gospodą i ruszył ścieżką na południe, w kierunku pastwiska. Zastanawiał się, po co wyruszyła do Carcosy. Żadne poczynania Ilny nie budziły jego zdziwienia, gdyż spoglądała na świat zdecydowanie inaczej niż wszyscy znani mu ludzie. Podobnie jak jej brat, zachowywała swoje opinie dla siebie, ale nikt nie uznałby jej za tępą czy głupią.

Garric wyjął zza pasa puszczalkę i pokłonił się prostokątnemu kamieniowi. O tej porze dnia wykuta w kamieniu twarz była skryta w cieniu, niewidoczna wśród szarozielonych porostów.

– Duzi – powiedział Garric – jesteś zwyczajnym bóstwem i zapewne nie możesz pomóc nikomu poza granicami tej wioski. Ja jestem wieśniakiem, synem szynkarza – zwykłym człowiekiem. Opuszczam jedyne znane mi miejsce, a wokół mnie dzieją się rzeczy, których nie rozumiem. Duzi, będę wdzięczny za wszelką pomoc, jakiej możesz mi udzielić w nadchodzących dniach.

Oparł fletnię o głaz, jak zrobiłby to pasterz na moment przed przyłożeniem jej do ust. Potem wstał, czując nabiegające mu do oczu łzy. Sam nie wiedział, dlaczego zbierało mu się na płacz. Pewnie nad sobą. Ze złością otarł oczy.

– Dobrze pilnuj stada, Duzi – szepnął. – Martan i Sanduri są młodzi, ale nauczą się, jeśli będziesz ich strzegła.

Ruszył z powrotem w kierunku drogi, wybierając skrót, który doprowadzi go do stada pół kilometra za wioską. Nie ma sensu przechodzić między domami na oczach wszystkich, wśród których dorastał.

Po chwili Garric zawiesił sobie łuk na ramieniu, żeby uwolnić obie ręce. Idąc, zrywał stokrotki i splatał je we wianek. Ten prezent pewnie rozbawi Liane. Może lepiej spleść dwa wianki, po jednym dla obu dziewczyn...

Pogwizdując, Garric szedł przez stromą łąkę.

KSIEGA III

Cashel obudził się nagle w stajni Dashen's Place. Jego umysł nie od razu rozpoznał wśród stłumionych odgłosów nocy ten dźwięk, który go zbudził. Wstał cicho, starając się nie zbudzić śpiącego obok na słomie Garrica, ani Ilny i Tenoctris na stryszku. Z laską w dłoni, wyszedł przez niedomknięte rozsuwane drzwi na podwórze.

Dashen's Place było gospodarstwem, ale ponieważ leżało przy drodze do Carcosy, właściciel i jego rodzina zapewniali zakwaterowanie podróżnym. W stajni mogło się zmieścić dziesięć koni, karmionych sianem i owsem z pól Dashena, zagroda pomieściłaby dwa duże stada owiec, a w stodole naprzeciw głównego budynku tuzin mężczyzn mogło napić się warzonego przez gospodarza piwa, skosztować jego wyrobów i przespać się na sianie.

Tej nocy Dashen i jego rodzina dzielili stodołę ze strażnikami Benlo. Handlarz zajął obie izby domu i Liane spała w tej, w której zwykle sypiały cztery córki gospodarza. Garric mógł się położyć w sali jadalnej, ale oświadczył, że woli nocować w stajni.

Natomiast Cashel zawsze sypiał w stajni lub w zagrodzie dla owiec, nawet jeśli było miejsce w gospodzie. Pilnowanie owiec było jego obowiązkiem i nie chciał, by rozpraszały go pochrapywania stłoczonych ludzi.

Nie było wiatru. Na zewnątrz było znacznie chłodniej niż w stajni ogrzanej przez ciała koni, mułów i ludzi, ale wokół niósł się głośny rechot żab. Cashel rozpoznał trzy z mniejszych gatunków, a z odległego o prawie kilometr bagniska dolatywały pomruki olbrzymiej ropuchy, sygnalizującej okres godowy.

W powietrzu unosiły się roje owadów. Nietoperze śmigały w blasku księżyca. Cashel słyszał ich pulsujące piski.

Zastanawiał się, czy w dalekich krajach żaby i nietoperze są takie same jak w tej okolicy. Postanowił opuścić ludzi, wśród których mieszkał przez całe życie, a teraz po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy robiąc to, nie porzucił również i tego życia. Czy chociaż gwiazdy będą tam takie same? Czy też będzie dryfował wśród wysp jak gałąź w morzu i nigdy nie wróci do domu?

Oburącz ścisnął laskę i stłumił jęk. Nie zna przyszłości, ale to nieważne. Postanowił opuścić Barca's Hamlet i zrobić to. Poszedł w kierunku zagrody, nie robiąc więcej hałasu niż czająca się nad stawem żaba.

Ilna odpracowała swój pobyt. Dashen nie potrzebował pomocy przy obsłudze tych przybyłych poza sezonem gości, ale nie odmówił, gdy Ilna zaproponowała, że umyje naczynia po gulaszu na kolację i owsiance na śniadanie, w zamian za nocleg na słomie. Córki ciosałyby mu kołki na głowie, gdyby kazał im to zrobić.

Ponadto w pobliżu Barca's Hamlet wszyscy znali Ilnę i jej pracowitość. Ich garnki będą tak czyste jak w dniu, kiedy wyszły z garncarskiego pieca.

Zahukała sowa. Nawet wyostrzony słuch Cashela nie zdołał zlokalizować źródła tego dźwięku. W blasku księżyca ujrzał kilka chmurek, zbyt rzadkich by nazwać je cumulusami. Chmury i kawałki drewna, płynące przez świat bez domu i bliskich...

Owce były niespokojne, chociaż nie wystraszone. Przez chwilę Cashel podejrzewał, że są po prostu zdenerwowane nieznanym otoczeniem i nieobecnością niektórych towarzyszek. Stłoczyły się przy bramie zagrody, a stojące w ostatnim szeregu oglądały się co chwilę za siebie.

Łasica? Pewnie jakiś drapieznik zbyt mały by stanowić bezpośrednie zagrożenie, ale budzący

niepokój płochliwych owiec...

Cashel dostrzegł go: szary lis przy ogrodzeniu zagrody, piszczący i drapiący jeden ze słupków, na który próbował się wdrapać. W świetle księżyca Cashel poszukał kamyka. Znalazł odpowiedni, wyprostował się i trzymając go w prawej ręce, cicho poszedł wzdłuż ogrodzenia. Okrzyk spłoszyłby lisa, ale także zbudziłby śpiących. Zupełnie niepotrzebnie.

Dashen miał spory las, ale mniej polnych kamieni niż można było znaleźć kilka kilometrów na wschód od wybrzeża. Zbudował zagrodę z drewnianych słupków podtrzymujących żerdki z rozłupanych na pół pni. Górskie owce umieją skakać, więc żerdki sterczały na wysokość półtora metra, a słupki jeszcze wyżej.

Zwierzę rozpaczliwie usiłowało dostać się do dziupli prawie na samym szczycie jednego ze słupów. Była to karmiąca lisiczka, polująca dla czekających na nią w jamie dzieci, a mimo to Cashela zdziwiło skupienie, z jakim usiłowała dostać się do ptasiego gniazda. Szare lisy umieją wspinać się na drzewa, lecz jej pazury ślizgały się na okorowanej powierzchni słupka. Nie wpadła na to, żeby wykorzystać żerdki jako drabinę do celu.

Cashel wyszedł zza narożnika zagrody, siedem metrów od lisicy. Wycelował i cisnął kamykiem, który śmignął w powietrzu jak wystrzelony z procy i uderzył w zad zwierzęcia.

Lisica pisnęła i zwinęła się w powietrzu, odruchowo kłapiąc zębami. Ciągnąc za sobą długi ogon, umknęła w ciemność, przyciskając się do ziemi jak biegnący kot.

Cashel z uśmiechem otarł dłoń o tunikę. *Jeśli lisy umieją przeklinać, to właśnie mnie przeklinają.* Podszedł prosto do słupka, żeby sprawdzić, czego szukała lisiczka. Bez trudu mógł ją zabić, lecz pozwolił jej wykpić się siniakiem i chwilą strachu. Jej futro było coś warte, ale owcom nie podobały się woń suszącej się skóry.

Ponadto – chociaż nie wyznałby tego siostrze – lisica miała młode. Niech znajdzie dla nich jakieś pożywienie, byle nie tam, gdzie zakłócałyby sen owcom Cashela.

Pochylił się nad dziuplą, ciekawy czy usłyszy dobiegający z niej ptasi świergot. Było jeszcze trochę za wcześnie jak na porę łęgu.

Dziesięciocentymetrowa postać, naga jak niemowlę, wystawiła głowę z dziupli, rozejrzała się wokół i zaczęła schodzić po pniu. Cashel odruchowo złapał ją. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Czuł jak ciepłe ciało wije się w jego dłoni, niczym ptak chcący uwolnić się z potrzasku.

Podniósł rękę i lekko rozsunął palce, wpuszczając między nie światło księżyca. Trzymał w dłoni nagą dziewczynę!

– Na Pasterza! – powiedział. – Coś ty za jedna?

– Ty mnie widzisz! – odparła dziewczyna ze zdumieniem i zachwytem.

Huknął grom. Wydawało się, iż nie zagrzmiął w stale wiszących nad Tegmą chmurach, lecz na wysokiej wieży, na którą wspiał się Meder. Głos czarodzieja doleciał na blanki, gdzie stała Sharina, spoglądając na szykujących się do ataku na cytadelę Archajów.

– Oni są jak mrówki – powiedziała do Nonnusa, z przyjemnością stwierdzając, że nie zadrżał jej przy tym głos.

Pustelnik wyrżał za sięgający mu do piersi parapet. Nie było w nim otworów strzelniczych, jakie znajdowałyby się w zamkowym murze zbudowanym przez ludzi.

– Jeśli dobrze przyjrzesz się mrówkom, zobaczysz, że wcale nie są tak dobrze zorganizowane – rzekł Nonnus. – Na pewno nie tak, jak oni.

Kamienna płyta uniemożliwiła dalsze zaciekle ataki na wejście do cytadeli. Kilku marynarzy pilnowało jej teraz, aby udaremnić wszelkie próby usunięcia ciężkiego wieka grobowca.

Na podwórkach otaczających cytadelę gromadziły się bataliony Archajów. Robotnicy ciągnęli do miasta ze spowitego mgłą lasu, niosąc pnie wysokich drzew.

Te pniaki były dostatecznie długie, aby dosięgnąć górnych pięter cytadeli, a nawet do platformy, na której Meder rzucał swoje czary. Zebrani na dole Archajowie stanowili oddziały uderzeniowe, które miały wspiać się na górę po pniach, czepiając się odnóżami szorstkiej kory.

– Widzisz? – spytał Nonnus. – W ten sam sposób zbudowali to miasto. Do przenoszenia ciężarów nie są potrzebne czary. Wystarczy wiele rąk i zgodna współpraca.

Znów zagrzmiąło. Sharina popatrzyła na wieżę i zapytała kąśliwie:

– Myślisz, że on próbuje ściągnąć gromy na te owady?

Nonnus wzruszył ramionami.

– Piorun zazwyczaj najpierw uderza w najwyższy punkt – rzekł.

Sharina mimo woli uśmiechnęła się.

– Myślisz, że możemy mieć tyle szczęścia?

Pustelnik zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

– Problem nie polega na tym, że Meder nie wie, co robi – rzekł. – W końcu nikt z nas nie wie. Możemy tylko modlić się i mieć nadzieję. W przypadku Medera najgorsze jest to, że on nie zdaje sobie sprawy z tego, jak niewiele wie, choć jest potężnym czarodziejem.

Sharina i Nonnus stali na trzecim piętrze cytadeli. Nad nimi była już tylko wieża. Większość ocalałych ludzi nie weszła tak wysoko. Archajowie nie mieli żadnej broni rażącej na odległość, więc dopóki nie zaczną wspinać się po pniach, pozbawione okien pomieszczenie na parterze było zupełnie bezpiecznym miejscem.

Kiedy rozpocznie się atak, nigdzie nie będzie bezpiecznie.

– Popilnujesz ich, dziecko? – zapytał Nonnus. Wręczył Sharinie oszczep, a potem rozwiązał podwójny węzeł, którym była przywiązana do pasa pochwa z pewlańskim nożem. – Jeszcze przez chwilę powinno być spokojnie.

– Ja... – zaczęła Sharina. – Tak, oczywiście.

Oszczep był cięższy niż przypuszczała. A także idealnie wyważony, co oznaczało, że koniec drzewca musiał być nieco grubszy, aby zrównoważyć dodatkowy ciężar stalowego grotu. Trzymała go w jednej ręce, a w drugiej pochwę z nożem i toporek.

– *Abonicticis eristhemia phalasti...* – zawodził Meder. Słowa w języku znanym tylko magom

i demonom, być może niezbyt dobrze znanym i temu czarodziejowi, który się nim posługiwał.

Sharina skrzywiła się. Nonnus poszedł do najbliższego załomu muru. Kawałkiem węgla nakreślił jakiś wzór na kamieniach. Sharina odwróciła głowę i spojrzała na blanki, nie chcąc podglądać swego obrońcy i przyjaciela.

Cytadela bez trudu mogła pomieścić dziesięć razy więcej ludzi, ale nie zapewniała samotności, ze względu na brak drzwi ani niczego, co nadawałoby się na barykadę. Wszystko prócz złota i kamieni rozpadło się w proch w ciągu długich wieków, przez które Tegma spoczywała na dnie morza. Załoga i pasażerowie triremy mieli do dyspozycji tylko płyty kamiennego ołtarza oraz skromne uzbrojenie, jakie zabrali ze sobą, uciekając przed niespodziewanym atakiem.

Na otwartej przestrzeni murów cytadeli marynarz z nożem był równym przeciwnikiem dla uzbrojonego w chitynowe ostrza Archaja, lecz tych ostatnich były tysiące, a ludzi zaledwie kilka tuzinów. Garstka dobrze uzbrojonych żołnierzy nie była w stanie znacząco wpłynąć na wynik bitwy.

Słyszając cichy pomruk, dziewczyna odruchowo spojrzała na pustelnika. Ten modlił się do narysowanego na kamieniach portretu Pani. Zmieszana Sharina ponownie odwróciła głowę.

Na blanki wyszła Asera, a za nią jakiś żołnierz – nie był nim Wainer. Krwawy Orzeł miał prawą rękę na temblaku sporządzonym z pasów oddartego z tuniki materiału, a jego twarz była blada pod opalenizną.

Prokurator zerknęła na wieżę, a potem zauważyła stojącą samotnie Sharinę. Podeszła do niej. Wychodząc na mury, Asera miała zwieszoną głowę, ale teraz wyprostowała się i przybrała godną postawę.

– Czy poczynił jakieś postępy? – zapytała, ruchem głowy wskazując na wieżę. Jakby w odpowiedzi po niebie przetoczył się kolejny grzmot.

– Nie wiem – odparła krótko Sharina. – Nie interesuje mnie to.

– Chcesz powiedzieć, że nie interesuje cię ratowanie własnego życia? – powiedziała Asera. – Wiesz, że nie ma dla nas innej nadziei, po tym, co zrobił ten głupiec. Czarodzieje!

– Nie interesuje mnie ratowanie życia w taki sposób – odparła Sharina.

Prokurator była zbyt zdenerwowana, aby zwracać uwagę na jej słowa.

– Ocalił nas podczas burzy – mruknęła. – Musi znaleźć właściwe zaklęcie.

Dostrzegła Nonnusa i spytała:

– Co on tam robi?

Ruszyła w kierunku skulonego pustelnika. Sharina miała pełne ręce, więc nie mogła złapać Asery, tylko zagroziła jej drogę ramieniem. Miło było poczuć gniew po kilku godzinach bezsilnego obserwowania szykujących się do ataku Archajów. Żołnierz zbulgotał coś, zaskoczony i próbował interweniować. Wpadł na odskakującą Asere.

– Idioto! – warknęła prokurator na nieszczęśnika.

– Mój przyjaciel się modli – powiedziała zduszonym głosem Sharina, zmieszana własną reakcją. Co powiedziałby jej ojciec, gdyby tak potraktowała gościa w gospodzie? – Zostawmy go samego.

– No cóż, może uratują nas jego modły – odparła niechętnie Asera. – Wprawdzie wątpię w to, ale chyba nie możemy już polegać na magii.

Nonnus wyrósł u boku Shariny. Wyjął jej z ręki pochwę z pewlańskim nożem.

– Właściwie – powiedział tonem tak lekkim, jak dotyk jego palców – nie modliłem się o zwycięstwo. Wolę uważać walkę za zajęcie dla mężczyzn, nie dla Pani.

Trzymając w jednej ręce rękojeść tkwiącego w pochwie noża, drugą zaczął przywiązywać go do pasa. Łatwiej byłoby mu zawiązać węzły dwiema rękami, ale wówczas nie byłby gotowy natychmiast użyć go w razie potrzeby.

– Modliłem się do Pani, żeby dusze zabitych przeze mnie znalazły u Niej spokój – dodał Nonnus, kończąc mocować nóż. Mając obie ręce wolne, wziął od Shariny oszczep.

– Zabitych? – powtórzyła prokurator. – A kogo zabiłeś? Ja widziałam tylko owady!

Nonnus wzruszył ramionami.

– Może i owady – odparł. – Ale to zabiłem je tymi rękami.

Nadszedł Wainer z siedmioma Krwawymi Orłami. Żołnierze wyglądali na zmęczonych i tylko trzech z nich mieli oprócz mieczów włócznie. Poocierali krew ze zbroi, lecz ciemnopurpurowe plamy nadal znaczyły ich tuniki i kaftany z miękkiej skóry.

– Przecież to nie ludzie! – wykrzyknęła Asera.

Nonnus uśmiechnął się.

– Może – powiedział. – A skoro tak, to lepiej by o spokój dla nich modlił się ktoś taki jak ja, a nie święty kapłan.

– Panienko? – rzekł Wainer nieśmiało, a zarazem ze zniecierpliwieniem. – Insekty zaraz zaatakują. Jeśli pójdziesz z nami do jednej z wewnętrznych komnat, tam najlepiej będziemy mogli cię bronić.

Sharina dotknęła ramienia pustelnika i popatrzyła na dół. Dostrzegła pół tuzina grupek Archajów, podnoszących długie pnie. Z pewnością więcej takich zespołów podchodziło w innych miejscach muru.

Te stwory pracowały bez żadnych narzędzi, wykorzystując jedynie budynki po drugiej stronie dziedzińca i gromadnie podnosząc pnie na kolejne dachy, gdzie już czekały setki ich towarzyszy. Każdy metr przestrzeni pokrywały ciemnobrązowe, okryte chityną ciała.

Kiedy Archajowie ustawią pnie pionowo, zrzucą je na cytadelę. Obrońców jest za mało, żeby zepchnąć z murów choć jeden taki pomost zanim przebiegną po nim czekający wojownicy – a taki atak nastąpi w kilkunastu miejscach.

– Nonnusie, jesteś święty! – szepnęła Sharina do ucha pustelnika. – Nie ma lepszego człowieka od ciebie!

– Panno Sharino! – zawołał Meder. Zmrużywszy oczy, zdołała dostrzec we mgle postać czarodzieja, wychylającego się zza balustrady wieży. – Panno Asero! Chodźcie na górę! Udało się! Zrobię to!

Prokurator spojrzała na niego z uznaniem.

– Chodź, dziewczyno – rzuciła, ciągnąc ją za rękaw tuniki.

– Ja nie... – zaczęła Sharina.

Nonnus dotknął palcem jej pleców i popchnął niewiele mocniej niż zrobiłby to motyl, przysiadający aby spijać nektar. Usta pustelnika rozciągnęły się w obojętnym uśmiechu, ale nie odrywał oczu od dziewięciu uzbrojonych żołnierzy.

– No tak, chodźmy – powiedziała Sharina. Sięgnęła za siebie wolną ręką, w której nie trzymała toporka. Mocno chwyciwszy Nonnusa za rękę, poszła za Aserą po spiralnej schodni wiodącej na wieżę.

– Pomóż mi, Duzi! – rzekł Cashel. Szerzej rozłożył palce. – Wybacz, panienko!

Małeńka dziewczyna złapała się jego kciuka, żeby nie spaść na ziemię. Zachichotała wesoło.

– Och, tak się cieszę, że znów mam towarzystwo! – powiedziała, kołysząc się na jego palcu jak akrobatka. – Minęło tyle czasu.

Podskoczyła, wywinęła salto w powietrzu i ponownie wylądowała na dłoni Cashela. Musiał powstrzymać odruch nakazujący mu natychmiast zacisnąć dłoń.

– Jestem Mellie – powiedziała. Mówiła melodyjnym sopranem, niezbyt głośnym, ale zdecydowanie niepodobnym do popiskiwanego nietoperza, jakiego można by oczekiwać po takiej małej istocie. Uśmiechnęła się do niego. – A jak ty się nazywasz?

– Co? – zdziwił się Cashel. – Jestem Cashel or-Kenset. Panienko? Jesteś duszką.

Kiwnęła głową, krytycznie spoglądając na swoje ramię. Straciła z niego pasmo pajęczyny, które przywarło do niej w ptasim gnieździe. Naprawdę była bardzo ładna, a nawet piękna, jeśli pominąć fakt, że nie większa od jego środkowego palca.

– Zgadza się – odparła nonszalancko. Obiema rękami przegarnęła włosy. Były czerwone – nie rude jak ludzkie włosy, lecz ciemnoczerwone, w kolorze raczej tulipana niż płomienia.

– Przecież duszki są tylko w opowieściach – rzekł Cashel. – Chciałem powiedzieć, że nie ma ich naprawdę. Przynajmniej tak myślałem.

Mellie wstała i zwinnie jak wiewiórka wspięła się po jego rękę. Ważyła tyle co nic, nawet mniej niż powinna ważyć istota jej rozmiarów.

– Cóż, nie ma nas zbyt wiele – przyznała. – Zastanawiam się, czy w twoich żyłach nie płynie krew duszków?

Cashel zaśmiał się.

– No, panienko... – zaczął.

– Mellie! – poprawiła go, urażona. – Ty jesteś Cashel, a ja Mellie.

– Mellie – zgodził się. Nie mógł skupić na niej wzroku, kiedy tak siedziała mu na ramieniu. Właściwie tak nawet lepiej mu się rozmawiało, gdyż nie rozpraszała go świadomość faktu, że *ta dziewczyna ma zaledwie dziesięć centymetrów wzrostu i jest zupełnie naga!* – Dzieląca nas różnica wzrostu świadczy o tym, że... hm... raczej nie jesteśmy spokrewnieni.

Może duszki nie wiedzą jak rozmnażają się ludzie? Cashel poczuł, że się czerwieni na samą myśl o tym, że miałby wyjaśniać to komuś, kto przynajmniej wyglądał jak śliczna dziewczyna.

Srebrzysty śmiech Mellie przerwał ciszę księżycowej nocy.

– Och, Cashelu! – powiedziała. – Ktoś, kto ma taką moc jak ty, powinien wiedzieć lepiej!

Poczuł, że dotknęła jego ucha. Stała mu na ramieniu i czuł na szyi przyjazne ciepło jej ciała.

– Zwykliśmy często odwiedzać i opuszczać wasz wymiar – powiedziała. Mówiła zupełnie obojętnym tonem, jakby jej słowa nie miały żadnego znaczenia. – Tu jest tak ciekawie. Zupełnie inaczej niż u nas.

Zachichotała, lecz ten śmiech nie był już tak zaraźliwie wesoły jak przed chwilą.

– Jednakże po tysiącu lat „ciekawie” nie jest tym słowem, jakiego chciałabym użyć. Szczególnie, że ostatnio byłam sama.

Cashel uniósł rękę. Mellie natychmiast przeskoczyła na jego dłoń, a on podniósł ją tak, żeby mogła spojrzeć mu w oczy.

– Masz tysiąc lat? – zapytał z podziwem.

– Znacznie więcej, Cashelu – odparła. Wyglądała na osiemnaście i bardzo możliwe, że naprawdę tyle miała. – Widzisz, my się nie starzejemy. Chociaż w tym wymiarze możemy umierać. Chcę powiedzieć, że można nas zabić. I w końcu tak się stało ze wszystkimi, których znam, a przynajmniej wszystkimi na Haft.

Owce uspokoiły się. Zapewne obecność Cashela i jego łagodny głos poprawił im humor w takim samym stopniu, co zniknięcie lisiczki. Cashel zerknął na niebo, z niepokojem uświadamiając sobie, że płomykówka, która normalnie zjada koniki polne, mogłaby pożreć maleńką kobietkę z jego dłoni.

– Dlaczego nie wrócisz do domu? – zapytał. – Powiedziałaś, że możecie to robić.

– Ta lisica była bardzo natarczywa – powiedziała Mellie, odpowiadając na nie zadane pytanie. – Dziękuję ci i mam nadzieję, że nic się jej nie stało?

– Zraniłem jej dumę – odparł, wzruszając ramionami. – Nic poza tym. Sądzę, że i tak wkrótce sama by zrezygnowała i odeszła.

Wcale w to nie wierzył, chociaż słupek zagrody był z twardego hikorowego drewna, którego lisica nie przegryzłaby tak łatwo.

– Mimo to, dziękuję – powiedziała Mellie, klepiąc jego dłoń swoją maleńką rączką. Nie zmieniając wyrazu twarzy, mówiła dalej: – Powiedziałam, że kiedyś mogliśmy przybywać tu i wracać. Tysiąc lat temu, kiedy zatoneły wyspy i upadły królestwa, ścieżki...

Wzruszyła drobnymi, krągłymi ramionami.

– Pewnie powiedziałbyś, że poplątały się. Nadal tam są i być może prowadzą do mojego wymiaru, ale biegną przez takie miejsca, przez które nie mogłabym przejść.

– Yole zatoneła – rzekł Cashel, przypominając sobie opowieść Tenoctris. *Czy powinien jej powiedzieć o spotkaniu z Mellie?*

Duszka skinęła głową.

– Yole była jedną z nich – przytaknęła. – Większość ludzi nie widzi nas, ale zwierzęta widzą. Ten lis był bardzo uparty. Myślałam, no... że to już koniec. A tymczasem...

Posłała Cashelowi promienny uśmiech, urzekający w całym tego słowa znaczeniu.

– ... znalazłam przyjaciela!

Cashel odchrząknął. Najchętniej postawiłby Mellie z powrotem na słupku albo na ziemi. Gdzieś, gdzie nie obawiałby się, że ją upuści.

– Wiesz co – powiedział – powinnaś nosić miecz. Albo jakąś inną broń. Może kolec?

Ponownie poklepała jego dłoń.

– My nie używamy broni – odparła po prostu. – A co do miecza... nie możemy dotykać żelaza.

– Aha – rzekł zmieszany Cashel. Odmówił przyjęcia zaoferowanego mu przez Benlo miecza, ale tylko dlatego, że nie umiał się nim posługiwać. Zręczniejszemu posługiwał się pałką. Gdyby handlarz zaproponował mu topór, Cashel przyjąłby dar. Często używał topora, a bandytę nie trudniej ściąć niż gruby dąb.

– No cóż – powiedział. – Muszę rano wstać...

Nadchodził świt.

– ...a ty pewnie masz własne sprawy. – Czym zajmowały się duszki? Czy jadły i spały? – Czy chcesz, żebym zaniósł cię gdzieś?

Mellie posmutniała.

– Cashelu? – powiedziała. – Byłam bardzo samotna. Sama przez co najmniej sto lat, tylko w towarzystwie zwierząt, które... no, są zwierzętami. Czy bardzo by ci przeszkadzało, gdybym siedziała na twoim ramieniu? Nie sprawię ci żadnych kłopotów. Twoi przyjaciele mnie nie zobaczą.

– Och – powiedział Cashel. Przed chwilą jego przyszłość była zamkniętymi okiennicami, przez które sączył się mrok. Teraz okiennice otworzyły się na oścież i ujrzał za nimi światło, a może nawet coś więcej.

– Będę bardzo rad z twojego towarzystwa, Mellie – powiedział. – Wiem co oznacza samotność.

Platforma na szczycie wieży była owalna, nie okrągła, i w najszerszym miejscu mierzyła mniej więcej trzy metry średnicy. Sharina miała z niej jeszcze lepszy widok na szycujące się do szturmowad niż ze znajdujących się piętnaście metrów niżej murów.

Właśnie zakończyły przygotowania. Zobaczyła, że ruszyły do ataku.

– Szybko, szybko! – zawołał Meder. – Mamy bardzo mało czasu! Natychmiast wejdź w krąg! Musisz znaleźć się w nim cała!

Ten krąg zapewne nakreślił na blokach gnejsu swoim czarodziejskim sztyletem, lecz linia pulsowała czerwienią, jakby kamień zajął się ogniem. Obejmowała prawie całą platformę, a tuż za kręgiem widniał podwójny rząd równie płonących znaków.

Meder klęczał na środku kręgu, a obok niego leżał poruszający się węzełek. Jasna krew plamiła kamienie, a opodal leżało ciało wykrwawionej salamandry. Miała szeroko otwarte szczęki, ukazujące białe błony gardła.

Sharinie zrobiło się niedobrze. Zaczęła się odwracać. Nonnus ponownie lekko dotknął jej pleców.

– Szybko! – krzyknął czarodziej.

Z podwórek i budynków przyległych domów wyrósł las ściętych pni. Poruszały się w nieruchomym powietrzu, gdy setki Archajów, z bezmyślną precyzją ławicy ryb, popychały je odnóżami i długimi kijami, przechylając ku murom.

Ciepła mgła zamazywała sylwetki stworów, zmieniając je z jednostek w siłę natury, prymitywną i niepowstrzymaną, jak fale bijące o brzeg. Za robotnikami czekały szeregi oddziałów szturmowych.

Sharina weszła w krąg, uważając by nie stanąć na linii i otaczających ją znakach dawnego pisma. Pod bosymi nogami czuła lepką posokę salamandry, ale wychowała się na wsi, więc nie obawiała się krwi.

Natomiast obawiała się tego, do czego ta krew miała teraz posłużyć.

– Ty – rzekł Meder, wskazując sztyletem Nonnusa. – Podejdź tu i rozetnij jaszczurkę, kiedy ci powiem. Potem ściśnij ją tak, żeby krew pociekła na środek kręgu.

Sharina nie wiedziała, czy Meder zna imię pustelnika. Powietrze wokół wieży nie tyle zabarwiło się, ile pociemniało. Była spocona po szybkiej wspinaczce, a mimo to przeszedł ją zimny dreszcz.

Ścięte pnie powoli jak lodowiec przechylały się ku cytadeli. Robotnicy podkładali kliny pod każdy z nich. Ponad dwadzieścia takich bali opadało na mury.

W jaki sposób porozumiewali się Archajowie? Sharina nie słyszała, by wydawali jakieś dźwięki oprócz przenikliwego świstu, kiedy umierali.

W kręgu było miejsce dla czworga ludzi, ale gdyby wszyscy uklękli tak jak czarodziej, dotykałiby się kolanami. Płonąca linia była sygnałem ostrzegawczym jak czarno-żółte paski szerszenia i Sharina przeczuwała, że pozostanie na zewnątrz tego kręgu może być bardzo niebezpieczne.

– Nie, panie – odparł chłodno Nonnus. – Nie zajmuję się magią. Szczególnie taką magią.

Odwrócił się plecami do Medera, spoglądając na pień, który wciągano na dach dwupiętrowego domu na północ od cytadeli. Sądząc po dzielącej ich odległości i wysokości drzewa, powinno ono sięgnąć platformy na której stali, a chociaż pal jeszcze sterczał pionowo, Sharina dostrzegła, że zaczyna przechylać się w ich kierunku.

– Ty ciemny dzikusie! – wrzasnął czarodziej. – Ja muszę trzymać sztylet! Musisz to zrobić, jeśli

mamy przeżyć!

– Wróćmy na dół, Nonnusię – powiedziała zimno Sharina. – Myślę, że znajdziemy łatwiejsze miejsce do obrony.

– Niech Siostra skarże was oboje! – powiedziała Asera. – Daj mi to przeklęte zwierzę, Mederze. Jeśli wyjdę z tego z życiem, już nigdy nie skorzystam z usług żadnego czarodzieja!

Mówiąc to, prokurator gmerała w sakiewce z czarnego jedwabiu, z brązowymi okuciami, w której trzymała przybory do pisania. Wyjęła nóż o krótkim stalowym ostrzu, przeznaczony do ostrzenia gęsich piór.

Pnie opadały wszystkie naraz, jak skrzydło wielkiego ptaka. Działania wszystkich grup robotników były idealnie zgrane. Nonnus cofnął się odrobinę i uspokajająco uściśnął rękę Shariny.

Meder sięgnął to sakwy i wyjął ostatnie zwierzę – czarną salamandrę o spłaszczonym ogonie i ślepiach znajdujących się na rogach białego półksiężyca otaczającego czaszkę. Stworzenie ledwie się ruszało: powinno być przez cały czas zanurzone w wodzie i nawet w wilgotnym powietrzu Tegmy uległo odwodnieniu.

Meder pochylił się nad symbolami, a Asera z obrzydzeniem chwyciła jaszczurkę, obejmując ją dłonią tuż za przednimi łapami. Ani czarodziej, ani prokurator nie widzieli opadających pni.

Tuzin tych bali jednocześnie uderzył o głowy, z łoskotem przypominającym odgłos gigantycznego werbla. Rozległ się głośny trzask dociskanych do siebie kamieni. Sharina skrzywiła się, a Asera krzyknęła przeraźliwie i upuściła nóż. Meder poruszał wargami, rzucając zaklęcia zagłuszone przez hałas.

Archajowie działali tak zgodnie, że tuzin pozostałych pni opadło w ciągu pół sekundy. Jednym z nich był ten, który przystawiono do wieży. Kora i drzazgi posypały się jak piasek na wietrze. Pień, nawet na wysokości sześćdziesięciu metrów mający ponad metr grubości, dostrzegalnie spłaszczył się i podskoczył. Łoskot wyrwał mimowolny krzyk z ust Shariny, ale dłoń Nonnusa powstrzymała ją przed wyjściem z kręgu, a może i upadkiem z platformy.

Pustelnik napiął mięśnie. Zapewne przez ułamek sekundy zamierzał rzucić się całym ciężarem ciała na pień, by zepchnąć go w bok, zanim ponownie opadnie na balustradę wieży. Sharina przytrzymała go. Pomimo ogromnej siły pustelnika, nawet gdyby najlepiej wyliczył pchnięcie w czasie, potworny ciężar pnia rozgniółby go jak muchę.

Nonnus rozluźnił mięśnie. Drzewo opadło ponownie, wygięło się i znieruchomiało. Zaledwie półmetrowy koniec wystawał za balustradę, ale to wystarczyło. Było ścięte tak równo, jakby zwałił je zręczny drwal z ostrym toporem, tymczasem Sharina nie widziała, by Archajowie posługiwali się jakimiś narzędziami.

– Teraz, kobieto, teraz! – zawołał Meder. – Wyciśnij krew albo będzie za późno!

Wojownicy już wspinali się po pniu. Wyglądali jak żółtawa ciecz wchłaniana przez szorstką brązową korę.

– *Iakoub-ia ai bolchoseth iorbeth...*

Asera niezręcznie podniosła upuszczony nóż. Była wstrząśnięta. Kawałki kory i drzazgi przywarły jej do tuniki i wisiały we włosach. Przeciągnęła ostrzem po brzuchu jaszczurki.

Meder nie poruszył się nawet wtedy, kiedy tuż nad jego głową z hukiem upadł pień, wstrząsając całą wieżą. To zachowanie najlepiej świadczyło, jak bardzo się koncentrował. Słyszając ten potworny trzask, nawet Nonnus mimowolnie otworzył usta do bezgłośnego krzyku.

– *Neuthi iao iae...*

Salamandra wygięła ciało. Prokurator, otępiała ze strachu i hałasu, na oślep machnęła nożem. Rozpruła brzuch zwierzątka, ale także rozcięła sobie kciuk. Na kamienie prysnęła jasna krew

zmieszana z kroplami szkarłatnej.

– *Io spe io io...*

Wojownicy w chitynowych pancerzach byli dopiero w połowie drogi na wieżę, lecz idący po innych pniach już starli się z garstką obrońców. Brązowe tłumy kłębiły się na kamieniach, ostre odnóża uniosły się w powietrze.

– *Abraoth!* – krzyknął Meder.

Czerwone światło snuło się jak dym z tych miejsc, gdzie upadła krew salamandry. Kamień zdawał się gotować, lecz Sharina zauważyła, że pod tym blaskiem gładka powierzchnia głazów pozostała nietknięta.

Wojownicy raczej szli niż wspinali się po pniach. Ich stopy miały ostre krawędzie, które wbijały się w korę niczym raki. Najbliższy napastnik znajdował się już zaledwie sześć metrów niżej. Nonnus przygotował oszczep do pchnięcia, a nie rzutu.

W wyniku zaklęć wciąż unosiło się pasmo dymu, które jednak pozostało cienkie i nie zmieniało się w coraz większą bańkę, jaka spowiła Tegmę i wskrzesiła jej mieszkańców. Ta spirala zmieniała nisko wiszącą chmurę w pulsujący rdzawy opar.

– Potrzebuję więcej krwi! – krzyknął czarodziej. – Wyciśnij ją!

Wywrócił sakwę, sprawdzając to, co było jasne od początku: zużył już wszystkie ofiarne zwierzęta. Kiedy próbował podnieść poprzednie, leżące obok niego na skraju wieży, w pośpiechu stracił je w przepaść. I tak było zupełnie bezkrwiste.

Pierwszy Archaj wszedł na balustradę. Nonnus pchnął go w tors. Stwór chwycił drzewce oszczepu środkową parą odnóży, usiłując wyrwać oręż z rąk Nonnusa.

Sharina pochyliła się i uderzyła toporkiem, przecinając to, co u człowieka byłoby stawem skokowym. Archaj przechylił się w bok i runął z muru. Siła ciężkości wyrwała mu oszczep z rąk i ostrze z szerokiej rany w odwłoku.

– Nie wychodźcie z kręgu! – krzyknął rozpaczliwie Meder.

Drugi wojownik wymierzył cios w głowę Shariny, ale zawadził o drzewce oszczepu. Dziewczyna uderzyła obuchem, nie zdążywszy zamachnąć się do ciosu. Toporek z łoskotem uderzył w brzuch stwora, a zamaszyste cięcie pewlańskiego noża rozplatało go w fontannie posoki. Archaj odgiął się w tył konwulsyjnym ruchem, który jeszcze poszerzył ranę.

Asera upadła na kolana, kryjąc twarz w dłoniach. Meder wyrwał jej martwą salamandrę i wykręcił jak ręcznik. Rubinowa spirala nadal wznosiła się pod chmury, wirując szybciej niż przedtem, lecz wciąż pozostała tylko wąską smugą.

Sześciu marynarzy walczyło przez chwilę na murze tuż pod wieżą. Zalała ich fala Archajów. Przednie odnóża wojowników podnosiły się i opadały, siekąc ofiary. Krople szkarłatnej krwi trysnęły wysoko w powietrze.

– Cofnąć się!

Ręką, w której trzymał swój wielki nóż, Nonnus objął Sharinę w pasie i pociągnął do tyłu, gdy zamierzyła się toporkiem na następnego Archaję. Stwór szykował się do skoku na grupkę ludzi.

Magiczny krąg nagle zmienił się w wirującą czerwoną kolumnę. Jaśniała jak rozżarzone węgle, lecz nie dawała żaru. Wszystko ucichło, nawet wrzaski zabijanych przez Archajów ludzi.

Nagle, jak za opadnięciem zasłony, krąg oczyścił się i ściemniał. Na zewnątrz wszystko spowił ognisty blask, rozchodzący się z szybkością gnanego wichrem pożaru.

Najbliżej stojący Archaj skurczył się i skręcił, jak kartka papieru rzucona na węgle. Podążający za nim po pniu napastnicy wymachiwali odnóżami lub próbowali zeskakiwać, gdy ogarniała ich fala czerwonego jak pożar światła. Jej dotknięcie było równie zabójcze jak płomień świecy dla ćmy.

Z wnętrza cytadeli dobiegały przeraźliwe ludzkie wrzaski. Blask zabijał nie tylko Archajów.

Kłoda pozostała nietknięta, lecz tkwiące w szparach jej kory karaluchy i inne insekty poczerniały i zginęły tak samo jak Archajowie. Zaklęcie czarodzieja działało tylko na żywe stworzenia, ale za to na wszystkie bez wyjątku.

Zabiło wszystko. Oprócz czworga ludzi kryjących się w magicznym kręgu.

Światło rozchodziło się jak spływająca z wulkanu lawa, dotarło do murów miasta i niepowstrzymanie parło dalej. Pomimo mgły Sharina wyraźnie widziała jak przesuwało się nad kamienistą ziemią i lasem, jakby oglądała to w rubinowym zwierciadle.

Widziała jak umierały wszystkie żywe stworzenia. Co do jednego.

Ognisty blask przygasł i w końcu znikł. Jego wspomnienie pozostało w umyśle Shariny, szczególnie dobrze widoczne, gdy zamknęła oczy. Słońce wisiało tuż nad horyzontem.

Na Tegmie było cicho jak w grobowcu.

Meder leżał na ciele ofiarnego zwierzęcia. Twarz miał bladą jakby wykutą z kości słoniowej, lecz jego oddech lekko poruszał warstwę kurzu, która pokrywała kamienie.

Prokurator zacierała śliskie, zakrwawione dłonie, jakby chciała je umyć. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że to robi. Jej wargi poruszały się bezgłośnie, może zanosząc modły do bogów, w których istnienie nie chciała wierzyć.

Sharina spojrzała na czarodzieja. Miała ochotę skoczyć z wieży i zabić się na kamieniach dziedzińca, ale przedtem zatopić toporek w czaszce Medera.

Twarz pustelnika nie zdradzała żadnych uczuć. Otarł ostrze noża o czarną wełnianą tunikę, a potem schował broń do pochwy.

– Teraz łatwiej skończymy dłubanek – powiedział Nonnus – ponieważ będziemy mogli wziąć z triremy wszystko, czego nam trzeba.

Zajazd Gravel Ford nad rzeką Stroma znajdował się dwadzieścia pięć kilometrów od przedmieść Carcosy – dwa dni drogi dla stada owiec. Grupa Garrica spała we wspólnej sali z tuzinem innych osób: strażnikami Benlo, wozakami wiozącymi różne produkty na sprzedaż, młodzieńcami szukającymi szczęścia w mieście.

W znajdującej się w pobliżu stolicy gospodzie zawsze był ruch. Karczmarz miał dochody, jakich mógłby pozazdrościć mu Reise, choć ten nigdy nie pozwoliłby tak brudnym podróżnym spać na podłodze jego zajazdu.

We śnie Garric obserwował jak król Carus w jasny wiosenny dzień wspina się na mury zamku Ladera. Za nim podążało pięćdziesięciu ludzi, a każdy z nich przytrzymywał się muru palcami nóg i jednej ręki, podczas gdy druga – powoli jak wąż podchodzący polną mysz – wyszukiwała nad głową nowy uchwyt.

– Nie mogliśmy włożyć zbroi, nawet hełmów – powiedział Carus. We śnie wraz z Garricem przechylali się przez balustradę, która była przymocowana do jakiejś budowli znajdującej się poza polem widzenia. Krajobraz, zamek i niewielki oddział pnących się w górę wojowników należały do innego miejsca i czasu. – Gdyby spostrzegli nas z murów, mogliby nas strącić, zrzucając z góry kilka garści żwiru.

Zaśmiał się wesoło.

– Byłem wtedy tylko kilka lat starszy od ciebie, chłopcze – rzekł. – Zaledwie zasiadłem na tronie i byłem za młody, żeby zdawać sobie sprawę z ryzyka. Miałem jednak rację: trzeba było to zrobić, inaczej królestwo upadłoby od razu, a nie dwadzieścia lat później, kiedy popłynęliśmy na Yole...

W miarę jak mówił, w jego głosie pojawił się ponury ton, nie smutek, lecz stalowa nuta gniewu. Dźwięczała teraz jeszcze wyraźniej, jak puszczone cięciwa.

W porcie pod murami na zachodnim krańcu zamku znajdowała się flotylla ponad stu wojennych galer, skierowanych dziobami do brzegu. Wiosła poruszały się leniwie, zaledwie tyle, by utrzymać statki w miejscu. Tarany z brązu zanurzały się i wyłaniały z fal. Na pokładach wojownicy napinali katapulty.

– Ze względu na ciężar? – zapytał we śnie Garric. Od kiedy ukończył dwanaście lat, co sezon wspinał się na strome przybrzeżne skały na północ od Barca's Hamlet i zawsze znosił stamtąd w zębach koszyk zielonych, cętkowanych jaj nurzyków. Na widok wspinających się zbrojnych aż bolały go czubki palców. Tych przynajmniej nie moczyła słona woda, podczas gdy ich przyjaciele czekali na dole przy wiosłach łódki.

– Żeby nie robić hałasu – odparł Carus, znów łagodnym i miłym głosem. – Jedno szczęknięcie stali o kamień i książkę Rint z Ladery zostałby królem Wysp – przynajmniej dopóki nie usiekłby go jeden z pięćdziesięciu innych uzurpatorów.

Nawet tutaj, na południowych blankach stały warty, lecz wszyscy wartownicy spoglądali na morze i nadpływającą flotę. Carus, z czarnymi włosami spiętymi złotą opaską, miał pochwę z mieczem przymocowaną na plecach, gdzie oręż nie przeszkadzał mu, dopóki król go nie potrzebował.

Obrońcy oddali strzał z katapulty, której ramiona głośno uderzyły o ograniczniki, gdy pocisk wielkości ludzkiej głowy płaskim łukiem poszybował w kierunku statków. Z pluskiem wpadł do wody między wiosłami wielkiego statku, którego złocony dziób wskazywał na to, iż jest to królewski

okręt flagowy. Mieniająca się wszystkimi barwami tęczy fontanna wody trysnęła wyżej niż maszty galery.

– Czy nie byłoby bezpieczniej zaatakować w nocy? – zapytał Garric. Młody król stał zaledwie kilka metrów od wieży, na której dwóch laderańskich wartowników obserwowało płynącą pod murami flotę.

Starszy od niego Carus przecząco pokręcił głową.

– Trzeba to było zrobić w dzień, kiedy obserwowali statki – odparł. – Nie przyszło im do głowy, że wraz z pięćdziesięcioma ludźmi wylądowałem już poprzedniej nocy i w ciemności ukryliśmy się w krzakach u podnóża zamku.

Młody król wskoczył na mur jednym zwinnym susem, jakiego nie powstydziliby się żaden akrobata. Strażnicy odwrócili się. Carus miał już w ręku długi miecz, który dwukrotnie mignął, niczym błyskawica. Jego ludzie wspięli się na mury i zlikwidowali nielicznych wartowników w tym słabiej strzeżonym sektorze, zanim którykolwiek zdążył wszcząć alarm.

– A z twoją pomocą, chłopcze – dodał Carus głosem drżącym jak odbłask słońca w ostrzu – jeszcze wyrównam rachunki z diukiem Yole.

– Panie, przecież on nie żyje – zaprotestował we śnie Garric. – Jest martwy od tysiąca lat!

Carus potrząsnął głową, nie odrywając oczu od zbrojnych biegnących zająć zamek Ladera. Obrońcy już uciekali z murów, porzucając broń i zbroje, aby poddać się jak nieuzbrojeni cywile.

– Wszystek czas jest jeden, chłopcze – rzekł. – Wcześniejszy czy późniejszy.

Wojownicy z wrzaskiem wpadli do zamku. Krzyki jeszcze przybrały na sile.

– To napad! Napad! – wołał jakiś mężczyzna.

Ktoś potknął się w ciemności o śpiącego Garrica. Ten zerwał się na równe nogi w zajeździe Gravel Ford, zupełnie przebudzony, lecz wciąż mrugając oczami, aby odpędzić ten sugestywny sen.

– Napad! – ostrzegawczo krzyczał ktoś na zewnątrz. To wołał Cashel.

Garric po omacku sięgnął po leżącą obok posłania broń. W nocy łuk będzie bezużyteczny. Chwycił rękojeść miecza, który dał mu handlarz i wraz ze strażnikami Benlo pobiegł do drzwi.

Kiedy wyciągał miecz z pochwy, miał wrażenie, że stapia się z roześmianym królem Carusem, tworząc z nim jedność.

Cashel obudził się z głębokiego snu, czując dziwne mrowienie całego ciała. Wokół unosił się ciepły, słodkawy odór owczego stada, lecz zwierzęta też nie spały i kręciły się niespokojnie, a ponadto wyczuwał jakiś słaby, obcy zapach.

Spał pod wozem ustawionym obok zagrody. Woźnica był zadowolony z jego obecności, gdyż ta oszczędzała mu fatygi pilnowania ładunku naczyń przez noc, która zapowiadała się na deszczową. Obcy ludzie całkiem słusznie ufali Cashelowi or-Kensetowi tak samo, jak wierzyli, że słońce wszędzie na wschodzie, a ziemia nie rozstąpi im się pod nogami.

– Cashelu? – szepnęła mu do ucha Mellie. – Ktoś tu bardzo blisko używa mocy. I nie sądzę, by miał dobre zamiary.

W sąsiedniej zagrodzie dla zwierząt pociągowych nerwowo zawył muł. Gospoda Gravel Ford miała osobne zagrody dla owiec i bydła, oraz jeszcze jedną, w której umieszczano wierzchowce i juczne konie, jeśli było ich tyle, że nie mieściły się pod dachem stajni.

Niebezpiecznie byłoby umieszczać razem obce muły i konie. Energiczny i nerwowy koń mógł pogryźć i kopnąć sąsiada, lecz pozornie spokojny muł był obdarzony nie tylko sporym temperamentem, ale i ostrymi rogami, więc często kończył rozpoczętą przez niego walkę. Lepiej było je trzymać osobno.

Cashel wyturlał się spod wozu, zostawiając na ziemi swój długi podróżny płaszcz. Zapiął pas i z pałką w ręku uważnie spojrział w mrok.

W powietrzu nie unosił się zapach deszczu ani pobliskiej rzeki, lecz słonawa woń zupełnie nie pasująca do tego odległego od morza miejsca, odór rozkładu, jakby długo gnijącego mięsa.

– Zbliża się – ostrzegła Mellie. Nie była wystraszona tylko czujna, jak siedząca na wierzchołku drzewa wiewiórka, która bacznie przygląda się psu.

Gospoda była jeszcze starsza niż w Barca's Hamlet. Od wielu wieków nad rzeką Stroma był przerzucony most na wysokich palach, którego nie sięgały nawet największe powodzie, lecz wywodząca się od dawnego brodu nazwa karczmy pozostała nie zmieniona.

Most był wytworem sztuki murarzy Dawnego Królestwa, reliktem, który przetrwał zmierzch i upadek ich cywilizacji. Przybudówki karczmy wymurowano z kamieni wziętych ze zburzonych willi dawnych bogaczy.

Cashel nie dostrzegł niczego podejrzanego. Z pałką w ręku obszedł zagrodę i ruszył w kierunku rzeki. Woda z pluskiem omywała mur oporowy, który był stary już wtedy, gdy upadło Dawne Królestwo. Zapach soli i śmierci był tu jeszcze silniejszy.

– Cashelu! – powiedziała Mellie. Zza muru raptownie wyłoniły się jakieś postacie. W blasku gwiazd zalśnił zardzewiały metal i matowo błyszczące ciała.

Były to takie same stwory jak ten, którego Garric zabił na dziedzińcu gospody, lecz tym razem było ich wiele – więcej niż Cashel mógł zliczyć w tym słabym świetle. Jeden z napastników trzymał tarczę, do której przywarły pasma wodorostów.

– Napad! – krzyknął Cashel. – To napad!

Najpierw zaniepokoił się o siedzącą na jego ramieniu Mellie, ale nie miał czasu, by ukryć ją w bezpiecznym miejscu. Niespodziewanie uderzył pałką jak włócznią. Okuty żelazem koniec skruszył przeciwnikowi wszystkie kości ramienia, od przegubu do łokcia.

Stwór upuścił zardzewiały miecz, lecz natychmiast podniósł go sprawną ręką i ponownie

zaatakował, chociaż ze zranionej kończyny odpadały mu kawałki galaretowatego ciała i kości.

– Napad! – krzyczał Cashel, zręcznie się cofając. Większość napastników ignorowała go i maszerowała w kierunku gospody, ale i tak miał przeciwko sobie trzy takie potwory.

Zakręcił pałką nad głową, odbijając okutym końcem pchnięcie dzidy, które lichy wymierzyło w jego brzuch. Drugi koniec pałki zatoczył krąg i rąbnął w czaszkę potwora, rozbijając ją. Licho upadło i rozpuściło się w kałużę mazi. Pozostałe dwa nadal atakowały z niehumanitarną zawziętością, usiłując zająć go z boku.

Pierwszy ze strażników Benlo wypadł z drzwi gospody, dwukrotnie ciął w pierś lichy nacierające nań na wybrukowanym ganku, a potem padł, gdy inny stwór zarąbał go toporem. Miecz strażnika pozostał wbity w piersi licha, które ciął, lecz nie zdołał powalić.

Cashel zablokował cios zadany przez jednorękiego. Ostrze miecza było skorodowane – dostrzegł nawet pąkle, które przywarły do stali. Pomimo to cios był dostatecznie silny, by z twardej hikorowej laski posypały się drzazgi.

Z gospody wypadali następni strażnicy, wydając ochryple okrzyki zdumienia. Szczekała stał, sypiąc czerwone skry, gdy ludzie odpierali atak potworów.

Cashel syknął, gdy uderzył piętą o murek zagrody. Wycofał się najdalej jak mógł.

Miał nadzieję, że Mellie nic się nie stanie. W końcu przeżyła bez niego tysiąc lat.

Ilna poczuła, że otacza ją miękkie ciepło. Poruszyła się pod tym miłym dotknięciem.

– Nadchodzę – szeptała ciemność. – Wkrótce będę przy tobie.

Nie widziała twarzy – nawet nie wiedziała, czy to miało twarz – ale wiedziała, że troszczyło się o nią jak nikt inny na świecie. Chciało dopilnować tego, by została tą, którą powinna być.

Krzyk Cashela przerwał ten sen jak spadający z wysokiej wieży sopel. Ilna jak wystrzelona z procy zerwała się z posłania na strychu stajni. Nie zrozumiała sensu ostrzegawczego krzyku, ale wyczuła, że jej ukochanemu bratu zagraża jakieś niebezpieczeństwo.

– Napad! – ponownie zawołał Cashel. Stał z brzękiem uderzała o stal.

Tenoctris już znajdowała się w połowie drabiny – ocknęła się zanim zbudził ją krzyk. Staruszka musiała usłyszeć coś we śnie – tak samo jak Ilna.

Nie czekając aż Tenoctris zejdzie, Ilna chwyciła się krawędzi stryszka i opuściła w dół. Przez moment wisiała w powietrzu, a potem skoczyła z głębokim przekonaniem, że ma pod sobą twardą, ubitą ziemię.

– Napad!

Wstrząs wywołany zetknięciem z twardą ziemią był niczym. Cashel miał kłopoty.

Większość z tuzina przegród zajmowały konie lub muły. Jakaś klacz nerwowo zarżała i kopnęła w deski. Stajenny próbował ją uspokoić, ale wszystkie zwierzęta były równie zdenerwowane.

Z dziedzińca niosły się krzyki i szczęk stali. Pograżona w rozkosznym śnie Ilna nie ocknęła się od razu. Sięgając myślą wstecz, nie zdołała przywołać żadnego wyraźnego obrazu i cały ten raj, jaki przed chwilą ją otaczał, pozostawił w jej ustach przykry niesmak jak kęs zgniłego mięsa.

Jakiś człowiek wrzasnął przeraźliwie, piskliwym głosem, który urwał się gwałtownie, jak ucięty nożem. Ilna uchyliła drzwi stajni. We względnie jasnym blasku gwiazd, gorączkowo rozejrzała się wokół, szukając jakiejś broni. Tenoctris wypadła na zewnątrz.

Ilna wiedziała, że w stajni powinny być gdzieś grabie i widły, ale nie miała czasu ich szukać. Z kołka na drzwiach zwisał kantar z konopnego sznura, którego jeden koniec zawiązano w pętlę. Złapała go i wyszła na podwórze.

Tenoctris przycupnęła przy narożniku stajni i zerwała źdźbło trawy, która wyrastała ze szczeliny w podmurówce. Na dziedzińcu przed gospodą kłębił się tłum ludzi i potworów. Cashela nie było wśród walczących – natychmiast dojrzałyby jego masywną postać.

W tłumie nie było też nikogo równie rosłego jak Garric, lecz na bruku leżały ciała, po których deptali walczący.

Garric wypadł z drzwi gospody, trzymając w jednej ręce miecz, a w drugiej wysoki barowy stółek.

– Haft i Wyspy! – ryknął jak rzucający wyzwanie całemu światu byk.

Jakieś licho zadało mu cios mieczem. Garric zasłonił się stołkiem i odpowiedział błyskawicznym pchnięciem, równie szybkim jak język żaby, wbijając ostrze w oczodół przeciwnika. Jednocześnie uderzył stołkiem na odlew, rozbijając czaszkę drugiego potwora.

Cashel stał po drugiej stronie podwórza, plecami do kamiennego muru, odpierając atak dwóch napastników.

– Haft i Wyspy!

Ilnie krew zastygła w żyłach, jak podczas zimowej nawałnicy. Przebiegła przez podwórze, do

broniącego się brata.

Licha poruszały się, jakby były jednym organizmem: jeden cofał się, gdy drugi uderzał, a w chwili, gdy Cashel skupiał uwagę na jednym z nich, napastnicy zamieniali się rolami. Te stworzenia przypominały Ilnie drapieżną modliszkę, która przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, szykując się do podwójnego ciosu, który powali ofiarę.

Cashel doskonale rozumiał, że nie może atakować tak idealnie zgranego duetu, więc ograniczał się do obrony. Kręcąc młyńca pałką, która wirowała równie szybko i pewnie jak czółenko krosien Ilny, tworzył przed sobą ruchomą tarczę. Krzyżował i rozkładał ramiona, przerzucając ciężką pałkę z jednej ręki do drugiej. Nawet Cashel w końcu musiał się zmęczyć, lecz na razie obracał tę bronią równie gładko i pewnie jak rzeczny nurt młyńskim kołem. Licha zadawały cios za ciosem, które jednak nie przełamały jego osłony.

Ilna stanęła za jednym z tych stworów, zmierzyła okiem odległość i zarzuciła lichu pętlę na szyję. Sznur prześlizgnął się po łysej, lśniącej czaszce. Ilna z całej siły pociągnęła za sznur, jakby miała na jego końcu upartego tryka. Licho zatoczyło się w tył. Człowiek zacząłby się dusić, lecz ten stwór odwrócił się i usiłował przeciąć arkan zardzewiałym mieczem. Ilna odskoczyła trzy kroki, starając się zwalić przeciwnika z nóg – sznur był za krótki, żeby mogła przesuwać go w dłoniach.

Równie płynnym ruchem, jakim dotychczas bronił się przed dwoma napastnikami, Cashel zmienił płaszczyznę obrotowego ruchu swojej pałki z pionowej na poziomą i skruszył żebra przeciwnika. Stwór runął jak ptak ze złamanym skrzydłem. Wprawdzie wciąż próbował zadawać ciosy, ale nie mógł już utrzymać się na nogach.

Przeciwnik Ilny wymierzył cios w jej kostki. Podskoczyła, nie wypuszczając z ręki arkana. Cashel zrobił krok w jej kierunku i zamachnął się pałką, jak cepem. Okuty żelazem koniec kija sięgnął celu. Galaretowate ciało i odłamki kości rozprysły się na wszystkie strony.

– Ilno? – wysapał Cashel. – Jesteś cała?

Po drugiej stronie dziedzińca Garric ryknął opętańczym śmiechem. Ilna odwróciła się. Wszyscy napastnicy leżeli na ziemi. Strażnicy i inni podróżni stali z boku, rozdziawiając usta, a Garric sam stał otoczony kręgiem trupów.

Solidny stołek, który trzymał w lewej ręce, był posiekany i połamany w drzazgi – niewiele z niego pozostało poza jedną nogą i kawałkami siedzenia. Klinga miecza Garrica była poskręcana jak wstążka na wietrze.

– Haft i Wyspy! – zawołał Garric. Podrzucił swój powyginany miecz wysoko w powietrze, a potem złapał go za rękojeść. I jakby spadające ostrze przecięło niewidoczne, podtrzymujące go sznurki, Garric runął twarzą w dół na stos ludzkich i nie ludzkich ciał.

Ilna pobiegła ku niemu, lecz piękna córka handlarza, Liane, wypadła z gospody i wyprzedziła ją.

– Rusza się! – zawołał Meder. Zapierając się nogami o stromy brzeg, ciągnęli we czwórkę linę okrętową. Nonnus przewiółł drugi koniec sznura przez wielokrążek, łącząc maszt dłubanki z taranem triremy. – Rusza się?

– Ciągnij! – rzekł pustelnik. Kadłub dłubanki z chrzęstem zaczął zsuwać się po kamiennej pochylni. Jej własny ciężar wyciskał krople wilgoci z mokrego drewna, gdy sunęła po twardym gnejsie.

– Rusza się! – powtórzył Meder.

Sharina chwiejnie szła naprzód, przyspieszając kroku, gdy siła bezwładu zaczęła w końcu działać na ich korzyść, a nie przeciwko nim. Prawie deptała po piętach Aserze. Nonnus trzymał początek liny, a Sharina jej koniec, w pobliżu wody. Arystokraci znajdowali się między nimi. Zarówno z Asery, jak i z czarodzieja niewiele było pożytku przy tej pracy, lecz Sharina nie chciała by stali z założonymi rękami, nawet jeśli Nonnus chętnie by się na to zgodził. Czasem chodzi po prostu o zasadę, nie o wynik.

Właściwie zasady zawsze są ważniejsze niż wynik.

Tylko z grubsza ociosali dłubankę. Szczególnie Nonnus był niezadowolony ze swego dzieła, chociaż od początku zamierzał zrobić jak najprostszą łódź, zaopatrzoną w dwa równoważące pływaki i maszt z żagielkiem sporządzonym z płótna żaglowego triremy. Staranniejsze wykończenie poprawiłoby wygląd łodzi i nadało jej lepszą żeglowność, a także zapewniło większy komfort załodze, ale taka praca wymagała czasu.

Tymczasem wszyscy czworo chcieli jak najszybciej opuścić pogrążoną w śmiertelnej ciszy Tegmę.

Dłubanka zsuwała się coraz szybciej.

– Sharino, wskocz na pokład i odbijaj! – zawołał Nonnus.

Sharina puściła linę i zwinnie wskoczyła do prześlizgującej się obok niej łodzi. Było ich za mało, żeby mogli znieść dłubankę do wody, więc Nonnus użył wielokrążka, który to umożliwił. Najdalej położonym na wodzie punktem, do którego mogli przymocować blok był dziób triremy. Chociaż okręt spoczywał na piasku, te kilka metrów wody, jakie dzieliły go od suchego lądu, zupełnie wystarczyły, by zwodować ciężką dłubankę.

– Ciągnij jak mężczyzna! – powiedział Nonnus. Meder też puścił linę, kiedy zrobiła to Sharina. – Ciągnij!

Łódka z pluskiem uderzyła o powierzchnię wody. Tępy dziób stawiał opór i dłubanka zakołysała się na boki. Pozostali na brzegu ludzie musieli ciągnąć za linę, dopóki łódź całkiem nie znalazła się na wodzie, co zaoszczędziło im trudu jej podnoszenia.

Sharina przeskoczyła przez złożony żagiel i stanęła przed masztem. Wielokrążek był zakończony pętlą, przymocowaną zatyczką grubości uda do drugiej pętli, przy maszcie. Wystarczyło usunąć ten kołek, by zwolnić dłubankę, lecz można to było zrobić dopiero wtedy, kiedy łódka zacznie unosić się na wodzie i lina zwiotczeje.

– Gotowa! – zawołała Sharina. Łódź zakołysała się i zaczęła obracać się na prawą burtę, w kierunku przeciwnym do tego, w którym ciągnęła ją lina. Nonnus złapał za koniec lewego pływaka i na przemian ciągnąc lub podnosząc, skierował dłubankę dziobem w morze. Asera z Mederem nadal trzymali linę, ciągnąc z wysiłkiem, chociaż najwidoczniej nie rozumieli, po co to robią.

Zanim spuścili łódkę na wodę, załadowali na nią zapasy. Na pokładzie triremy znaleźli trochę żywności, zaledwie odrobinę dla licznej załogi okrętu, lecz wystarczającą na tydzień dla czwórki ocalałych po ataku Archajów i czarach Medera. Dzbanek oliwy, kilka wiązek jadalnych korzeni oraz mnóstwo słodkiej wody. Wzięli cztery nasmołowane antałki, czyli tyle, ile zdaniem Nonnusa mogło bezpiecznie pomieścić się w łodzi.

Nie mieli mięsa, ale pustelnik sądził, że zdoła nałowić ryb na kulki z chleba. Ciała zabitych w walce stworzeń szybko psuły się w wilgotnym klimacie, a na wyspie nie przetrwało żadne żywe zwierzę.

– Zwolnij zaczep, dziecko! – krzyknął Nonnus. – Wy dwoje, na pokład!

Sharina piętą prawej nogi kopnęła w zatyczkę. Drewniany kołek wysunął się, ale nie do końca. Zapewne lina lub drewno napęczniało od chwili zamocowania wielokrążka przez Nonnusa.

Dłubanka podskoczyła, gdy Nonnus zwinnie jak latająca ryba wskoczył na rufę łodzi. Sharina wyrwała zza pasa toporek i obuchem uderzyła w twarde drewno. Zatyczka wypadła i blok zsunął się za burtę pociągnięty swoim własnym ciężarem.

Arystokraci z krzykiem wbiegli w wodę i chwycili za rufę łodzi. Pustelnik zignorował ich, szykując się do postawienia żagla. Sharina złapała drąg zrobiony z uciętego wiosła i naparła nań całym ciężarem ciała, odpychając dłubankę od brzegu. Choć spuścili łódkę na wodę w chwili, gdy zaczął się odpływ, słaby prąd wsteczny wcale jej nie pomagał, gdyż woda w porcie była tak spokojna.

Nonnus skinął ręką. Sharina przestąpiła przez drąg i nie wypuszczając go z rąk, zaczęła cofać się wzdłuż prawej burty, wypychając łódkę w morze, chociaż sama nie oddalała się od brzegu. Kiedy doszła do rufy, odłożyła drąg i wyciągnęła rękę, po czym zręcznie i szybko pomogła wejść na pokład Aserze i Mederowi.

Chociaż starała się tego nie okazywać, gardziła arystokratami, którzy nie byli w stanie wykonać najprostszej fizycznej pracy. Oboje byli w niezłej formie, a Meder był nawet dość muskularny. Przypomniała sobie, jak jej matka nadskakiwała tej parze w Barca's Hamlet... i jak sama dziwiła się, że tak szlachetnie urodzeni raczyli zauważyć jej istnienie.

Maszt dłubanki był wykonany z bukszprytu triremy, a reja, na której Nonnus rozpiął żagiel, była uprzednio jednym z długich wiosł górniego jej rzędu. Maszt triremy, przecięty na dwie połowy, tworzył dwa boczne stateczniki, przymocowane do dłubanki dwoma innymi wiosłami.

Łatwiej było wykorzystać omasztowanie triremy, niż obrabiać twarde pnie rosnących na Tegmie drzew, a ponadto suche drewno było lepsze. Tak więc kadłub był jedyną nie pochodzącą z triremy częścią ich nowej łodzi.

Meder leżał na dnie dłubanki, dysząc.

– Spójrzcie na moje ręce! – wykrztusił. Dłonie miał otarte bardziej, niż można by oczekiwać po symbolicznej pomocy, jakiej udzielił podczas puszczenia łodzi na wodę. – Mogłem zwodować łódź bez tego ciągnięcia i chlapania. Dzięki mojej sztuce!

– Nie mogłeś – rzekł Nonnus, mocując szot do knagi przy podstawie masztu. – Ponieważ nie pozwoliłbym ci na to.

Poruszając się ze zręcznością przeskakującej z fali na falę mewy, przeszedł na rufę.

– Zróbcie mi miejsce – polecił – ale trzymajcie się z daleka od masztu.

Chwycił jedno z dwóch wiosł. Sharina już trzymała drugie. Zaczęli kierować dłubankę w morze. Asera i Meder skulili się w pobliżu masztu i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Żagiel zwisał luźno w powietrzu tak nieruchomym, że Sharina nie czuła najlżejszego podmuchu na swej mokrej skórze. Mgła już spowiła brzeg Tegmy i odgłos rozbijających się na rafach fal wydawał

się przybierać na sile.

Obejrzała się przez ramię. Nonnus z zadowoleniem uśmiechnął się do niej. Długimi pociągnięciami prowizorycznego wiosła ciął wodę tak gładko, że tylko pozostające za piórem wiry świadczyły o tym, jak silne są te uderzenia.

Nagle mgła zaczęła rzednieć. Od morza powiał wietrzyk, który zdawał się lodowato zimny, chociaż Sharina wiedziała, że będąc na Haft zapewne rozkoszowałyby się tym ciepłym powiewem. Po kilku dniach spędzonych w wilgotnym skwarze zupełnie rozregulowała się jej ciepłota ciała.

Przekroczyli niewidzialną granicę między dwoma światami. Ten, w którym istniała Tegma, pozostał w tyle. Ten chłodny podmuch nadleciał z innego, prawdziwego świata, w którym urodziła się Sharina.

Grzywacze stały swą gniewną przestrogą. Mgła rzedniała. Sharina widziała już pianę wokół koralowych raf, sterczących niczym kły morsów, które zetrą na proch nawet najtwardszą muszlę. Na rafach falował dywan roślinności, ciemnej na tle ostrzegawczo białej piany przyboju. Te rafy były równie niebezpieczne dla statku wypływającego z zatoki, jak dla rzuconego na nie z otwartego morza.

Nonnus wepchnął wiosło w oczka siatki przytrzymującej ładunek. Dwoma pociągnięciami za liny zmienił ustawienie żagla i nieco zmienił kurs. Dłubanka była okropnie toporna w porównaniu z rybacką łodzią z Haft, lecz Nonnus nie zaryzykowałby próby ucieczki, gdyby nie sądził, że zakończy się sukcesem.

Słońce dopiero weszło, podczas gdy na Tegmie już godzinę wcześniej stało w zenicie i jego mętna czerwona kula jeszcze pulsowała we mgle. Tutaj krążyły i krzyczały mewy. Jakieś ciężkie ciało z pluskiem zeskoczyło z rafy i popłynęło ku otwartemu morzu.

Spienione rafy wznosiły się długim półokręgiem, czekając na dłubankę i jej pasażerów. Inny wilk morski skoczył w wodę, aby czekać w niej na łup.

Czy gdybym teraz spojrzała w lagunę, ujrzalabym budowle zatopione przed tysiącami lat? Jednak woda była szara od piany i nie pozwalała zajrzeć głębiej niż kilka metrów pod powierzchnię.

Nonnus obrócił wiosłem steru. Poluzował prawy szot, a lewy kilkakrotnie obłożył na knadze. Dłubanka nadal uparcie kierowała się w bok. Huk przyboju narastał. Meder i Asera z rosnącym niepokojem rozglądali się wokół. Czarodziej sięgnął pod siatkę okrywającą zapasy i jego sakwę z magicznymi artykułami.

Sharina spoglądała na nich beznamiętnie, ale z niepokojem w sercu. Widywała szczątki wraków rzucone na brzeg opodal Barca's Hamlet, grube kłody połamane i zmiażdżone zębiskami raf w odległych zakątkach morza.

Na przykład przez rafy Tegmy.

– Tam! – krzyknął pustelnik. Chwyciwszy w zęby linkę steru, poluzował lewy szot i napiął prawy. Dłubanka powoli zaczęła obracać się w przeciwnym kierunku i jej dziób ponownie skierował się prosto ku rafom. Między dwiema z nich pojawiła się wolna przestrzeń, lecz nawet tam co chwilę fontanny wody tryskały w powietrze, żeby spłynąć po twardych skałach.

Wiatr przybrał na sile. Łódka nabierała szybkości, z samobójczym entuzjazmem pędząc w kierunku raf. Chociaż mieli wiatr w plecy, bryzgi wody chlapały Sharinie w twarz.

– Kiedy powiem – rzekł Nonnus, przekrzykując huk przyboju – przybiegnijcie tu do mnie. Teraz!

Arystokraci już podnieśli się, przerażeni bliskością skał. Meder nie zdołał wyjąć spod siatki swojej szkatułki z czarodziejskimi przyborami. Razem z Aserą gramolił się teraz po stercie zapasów.

Nonnus wskoczył na pokładnik rufowy i chwycił się rei, balansując nad spienioną wodą. Sharina rzuciła się na rufę i zajęła opuszczone przez niego miejsce. Pióro wiosła sterowego swobodnie kołysała woda.

Dziób łodzi uniósł się, gdy wszyscy jej pasażerowie przeskoczyli na rufę. Nonnus zrzucił żagiel, który z głuchym łoskotem uderzył reją o burty. Grube dno dłubanki uderzyło o rafę, siłą rozpędu trąc o koral. Gdyby mieli postawiony żagiel, pod wpływem wstrząsu maszt złamałby się u podstawy.

Dłubanka zatrzymała się w połowie szerokości rafy.

– Naprzód! – wrzasnął pustelnik. – Na dziób, jeśli wam życie miłe!

Sharina przeskoczyła przez arystokratów, jak przez jeszcze jedną przeszkodę na drodze. Nonnus już ponownie stawiał żagiel. Sharina przeskoczyła przez reję. Asera i Meder, chociaż zareagowali szybciej niż zwykle, musieli poczekać aż mokre płótno podniesie się i odsłoni im drogę.

Sharina wgramoliła się na dziób i chwyciła przednią więź dolnego przedniaka. Bryzgi piany tryskały wysoko w powietrze. Arystokraci dołączyli do Shariny, kuląc się obok niej, przytrzymując się burt i lin.

Dłubanka nieznacznie przechyliła się na dziób i znów zaczęła płynąć. Napór wiatru na żagiel i ciężar ciał trojga ludzi przesunęły środek ciężkości kadłuba i przepchnęły go na drugą stronę koralowej bariery.

Łódź płynęła na otwarte morze. Grube dno dłubanki było podrapane, lecz wytrzymało uderzenie o ostre rafy, które połamałoby kadłub statku zbitego z desek.

Sharina słyszała za plecami gniewny ryk rozczarowanych grzywaczy.

– Kto to zrobił? – pytał Garric, słysząc w swoim głosie ledwie skrywane echo słów króla Carusa, przemawiającego tonem zmuszającym do posłuchu. – Kto wysłał przeciw nam licha, Benlo?

Kupiec siedział na odwróconym do góry dnem korycie obok stajni, przesuając tam i z powrotem koniec pasa przez szlufkę, żeby zająć czymś ręce. Garric stał przed nim, a Cashel za jego plecami, bardziej podobny do gradowej chmury niż do człowieka.

Dziedziniec gospody oświetlały pochodnie, latarnie, a nawet świece, które co rusz gasły na wietrze. Ludzie pochylali się nad martwymi stworami, upewniając się, że wzrok ich nie zawodzi, a potem prostowali się z okrzykami zgrozy i obrzydzenia. Jęczał ranny strażnik, a ludzie piskliwymi, podenerwowanymi głosami rozprawiali o tym, co się stało i o tym, co mogło się stać.

– Nie wiem – odparł Benlo. Jego głos zdradzał gniew i szczery niepokój. Nieznacznie rozejrzał się na boki.

– Twoi strażnicy też chcą poznać prawdę i nie będą nas powstrzymywać, jeśli zechcemy ją z ciebie wydobyć – rzekł Garric cichym, groźnym tonem. – Ci, którzy przeżyli, oczywiście.

Cashel mruknął coś pod nosem. Garric jeszcze nigdy nie widział przyjaciela tak rozgniewanego. Gdy tylko upewnił się, że Ilnie i Garricowi nic się nie stało, Cashel odprowadził kupca na bok i posadził go tutaj. Kiedy handlarz próbował protestować, Cashel nie puszczając pałki, wolną ręką podniósł go w górę.

– Dlaczego szukałeś Garrica? – zapytała Tenoctris. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed kupcem, trzymając w dłoni źdźbło trawy, jakby była dzieckiem bawiącym się w piasku. Jednak zmrużywszy oczy, Garric dostrzegł nagle niebieskie pasma ciągnące się w powietrzu w ślad za poruszającym się źdźbłem.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – rzekł Benlo. W jego głosie pojawił się stanowczy ton. – Po prostu nie mogę. Wiem tylko, że proszono mnie, abym podążył za pewnym tropem i przyniósł to, co znajdę na jego końcu, jeśli zdołam. Nie złamałem żadnych praw. Nikomu nie uczyniłem krzywdy i nie miałem takiego zamiaru.

Niedbałym gestem, łączywszy środkowy i wskazujący palec, wskazał na drogę do Barca's Hamlet.

– Wracaj na wasze pastwiska, chłopcze – powiedział – jeśli tego chcesz. To nie ja sprowadziłem na was licha i cokolwiek ze mną zrobicie, nie sprawi, że zostawię was w spokoju. Nawet nie wiedziałem jak je nazwać, dopóki nie powiedziała mi tego wasza przyjaciółka...

Ruchem głowy wskazał Tenoctris.

Garric pamiętał niedawną walkę jakby był jej widzem, chociaż to on kosił licha jak łąn zboża. Poruszał się błyskawicznie i uderzał ze śmiertelnością precyzją, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że ciężar i wyważenie miecza ustępowało każdej broni, jaką sam by sobie wybrał. Stołek był jednocześnie jego tarczą i orężem. Garric walczył już z lichami, więc raz po raz zadawał im celne ciosy rozbijające głowy.

Odnosił ranę w prawą łydkę, rozciętą przez licho, które strażnicy Benlo powalili, ale nie zabili. Pamiętał jak kopnął je i zdziwił się, gdy bosą, nie obutą w podkuty but stopą trafił w pokrytą galaretowatym ciałem kość. Nie oglądając się za siebie, pchnął mieczem. Ostrze przebiło cienkie kości przegrody nosowej i przeszło czaszkę, która kryłaby w sobie mózg żywej istoty.

Straciwszy na to zaledwie ułamek sekundy, Garric podjął walkę z tymi lichami, które jeszcze

trzymały się na nogach. Widział to wszystko i doskonale pamiętał, lecz to nie Garric or-Reise walczył z tymi stworami. On nigdy nawet nie trzymał miecza w dłoni, dopóki nie dostał go w prezencie od Benlo.

Teraz dotknął tuniki, pod którą wisiał medalion króla Carusa.

– Kto kazał ci mnie znaleźć? – zapytał.

Benlo potrząsnął głową. Lekko odprężył się, wiedząc już, że ci młodzi nie skrzywdzą go bez powodu i najwidoczniej przekonany, że żadnego nie znajdą.

– Nie wiem – rzekł. Ponownie spojrzał Garricowi przez ramię, tym razem na córkę. Liane stała sama w zasięgu jego wzroku. Spoglądała na ojca z kamienną twarzą.

Benlo skrzywił się, zmieszany, ale mówił dalej.

– Otrzymałem fundusze od bankiera w Erdinie z poleceniem sprawdzenia pewnego śladu. Bankier na pewno nie miał pojęcia, co odkryję, tak samo jak nie wiedział tego zleceniodawca, którego tożsamości nie znam. W przeciwnym razie powiedziano by mi coś więcej.

Podczas gdy Tenoctris mamrotała pod nosem zaklęcia, Liane opatrzyła Garricowi ranę na nodze. Powiedziała, że jej nauczycielki w Valles należały do odrodzonego zakonu Cór Pani. Nauczały podopieczne nie tylko dobrych manier i literatury, ale także różnych praktycznych rzeczy, takich jak udzielanie pierwszej pomocy. Obandażowana łydka lekko piekła Garrica, ale prawie tego nie czuł, jeśli opierał ciężar ciała na drugiej nodze.

– Jakiego śladu? – warknął Cashel. Podniósł garść słomy i zaczął wycierać nią lepką substancję, która przywarła do pałki. Garric wiedział, że to Cashel ich ostrzegł, ale nie pamiętał, co przyjaciel robił podczas walki.

Ilna stała obok Garrica, przyglądając się raczej córce Benlo niż kupcowi. Trzymała konopny kantar, lekko przesuwając w dłoni pętlę, jakby przymierzała ją do szyi Liane.

– To... – zaczął Benlo. Zamachał rękami, jakby usiłował złapać w powietrzu właściwe słowa. – Chodzi o pewien rodzaj sztuki. Nie mogę wam tego wyjaśnić, ponieważ jako niewtajemniczeni nie jesteście w stanie tego pojąć.

– Nie możesz tego wyjaśnić – powiedziała Tenoctris z siłą, jakiej Garric nigdy by się po niej nie spodziewał – ponieważ jesteś za głupi, żeby zrozumieć moce, jakie przywołujesz.

– Co? – wytrzeszczył oczy Benlo.

Cashel położył dłoń na jego ramieniu. Tenoctris obróciła się i z uśmiechem spojrzała na Garrica. Może i ją zaskoczył ton jej własnego głosu.

– Ten człowiek z pewnością nie jest odpowiedzialny za ostatni napad, a o innych sprawach też powiedział prawdę. Wykonuje zlecenie osoby, której nie zna i naraża się na atak nieznanym mu przeciwników. – Tenoctris obrzuciła Benlo chłodnym spojrzeniem i dodała: – Krótko mówiąc, to głupiec.

Podparła się ręką, zamierzając wstać z ziemi. Garric chciał jej pomóc, ale zamarł, czując przeszywający ból mięśni pleców i klatki piersiowej. Stoczona walka nie wymagała od niego większego wysiłku niż rozliczne obowiązki, jakie dotychczas wykonywał, ale wywijając mieczem, w nieco inny sposób wykorzystywał swoje mięśnie. One to odczuły i teraz dawały mu o tym znać.

Liane pochyliła się nad Tenoctris i podtrzymała staruszkę, gdy ta sztywno wstawała z ziemi. Twarz dziewczyny nadal nie zdradzała żadnych uczuć.

– Kim jest ta kobieta, panie Garricu? – spytał gniewnie Benlo. – Mówiłeś, że jest rozbitkiem. Czy to naprawdę twoja zwariowana ciotka?

– Tenoctris jest rozbitkiem – odparł Garric. – A co ważniejsze, jest kimś, komu ufam.

Nie wiedział, co myśleć o Benlo. Właściwie ten człowiek wydawał się być dokładnie tym, za

kogo podawał się w Barca's Hamlet: handlarzem działającym na zlecenie kupca w Sandrakkanie. I chociaż ukrywał fakt, iż w rzeczywistości nie chodziło mu o owce, to jednak dobrze zapłacił za stado i sownie za obecność Garrica.

Liane odsunęła się od Tenoctris. Spojrzała na Garrica i po raz pierwszy w jej oczach pojawiło się zakłopotanie.

– Liane? – powiedział handlarz. Wstał i wyciągnął rękę do córki. Dziewczyna cofnęła się, jakby tego nie zauważyła. Cashel chrząknął, ale nie posadził Benlo z powrotem na korycie, czego przez moment oczekiwał Garric. – Posłuchaj... – zaczął Benlo, szukając w rękawie chusteczki, której tam nie było. Niespodziewany napad wyciągnął go z łóżka w zwykłej lnianej koszuli. W przeciwieństwie do córki, wybiegając na dwór, nie chwycił wiszącego na wieszaku płaszcza. – Przyznaję, że nie wiem, co się dzieje – ciągnął Benlo. – Te napady nie podobają mi się tak samo jak wam. Kiedy dotrzemy do Carcosy, będę mógł dowiedzieć się więcej. I dowiem się, obiecuję.

Tenoctris spoglądała na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Garric obiema dłońmi masował sobie czoło. Palce miał sztywne i pozbawione czucia, jakby zmęczone ściskaniem rękojeści miecza podczas walki. Pod wpływem silnych uderzeń ostrze zmieniło się w kawał poskręcane metalu, niewiele ostrzejszy od lemiesza, a z dębowego stołka zostały drzazgi.

Garric nie wiedział, co o tym myśleć. W ogóle nic nie wiedział.

Tenoctris zaczęła wypytywać Benlo. Zmęczony Garric nie rozumiał jej słów, które brzmiały w jego uszach jak monotonne brzęczenie.

– Wracam do łóżka – wymamrotał. – Muszę się wyspać, jeśli rano mam iść dalej.

Powlókł się w kierunku gospody. Był tak wyczerpany, że nie wątpił, iż mimo wzburzenia wywołanego niedawnymi wydarzeniami, zaśnie w mgnieniu oka.

I wiedział, że we snach ktoś będzie mu towarzyszył.

– Ty też powinieneś się przespać – powiedziała Mellie. Leżała na plecach na kolanie Cashela i splótłszy dłonie na karku, spoglądała na niego z zatroskaną miną.

– Nic mi nie będzie – odparł. – Stado jeszcze jest podenerwowane. Uspokoi się szybciej, wiedząc, że nie śpię i czuwam.

Siedział na dyszlu wozu, zwrócony twarzą w kierunku zagrody. Machinalnie gładził dłonią pałkę. Wycesał z owiec garść tłustej od lanoliny wełny, zmieszał ją ze szczyptą piasku i za pomocą tego prowizorycznego tarnika wygładził zadry i nacięcia pozostałe w drewnie po walce. Kiedy dotrą do Carcosy – albo jeśli spotka po drodze druciarza – wymieni metalowe okucia na końcach pałki. Jedno miało głębokie nacięcie po uderzeniu, którym Cashel złamał miecz i ramię atakującego licha, a drugie żelazne okucie było zniekształcone po uderzeniu w czaszkę stwora, który zamierzył się na Ilnę. Jedno zadane z całej siły uderzenie, zupełnie by wystarczyło. Kiedy uderzył po raz szósty, wzbil tylko kurz, gdyż już skruszył kości na proch.

– Mimo to powinieneś się przespać – powiedziała Millie. – Wiesz, że ostrzegę cię w razie niebezpieczeństwa.

Cashel uśmiechnął się. Minęło zaledwie kilka dni, ale już przyzwyczał się do rozmów z piękną nagą kobietką wielkości jego palca.

– Nic mi nie będzie – powtórzył. – Muszę tylko ochłonać i wygładzić moją pałkę.

Jedno nacięcie było dość głębokie, ale Cashel był pewny, że po zeszlifowaniu pozostanie po nim zaledwie nikły ślad. Nie wyobrażał sobie, że miałby zmienić pałkę na inną. Mając dziewięć lat, wybrał idealnie prostą gałąź jako zapłatę za ścięcie hikorowego drzewa dla Tarona, jego właściciela. Cashel własnoręcznie wysuszył ją, obrobił i wypolerował, nadając jej idealną gładkość. Tylko okucia były cudzej roboty i od kiedy zaczął używać tej pałki, już trzykrotnie je wymieniał.

Mellie uniosła smukłą nogę, celując nią w gwiazdę północną, a potem zachichotała.

– Benlo jest silny, prawda? – powiedziała.

Cashel zmarszczył brwi, lecz dalej długimi, równymi pociągnięciami wygładzał laskę.

– Benlo? – powtórzył. – Nie, nie powiedziałbym.

Rald, dowódca strażników kupca, był zbudowany jak dąb i wyglądał równie krzepko. Sarhad, inny strażnik, mógł być jeszcze silniejszy, lecz topór licha rozplątał go od ramienia po pierś. Tymczasem Benlo...

Mellie ponownie zachichotała i wykonała salto w tył.

– Nie tak silny jak ty, głuptasie! – powiedziała. – Mimo to dość silny.

Zerknęła w kierunku gospody. Powiew wiatru rozwiał jej ogniste włosy. Była tak realna, że Cashel nie mógł uwierzyć, że inni nie widzieli jej tak jak on.

– To tacy ludzie jak Benlo zamknęli drogę z tej rzeczywistości do mojej – powiedziała. Jej głos nie zdradzał żadnych emocji, lecz takim samym tonem mówiła o lisicy, która mogła wspiąć się na słupek ogrodzenia i pożreć ją. Cashelowi kotłowały się w głowie jej słowa. Gdy powiedziała „silny”, miała na myśli potężnego czarodzieja. Nie wątpił w to – przecież widział jak Benlo przywołał widmo, które wskazało mu Garrica.

– Może tym razem ją otworzą – powiedział, chcąc ją pocieszyć.

Mellie zmarszczyła nos i pokazała mu język.

– Jeśli upuścisz na ziemię jajko – powiedziała urażonym tonem – stłucze się. Czy jeśli upuścisz je

ponownie, kawałki same się zlepią?

– Zazwyczaj zanim coś powiem, pomyślę – rzekł Cashel. Była to tylko połowiczna prawda; zwykle myślał, zamiast mówić. – Przepraszam, Mellie.

Skoczyła i stanęła na rękach, robiąc nożyce nogami, a potem uniosła jedną rękę i trzymała się tylko na drugiej. Podczas zimowych biesiad niektórzy mężczyźni z wioski tańczyli i popisywali się z zakrzywionymi baraniami rogami przymocowanymi do stóp. Garric też był w tym całkiem niezły. Nigdy jednak nie widział takich akrobacji, jakie wykonywała ta duszka.

– Otworzyłbym ci tę drogę, gdybym mógł, Mellie – powiedział. Trzymając pałkę w wyciągniętej ręce, obrócił nią powoli. Blask gwiazd ukazywał mu miejsca, które wymagały dalszej obróbki.

Pałka była wygodną bronią: nie miała ostrza ani szpikulca wymagającego kowalskiej obróbki. Hikorowe drzewce musiało ślizgać się jak szkło w jego dłoniach. Nie mógł pozwolić, by jakiś zadziór przeszkodził mu w chwili, kiedy będzie zagrożone życie Garrica lub Ilny.

Ich, a teraz może także Mellie.

– Cashelu? – powiedziała, znów leżąc na plecach i obserwując go. – Dokąd pójdziesz, kiedy dotrzemy do Carcosy? Zamierzasz zostać z Benlo?

– Nie – odparł Cashel. – Nie z nim. I nie wrócę do Barca's Hamlet.

Przetarł hikorową pałkę drugą garścią wełny, tym razem nie dodając piasku. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał jej wymienić. Była czymś więcej niż narzędziem: była jedynym ogniwem łączącym go ze wszystkimi minionymi latami.

– Po prostu zamierzam odejść – dodał. Zastanawiał się, czy wspomnieć o Sharinie, ale rozmyślił się. Z Mellie dobrze mu się rozmawiało. Po raz pierwszy Cashel tak swobodnie czuł się w obecności innej osoby, chociaż właściwie duszka nie była osobą. Teraz jednak nie wiedział, co powiedzieć. – Czy ty chcesz udać się w jakieś konkretne miejsce?

– Wszystko co tutaj widziałam, od kiedy zamknęło się przejście – odparła Mellie – to głównie koty i lisy. Z powodu szczurów nigdy nie zdecydowałam się na morską podróż. Teraz, gdy podróżuję z takim przyjacielem jak ty... no cóż, wszystko wygląda inaczej. Przynajmniej inaczej niż przez ostatnie tysiąc lat.

– Spróbuję zapewnić ci bezpieczeństwo, Mellie – rzekł Cashel. Znów zaczął polerować pałkę. Powinna być gładka jak szkło...

W biegnących wzdłuż drogi żywopłotach świergotały i kwiliły ptaki, narzekające na intruzów lub połykające owady pierzchające spod ich stóp. Idący za stadem Cashel zawołał:

– Ruszaj, Ginger, obżarłaś się tak, że już więcej nie zdołasz strawić. Hej, hej, hej!

Liane obróciła się do Ilny i powiedziała:

– Twój brat wydaje się dziś bardzo wesoły, panienko.

Mówiła przyjaznym tonem, jak zawsze, gdy zwracała się do Ilny. W głębi serca Ilna uważała, że Liane skrycie kpi z niej jako brzydszej, mniej bogatej i gorzej wykształconej, ale wiedziała także, że inni nie wyczuwają skrytej za tym uśmiechem drwiny. Wyszłaby na głupią, gdyby otwarcie na to zareagowała.

– Owszem, na to wygląda, prawda? – odparła również z uśmiechem. – No cóż, jest cudowny dzień i może cieszy się z tego, że przeżył wczorajszy napad. A ty, Garricu?

Garric szedł obok wierzchowca, na którym teraz jechała Tenoctris, a nie Liane. Benlo usiłował protestować, lecz córka uciszyła go jednym zimnym spojrzeniem. Tenoctris również protestowała, lecz Liane powiedziała po prostu, że chce rozprostować nogi, a starsza pani powinna odpocząć. Niewiele brakowało, a nawet Ilna dostrzegłaby tylko powierzchowną uprzejmość Liane i przeoczyła fakt, że kryła się pod nią bogata i wyrachowana suka.

– Hm, nie wiem czy jestem szczęśliwy – odparł, uśmiechając się przez ramię do dziewcząt. Tego ranka Garric nawet nie udawał, że pogania owce. To cud, że w ogóle mógł chodzić o własnych siłach. – Na pewno jestem żywy, ponieważ martwi nie czują bólu.

Potknął się i przytrzymał końskiego strzemienia, podpierając się łukiem, który trzymał w lewej ręce.

– Widzicie? – dodał z udawaną rozpaczą. – Jestem kaleką. Chodźcie do mnie, żebyśmy mogli porozmawiać.

Droga od rzeki Stroma do Carcosy była wybrukowana, chociaż jeżdżące nią od tysiąca lat wozy pozostawiły w kamieniu głębokie koleiny. Orszak Benlo dzielił ją z wieloma innymi podróżnymi: pieszymi, jeźdźcami i jucznymi zwierzętami, a nawet kilkoma pojazdami, co byłoby nie do pomyślenia na wąskich traktach dalej na wschód. Ilna po raz pierwszy zobaczyła powóz. Jego okna były zasłonięte, a ciągnące go cztery konie miały łby przyozdobione kitami z barwnych piór.

Benlo jechał na przedzie wraz z czterema pozostałymi strażnikami. Liane rozmyślnie trzymała się w pobliżu Garrica i Tenoctris, a z daleka od ojca. Z początku Ilna myślała, że dziewczyna w ten sprytny sposób chce być bliżej Garrica, lecz przez pierwszą godzinę podróży Liane szła kilka kroków za młodzieńcem.

Mimo to Ilna czujnie maszerowała obok niej.

Cashel szedł za stadem, pogwizdując na owce i nawołując je po imieniu. Rzeczywiście, wyglądał na szczęśliwego, szczęśliwszego niż Ilna kiedykolwiek widziała go w domu. Może był rad z tego, że może zobaczyć świat poza Barca's Hamlet, a w dodatku zarobić niezłą sumkę, chociaż Ilna wiedziała, że brat nie podziela jej niepokoju o stan finansów.

– No, chodźcie – powtórzył Garric. – Może będę was potrzebował, żebyście niosły mnie przez resztę drogi.

Liane pytająco spojrzała na Ilnę. Ta powstrzymała się i nie zmarszczyła brwi.

– Tak, już idziemy – powiedziała. Liane lekko wydłużyła krok i zrównała się z rumakiem

Tenoctris, który oddzielał ją od Garrica.

– Dobrze znosisz tę podróż? – spytał, kiedy Ilna podeszła do niego. Przełożył pałkę z lewego ramienia na prawe tak, że nie tworzyła symbolicznej bariery między nimi.

Ilna знаła go od dziecka i widziała, że lekko krzywił się za każdym razem, gdy przenosił ciężar ciała na prawą nogę. Zauważyła również mocno opiętą skórę na jego wydatnych kościach policzkowych. Mimo to Garric był w niemal równie dobrym humorze jak Cashel. A przecież po nocnej potyczce był tak wyczerpany, że obawiała się, iż przez kilka dni będzie wracał do sił.

– Mam nadzieję, że zawsze będę mogła dotrzymać kroku owcom – odparła Ilna. – Pranie pościeli to większy wysiłek, a także lepsza rozrywka.

Garric zaśmiał się. Ostatnio śmiał się głośniejszym niż dotychczas. Nabrał pewności siebie. Najwidoczniej uznał, że nie ma się co wstydzić dobrego humoru, a jeśli komuś się to nie podoba, to tym gorzej dla tego kogoś.

– Właśnie mówiłem Tenoctris – rzekł – że starożytni poeci nie pisali o przeganianiu owiec na targ ani o ich strzyżeniu, skoro o tym mowa. Tylko o siedzeniu pod świętym dębem i obserwowaniu owieczek brykających wśród kwiecia. Czyż nie tak, Liane?

Nie był już tym samym chłopcem, przy którym dorastała Ilna. Zawsze był inteligentny, przyjacielski i równie pracowity, jak każdy mieszkaniec wioski. Teraz tryskał energią, której z pewnością nie odziedziczył po ojcu ani po złośliwej i swarliwej matce.

– Owszem, odniosłam wrażenie, że pasterstwu towarzyszy więcej krystalicznie czystych strumieni i konkursów pieśniarskich niż kiedykolwiek widziałam na Haft – przyznała Liane. I celowo zmieniając temat, dodała: – Pani Tenoctris, przepraszam, że omyłkowo wzięłam cię początkowo za szamankę. Czy wolno spytać, w jaki sposób zostałaś mm...

Urwała, najwidoczniej obawiając się, że określenie „mag” zostanie poczytane za obrazę. Ilna zastanawiała się, czy Liane zacerwieniła się. Wierzchowiec zasłaniał ją przed oczami idących po drugiej stronie.

– Adeptką sztuki? – dokończyła Liane, najwyraźniej mając podobne wątpliwości co do słowa „czarodziej”. Ktoś musiał jej wyjaśnić, kim naprawdę jest Tenoctris. Tym „kimś” prawie na pewno był Garric, w czasie gdy Ilna zarabiała na życie w gospodzie, ponieważ nie miała bogatego ojca, który by za nią płacił.

Zadając to pytanie, Liane zniżyła głos, chociaż ojciec i jego strażnicy jechali teraz daleko na przedzie. Jeźdźcy podążali szybciej niż stado, więc co dziesięć lub dwadzieścia minut musieli przystawać i czekać. Garric był przyzwyczajony wędrować z szybkością owczego stada i nadawał tempo towarzyszkom.

Tenoctris była kiepskim jeźdźcem: jedną dłonią ścisnęła wodze, a drugą trzymała zaciśniętą na łąku siodła.

– Sposób, w jaki teraz większość adeptów podchodzi do magii, niewiele ma wspólnego ze sztuką – odparła z ponurym uśmiechem. – Chyba tak samo było w moich czasach.

Obróciła głowę do Garrica i Ilny, wyraźnie dając im znać, że zwraca się również do nich, a potem znów spojrzała na Liane i dodała: – Miałam dar postrzegania mocy, Liane. Moja rodzina miała tytuł, ale bardzo mało pieniędzy, ja byłam trzecią córką i myślę, że mój ojciec zgodziłby się na wszystko, byleby tylko uniknąć gromadzenia dla mnie posagu. Studiowałam na uniwersytecie w Notisson, a potem obejmowałam rozmaite posady na różnych wyspach, w domach arystokratów, którzy mieli bogate księgozbiory. W końcu znalazłam się na Yole – być może przypadkowo.

– Czy byłaś uczennicą czarodzieja? – spytał Garric. – Chodzi mi o to, czy terminowałaś?

– W Notisson, w mieście, nie na uniwersytecie, była pewna uzdrowicielka imieniem Kaeri, która

miała ogromną moc – odparła Tenoctris. – Pod pewnymi względami wiele się od niej nauczyłam, ale...

Zmarszczyła brwi, wyraźnie zaniepokojona tym, co właśnie miała powiedzieć.

– Nie zrozumcie mnie źle, Kaeri zwróciła się ku słońcu. Pragnęła tylko pomagać innym. Jednak ja nie mogłam na to patrzeć, ponieważ ona zupełnie nie rozumiała sił, które wykorzystywała. Była prawie niepiśmienna, lecz nie w tym rzecz. Problemem była jej ogromna siła.

Tenoctris uśmiechnęła się krzywo.

– Zapewniam was, że ja nie mam takiego problemu.

– Czy ten... Zakapturzony – zaczął Garric i przełknął ślinę, wbijając wzrok w ziemię. – Też był taki?

– Jeśli pytasz czy był analfabetą – rzekła zdecydowanie Tenoctris – to nie, bynajmniej. Domyślałam się, że pochodził z takiej samej rodziny jak moja – drobnej szlachty, a może wcale nie takiej drobnej. Nie jestem tego pewna, gdyż po prostu nie miałam z nim prawie żadnej styczności. Skądkolwiek się wziął, nie łączyły nas żadne wspólne sprawy.

Obróciła głowę i spojrzała – ku zdziwieniu Ilny – na Liane, nie na Garrica.

– Różnica między Zakapturzonym a moją przyjaciółką Kaeri polegała na tym, że jego głównie interesował Malkar.

– Zło – powiedziała wyraźnie i beznamiętnie Liane. – Interesowało go zło.

– W ludzkim pojęciu tego słowa – dodała Tenoctris. – On nawet twierdził, że jest Malkarem – ewidentne kłamstwo, które dowodziło tego, że był nie tylko głupcem, ale na dodatek głupcem zaprzędanym ciemnym mocom. Zarazem był potężnym czarodziejem i właśnie to, a nie sposób w jaki czynił użytek ze swej mocy, czynił go tak niebezpiecznym. Zniszczył nasz świat, jego i mój, raczej przez pomyłkę niż ze złej woli.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Sądziłam, że zniszczył również siebie, Garricu – powiedziała – dopóki nie opowiedziałeś mi o twoich snach.

– Nie śniło mi się to od czasu... – zaczął Garric. – Od kiedy ojciec dał mi ten amulet.

– No tak – rzekła Tenoctris. – Być może z moich czasów przetrwało więcej niż można by sądzić. Na przykład ci, którzy dysponowali wielką mocą...

Znów uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– ... a także ja, chyba zupełnie przypadkowo.

Twarz starej czarodziejki zmieniła wyraz – stała się bardziej zamyślona niż zwykle. Nawet kiedy była nadzwyczaj ożywiona, roztaczała aurę chłodnej obojętności. Ilna podziwiała ten, tak odmienny od jej własnego umysł, w którym pod powłoką lodowatego spokoju pienił się gniew, choć ktoś postronny mógłby uznać, że są tak podobne do siebie.

Tenoctris spojrzała na Benlo i jego kompanów, którzy czekali trzydzieści metrów dalej.

– Moce słabną i zanikają, lecz zdobywanie wiedzy zawsze wymaga sporego wysiłku – powiedziała nieco ciszej. – Moja przyjaciółka z Notisson była bardzo potężna. Zakapturzony był bardzo potężny. I twój ojciec, panienko Liane, obawiam się, także jest bardzo potężny – i również niebezpieczny.

Południowo-wschodni wiatr był porywisty, gwałtowny i zdecydowanie im nie sprzyjał. Nonnus zrzucił żagiel, a mimo to każdy kolejny podmuch spychał dżubankę coraz dalej na Morze Zewnętrzne.

Sharina wszyła wianki w brzegi żagla. Nonnus ostrożnie rozłupał na pół drąg, którym odpychał łódź od brzegu Tegmy, po czym zrobił refsejzinki, którymi wzmocnił płótno. W ten sposób tylko nieznacznie poprawili zdolność łodzi do żeglowania pod wiatr, ale przynajmniej jakieś zajęcie pozwalało zapomnieć o niepokoju.

Asera z ponurą miną siedziała na dziobie. Meder oparł się plecami o maszt i otworzył swoją sakwę z magicznymi przyborami. Od czasu do czasu spoglądał na rufę, lecz Sharina rozmyślnie omijała go wzrokiem.

Asera wstała.

– Ten wiatr nigdy się nie zmieni! – wybuchła. – Ktoś rzucił nań czar, prawda? Mederze, nie możesz czegoś z tym zrobić?

– Nie, ponieważ ten wieśniak mi nie pozwala! – odparł z urazą Meder. Nie odrywał oczu od przedmiotu, który trzymał w ręku. Sharinie wydawało się, że jest to lustro z polerowanego magnetytu.

– Nie ma żadnej magii w tym, że o tej porze roku na Morzu Zewnętrznym wieje południowo-wschodni wiatr – rzekł chłodno Nonnus. – I nie potrzebujemy magii, aby wrócić tam, dokąd chcemy dotrzeć. Zapewne za tydzień lub dwa z północy przyjdzie szkwał. Mamy dosyć zapasów, żeby na to poczekać, a wkrótce nałapiemy ryb.

Pustelnik nie miał ciesielskiego dłuta i młota do rozłupania drąga. Z rękojeści wiosła wyciął dwa kliny, naciął koniec kija swoim pewlańskim nożem, a potem powoli wbijał nim kliny. Stojąc, jedną ręką przesuwiał drąg, drugą uderzał z jubilerską precyzją. Chociaż łódź mocno kołysała się na gnanych wiatrem falach, Nonnus tak pewnie trzymał się na nogach, jakby był częścią jej kadłuba.

– Szkwał? – powtórzyła z niesmakiem prokurator. – Masz na myśli sztorm. O bogowie! Dlaczego byłam taka głupia i sama zgłosiłam się na tę wyprawę? Powinnam po prostu podciąć sobie żyły i umrzeć w moim łóżku w Valles!

– Sztorm – potwierdził spokojnie Nonnus – który wykorzystamy, aby wrócić na Morze Wewnętrzne lub wylądować na jednej z północnych wysp. Nie jestem dumny z tej łajby, na której płyniemy, ale jest mocna i wytrzymałaby gorszą burzę od wszystkich, jakie dotychczas widziałem na tych wodach.

Sharina przerwała pracę przy przyszywaniu oczka mającego posłużyć za uchwyt dolnego sejzingu. Jej uwagę przykuło stado latających ryb. To, co w pierwszej chwili uznała za unoszącą się za nimi wielką szarą falę, nagle machnęło ogonem i z powrotem zniknęło pod powierzchnią.

– Dżubanka to niezła łódź – ciągnął w zadumie pustelnik. Już nie zwracał się do Asery, może mówił tylko do siebie. – Należycie zbudowana, dwukadłubowa dżubanka jest równie dobrym statkiem jak każdy inny, a podczas burzy nawet lepszym. Tylko że nie miałem czasu, żeby zrobić wszystko jak należy.

– A ile zajęłoby ci to czasu, Nonnusie? – zapytała Sharina, obserwując twarz przyjaciela.

Uśmiechnął się.

– Co najmniej rok – przyznał. – Tyle potrzeba, żeby ją zbudować i wykończyć, odpowiednio uformować kadłub.

– Nie chciałam spędzić roku na Tegmie, Nonnusie – powiedziała, celowo podnosząc głos, żeby usłyszeli ją arystokraci. – Nawet gdyby pozwolił na to ten, kto nas tam umieścił.

Nonnus usadowił się na jednej z dwóch poprzeczek przytrzymujących pływaki. Spoglądał gdzieś w dal, lecz Sharina wiedziała, że patrzył na coś, co znajdowało się znacznie dalej niż za horyzontem.

– Och, nic nam się nie stanie, pani Asero – zapewnił. – Morze jest silniejsze od każdego człowieka i każdego statku – to pierwsza zasada, jakiej uczysz się na wyspie Pewle. Chłopak w łódce, który o tej porze roku zapaści się za daleko na północ, zapewne już nie wróci, zagnany przez wiatr aż do krainy lodu. My jednak mamy sporo żywności i po prostu popłyniemy z powrotem ze sztormem.

Sharina wbiła igłę w żaglowe płótno i wstała. Wcześniej zrobiła sobie skórzany pas i bandolet. Zawiesiła na nich toporek, przyborek z igłami i nićmi, sakwę zawierającą trochę chleba i butelkę wody oraz sztylet z dobrej stali w pochewce z ozdobionej niello blachy, który był własnością jednego z Krwawych Orłów, dopóki nie zginęły wszystkie żywe stworzenia na Tegmie. Wszystko to razem trochę jej ciążyło, ale wzięła sobie do serca radę pustelnika i dopóki była na pokładzie łodzi, chciała zawsze mieć przy sobie najniezbędniejsze rzeczy.

Zrobiła krok, starając się nie stracić równowagi, po czym usiadła na poprzeczce obok Nonnusa. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

– Kiedy byłem chłopcem, tak małym, że jeszcze nie zrobiłem sobie łódki, ukradłem ją bratu. Miałem wtedy nie więcej niż siedem lat. Przeżyłem siedem sezonów łowieckich – siedem chudych sezonów, jak powiadamy na wyspie. Wtedy też była taka pogoda.

Gwałtowny podmuch zakołysał łodzią, zanurzając lewy pływak w wodzie, podczas gdy prawoburtowy na chwilę uniósł się w powietrze, ociekając srebrzystymi kroplami wody. Z grzbietów fal pryskały bryzgi wody, bijąc jak grad w kadłub statku i pasażerów. Asera gniewnie spoglądała przed siebie, a Meder zamknął swoją sakwę z amuletami i przyborami.

– Przez trzy dni dryfowałem na północ – rzekł Nonnus. – Nie miałem żywności, tylko butelkę z wodą. Ten sam prąd niósł kolonię meduz, tych wielkich morskich tygrysów z pomarańczowo-czarnymi workami powietrznymi. Ich macki miały po dziesięć metrów długości, a ich dotknięcie paliło jak cięcie batem. We dnie i w nocy uderzały o burty łódki. Leżąc na cienkim drewnie czułem, jak przyciskają się z drugiej strony.

Zaśmiał się. Ten chrapliwy dźwięk wydawał się bardziej pasować mewie niż człowiekowi. Sharina położyła dłoń na jego ramieniu.

– Potem nadeszła zmiana pogody – rzekł Nonnus do otaczającego go świata. – W ciągu jednej nocy wiatr zaniósł mnie z powrotem tam, skąd prąd niósł mnie na północ przez trzy dni i lanie, jakie dostałem od brata, było niczym, gdyż niewiele brakowało, a nie miałby już okazji mnie zbić. Czasem jednak myślę o innym chłopcu, w innym.. świecie, chyba należy rzec. O tym, który dryfował na północ, aż zmienił się w bryłę lodu, o siedmiolatku, którego jedyną winą było to, że ukradł łódkę brata.

– On nie wywiózł dziewczyny z Tegmy – przypomniała Sharina.

Nonnus ponownie zaśmiał się, lecz tym razem zwyczajnie.

– Masz rację, dziecko – rzekł. – A wiatr zmieni się, ponieważ zawsze się zmienia.

– Ja potrafię zmienić wiatr – powiedział Meder, oglądając się przez ramię i przyciskając do piersi sakwę.

Nonnus wstał.

– Z pewnością, panie. Nie wątpię w to – powiedział uprzejmie. Znów zaczął stukać w kliny, którymi rozłupywał drąg. – Jeśli jednak spróbujesz zrobić to na łodzi, którą wybudowałem z moją

przyjaciółką, wrzucę cię do morza. Ryby nie są wybredne i nie będą miały nic przeciwko twojej obecności.

Zaskoczony Meder zamrugał oczami. Sharina obrzuciła młodego czarodzieja gniewnym spojrzeniem. Siedziała obok pustelnika, ale już nie dotykała jego ramienia. Była po stronie Nonnusa, nie było co do tego wątpliwości. Jednak gdzieś w głębi serca czuła zimne tchnienie wiatru i oddech lodowców, i myślała o swoich długich jasnych włosach wmarzniętych w lód.

Środkowe łuki akweduktu już dawno runęły, a cegły zostały wykorzystane do budowy fundamentów domów i stodół, które Garric napotykał przy drodze, od momentu, gdy przystanęli w południe, by nakarmić owce. Filary o cementowych rdzeniach pozostały, niczym starożytni giganci maszerujący przez pola pszenicy.

– Nasi przodkowie ciągnęli rurami wodę aż z rzeki Stroma – powiedział Garric. – Ten akwedukt miał sto kilometrów długości. Możesz to sobie wyobrazić, Liane? Możesz wyobrazić sobie miasto, które potrzebowało aż tyle wody, żeby warto było sprowadzać ją z tak daleka?

– W Erdinie mają akwedukt – powiedziała Liane – ale to dlatego, że tamtejsza woda jest słonawa, a nie dlatego, by jej brakowało. Na południu wyspy wszystkie ciężkie ładunki są przewożone kanałami, na barkach. Tak jest na naszej wyspie – Sandrakkanie.

Stali na końcu pomostu wychodzącego w jezioro Talpin. Owce były już w zagrodzie, a łodzie rybackie, których połów mieli zjeść na obiad bawiący w gospodzie Lakeside Arms podróżni jeszcze nie wróciły, chociaż słońce już rzucało długie cienie na wodzie.

Liane rozejrzała się wokół. Płaski teren i gładka powierzchnia jeziora pozwalały sięgnąć okiem aż po horyzont, do czego Garric nie był przyzwyczajony. Nawet morze było szeregiem wzgórz i dolin, wcale nie mniej realnych z powodu swoich nieustannie zmieniających się kształtów.

– To mi przypomina Erdin – powiedziała – z czasów, gdy dorastałam.

Ilna była w kuchni, Tenoctris spacerowała nad jeziorem, a Cashel siedział przy stadzie – z własnego wyboru, gdyż w tym momencie owce nie wymagały już jego obecności. Benlo poszedł gdzieś, sam, a jego strażnicy ponuro popijali w gospodzie. Garric wolał nie wiedzieć, co zamierzał zrobić kupiec.

Innym razem Garric zapewne towarzyszyłby Tenoctris, wypytyjąc o te starożytne budowle, których wznoszenia mogła być świadkiem, lub z Cashelem, przyjacielsko gwarząc o minionych chwilach i niczym szczególnym. Jednak Liane spojrzała na niego i chociaż nie poprosiła go otwarcie, żeby poszedł z nią na pomost, wyraźnie dała mu to do zrozumienia.

Znajdowali się w miejscu, gdzie mogły ich oglądać dziesiątki par oczu. W Lakeside Arms panował ożywiony ruch, choć w pobliżu Carcosy wielu podróżnych chciało dotrzeć do miasta przed zmrokiem lub tuż po nim. Nikt nie miał czasu przyglądać się stojącym na pomoście młodzieńcowi i pięknej kobiecie, którzy i tak znajdowali się za daleko, by ktoś mógł usłyszeć, o czym mówią.

– Gaj Tappy znajdował się po tej stronie jeziora – powiedziała Liane. W jej głosie słyhać było napięcie. Dłonie zacisnęła na jednym z pali. Pomost nie miał poręczy. – Teraz oprócz cyprysów nie ma tu żadnych drzew. Myślę, że grunt był zbyt podmokły.

– Coś takiego! – rzekł podekscytowany Garric. – Zawsze sądziłem, że Tappa to mit! Ta straszliwa bogini, której dziewicze kapłanki co roku w pierwszą pełnię księżyca składały w ofierze jakiegoś podróżnego, dopóki heros Talamis... hm... nie ukrócił tych praktyk.

– Nie przysięgnę, że Tappa istniała naprawdę – odparła z lekkim uśmiechem Liane. – Tak samo jak Talamis. Nawet jak na półboga jego wyczyny są... nadzwyczajne. Jednakże naprawdę rósł tu jakiś las, w którym oddawano cześć jakiemuś bogu.

Powiadano, że Talamis jednej nocy zapłodnił wszystkie pięćdziesiąt kapłanek, zmieniając krwawy kult Tappy w kult macierzyństwa, który przetrwał aż do upadku Dawnego Królestwa. Historycy z czasów panowania króla Carusa pisali o tym. Nie było powodu by w to wątpić. Jednakże

Garric nigdy nie łączył Tappy i jej świętego gaju z leżącym na wschód od Carcosy jeziorem Talpin.

– Widocznie w ciągu minionego tysiąca lat ten teren stał się znacznie bardziej podmokły – orzekł.

– Cóż, to szmat czasu. Ciekawe, czy Tenoctris wie o tym gaju?

– Mój ojciec wie – powiedziała Liane, stojąc nieruchomo jak posąg i patrząc na jezioro. – Poszedł go szukać.

Odwróciła się i z ponurą miną popatrzyła na Garrica, jakby prowokując go do odpowiedzi. Odchrząknęła.

– Och – rzekł. – Sądzę, że stara świątynia to miejsce, w którym będzie mnóstwo tego, co Tenoctris nazywa „mocami”.

– Masz na myśli miejsce, gdzie składano ofiary z ludzi, tak? – powiedziała wyzywająco Liane.

– Nie – odparł chłodno Garric. – Nadal uważam, że opowieści o ofiarach z ludzi to tylko legenda.

Dwie zimy wcześniej znalazł Gizira płaczącego i krzyczącego w stajni. Tego wieczoru Laya ogłosiła jej zaręczyny z bogatym wdowcem imieniem Hakkardi, którego farma leżała półtora kilometra na północ od wioski. Gizir był pijany i sięgnął po nóż, kiedy niczego nie podejrzewający Garric wszedł do stajni. Teraz Liane mogła wybuchnąć tak samo jak Gizir. Ani wtedy, ani teraz Garric nie obawiał się o swoje bezpieczeństwo, ale nie chciał ranić osoby, którą lubił i której współczuł.

Liane nakryła rękami pal pomostu, a potem oparła głowę na dłoniach i zaczęła szlochać.

Garric obawiał się, że Liane zacznie na niego krzyczeć albo spróbuje wydrapać mu oczy, rozładowując swój gniew – na przykładzie zachowania matki właśnie tego spodziewał się po wszystkich kobietach. Jej łzy zupełnie go zaskoczyły. Odwrócił się, żeby na nią nie patrzeć. Liane wyciągnęła rękę, ujęła i uścisnęła jego dłoń.

– Niechaj wybaczy mi Pasterz, Garricu – szepnęła przez łzy. – Sama podejrzewałam go o to. I nadal sądzą, że właśnie to robi. Szuka miejsca, gdzie składano ofiary, żeby zwiększyć moc swej magii!

Wyprostowała się i odwróciła plecami do niego. Wyjęła z rękawa chusteczkę, którą otarła oczy i nos. Garric nadal spoglądał na łodzie na wodzie. Rybacy zaczęli kierować je do brzegu mocnymi, długimi pociągnięciami wiosł.

– Dochodzę do wniosku, że nie znam mojego ojca – powiedziała Liane zaledwie trochę drżącym głosem. – A kiedyś był cudowny. Najpiękniejszymi chwilami mojego dzieciństwa były te, kiedy słuchałam jak śpiewał mamie i mnie miłosne pieśni, których nauczył się podczas swych podróży po Morzu Wewnętrznym.

Spojrzała na Garrica z wymuszonym uśmiechem, kciukiem i palcem wskazującym podnosząc kąciki ust. Ten gest sprawił, że oboje parsknęli szczerym śmiechem. Potem nieco mniej zgnębnym głosem ciągnęła:

– Nasze prawdziwe rodowe nazwisko to bor-Benliman. Przykro mi, że musiałam cię okłamać.

Garric wzruszył ramionami.

– Wcale nie skłamałaś – rzekł. – Jeśli nie chcesz mówić ludziom, że jesteś szlachetnie urodzona, to twoja sprawa. Moja matka i tak poznała się na tym. Ona... no, przywiązuje do tego wielką wagę. Służyła w pałacu w Carcosie.

Liane kiwnęła głową, lecz najwyraźniej zastanawiała się nad tym, co zamierzała powiedzieć i słuchała go tylko jednym uchem. Ponownie oparła się o słup, spuściła głowę i dodała:

– Wszystko zmieniło się pięć lat temu, kiedy umarła moja mama. Oni tak bardzo się kochali i po jej śmierci on nie...

Popatrzyła na Garrica.

– Ojciec nie pogodził się z tym, że ona nie żyje – podjęła chłodnym tonem. – Wiem, że to głupio brzmi, bo jak można nie przyjąć do wiadomości faktu czyjejś śmierci? Jednak on robi wszystko, żeby ją odzyskać. Zawsze był czarodziejem, lecz dla niego sztuka nie była tak ważna jak mama. Po jej śmierci zajmuje się tylko magią i zaklęciami, jakich przedtem nawet by nie próbował.

Garric ruchem głowy wskazał na przybliżającą ze skrzypieniem dulek łódź.

– Hm – rzekł. – Może powinniśmy wrócić do gospody?

– Przejdziemy się trochę wzdłuż brzegu jeziora – odparła krótko Liane, znów jak szlachcianka zwracająca się do wieśniaka. – Jest wystarczająco jasno.

Razem opuścili przystań. Jej pantofelki z sykiem przesuwwały się po zbielałych od deszczu deskach, po których bezszelestnie stąpały boscie nogi Garrica.

– Byłam w Valles w szkole pani Gudei – powiedziała beznamiętnie Liane. – Nie wiem, co się stało. Uzbrojeni ludzie przyszli do dyrektorki. Zabrali mnie z internatu i zamknęli w klasztorze. Nikt nie chciał mi niczego powiedzieć, tylko to, że nie wolno mi wychodzić, i że nic mi się nie stanie, jeśli będę cicho.

Liane znów zaczęła pociągać nosem. Wytarła go chusteczką. Garric rozejrzał się wokół, lecz było zbyt ciemno, by ktoś mógł z daleka zauważyć, że dziewczyna płacze. Ścieżkę nad jeziorem wybrukowano kamieniami z pobliskiego akweduktu, ale zrobiono to bardzo dawno temu. Niektóre przechyliły się lub zapadły i w wielu miejscach zalała je mętna woda.

– Trzymali mnie tam przez cały tydzień – ciągnęła Liane, nie patrząc pod nogi. – Potem pojawił się ojciec. Nie wyjaśnił mi, co się stało, powiedział tylko, że nie zostało nam już nic oprócz rodzinnego grobowca w Erdinie. Tam spoczywa moja matka. Mówił, że musi tylko załatwić pewną sprawę i wkrótce wszystko będzie jak dawniej. Tylko że teraz nazywa się Benlo or-Willet, a ja mam podróżować z nim, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka. To było osiem miesięcy temu.

Garric włożył jej lewą dłoń w zgięcie swego prawego łokcia i razem zawrócili. Było zbyt ciemno, aby iść dalej. Z niepokojem myślał o tym, że musiałyby tłumaczyć się nie tylko przed Benlo, ale i przed Ilną, gdyby razem z Liane wpadli do jeziora.

– Z początku byliśmy w Valles – mówiła Liane, najwyraźniej nie myśląc o niczym innym prócz tego, co po raz pierwszy komuś opowiadała. – Mieszkaliśmy w różnych gospodach. Ja przeważnie nie wychodziłam z pokoju. Obawiałam się spotkań z koleżankami ze szkoły. Czułam się jak trędowata. Ojciec kręcił się wokół pałaców i grobowców. Potrafił dostać się niemal wszędzie, lecz zawsze w sekrecie, nocą albo w płaszczu z kapturem.

– Sprawia wrażenie bogatego – rzekł Garric. Skręcił w bok, aby ominąć rybaka, który opuszczał port, niosąc na ramionach nosiłki z dwoma koszami ryb. Jakaś kobieta zawołała go z tylnych drzwi gospody.

Liane kiwnęła głową w ciemnościach.

– Ojcu nigdy nie zależało na pieniądzach – powiedziała. – Oczywiście, mieliśmy ich mnóstwo. Od kiedy wrócił i zabrał mnie ze szkoły, zawsze ma przy sobie pas ze złotymi monetami, a w bagażu szkatułkę ze złotem. Sądziłam, że to dlatego wynajął strażników, ale teraz nie jestem już pewna. Nie po tym, co się stało... w waszej gospodzie i zeszłej nocy. Te licha...

– To nie jego robota – rzekł Garric. – Nawet Tenoctris tak mówi.

Nie dodał, bo nie musiał, że Tenoctris wcale nie lubi jej ojca.

– Nie sądzę, że to on odpowiada za ten atak – powiedziała Liane – ale ktoś usiłuje przeszkodzić mojemu ojcu. Ktoś, kto nie cofnie się przed niczym.

Było już zupełnie ciemno. Z kuchennych okien padało światło i lśniło na bruku dziedzińca, gdzie

ludzie z latarniami kończyli całodzienną pracę. Garric nie widział, gdzie stawia nogi. Wiedział, że na drodze do gospody nie ma żadnych przeszkód, ale niczego innego nie był już pewny. Stał, trzymając rękę na dłoni trzymającej go Liane.

– Nagle wynajął statek i popłynęliśmy do Carcosy – powiedziała. – Dla mnie to był koniec świata. W porównaniu z Erdinem i Valles, Carcosa to istna menażeria błaznów w znoszonych strojach i źle wychowanych małp. Byłam taka samotna. Chciałam umrzeć, Garricu. Chciałam umrzeć.

– A potem przybyliście do Barca's Hamlet i było jeszcze gorzej – mruknął Garric. Współczuł jej. Jego życie zmieniło się wystarczająco gwałtownie, aby mógł zrozumieć, co przeżywała.

Liane zaśmiała się.

– Nie – odparła. – Wcale nie. Ponieważ mieszkańcy Barca's Hamlet wcale nie roszcżą sobie pretensji do miana szlachetnie urodzonych. A ponadto niektórzy są całkiem niezłe wykształceni.

Teraz on się roześmiał.

– W Carcosie są prawdziwi uczeni, Liane – rzekł. – Na pewno są.

Stukot drewnianych tac o stoły świadczył o tym, że w gospodzie podawano już wieczerzę. No cóż, jeśli ominie go gulasz, to zje chleb z serem, jak często mu się zdarzało.

Liane pociągnęła nosem.

– Tak myślisz? – powiedziała. A potem dodała: – Twój ojciec jest niezwykłym człowiekiem, Garricu.

– Tak myślisz? – bezwiednie powtórzył jej słowa. – On z pewnością tak nie uważa.

Garric sam nie wiedział, co myśleć. Trudno mu było spojrzeć na Reisego jak na osobę, a nie życiowy fakt, taki jak gospoda czy zimowy sztorm.

– Ja już nie poznaję mojego ojca, Garricu – szepnęła Liane i chociaż ciemność skrywała jej twarz, drżący głos wyraźnie wskazywał, że trzęsły jej się wargi. – To tak, jakby zmieniając nazwisko, stał się inną osobą... Chociaż wiem, że nie o to chodzi. Zmienił się po śmierci mojej matki. Przedtem mogłam ukrywać się w szkole i udawać, że nie wiem, co robi.

– Chyba powinniśmy wrócić do gospody – zmieszał się Garric.

– Pewnie zrobił coś strasznego, skoro stracił wszystko oprócz życia – ciągnęła Liane, nie ruszając się z miejsca, gdy lekko pociągnął ją za rękę. – Zastanawiam się, kto uratował mu życie... i jakiej zażądał za to ceny.

Usłyszeli wołanie lelka, wzmocnione echem odbijającym się od starożytnego, betonowego nabrzeża. Odezwał się dziesięć razy i zamilkł.

– Tak, powinniśmy wracać – rzekła stanowczo Liane. Poszła w kierunku gospody, mocno trzymając się ramienia Garrica.

Patrząc z daleka na Carcosę, Ilna zdumiała się na widok przycupniętych na szczycie urwiska domów. Kiedy podeszli bliżej, zrozumiała, że to nie urwisko, lecz mury starożytnego miasta, zabudowane przez obecnych mieszkańców, którzy nie musieli już przed nikim bronić tej prowincjonalnej miejsciny, jaką stała się Carcosa.

Ilna poczuła, że traci pewność siebie. Myślała o Carcosie jako o znacznie większej Barca's Hamlet – różniącej się tylko wielkością. Tymczasem miasto było równie podobne do wioski, jak człowiek do żaby.

Spoglądając na te wspaniałe mury, Ilna sama czuła się jak żaba.

– Nic nie może się z tobą równać, Carcoso! – zadeklamował głośno Garric. – Nikt dziś nie zdoła wznieść budowli dorównującej świetnością ocalałym fragmentom twych murów, ni odbudować tych, które runęły.

I ze śmiechem dodał:

– Widzisz, Liane? W Carcosie są wykształceni ludzie.

Liane, idąca obok jadącej na koniu Tenoctris, odwróciła się i odkrzyknęła:

– Chcesz powiedzieć, że był tu jeden w zeszłym stuleciu, ale nie zapominaj o tym, że przybył tu jako wygnaniec z Sandrakkanu. Poza tym powiedział też: „Jakim byłabyś cudownym miastem, gdybyś nie miała mieszkańców albo gdyby nie mieli oni takich lepkich palców!”

Oboje zaśmiali się. Ilna miała wrażenie, że jej serce zmienia się w lód.

Nie rozumiała co mówili ani dlaczego ktoś miałby uważać to za zabawne. Mieszkała obok Garrica or-Reise przez całe życie, a tymczasem on żartował sobie z dopiero co poznaną dziewczyną i zupełnie nie zwracał uwagi na Ilnę.

Z powodu ruchu na drodze, stado spędzono na jej prawą stronę. Ilna jeszcze nigdy nie widziała tylu ludzi na raz. Przechodnie, jeźdźcy, czasem powozy – oraz największe i najniebezpieczniejsze, ogromne wozy dostawcze ciągnięte przez zaprzęgi złożone z tuzina mułów lub sześciu koni. Te wozy poruszały się bardzo szybko, a ich okute żelaznymi obręczami koła zmiażdżyłyby wszystko na ich drodze. Niektóre, wracające z miasta, były puste i z turkotem pędziły drogą, nie zważając na nic. Inne wiozły odpady z garbarni lub nieczystości, które miały być rozlane na polach. Wieś to niezła szkoła życia i nikt nie wziąłby Ilny za wydelikacjonę, a mimo to zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby wpaść pod jeden z tych pustych wozów niż wachać ten potworny smród nieczystości.

Jadący na przedzie strażnicy Benlo zapewniali stadu pierwszeństwo na drodze, czego mogliby pozazdrościć inni handlarze. Cashel szedł z tyłu, tworząc równie masywną przeszkodę dla jeźdźców, którzy mogliby próbować w pośpiechu przejechać przez stado. Garric nie pozwalał owcom rozproszyć się i popędzał je w miejscach, gdzie stojące przy drodze, nie remontowane od tysiąca lat domy zawaliły się, częściowo przegradzając drogę.

Garric spojrział na minę Ilny. Natychmiast spoważniał i rzekł:

– W zeszłym stuleciu był taki poeta, Etter bor-Lavarman, kapłan Pasterza z Eridnu. Miał w domu kłopoty...

– Kłopoty w związku z pewną dwórką – wtrąciła Liane. – Chociaż córka Rothi nie ujęła tego w takich słowach.

Zachichotała. Na wargi Garrica powrócił uśmiech, a do serca Ilny chłód.

– W każdym razie – ciągnął Garric – Etter na kilka lat osiadł w Carcosie. Urzekło go to miasto,

a przynajmniej jego przeszłość. Ludzie nie wywarli na nim tak dobrego wrażenia. Cytowaliśmy z Liane fragmenty wierszy Ettera.

– Rozumiem – powiedziała Ilna, przekładając z prawego ramienia na lewe kij z zawieszonym na nim węzełkiem.

Rozumiała, pewnie. Nie mogła równać się z tą wykształconą i bogatą dziewczyną, tak samo jak nie mogła porównywać Barca's Hamlet z Carcosą. Jednak Ilna nigdy się nie poddawała i nie zamierzała robić tego teraz.

U podnóża wysokich murów był zajazd z zagrodami dla zwierząt i dużym ogrodzonym placem dla koni pociągowych. W jednej zagrodzie zamknięto stado bydła, w drugiej znajdowało się kilkadziesiąt krótkonogich owiec o białym runie – dla Ilny wyglądających równie obco, jakby miały po dwie głowy.

Benlo obrócił się w siodle i wskazał palcem.

– Wprowadź je do zagrody, Garricu – zawołał. – Ja wynajmę w gospodzie tutejszego pastucha.

Popędził swą gniadą kłacz ku gospodzie, przed którą stał już co najmniej tuzin uwiązanych koni. Benlo nie fatygował się czymś takim; zsiadł z wierzchowca i pozwolił, by zajął się tym jeden ze strażników, podczas gdy on z trzema innymi weszli do nędznego, parterowego budynku.

Garric popędził przodownika stada, siwego tryka z drewnianą grzechotką na szyi. Ilna podbiegła i posławszy chłodne spojrzenie Liane, podniosła trzy belki zamykające bramę zagrody. *Poezja to nie wszystko, czego potrzeba żonie wieśniaka, bogata dziewczyno.*

Garric podziękował Ilnie uśmiechem. Zaczął głośno liczyć wchodzące do zagrody owce, nie zaznaczając ich liczby tak, jak zrobiłby to idący z tyłu stada Cashel.

Żona wieśniaka... tylko czy Garric zostanie na wsi? Jego miejsce nie było w Barca's Hamlet, a Ilna nie wyobrażała sobie, że mogłaby żyć gdzieś indziej.

Jedynymi gośćmi w gospodzie mogli być ludzie, którzy dotarli tu w czasie burzy i nie odważyli się po ciemku zapuszczać w wąskie uliczki miasta. Jednakże karczmarz z pewnością znakomicie zarabiał tu na sprzedaży piwa i jabłeczniaka, szczególnie w takie upalne słoneczne dni jak ten.

A także wina, pomyślała Ilna. Przypomniała sobie żołnierzy, którzy dopominali się o wino. Oni byli z Valles, jak ta ładna córka handlarza...

Benlo niemal natychmiast wyszedł z gospody w towarzystwie mizernie wyglądającego, najwyżej dwudziestoletniego młodzieńca w obszernej żółtej kamizelce i nieco jaśniejszej opasce na głowie. Młodzieniec miał rudawy wąsik, a na brodzie kłaczki, które pewnie uważał z brodę. Nisko skłonił się kupcowi, a potem pomaszerował w kierunku zagrody dla owiec. Przystanął obok Ilny i kciukiem wskazał na stado.

– Chude, no nie? – rzekł. – No cóż, nic dziwnego, skoro przyszły nie wiadomo skąd.

Ilna miała ochotę odwrócić się do niego plecami, lecz zamiast tego zapytała:

– A co jest nie tak z tymi owcami? Poza tym, że mają za sobą pięć dni drogi.

Młodzian prychnął.

– Same nogi i nic mięsa, to po pierwsze – rzekł. – I spójrz na tę wełnę! Każda w innym kolorze. Jak ją ufarbować, pytam? Takie śmieci nadają się tylko do wypychania poduszek!

Jego tunika była ciemnozielona, ale w paru miejscach wyblakła i zszarzała. Zapewne był to wynik kiepskiego gręplowania, lecz Ilna i tak nigdy nie wierzyła w sztuczne barwniki. Nieznajomy miał nie tylko kamizelkę i opaskę w dwóch odcieniach żółci, ale również skórzane buty w dwóch różnych kolorach, co nadawało mu błazeński wygląd.

– No, czas żebym zabrał się za te ogryzki – rzekł młodzian z ostentacyjnym ziewnięciem. – Naprawdę, myślę, że owce są zwykle mądrzejsze od tych, którzy je przyprowadzają.

Obrócił się do Ilny, jakby dopiero teraz ją dostrzegł.

– Wiesz co – powiedział – całkiem niczego z ciebie dziewczka. Jeśli chcesz obejrzeć miasto w towarzystwie prawdziwego mężczyzny...

Kciukiem i wskazującym palcem ujął ją za brodę i obrócił, obejrzał profil i dokończył:

– ... może mógłbym znaleźć dla ciebie chwilkę czasu.

Ilna uśmiechnęła się miło.

– Skręcałam karki kurczakom, które podobały mi się bardziej od ciebie, szurku – powiedziała i odtrąciła jego rękę, czemu towarzyszył trzask podobny do odgłosu pękającej gałęzi.

– Co takiego? – wykrztusił młodzian i zamierzył się do ciosu.

Garric przyłożył mu do gardła koniec łuku.

– Dam ci radę, kolego – powiedział głosem, który mimo gwaru można było usłyszeć w gospodzie. – Panna Ilna nie potrzebuje pomocy przyjaciela i brata, żeby poradzić sobie z takim robakiem jak ty, ale mimo to jesteśmy przy niej, rozumiesz?

Cashel położył dłoń na ramieniu Ilny. W drugiej ręce trzymał pałkę.

Garric uśmiechał się – Cashel nie. Trudno powiedzieć, który z nich bardziej przeraził mieszcucha.

– Bez urazy, panowie – wykrztusił.

– Jasne – rzekł Garric. Ostatnia owca wchodziła do zagrody. Poklepał ją po boku i głośno zawołał: – Pięćdziesiąt!

Garric podał Ilnie ramię i razem poszli do Tenoctris i Liane, Cashel zaś zamykał bramę.

– Te wrota były kiedyś pomalowane na czerwono – oznajmiła Mellie z ramienia Cashela. – Wtedy, kiedy były wrotami. A w tych wszystkich niszach stały posągi króla Itaku i jego rodziny.

Cashel spojrział w górę. Monumentalna potrójna brama była wykuta z rdzawego piaskowca, niepodobnego do skał spotykanych na wschodnim wybrzeżu Haft. Cashel podejrzewał, że ten kamień występuje gdzieś w tej okolicy, bo nawet starożytni nie mogliby przewieźć tylu ogromnych głazów z innej wyspy...

A może? Czyżby to miasto wzniesiono za pomocą czarów?

– Czy ta skała jest stąd? – zapytał. Jego towarzysze byli zbyt oszołomieni widokiem miasta, do którego weszli w ślad za Benlo i jego strażnikami, aby przejmować się tym, że Cashel mówi do siebie – jeśli w ogóle to zauważyli.

– Przeważnie – odparła spokojnie Mellie. Kątem oka widział ją siedzącą ze skrzyżowanymi nogami i rozczesującą ognisto rude włosy ostrym końcem jakiegoś nasionka. – Najlepszy marmur na budulec pochodził ze wzgórz na południu. Przewozili go barkami po rzece Stroma i wzdłuż brzegu, a potem wyładowywali w porcie.

W bramie nie było już wrót, tak samo jak większości rzeźb zdobiących niegdyś tę ogromną budowlę. Dwie kolumny z żółtobrazowego kamienia stały po bokach niszy na trzeciej kondygnacji, a pergolę na szczycie zdobił posąg kobiety w rozwianej szacie. Być może miała uosabiać Panią, lecz tysiąc lat zupełnie zatarało jej rysy.

Ulicami przepływały tłumy ubranych w stroje z farbowanej wełny ludzi, którzy gadali nieustannie, głośno i jazgotliwie. Cashel miał wrażenie, że znalazł się pod drzewem, na którym przysiadło stado wron, jednocześnie zgiełkliwie kraczących.

Co kilka kroków ktoś ciągnął go za rękaw tuniki i składał mu jakąś propozycję. Cashel ignorował je i tylko czasem przekładał pałkę z jednej ręki do drugiej. Przekupnie i naciągacze pospiesznie odchodzili i potem dali spokój jego towarzyszom.

Garric szedł obok jadącej na koniu Tenoctris, tuż za Benlo. Ilna i Liane podążały za nimi. Wyniośle spoglądająca Liane zdecydowanie nie była interesującym obiektem dla tych mieszkańców miasta, którzy żerowali na prostaczkach ze wsi, natomiast Ilna wyglądała jak wściekła kocica broniąca swoich małych. Cashel wiedział, że śmiałek, który spróbuje uszczypnąć jego siostrę, będzie miał szczęście, jeśli nie straci ręki, a miejscowi podrywacze najwyraźniej też zdawali sobie z tego sprawę.

Cashel szedł sam, zamykając pochód. Ulice były wąskie, a on zajmował sporo miejsca. Zapłatę w srebrze schował do zamszowego woreczka, który zawiesił sobie na szyi – na grubym rzemieniu. Nawet gdyby jakiś złodziej zdołał przeciąć pasek, sakiewka wpadłaby za tunikę Cashela i zatrzymała się na pasie. Potrzeba by czegoś więcej niż tylko zręcznych palców, żeby go obrabować, a każdy łotrzyk spoglądający na tego wieśniaka natychmiast porzucał myśl o użyciu siły.

Kiedy dotrą do gospody Benlo i kupiec zapłacą im za ostatnie dni, Cashel naprawdę zostanie sam – na zawsze. Odwrócił się i uśmiechnął w kierunku swego ramienia.

– Tylko z tobą – powiedział na głos.

– Tylko ze mną – potwierdziła miło, jakby wiedziała, o czym myślał.

Machnęła ręką w kierunku stoku wzgórza po prawej. W tym miejscu wzdłuż ulicy biegł wysoki ceglany mur, którego monotonię przerywały rozmieszczone w regularnych odstępach słupki z cegieł.

Za nim Cashel dostrzegł wznoszące się na zboczu wypielęgnowane drzewa i pawilony o zdobionych dachach.

– Kiedyś były tu pałace króla Wysp oraz jego ministrów – powiedziała. – Teraz budynki zburzono i jakiś nuworysz zmienił ten teren w ogród. Ludzie zmieniają się równie szybko jak chmury. Mellie zachichotała.

– Oczywiście, przed królami – powiedziała – kiedy Carcosa była jeszcze rybacką wioską, całe zbocze pagórka porastał czarny orzech. Przychodziłam tutaj drażnić się z wiewiórkami. Ciągnęłam je za ogony i chowałam się, zanim zdążyły się odwrócić.

Ze szczytu pagórka zbiegała zygzakiem wyłożona kamieniami ścieżka. Cashel zastanawiał się, ile wieków liczy sobie jego towarzysza.

– Tak, widzę – powiedział. – Na szczycie wyrósł wielki czarny orzech, którego owoce staczały się w dół, aż opanowały całe wzgórze. Wydusiły wszystkie inne rośliny, jak to zawsze robią orzechy. Niektórzy ludzie też tacy są.

Między dwoma otwartymi tawernami znajdowała się kuźnia. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanego żelaza i siarkowa woń dymu. Czeladnik deptał pedały napędzające miechy, a ulica rozbrzmiewała dźwiękiem miarowych uderzeń. Czekał na podkucie konie niemal zupełnie tarasowały ulicę, a woźnica przewożący trzy duże beczki piwa głośno groził, że przejedzie po zagradzających mu drogę zwierzętach, jeśli właściciel ich nie zabierze.

Strażnicy Benlo przez chwilę przytrzymali wierzchowce przy ścianie, przepuszczając orszak pracodawcy. Cashel bez cienia sympatii spojrzął na konie. Zawsze uważał, że są zbyt płochliwe, a ponadto potrzebują kosztownego owsa jako paszy, podczas gdy muły zadowolają się trawą i tańszym obrokiem. Oczywiście, konie były szybsze, lecz szybkość nie była zaletą, którą on najbardziej cenił.

– Wiesz co... – zaczął. – Orzech to niezłe drewno, przyznaję. Ja jednak wolę dąb.

Mellie zaśmiała się tak głośno, że Cashel podniósł rękę do ramienia w obawie, że może z niego spaść, zanosząc się tym perlistym chichotem.

– O co chodzi? – spytał, usiłując ukryć urazę. – Nie lubisz dębów?

Duszka wstała i pocieszająco poklepała go po płatkach ucha.

– Bardzo lubię dęby, Cashelu – powiedziała. – Śmiałam się z tego, że uważałeś, że musisz mówić mi o tym, że ty je lubisz.

Uliczka, którą podążali, doprowadziła ich do czegoś, co Cashel w myślach nazwał „placem” – chociaż nie był to plac i był ogromny, zapewne pomieściłby wszystkie budynki i podwórka Barca’s Hamlet razem wzięte. Nie był równy: w paru miejscach z ziemi sterczały kawałki gruzu i kamieni – pozostałości Dawnego Królestwa. Pomimo to było tu dość przestrzeni, więc po raz pierwszy od kiedy weszli do Carcosy, nie musieli wędrować gęsiego.

Garric obrócił się i powiedział coś do Liane, a ta na pół prosząco, a na pół pytająco zwróciła się do ojca. Cała grupka przystanęła obok głazu, który kiedyś był cokołem z drobnoziarnistego piaskowca. Teraz miał odłamany narożnik, a ozdobiący go stylizowany motyw winorośli był prawie zupełnie zatarty.

Garric z lekkim zdumieniem spoglądał na plac.

– One wszystkie są nowe – rzekł ze zdumieniem.

Cashelowi okoliczne budynki nie wydawały się nowe, lecz nigdy takich nie widział – nawet podczas tej wędrowki krętymi ulicami Carcosy. Przeważnie były piętrowe. Żaden z nich nie miał okien na parterze. Nad balustradami sterczały zielone pędy, wskazujące na to, że na dachach są ogrody. Frontowe drzwi były solidne i osadzone w wąskich framugach. Przed każdym domem stali

umundurowani strażnicy, krępi mężczyźni w półpancerzach, bardzo podobni do tych, którzy strzegli Benlo.

– Czy one są nowe? – mruknął Cashel do Mellie. Nie widział niczego, co nie wyglądałoby mu na równie stare jak gospoda Reisego.

Duszka stanęła na palcach jednej nogi, a drugą zadarła nad głowę. Cashel uznał, że takie akrobacje były u Mellie odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

– Nie było ich tutaj, kiedy ostatnio odwiedziłam Carcosę – powiedziała. – Jednak od tego czasu minęło kilka wieków. A może nawet więcej.

Benlo niecierpliwie cmoknął na klacz. Cała grupka ruszyła przez plac, nadal trzymając się blisko siebie i rozmawiając. Liane wskazała na najbliższy budynek.

– To domy szlachetnie urodzonych – powiedziała. – W Carcosie były zamieszki, jeszcze gorsze niż w Valles. Budowali domy tak, żeby w razie zamieszek po środowej ofierze tłum nie mógł włamać się do środka i splądrować wnętrza.

Benlo wyprowadził ich z placu jedną z tuzina lub więcej odchodzących na boki ulic. Ta była szerokim bulwarem z wąskim trawnikiem na środku. Po obu jej stronach ciągnęły się sklepy bławatników i krawców. Cashel zauważył, że zainteresowanie siostry rośnie tak gwałtownie, jak u lisa, który zwietrzył łup.

– Po ofierze? – powtórzył Garric. – Dlaczego wtedy?

– W Carcosie arystokracja i jej poplecznicy przeważnie oddają cześć Pani – odparła Liane – podczas gdy robotnicy wielbią Pasterza. Tak samo jest w Valles, natomiast w Erdinie na odwrót. Jeśli ktoś chce wzniecić niepokoje, wystarczy podburzyć tłum zbierający się w świątyniach.

– Czy to prawda? – zapytał Cashel Mellie. Garric i Ilna wyglądali na równie zaskoczonych, jak on.

– Och, tak – odparła i wykonała piruet. – Czasem walczą ze sobą, ale przeważnie tłum idzie rozbijając wszystko w dzielnicę zamieszkaną przez przeciwników. To bardzo interesujące widowisko.

– To jest złe! – rzekł Cashel tak głośno, że wszyscy go usłyszeli. Garric i Ilna pokiwali głowami, a Liane zrobiła ponurą minę. – Walczyć w imię Pani i Pasterza!

– To dowód na to, że moce stają się znacznie silniejsze, tak jak za moich czasów – powiedziała Tenoctris. – Oczywiście, nie ma to nic wspólnego z bogami czy religią. Po prostu napięcie rośnie tak bardzo, że nie można utrzymać stanu równowagi.

– To jest złe! – powtórzył z przekonaniem Cashel.

– Nonnus z pewnością przyznałby ci rację – powiedziała starszka, spoglądając na Cashela. – I oceniając tę kwestię w ludzkich kategoriach, masz całkowitą rację.

Uśmiechnęła się ze smutkiem i dodała:

– Niestety nie wierzę, by kosmos kierował się ludzkimi kryteriami, Cashelu.

Podążając przez Carcosę, Garric zauważył, że minęli kilka zajazdów obsługujących przybyszów ze wschodniego wybrzeża Haft. „Czerwony Muł” znajdował się najbliżej północnej granicy miasta i większość bawiących w nim gości będzie zapewne pochodziła z równin na północnym krańcu wyspy. Tamtejsi ludzie hodowali więcej bydła niż owiec i w porównaniu z mieszkańcami Barca’s Hamlet byli zwyczajnymi prostakami. Godłem gospody był pomalowany na czerwono czerep muła zatknięty na tyczce. Z rogów złuszczyła się większość farby. Garric usiłował sobie wyobrazić ojca wieszającego baranią czaszkę nad drzwiami ich gospody i na samą myśl otrząsnął się z niesmakiem.

Carcosa wcale nie była taka, jakiej oczekiwał. W przeciwieństwie do przyjaciół z wioski, którzy odwiedzili to miasto, Garric znalazł je znacznie mniejszym niż sobie wyobrażał. We snach jechał przez metropolię pełną marmurów i fontann, łuków triumfalnych i wspartych na licznych kolumnach budynków, z których władze zarządzały wszystkimi wyspami.

Garric spoglądał na to oczami króla Carusa, znacznie krytyczniej niż kiedykolwiek od czasu tamtej nocy, kiedy władca wniknął do snów młodzieńca i przepędził koszmary. Od kiedy Garric zawiesił sobie na szyi medalion, król coraz bardziej zbliżał się do jego rzeczywistości. Czasem Garricowi wydawało się, że nawet na jawie słyszy głos króla Carusa, a wspomnienia monarchy nakładały się na jego własne.

Budynki dzisiejszej Carcosy wyrosły jak grzyby na pniu złamanego wiązu, pokrywając powierzchnię, lecz nie dorównując gęstością ani wspaniałości oryginałowi. Miasto było tylko barbarzyńską aglomeracją, doskonale pasującą do prowincjonalnego otoczenia i nie pretendującą do wielkości.

Jednak to, co niegdyś było wielkie, znów mogło takim się stać.

Benlo zsiadł z konia przed gospodą. Sługa, który wziął od niego wodze klaczy, najwyraźniej dobrze go znał. Widocznie handlarz bywał w tej karczmie podczas poprzednich pobytów w Carcosie.

Gospoda była duża i dobrze utrzymana, ale Garric nie zatrzymałby się w niej. Dach miała pokryty terakotowymi dachówkami – zapewne strzecha nie była uważana w mieście za praktyczne pokrycie. Ani to, ani ośla czaszka nie powinny były zniechęcić Garrica do tego zajazdu, a mimo to czuł się tu nieswojo.

Spojrzał na Tenoctris, zamierzając powiedzieć jej o tym, ale zauważył, że staruszka bacznie przygląda się nie karczmie, lecz murowi po drugiej stronie ulicy.

– Co to jest? – zapytał Garric. Stojąc na ulicy, widział tylko kamienne dachy budyneczków za tym ogrodzeniem, natomiast Tenoctris z wysokości siodła miała lepszy widok.

– To cmentarz – odparła. – Bardzo stary cmentarz. Był już stary za moich czasów, chociaż niektóre grobowce nadal są używane.

Niezgrabnie zsiadła z konia, używając ramienia Garrica jako podpórki, a jego splecionych dłoni jako stopnia. Konna jazda była lepsza od pieszej wędrówki, lecz Tenoctris nie kultywowała żadnej z tych umiejętności.

Sługa odprowadził klacz do stajni na tyłach. Benlo zmierzał w kierunku grupki z Barca’s Hamlet. Na twarzy miał szeroki uśmiech, zdaniem Garrica w najlepszym razie wymuszony, a może nieszczerzy.

– No cóż, chłopcy – powiedział kupiec. – Wszyscy możemy zatrzymać się tu przez kilka dni.

Ruchem głowy wskazał Tenoctris, a potem i na Innę. Uśmiech na jego ustach lekko przygaś.

– Kobiety także – rzekł. – Obiecałem, że po dotarciu do miasta... zbiorę informacje, więc będzie

uczciwie, jeśli zostaniecie tu na mój koszt.

Garric otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedziła go Tenoctris.

– Dziękuję za propozycję, ale chyba będę zmuszona ją odrzucić. Nie podoba mi się sąsiedztwo.

Głową z mocno upiętym siwym kokiem skinęła w kierunku cmentarza. Twarz Benlo pociemniała z gniewu.

– Czyżbyś była jedną z tych starych wariatek, które obawiają się śmierci? – rzekł. – Lepiej oswoj się z tą myślą, pani. Wkrótce po ciebie przyjdzie!

– Nie obawiam się śmierci – odparła z prostotą Tenoctris. – Boję się tylko o żywych.

Skłoniła się i cofnęła, czekając na decyzje innych.

– Panie Benlo – rzekł Cashel, opierając o ziemię jeden koniec pałki – jeśli zapłaci mi pan za ostatni dzień, ja również odejdę.

Wyjął spod tuniki sakiewkę i przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. Tenoctris zmrużyła oczy, a potem zmarszczyła brwi, patrząc na rosnącego młodzieńca.

– Tak, w porządku – rzekł Benlo. Był lekko zirytowany odmową, chociaż zupełnie nie obchodziło go, co zrobi Cashel, dopóki nie miało to wpływu na poczynania Garrica. – Rald... – Dowódca straży wyjął sakiewkę ze srebrem i miedziakami. – Zapłać mu.

– Co do mnie – rzuciła Ilna tonem, jaki u kogoś innego mógł świadczyć o gniewie, ale Garric znał ją dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że był to jej normalny sposób bycia – nic nie jesteśmy sobie winni, a ja nie potrzebuję jałmużny. Sama wybieram sobie miejsce na nocleg.

Teraz wszyscy spojrzeli na Garrica.

– Panie – rzekł do handlarza – dziękuję ci, ale pójdę z moimi przyjaciółmi. Ja...

– Nie możesz przed tym uciec, chłopcze – powiedział Benlo. Liane poczerwieniała. Obrażliwe były tylko słowa, ale i ton, jakim przemawiał do Garrica, jakby miał przed sobą nieposłuszne zwierzę, a nie człowieka mającego prawo do własnego zdania. – Nie obchodzi mnie jak wielkim jesteś tchórzem. Tylko ja mogę zapewnić ci bezpieczeństwo!

Garric ujrzał tę scenę dwukrotnie: swoimi oczami i oczyma kogoś innego, w których wszystko przybrało czerwoną, pulsującą barwę. Stał nieruchomo obawiając się tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby się poruszył.

– Bardzo mi przykro, że uważasz mnie za tchórze, panie – rzekł. Głos lekko mu drżał, lecz przemawiał przez niego Garric or-Reise, a nie postać, której gniew obryzgałby posoką sufit gospody.

Liane stanęła między Garricem a ojcem. Przechwyciła spojrzenie Garrica. Ten zdusił w sobie gniew, aż zemdliło go od powstrzymywanych emocji. Zbierało mu się na mdłości i nie był pewny, czy utrzyma się na nogach. Odwrócił się plecami, mocno ucisnął palcami skronie i znów się obrócił.

Cashel i Tenoctris patrzyli na niego z niepokojem, lecz Ilna nie odrywała oczu od kupca. W rękach trzymała sznur, którym jeszcze przed chwilą była owinięta w pasie i najwyraźniej mierzyła odległość dzielącą ją od szyi Benlo.

– Tak się składa – podjął Garric, nie zważając na ściskanie w gardle – że nie mam ochoty tutaj zostać. Nie dlatego, bym obawiał się umarłych, panie Benlo. Nie boję się też żywych – dorzucił drżącym głosem – skoro o tym mowa.

Ponownie ucisnął palcami skronie, usiłując opanować nowy przyływ wściekłości. Otworzył oczy. Nienawidził tego, co go opętało, lecz w oczach strażników Benlo był mężczyzną, a nie chłopcem. Widział, że obawiali się, iż nic nie zdoła uratować ich pracodawcy jeśli on, ten niebezpieczny Garric postanowi go zabić.

Sam kupiec nie pojmował, co mu grozi, ale jego córka rozumiała to doskonale.

– Garricu... – powiedziała.

– Tak – rzekł Garric, mówiąc do siebie jak do obcej osoby, a potem znów odzyskując panowanie nad swoim ciałem. Atak minął. – Tak.

Napotkał spojrzenie Benlo.

– Panie – rzekł. – Odwiedzę cię ponownie, kiedy znajdę odpowiadającą mi kwaterę. Na pewno zobaczymy się, zanim opuszczę Carcosę. Do widzenia.

I odszedł, nie zmierając w żadnym konkretnym kierunku, tylko przed siebie. Przyjaciele ruszyli za nim. Tenoctris musiała truchtać, żeby dotrzymać mu kroku, aż Garric zauważył to, zmieszał się i zwolnił.

Miał wrażenie, że kątem oka zauważył, iż Liane chciała ruszyć za nimi. Ojciec przytrzymał ją za rękę.

– Garricu? – mruknął Cashel, gdy minęli pierwszy zakręt.

Garric rozejrzał się wokół i z lekkim rozbawieniem stwierdził, że wie, gdzie się znaleźli. Te budynki znacznie różniły się od porośniętych drzewami stosów gruzu, lecz ogromne kolumny świątyni Jedności Wysp nadal stały, chociaż dach i większość belkowania runęły wieki temu. Port znajdował się kilometr na południe, a letni pałac... ciekawe jak teraz wygląda? – kilometr na północ przy tym samym bulwarze.

– Przepraszam, że tak się tam zachowałem – mruknął Garric.

– Ha! – prychnęła Ilna. – Za co przepraszasz?

– Garricu – powtórzył Cashel. – I ty też, Ilna. Byliście dla mnie dobrzy i będzie mi was brak, ale teraz odchodzę.

Odwrócił się. Garric złapał go za ramię.

– Dokąd chcesz iść?

Cashel pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł. – Garricu, odszedłbym gdy tylko mi zapłacił, ale nie chciałem, by wyszło na to, że was opuściłem. Nie potrzebowałeś mojej pomocy, bo widziałem jak walczyłeś z lichami, ale nie chciałem, by inni źle mnie zrozumieli.

Opuścił rękę, nie wrywając się, ale i tak odsuwając się od Garrica. Ten wiedział, że jego przyjaciel należy do tych nielicznych ludzi, którzy nie widzą sensu dyskutować, jeśli to i tak niczego nie zmieni.

A najwyraźniej żadne argumenty nie mogły skłonić Cashela or-Kenseta do rezygnacji z powziętego zamiaru.

– Dasz sobie radę? – zapytała ostro Ilna.

Cashel posłał jej szeroki uśmiech.

– Tak myślę – rzekł. Zmarszczył brwi. – Och – dodał. – Mam pieniądze. Ile chcesz? Wszystkie?

Ilna pokręciła głową.

– Ja też dam sobie radę, bracie – powiedziała. – Ja... Cóż, będzie mi brakowało obowiązku opieki nad tobą.

Odwróciła się i podniosła dłoń do twarzy. Garric przełknął ślinę i uściśnął Cashela. Poczł się jak winorośl oplatająca dąb.

– Powodzenia, przyjacielu – rzekł. – Będę za tobą tęsknił.

Cashel uśmiechnął się, kiwnął głową i odszedł. Koniec jego pałki był widoczny jeszcze długo po tym, jak jego potężna postać skryła się w tłumie.

– Raphik, kupiec z Valles, który kupuje moje tkaniny – powiedziała cicho Ilna – wspominał, że w Carcosie zatrzymuje się w tawernie „Odpoczynek Kapitana”, w pobliżu portu. Większość gości to oficerowie ze statków. Raphik mówił, że jest tam cicho, czysto i niedrogo.

Uśmiechnęła się, jak na nią niezwykle łagodnie.

– Nawiasem mówiąc, porównywał ją z gospodą twojego ojca.

Garric nie zareagował. Usiłował oswoić się z tym wszystkim, co zaszło w ciągu kilku ostatnich minut. Stracił Cashela, chociaż jego wielki przyjaciel po prostu zrobił to, co zapowiadał jeszcze w Barca's Hamlet. O mało nie wyszedł z siebie i nie wpadł w morderczy szał... To było jeszcze gorsze.

Uśmiech znikł z twarzy Ilny, gdy Garric nie zwrócił uwagi na jej wysiłki.

– Oczywiście – dodała z lodowatą nonszalancją – może już postanowiłeś wrócić do „Czerwonego Muła” i zatrzymać się tam razem z nowymi przyjaciółmi.

– Nie – odparł Garric, wracając do rzeczywistości. – Przepraszam, Ilno, ja po prostu... Wiele się wydarzyło. Do portu idzie się tędy. – Wskazał palcem. – Przynajmniej tak mi się zdaje.

Ruszył niespiesznym krokiem, by Tenoctris bez trudu mogła za nim nadążyć. Uliczny ruch w tym miejscu nie był tak ożywiony jak w pobliżu placu, lecz Garric nieznacznie wysunął się naprzód, by każdy nieuważny przechodzień wpadł najpierw na niego.

– Sądzę, że w tawernie uda mi się odpracować nocleg tak samo jak w drodze – powiedziała Ilna znacznie spokojniejszym tonem. – Może jutro spróbuję sprzedać mój materiał.

– Pani Tenoctris? – spytał Garric. – Czy to z powodu lich postanowiłaś trzymać się z daleka od cmentarza?

Tę część ulicy zajmowały sklepy z artykułami żelaznymi: garnki i kotły z brązu, miedzi i białej cyny, będącej ubogą krewną srebra. Widok tak wielu metalowych przedmiotów zgromadzonych w jednym miejscu zaszokował Garrica. We wiosce większość naczyń kuchennych była zrobiona z drzewa lub żeliwa, natomiast metal używany był głównie do naprawiania drewnianych tac.

– To nie obecność szkieletów powoduje powstawanie lich – odparła Tenoctris – lecz samo morze. Nie wierzę, by licho zdołało dotrzeć do tak oddalonej od wody gospody, a tym bardziej, aby mogło zostać tam stworzone.

Odchrząknęła uświadomiwszy sobie, że wygłasza wykład, zamiast odpowiedzieć jedynie na jego pytanie.

– Garricu – powiedziała – bardziej niepokoją mnie zaklęcia, których Benlo na pewno użyje, aby dowiedzieć się, kto chce mu przeszkodzić. W tych starożytnych grobowcach skupia się ogromna moc, ale nie jest to jedna czysta siła. Jej pasma są posplatane tak, że nie jestem ich w stanie rozdzielić, a Benlo nawet tego nie zauważy. Obawiam się, że uczyni coś bardzo niebezpiecznego, lecz nie jestem w stanie przewidzieć, co też to będzie.

Garric pomyślał o Liane. W myślach ułożył pytanie, ale nie wypowiedział go na głos. Zachowanie Ilny zaczęło go niepokoić, a przecież nie mógł zabrać ze sobą dziewczyny, która nawet nie poprosiła go o pomoc.

– Czy nie powinniśmy go ostrzec? – zapytał.

– Nie posłuchałby – powiedziała Tenoctris. – A Benlo jest niezwykle potężny, jak wiesz. Bardzo chciałabym poznać odpowiedź, jeśli zdoła ją uzyskać. Siła działająca przeciwko Benlo niemal na pewno jest skierowana również przeciwko tobie, Garricu, a także przeciwko wszystkiemu, co uznalibyś za „dobro”.

– Myślisz, że Benlo przez te jego magiczne sztuczki może zaprzedać się złu? – spytał Garric.

Sprzedawca z piekarni na rogu zastąpił mu drogę. Zaskoczony Garric uprzejmie przystanął. W Barca's Hamlet nikt nie byłby tak zuchwały. Ilna pomaszerowała prosto na intruza, celując mu prosto w twarz drugim końcem kija, na którym niosła węzełek. Krzyknął i odskoczył.

– To nie takie proste, Garricu – powiedziała z westchnieniem Tenoctris. – Nie tak proste jak

dobro i zło, ani jedno właściwe z dwóch rozwiązań. Pomyśl jak skomplikowana jest żywa istota. Czy jest choć jedna ludzka istota, którą w pełni rozumiesz?

Garric pomyślał o Ilnie, Cashelu... i o sobie.

– Nie – powiedział. – Na pewno nie.

Tenoctris kiwnęła głową.

– Kiedy ktoś umiera i zostaje pochowany, moce wypełniają przestrzeń jego duszy – czy jakimkolwiek słowem opiszesz tę część człowieka, która nie jest ciałem... Przestrzeń, którą dotychczas zajmowała jego dusza. Tak jak kwarc zastępuje drewno zwalonego drzewa i zmienia go w agat – inny pod każdym względem, ale nadal podobny do pnia drzewa.

– Naprawdę? – spytał Garric. – Drzewa zamieniają się w kamień?

– Nigdy nie umiałam trzymać się tematu, kiedy próbowałam coś wyjaśnić – rzekła Tenoctris z przepaszającym uśmiechem. – To jeden z powodów, dlaczego nigdy niczego nie udawało mi się wytłumaczyć.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

– Innym powodem jest to, że niewiele pojmuję... Co i tak jest lepsze niż gdybym uważała, tak jak Benlo, że wszystko rozumiem.

Przyłożyła palec do ust.

– Benlo postrzega te starożytne grobowce jako splot ogromnej mocy, którym też są. Tylko że nie dostrzega, iż każde z tych pasm, które on uznaje za jednorodne, w istocie jest tysiącem splecionych ze sobą włókien, a wykorzystanie niektórych z nich może wywołać konsekwencje, jakich nawet jego moc nie będzie w stanie opanować.

Ilna pokiwała głową, ze zrozumieniem obserwując Tenoctris. Garric pomyślał o trosce, z jaką Ilna wybierała wątek, zanim zaczęła tkać, o niuansach wyboru właściwych kolorów przed rozpoczęciem pracy. No tak, ona mogła to zrozumieć.

– Twój przyjaciel Cashel wiedział, że powinien unikać tamtej gospody – ciągnęła Tenoctris. – Nie musiałam mu tego mówić. Sądzę, że wyczuł obecność mocy i wolał ich unikać, ponieważ nie chciał wykorzystywać daru, jaki bezsprzecznie posiada. Chociaż w pierwszej chwili pomyślałam, że może kryć się za tym coś więcej.

– Daru? – zdziwił się Garric.

– Tak – potwierdziła Tenoctris. – Zdziwiłam się, że nawet Benlo tego nie zauważył, ale talent Benlo jest zupełnie innego rodzaju. Ponadto Benlo to ignorant.

Garric kątem oka zerknął na Ilnę. Nie odezwała się.

– Sądzę, że Cashel i tak by z nami nie został – powiedział głośno Garric. – Naprawdę zmartwił się tym, że Sharina opuściła wioskę. Powiedział mi, że też ruszy w świat. Jednak nie uwierzyłem mu, dopóki tego nie zrobił.

Potrząsnął głową, usiłując zrozumieć tę zupełnie zagadkową dla niego sytuację.

– Nie mogę tego pojąć... Chcę powiedzieć, że Sharina jest wspaniała, pewnie. Tylko, dlaczego ktoś miałby tak przeżywać wyjazd jakiejś dziewczyny? Nie rozumiem.

– Pewnie – powiedziała Ilna. – Jestem pewna, że nie możesz tego zrozumieć.

Ku zaskoczeniu Garrica przepchnęła się obok niego i prawie biegiem ruszyła ulicą.

– Ilno? – zawołał. Spojrzał na Tenoctris, lecz z jej twarzy niczego nie zdołał wyczytać.

Tuż przed nimi była gospoda, której szyldem był bujany fotel zawieszony nad ulicą. Na szerokich biegunach złotą farbą wymalowano napis: „Odpoczynek Kapitana”. Ilna zdążyła już odejść spory kawałek, prawie mijając tawernę.

– Ilno! – zawołał Garric, nagle przypomniawszy sobie, że dziewczyna nie umie czytać. – Ilno, to

nasza tawerna!

Przystanęła i skręciła, by wejść do środka. Przez chwilę obawiał się, że tego nie zrobi. Dopiero teraz zrozumiał, że powinien był wiedzieć, jak bardzo będzie tęskniła za bratem. Garric był pewien, że kiedy się obróciła, na jej policzkach dostrzeżę ślady łez.

Nonnus spał mocniej niż jakikolwiek znany Sharinie człowiek, a praca w gospodzie zapewniła jej lepszą znajomość męskich zwyczajów w tej dziedzinie, niż posiada większość dobrze wychowanych dziewcząt. Pustelnik żartował sobie, że śpi jak foka, ale tak było naprawdę. Może zbudziłoby go niebezpieczeństwo, ale nie odgłos zimnych fal pluskających o dziób dżubanki.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a miał być w ostatniej kwadrze. Chwilami gwiazdy pokazywały się między kolumnami rzadkich chmur, ale nie rozjaśniały ciemności.

Morze, gęste od fosforyzującego planktonu, było jasną falującą pustynią pod czarnym niebem. Sharina spojrzała na północ i nie ujrzała niczego prócz stromych fal, większych od wszystkich, jakie widywało się opodal Barca's Hamlet. Nic tylko woda, aż po lodowce...

Sharina ciaśniej otuliła się płaszczem i pożałowała, że nie może przestać się trząść. Równy, łagodny wiatr wcale nie był chłodny i gdyby znów znalazła się na lądzie i z powrotem w domu, nawet nie założyłaby wierzchniego okrycia.

Jakaś ryba skoczyła w powietrze. Sharina pochwyciła wzrokiem raczej jej ruch niż kształt: wijąca się sylwetka na tle rozświetlonej wody, plusk i szybko znikająca plama, gdy maleńkie wielonogie stworzonka pospiesznie wracały na miejsce, z którego je przepłoszono.

Nonnus już złapał na wędkę kilka ryb. Miał rację: nie było powodu do obaw, że we czwórce będą przymierać głodem, choćby dryfowali nie wiadomo jak długo.

Oprócz tych krótkich chwil, kiedy latające ryby wyskakiwały na powierzchnię, dżubanka była samotna na morzu rozleglejszym niż kiedykolwiek wyobrażała sobie Sharina, nieraz spoglądając na jego znajomy bezmiar z urwisk na północ od Barca's Hamlet. Pustelnik cicho westchnął przez sen.

Żagiel, złożony pod opuszczoną reją, leżał w poprzek kadłuba, oparty o burty. Jego zwinięte płótno tworzyło barierę odgradzającą pasażerów skulonych na dziobie i rufie. Meder pełnił wachtę przy sterze, Asera towarzyszyła mu. Kiedy przychodziła kolej na Nonnusa lub Sharinę, arystokraci razem przechodzili na dziób. Prawie nie zwracali na siebie uwagi. Choć przebywali blisko siebie, nie nawiązywali żadnego kontaktu, jakby byli sąsiednimi budynkami.

Nonnus nie stawiał żagla, od kiedy dżubanka przedostała się przez rafy Tegmy, unosząc płynących na jej pokładzie na otwarte wody i czyste, ostre powietrze ich świata. W tym świecie nic nie było bardziej naturalne od śmierci i czystsze od lodowców.

Nadstawivszy ucha, Sharina słyszała monotony głos Medera, przedzierający się przez świst południowo-wschodniego wiatru. Mętne czerwone światło migotało na rufie dżubanki i plamiło morską toń. Pustelnik znów westchnął. Spał zwinięty w kłębek, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Sharina zwróciła twarz w stronę dziobu i powiodła spojrzeniem po linii horyzontu. Żałowała, że nie może zasnąć – żałowała wielu rzeczy.

A morze było tak bezkresne...

– Nie czułeś przyciągania tych starych grobów, Cashelu? – zapytała Mellie. Objęła się ramionami i melodramatycznie zadrżała, chociaż uśmiech, jakim go obdarzyła, był równie promienny jak zawsze. – Och! Jakby chciały nas wciągnąć do środka!

– Poczułem swędzenie – odparł Cashel. – Pomyślałem, że to od słońca. Myślisz, że po tej stronie wyspy mocniej świeci? Powietrze jest bardziej suche, to fakt.

Maszerował wąską uliczką, przy której znajdowały się sklepy kupców handlujących wyrobami ze skóry: uprzężami i lejcami dla zwierząt pociągowych, roboczymi fartuchami i kurtkami. W każdym, nawet najmniejszym oknie były wyłożone rozmaite artykuły. Właściciele siedzieli przed sklepami, gotowi pomóc klientowi, złapać za rękaw przechodnia lub zatrzymać zuchwałego złodzieja.

Niektórzy z nich próbowali zagadywać Cashela, lecz on ignorował ich, nie z rozmysłem, lecz ponieważ zafascynował go widok tylu podobnych towarów zgromadzonych w jednym miejscu. Podejrzewał, że luksusowe artykuły, takie jak noszone przez bogaczy skórzane sandały i rękawiczki, lub zamszowe czepki na kobiece głowy znajdowały się przy innej uliczce, a może nawet w innej dzielnicy. Kroczył przed siebie jak muł podążający przez wysoką trawę i nie zwracający uwagi na jej żdźbła.

Duszka zaśmiała się.

– Zapomniałam o swojej sile – powiedziała. – Cóż, to nie było oparzenie od słońca, tylko paskudna plątanina sił wokół tych grobowców. Od tysiąca lat nie widziałam czegoś takiego. Takie skupiska mocy zagroziły mi drogę do mojej rzeczywistości.

– Hm – mruknął Cashel. – I tak nie zamierzałem tam zostać. Poza tym, jeśli miałem wszystko zostawić, to musiałem odejść.

Idąc, trzymał pałkę pionowo, tuż przy ciele. Od czasu do czasu zawadzał nią o sztyld lub występ pierwszego piętra jakiegoś budynku, ale nic nie mógł na to poradzić. Spacer po Carcosie przypominał przedzieranie się przez chaszcze, w których ugrzęzła owca, połakomiwszy się na dojrzewające jeżyny.

– Zastanawiałam się, czy nie wybrać takiej drogi – powiedziała spokojnie Mellie, splatając dłonie i prostując ramiona. – Oczywiście, nie przeszląbym na drugą stronę. Nie odnalazłabym drogi do domu, a poza tym zbyt wiele niebezpieczeństw czyha tam teraz na skraju ścieżki. Chociaż myślę, że to i tak lepsze od spotkania z kotem.

Wywinęła salto w powietrzu, odbiła się i stanęła na rękach.

– Albo lisem! – dodała, stojąc głową w dół i uśmiechając się do Cashela.

Nonszalancja, z jaką mówiła o własnej śmierci, zaniepokoiła Cashela. Mellie nie pragnęła śmierci, ale najwidoczniej nie obawiała się jej. No cóż, teraz miała jego.

Ulicę niemal zupełnie zatarasował głęboki wóz dostawczy. Gromada muskularnych ludzi wyładowywała z niego zamknięte kosze. Podając je z ręki do ręki, stawiali na placu budowy, obok zgromadzonych tam już stert budulca.

Architekt w pasiastej szacie obserwował ich krytycznie, marszcząc brwi i postukując długim drewnianym cyrklem, będącym symbolem jego zawodu. Dwaj strażnicy miejscy w pomarańczowych tunikach pokrzykiwali ostrzegawczo. Robotnicy pomrukiwali coś pod ich adresem i nie zwracali na nich uwagi.

Cashel kichnął.

– Wapno – powiedział. Robotnicy zamierzali mieszać cement. Spojrzał na skrawek nieba między wznoszącymi się po obu stronach ulicy budynkami. Ujrzał zbyt wiele chmur, by można mieć pewność, że deszcz nie zmoczy znajdującego się w koszach wapna, zanim zmiesza się z niego cement. Ludzie w mieście bardzo ryzykowali, ponieważ zawsze się spieszyli. Wiedział, że większości mieszczuchów taki pośpiech nie wychodzi na dobre.

– Aby uzyskać to wapno, spalili filary świątyni, która miała ponad tysiąc lat – powiedziała Mellie. Ponownie stanęła na nogach. – Czy widzisz jak jarzy się mocą?

Zachichotała.

– Ciekawe, co zamierzają tutaj zbudować? Założę się, że czeka ich wiele niespodzianek!

Cashel jeszcze przez chwilę obserwował robotników. Gdyby chciał, na pewno mógłby znaleźć tu pracę. Ci ludzie byli silni, lecz on mógł podnieść dwa razy więcej od każdego z nich. Na razie jednak miał w sakiewce pieniądze, więcej niż kiedykolwiek. A poza tym...

– Nie powinni robić cementu ze świątyni – mruknął. Podejrzewał, że leżała w ruinie, tak jak znaczna część Carcosy. Mimo wszystko wydawało się to niewłaściwe.

Mellie zrobiła mostek, dotykając pięt końcami palców.

– Ludzie budują i ludzie burzą – stwierdziła. – Szybko życie.

Cashel przepuścił dwóch nadchodzących z przeciwnej strony tragarzy z nosilkami i kobietę z wielkim wiklinowym koszem prania. Pod wozem było dość miejsca, by mógł się prześlizgnąć, lecz przez szpary między deskami sypało się wapno. Cashel wybrałby tę drogę, gdyby był sam, ale nie z duszką na ramieniu.

Trzej mężczyźni w kolorowych tunikach chcieli przejść za praczką. Krzyczeli na Cashela, żeby zaczekał. Zignorował ich i zeszedł mu z drogi.

– Zbliżamy się do portu – powiedziała Mellie. Wystawiła język i pomachała palcami kotu zwiniętemu na stosie płóciennych kombinezonów. Kocur nie poruszył się, ale odprowadził spojrzeniem odchodzącego Cashela i jego pasażerkę. – Kiedyś byli tu handlarze sprzedający korale, bursztyń i wielorybie kości. Tylko że od tego czasu minęło tysiąc lat.

Nawet Cashel bez trudu odgadłby, że znaleźli się w dzielnicy portowej. Większość tutejszych sklepów miała towar wyłożony na chodnikach i sprzedawała siermiężną odzież, chętnie noszoną przez marynarzy.

W połowie kwartału znajdował się bogatszy sklep z witryną zabezpieczoną grubą kratą i wewnętrzną siatką o drobnych oczkach, broniącą towaru przed złodziejaskami. Na wystawie leżała złota biżuteria i jaskrawe jedwabie – również noszone przez marynarzy, tylko na lądzie. Niektóre artykuły były używane, widocznie sklep pełnił też rolę lombardu.

Ktoś potrącił Cashela z tyłu i wymamrotał słowa przeprosin. Cashel zerknął przez ramię i ujrzał dwóch szczupłych, ciemnoskórych mężczyzn w brązowych szatach. Wszedł do sklepiku z wełnianymi czapkami i swetrami. Właścicielka, staruszka siedząca na krześle i robiąca na drutach, ledwie rzuciła okiem na wchodzącego.

Tamci dwaj mężczyźni – bo Cashel założył, że byli to mężczyźni, chociaż mieli upięte włosy w kok i długie szaty nie zdradzały ich płci – kłusem przebiegli obok. Na ich twarzach malowało się napięcie. Tuż za nimi biegła gromadka groźnie wyglądających, młodych mieszczuchów.

– Serianie – wyjaśniła Mellie. – Zamieszkują południowo-wschodni brzeg wyspy. Na wyżynach mieszka zupełnie inny lud.

Cashel zmrużył oczy, gdy jeden z prześladowców krzyknął: „Idźcie gdzie indziej czcić wasze demony!” i rzucił kamieniem. Pocisk odbił się od ramienia Serianina. Trafiony zachwiał się i przyspieszył kroku. Wraz z towarzyszem próbowali schronić się w sklepie z galanterią, ale

brzuchaty sklepikarz zatrzasnął im kratę przed nosem i stanął za nią, uśmiechając się szyderczo.

Banda łobuzów ominęła Cashela, otaczając półkolem cudzoziemców. Wzdłuż całej ulicy sklepikarze pospiesznie opuszczali żaluzje. Staruszka z obojętną miną nadal robiła na drutach.

Jeden z napastników chwycił za skraj długiej szaty Serianina i pociągnął. Materiał zamigotał: był to przedni jedwabny brokat. Coś dla Ilny...

Cashel skrzywił się.

– Mellie, zeskakuj, będzie zabawa – powiedział. Klepnął w ramię najbliższego łobuza i zapytał: – Co się tu dzieje, panie?

Tamten, młodzian z tatuażem na policzku i muskułami jak postronki, odwrócił się i warknął:

– Czy ja wyglądam na wyrocznie, owczy bobku? Wynoś się stąd albo znajdziesz coś, czego nie szukałeś!

Odwrócił się. Cashel obrócił go ponownie.

– W Barca's Hamlet uprzejmie odpowiadamy obcym na pytanie – rzekł.

– Hej, chłopcy, mamy jeszcze jednego! – wrzasnął młodzieniec, zanurzając rękę w rękawie i zgodnie z oczekiwaniami Cashela wyciągając nóż.

Cashel uderzył go w twarz dłonią zaciśniętą na pałce. Ten szybki cios ogłuszyłby konia pociągowego, a znacznie lżejszy łotrzyk przeleciał w powietrzu i wpadł na gromadkę towarzyszy, robiąc potrzebne Cashelowi miejsce. Odstęp między piętrami domów był węższy niż na parterze. Cashel obrócił się bokiem i ruszył naprzód, kręcąc młyńca pałką.

Czyjeś przedramię pękło z głośnym traskiem; trafiony wrzasnął i wypuścił krótką pałkę. Inny łotrzyk padł, gdy drąg ześlizgnął mu się po czaszce i złamał bark. Kiedy otrzeźwieje, na pewno nie będzie wdzięczny przeciwnikowi, ale Cashel zabiłby go, gdyby celowo nie zmienił kierunku spadającego ciosu.

Jeden z łobuzów na oślep rzucił nożem i uciekł, roztrącając kompanów, którzy jeszcze nie zorientowali się, co zaszło. Drewniany szyld sklepu z galanterią wisiał na przeciągniętej nad ulicą belce. Cashel nie mógł przejść pod nim obracając pałką, więc zmierzył wzrokiem odległość i uderzył w belkę tuż przy nasadzie. Okute metalem hikorowe drewno z głuchym łupnięciem uderzyło w sosnowy bal i ciężki szyld spadł na pozostałych łotrzyków.

Ci, którzy jeszcze byli w stanie uciec, zrobili to, porzucając broń. Jeden krwawił z głębokiej rany w udzie, która nie była dziełem Cashela.

Z obu końców ulicy słychać było kołatki, ale Cashel zauważył, że strażnicy miejscy pojawili się dopiero wtedy, kiedy ostatni z napastników znikł za najbliższym rogiem. Rozejrzał się wokół, sapiąc jak zdyszany koń.

Czterej miejscowi leżeli na ziemi. Dwaj jęczeli, a jeden z twarzą barwy świeżo strzyżonej wełny, usiłował złapać oddech. Cashel mętnie przypominał sobie, że kopnął go w brzuch. Zetknięcie ze stwardniałą od nieustannego chodzenia po kamienistej ziemi stopą było równie dotkliwe w skutkach jak kontakt z podkutym butem.

– Ooch, byłeś wspaniały! – zawołała Mellie z jego ramienia, klaszcząc w dłonie z uciechy. Wcześniej zignorowała jego polecenie i nie zeskoczyła. – Oczywiście, wiedziałam, że tak będzie.

Odziani w pomarańczowe szaty strażnicy podchodzili ostrożnie. Obaj byli dobrze po pięćdziesiątce. Jeden ścisnął pałkę, która była jego jedyną bronią, ale drugi był rozsądniejszy. Cashel wiedział, że mógłby uciec, ale nie miał takiego zamiaru. Zrobił to, co zrobił, a teraz musi ponieść konsekwencje.

Serianie wyszli z bramy sklepu, która stała się pułapką, a nie drogą ucieczki. Jeden z nich skłonił się strażnikom i rzekł:

– Przepraszam, panowie, ale sądzę, że to nie wasza sprawa.

– Kiedy zechcę wysłuchiwać tego, co jakiś... – zaczął strażnik. Potem zauważył wyciągniętą rękę Serianina. – Ach tak?

Cudzoziemiec obrócił rękę dłonią do góry i rozchylił ją. Na śniadej skórze zabłyśły dwie srebrne monety.

Drugi strażnik powiedział z niepokojem – Cashel był przekonany, że tamten obawiał się, że ominie go łapówka:

– Posłuchaj, są szkody... Ci tutaj to drobiazg...

Czubkiem trącił buta jęczącego łobuza.

– Tylko, że...

– Wszystko widziałam – powiedziała niespodziewanie robiąca na drutach staruszka. – Ten szyld strącił najsilniejszy podmuch wiatru, jaki widziałam w życiu. – Obdarzyła strażników bezzębnym uśmiechem. – Na waszym miejscu, chłopcy, wzięłabym forszę i zniknęła stąd, zanim znów zacznie tak wiać.

Cashel złapał oddech – albo prawie. Podniósł szyld, zaniósł go pod drzwi sklepu i oparł o ścianę. Tłusty właściciel obserwował to przez kratę. Już się nie uśmiechał.

– Czy masz jakiś problem w związku z tym, co się tu stało? – zapytał swoim spokojnym, powolnym głosem.

Sklepikarz spojrział na pałkę. Krew z rozbitej czaszki łobuza spływała po drzewcu i prawie dotarła do dłoni Cashela. Zamiast odpowiedzi, sklepikarz zatrzasnął grube drzwi znajdujące się za kratą. Jeden ze strażników wzruszył ramionami.

– Wypadki chodzą po ludziach – rzekł. Wziął monety od Serianina i rzucił jedną partnerowi. Potem obaj odeszli tam, skąd przybyli.

Serianie naradzali się przyciszonymi głosami. Stali blisko siebie, nie odrywając oczu od Cashela. Ten wrócił do sklepu ze swetrami i rzekł:

– Pani? Dziękuję. Czy mógłbym jakoś...

Nie wiedział czy zaproponować jej pieniądze. Staruszka zachichotała.

– Och – powiedziała – gdybym była trzydzieści lat młodsza, chłopcze, to naprawdę mógłbyś coś dla mnie zrobić. Dzisiaj wystarczy mi przyjemność oglądania, jak się poruszasz.

Przeniosła spojrzenie na Serian, którzy teraz czekali aż Cashel skończy rozmawiać. Jej ręce przez cały czas poruszały się płynnie, jak szmerzący strumień.

– Ponadto – dodała łagodniejszym tonem – tak dawno temu, że ledwie pamiętam kiedy, żyłam z pewnym Serianinem. Był wyznawcą diabła, pewnie, ale nigdy mnie nie uderzył, czego nie mogę powiedzieć o niejednym dzentelmenie z Haft, który nigdy nie opuścił środowej ofiary. A teraz już idź, zanim dojdę do wniosku, że może jednak nie jestem dla ciebie za stara!

Cashel odwrócił się i spojrział na Serian. Skłonili się, a jeden wskazał na koniec ulicy i rzekł:

– Panie? Może zechcesz z nami porozmawiać w przyjemniejszym otoczeniu? Tam jest coś w rodzaju parku.

Sklepikarze zaczęli podnosić rolety. Jeden z łobuzów prawie doszedł do siebie, choć Cashel wątpił, by jeszcze przez jakiś czas mógł stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

– Dobrze, panowie – rzekł Cashel.

Poszedł wraz z Serianami na koniec ulicy, gdzie zasilana z wodociągów fontanna na środku brukowanego placu dostarczała wodę mieszkańcom okolicznych ulic. Na środku niecki stał marmurowy trębacz z rogiem przytkniętym do ust. Woda z pluskiem wylewała się z kielicha. Otwarta przestrzeń przynosiła ulgę po tyłu wąskich uliczkach.

– Nazywam się Frasa – oznajmił pierwszy Serianin i skłonił się. Cashel nie mógł ich odróżnić. Ich twarze wyglądały jak dwie identyczne maski wyrzeźbione z jednego bloku mahoni.

– A ja jestem Jen – powiedział drugi, również z ukłonem. – Chcielibyśmy cię wynająć, panie. Zapłacimy więcej niż twój obecny pracodawca.

– Ach – rzekł Cashel. Zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć ukłonem. – Nazywam się Cashel or-Kenset. Jestem pasterzem.

– Pasterzem! – zachichotała Mellie na jego ramieniu.

– My jesteśmy kupcami, panie Cashelu – rzekł Frasa. – Mamy ładunek tutaj, w Carcosie. Pewnie zauważyłeś, że nasza religia nie cieszy się tutaj sympatią. Może podzielasz tę niechęć?

– Dotychczas nigdy nie spotkałem Serianina – odparł niechętnie Cashel. – Jeśli chcecie oddawać cześć diabłom, to pewnie wasza sprawa.

Jen zamrugał, a potem parsknął zduszonym śmiechem, co było pierwszą oznaką uczuć, jaką Cashel zauważył u tej dziwnej pary.

– My wcale nie uważamy tego za oddawanie czci diabłom, panie Cashelu – rzekł Frasa. – Jednak, jak słusznie zauważyłeś, to nie ma nic do rzeczy. Potrzebujemy swego rodzaju pasterza. Silnego człowieka, który przeprowadzi nas przez niebezpieczeństwa wielkiego miasta, dopóki nie sprzedamy naszego ładunku.

– Nasza religia nie pozwala nam krzywdzić innych ludzi, panie – rzekł Jen. – Jednakże to, co ktoś inny czyni dla nas, to sprawa między nim a jego bogami. A my dobrze płacimy. Górale z wnętrza Seres bronią naszego statku przed piratami, jednak nie możemy wszędzie zabierać ich ze sobą.

– To ludożercy o spiłowanych zębach – powiedziała Mellie, gładząc płatek prawego ucha Cashela. – Niektórzy z nich mogą nas widzieć. I czasem nas zjadają.

Cashel stwierdził, że słuchając trzech osób jednocześnie, nie jest w stanie zrozumieć, co mówi do niego choćby jedna z nich. Słyszał słowa, lecz nie potrafił powiązać ich w myślach z niczym konkretnym.

– Posłuchajcie – rzekł. – Potrzebujecie strażników. Ja jestem tylko...

Spojrzał na uliczkę, którą dopiero co opuścili i zmieszał się.

– Posłuchajcie – powtórzył. – Nie chcę abyście pomyśleli, że często to robię. Ja, no cóż...

Nie mógł nie zareagować, tak samo, jak nie pozwoliłby wilkom morskim dziesiątkować cudzego stada. Nie wiedział jak to wyjaśnić. Oczywiście, w domu niczego nie musiałby wyjaśniać, gdyż wszyscy czuliby to samo.

Przynajmniej, jeśli chodzi o owce. Może nie w przypadku obcych o nieruchomych twarzach.

– Zdajemy sobie sprawę z tego, że moglibyśmy wynająć ludzi zawodowo parających się ochroną – rzekł Frasa. – Chociaż może nie tak łatwo, zważywszy na fakt, że księżę Lascarg wykorzystuje... – uśmiechnął się zimno – czcicieli diabłów jako kozła ofiarnego, odwracając uwagę od społecznych problemów. W każdym razie wolelibyśmy zatrudnić człowieka, który większą wagę przykładają do sprawiedliwości niż do pieniędzy. Aczkolwiek chętnie zapłacimy ci... powiedzmy, trzy sztuki srebra dziennie?

– Cztery – rzekł zdecydowanie Jen. – Nie znaleźlibyśmy dwóch takich ludzi, którzy potrafiliby dokonać tego, co pan Cashel zrobił sam i co mieliśmy zaszczyt oglądać. Oczywiście, zapłacimy ci za dzisiejszy dzień, panie, cokolwiek postanowisz w kwestii dalszego zatrudnienia.

Cashel usiłował wyobrazić sobie taką sumę w swojej sakiewce. Ilna byłaby wniebowzięta...

Ilna wcale się o tym nie dowie. Być może nigdy już nie zobaczy siostry. Przechylił głowę i spojrzał na Mellie. Duszka chodziła na paluszkach, zaplótłszy dłonie na głowie, jakby szykowała się do skoku.

– Och, nie martw się o mnie, Cashelu – powiedziała z uśmiechem. Była zbyt piękna, żeby mogła być realna. I oczywiście nie była realna w dosłownym tego słowa znaczeniu. – Nie boję się górali. Szczury są znacznie gorsze, a tam gdzie są górale, nie ma żadnych szczurów...

Stała na rękach, umieściwszy dłonie dokładnie w tym miejscu, gdzie przed sekundą znajdowały się jej stopy.

– ...chyba, że górale są naprawdę dobrze karmieni.

Serianie czekali. Cashel wzruszył ramionami i rzekł:

– No cóż, myślę, że możemy spróbować.

Wyciągnął prawą rękę, żeby przypieczętować umowę. Jen i Frasa skłonili się, a Frasa wyjął spod szaty dobrze wypchaną sakiewkę. Kamienny trębacz słał wesołe kręgi po powierzchni wody.

Carcosa po zmroku była zadymionym, niebezpiecznym pustkowiem. Garric wypożyczył latarnię w „Odpoczynku Kapitana”, lecz nie fatygował się wynajmowaniem przewodnika, który zaprowadziłby jego i Tenoctris z powrotem do „Czerwonego Muła”, gdyż miał niezłe wyczucie kierunku, a ponadto wspomnienia króla Carusa. Słyszając szepty i szmery w mijanych ciemnych zaułkach, zaczął się zastanawiać, czy we trójkę nie byłiby bezpieczniejsi. Głośno powiedział:

– Jednak obawiałbym się, że wynajęty przez nas przewodnik wprowadzi nas prosto w zasadzkę.

– Myślę, że przy tobie jestem wystarczająco bezpieczna, Garricu – powiedziała Tenoctris. A potem dodała: – Pomoże ci medalion, jeśli ktoś będzie na tyle głupi, żeby cię zaatakować. On jest z tobą, prawda?

– Tak jakby – mruknął Garric. Nie chciał myśleć o tym, co mogła oznaczać nieustanna obecność Carusa.

Po tamtej nocy nad rzeką Stroma nie chciał nosić miecza. Nie podobała mu się zmiana osobowości, jaką zauważał u siebie, kiedy trzymał w dłoni rękojeść miecza. Wypożyczona latarnia wisiała na końcu metrowego żelaznego pręta, aby posiadacz mógł trzymać ją przed sobą. W starciu ten pręt mógł być skuteczną bronią.

Jednak o tym też Garric nie chciał myśleć.

Mężczyzna i kobieta klócili się w bramie. On był pijany, ona na tyle trzeźwa, by zamilknąć, kiedy obok przesuwiał się żółty blask latarni. Trzecia postać – inny mężczyzna – obserwował ich z drugiej strony ulicy, również czekając i postukując pałką o otwartą dłoń.

Wszystko to nie dotyczyło Garrica, ale i tak poczuł się nieswojo. A przecież nie wiedział, o co tu chodzi. Ten pijak oberwie po głowie, pewnie zostanie obrabowany, a może zabity. Tylko co mogłoby spotkać kobietę z rąk pijaka, gdyby nie towarzyszył jej obrońca? Garric zaczynał rozumieć, dlaczego Tenoctris opatrywała cudzysłowami takie pojęcia jak „dobro” i „zło”. Mimo to był przekonany, że jakkolwiek wyglądała sytuacja, społeczeństwo, w którym głównym sposobem rozwiązywania sporów jest przemoc, to chory twór.

– Kiedy moce gromadzą się w innych płaszczyznach, to jednocześnie napierają na świat widzialny – powiedziała cicho Tenoctris. Opisała swój talent jako zdolność dostrzegania różnych rzeczy. Obejmowało to również cechy osobowości ludzi z jej otoczenia. – W miastach zawsze jest gorzej niż we wioskach, ponieważ anonimowi ludzie robią rzeczy, jakich wstydziłiby się wobec sąsiadów. Podejrzewam jednak, że w Carcosie jest teraz gorzej niż dziesięć lat temu.

Dotarli do stromych schodków.

– To już „Czerwony Muł” – rzekł z ulgą Garric.

Nad drzwiami gospody wisiała lampa. Miała duży zbiornik na naftę i szklany kominek czystszy niż jakiegokolwiek okno w Barca's Hamlet. Garric już miał wejść do środka, gdy zauważył, że krępyim mężczyzną stojącym przy wejściu jest Rald, dowódca strażników handlarza. Był uzbrojony i wyglądał na zaniepokojonego.

– Panie? – rzekł Garric. – Jak obiecałem, przyszliśmy z panią Tenoctris porozmawiać z twoim panem. Czy jest...

Wskazał na gospodę. Miała dużą, ale w tym momencie pełną salę. Syn Reisego z zawodową wprawą zanotował w myślach, że podłogi posypywano tu trocinami, a nie sitowiem.

Rald potrząsnął głową.

– Pan Benlo wyszedł o zmroku – rzekł. – Nie jestem pewien dokąd, ale nie zdziwiłbym się, gdyby poszedł tam, gdzie zwykle – na cmentarz po drugiej stronie.

Nieznacznym ruchem głowy wskazał kierunek. W pełgającym świetle Garric dostrzegł ślad wgłębienia na hełmie strażnika: pamiątka po potyczce nad rzeką Stroma.

– Chodzi tam co noc, od kiedy zatrzymaliśmy się w tej gospodzie – ciągnął Rald. – Tyle, że dotychczas nigdy nie zabierał ze sobą córki. On...

– Zabrał Liane? – zdziwił się Garric.

– Tym razem tak – odparł Rald. – I wyraźnie dał do zrozumienia, że ani ja, ani moi chłopcy nie możemy tam z nim iść. Jednak wiesz co, kolego? Jestem pewny, że ktoś powinien tam pójść i sprawdzić, co się dzieje.

– I ktoś to robi – powiedziała Tenoctris. Ruszyła na drugą stronę ulicy.

– Hej, zaczekaj! – zawołał Rald. – Weź to.

Garric odwrócił się. Strażnik podał mu swój pas i miecz. Garric podziękował mu skinieniem głowy i wziął broń. Idąc przez ulicę z Tenoctris, zapiął pas na biodrach.

Pięćdziesiąt metrów dalej znajdowała się brama cmentarna, lecz kiedy Garric zawahał się, staruszka dotknęła muru dokładnie naprzeciwko „Czerwonego Muła” i powiedziała:

– Podsadz mnie. Oni są niedaleko stąd.

Garric nie miał pojęcia, skąd to wiedziała, lecz to nie miało znaczenia. Oparł latarnię o ścianę i oburącz podsadził Tenoctris na mur. Jego palce prawie spotkały się, kiedy objął ją w talii.

Tenoctris przerzuciła nogi na drugą stronę, najwidoczniej zamierzając zeskoczyć. Garric uznał, że to niebezpieczny pomysł, więc skoczył na mur i na dół, po czym równie delikatnie, jak ją podniósł, opuścił staruszkę na ziemię.

Latarnia pozostała po drugiej stronie muru. Garric sprężył się, zamierzając po nią wrócić.

– Zostaw – ponagliła Tenoctris ze stanowczością, którą zwykle skrywała pod maską spokoju. – Nie będzie nam teraz potrzebna. Tędy.

Cmentarz był istną wioską grobowców wielkości pasterskich chat oraz kilkuset kamiennych trumien, mających pół metra szerokości i dwa długości. Niektóre z tych kamiennych sarkofagów miały jeszcze wieka z wyrzeźbionym na nich symbolem drzewa życia. Wszystkie były puste. Pośród tych grobów rosły wysokie ozdobne cyprysy.

Garric wiedział z ksiązek, że w takich trumnach chowano szczątki dawnych biedaków, zgodnie ze zwyczajem, który nie przetrwał upadku Dawnego Królestwa. Po roku, kiedy ciało rozpadło się w proch, rodziny usuwały kości bliskich z tych indywidualnych grobów i umieszczały je w ogromnym zbiorowym grobowcu na środku cmentarza. Kopała tego ostatniego dawno się zapadła, a jego ściany porósł bluszcz i wiciokrzew.

Wiele tych grobowców nadal użytkowali bogaci i możni dzisiejszej Carcosy. Ściany oczyszczano, naprawiano belkowanie dachów, a nad drzwiami ryto nowe herby, zastępując oryginalne, należące do dawnych budowniczych.

Tenoctris prowadziła Garrica między grobowcami i kamiennymi trumnami, porozrzucanymi jak złośliwe pułapki między miejscami spoczynku bogaczy. Łuna nad miastem i blask wschodzącego księżycy oświetlały Garricowi drogę, lecz staruszka i tak poruszała się szybciej i pewniej, w przeciwieństwie do niego wcale się nie potykając. *Chyba ma wzrok koci.*

Bał się o Liane, a także o siebie. Nie miał pojęcia, co napotkają. Z tego, co wcześniej powiedziała Tenoctris, nawet ona nie była tego pewna.

– A niech cię porwie Siostra! – warknął Garric, trafiwszy stopą na skrytą w mroku dziurę, w której mógł złamać nogę w kolanie i zostać kaleką do końca życia. Pożałował tych słów, zaledwie

je wymówił: w takim miejscu lepiej nie wzywać królowej podziemnego świata.

W centrum miasta uderzył żelazny dzwon – nie wiadomo, czy bił na trwogę, czy też w ten sposób co noc ogłaszał zmianę wart w Carcosie. Garric zateśknił za Barca's Hamlet. Teraz jednak był tutaj, a skoro tak, to pójdzie za tą staruszką, która twierdziła, że leży jej na sercu dobro kosmosu.

Ostrzegawczo podniosła rękę. Przystanęli trzy metry od dwóch wzniesionych naprzeciw siebie grobowców: jednego z czarnego bazaltu, a drugiego z drobnoziarnistego granitu, tak jasnego, że aż białego w blasku księżyca. Chodnik z ciemnych i jasnych płyt łączył oba wsparte na kolumnach wejścia. Wiszące na białym grobowcu wianki z cisu i ostrokrzewu wskazywały na to, że niedawno kogoś tu pochowano.

– Współcześni ludzie, nawet czarodzieje myślą, że te groby są puste, ponieważ ciała pochowanych tu zmarłych rozpadły się w proch – z zimną wzgardą szepnęła Tenoctris. – Gdyby widzieli to, co ja widzę, nie chowaliby swoich zmarłych tutaj, gdzie spoczywają znacznie od nich potężniejsi. Równie dobrze mogliby rzucać swoje dzieci wilkom morskim na pożarcie!

Garric w milczeniu masował sobie łydkę. Wietrzyk szeptał wśród cyprysów, a niektóre z nich były tak olbrzymie i stare, że korzeniami skruszyły krypty, które miały zdobić.

Tenoctris ułamała gałązkę z rosnącego obok drzewa.

– Tam – powiedziała, wskazując prowizoryczną różdżką bazaltowy grobowiec.

Czarny kamień był ledwie widoczny w słabym świetle, lecz być może dlatego Garric dostrzegł niebieską poświatę – właściwie nie tyle światło, ile słaby odbłask – w oknach wieżyczki na dachu i wokół krawędzi zardzewiałych żelaznych drzwi. Te ostatnie były lekko uchylone.

Garric w trzech susach dopadł grobowca, chwycił za kłamkę i mocno pchnął. Grube drzwi wygięły się, skrzypiąc, ale nie ustąpiły – zablokowane. Garric słyszał niewyraźne mamrotanie Benlo i wyższy, wyraźniejszy głos Liane, recytującej:

– *Phanoibikux petriade kratarnade...*

– Przestańcie! – krzyknęła Tenoctris. – To zaklęcie...!

W ciszy rozbłysło czerwone światło, przeświecając przez bazaltowe ściany, jak słońce penetrujące ciało. Przez moment na cmentarzu zrobiło się zupełnie jasno. Benlo wydał przeraźliwy wrzask, który zakończył się bulgotem.

– Liane! – krzyknął Garric i całym ciężarem ciała z impetem uderzył w drzwi. Przytrzymujący je klin ze zgrzytem przesunął się po posadzce i spadł do komory grobowej.

W ścianach znajdowały się liczne nisze. Niegdyś zawierały prochy arystokratów, lecz teraz były puste, nie licząc kurzu i jednej czarnej świecy, której płomień oświetlał symbole nakreślone na posadzce, metr poniżej powierzchni ziemi.

Benlo bor-Benliman leżał na środku siedmioramiennej gwiazdy, wokół której były napisane słowa w Dawnym Piśmie. Jeden potworny cios rozpruł mu brzuch i strumyki krwi płynęły po kamieniach posadzki.

Liane stała jak sylwetka wycięta z czarnego papieru na tle portalu oślepiająco czerwonego światła, wznoszącego się na środku krypty. Wyciągała przed siebie ramiona, jakby odpychając niewidocznego napastnika. Zarówno ona, jak i brama były dwuwymiarowe. Ciemne włosy i odzienie dziewczyny przybrały czerwoną barwę, a biała skóra twarzy i rąk stała się czarna i błyszcząca jak obsydian.

– Garricu! – usłyszał głos Liane.

Światło zamigotało i zniknęła. Palce Garrica chwyciły tylko powietrze.

Tenoctris spojrzała na Benlo. Strumyki jego krwi ułożyły się w słowo Dawnej Mowy.

– Strasedon! – powiedziała Tenoctris. – Przeklęty głupiec! Przywołał Strasedona!

Strumyki krwi zlały się w jedną kałużę, która zaczęła krzepnąć w blasku czarnej świecy. Śmierć wypełniła kryptę znajomym odorem rzeźni.

– Ten północny port niegdyś był przeznaczony wyłącznie dla okrętów wojennych – powiedziała Mellie. – Został sztucznie stworzony, wiesz. Raz widziałam tu trzysta trirem, obwieszonych proporczykami i rozwijających żagle.

Przyjrzała się stojącym po drugiej stronie brukowanej ulicy budynkom i dodała:

– O rany, ale tu się zmieniło! U was, ludzi, wiecznie coś się dzieje!

– Fabryka, którą wynajęliśmy, znajduje się tuż za tą – wyjaśnił Frasa, ruchem głowy pokazując kierunek. – Jej właścicielem jest konsorcjum naszych rodaków, chociaż podczas poprzednich wypraw czasem korzystaliśmy z magazynów Ardukha, jeśli nasze były akurat pełne.

Serianie zazwyczaj trzymali ręce ukryte w rękawach. Ich uczucia zdradzała tylko mimika twarzy, a i ta była bardzo skąpa w porównaniu do tej, jaką posługiwali się ludzie, wśród których wychował się Cashel. To wcale mu nie przeszkadzało, gdyż i tak przez całe życie słuchał jeszcze subtelniejszej mowy ciała owiec.

Nie wiedział, co Serianie rozumieli przez słowo „fabryka”. Wskazany budynek był jednym z co najmniej dwudziestu podobnych budowli: jednopiętrowy od frontu z długą parterową przybudówką z tyłu oraz ogrodzonym podwórkiem z boku i na tyłach, aż do wody. Wszystkie były zbudowane z kamienia, z podwójną solidną bramą wychodzącą na ulicę oraz wąskimi szczelinami okien. Seriańska fabryka oprócz okutych drzwi nie miała od frontu żadnych innych otworów.

Grupka wysokich brązowoskórych ludzi w przepaskach biodrowych zmywała ślady nieczystości z fasady budynku. Wysoko na murze Cashel dostrzegł niewielkie wgłębienia – znaki pozostawione przez ciśnięte kamienie.

Ze spuszczonej głowami, unikając kontaktu wzrokowego z gapiami, Jen i Frasa żwawo podeszli do drzwi budynku. Cashel kroczył obok nich, ale bacznie rozglądał się na wszystkie strony, jak zawsze, gdy pilnowanemu przez niego stadu groziło jakieś niebezpieczeństwo.

Północny port był dzielnicą slumsów, w której mieszkania były nie większe od wiejskich chat, tak samo ciemne i bynajmniej nie tak czyste. Gapie na ulicy obserwowali seriańskich robotników, lecz choć miejscowi byli wyraźnie wrogo nastawieni, to jednak zachowywali się znacznie spokojniej niż Cashel oczekiwał.

– Górale – powiedziała Mellie, wskazując prawą nogą i stojąc na paluszkach lewej.

Przed budynkiem siedzieli ze skrzyżowanymi nogami czterej mężczyźni, najwyraźniej należący do zupełnie innej rasy niż spokojnie pracujący robotnicy. Siedzący mieli najwyżej półtora metra wzrostu i lekką budowę ciała. Ich skóra była żółtobiała jak dobry pergamin, a długie czarne włosy nawet w blasku słońca nie miały innego odcienia. Gwarzyli wesoło między sobą i podawali sobie kawał suszonego mięsa, kolejno odgryzając z niego kęs. Ich przednie zęby były spiłowane i ostre jak igły. Na kolanach trzymali krótkie łuki. Kościane groty ich strzał pokrywała czarna gumowata substancja, która z pewnością była trucizną. Cashel był pewny, że naszyjniki, które nosili, były zrobione z wysuszonych ludzkich uszu.

Drzwi fabryki otworzyły się same. Jeden z górali zmrużył oczy, a potem wskazał na prawe ramię Cashela i z entuzjazmem zawołał coś do kompanów. Cashel zmierzył go gniewnym spojrzeniem i uderzył końcem pałki w ziemię, krzesząc iskry z bruku.

Wszyscy górale ryknęli śmiechem i zaczęli klepać się po plecach. Trzymający kawał mięsa wojownik wyciągnął rękę, częstując Cashela. Ten uśmiechnął się i odmownie pokręcił głową,

mijając grupkę. Mellie chichocząc, objęła jego szyję.

Dwaj Serianie zamknęli drzwi za Cashelem, a trzeci zaryglował je żelazną sztabą. Ci słudzy nosili szaty podobnego koloru i kroju jak Jen i Frasa, tylko uszyte z jakiejś szorstkiej tkaniny, której Cashel nie rozpoznał. Chętnie posłałby siostrze próbkę, ale wiedział, że nie wolno mu tak myśleć, inaczej nigdy nie przestanie wspominać Sharinę. Ponadto, Ilna była tutaj, w Carcosie. Pewnie dowiedziała się już mnóstwa nowych rzeczy.

W alkowie za drzwiami stał naturalnej wielkości posąg bogini w szafranowych szatach, równie pięknych i delikatnych jak sama postać. Po jej bokach stały dwa odrażające demony o psich głowach: czerwony i niebieski. Chociaż te stwory były dwunogie, ich przednie kończyny nie miały dłoni, lecz szponiaste łapy. Oba były obdarzone wydatnymi atrybutami męskości.

Jen i Frasa uklękli przed posągiem. Pochylili głowy i oparli dłonie o posadzkę, mamrocząc coś w nieznanym Cashelowi języku. Kiedy wstali, zapytał ich:

– Panowie, czy ja też powinienem to zrobić?

Serianie spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Przecież ty nie czcisz naszej bogini miłosierdzia, prawda? – spytał Frasa.

– Hm, pomyślałem tylko, że może tego oczekujecie – odparł jeszcze bardziej zmieszany Cashel. Nie wiedział, jak się zachować w Carcosie... No, chyba, że ktoś go zaatakował. Wtedy reguły postępowania były wszędzie takie same.

– Nie mam pojęcia, dlaczego – rzekł Frasa. – Jaki sens zmuszać kogoś do oddawania czci?

Ruszył w kierunku schodów po przeciwnej stronie holu. Jen skinął na Cashela, żeby szedł za nim, po czym dodał:

– Oczywiście, gdybyś zechciał podziękować bogini, to bardzo proszę. Po prostu decyzja należy wyłącznie do ciebie.

Jakiś Serianin w tanim odzieniu zaczął schodzić po schodach, niosąc tace splecione z bambusa, które lekko grzechotały przy każdym jego kroku. Zauważył Frasę i szybko zawrócił, schodząc z drogi nadchodzącym.

– Te posągi obok bogini... – zaczął Cashel, oglądając się przez ramię. Nie dokończył w nadziei, że gospodarze odpowiedzą na pytanie, którego nie chciał zadać w obawie, że użyje niewłaściwych słów. Serianie byli porządnymi ludźmi i nie chciał ich urazić tak, jak niewątpliwie zrobił to wcześniej, nazywając ich czcicielami demonów.

– Tak, to opiekuńcze demony – rzekł Frasa. Dotarł na szczyt schodów. Sługa w szacie z czarnym rąbkiem skłonił się i otworzył drzwi biura z widokiem na port.

– Widzisz, panie Cashelu – rzekł Jen – bogini jest bezgranicznie łaskawa i czyni wyłącznie dobro. Jednak takie niewinne istoty potrzebują ochrony, aby mogły istnieć na tym nędznym świecie. Dlatego bogini zawsze strzegą demony... Tak samo jak my częściowo obsadzamy nasze statki góralami.

– A także pragniemy twojego towarzystwa – powiedział Frasa, wskazując Cashelowi jedno z niskich krzeseł stojących wokół jeszcze niższego stołu. Sługa czekał w drzwiach gabinetu, trzymając w rękach tacę z kubkami nakrytymi kapturkami z ryżowego papieru.

Jen i Frasa usiedli, gdy Cashel ostrożnie usadowił się na krześle. Było mocniejsze niż się zdawało, lecz on był przyzwyczajony raczej do stołków niż do krzeseł, a najczęściej siadywał na gołej podłodze.

Mellie zeskoczyła mu z ramienia i pobiegła rozejrzeć się wokół. Przestraszył się, gdy zobaczył rudą czupryną duszki, która wyłoniła się nagle zza lakierowanego parawanu i wskoczyła na okienną żaluzję. Musiał powiedzieć sobie w duchu, że ona lepiej od niego wie, co robi.

Gospodarze wzięli kubki z tacy i zdjęli z nich kapturki.

– Mieszanina soków owocowych – wyjaśnił Jen. – Jeśli pan chce, możemy postarać się o jakiś alkohol?

– Nie, to mi wystarczy – rzekł Cashel, zastanawiając się, co zrobić z nogami. W końcu wyciągnął je przed siebie, po obu stronach stoliczka. Serianie skrzyżowali je, siadając na podłodze, ale on nie był przyzwyczajony do takiej pozycji.

Na przeciwległej ścianie znajdował się rząd zaopatrzonych w okiennice okien, wychodzących na tył budynku. Okiennice były otwarte. Cashel zobaczył jeszcze kilku Serian i górali odpoczywających na zamkniętym dziedzińcu, jak również nadbrzeże, przy którym stał przycumowany żaglowiec o prostokątnym dziobie, jakiego nigdy nie widziano w Barca's Hamlet.

Pociągnął łyk soku. Ten był cierpki i chłodny, z lekkim posmakiem sugerującym nieprzyzwyczajonemu, że jeden z wyciśniętych owoców był lekko nadpsuty. Cashel pił dalej.

– Nasze rodzina handluje z Carsosą od pięciu pokoleń – rzekł Frasa. – Zawsze spotykaliśmy się z wrogością wobec ludzi naszej wiary...

– Albo naszej rasy – wtrącił Jen. – Może na tym polega problem.

Cashel nie powiedział tego głośno, ale nigdy nie zauważył, by ludzie potrzebowali prawdziwego powodu, żeby rzucać kamieniami w innych, jeśli tylko mieli na to ochotę. U rudych, leworęcznych czy przybyłych z sąsiedniej wioski – każdy kij jest dobry, by uderzyć psa.

Brwi Frasy wykonały ruch będący odpowiednikiem wzruszenia ramion.

– W każdym razie – ciągnął – będąc w Carcosie mamy niewielki kontakt z miejscowymi. Wynajmujemy tę fabryczkę i składujemy tu nasze towary, a potem zawieramy umowę z tutejszym pośrednikiem, który załatwia na nie kupców i ładunek do zabrania w powrotnej drodze. Tym razem napotkaliśmy poważny problem, gdyż niepokoje społeczne mają nieoczekiwanie gwałtowny przebieg.

Mellie przemknęła po płaskim dachu przybudówki i znikła w rynnie z glazurowanej cegły. Na podwórzu na dole siedzieli górale...

– Czy zna się pan na carcosańskiej polityce, panie Cashelu? – zapytał uprzejmie Jen.

Cashel nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Pokręcił głową. Nie był pewien, czy w ogóle wie, czym jest polityka, nie mówiąc już o tej, jaką uprawiano w Carcosie.

– Książę Lascarg objął władzę w wyniku zamieszek, jakie miały miejsce w poprzednim pokoleniu – ciągnął Jen. – Zwyczajni obywatele popierają go, natomiast większość arystokratów jest mu przeciwna, lecz on stara się zadowolić obie strony, nie próbując rządzić brutalnie.

– Częściowo ze względu na jej brak – dorzucił Frasa. – Lascarg celowo zredukował liczebność gwardii, żeby następca nie usunął go w ten sam sposób, w jaki on pozbył się poprzedniego księcia i księżnej Haft. Ponieważ nie ma żadnej konkretnej siły, na jakiej mógłby się oprzeć, rozpaczliwie usiłuje zapobiec wybuchowi społecznych niepokojów.

– Obojętnie czym zakończyłyby się zwycięstwem – rzekł Jen – Lascarg z pewnością wyszedłby z nich przegrany. Dlatego usiłuje zjednoczyć ludność, wzbudzając wrogie uczucia wobec obcych. Szczególnie Serian.

Cashel pokiwał głową.

– Taak – mruknął z zadowoleniem, widząc, że Mellie znów wspina się na tacę z napojami. – No cóż, jesteście tu bardziej obcy niż inni.

Upadła na wznak, biorąc się za boki ze śmiechu. Frasa i Jen zeszywnieli, a potem uśmiechnęli się.

Cashel zamrugał oczami, słysząc swoje słowa. Albo w tym bezalkoholowym soku owocowym coś jednak było, albo nierealne wydarzenia minionego tygodnia sprawiły, że przestał zważać na to co

mówi, a co zwykle zachowałby dla siebie.

– Pewnie jesteśmy – powiedział Frasa. – No cóż, w tej pechowej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się na skutek tchórzliwej zdrady, miło nam spotkać tak niebywale uczciwego i dzielnego człowieka jak pan, panie Cashelu.

– Gdybyśmy wiedzieli o niepokojach, nigdy nie przyplłynęlibyśmy tu „Złotym Smokiem” – dodał Jen. Nie wskazał na przycumowany do nabrzeża statek, tylko spojrzął nieco w bok. Gdyby kontynuował ten gest, objąłby nim okno i wszystko, co się za nim znajdowało. – Kiedy przybiliśmy wczoraj wieczorem, rzucono w nas kamieniami, ale to się już zdarzało. Dzisiaj wyszliśmy z bratem na spotkanie z pośrednikiem. Bez twojej pomocy, panie, nie wrócilibyśmy tu.

Obaj Serianie zwinnie podnieśli się z podłogi, a potem oddali mu taki sam pokłon, jak wcześniej bogini. Cashel zaczerwienił się. Był tak zmieszany, że miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– Posłuchajcie – rzekł, kiedy doszedł do siebie. – Rad jestem, że mogłem wam pomóc. To, co się działo, nie było w porządku. Teraz jednak jesteście już bezpieczni, więc pójdę sobie.

Wyjął sakiewkę. Mellie pomknęła ku niemu, robiąc salta na podłodze. Jej płomiennie rude włosy migąły w powietrzu przy każdym przewrocie.

– Proszę, panie Cashelu – rzekł Jen i obaj Serianie podnieśli się, wyraźnie zatroskani. – Nie chcieliśmy pana obrazić.

– I nie powinienem brać od was pieniędzy za to, że wam pomogłem – dodał Cashel, szukając w sakiewce tych pięciu sztuk srebra, które Frasa dał mu przy fontannie. – Życzę wam zdrowia i powodzenia w interesach.

Wspinająca się po jego nogawce i kurtce Mellie robiła to tak delikatnie, jak trzmiel przysiadający, by spić kropelkę słonego potu. Weszła mu na ramię i powiedziała:

– Nigdy nie miałeś do czynienia z Serianami, Cashelu. Pamiętaj, że oni rzadko spotykali wieśniaków. I uczciwych ludzi w Carcosie – chyba że coś się tu zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty.

Cashel zawahał się, marszcząc brwi.

– Pływamy na Haft południowym szlakiem – wyjaśnił Frasa. – Na tych wodach jest wielu piratów, dlatego bierzemy na pokład górali. Nie znają się na nawigacji, więc nie musimy się obawiać, że przejmą statek, a nie mają nic przeciwko zabijaniu piratów.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Czy zjadaniu ich.

Cashel skinął głową. Nie wiedział, do czego zmierza Serianin, ale mógł poczekać. Czuł się głupio, trzymając w lewej ręce sakiewkę. Zawiązał ją i schował z powrotem pod kurtkę.

– W Carcosie – powiedział Jen, wyręczając brata – za murami tej fabryki nikt nas nie broni. Mamy nadzieję, że dzięki zatrudnionemu przez nas pośrednikowi szybko zakończymy tu interesy i nie będziemy musieli stąd wychodzić, ale nie możemy być tego pewni. Panie Cashelu, nawet gdybyśmy już nie potrzebowali pańskiej siły, obecność takiego człowieka honoru jak pan z pewnością ułatwiłaby nam zadanie. Proszę, zostań z nami i mając na względzie nasz honor, pozwól, że zapłacimy ci tak, jak obiecaliśmy.

Cashel powiódł po nich wzrokiem. Jen i Frasa byli do siebie tak podobni, jak posągi tych demonów na dole. Tutaj jednak to on był demonem...

– Podoba mi się to miejsce – oznajmiła Mellie. – Och, nie aż tak, by zostać tu długo, rzecz jasna. Jednak oni naprawdę usiłują być mili – i nie trzymają kotów.

Zachichotała.

Cashel pomyślał o góralach. No cóż, pewnie będzie mógł być opiekuńczym demonem Mellie

tutaj, a Jena i Frasy za murami fabryczki.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło – mruknął do Serian, spuszczać oczy. – Powiedziałem, że podejmę się tej pracy, a potem chciałem się wycofać. Przepraszam, panowie. Zostanę tu, aż sprzedacie wasze towary.

Frasa i Jen skłonili się i uśmiechnęli, a Mellie znów chwyciła go za szyję.

Coś wyrwało Sharinę ze snu. Czując lekkie poszturchiwania, pomyślała, że Nonnus też się zbudził. Tymczasem on już dawno wstał, a Sharinę zbudziło kołysanie dżubanki. Wiatr zmienił kierunek i teraz wiał z północy.

Pustelnik stał po drugiej stronie masztu, odwiązując fał. Asera i Meder siedzieli na rufie. Nie pośpieszyli mu z pomocą. Ale Nonnus nie chciał jej i nie potrzebował. Arystokraci nerwowo rozglądali się wokół. Przypominali Sharinie parę świstaków, czujnie obserwujących szybującego na niebie sokoła.

Sharina wiedziała, czego się bali. Ona sama cieszyła się z tego, że wiatr się zmienił, a jednocześnie była zawstydzona tym, że nie powstrzymała Medera od rzucenia czaru, który wywołał tę zmianę.

Przeszła przez stertę zapasów do Nonnusa. Bez jej pomocy doskonale mógł się obejść, ale ona przynajmniej wiedziała, co robić. Fał był przewleczony przez pojedynczy blok na czubku masztu. Sharina oburącz chwyciła reję i pomogła ciągnącemu za linę pustelnikowi podnieść mokry żagiel. W ten sposób przynajmniej było mu trochę lżej.

Żagiel natychmiast wypełnił się wiatrem, opryskując ją słonymi kroplami. Reja uniosła się poza zasięg jej rąk i Sharina cofnęła się. Bryza była słaba, ale stała.

– Nie jest to pogoda, jakiej bym oczekiwał – rzekł spokojnie Nonnus zza zasłony żagla. Pochylił się i owiązał fał na knadze przy podstawie masztu. – Dopóki trwa, dobrze posłuży naszym celom, a kiedy się skończy, możemy jeszcze spodziewać się północnego wiatru.

Sharina precyzyjnie się pod dolnym skrajem żagla. Niebo było zdecydowanie jaśniejsze, lecz słońce jeszcze nie weszło. Otaczał ich falujący, nieprzenikniony mrok.

Asera trzymała ster. Meder ze splecionymi rękami siedział obok niej.

– Dzień dobry, panie Nonnusie – powiedziała, gdy pustelnik wrócił przejąć od niej ster i szoty żagla. W takich chwilach arystokraci zwykle bez słowa przechodzili na drugi koniec wąskiej dżubanki, lecz tego ranka nie zdradzali chęci, by odejść na dziób.

– Dzień dobry, państwu – odparł Nonnus z ostrożną obojętnością. – Muszę tu usiąść, żeby zająć się żaglem.

Meder przełknął ślinę i podniósł się. Omijając wzrokiem pustelnika, zaczął gramolić się na dziób. Asera puściła ster, który i tak był przywiązany, więc pozwalał jedynie na niewielkie zmiany kursu.

– Tak, oczywiście – powiedziała i wstała.

Chociaż prokurator poruszała się tak godnie, jak to było możliwe w tej ciasnocie, w jej zachowaniu Sharina dostrzegła napięcie.

Szkatułka z czarodziejskimi przyborami Medera była wepchnięta pod siatkę przytrzymującą ładunek, lecz nie w tym samym miejscu, w którym tkwiła do północy, zanim czarodziej objął wachtę przy sterze. Sharina przełknęła ślinę, dostrzegając tę zmianę. Pustelnik zerknął na szkatułkę, lecz z jego posępnej, nieruchomej twarzy nie dało się wyczytać, czy coś zauważył.

I może tego ranka słońce wszędzie na zachodzie...

Nonnus poprawił ustawienie rei, odwiązał linę mocującą ster i wspomógł nim manewr. Łódź powoli, nieznacznie zmieniła kurs na wiatr, mocniej opierając się na pływaku z prawej burty. Sharina trzymała szoty żagla, stopniowo naciągając je, gdy ciężka dżubanka wykonywała powolny zwrot. Zbyt

gwałtowna zmiana kursu nie wyróciłaby łodzi – zapobiegały temu pływaki – lecz mogłaby zakończyć się złamaniem lub wyrwaniem masztu.

Ustawiając reję i nie odrywając oczu od płóciennego, wydętego wiatrem żagla, Nonnus rzekł:

– Widzę tu smugę krwi na pacholku, Mederze.

– Skaleczyłem się w rękę – zawołał piskliwym głosem siedzący za żaglem czarodziej. –

Rozciąłem sobie dłoń o sterczącą drzazgę, to wszystko!

Sharina obróciła głowę w bok, żeby ukryć wyraz twarzy. Żałowała, że poprzedniej nocy nic nie zrobiła, a jeszcze bardziej tego, że usiłowała ukryć przed pustelnikiem to, o czym już wiedział.

– Nonnusie... – zaczęła.

Przed nimi z prawej burty pojawiła się biała linia. Przytrzymałszy się prawej podpory masztu, Sharina przeskoczyła na wspornik mocujący pływak z kadłubem. Ta biała linia nie była złudzeniem, tak samo jak stado mew, czekających na świt, by unieść się nad fale, na których spędziły noc.

– Ziemia! – zawołała Sharina. – Ziemia z prawej burty! Spójrz, Nonnusie, ziemia!

Nonnus wskoczył na burtę i wychylił się. Nie przytrzymał się żadnej liny, tylko trzymany w lewej ręce oszczepem równoważył ciężar głowy i torsu. Przez chwilę trwał w tej pozycji, ku zgrozie Shariny. Potem wrócił do steru i jeszcze mocniej naciągnął żagiel. Nic nie powiedział.

Kiedy Sharina wróciła na pokład, Asera i Meder wyrzeli zza żagla. Na ich twarzach nadzieja i zdziwienie mieszały się z obawą.

– Czy to naprawdę łąd? – spytał gorączkowo Meder.

– Owszem, na to wygląda – rzekł Nonnus. Naciągnął szot, zanim Sharina zdążyła usiąść i znów chwycić liny. – W tej części morza nie powinno być żadnej wyspy.

Prokurator zmarszczyła brwi.

– Skąd to można wiedzieć, gdzie naprawdę jesteśmy? Niebo było zachmurzone, od kiedy opuściliśmy Tegmę.

– Właśnie, Tegmę – rzekł Nonnus z niewesołym uśmiechem. Oddał szoty Sharinie. – Zapewniam cię, pani, że wiem, gdzie jesteśmy. I wiem, że bez czarów Tegma nie wyłoniłaby się z morza.

– To nie moje dzieło! – rzekł Meder. – Nie miałem z tym nic wspólnego!

– Teraz to już chyba nie ma żadnego znaczenia, prawda? – rzekł beznamiętnie pustelnik. Poprawił reję, przytrzymując ster lewym łokciem.

– Ja tego nie zrobiłem – szepnął Meder, wymieniając z Aserą pełne powątpiewania spojrzenie.

Powietrze w grobowcu było gorące i suche. Płomień czarnej świecy powoli migotał, gdy Tenoctris podchodziła do niej, trzymając przed sobą prowizoryczną różdżkę. Świeca paliła się jasno i bez dymu, lecz matowe, ciemne kamienie wydawały się wchłaniać jej blask.

Tenoctris usiadła, podwijając nogi. Z niesmakiem spojrzała na ciało Benlo. Handlarz leżał na plecach, rozplątany od pępka prawie do gardła. Twarz miał wykrzywioną skurczem agonii. Bolesna śmierć sprawiła, że jego ciało natychmiast zeszywniało. Garric widział już kiedyś coś takiego, kiedy wierzgający po ukąszeniu gza muł równie okropnie rozpruł brzuch Zakiemu or-Mesli.

Benlo miał szeroko rozrzucone ramiona. W prawej ręce nadal ścisnął rytualny sztylet.

– Czy możemy coś zrobić? – zapytał Garric. Siedział nieruchomo na ostatnim stopniu, podczas gdy staruszka rozglądała się po krypcie.

– Być może – powiedziała Tenoctris, odwracając się do niego. – Jednakże wszystko, czego spróbujemy, będzie niebezpieczne. Sam musisz zdecydować, czy tego chcesz.

– Spróbujmy – rzekł Garric, nie ruszając się z miejsca.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię – rzuciła ostro Tenoctris. – To wydarzyło się dlatego, że Benlo przypadkowo otworzył niewłaściwe drzwi. Demon, nietykalny w tej płaszczyźnie, wtargnął przez nie i zabił go, a potem zabrał Liane i wrócił do swego świata.

Garric bez słowa napotkał jej spojrzenie. Uważała, że musi mu to wytłumaczyć, więc słuchał jej wyjaśnień. Może powinien zrozumieć, co się dzieje, zanim podejmie jakieś zalecone przez Tenoctris działania. Tak czy inaczej, przerywając jej tylko jeszcze bardziej, odwróciłby ich rozpoczęcie.

Jeśli jednak decyzja należała do niego, to Tenoctris w żaden sposób nie zdoła skłonić go do zmiany zdania.

– Ponieważ znam imię tego demona – ciągnęła – powinnam bez trudu dostać się do jego płaszczyzny. Benlo otworzył przejście za pomocą brutalnej siły, której ja nie mam, lecz może uda mi się otworzyć je ponownie.

Machnęła różdżką w kierunku rozszerzającej się jeszcze kałuży krwi. Słowo STRASEDON znikło kilka sekund po ich wejściu do grobowca, ale Garric wiedział, o kim mówi Tenoctris. Nie wymówił głośno imienia tego demona, żeby go nie przywołać.

– W porządku – rzekł, wzruszając ramionami. – Powiedziałaś, że jest nietykalny?

Splótł dłonie, ponieważ zaczęły mu drżeć z niecierpliwości. Wiedział, że powinien się obawiać, ale odczuwał tylko chęć działania i zakończenia tej historii – nawet gdyby miało to oznaczać jego własny koniec.

– Strasedon nietykalny był tutaj. W jego płaszczyźnie można go zabić – powiedziała Tenoctris, dając mu do zrozumienia, że może spokojnie wymawiać jego imię. Uśmiechnęła się kącikiem ust. – Tylko że tygrysa w dżungli też można zabić, Garricu, ale to trudne i niebezpieczne zadanie. Możesz napotkać tam inne groźne stwory poza Strasedonem.

Garric potrząsnął głową.

– Nieważne – rzekł. – I nie mówię tego tylko dlatego, że chodzi o Liane. Powiedziałbym to samo, gdyby porwał Benlo. Nie zamierzam odejść i zostawić człowieka w rękach czegoś, co robi...

Wskazał na trupa.

– ...coś takiego.

Tenoctris kiwnęła głową.

– Dobrze – mruknęła. – Po prostu musiałam ci o tym powiedzieć.

Wyjęła magiczny sztylet z dłoni Benlo. Musiała poruszyć nim kilkakrotnie do przodu i do tyłu, zanim zdołała rozluźnić kurczowo zaciśnięte palce nieboszczyka.

– Proszę, zabierz go stąd – rzuciła stanowczo. – Jeśli przeżyjemy, wyprawimy mu należyty pochówek.

Garric odciągnął trupa na bok. Tenoctris umoczyła rękojeść sztyletu w krzepnącej krwi i zaczęła kreślić nią na podłodze znaki, częściowo pokrywające magiczne słowa napisane przez handlarza.

– Dobrze, że umiesz czytać Dawne Pismo – powiedziała, nie przerywając. – Do rzucenia tego zaklęcia potrzebne są dwa głosy. Pewnie dlatego Benlo przyprowadził tu Liane. Oczywiście, gdyby naprawdę wiedział, co robi...

Zamilkła, nie kończąc zdania – bo też nie musiała.

Garric zastanawiał się, czy użyła krwi z jakiegoś szczególnego powodu, czy też tylko dlatego, że w ten sposób najłatwiej było jej pisać po kamieniu. Staruszka wykazywała czasem niezwykle pragmatyzm, w pełni doceniany przez wychowanego na wsi młodzieńca.

Ponownie umoczyła sztylet.

– Najwyraźniej Benlo zrobił go sam – mruknęła. – Zdumiewające, chociaż żelazo idealnie się do tego nadaje, jeśli tylko ktoś ma wystarczającą moc, aby je wykorzystać. Benlo zaklął w nim splot rozmaitych sił, których nawet ja nie umiałabym rozplątać. Nic dziwnego, że przeniósł się do niewłaściwej płaszczyzny!

– A więc nie możesz go wykorzystać? – spytał Garric. Patrząc na słowa, które kreśliła na bazalcie, rozmyślnie zaciskał zęby, żeby przypadkiem nie odczytać ich na głos, co mogłoby mieć nieprzewidziane skutki.

– Och, użyję mojej różdżki – powiedziała z roztargnieniem Tenoctris. – Jest neutralna i znacznie bezpieczniejsza. W obliczu takich sił tylko szalenciec lub zuchwały ignorant użyłby narzędzia potęgującego ich moc.

Nakreśliwszy dwa koncentryczne kręgi słów w Dawnym Piśmie na kamieniach między nią a Garricem, wyprostowała się. Ostrzem sztyletu Benlo wskazała na znaki i spytała:

– Potrafisz to odczytać?

– Tak, pani – skinął głową Garric.

– W porządku – rzekła Tenoctris. Powoli się wyprostowała, oszczędzając swoje stare kości. – Ja przeczytam słowa z zewnętrznego kręgu. Kiedy dojdę do wewnętrznego, zaczniesz wypowiadać je ze mną. W takim samym rytmie. Rozumiesz?

– Tak, pani – powiedział Garric. Był spięty i lekko zaniepokojony, jakby miał skoczyć do wody z wysokiego brzegu.

– Kiedy otworzy się przejście, wejdziemy w nie razem – powiedziała staruszka. – Musimy to zrobić szybko. Rozumiesz?

– Tak, pani – powtórzył. Nie zapomniała o niczym. Tak powinno być.

– A zatem – rzekła z nikłym uśmiechem – zaczynam.

Wskazując gałązką każdą kolejną sylabę, zaczęła czytać.

– *Anoch ai akrammachamari...*

Jej głos był czysty i miarowy, jak dźwięk piły przecinającej pień drzewa.

– *Lampsouer lameer lamhore...*

Dotarła do ostatniego słowa zewnętrznego kręgu. Kierując się ruchami różdżki i dotychczasowym rytmem słów, Garric razem ze staruszką zaczął czytać następne.

– *Iao barbathiaoth ablanathanalba!*

W powietrzu przed nimi pojawiła się tafla ciemnoczerwonego światła, jak żelazo po pierwszym uderzeniu kowalskiego młota. Teonoctris wyciągnęła lewą rękę i ujęła prawicę Garrica.

Garricu... usłyszał głos Liane z oddali większej niż przepaść między dwoma światami.

Trzymając się za ręce, Garric i staruszka weszli w ogień.

Ilna ujrzała tłum na ulicy przed gospodą. Widocznie coś się stało – coś złego przydarzyło się Garricowi. Po raz pierwszy od chwili, gdy opuściła „Odpoczynek Kapitana”, poderwała się do biegu.

Wypełniła wszystkie obowiązki, jakich podjęła się w zamian za wikt i dach nad głową: pozabijała, oskubała i wypatroszyła kurczaki na jutrzejszy obiad. Kucharz był zachwycony szybkością z jaką pracowała, natomiast sama Ilna uważała, że w pośpiechu zmarnowała za dużo pierza. Wprawdzie nikt nie wytykał jej tego niedbalstwa, ale Ilna os-Kenset nigdy nie przejmowała się tym, co myślą inni. Istotne było to, że ona o tym wiedziała.

Gdyby mogła, wróciłaby do „Czerwonego Muła” z Garricem. On i Tenoctris wyszli tuż przed tym, zanim skończyła pracę. Nie wiedzieli, że chciała pójść z nimi, inaczej zaczekaliby na nią. Ilna nie chciała ich zatrzymywać, więc poszła za nimi, bez przewodnika czy latarni. Kręte uliczki, które dla innych były istnym labiryntem, tworzyły dziecinnie łatwy wzór dla umysłu przywykłego do zawitych tkackich wzorów.

Ilna wypatroszyła i pokroiła kurczaki własnym nożem z kościaną rękojeścią i ostrzem z dobrej stali, cienkim od długoletniego używania. Ostatnią czynnością, jaką wykonała, zanim opuściła kuchnię „Odpoczynku Kapitana”, było naostrzenie noża na gładkim wapiennym progu.

Przebisnęła się przez tłum. Ludzie spoglądali w kierunku znajdującego się po drugiej stronie ulicy cmentarza, rozmawiając z ożywieniem. Kilku odważniejszych nawet siedziało na murze, chociaż przezornie nie przekładali nóg na drugą stronę. Nie musiało to mieć nic wspólnego z Garricem...

Jednak Ilna wiedziała, że ma. Czuła to przez skórę.

Strażnicy Benlo stali razem pod murem, z zatroskanymi minami spoglądając na cmentarz i wymieniając uwagi. Ilna podeszła do nich i spytała:

– Panie Raldzie? Gdzie jest Garric?

Rald odruchowo sięgnął po miecz, którego nie miał u boku, jednocześnie obracając się, by zobaczyć, kto mówi. Wiedziała, że sprawił to lodowaty ton jej głosu, ale nie miała ochoty na długie pogawędki ani teraz, ani nigdy.

– Przepraszam, panienko – wymamrotał zmieszany dowódca strażników. Ci ludzie poznali ją podczas podróży z Barca’s Hamlet, a jeśli nawet jej nie polubili, to nabrali do niej szacunku. Okrytą hełmem głową skinął w kierunku oblanych księżycowym blaskiem grobowców. – On jest tam, razem z tą starszą panią. Mistrz Benlo i jego córka też, jak sądzę.

– A więc dlaczego wy jesteście tutaj? – zapytała. – Co się stało?

Najchętniej od razu wspięłaby się na mur, ale najpierw powinna dowiedzieć się czegoś więcej. Ilna zawsze dokładnie obmyślała wzór, zanim zabrała się do pracy. Ci, którzy tkali bez namysłu byli głupcami, a nawet gorzej: byli kiepskimi rzemieślnikami.

– Wkrótce po tym, jak twój przyjaciel przeskoczył przez mur, zobaczyliśmy tam światło – rzekł Rald. – Jakby błysk, ale nie taki jak błyskawica, raczej czerwony jak... jasnoczerwony.

Czerwony jak krew.

Strażnik mówił spokojnym tonem, ale miał niepewną minę. Nawet nie widząc chłodnej dezaprobaty na twarzy dziewczyny, z pewnością czuł, że odważniejszy człowiek na jego miejscu zignorowałby rozkaz i poszedł szukać pracodawcy. Jednakże kiedy się wie, że pracodawca jest czarodziejem, trzeba znaleźć w sobie innego rodzaju odwagę niż ta, jaka jest potrzebna, by stawić

czoło uzbrojonym w miecze ludziom..

– Ktoś wrzasnął – powiedział inny strażnik, nie patrząc na Ilnę. – Mógł to być głos każdego z nich.

– Czy ktoś poszedł tam sprawdzić co się stało? – powiedziała Ilna. – Od kiedy poszedł tam Garric.

Drugi strażnik odwrócił się i gniewnie spojrzał w jej zimne oczy.

– Nie – warknął. – Nikt nie był taki głupi. Może za dnia ktoś tam pójdzie, ale nie ja. Teraz na pewno nie!

– Chyba czas, żeby ktoś okazał się mężczyzną, no nie? – rzuciła wzgardliwie. Oburącz chwyciła krawędź muru i wepchnęła palce prawej stopy w szczelinę między drugim a trzecim głazem, licząc od ziemi.

Ktoś, zapewne Rald, próbował złapać ją za nogę. Wierzgnęła gniewnie, a potem ponownie odnalazła szczelinę i bez niczyjej pomocy podniosła się i zeskoczyła na drugą stronę. Za plecami słyszała gwar ożywionych rozmów, gdy stojący w pobliżu miejsca, gdzie przeskoczyła przez mur, wyjaśniali znajdującym się dalej gapiom, co zaszło. Mimo to nie słyszała, żeby ktoś za nią poszedł, a trzydzieści kroków od muru głosy te nie były głośniejsze od bzyczenia owadów i ćwierkania nocnych ptaków.

Ilna podążała niewidocznym śladem. Nie potrafiłaby opisać ani wyjaśnić swoich uczuć, a mimo to zaufała im. Jednakże to przecucie nie oświetlało jej drogi, więc raz po raz potykała się o otwarte kamienne groby, którymi usiany był teren między grobowcami. Kamień nigdy nie był jej przyjacielem, lecz i on nie mógł jej zatrzymać.

Wydało jej się, że coś słyszy, ale nie była pewna, czy ten dźwięk wychwyciła uchem. Rytmiczne pulsowanie, przypominające odgłos wpadających do groty fal. Nie głosy, pomyślała, a przynajmniej nie ludzkie głosy.

Stanąła za grubym pniem cedru. Nad jej głową stado ptaków z łopotem poderwało się do lotu. Odruchowo skuliła się, zawstydzona własnym przestrawem zanim jeszcze po uderzeniach skrzydeł poznała, że spłoszyła nocujące na drzewie gołębie.

Za pasem miała kuchenny nóż w pochewce z owczej kości udowej. Wepchnęła go tam, kiedy weszła w stojący przed cmentarzem tłum. Teraz nie wyjęła go, tylko odwinęła sznur, którym była owiązana w talii. Ten kantar wzięła ze stajni przy rzece Stroma. Teraz przydał jej się, bo trzymając go w dłoniach poczuła się pewniej.

Dotarła do pary grobowców zbudowanych z kamieni o dwóch różnych kolorach. Jaśniejszy, po prawej, był ozdobiony kwiatami świadczącymi o niedawnym pochówku. Drzwi do jego czarnego towarzysza stały otworem. Z wnętrza sączyło się światło świec i słychać było ludzkie głosy.

Ilna ruszyła do drzwi. Grobowiec wypełniało pulsujące jak serce wulkanu światło. Weszła do środka i ujrzała sylwetki Garrica i Tenoctris. Trzymali się za ręce.

Benlo leżał nieżywy, a Liane nie widziała.

Garric i Tenoctris weszli razem w portal piekielnego ognia. Ten natychmiast zaczął przygasać.

Na pewno szli po Liane. Garric zamierzał się uratować.

– Nie dostanie go – szepnęła Ilna i skoczyła w światło, w którym zniknęli ci dwoje.

Fala załamała się na brzegu wyspy i omyła jego łagodne zbocze, pluszcząc i pieniając się w głębokich zatoczkach.

– Czy Morze Zewnętrzne zawsze jest takie spokojne? – zapytała Sharina.

Fala uniosła na swym grzbiecie dłubankę i cofając się, osadziła ją na brzegu. Nonnus jeszcze raz owinał linę wokół dwóch długich ćwieków, które wbił w skałę. Czwooro ludzi nie miało zbyt dużo siły, by wciągnąć ciężką łódź poza zasięg przyływu, więc pustelnik w ten sposób zabezpieczył ją przed porwaniem przez morze.

Sapiąc z wysiłku, odparł:

– Do dzisiejszego dnia nigdy nie nazwałbym go spokojnym. Ta podróż jest dla mnie pod wieloma względami bardzo pouczająca.

Asera i Meder przenosili rzeczy osobiste na wzgórek, na którym mieli rozbić obóz poza zasięgiem fal. Wyspa miała około kilometra średnicy i była litą skałą, której najwyższy punkt wznosił się zaledwie dwadzieścia metrów nad poziom wody. Na razie nie mieli czasu, by rozejrzeć się wokół, ale Sharina nie spodziewała się, by znaleźli tu pitną wodę. Jak okiem sięgnąć, skały były pokryte małżami i wodorostami. Widocznie morze regularnie zalewało wyspę, umożliwiając rozwój tych form życia.

Nie było tu drzew, krzewów ani lądowych zwierząt – nawet owadów. Kraby biegały w płytkich zagłębieniach, wyzywająco unosząc szczypce na widok zbliżających się ludzi. Sharina nie lubiła krabów. Wyglądały na wiecznie rozgniewane, w czym przypominały jej matkę. Pomyślała, że będą miłym urozmaiceniem diety złożonej z ryb i płatków zbożowych.

– Czy wiesz, gdzie się znajdujemy, Nonnusie? – zapytała, ścisząc głos, chociaż arystokraci znajdowali się zbyt daleko, by mogli ją usłyszeć.

Westchnął i pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – odparł. – Lita skała, ale nie wulkaniczna, a powiedziałbym, że w tej części morza dno znajduje się na głębokości większej niż tysiąc sążni.

– Czy jesteśmy w tej samej części świata, z której przybyliśmy? – spytała. Przypomniała sobie Tegmę i jej dziwne niebo, które załoga triremy ujrzała po przepłynięciu przez pierścień raf.

– Och, tak – odparł Nonnus. Zaśmiał się. – Prądy są takie jak należy, woda ma prawidłowy smak, słońce wschodzi tam, gdzie powinno, a mewy to te same ptaki, które tysiące razy podkradały mi jedzenie, kiedy żeglowałem po tych wodach. Jediną niezwykłą rzeczą jest ta wyspa w miejscu, w którym nigdy jej nie było.

Skała miała gładką, śliską powierzchnię kamienia wygładzanego przez pokolenia przez wartki nurt. Jedyne jej nierównościami były szerokie parowy. Tworzyły mozaikę pokrywającą całą kopulastą powierzchnię, przynajmniej po tej stronie wyspy. Sharina nie dostrzegła żadnego żwiru. Sądząc po tym, co widziała, cała ta wyspa była jedną czerwono-brązową skałą.

– Jest bardzo stara – powiedziała cicho. To wrażenie było przytłaczające. Tegma wydawała się obca, lecz ta wyspa była po prostu stara.

– Tak – potwierdził Nonnus. – Tylko że nie zestarzała się tutaj.

Fala ponownie załamała brzeg, omywając kostki Shariny i opryskując ją pianą po kolana. Dłubanka zakołysała się, lecz jej kil mocno opierał się na dnie.

– No cóż, my też się tu nie zestarzejemy, moje dziecko – rzekł pustelnik. – Nie mam nic

przeciwno temu, by znów mieć pod nogami stały ląd, lecz jeśli wiatr nie ucichnie, odpłyniemy o świcie.

Spojrzał na morze, a potem osłonił oczy dłonią i popatrzył na wschód, na szczyt wzgórza. Asera i czarodziej najwyraźniej postanowili wspiąć się na samą górę. Często zsuwali się, bo śliska skała i wodorosty utrudniały wspinaczkę. Parowy, chociaż przeważnie głębokie najwyżej na metr lub dwa, w niektórych miejscach miały zagłębienia, z których sączyła się morska woda, mocząc powierzchnię skały.

– Poszukam drewna – powiedziała Sharina. – Miło byłoby rozpaść ognisko.

Nonnus skinął głową.

– Tak... – przytaknął z namysłem jak ktoś, kto nie spodziewa się sukcesu, ale nie widzi nic złego w podjęciu takiej próby. – Ja nazbieram wodorostów. Niektóre z nich są jadalne.

Z ponurym uśmiechem, który Sharina zdążyła już tak dobrze poznać, ponownie spojrzał na wzgórze.

– Nasi towarzysze będą narzekać na smak, ale dzięki temu pożywieniu może nie powypadają im zęby.

Popatrzył na nią.

– I zbuduję maleńki ołtarzyk dla naszej Pani – oznajmił – żeby podziękować jej za dotychczasową opiekę.

– Nonnusie? – dopytywała się. – A gdzie my rozbijemy obóz?

– Tuż poza zasięgiem fal – odparł, pokazując na nierówną powierzchnię. – Dziesięć metrów powinno wystarczyć. Ćwieki wbiłem głęboko, ale nasza łódź piekielnie dużo waży, a morze lubi płać figle. Szczególnie to morze.

Paluchem nogi postukał w skałę.

Sharina ruszyła wzdłuż brzegu, idąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Kiedy przybijali, nie dostrzegła żadnych kawałków drewna ani innych szczątków, ale w jednej z rozpadlin mógł utknąć jakiś pień lub konar. Ponadto miło było przejść się, po raz pierwszy od kilku dni.

– Dziecko? – zawołał Nonnus.

Odwróciła się.

– Uważaj, proszę. Myślę, że odpłyniemy stąd o świcie, obojętnie jaki będzie wiatr. To nie jest miejsce dla nas.

Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym, lecz dłoń pustelnika nie odrywała się od rękojeści pewłańskiego noża, tak samo jak jej dłoń spoczywała w pobliżu toporka, który tkwił za jej pasem.

Słońce było czarne, a niebo czerwone. Skwar dokuczał Garricowi bardziej niż podczas ostatnich sierpniowych sianokosów, tym bardziej, że tu w powietrzu nie było ani odrobiny wilgoci.

Dotknął rękojeści pożyczanego miecza. Była zrobiona z leszczynowego drewna i miała płytkie wyżłobienia na palce. Całe szczęście, lecz gałka w kształcie orzecha laskowego i jelec były z posrebrzanego brązu, który w tym czarnym świetle wkrótce rozgrzeje się tak, że zacznie parzyć. Tknięty nie swoim przecuciem, Garric wyciągnął zza pasa skraj kurtki i jej fałdem zasłonił metalowe części rękojeści. Gdyby tego nie zrobił, nie mógłby jej uchwycić w chwili, kiedy nie będzie czasu na błędy.

Postać tkwiąca w podświadomości Garrica знаła się na mieczach. Och tak, bardzo dobrze się znała.

– Czy zawsze tak jest, pani? – spytał. Spojrzał na czerwono-czarne pustkowie. Wiatr ucichł i słowa Garrica były jedynym dźwiękiem w tym świecie. – Czy to tu mieszkają demony?

– Tutaj mieszka Strasedon – odparła Tenoctris. – Natomiast co do płaszczyzn zamieszkałych przez inne demony... Garricu, jeszcze nikt nigdy nie dokonał czegoś takiego. A przynajmniej nie wrócił stąd, żeby porobić notatki.

– Ach tak – mruknął Garric. – No cóż, to właściwie bez znaczenia.

Tenoctris ze skrzyżowanymi nogami usiadła na ziemi i prowizoryczną różdżką zaczęła kreślić symbole. Ziemia miała konsystencję grząskiego piasku. Kiedy zaczęła parzyć go przez zgrubiałe podeszwy stóp, Garric odruchowo przeszedł na ciemniejszą ścieżkę, którą z doświadczenia wziął za cieniastą.

Poczuł się tak, jakby stanął na rozżarzonych węglach. Natychmiast przeskoczył z powrotem na czerwoną ziemię.

Taki odruch mógł źle się skończyć. Mógł go zabić.

Tenoctris nakreśliła patykiem postać mężczyzny i umieściła nieznanome symbole między jego czterema kończynami a głową. Potem otoczyła postać słowami Dawnego Pisma.

Garric ponownie zaczął rozglądać się wokół. Okolica wyglądała ponuro, ale całkiem zwyczajnie, jeśli pominąć odwrócone role światła i ciemności. Wokół wznosiły się bezkresne nagie zbocza, ściany pnące się w górę szeregami zerodowanych stopni. Turnie i głazy odcinały się czernią od czerwonego nieba.

Nic tu nie rosło, a ilekroć Garric spojrział w bok, miał wrażenie, że coś szybko umyka tuż za polem jego widzenia. Nie odrywał dłoni od zakrytej materiałem rękojeści miecza.

Tenoctris skończyła kreślić znaki na ziemi i z gorzkim uśmiechem popatrzyła na towarzysza.

– Muszę poczekać kilka minut zanim odczytam zaklęcie – oznajmiła. – Południe to najlepsza pora, a właśnie się zbliża.

Garric odciągnął od ciała na piersi mokrą od potu tunikę i spróbował odpowiedzieć jej uśmiechem. *Żałuję, że nie mam na głowie kapelusza*, pomyślał. Pewnie w ten sposób usiłował oderwać myśli od prawdziwych problemów.

– Czy to zaklęcie ma zaprowadzić nas do Strasedona? – zapytał, zastanawiając się, czy śmierć Benlo była bardzo bolesna. W tym nierównym terenie nie zdołałby wcześniej zauważyć obecności demona. Z obu stron na dno doliny opadały tuziny głębokich żlebów, a w każdym z nich mógł cziąć się wilk morski lub demon. Ziemię przecinały liczne parowy, jasnoczerwone pasy cienia kilku

metrowej szerokości, w których mogły kryć się potwory.

Benlo krzyczał, ale nie długo.

Tenoctris pokręciła głową.

– Strasedon jest całą tą płaszczyzną, którą widzimy – oznajmiła. Podniosła garść kamienistej ziemi i pozwoliła, by przesypała się jej przez palce. – Znajdę Liane, ponieważ ona jest jedyną zmianą w idealnej monotonii.

Rozejrzała się wokół.

– To jest... – uśmiechnęła się smutnie ze swojej głupoty. – Dla mnie to cudowne doświadczenie, coś, czego nigdy nie spodziewałam się zobaczyć. Tutaj znajduje się tak ogromna moc, że prawie namacalna.

Poruszyła dłonią w powietrzu, jakby dotykała niewidzialnej ściany.

– Jest czysta, a nie złożona z rozmaitych sił w przeciwieństwie do tej, jaką znajduje się na naszej płaszczyźnie, którą zwiemy realnym światem – dodała. – Jej potęga może nas ocalić, gdyż własna siła ogranicza możliwości działania Strasedona.

Garricowi zaschło w gardle i zaczęły mu pękać wargi.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma tu takiego demona jak ten, który napotkał Benlo? – zapytał. Zabił Benlo. – Po prostu znajdziemy Liane i zabierzemy ją stąd?

– Tutaj jest demon – odparła Tenoctris. – I dopóki nie zginie, nie wypuści Liane.

Podniosła wolną rękę, ucinając rozmowę.

– Już czas – powiedziała.

Nie zwracając uwagi na Garrica, staruszka opuściła różdżkę i zaczęła mamrotać słowa zaklęcia.

Garric kiwnął głową, mocniej ujął miecz i czekał.

W środku nakreślonego przez Tenoctris kręgu rozległ się cichy trzask, jakby płonącego knotu. Rozbłysło pasmo białego światła: najpierw powoli, potem z rosnącym rozpędem głazu staczającego się z klifowego brzegu do morza. Ziemia zafalowała, jakby coś przemknęło tuż pod nią aż do podnóża pobliskiego wzgórka. Widok tego czystego światła uspokoił Garrica i uzmysłowił mu, jak bardzo był spięty.

– A więc tędy – rzekł głośno. Podał Tenoctris lewą rękę, żeby pomóc jej wstać. Zbocza pagórka były strome, lecz szczeliny i wgłębienia tworzyły wyraźną ścieżkę w suchej ziemi.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Ponownie rozejrzał się wokół i zapytał:

– Pani? Tych drzwi, przez które przybyliśmy, nie widać z tej strony. Jak zdołamy wrócić?

– Będziemy się o to martwić, kiedy zabijemy Strasedona, Garricu – odparła Tenoctris. – W przeciwnym razie nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Po zapadnięciu zmroku tłum przed seriańskim magazynem rósł z każdą minutą, tak jak niektóre najbardziej okazałe kwiaty otwierające się w ciemności. Kilku miejscowych rzucało kamieniami, ale większość patrzyła tylko z zadowoleniem kota, który z rozstawionymi łapami czeka, w którą stronę skoczy mysz.

– Wasz pośrednik postąpiłby lepiej, przychodząc tu za dnia – rzekł niespokojnie Cashel. Drapieżcy krążyli wokół jego stada, a on nic nie mógł na to poradzić.

Frasa wyciągnął oba małe palce, co było odpowiednikiem wzruszenia ramion.

– Tak postanowił Temo – rzekł. – Mieszka tu od dwudziestu lat, więc musimy ufać, że potrafi lepiej ocenić tego rodzaju sytuację niż my.

– Był w Carcosie podczas zamieszek przed siedemnastoma laty – przytaknął Jen. – Możemy tylko mieć nadzieję.

Mellie myszkowała na dachu, zaglądając do rynien i czasem wyłaniała się kilka metrów od miejsca, w którym Cashel widział ją poprzednio. Duszka była widoczna zarówno w świetle, jak i w ciemnościach, jakby oświetlało ją inne niebo niż to, pod jakim się znajdowała. Cashel wiedział, że nigdy nie przyzwyczai się do nonszalancji, z jaką Mellie narażała się na niebezpieczeństwo, jednak – jak zwykle – nigdy nie wyraził głośno swoich obaw.

– Człowiek, z którym robicie interesy nie jest Carcosaninem? – zapytał głośno. Miał dziwne wrażenie, że stoi na płaskim dachu, spoglądając z góry na świat. Dachy domów w Barca's Hamlet były strome i przeważnie kryte strzechą. Nawet starożytne dachówki młyna pokrywały stożkowaty dach i zasilały równie starą cysterne deszczówką, którą Ilna wykorzystywała do prania delikatnych tkanin.

– W przeszłości korzystaliśmy tu z usług dwóch pośredników – wyjaśnił Frasa. – Ten drugi, Sidras or-Morr, jest tutejszy.

– W przeszłości sprawiał wrażenie uczciwego i zręcznego – rzekł Jen. – Jednakże w tych okolicznościach uznaliśmy, że lepszy będzie Themo or-Casmon. Jego rodzina pochodzi z Ornifal, więc on będzie mniej skłonny do miejscowych animozji.

– Ludzie z Ornifal nie darzą nienawiścią czcicieli diabła? – spytał Cashel, marszcząc brwi.

Jen znów zeszywniał, a potem uśmiechnął się najszerszym uśmiechem, jaki Cashel dotychczas widział na jego twarzy. Frasa rzekł:

– Panie Cashelu, w obecnych okolicznościach nie liczyłbym na uczciwość w interesach, nawet gdyby chodziło o Serianina z mojej rodziny. Postanowiliśmy wybrać pośrednika, którego nie będą tak krępowały więzy lojalności wobec księcia Lascarga.

Cashel nie sądził, żeby ktokolwiek naprawdę był lojalny względem Lascarga, ani by książę troszczył się o kogokolwiek poza sobą samym. Tenoctris twierdziła, że miejscowe społeczeństwo rozpada się pod naporem zewnętrznych czynników, lecz takie naciski nie czynią człowieka złym ani słabym, jedynie stwarzają okazję do ujawnienia takich cech.

Obywatele z cegłami w rękach i nienawiścią w sercach stojący przed fabryką, sami dokonali wyboru i czary nie miały z tym nic wspólnego. Cashel pałąką pokazał już kilku z nim, co myśli o zaczepianiu obcych. Wszystko wskazywało na to, że znów będzie musiał udzielić im lekcji.

Szeroka ulica Portowa była pozostałością Dawnego Królestwa. Po jej drugiej stronie stały kamienice mieszkalne. Tłum na ulicy nie mógł dostrzec Cashela i seriańskich kupców na tle ciemnego

nieba, lecz ludzie na dachach zauważyli ich sylwetki odcinające się od jasnych cegieł

– Brudasy! Brudasy! Brudasy! – wrzasnęła dziewczyna młodsza od Cashela i rzuciła dachówką. Pocisk nie przeleciał nawet połowy drogi do celu i spadł na ulicę, rozbijając się wśród stojącego tam tłumu.

– Strzały! – krzyknął ktoś z pierzchających przed ostrymi odłamkami dachówki. – Te brudasy strzelają do nas!

– Może lepiej wróćmy do środka – zaproponował Cashel, zastanawiając się w duchu, gdzie podziła się Mellie. Dach znajdował się w zasięgu rzutu kamieniem. Jeśli tłum zorientuje się, że obserwują go z dachu, obrzuci ich gradem kamieni, które mogą kogoś zranić.

– Nadchodzi – rzekł Frasa. – To Themo.

Z południa ulicą nadeszło pół tuzina zbrojnych w stalowych hełmach i pikowanych skórzanych kubrakach. Pięciu miało włócznie i małe okrągłe tarcze mocowane do przedramienia. Szósty niósł większą tarczę i nie miał włóczni.

Tłum zauważył ludzi pośrednika prawie w tej samej chwili co Frasa. W tłumie rozległ się głuchy pomruk. Strażnicy Themo unieśli włócznie, przygotowując je do ataku. Najbliżej stojący demonstranci cofali się lub rozstępowali na boki, ci z tyłu zaczęli ciskać kamieniami. Grad rzuconych na oślep pocisków rozproszył tłum szybciej niż zrobiłyby to włócznie. Themo i jego zbrojni pobiegli do bramy fabryki.

Frasa i Jen ruszyli w kierunku schodów. Cashel wycofywał się za nimi, gotowy osłonić ich przed rzuconym z ulicy kamieniem, a także rozpaczliwie rozglądając się za Mellie.

– Na razie to nic poważnego – powiedziała duszka na jego ramieniu. Przestraszony Cashel wywinął młyńca pałką, gwałtownym półobrotem reagując na nieistniejące zagrożenie. – Można wyczuć, kiedy tłum nie żartuje.

– Nie strasz mnie tak! – syknął Cashel. Nawet nie czuł jak wspięła mu się po nodze. Czyżby przeskoczyła na jego ramię prosto z krawędzi dachu?

Mellie zachichotała i posłusznie objęła go za szyję.

Przez chwilę w korytarzu słyhać było krzyki i przekleństwa, które zaraz ucichły, gdy słudzy Serian zatrzasnęli bramę za Themo i jego ludźmi. Pośrednik rzucił na posadzkę tarczę i stalowy hełm. Był chudym mężczyzną o siwiejących blond włosach. Gniewnie spoglądając na stojących na schodach braci, warknął:

– Nie powiedzieliście mi, że tak to wygląda! Chcieliście, żeby mnie zabili?

– Wybacz nam, panie Themo – rzekł Jen, kłaniając się nisko. Cashel był przekonany, że gdyby bracia nie stali na schodach, padliby na kolana przed przybyłym. – Nie chcieliśmy wysłać górali na ulicę, aby oczekiwali twojego nadejścia, żeby nie dawać władzom pretekstu do użycia przeciwko nam żołnierzy.

Wprawdzie nie była to jego sprawa, lecz Cashel zżymał się w duchu, słysząc te słowa. Serianie nie mieli za co przeproszać: to nie było ich miasto, ich ludzie, i nie oni się spóźnili. Ponadto na ulicy znajdowało się najwyżej sto osób. Cashel z Garricem i czterema krzepkimi chłopakami z wioski mogliby w kilka minut rozpędzić tę nędzną bandę, nie męcząc się przy tym bardziej niż przy młócce.

– Nie chciał pokazywać się ludziom przy dziennym świetle – powiedziała Mellie, leżąc na plecach i w tej pozycji dotykając rękami palców u nóg. – Bał się, że zobaczą, jak spiskuje z czcicielami diabła.

Parsknęła perlistym śmiechem i dodała:

– A nawiasem mówiąc, któżby chciał czcić demona? Przeważnie są tak głupie, że nawet nie ma o czym z nimi pogadać.

Themo wszedł po schodach razem z dwoma swoimi strażnikami: rudowłosym oraz tym, którego spłaszczony nos i pokryte szramami policzki zdradzały doświadczonego pięściarza. Odłożyli włącznie, lecz nadal mieli na głowach stalowe hełmy i miecze zawieszane na przerzuconych przez skórzane kubraki pendentach.

Strażnicy obrzucili Cashela takim samym wzgardliwym spojrzeniem, jakim patrzyli na wszystkich obecnych w fabryce, włącznie z braćmi i czterema góralami zaśmiewającymi się w holu. Pogardliwe traktowanie tych małych zabójców wydało się Cashelowi taką samą głupotą, jak lekceważenie jadowitego węża z powodu jego niewielkich rozmiarów.

– Nie podoba mi się ten człowiek – powiedziała Mellie, mierząc wzrokiem Themo. Cashel nie odezwał się słowem, idąc za Serianami i ich gośćmi do biura, ale w pełni się z nią zgadzał.

– Kto to? – zapytał Themo, kierując to pytanie do braci i wskazując kciukiem na Cashela. Sługa zamknął za nimi drzwi.

– To nasz doradca, pan Cashel or-Kenset – odparł spokojnie Frasa. – Pochodzi z tej krainy.

Themo zmierzył wzrokiem Cashela i ze zdziwieniem zmarszczył brwi, po czym natychmiast zapomniał o jego obecności. Cashel wiedział, że wygląda dokładnie na tego, kim jest: wielkiego pasterza, który nie miał tu czego szukać. Prawą ręką mocno ścisnął pałkę na wypadek, gdyby Themo chciał z czystej uprzejmości ucisnąć mu dłoń. Chociaż pośrednik nie wyglądał na szczególnie uprzejmego człowieka. Usiadł nie czekając na zaproszenie i z sakwy przy pasie wyjął kilka złożonych kartek ryżowego papieru.

– W porządku – rzekł. – Przejrzałem wasz spis i większość wygląda przyzwoicie. Nie zdołałem uzyskać za posążki takiej ceny, jaką powinny mieć figurki z seledynu. Dlaczego chcecie zmieniać ludzki gust, chociaż dobrze wiecie, czego pragną nabywcy?

Jen przeprasząco skinął głową.

– Te figurki są bardzo popularne w Valles – powiedział. – Mieliśmy nadzieję, że kiedy wieść o tej dworskiej modzie dotrze na Haft, zapotrzebowanie na nie wzrośnie.

– No, tutaj one nie idą – mruknął Themo. – Najchętniej kazałbym wam zabrać je z powrotem jako balast, lecz ze względu na nasze długoletnie kontakty oddam wam przysługę i wezmę je.

Bracia nic nie powiedzieli. Themo ponownie sięgnął do sakwy i wyjął następny spis, tym razem sporządzony na dwóch cienkich deseczkach.

– Oto co proponuję w zamian – rzekł, rzucając je na stół, zamiast podać gospodarzom. – Rozumiecie, że teraz przez długi czas będę miał kłopoty ze zbyciem jakiegokolwiek seriańskiego towaru. Może nawet będę musiał wszystko wrzucić do morza, żeby nie oskarżono mnie o konszachty z czcicielami diabła. I wiem, że w najbliższym czasie na pewno nie należy się spodziewać od was żadnych dostaw.

Nadal bez słowa, bracia podnieśli po jednej deseczce, przeczytali, a potem zamienili się nimi. Później spojrzeli po sobie. Frasa oddał bratu deseczkę, którą trzymał i rzekł:

– To zadowalająca cena, panie Themo. Chociaż mówienie tego nie leży w moim interesie, uważam, że w tych okolicznościach to bardzo szczodra propozycja. Każemy przygotować kontrakt.

Jen wręczył listę odzianemu w długą szatę słudze, który ruszył z nią w kierunku sekretarzyka, stojącego pod ścianą opodal Cashela.

– Już go przygotowałem – powiedział pośrednik i wyjął z torby trzeci dokument: wąski zwój pergaminu o postrzępionych brzegach, związany czerwoną wstążeczką.

Rzucił rulon Frasie, który z niewzruszoną miną rozwiązał go. Jen złożył dłonie i wydawał się spokojnie akceptować propozycję.

Cashel chętnie zapytałby Mellie, czy rozumie, co się dzieje, ale opuściła go i wspięła się na

gościa. Ze zgrozą zobaczył jak duszka znika w otwartej sakiewce pośrednika i wyskakuje z niej na moment przed tym, zanim właściciel ponownie zamknął mieszek.

– Na Fountain Court mam sześć wagonów – rzekł Themo. – A na szczycie łuku Verucca siedzi człowiek, który dostrzeże sygnał dany z waszego dachu i przekaże go woźnicom. Rzecz w tym, że wozy przyjadą tu puste. Wasze towary dostarczę jutro.

Frasa odłożył zwój pergaminu.

– Zwyczaj każe dokonać wymiany towarów, zanim zostaną załadowane na pokład lub wyniesione z magazynu – rzekł Jen.

– Zwyczaj nic nie mówi o tłumie czekającym za progiem, żeby rozbić łeb każdemu, kto się z wami zadaje! – odparł Themo. – I niech was Siostra, jeśli tego nie rozumiecie. Nie będę ryzykował rozładowywania wozów, podczas gdy ci ludzie...

Wskazał na ulicę. Na opuszkach kciuka miał sporą bliznę, a paznokcie zniekształcone i podobny do szponu.

– ...ściągną tu wszystkich krewnych i przyjaciół, a może i kilku gwardzistów księcia, żeby zaczekać na nasz powrót. Chcę jak najszybciej wjechać tu i odjechać. Jutro, kiedy będzie spokojniej, przywiozę wasze towary.

Wskazał na pergamin.

– Wszystko jest tam, już podpisane.

Cashel o kontraktach wiedział niewiele więcej ponad to, że ludzie popluwają przy tym w dłonie i ściskają sobie ręce, ale doskonale mógł sobie wyobrazić, co zwojowałiby teraz Serianie, oddając sprawę do rozpatrzenia sędziom księcia Lascarga. Mieliby równie znikome szanse na to, że opuszczą żywi gmach sądu, jak kulawa owca na przetrwanie głodnych dni na przednówku.

Frasa przez chwilę patrzył pośrednikowi w oczy.

– Tak, rozumiem – rzekł w końcu.

Jen wyciągnął rękę. Odziany w długą szatę sekretarz podał mu pióro z brązu i alabastrowy kałamarz, poruszając się tak drobnymi kroczkami, że zdawał się płynąć po podłodze.

– Dobrze, dobrze – powiedział Themo. Wyraźnie odprężył się, tak samo jak jego dwaj strażnicy. – Wiedziałem, że okazecie się rozsądni. Sygnałem będą trzy latarnie zapalone na dachu. Na pewno macie tu jakieś.

– Tak – odparł Frasa. Cashel widywał kamienie zdradzające więcej uczuć. Serianie wiedzieli jak wielkie podejmują ryzyko, ale mieli nadzieję, że ten człowiek nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania.

– Pan Cashel poświadczy mój podpis – oznajmił Jen, obracając dokument na stole i pióro w kałamarzu tak, aby Cashel mógł ich dosięgnąć.

– Pewnie – powiedziała Mellie. Zeskoczyła z ramienia Cashela na podłogę trzema długimi susami, które przeraziłyby go, gdyby nie zdrętwiał, słysząc słowa Jena. Garric nauczył go, jak ma się podpisywać, lecz Cashel nie wyobrażał sobie, że miałby to robić na oczach tyłu wykształconych ludzi.

– Ja... – zaczął, zanim w pełni zrozumiał sens tego, co powiedziała duszka. Mellie siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kontrakcie, uśmiechając się do Cashela i wskazującym palcem prawej ręki pokazując mu miejsce nad słowami starannie wykaligrafowanymi przez sekretarza.

Cashel odchrząknął. Oddał pałkę sekretarzowi – który chwycił ją niezgrabnie – a potem przykucnął przy stoliczku i chwycił pióro. Nieraz widywał pisać bez najmniejszego wysiłku ludzi, ale wielu widziało jak Cashel kręci młyńca pałką, co wcale nie oznaczało, że oni też to umieli.

– To łatwe – powiedziała Mellie. – Umocz pióro w inkauscie, a potem zacznij w tym miejscu,

gdzie trzymam palec. Pomogę ci.

Kontrakt składał się z krótkiej preambuły i długiego spisu towarów. Poniżej z prawej strony był podpis, który Cashel uznał za należący do pośrednika, nakreślony nad notatką sekretarza. Jen podpisał się nad podobną notatką z drugiej strony. Jego podpis był o wiele ładniejszy niż pismo skryby.

Ktoś podpisał się pod Themo, a Mellie wskazywała Cashelowi podobne miejsce pod podpisem Jena. Notatki skryby wydawały mu się identyczne. Cashel rozpoznawał kształty liter, chociaż nie rozumiał ich znaczenia. Z dokładnością człowieka przywykłego do wykonywania zadań, przy których jego ogromna siła może zniszczyć cenne narzędzie, Cashel zaczął kreślić swoje nazwisko na pergaminie, wodząc piórem w miejscu wskazanym przez Mellie.

Nagle pergamin zaczął lekko parzyć go w nasadę dłoni. Mellie spojrzała na niego, pytająco unosząc brewki. Z brzegów pergaminu zaczął sączyć się błękitny blask... Nie, Cashel na pewno wyobraził to sobie, inaczej ktoś z obserwujących go z pewnością coś by powiedział.

W milczeniu skupił się na tym zadaniu. Coś się działo, ale nie wiedział co. Cokolwiek to było, musiało poczekać aż skończy, nie kompromitując się przed przyjaciółmi i wrogami.

Duszka uśmiechnęła się do niego łobuzersko. Jej palec przesuwiał się, a Cashel wodził piórem, starając się nie myśleć o tym, co robi. Kiedy kończył składać podpis, atrament na piórze skończył się, tak że ostatnie litery były zaledwie zadrapaniami i ledwie widocznym kreskami na twardym pergaminie. Mellie wyciągnęła ramiona nad głowę, a potem stanęła na rękach na przegubie Cashela.

On wyprostował się i cofnął. Frasa sięgnął po umowę, ale zastygł, nie dotykając jej. Ze zdumieniem spojrzał na Cashela.

Themo wybałuszył oczy.

– A co to za żarty? – ryknął. Zerwał się na równe nogi, wywracając stołek.

Cashel zamrugał oczami. Podpisy pośrednika i jego świadka nie wyglądały teraz tak jak poprzednio, zanim nakrył je dłonią, składając swój podpis. Chociaż był pewien, że nawet nie dotknął przy tym pergaminu.

Themo spojrzał na niego z wściekłością, jakiej Cashel jeszcze nigdy nie widział na niczyjej twarzy.

– Wypruję ci za to flaki! – wrzasnął. – Brać go, chłopcy!

Bokser usiłował złapać młodzieńca za ramię, a rudowłosy próbował wyjąć miecz. Sługa upuścił tace z napojami i z krzykiem skoczył do drzwi. Jen krzyczał coś przez otwarte okno na podwórze. Stół wywrócił się, choć Cashel nie widział, kto go popchnął.

Cashel chwycił strażników za gardła. Ponieważ zawsze poruszał się powoli i metodycznie, w razie potrzeby jego błyskawiczne ruchy zawsze zaskakiwały ludzi. Pięściarz uderzył go w skroń. Cios ześlizgnął się po czaszce, lecz wystarczył, by Cashel przez moment zobaczył wszystko w czarno-białych barwach.

Napiął mięśnie. Z hukiem młota spadającego na kowadło dwa stalowe hełmy zderzyły się ze sobą i spadły z głów, które pod wpływem silnego uderzenia odskoczyły na boki. Rudowłosy zwiotczał. Bokser potoczył wokół mętym wzrokiem, ale zamachnął się lewą ręką.

Cashel ponownie trzasnął głową o głowę i cisnął nieprzytomnych o ścianę. Z łoskotem uderzyli o nią i osunęli się bezwładnie. Themo cofał się z uniesionymi rękami i twarzą wykrzywioną grymasem przerażenia, wrzeszcząc przeraźliwie.

Mellie wiwatowała na ramieniu Cashela. Sekretarz stał z oszołomioną miną, nawet nie zdążywszy ruszyć się z miejsca. Cashel wyrwał mu z ręki pałkę, bardziej z przyzwyczajenia, niż by zrobić z niej użytek w zamkniętym pomieszczeniu.

Drzwi znów otworzyły się na oścież. Górale wpadli do środka. W rękach mieli łuki i kamienne toporki. Żaden z nich nie używał żelaznych narzędzi. Cashel zastanawiał się, czy miało to coś wspólnego z ich religią. *Jeśli Serianie są czcicielami diabła, to jak wygląda Bóg górali?* Następni wojownicy gramolili się przez okna.

Jen wydał jakiś rozkaz. Mowa górali brzmiała w jego ustach jak ptasi świergot. Jeden z karłów z żalem opuścił toporek, którym już miał odrąbać głowę pośrednikowi. Prosząco spojrzął na Jena, który tylko machnął ręką i z ponurą miną zapatrzył się w dal.

– Wyprowadź pana Themo i jego towarzyszy z budynku – powiedział Frasa do sekretarza. – Tych dwóch panów, którzy upadli, zapewne trzeba będzie wynieść.

Cashel już chciał powiedzieć, że sam wyniesie strażników, ale doszedł do wniosku, że lepiej zrobi, jeśli zrezygnuje z tego pomysłu. Wcale nie musiał tak rzucać nimi o ścianę. Wiedział, że nie powinien wpadać w gniew i zawsze miał to sobie później za złe, lecz jeszcze nie przeszła mu złość wywołana zadaniem przez pięściarza uderzeniem. Lepiej niech wyniesie ich ktoś inny.

Pochylił się i podniósł kontrakt, który spadł na podłogę, gdy wywrócono stolik. Litery nadal nic mu nie mówiły, ale zauważył, że podpisy pośrednika i jego świadka nie tylko wyglądały inaczej, ale w dodatku były nakreślone dużymi drukowanymi literami, jedynymi w całym dokumencie.

– Nazwisko Themo brzmi teraz KŁAMCA – wyjaśniła Mellie, siadając w zagięciu prawego łokcia młodzieńca. – A jego pomocnik, który podpisał się poniżej, to ŚWIADEK KŁAMCY. O rany, ale z ciebie ziółko, Cashelu!

I parsknęła znajomym, perlistym śmiechem.

– To nie ja! – powiedział zdumiony Cashel. Oczywiście, uważał pośrednika za łgarza, ale... – Nie zrobiłbym czegoś takiego!

– Przecież właśnie zrobiłeś, głuptasie! – powiedziała duszka. – I miałeś rację. To niedobry człowiek.

Słudzy – sądząc po stwardniałych rękach marynarze z seriańskiego statku – wynosili obu ludzi Themo. Każdego nieprzytomnego niosło czterech marynarzy. Na ścianie była krew w miejscach, gdzie uderzyli o nią strażnicy. Cashel skrzywił się i odwrócił głowę.

Frasa i Jen stanęli przed nim. Kiedy na nich spojrzął, skłonili się.

– Panie Cashelu – rzekł Frasa – nie mieliśmy pojęcia, kim jesteś. Dziękujemy ci z całego serca.

– Czy zesłały nam cię niebiosa? – spytał Jen.

Cashel nie wiedział, co powiedzieć lub zrobić. Pokrył zmieszanie, oddając umowę Frasie.

– Nie powinienem tak mocno rzucać nimi o ścianę – mruknął.

– Jeśli zechcesz nadal nam pomagać – rzekł Frasa – to naszą jedyną nadzieją jest kontakt z drugim pośrednikiem, Sidrasem or-Morrem. Nie możemy do niego pójść, a on zapewne uzna, że naraziłby się na niebezpieczeństwo, przychodząc tu i negocjując kontrakt.

Otwarto bramę. Tłum ryknął i dał się słyszeć brzęk kamienia odbijającego się od hełmu któregoś ze strażników Themo. Nikt z obecnych na ulicy ludzi nie był teraz bardziej wrogo nastawiony do Serian od rozczarowanego pośrednika, lecz przy odrobinie szczęścia porządnie poturbują świętę Themo zanim tłum pojmie, że są teraz po tej samej stronie.

– Mieszka w domu przy placu Rządowym – powiedział Jen. – Tym razem nie kontaktowaliśmy się z nim po przyplłynięciu na tę wyspę.

– Wiem, gdzie to jest – odparł Cashel. Przechodził przez ten plac z Benlo. Sądził, że zdoła tam trafić. A jeśli się zgubi, no cóż... wtedy pomoże mu Mellie. – Tylko nie wiem, czy mogę załatwić to za was.

– Ufamy ci bezgranicznie, panie Cashelu – oświadczył Jen. – Oczywiście, idąc tam, bardzo byś

ryzykował. Może lepiej załadujemy towary na statek i pogodzimy się ze stratą.

Cashel wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się to szczególnie ryzykowne – rzekł. – Chcę powiedzieć, że wystarczy, jeśli zaczekam aż tamci trochę się uspokoją.

Podniósł jeden z leżących na podłodze hełmów. Zapewne należał do pięściarza, bo ten miał taką dużą głowę. Jen wziął hełm z rąk Cashela.

– Każemy wyklepać to wgłębienie, panie Cashelu – obiecał. – Czy jest jeszcze coś, czego sobie życzysz?

Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje, pomyślał Cashel. A głośno rzekł:

– Nie, chyba niczego więcej mi nie potrzeba.

– Jasne, że nie! – powiedziała Mellie, przeciągając się leniwie jak kotka. – To ci będzie zabawa!

Ilna była sama.

Kiedy weszła w świetlną bramę, wydawało jej się, że widzi przed sobą Garrica i Tenoctris, ale nie było tam nikogo. Nawet przejście znikło.

Stała na szarej równinie, chociaż nawet to wrażenie było nieco nierealne, gdyż nie czuła ziemi pod stopami. Nie spadała. W ogóle niczego nie czuła.

– Garricu! – zawołała. Słyszała swój głos, choć głuchy i prawie bezdźwięczny. Poza nim nic nie zakłócało ciszy.

Równina otaczała ją ze wszystkich stron, aż po horyzont. Niebo było odrobinę jaśniejsze od ziemi, lecz nawet ta różnica mogła być wytworem wyobraźni, złudzeniem stworzonym przez usiłujący zachować zdrowe zmysły umysł.

Ilna wyciągnęła rękę do tyłu i pomachała nią w powietrzu. Nie mogła oddalić się bardziej niż na kilkanaście centymetrów od świetlnej bramy przez którą tu przyszła, a tymczasem po przejściu nie było żadnego śladu. Obeszła niewidoczną bramę, wiedziona próżną nadzieją, że zobaczy ją z drugiej strony.

Ruszyła przed siebie. Każdy kierunek był równie dobry. Nie zostawiała za sobą śladów stóp i nie widziała żadnych punktów orientacyjnych, które zapobiegłyby krążeniu w kółko.

Horyzont przesuwiał się w miarę, jak szła: czasem znajdował się nieco wyżej, jakby spoglądała na grzbiet wzgórza, a czasem niżej, jakby weszła na szczyt. Każdy krok wymagał dokładnie tyle samo wysiłku co poprzedni, a linia horyzontu zawsze biegła poziomo.

Zostawili cię tu, Ilna.

Szła miarowym, długim krokiem, jakim mogła maszerować bez przerwy przez cały dzień i pół nocy. Nie zamierzała biec. Nie było dokąd uciec.

Zwabili cię tutaj. A teraz śmieją się z tego, że zdołali się ciebie pozbyć.

Idąc, machinalnie wiązała węzły na sznurze. Kiedy skończyła, lina tworzyła jeden kłęb wielkości ludzkiej głowy. Zaczęła rozsupływać węzły.

Nie byłeś dość dobra dla Garrica i jego nowych przyjaciół. Krepowało ich twoje towarzystwo.

Tuż przed nią na niebie znajdował się jakiś jaśniejszy punkt. Za mały aby być słońcem. Wyraźnie odcinał się od szarego nieba. Szła dalej.

Monotonna powierzchnia pod jej nogami zmieniła się w gruby żwir, chociaż dopiero po kilku minutach marszu Ilna zdołała dostrzec poszczególne ziarna. Nadal nie zmieniała tempa marszu. Jej dłonie zawiązywały teraz zupełnie inny rodzaj węzła, chociaż postronnemu obserwatorowi rezultat wydawałby się taki sam.

Ta ziemia przypominała żwirową plażę Barca's Hamlet. Tam też się z ciebie śmiali, Ilna.

Kiedy w końcu ujrzała drzewo miała wrażenie, że zawsze wiedziała o jego obecności. W padającym z tyłu blasku jego czarna sylwetka odcinała się na jasnoszarym tle nieba. Ilna szła dalej.

Poświęciłabyś dla nich wszystko, Ilna. A oni cię odepchnęli.

Pień i korzenie powietrzne wyglądały zupełnie zwyczajnie, lecz Ilna zaczęła się zastanawiać, jaka odległość naprawdę dzieli ją od tego drzewa. Miała wrażenie, że wcale się do niego nie zbliża.

Miało bezlistne i skręcone w luźny węzeł konary, tworzące stylizowany symbol drzewa życia. Nagle poruszyły się.

Masz szczęście, że mnie znalazłaś, Ilno. Tutaj można spotkać straszliwe stwory.

– Kim jesteś? – zapytała. Jej głos ścichł bez echa. Nie było tu nic poza tym drzewem.

Twoim przyjacielem. Dam ci wszystko, czego chcesz.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

– Chcę wrócić! – Nie będzie błagać. – Proszę, pozwól mi wrócić!

Oczywiście, że pozwolę ci wrócić, Ilno. Jestem twoim przyjacielem. Wiem, że to nie miejsce dla ciebie, więc zabiorę cię tam, gdzie powinnaś być. Jednak jesteś tkaczką. Czy nie chciałabyś najpierw nauczyć się naprawdę tkać?

– Nie rozumiem – powiedziała Ilna. Sama nie wiedziała, kiedy przystanęła i stała teraz nieruchomo na zwirowej równinie. Lina w jej dłoniach zmieniła się luźną pętlę.

Nauczę cię tkać wzory, które uczynią cię królową, Ilno. A nawet boginią.

– Jak możesz... – zaczęła Ilna. A potem dodała: – Dlaczego?

Nie będą już z ciebie szydzić, Ilno. Garric zostawił cię i pobiegł za tą nadętą dziewczką, ale już nigdy cię nie opuści. Wszyscy wreszcie cię docenią.

– Chcę wrócić – szepnęła Ilna.

Czy mam najpierw nauczyć cię tkać, Ilno?

– Tak – odparła. Upuściła kantar z pszenicznej słomy i ponownie krzyknęła: *Tak!*

A więc nauczę cię, ponieważ jestem twoim przyjacielem.

Konary poruszały się szybciej. Małe słońce świeciło coraz jaśniej i mocniej. Ilna musiała odwrócić głowę.

Twoim jedynym przyjacielem.

Konary nadal tkały wzory w jej mózgu, a jeszcze gęściejsze w duszy. Po raz pierwszy w życiu Ilna nie była samotna.

Nonnus rozpalił ognisko z suszonych wodorostów. Zawieszony nad nim garnek wesoło bulgotał, chociaż Sharina podejrzewała, że gotowanym w nim krabom nie było specjalnie do śmiechu.

Przed tą historią z Tegmą nie przyszłoby jej do głowy, by zastanawiać się, co czują kraby. Teraz zastanawiała się, czy Archajowie pożerali ludzi.

Suche wodorosty paliły się jasnym, wielokolorowym płomieniem, zabarwionym przez zawartą w nich sól. Od czasu do czasu ich pęcherzyki pławne pękały z trzaskiem, tryskając obłoczkami pary. Nonnus musiał bez przerwy podsycać ogień. Sharina przez chwilę obawiała się, że nazbieranych przez pustelnika wodorostów nie wystarczy na ugotowanie posiłku, ale rozumiała, że w ten sposób poddaje w wątpliwość jego umiejętność oceny sytuacji.

Nonnus był człowiekiem, więc mógł popełniać błędy. Jednak od kiedy weszli razem na pokład triremy, nie widziała, by popełnił choć jeden.

Może tylko ten, że w ogóle wszedł na pokład statku, zamiast pozostać w pustelni opodal wioski.

– Czy mam... – zaczęła. Nonnus drgnął jak ukłuty szpilką. – Och, przep... – dorzuciła i zamilkła, zmieszana.

– Dziecko – powiedział równie stropiony pustelnik. – Tyle czasu spędziłem w samotności, że czasem zapominam o tym, że wokół mnie są inni ludzie. – Uśmiechnął się. – Podkładając do ognia, wdychając słony dym i zapach gotujących się krabów... To tak jakbym znów miał twoje lata, zanim tyle się wydarzyło.

Uśmiech znikł z jego twarzy, jak szron w słońcu.

– Zanim zacząłem robić... inne rzeczy – dodał.

– Zastanawiałam się czy zawołać tu Aserę i Medera – powiedziała Sharina. Mówiąc, patrzyła w kierunku szczytu wzniesienia, przez chwilę unikając spojrzenia Nonnusa. – Nie wiem, czy w ogóle zabrali tam coś do jedzenia.

Wyspa była bezkształtnym garbem, ledwie widocznym na tle rozgwieżdżonego nieba. Migotanie jednej z gwiazd mogłoby oznaczać, że Meder lub prokurator schodzą z pagórka, lecz było zbyt ciemno, aby z odległości pół kilometra dojrzeć coś tak małego jak ludzka sylwetka.

– Ognisko daje mało ciepła – zauważył pustelnik. – Daj im jeszcze pół godziny.

Sharina obeszła całą wyspę, nie znajdując nawet kawałka drewna ani żadnego miejsca różniącego się od tego, gdzie przybili. Wróciwszy, z powątpiewaniem popatrzyła na maszt i reję dłubanki obwieszone schnącymi wodorostami, lecz okazało się, że Nonnus miał rację i nadawały się na ognisko.

Idąc, Sharina od czasu do czasu widziała na szczycie pagórka Aserę lub Medera. Arystokraci nie zbudowali za dnia żadnej osłony. Gdyby znów zeszli na dół, mogliby przynajmniej schronić się za wiatrochronem, który Nonnus zbudował z rozpiętej na kijach plandeki.

– Poza tym – dorzucił pustelnik. – Bez nich ta noc jest znacznie spokojniejsza.

Uśmiechnął się i dodał:

– Miłosierdzie jest jedną z rzeczy, o jakie się modlę, ale nie jedyną.

– Na tej wyspie jest mnóstwo pożywienia – stwierdziła Sharina. – Małże i kraby. I można palić ogień.

Dopóki nie przeszła się wokół wyspy, nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo cieszy ją pobyt na suchym lądzie. Oczywiście, lepiej byłoby dotrzeć na jedną z większych wysp. A jeszcze

lepiej wrócić do domu i położyć się we własnym łóżku, pozwalając, by myśl o tym, że była córką księcia Niarda zmieniła się w odległe wspomnienie, jak to wszystko, co wydarzyło się, od kiedy trirema zawinęła do Barca's Hamlet. Na razie jednak Sharina zadowolala się tym, że ma więcej miejsca niż na pokładzie dłubanki, a wszechświat nie kołysze się i nie opada na falach.

– Lepiej będzie odpłynąć, moje dziecko – rzekł Nonnus, podkładając do ognia. – To miejsce nie jest nam tak wrogie jak Tegma, ale też nie jest dla nas. Na Sandrakkanie czekają na nas szerokie drogi i domy.

Sharina spojrzala na wzgórze, zastanawiając się, jak blisko obozu arystokratów musialaby podejść, żeby usłyszeli zaproszenie na kolację. Nocna wspinaczka po nierównej skale nie byłaby łatwa. Jeśli Asera i Meder chcą jeść, to chyba widzą zapalone ognisko?

Za wierzchołkiem błysnęło światło.

Przez chwilę Sharina myślała, że migocze jej w oczach tak jak czasem, kiedy nagle zamknęła powieki. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymała się.

Ciemność znów przeszył różowy błysk. Sharina wstała i podbiegła do dłubanki.

– Dziecko? – zawołał za nią pustelnik.

Wiedziała, gdzie czarodziej schował swoją szkatułkę. Przedostała się po stercie ładunku na dziób, macając siatkę. Wnętrze dłubanki skrywał mrok, ale nic innego nie miało takiego kształtu, jak okuta metalem skrzynka.

Nie znalazła jej tam, gdzie powinna być. Meder nie zabrał jej, bo Sharina bacznie mu się przyglądała. Z pewnością zabrała ją dla niego Asera, kryjąc w fałdach szaty.

– Dziecko? – powtórzył pustelnik.

Sharina wskazała na pagórek.

– On rzuca czary – powiedziała. Gdy to mówiła, szczyt pagórka zalało czerwone światło.

– Rzeczywiście – powiedział lodowatym tonem pustelnik. Prawą ręką chwycił oszczep i ruszył z boczem w górę. Sharina wyskoczyła z łódki i poszła za nim.

Potężny wstrząs poruszył całą wyspą.

Idąc w górę wzgórza, Garric trzymał uniesioną głowę, jak to robią pasterze, chociaż oczy odruchowo kierują się wtedy pod nogi. Spoglądał na wierzchołek i otaczającą ich pustkę.

Zwir pod ich nogami bardziej przypominał pył i zapadał się przy każdym kroku. Zbocza były strome, słońce prażyło wściekle, a krajobraz budził niepokój, gdyż odwrócone barwy czerni i bieli sprawiały, że człowiek spodziewał się czegoś innego, niż czuł pod nogami. Mimo to rzadko się zsuwał, tylko raz musiał podeprzeć się ręką, lecz ani razu nie upadł.

Tenoctris podskakiwała jak kopana przez zgraję dzieciaków szyszka.

– Może... – Garric chciał kolejny już raz zaproponować jej pomoc.

– Ty masz utrzymać nas przy życiu, kiedy pojawi się Strasedon – warknęła staruszka. – Próbując mnie nieść i dając się zabić, wcale nie poprawisz naszej sytuacji.

– Tak, pani – pokornie zgodził się Garric.

Posuwałyby się o wiele szybciej, gdyby nie musiał dostosować tempa do Tenoctris, ale przecież nie mógł jej zostawić. Wiedzieli, gdzie znajdowała się Liane: niekoniecznie tam, gdzie przebywała wcześniej i z pewnością nie tam, gdzie był sam demon. Garric nie zdołałby ponownie zlokalizować Strasedona, gdyby ten nie czekał na grani.

A jeśli nie zabiją ich szpony demona, to wkrótce uczyni to czarne słońce.

– Nigdy nie sądziłam, że będę robić coś takiego – powiedziała Tenoctris, zasapana, ale zdumiewająco wesoła. – Nie mówię, że nie chciałam odwiedzić innej płaszczyzny. Po prostu wiedziałam, że nie mam dość mocy, by dokonać czegoś takiego. Równie dobrze mogłabym pragnąć latać.

Zachichotała.

– Kiedy zatonęła Yole, dach wieży uniósł się ze mną w powietrze. Wtedy rzeczywiście poleciałam. A teraz przebywam w płaszczyźnie demona. Tenoctris uczona. Tenoctris, która czytała o niezwykłych wyprawach i badaniach prowadzonych przez innych ludzi, mających moc rozdzielania czasu i przestrzeni.

Płaskowyż, na który padała smuga światła, miał trzy poziomy, a dzielące je zbocza wznosiły się co najmniej o jeden metr na przebyte cztery. Z dołu każdy kolejny poziom wydawał się już ostatnim. Tym razem Garric był przekonany, że za krawędzią znajduje się szczyt.

Szedł zakosem, lewym bokiem do wzniesienia. W lewej dłoni trzymał fałd kurtki, gotowy odkryć rękojeść miecza i złapać go prawą ręką.

– Wszystkie te książki, które były moim życiem – rozmyślała głośno Tenoctris – zatonęły tysiąc lat temu. A ja jestem tu i...

Strasedon wyłonił się zza szczytu wzniesienia, kilka metrów nad Garricem.

Demon szedł jak człowiek, ale nogi miał krótsze i pałakowate, a szponiaste łapy tak długie, że prawie ciągnął je po ziemi. Paluchy jego nóg były zakończone wielkimi i wygiętymi pazurami. Prawą nogę Strasedona nadal pokrywała czarna zaschnięta krew Benlo. Lewym ramieniem obejmował Liane w talii. Dziewczyna żyła. Ścisnęła ramię demona, żeby zmniejszyć nacisk na brzuch. Jej nogi wisiały w powietrzu. Kiedy zobaczyła Garrica, zamarła, ale nie krzyknęła.

Skóra Strasedona była przezroczysta, ciemnoczerwona z domieszką granatu. Twarz miał płaską i beznosą, a jego dolna szczęka unosiła się i opadała, zamiast poruszać się na zawiasach więzadeł. Dolne i górne zęby z cichym szcękaniem zachodziły na siebie, ciasno niczym ostrza nożyczek.

Garric wyjął pożyczony miecz i poczuł, że król Carus wypełnia jego ciało, jak człowiek wkładający kubrak. Zaczął odchodzić w lewo od demona, żeby uzyskać przewagę wysokości, a przynajmniej zwiększyć dzielący ich dystans. Gdyby Strasedon rzucił się na Tenoctris, odsłoniłby plecy, które Garric natychmiast by zaatakował.

Ta część jego umysłu, która nadal należała do Garrica, przeraziła się chłodnym rozmysłem, traktując niebezpieczeństwo grożące staruszce jako swoją szansę. A jednak... Garric selekcyjnie stada na zimę. Farmer, który zostawił sobie więcej zwierząt, niż był w stanie wyżywić do wiosny, tracił wszystkie, nie tylko te, które powinien był zarżnąć. Gdyby Tenoctris zdołała odwrócić uwagę demona na wystarczająco długą chwilę, by Garric zdołał celnie pchnąć mieczem, mogłoby to ocalić nie tylko ich, ale także Liane.

Strasedon odrzucił Liane na bok i powlókł się w stronę Garrica. Nadchodząc, pokrzykiwał:

– Hu! Hu! Hu!

Z demonicznym śmiechem Garric uniósł miecz do ciosu i skoczył na spotkanie potwora. Pył trysnął mu spod nóg.

Uderzył. Ostrze miecza błysnęło w nieruchomym, suchym powietrzu. Strasedon usiłował zasłonić się ręką. Ostrze odcięło kciuk trójpalczastej dłoni, lecz zmieniło przy tym kierunek i ześlizgnęło się po bezwłosej czaszce demona, zamiast rozplątać ją na dwoje.

Miecz Ralda był z dobrej stali. Ostrze zabrzęczało jak gigantyczny kamerton w dłoni Garrica. Ten uskoczył na bok – w górę – wymykając się z zasięgu łap Strasedona. Zapadł się w ziemię i ciął mieczem na odlew. Zrobił to padając i cios był pozbawiony siły.

Krew demona miała barwę ognia. Z ostrza prysnął deszcz takich kropel.

Zranioną ręką Strasedon chwycił prawe ramię Garrica, a drugą sięgnął do jego gardła. Młodzieniec złapał lewą ręką za przegub demona. Równie dobrze mógłby przytrzymywać jedną ręką osła. Napiął mięśnie. Strasedon zaciskał i Otwierał szponiaste łapska, lecz nie był w stanie dosięgnąć jego ciała.

Demon pochylił głowę, szeroko otwierając paszczę, by odgryźć mu twarz. Garric na pół wbił, a na pół wkręcił mu w nią ostrze miecza.

Demon zacisnął zęby na stali, przytrzymując jak w imadle ostatnie pięć centymetrów stalowego ostrza. Garric usiłował wepchnąć miecz trochę głębiej, rozcinając mu gardło, lecz szczęki trzymały tak mocno, jakby ostrze utkwilo w skale.

Obaj wkładali wszystkie siły w te zmagania, aż stracili równowagę i razem potoczyli się po stoku, wzbijając wir piasku i kamieni. Demon był ciężki nawet jak na swoje rozmiary, ale znalazłszy się pod nim, Garric zawsze jakoś zdołał się przekreślić i znaleźć na górze.

Wygiął się i zaplótł nogi wokół talii Strasedona. W samą porę: demon błyskawicznie wierzgnął nogą w górę, usiłując powtórzyć cios, którym wypatroszył Benlo i rozrzucił jego wnętrzności na posadzkę grobowca. Pazury przeorały plecy Garrica, rozdzierając mu kubrak i skórę, lecz demon nie zdołał wbić pazura pod żebra młodzieńca.

Spadli na dno doliny. Garric miał tak napięte mięśnie, że impet uderzenia nie wycisnął mu powietrza z płuc, ale Strasedon znalazł się na górze. Garric spróbował obalić go na bok, używając prawego ramienia zamiast dźwigni. Równie dobrze mógłby przesuwac młyn w Barca's Hamlet.

Strasedon zadrzał, a potem poderwał się tak gwałtownie, że Garric wypuścił z ręki miecz i wyciągnął się jak długi na ziemi. Na plecach i biodrach czuł miły chłód własnej, zasychającej krwi.

Demon wypuścił miecz. Jego kły pozostawiły głębokie wgłębienia w stali. Garric próbował wstać, ale mięśnie zwiotczały mu z wysiłku i nie chciały go słuchać.

Strasedon uniósł twarz do czerwonego nieba i zawył jak wszystkie zimowe wichry razem wzięte.

Z podstawy jego czaszki wystawała rękojeść rytualnego sztyletu Benlo.

Tenoctris klęczała na czworakach obok Strasedona, w miejscu gdzie upadła, kiedy demon wyprostował się. Liane stała z drugiej strony, trzymając w rękach kamień, którego nie była w stanie unieść i spuścić na łeb potwora, który teraz stał wyprostowany.

Strasedon powoli odwrócił się. Czarne słońce przygasło i Garric miał wrażenie, że cały krajobraz zaczyna się rozsypywać. Nie mógł się poruszyć: prawdopodobnie było to tylko złudzenie, produkowane przez umysł chcący zapomnieć o dotkliwym bólu.

Świat utonął w białym świetle, a on spadał. Król Carus zaśmiał się triumfalnie, a Zakapturzony krył się gdzieś, wściekle zaciskając pięści.

Rozchodząca się wokół wyspy fala była idealnym odwzorowaniem brzegu, ogromną ścianą na powierzchni wody, ignorującą rytm morza. Kiedy zaczęły się pierwsze wstrząsy, dłubanka gwałtownie wznosiła się i opadała. Teraz tylko szeptała niespokojnie do omywających jej burty fal.

Sharina stała obok łodzi, w miejscu gdzie upadła przy pierwszym wstrząsie. Fala sięgnęła na trzydzieści metrów w górę zbocza, gasząc ognisko, lecz Nonnus zdążył chwycić drewnianą rączkę rondla zanim wzburzone morze zdążyło porwać kolację. Kraby nadal gotowały się we wrzącej wodzie.

Nonnus zręcznie umieścił garnek i oszczep w zagłębieniu dziobowym dłubanki, a potem doskoczył do żelaznych bolców mocujących cumę. Oburącz chwycił jeden z nich i zaczął kopać piętą.

– Nonnusie! – zawołała Sharina. – A tamci!

Wyspa zatrzęsała się jeszcze gwałtowniej. Sharina wskoczyła na prawą burtę i oburącz chwyciła się masztu. Dłubanka uniosła się na fali, przeważyła i uderzyła o skałę z impetem, jaki strzaskałby dno zwykłej łodzi.

– Jeśli odbijemy – odparł Nonnus, przekrzykując ryk fal – będziemy mogli zabrać ich z wody. Natomiast jeżeli zostaniemy tu i następna fala wywróci łódź, nigdy nie zdołamy jej obrócić!

Piana sięgnęła Sharinie do pasa i prysnęła jej w twarz. Dziewczyna zamrużyła oczami, ale nie zamknęła ich, chociaż zapiekły ją od słonej wody. Nonnus stał niewzruszony jak opoka pośród białej kipieli.

Morze szykowało się do następnego ataku. Jego powierzchnia miała oleisty połysk, a w spienionych falach krążyły maleńkie formy życia, drapieźniki i ich żer, jednakowo poruszone. Chociaż morze wydawało się żyć własnym życiem, Sharina nie słyszała wulkanicznych pomruków skały pod nogami. Dlaczego więc wyspa dygotała?

Nonnus jeszcze raz kopnął boleć, usiłując wybić go ze szczeliny. Udało się. Wyrwał go do końca, rzucił na dziób i zabrał się za drugi.

Sharina ujrzała arystokratów, którzy schodzili po stoku, niosąc kufer. Ilekroć jedno z nich poślizgnęło się, padali oboje. I za każdym razem podnosili się z większym trudem.

– Idę tam – powiedziała Sharina, wyskakując z łodzi.

– Nie! – krzyknął Nonnus. – Dziecko, nie!

Sharina pobiegła do nich z przeczącą zdrowemu rozsądkowi szybkością, pewnie przeskakując z jednego śliskiego od fal kamienia na drugi. Sycząca piana lśniła w zagłębieniach, ukazując je tak wyraźnie jak w biały dzień. Sharina zdołała utrzymać się na nogach nawet wtedy, gdy przyszedł trzeci wstrząs. Znalazła się poza zasięgiem fal, chociaż z przeciwnej strony nad wierzchołkiem wzniesienia unosił się pióropusz piany. Dotarła do Asery i Medera, zanim ją spostrzegli.

– Pomocy...! – zawołał Meder.

Sharina wyrwała mu z rąk ciężki kuferek i zarzuciła sobie na ramię. Czarodziej zapewne był silniejszy od niej, ale nie umiał nosić ciężarów. Arystokraci jeszcze pogarszali sytuację, usiłując nieść skrzynkę razem. Jeśli jedno padało, to drugie również. Wychodząc ze zlebu, do którego wpadła, Asera trzymała się za kolano.

– Chodźcie, albo będziecie musieli pływać! – krzyknęła Sharina i ruszyła z powrotem, biegnąc jak jeszcze nigdy w życiu. Ciężar kufereka nadał jej ruchom pompatyczny majestat, który oznaczałby katastrofę, gdyby się potknęła.

Tak się nie stało. Nie mogło. Arystokraci zataczając się, biegli za nią, uwolnieni od ciężaru kufierka i od siebie nawzajem, a Sharina pędem dopadła burty łodzi w chwili, gdy wzburzone czwartym wstrząsem morze runęło jej na spotkanie. Lewą ręką chwyciła wspornik prawego pływaka. Nakryła ją fala. Stojący na brzegu Nonnus złapał za ręce Medera i Aserę, którzy stracili równowagę i zostali porwani przez silny nurt.

Ryk kipieli zagłuszał wszystkie inne dźwięki, lecz Asera otworzyła usta, wrzeszcząc z bólu. Drugą ręką próbowała rozluźnić żelazny chwyt pustelnika. Równie dobrze mogłaby próbować ściągnąć w dół sierp wschodzącego księżyca. Nonnus nie zamierzał pozwolić jej utonąć, żeby uchronić ją przed siniakiem na przegubie.

Fala zaczęła się cofać. Nonnus podsadził Medera, a potem Aserę na dziób dłubanki. Spojrzał na Sharinę.

Sharina puściła wspornik i wyprostowała się, po czym oburącz uniosła kuferek nad głowę. Przeszła dwa kroki wzdłuż burty i z całej siły cisnęła magiczne przybory w morze. Usłyszała, że Meder krzyknął jak zraniony orzeł. Pudło dwukrotnie przetoczyło się po grzbietach fal, a potem znikło na zawsze w głębinach Morza Zewnętrznego. Odwróciła się i spojrzała na czarodzieja. Był blady jak płótno, miał szeroko otwarte oczy i usta.

Sharina wdrapała się do łodzi i chwyciła ster. Nonnus obdarzył ją promiennym uśmiechem. Kopniakiem uwolnił cumę, wskoczył na dziób i pobiegł na rufę, by dołączyć do Shariny.

Łódź przechyliła się dziobem w dół, gdy skała pod nią wybrzuszyła się, ale nacierające z rykiem, spienione morze zaraz wyprostowało dłubankę.

– Toniemy! – wrzasnął Meder. – Toniemy!

Łódź nie tonęła, chociaż morze było tak wzburzone, że groziło jej wywróceniem pomimo pływaków. To wyspa zapadała w morze.

Aż zatoneła: całkowicie i bez śladu, w słonych falach wzburzonych jej zniknięciem.

Na zachodzie wyłoniła się znowu: ogromna, ociekająca strugami wody. Przez długą chwilę w blasku księżyca lśniło oko stwora o skorupie kilometrowej średnicy, zwierzęcia wielkości pływającej na wodzie wyspy.

Przednie płetwy znów poruszyły się. Z majestatem niewiarygodnie starego stworzenia, żółw zanurkował, opuszczając świat ludzi.

Przy każdym uderzeniu serca Garric czuł najpierw oślepiająco biały, a potem ciemnoczerwony, pulsujący ból. Budynki wokół placu rozmywały się i pojawiały w tym samym nieregularnym rytmie. Leżał na bruku. Czuł by się zakłopotany, gdyby mógł myśleć o takich drobnych niewygodach.

Tenoctris klęczała przy nim, rzucając zaklęcia. Księżyc stał w zenicie, a wiatr rozwiał przesłaniające go wcześniej chmury.

Garric miał wrażenie, że ktoś przepuścił go przez maszynkę do mięsa. Wokół stali gapie, przeważnie robotnicy. Jakiś szlachcic przyglądał się z lektyki, otoczony świtą szepczących i pokazujących palcami sług. Liane, wstrząśnięta, lecz cała, gmerała w jedwabnej sakiewce. Zwróciła się do szlachcica o pomoc.

Kiedy Garric przejrzał na oczy, stwierdził, że leży przed owalnymi schodami zdobiącymi wejście do pałacu księcia. Kamienie zrabowano z budowli Dawnego Królestwa, lecz konstrukcja miała regularny kształt i nowoczesne zdobienia.

Okna na parterze były małe i chronione grubymi żelaznymi kratami, te na pierwszym piętrze miały naprzemiennie łukowate lub trójkątne przyczółki nad otworami, podczas gdy na drugim ozdobiono je filarami podtrzymującymi płaskie okapy wystające z muru. Nad prawdziwą fasadą unosił się fronton imitujący starożytną świątynię, zwieńczony złożoną statua, która lśniła w blasku księżyca.

W niektórych dolnych oknach paliły się światła. Biurokraci księcia mieszkali i pracowali w pałacu, a w tych niespokojnych czasach mieli co robić do późna.

– Jak się tu dostaliśmy? – wymamrotał Garric. Nie był nawet pewny, czy powiedział to na głos. Tenoctris nadal recytowała zaklęcie, machając prowizoryczną różdżką w powietrzu nad Garricem. Ból powoli przechodził w odrętwienie i Garric zastanawiał się, czy to objaw wstrząsu.

Razem z Tenoctris weszli do płaszczyzny demona na odległym o kilometr cmentarzu przy placu Rządowym współczesnej Carcosy. Ta odległość mniej więcej odpowiadała tej, jaką przebyli do czekającego na nich Strasedona. Położenie stojącego wysoko na niebie księżyca również zgadzało się z czasem, jaki tam spędzili.

Garric nie był w stanie określić kierunku marszu w krainie czarnego słońca. Zapewne i ten się zgadzał.

Garric był zmęczony, ale nie mógł zasnąć. Nie pozwalały mu na to plecy piekące żywym ogniem. Pazury demona wprowadziły mu żrącą truciznę, jak odnóża niektórych gąsienic. Już nigdy nie zmruży oka, będzie tak płonął do śmierci...

Dwaj tragarze z nosiłkami gapili się na niego przerażonym wzrokiem. Kiedy płaszczyzna Strasedona znikła, Garric zapewne wyrósł tu jak spod ziemi ze swymi towarzyszami. Rezygnując z pomocy szlachcica, Liane zwróciła się do tragarzy:

– Wy tam! Weźcie tego człowieka na wasze nosiłki!

Mężczyzna idący na przedzie usiłował umknąć, lecz jego zaskoczony partner nie ruszył się z miejsca. W rezultacie nie odeszli ulicą, jak chciał pierwszy tragarz. Nieśli rulon mokrej skóry, cuchnącej odorem garbarni.

– Patrzcie! – powiedziała Liane, wyjmując dłoń z sakiewki. Przesypała kaskadę monet z ręki do ręki. Nawet gdyby tragarze nie zorientowali się, że to złoto – bo gdzie oni mogli widzieć złoto? – taka ilość miedziaków zwróciłaby ich uwagę.

– Zanieście tego człowieka do „Odpochniku Kapitana” – rozkazała Liane. – Wiecie, gdzie to jest,

prawda? Doniesiecie go żywego, a obaj otrzymacie po sandrakkańskiej sztuce złota!

– Ależ panienko – zaprotestował pierwszy tragarz. Obaj byli zbyt zaszokowani, by choćby postawić ładunek na bruku. – Musimy dostarczyć to szewcowi Chilsenowi na Boot Lane.

– Idioci! – zawołał zdumiony szlachcic ze swej lektyki. – Za sztukę złota możecie kupić cały warsztat Chilsena razem z jego córką!

Idący z tyłu tragarz podniósł prawą, a opuścił lewą rączkę nosiłek, zrzucając ładunek na ziemię, zanim jego partner zorientował się, co się dzieje. Popatrzyli po sobie, a potem postawili nosiłki obok Garrica. Podnieśli go zaskakująco delikatnie. Byli robotnikami, przywykli nosić rannych.

Tenoctris nadal recytowała zaklęcia, gdy tragarze podnieśli nosiłki z leżącym na nich rannym. Ból powoli ustąpił i Garric zapadł w ciemność.

KSIEGA IV

Ilna os-Kenset wyszła z szarego odrętwienia w cień zaułka zbyt wąskiego nawet dla osła. Z murów nad jej głową sterczały drewniane balkoniki. Z kilku z nich zwisały powiązane w węzły liny, po których zręczny mieszkaniec mógł wspiąć się lub zejść.

Drugi koniec zaułka był ślepy. Po przeciwnej stronie zza rogu sączyło się słabe światło, ledwie widoczne zza wystającej przybudówki budynku z prawej, która tak zawęziła przejście, że Ilna musiała w tym miejscu obrócić się bokiem. Wyszła na ulicę. Było późne popołudnie. Wcześniej, z zaułka, widziała zbyt mały skrawek nieba, aby mieć co do tego pewność. Na ulicy panował spory ruch, zarówno pieszy, jak konny. Chodniki były śliskie po niedawnym deszczu, a w dziurach po brakujących lub zapadniętych kamieniach stała woda. Teraz nie padało.

Ilna jeszcze nigdy w życiu nie widziała tej ulicy. Chyba nie znajdowała się w Carcosie, gdyż okoliczne budynki, brukowana ulica i stroje przechodniów wyglądały zupełnie obco. Pochwyciła wzrok kobiety niosącej wiklinowy koszyk z warzywami i płatem solonego mięsa.

– Przepraszam – powiedziała Ilna. Kobieta odwróciła głowę, ale minęła ją z ponurą miną.

Ilna sposepniała. To było miasto, a nie wioska, gdzie ludzie są dla siebie uprzejmi, ponieważ wszyscy się znają i wiedzą, że do końca życia będą oglądać te same twarze.

Rozejrzała się wokół i ruszyła ulicą. Sklep z naczyniami. Tawerna. Chodnik przed nią był ciemny od resztek piwa, wylewanych tam z wiaderek przez dzieci przysłane po napitek dla rodziny. Mleczarz reklamował się wywieszoną osełką masła. Z podwórka na tyłach dolatywało beczenie owcy, poruszające tę część duszy Ilny, która nie miała miejsca w tym świecie.

Budynki były jedno lub dwupiętrowe, a niektóre nawet wyższe. W oknach na górnych piętrach często widniały kartki. Widząc jednakowe litery, Ilna domyśliła się, że proponowały zakwaterowanie.

Zawsze zastanawiała się jakby było, gdyby umiała czytać. Teraz nie potrzebowała tej umiejętności. Ludzie będą czytać za nią. Ludzie zrobią wszystko, co im każe.

Ilna dotarła do sklepu spożywczego. Z jednej strony wejścia stał wózek z rzepą i pasternakiem, blokując chodnik. Po drugiej stragan z pomarańczami zasłoniętymi płóciennym workiem przed promieniami słońca. Właściciel siedział w progu, skąd mógł mieć na oku wystawiony towar.

Ilna podniosła worek i zaczęła wyciągać wiotkie pasemka ze skraju materiału. Nie rozpoznała go, lecz palce przekazały jej obraz suchej ziemi i kęp mieczowatych liści.

Właściciel właśnie odliczał jajka do koszyka jakiejś gospodyni. Wziął od niej miedziaki, nie sprawdzając ich wagi, po czym wyszedł z nią ze sklepu.

– Hej, ty! – powiedział do Ilny.

Zignorowała go. Wyciągnęła już tuzin włókien i teraz jej palce zaczęły je splatać.

Sklepikarz szturchnął ją palcem w ramię. Przechodnie zerkali z ukosa na to, co uznawali za początek awantury. Nikt nie przystanął, żeby ją zażegnać.

– Hej, ty! – wrzasnął sklepikarz. – Głucha jesteś? Wynoś się z mojego sklepu, albo...

Ilna skończyła splot. Pokazała mężczyźnie splecione włókna. Zastygł i oniemiał, z szeroko otwartymi ustami i nie dokończoną groźbą na końcu języka.

Z zaplecza sklepu wyszła jakaś kobieta.

– Arreku? – zawołała.

– Co to za miasto? – spytała Ilna głosem zimnym jak syk żmii. Osłaniając dłońmi splot,

pokazywała go mężczyźnie.

– To Erdin na Sandrakkanie – powiedział właściciel sklepu. Słowa zabrzmiały głucho. Nie było w nich życia.

Ilna odruchowo skinęła głową – nieznaczny gest, którego sklepikarz nawet mógł nie dostrzec.

– Gdzie jest najbliższy sklep bławatniczy? – zapytała.

Kobieta wychodziła zza lady, wycierając dłonie w fartuch.

– Przecznice dalej jest sklep Beltara or-Holmana – odparł głuchym głosem mężczyzna. – Zaraz za rogiem.

– Arreku? – ponownie zawołała kobieta. Chwyciła go za ramię. – Arreku!

– Wskaż mi drogę – rozkazała Ilna, nie zwracając na nią uwagi, tak samo jak człowiek, na którego rzuciła urok. Wyciągnął prawą rękę.

Rzuciła splot na ziemię i odeszła. Nie wiedziała, co oznacza „zaraz”, ale sklep powinien rzucać się w oczy. Za jej plecami kobieta z rosnącym wzburzeniem pokrzykiwała na sklepikarza. On sapnął jak wieloryb i zatoczył się na wózek z rzepą.

Sklepy w Erdinie nie były pogrupowane według branży jak w Carcosie. Minęła szewca, sprzedawcę soli i jadłodajnię oferującą rybną polewkę. Trotuar przed drzwiami tej ostatniej migotał od rybich łusek.

W powietrzu unosił się mdlący odór kałuż i niedawnego deszczu. Był upalny dzień i rynsztoki cuchnęły.

Sklep bławatniczy znajdował się po drugiej stronie ulicy – o to nie zapytała, a sklepikarz z własnej woli nie mógł udzielić jej tej informacji, nawet gdyby chciał. Skład znajdował się w ślepym zaułku, takim samym jak ten, w którym zjawiała się w Erdinie.

Ilna przeszła w gęstym ruchu na drugą stronę, nie potrącona przez nikogo i żaden z pojazdów, które z turkotem jechały po bruku. Zawsze doskonale umiała ocenić wzory, a teraz potrafiła określić, w jaki sposób każdy ruchomy obiekt oddziałuje na inne.

Weszła do sklepu pod baldachimem z kraciastego materiału, pełniącego rolę znaku firmowego. Brązowe i niebieskie barwniki nadal były widoczne, chociaż tkanina tak pociemniała od kurzu, że z trudem dawało się dostrzec wzór.

Sklep specjalizował się w wielobarwnych, pasiastych i kraciastych tkaninach. Ilna zauważyła podobne materiały na kilku lepiej ubranych miejscowych kobietach, jednak sama nie gustowała w takich wzorach. Nieważne.

Ekspedientka, dziewczyna o pociągłej twarzy i słomianych włosach, właśnie pokazywała jakiejś matronie zwój materiału ze stojaka na drugim końcu pomieszczenia. Ilna spojrzała na pionowo poustawiane na kontuarze bele, pozostawiające zaledwie pół metra wolnej przestrzeni na transakcje. Z końca każdej beli zwisały luźne nitki.

Ilna znalazła to, co chciała: belę czerwonego materiału częściowo zasłoniętą przez inne, tak że trudno ją było dostrzec. Przyciągnęła ją do siebie. Ekspedientka zerknęła na nią, ale nadal obsługiwała klientkę.

Na ladzie leżały nożyce o uchwycie ozdobionym mosiężnymi liliami. Ilna nie zwróciła na nie uwagi i wyjęła z sakiewki nóż.

– Panienko? – zawołała sprzedawczyni. – Panienko, zaraz pomogę ci...

Ilna odcięła luźną końcówkę, mocno napinając przecinane przez ostrą stal włókna.

– Panie Beltarze! – wrzasnęła ekspedientka. Matrona wybałuszyła oczy, cofając się pod stojak z materiałami. – Panie Beltarze!

Z pokoju na zapleczu wyłonił się mężczyzna w średnim wieku, o szerokiej twarzy i rudawym

zaroście. W rękę trzymał pióro i palce miał poplamione atramentem.

– Tak, panienko? – zapytał ostro spojrzawszy na Ilnę.

Położyła garść nitek na ladzie i zaczęła je splatać. Okna po obu stronach pomieszczenia dawały dostatecznie dużo światła nawet o tej porze, ale mogłaby to robić i po ciemku. Matrona skorzystała z okazji i wypadła na ulicę.

– Panienko! – wykrzyknął Beltar na widok beli wyciągniętego i obciętego materiału. – Co robisz? Sarhad, sprowadź patrol!

– Nie rób tego, dziewczyno – powiedziała Ilna. Spojrzała na Beltara i dodała: – Ta bela była za wąska. Możesz stracić cały towar za sprzedawanie zbyt wąskich tkanin nie oznaczonych przez przycięcie końcówki.

Dziewczyna już była przy drzwiach.

– Sarhad, stój – warknął Beltar. – Ja się tym zajmę. Idź zamieć zaplecze i schody.

Obrzuciwszy zdumionym spojrzeniem pracodawcę i tę dziwną kobietę, ekspedientka znikła za kotarą zasłaniającą drzwi na tyły sklepu. Ilna podjęła przerwana pracę. Czerwony barwnik był matowy, a materiał kiepski pod każdym względem. Porządny bławatnik nie powinien handlować takim towarem.

– Jesteś z biura kanclerza? – zapytał kupiec milczącą Ilnę. – Zapewniam, że jeśli w moim sklepie przypadkowo znalazła się zbyt wąska bela materiału, jestem jak najbardziej skłonny naprawić tę pomyłkę w każdy rozsądny sposób...

Ilna uśmiechnęła się zimno. Proponował jej łapówkę. Wykorzystała znajomość przepisów handlowych obowiązujących w Valles, gdzie zbywała swoje materiały, lecz najwidoczniej prawa Erdinu były równie rygorystyczne.

– Nie jestem z biura kanclerza – powiedziała. – Przybyłam tu uczynić cię bogatym ponad wszelkie twoje wyobrażenia. Na razie zamieszkać w pokoju nad twoim sklepem. Potrzebne mi krosna i przędza.

– Panienko – odparł szczerze zdumiony Beltar – ja kupuję materiały, a nie wynajmuję tkaczek. Jeśli chcesz mi sprzedać jakąś tkaninę, może będę zainteresowany, ale musisz sama znaleźć sobie warsztat i dach nad głową.

– Nie – powiedziała Ilna, ponownie odwracając się do niego. – Nic z tego. Patrz.

Pokazała mu splot. Beltar pochylił się, żeby obejrzeć go lepiej. Zmrużył oczy, a potem gwałtownie poderwał się, gdy zdołał skupić wzrok. Przetarł pięściami oczy, usiłując ogarnąć to, co zobaczył lub co mu się zwidziało.

– Oto twoja prawdziwa przyszłość – powiedziała beznamiętnie Ilna. – To i znacznie więcej.

Bławatnik spoglądał na nią z rosnącym podziwem.

– Kim jesteś? – szepnął.

W drzwiach wejściowych stanęły dwie kobiety.

– Odejdźcie! – warknęła Ilna, nie odwracając się.

– Tak, sklep zamknięty! – rzekł Beltar. – Musicie wyjść!

Odeszły, narzekając. Ilna zaczekała aż znów została sama z właścicielem i powtórzyła:

– Jestem kobietą, która uczyni cię bogatym. Tylko tyle powinieneś wiedzieć.

Bławatnik powoli dochodził do siebie. Na jego twarz zaczęły wracać rumieńce, lecz nad rudawymi brwiami perlił się pot.

– Dobrze – rzekł. – Po drugiej stronie ulicy pani Nirari wynajmuje pokoje. Tam zamieszkać. Nie przyjmę cię do mego domu, ale będziesz miała warsztat.

Palce Ilny rozgarnęły czerwone nitki na dwie osobne wiązki, niszcząc wzór, jakby nigdy nie

istniał.

– W porządku – powiedziała. – Chodźmy tam natychmiast. Mam mnóstwo roboty.

Uśmiechnęła się. Beltar wyglądał tak, jakby już nigdy więcej nie miał się uśmiechnąć, a mimo to, jego twarz zdradzała więcej życia niż jej oblicze.

– W tym porcie są węgorze grubości męskiego uda – rzekł z ponurym przekonaniem Sidras or-Morr. – Och, one nic nie zrobią żywemu człowiekowi, ale wrzuc do wody ciało, a ciach! – i już go nie ma. Nikt więcej nas nie zobaczy.

– Na pewno nie tak grube jak twoje udo, Cashelu – orzekła wesoło Mellie. – Poza tym, nie byłoby ich tyle, gdyby ludzie wciąż nie wrzucali śmieci do wody.

Cashel poruszał wiosłami tuż nad powierzchnią wody, żeby nie zdradził ich plusk ściekających z piór kropel. Wiosłował zręcznie i swobodnie. Nad basenem portowym unosiła się mgła, która skrywała łódkę, ale dźwięki niosły się po wodzie.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś ty też był marynarzem – rzekł pośrednik. – To jedyny jasny punkt w całej tej sprawie. Posłuchaj tylko!

Ryk zebranego na ulicy Portowej tłumu przetaczał się jak burza przez noc. Po powierzchni wody niosły się głównie basowe dźwięki, lecz od czasu do czasu zwierzęcy wrzask wściekłości przelatujący nad spowitymi mgłą nabrzeżami i pomostami.

– Teraz już nie żartują – orzekła Mellie. – Myślę, że wkrótce się zacnie. – A potem dodała: – Ten mi się podoba.

– Jestem pasterzem, panie – rzekł Cashel, bez wysiłku robiąc wiosłami. – Pewnie, pomagałem rybakom, a jeśli wyładowanym rybami kutrem ucieka się przed sztormem, to później pływanie taką łupinką po porcie to fraszka.

– To „Złoty Smok” albo jego bliźniak – mruknął Sidras. – Po żadnym z mórz nie pływa nic podobnego do seriańskiego barkasa handlowego, ale trzeba im przyznać, że mimo dziwnego wyglądu te statki unoszą się na wodzie jak kaczki.

– Lepiej zawołaj, Cashelu – poradziła Mellie. – Inaczej góral stojący na warcie na szczycie masztu może do ciebie strzelić. Wprawdzie z tej odległości trudno mu będzie celować, ale... – zachichotała – stanowisz całkiem spory cel.

Cashel obejrzał się przez ramię i zawołał:

– Jen! Frasa! Tu Cashel. Wracam łodzią. Nie strzelać!

We mgle rozległy się głosy. Słowa były zniekształcone albo w nieznanym mu języku. Na tych zamkniętych wodach Cashel nie był w stanie ocenić, w jakiej padły odległości. Jednak tej nocy mieli tu niewielu przyjaciół i bardzo wielu wrogów.

Sidras stanął na rufie, nie poruszając łodzią. Był niskim mężczyzną w średnim wieku, a sposób, w jaki się poruszał, świadczył, że na jego pokazną tuszę składały się głównie mięśnie. Krzyknął donośnie, najpierw w języku, który Cashel uznał za seriański, a potem przeszedł na mlaszczące i gardłowe dźwięki, zapewne będące narzeczem górali.

Pałka leżała wzdłuż burty, oparta o ławeczki. Cashel nie był pewny, czy byłaby poręczna w walce na lekkiej łódce, ale sądził, że wystarczyłaby. Jak zawsze do tej pory.

Z mroku spowijającego kadłub „Złotego Smoka” popłynął wartki strumień niezrozumiałych słów. Sidras ponownie usiadł.

– Podpłyn do brzegu, chłopcze – rzekł. – Zawsze kiedy tu przychodzę, mam ze sobą kilka lusterek i paciorki dla tych ludożerców z wyżyn. Kochają mnie tak bardzo, że daliby mi nawet ugryźć wątrobę ich babki.

Cashel skierował łódź do drabinki obok rufy statku. Pomost biegł równoległe do brzegu

i dostatecznie daleko wychodził w wodę, żeby spory statek nie osiadł na dnie. „Złoty Smok” był przycumowany bokiem, prostokątnym dziobem w kierunku wyjścia z portu, oświetlonego sygnalizacyjnymi ogniskami.

Cashel zastanawiał się, czy powinien zapytać Mellie, czy górale naprawdę zjadają swoje babki. W końcu doszedł do wniosku, że nie chce i nie powinien poruszać tego tematu.

Z dziedzińca fabryczki przybiegli słudzy z latarniami osłoniętymi żółtym papierem. Był wśród nich jeden z braci, chociaż wiążący linę cumowniczą do drabinki Cashel nie potrafił rozpoznać, który. Słyszał głosy górali, ale nie widział żadnego z nich.

– Panie Cashelu, modliliśmy się, żebyś nie próbował dziś wracać! – powiedział Frasa. Cashel stwierdził, że łatwiej mu poznać ich głosy niż twarze. – Obawialiśmy się, że możemy zostać zaatakowani od strony morza. Czy ta droga jest bezpieczna?

– Nie jest bezpieczna, panie Frasa – rzekł Sidras, wyskakując na pomost za Cashelem. – Nawet nie próbujcie przewieźć ładunku mniejszymi łodziami. Mój kolega Themo najwidoczniej podjudził marynarzy przeciwko wam. I wydał na to sporo pieniędzy.

– Mój brat jest w biurze – powiedział Frasa. – Może dołączycie do nas?

– Nie przybyłem tu podziwiać widoki – mruknął Sidras, z nonszalancją stałego bywalca, wchodząc na teren fabryki. – A jeśli zastanawiacie się, jak zdołaliśmy wynająć łódkę, to wyjaśniam, że wasz wysłannik, pan Cashel, potrafi być nadzwyczaj przekonujący.

– Nie powinni na mnie pluć – mruknął zmieszany Cashel. – Nie jestem psem, którego można kopać i opluwać.

– Trzej rybacy zażyli nieoczekiwanej kąpieli w morzu – wyjaśnił z satysfakcją Sidras, lawirując między rozłożonymi na dziedzińcu stosami towarów. – I nie ścigali nas, ponieważ powybił dziury w dnach innych łodzi tym taranem, którego używa jako laski. To robi wrażenie.

Ładunek „Złotego Smoka” był zapakowany w skrzynie z tekowego drewna, a nie w beczki czy wiklinowe kosze, jakie zwykle widywał Cashel. W Barca’s Hamlet niewiele było budynków równie mocnych, jak te seriańskie skrzynie.

– Wrócę tam za dnia i zapłacę im za szkody – powiedział Cashel. – Kiedy jeden z nich splunął, straciłem cierpliwość i jakoś tak wyszło...

Słudzy z latarniami nie weszli do budynku. Zawieszane na wbitych w ściany hakach lampy sprawiały, że w środku było jasno jak w dzień.

– Och, ja to załatwię, chłopcze – obiecał pośrednik, wchodząc po schodach. Poruszał się z trudem z powodu pasa z pieniędzmi, który miał na sobie pod tuniką. – Znam wszystkich trzech. Przez większą część roku pracują dla mnie. Co nie przeszkadza, że napojeni przez Themo winem i nakarmieni bzdurami o czcicielach diabła, zdzieliliby po głowie nawet mnie.

Jen czekał na szczycie schodów. Skłonił się, zapraszając Sidrasa do biura. Pośrednik odpowiedział ukłonem. Usiadł dopiero wtedy, kiedy Frasa podsunął mu krzesło. Cashel oparł się o ścianę i uśmiechnął się do sztywno wyprostowanego sekretarza, który stanął obok.

Wrzaski zebranego na ulicy Portowej tłumu odbijały się echem od murów fabryki. Cashel nie miał żadnych wątpliwości, że nie zdołałby wrócić tu łodem, a nawet podsunięty przez pośrednika pomysł wynajęcia łodzi okazał się dość ryzykowny.

– Chłopcy, zaleźliście Themo za skórę gorzej niż kleszcz – rozmyślał głośno Sidras.

– Panie Sidrasie – wyjaśnił Frasa – mój brat i ja próbowaliśmy zbyć nasz towar za pośrednictwem Themo. Wpadł w gniew, kiedy udowodniono mu nierzetelność. Przyjmij nasze najszczerze przeprosiny.

Sidras wzruszył ramionami.

– Osobiście zawsze uważałem, że Themo wypelzł z dna portu – rzekł – ale to nie ma nic do rzeczy. Ważna jest tylko obecna sytuacja – i na tym polega problem.

Bracia usiedli i splekli palce. Grzechot uderzających o grubą ścianę kamieni brzmiał w biurze jak grad padający na pokryty dachówkami dach młyna.

Pośrednik bez cienia skrępowania zadarł tunikę i zaczął odpinać trzy sprzączki skórzanego pasa, który miał na brzuchu. Pod tuniką nosił przepaskę biodrową, jak wieśniak, tyle że lnianą, a nie wełnianą. Jego uda były zaskakująco białe i pokryte jasnymi włoskami.

– Przejrzałem wasz spis – powiedział. – To dobry ładunek i chciałbym go tu sprzedać. Jednak nie mogę, nie teraz, kiedy wydarzenia w Carcosie przyjęły taki obrót. Spaliliby mój magazyn, Themo postarałby się o to, a i to tylko wtedy, gdybym zdołał wywieźć stąd towar – a nie mogę.

Ruchem rudej głowy ponownie wskazał na ulicę.

– Tak więc musicie popłynąć do Erdinu – ciągnął Sidras. – Sandrakkan ma swoje problemy, ale na razie jeszcze nie wieszają tam Serian.

– Nie znamy żadnego pośrednika w Erdinie – rzekł odrobinę gniewnie Jen.

– Ach, ale ja znam – powiedział Sidras. – Nawiasem mówiąc, to Serianin, pan Latias. Jego skład znajduje się przy Fellowship Hall, zaraz przy wejściu do portu.

– A więc chcesz nam dać list polecający do pana Latiasa? – powiedział Frasa tym samym tonem co brat. – Ten człowiek może jest naszym ziomkiem, ale nie znamy go, panie.

Sidras położył na stole pas, który wydał stłumiony brzęk.

– Chcę dać wam złoto, tu i teraz – oznajmił. – Oto ono. Mówię szczerze, że jest to tylko sześćdziesiąt procent sumy, jaką w innych okolicznościach zapłaciłbym za ten towar, ale sytuacja zmusza mnie do tego. Mogłem przynieść wam tu złoto, ale nie mogę przetransportować towarów ulicami, ani waszych stąd, ani moich tutaj.

– Bierzesz na siebie ryzyko związane z przewozem ładunku do Erdinu – powiedział Jen, dwoma palcami dotykając pasa, ale nie próbując go otworzyć. To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak, ale wy zapewnacie siłę roboczą – powiedział Sidras. Skrzywił się i dodał: – Spodziewałem się, że po doświadczeniach z Themo będziecie nieufni wobec pośredników z Carcosy. – Uderzył otwartą dłoń w stół. Monety znów zabrzęczały. – Złotu możecie zaufać.

– Możemy zaufać tobie – odparł Frasa, wstając. Pospiesznie wydał sekretarzowi jakieś polecenie w swoim własnym języku. Mężczyzna wybiegł z pokoju, głośnym krzykiem zwołując marynarzy.

– Kazaliśmy ponownie załadować towar na Złotego Smoka” – wyjaśnił Jen, również wstając. – Sytuacja staje się coraz poważniejsza.

– To też robota Themo – powiedział Sidras, wstając i opuszczając tunikę. – Nie wiem, czy chce splądrować fabrykę, czy tylko spalić ją ze złości. Zawsze uważałem go za nędznika, ale podejrzewam, że dla niektórych może być wygodny.

Wskazał na pas z pieniędzmi.

– Monety są różne, głównie z Haft, ale wziąłem, co miałem pod ręką, żeby tylko zgadzał się ciężar. W pierwszej przegródce jest spis, z którym możecie sprawdzić zawartość.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – rzekł Frasa. – Jeśli bogini zachowa nas przy życiu, panie Sidrasie, nie zawieziemy pańskiego zaufania.

Sekretarz wrócił do biura. Przy każdym otwarciu drzwi ryk tłumu był coraz głośniejszy. Jen chwycił za sprzączki, podniósł pas i wręczył go służce, ściszone głosem wydając jakieś polecenie.

– A więc wracam do domu – mruknął pośrednik. Ruszył do drzwi.

– Czy mam...? – zaczął Cashel, kierując to pytanie zarówno do Sidrasa, co do Serian.

Sidras uśmiechnął się do niego.

– Wychowałem się na wodzie, chłopcze – rzekł. – Chętnie pozwalam, by wyręczył mnie ktoś młodszy, jeśli to możliwe, ale chyba jeszcze nie zapomniałem, jak się wiosłuje.

Wskazał palcem na statek. Rozmawiając z ożywieniem, marynarze na pozór beładnie chwyтали skrzynki i nieśli je w kierunku dwóch trapów.

– Jesteś tam potrzebny, żeby pomóc załadować mój towar na statek, a jeśli prawidłowo oceniam nastrój tych na ulicy, to również i w innym celu. Tylko pamiętaj, co mówiłem o węgorzach.

Sidras opuścił biuro. Cashel szedł tuż za nim, przystanąwszy tylko na moment, żeby nie zawadzić pałką o framugę drzwi. Frasa i Jen zostali w środku, naradzając się ze sobą.

– Panie? – zapytał cicho Cashel, idąc po schodach za pośrednikiem. W przedsionku nie było nikogo oprócz czterech górali, popijających jakiś gęsty płyn z drewnianych kubków i kompletnie ignorujących łomotanie do drzwi.

– Tak? – rzucił przez ramię Sidras.

– Panie, dlaczego to robisz? – zapytał Cashel. – Umówiliśmy się, że dasz im zaliczkę i list polecający do Latiasa, a nie całą sumę w złocie.

– No tak – przyznał Sidras, maszerując przez tłum na tyłach budynku. Tkaniny i przyprawy były nakryte brezentem, chociaż zdaniem Cashela masywne skrzynki doskonale zabezpieczały je nawet przed najgorszym sztormem. – A Jen i Frasa zgodziliby się. Są przyparci do muru, a zdali się na moją łaskę, kiedy nie pozwolili, by Themo obrabował ich tak, jak zamierzał. Cóż...

Machnięciem ręki wskazał na boginię miłosierdzia i towarzyszące jej demony.

– Nie chodzi o to, że trzymam z czcicielami diabła, ale już od dwudziestu lat robię interesy z tymi braćmi i ich ojcem. Przez cały ten czas ani razu nie stwierdziłem, by zawyżyli wagę albo zmieszali towar gorszej jakości z lepszym. Myślę, że jeśli po śmierci Siostra weźmie ich do świata podziemi, to jej sprawa. Natomiast ja traktuję ludzi tak jak oni mnie.

Dwaj obywatele Haft ramię w ramię wyszli na oświetlony latarniami dziedziniec fabryki.

– A poza tym – dodał Sidras – jeśli mogę zrobić koło pióra temu robakowi Themo i jeszcze przy tym zarobić... No cóż, obie możliwości naprawdę warte są tego ryzyka.

Pośrednik i siedząca na ramieniu Cashela duszka zgodnie parsknęli śmiechem.

Nonnus ustawił żagiel równie starannie jak wtedy, kiedy oczyszczał ranę przed jej zaszyciem. Wiatr był porywisty i zmienny – odpowiedni kontrapunkt szarego nieba nad ich głowami.

Pustelnik puścił płótno i znów przysiadł w kucki obok steru. Sharina uśmiechnęła się do niego. Miała nadzieję, że udało jej się ukryć rozpacz.

– Bardzo możliwe – rzekł Nonnus z wymuszonym spokojem – że ten wiatr zanieśie nas tam, dokąd chciałbym dopłynąć. Obawiam się jednak, że już postawiłem na to nasze życie.

– Nikomu z nas nie trzymałeś noża na gardle, kiedy wchodziliśmy na pokład – powiedziała Sharina. Wcale nie próbowała pocieszyć przyjaciela. Tak było naprawdę. – A musieliśmy od płynąć z Tegmy.

– Właśnie – przyznał Nonnus, spoglądając w niebo.

Sharina wiedziała, że górą wieją inne wiatry niż te, które wydymają żagiel, lecz być może jakoś oddziaływały na siebie. Oczywiście, wielu ludzi uważało, iż gwiazdy w jakiś sposób wpływają na ludzkie życie. Może i tak było. W końcu były częścią tego samego kosmosu. Jednakże ten kosmos wydawał jej się niezwykle skomplikowany, a odnalezienie wszystkich wzajemnych zależności z pewnością przekraczało możliwości ludzkiego umysłu.

Asera i Meder skulili się na dziobie, zmoknięci, nieszczęśliwi i wściekli jak koty na deszczu. Kiedy po zniknięciu żółwia morze uspokoiło się, Meder próbował wyjaśnić Sharinie, że źle uczyniła, pozbywając się kuferka z jego czarodziejskimi przyborami.

Na wspomnienie tej rozmowy Sharina znów obrzuciła gniewnym spojrzeniem czarodzieja. Ona nie musiała zniżać głosu, żeby Nonnus nie usłyszał jej słów. Nikt nie lubi być nazywany głupcem i tchórzem w obecności innych. Meder przestał się do niej odzywać.

– Na północ od Wysp są skały, na których są lęgowiska fok – rzekł Nonnus, ponownie skupiając uwagę na pustym horyzoncie. – Jeśli uda nam się wylądować na jednej z nich, możemy spotkać myśliwych z Pewle. Oczywiście, sezon polowań jeszcze się nie zaczął.

– Możemy jeść ryby, a nawet jeśli nie spadnie deszcz, to mamy wodę na... – zaczęła Sharina.

Nonnus zerwał się i w trzech susach przebiegł wzdłuż burty do masztu. Poluzował fał żagla na knadze, do której był uwiązany. Sharina przez moment obawiała się, że przetnie linę, zamiast tracić kilka sekund na rozwiązywanie węzła.

Nonnus nie spuścił żagla, tylko z powrotem obłożył liną knagę.

– Za późno – powiedział, prostując się. – Już nas zauważyli.

– Ziemia! – krzyknęła prokurator. Wstała niezgrabnie jak staruszka, pokazując coś z prawej burty. – Patrzcie! Patrzcie! Ziemia na horyzoncie!

– To nie ziemia – rzekł Nonnus, gdy Meder też wstał. Sharina zastanawiała się, czy ci dwoje pływają dostatecznie dobrze, by się uratować, jeśli wypadną za burtę. – To kolonia Pływającego Ludu.

Sharina dostrzegła brązową plamę, która wyglądała jak ład. Z pewnością była za duża na statek. Od głównej masy oderwały się dwie plamki, zmierzając w kierunku dębki. Nonnus westchnął.

– To statki łowców – rzekł. – No cóż, musieli nas zauważyć.

Z zimnym skupieniem, zupełnie różnym od gorączkowej aktywności, jaką przejawiał przed chwilą, znów zasiadł przy sterze.

– Może to i dobrze. Znaleźliśmy się dalej, niż zamierzałem dotrzeć tą pływającą kłodą.

Zachowując ostrożność w pełni usprawiedliwioną ich niezgulstwem, oboje arystokraci przeszli na rufę.

– Czy to twoi ziomkowie, człowieku? – zapytała Asera. – A może przyjaciele?

Nonnus lekko pokręcił głową.

– Ludzie z Pewle i Pływający Lud znają się – odparł. – Tylko my ich znamy, gdyż nie ma na tych wodach niczego, co sprowadzałoby tu mieszkańców lądu. Nie, nie jesteśmy przyjaciółmi. Oni nie mają żadnych przyjaciół prócz takich samych jak oni.

I dodał z krzywym półuśmiechem:

– A nawet i z takimi się nie przyjaźnią.

Pociągnął szot, łapiąc wiatr w żagiel, zamiast zrzucić go tak, jak zamierzał wcześniej.

– Nie chcemy, by pomyśleli, że próbujemy przed nimi uciec – wyjaśnił. – Ponieważ nie możemy. Nie przy tym wietrze.

Dwie podpływające łodzie nie miały masztów ani żagli. W każdej siedziało tuzin wiosłarzy. Płynęły szybciej od jakiegokolwiek widzianej dotychczas przez Sharinę łodzi, a ich dzioby podskakiwały jak węże na falach.

– Kiedy do nas podpłyną... – zaczął Nonnus. Nie odrywał oczu od tamtych łodzi. Troje jego towarzyszy obserwowało go z niepokojem. Sharina miała nadzieję, że ukrywa swój lepiej niż arystokraci. – Pozwólcie, że ja będę mówił.

– Tak – zgodziła się prokurator. – Oczywiście.

– Gdybym miał mój... – mruknął Meder. Urwał, kiedy odruchowo zerknął na Sharinę i uświadomił sobie, że była dostatecznie zaniepokojona i wściekła, by zepchnąć go do morza.

– Oni nigdy nie schodzą na ląd – wyjaśniał cicho Nonnus. – Och, zakładają obozy łowieckie na lodowcach i przeczesują rafy za Wyspami w poszukiwaniu drewna, lecz poza tym całe życie spędzają na swych łodziach.

– Takich jak te? – spytał Meder, patrząc na zbliżające się łodzie. Ich kadłuby były zszyte ze skór. Kiedy słońce oświetliło ich wnętrza, Sharina dostrzegła wręgi i klęczących wiosłarzy.

– To łodzie myśliwskie – wyjaśnił Nonnus, z niezmaconym spokojem obserwując nadpływających. – Używają ich do polowań. Mieszkalne są znacznie większe i łączą je razem.

A po chwili dodał z nikłym uśmiechem:

– Chociaż nie sądzę, abyście uznali je za wygodne.

Łodzie znalazły się już tak blisko, że Sharina dostrzegła, iż wśród wiosłujących są kobiety. Wszyscy wiosłarze byli nadzy do pasa. Mieli rude włosy i bardzo białą skórę, błyszczącą od tłuszczu. Ich ciała zdobiły rzemienne pasy, kościana biżuteria, tatuaże lub malunki.

– Każde plemię ma pięćdziesiąt do stu łodzi mieszkalnych – rzekł Nonnus. Jego oszczep leżał przed nim, oparty o burty. Pustelnik lekko przytrzymał go prawą ręką, jakby nie pozwalając mu się odturlać. – Właśnie to widzimy na horyzoncie. Plemiona Pływającego Ludu dają się nieść prądom i wiatrom, krążąc między Wyspami a Lodowymi Czapami, nigdy nie schodząc na ląd, chyba że sztorm wyrzuci łódź łowców na brzeg.

– Mówiłeś, że polują – powiedziała Sharina, starając się naśladować spokojny ton głosu i zachowanie Nonnusa. Obok każdego wiosłarza leżał harpun z zębatym grotem. – Na co?

– Głównie na wieloryby – rzekł Nonnus. – Budują swoje domy mieszkalne ze skór i żeber wielorybów. Na inne morskie zwierzęta. Na drewno. Na rozbitków, jeśli mają nad nimi liczącą przewagę.

Asera zeszytniała. Meder z nagłym przestraszeniem spojrzał na zbliżające się łodzie. Pustelnik nie

patrzył na arystokratów, lecz Sharina zauważyła cień uśmiechu w kąciku jego ust.

– Nic nam nie grozi – powiedział. – Oni wiedzą, że lepiej nie zadzierać z ludźmi z Pewle. Tylko pozwólcie, że ja będę mówił.

Łodzie zrównały się z dłubanką, ustawiając się wzdłuż obu jej burt. Były zdumiewająco zwrotne, lecz Sharina zauważyła, że wiatr znosił je równie łatwo jak pianę z piór wiosła. Wysokie burty i płytkie dno prawie uniemożliwiałyby wiosłowanie pod silny wiatr. Wioślarze chwycili pływaki dłubanki i wszystkie trzy łodzie razem unosiły się na wodzie.

Jedynym okryciem Ludu były pasy i naramienniki. Najwyraźniej okrywanie nagości z poczucia skromności nie leżało w ich zwyczajach. Wokół skórzanych łodzi i ich załóg unosił się odór rzeźni. Meder zakaszłał, a prokurator zasłoniła nos fałdem szaty. Nawet Sharinie zrobiło się niedobrze, chociaż jej wymagania w kwestii higieny zdecydowanie obniżyły się, od kiedy weszła na pokład triremy.

Lud smarował swoje ciała szybko jełczejącym tłuszczem. Wręgi łodzi tworzone ze świeżych wielorybich kości i smród gnijącego szpiku łączył się z wonią zjełczałego tłuszczu, tak samo jak odór na pół wyprawionych skór kadłuba.

– Hej, Śpiku! – zawołał wioślarz jednej do starca na rufie drugiej łodzi. Mówił z fatalnym akcentem, ale zrozumiale. – W tej kłodzie są korniki!

– Łatwo się ich pozbyć – odparł chuderlawy młodzian na dziobie łodzi Śpika. Podniósł harpun. U prawej dłoni brakowało mu dwóch ostatnich palców. Załogi obu łodzi były w dobrych humorach, lecz było to zadowolenie kota wiedzącego, że ofiara nie ma dokąd uciec.

Nonnus wstał. Spojrzał na Śpika i niedbałym ruchem oparł oszczep na ramieniu tak, że grot mierzył w powietrze.

– Żądam prawa dołączenia do waszej społeczności, Śpiku! – powiedział. – Dla mnie, moich kobiet i mojego syna!

– To Pewlanin! – warknęła jedna z kobiet. – Co obrzygany Pewlarz robi na takim kawałku pływającego drewna?

Sharina nie patrzyła na Nonnusa i przywódcę Ludu, ale na drugą łódź. Wiedziała, że pustelnik mimo pozornej nonszalancji w mgnieniu oka może zabić każdego, kto by mu zagroził, ale nawet Nonnus nie miał oczu z tyłu głowy.

Kobieta o zwisających do pasa piersiach, chociaż niewiele starsza od Shariny, ukradkiem sięgnęła po harpun. Sharina obróciła toporek tak, że słońce odbiło się od ostrza i zaświeciło tamtej w oczy. Niedoszła napastniczka warknęła coś pod nosem, ale odsunęła ręce od broni.

– Żądam prawa dołączenia do waszej społeczności! – powtórzył Nonnus. – Daję wam drewno wartości sześciu osób. Nas jest tylko czworo. Zabierz nas do waszego króla, Śpiku, albo walcz ze mną, jak każe obyczaj, jeśli odrzucasz mój dar!

Sharina zaryzykowała i obejrzała się. Pustelnik prawie się nie poruszył, tylko lekko ugiął kolana, szykując się do skoku na rufę skórzanej łodzi.

Śpik wyraźnie zbladł.

– Ha! – rzekł. – Trzypalcy, Mewojadzie, przywiążcie liny do tej kłody.

– Dostaniemy przepukliny, zanim zaholujemy ją do domu – mruknął Trzypalcy.

Śpik zignorował go.

– Dobrze, człowieku z Pewle – dodał zjadliwie. – Obyczaj mówi, że możesz dołączyć do plemienia, to prawda. Jednak nigdy go nie opuścisz!

Król Carus oparł się o poręcz balkonu, splatając palce, i z niezwykle ponurą miną obserwował przebieg wydarzeń z tego punktu widzenia, który dzielił we śnie z Garricem. Sześć kobiet w białych powiewnych szatach i białych czepcach różnej wielkości i kształtu, stało przed zasiadającym na tronie, znacznie młodszym Carusem. Pośród dworskiego przepychu te sztywno wyprostowane kobiety wyglądały jak sople lodu.

– Przeoryszo Cór Pani – zwrócił się Carus do najstarszej. Dwie młodsze kobiety podtrzymywały ją, gdy podchodziła. Teraz czekały, gotowe w każdej chwili chwycić ją, gdyby się zachwiała. – Ziemie przyznane świątyniom nie były opodatkowane. Moi doradcy powiedzieli mi, że powinienem zmienić ten zwyczaj – gdyż nie było to prawem. Wydawało mi się to proste.

Przeorysza zaczęła mówić. To zdumiewające, że w tak kruchym ciele mogło kryć się tyle siły. Garric wolałby zostać wychłostany niż znosić tę zimną wzgardę. Spojrzał na swego towarzysza ze snów.

Carus uśmiechnął się smutnie i potrząsnął głową.

– Niektóre sprawy wyglądają bardzo prosto, dopóki się ich dobrze nie przemyśli, chłopcze – rzekł. – Jeśli świątynie miałyby zostać opodatkowane, to czy państwo zaopiekowałyby się chorymi tak, jak robiły to Córy Pani?

Napotkał spojrzenie Garrica. Temu wydawało się, że spogląda na swoje odbicie wśród liści unoszących się na powierzchni leśnego jeziora, zniekształcone, ale podobne.

– Walka to dla mnie zwyczajna rzecz – powiedział Carus. – Umiałem walczyć i dowodzić. Z rządem było gorzej.

Postać na tronie wierciła się niespokojnie. Stojący po obu stronach tronu mężczyźni w obszytych futrem szatach szeptali coś do króla. Jeden z nich trzymał arkusz pergaminu, jakby próbował zasłonić petentkę przed jego spojrzeniem. Przeorysza mówiła dalej, a jej głos był jak zgrzyt piły tnącej kamień.

– Postanowiłem rozprawić się z księciem Yole tak, jak umiałem najlepiej – powiedziała cicho postać na balkonie. – Postanowiłem rozdeptać go jak pluskwę.

– Może nie było innego wyjścia – powiedział Garric ze snu.

Jego towarzysz pokiwał głową.

– Może nie było – przyznał. – Jednak ja nawet nie szukałem innego sposobu. Wybrałem najłatwiejszą drogę i zaprowadziła mnie prosto na dno morza.

Siedzący na tronie mężczyzna wstał. Wyraz jego twarzy zdradzał głęboką irytację. Przeorysza uniosła kościste ramię. Jeden z doradców złapał za bufiasty rękaw królewskiego kaftana. Król krzyknął gniewnie i wypadł z sali przez znajdujące się za tronem drzwi.

– Może tym razem uda nam się lepiej rządzić Wyspami, chłopcze – powiedział towarzysz Garrica. – I naprawdę rozgniotę księcia Yole jak pluskwę.

Parsknął znajomym, dźwięcznym śmiechem, gdy sala tronowa znikła wraz z balkonem, a Garric ze snu połączył się z obolałym młodzieńcem, który ocknął się na łożu w komnacie z oknem wychodzącym na południowy port Carcosy.

W rozświetlonym słońcem powietrzu unosił się blady dym o kwaśnym zapachu. Węgiel drzewny płonął na palenisku umieszczonym na stojącym obok łóżka trójnogu o nóżkach ozdobionych rzeźbami wijących się żmij. Tenoctris jedną ręką sypnęła w ogień garść ziół, a trzymaną w drugiej różdżką

kreśliła skomplikowane znaki w powietrzu. Widząc, że Garric otworzył oczy, skinęła głową, ale nadal rzucała zaklęcia i machała różdżką.

Garric leżał na brzuchu. Zaczął podnosić się na lewym łokciu.

– Nie ruszaj się! – rzuciła ostro Liane.

Garric obrócił głowę. Był nagi, a Liane wcierała maść w zadrapania na jego plecach i udach. Maść rozgrzewała i piekła, ale kołła ból ran, tak jak ogień użyty do powstrzymania pożaru.

Po spotkaniu ze Strasedonem z tuniki i tak niewiele zostało. Rozcinając i zdejmując z niego te resztki, nie uraziły bardziej jego skromności. Odwrócił głowę do okna i starał się nie zaczerwienić.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Panienko Liane? – zawołał głos. – Jest tu chłopiec od aptekarza Nuziego z lekami, które zamówiłaś.

– Tak, przynieś je tu – powiedziała Liane, silnymi palcami nadal nacierając Garrica. – Teraz nie mogę sięgnąć po pieniądze, więc zapłać mu i zapisz to na mój rachunek. Później wyrównam rachunek.

Gospodyni „Odpoczynku Kapitana” wślizgnęła się do pokoju, niosąc pakiecik owinięty w pergamin. Pryszczaty, mniej więcej dwunastoletni chłopiec gapił się na Garrica z progu, aż kobieta wypchnęła go gniewnie i zamknęła za sobą drzwi. Garric miał tu łóżko w zbiorowej sali, a teraz leżał w jednym z apartamentów na pierwszym piętrze. Sądząc po rozmiarach i lokalizacji, zapewne najlepszym w tawernie.

– Hm... – zaczął, ponownie napotykając spojrzenie Liane. Pewnie ojciec przyśle mu pieniądze, jeśli będzie musiał... – Czy wiesz, ile to będzie kosztowało?

– Niewiele brakowało, a kosztowałoby cię życie! – odparła gniewnie. – Nie ruszaj się!

Zaskoczony Garric zamrugał oczami zanim zrozumiał, że gniew dziewczyny nie był skierowany przeciwko niemu. Nic nie powiedział, kiedy tak warknęła, ale napiął mięśnie.

– Przepraszam – szepnęła Liane. Łzy popłynęły jej z oczu. Znowu nabrała maści z kamionkowego naczynia i zaczęła ją wklepywać zamiast wcierać w skórę Garrica. – Och, pomóż mi Pani, tak mi przykro. To wszystko moja wina. Powinnam go powstrzymać.

Osunęła się na kolana obok łóżka, jakby nie mogła już ustać na nogach. Załamała ręce błyszczące od maści.

– Był moim ojcem! Powiedział, że potrzebuje mojej pomocy, ponieważ nikomu innemu nie może zaufać.

– Na twoim miejscu każdy zrobiłby to samo – mruknął Garric, splatając palce i ponownie spoglądając w okno. – Ja także, gdyby mój ojciec mnie o to poprosił.

Tylko że Reise nie był butny. Ojciec Liane był arogantem, a co gorsze człowiekiem, który bez wahania naraził córkę na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że była pod ręką.

Tenoctris zakończyła swoje ciche przyśpiewy. Z westchnieniem położyła różdżkę na palenisku i usadowiła się na okiennym parapecie. Miała pot na czole. Cokolwiek robiła, nie było to tylko machanie różdżką, chociaż tak mogło wydawać się postronnemu obserwatorowi. Garric był przytomny, ale czuł się oderwany od swego ciała. Zdawał sobie sprawę z bólu, ale tak naprawdę wcale go nie czuł. Uśmiechnął się do Tenoctris.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, iż sztylet Benlo jest dla nas zbyt niebezpieczny?

Odpowiedziała z uśmiechem:

– Zbyt niebezpieczny, by wykorzystać jego magię. Jako broń okazał się niezwykle użyteczny.

Czubkami palców lewej dłoni przesunęła po prawej, tej, którą dźgnęła demona.

– Moim udziałem stają się najróżniejsze przeżycia, o jakich nawet nie marzyłam w moich

czasach.

Liane napełniła cynowy kubek wodą ze stojącej na umywalce karafki i rozpuściła proszek z dostarczonej przez aptekarza paczki. Postawiła roztwór na pokrywie paleniska, żeby się rozgrzał. Zauważywszy, że Garric ją obserwuje, wyjaśniła:

– To sok z sałaty, umiarkowana dawka. Pomoże ci zasnąć.

A ponieważ nie zareagował, dodała obronnym tonem:

– Znam się na leczeniu. Córki uczyły nas medycyny i chirurgii.

Garric uśmiechnął się. Liane nastroszyła się, myśląc, że się z niej śmieje. Pospiesznie wyjaśnił:

– Odrodzone Córki Pani, tak, mówiłaś mi. Może wiesz, czy one płacą podatki earlowi Sandrakkanu?

– Co? – zdziwiła się Liane. Miała tak zaskoczoną minę, jakby zapytał ją o stroje noszone przez mieszkańców księżycy. – No, naprawdę nie mam pojęcia.

Bawiła się ścierką, w którą wytarła ręce. Był to kawałek tuniki Garrica. Zastanawiał się, czy mógłby coś na siebie włożyć, ale wolał nic nie mówić i nie zwracać uwagi na fakt, że jest zupełnie nagi.

– Mój ojciec miał odpowiednie fundusze – powiedziała Liane, spoglądając na szmatkę. – Więcej niż wystarczające do moich celów.

Popatrzyła na Garrica. Ze stanowczą miną, zdecydowanym głosem dorzuciła:

– Kazałam, by ojca zabalsamowano. Zabiorę go z powrotem do Erdinu. Wciąż powtarzał mi, że grobowiec nadal należy do nas. Pochowam go obok matki. Tego by chciał.

Garric kiwnął głową, unikając spojrzenia dziewczyny. Widziała jak zabito jej ojca. Widok wypatroszonych zwłok handlarza był wystarczająco szokujący. Garric nie miał pojęcia, co teraz powiedzieć.

– Dostarczę stado tak, jak się zobowiązał – powiedziała Liane. I gniewnym, zimnym tonem dodała: – Znajdę tego, kto przysłał tutaj mojego ojca. I dowiem się, dlaczego zginął!

Tenoctris obserwowała dziewczynę. Twarz staruszki rzadko bywała nieprzenikniona, lecz lekki uśmiech na jej wargach nie zdradzał, co o tym myślała.

– Strażnicy ojca opuścili mnie – powiedziała Liane. – Nie mam im tego za złe, a poza tym mieli do tego prawo. Chciałabym wynająć cię, żebyś mi towarzyszył, panie Garricu. Podaj tylko cenę.

Łzy znów popłynęły jej po policzkach. Przez chwilę ignorowała je, z twarzą jak wykuta z marmuru. Potem zdecydowanym ruchem otarła je wierzchem ręki.

– Panienko... – zaczął Garric.

– Nie muszę ci mówić, jak niebezpieczne może być moje towarzystwo – rzekła ochryple Liane. Znów zaczęła ocierać oczy, ale nagle skryła twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

– Czy Ilna wie, co się stało? – zapytał Garric Tenoctris, ścisząc głos. Właściwie chciał pomóc Liane, ale już znalazł się daleko od domu, a na myśl o tym, co powiedziałyby Ilna, gdyby odszedł, robiło mu się nieswojo.

Obie kobiety wymieniły spojrzenia, z których nie zdołał niczego wyczytać.

– Ilna weszła za nami do grobowca, Garricu – wyjaśniła cicho Tenoctris. – Od tej pory... Od zeszłej nocy nikt jej nie widział. Szukałam jej, nie przez cały czas, gdyż musiałam zająć się twoimi ranami, ale dość intensywnie.

– Bardzo mi przykro, Garricu – powiedziała Liane. Mocno splotła palce. – Twoja przyjaciółka być może nie żyje.

Garric usiłował ogarnąć sytuację. Czuł się tak, jakby powiedziano mu, że gospoda wraz z całą jego rodziną zatonała w morzu. Nie odezwał się. Tenoctris zdjęła kubek z paleniska i podała mu.

Machinalnie wypił gorzki płyn, a potem postawił puste naczynie na podłodze obok łóżka.

Wszystko się zmieniało.

– Chyba chciałbym na chwilę zostać sam – powiedział, nie patrząc na nie. Kobiety w milczeniu opuściły pokój. Usłyszał trzask zamykanych drzwi, a potem ściszone głosy.

Zaczął płakać.

Chwiejnym krokiem, zgięci jak kraby, seriańscy marynarze wlekli się po trapie na dziób „Złotego Smoka”. Każdy dźwigał na plecach kufer, który – zdaniem Cashela – powinni nieść we dwóch. Marynarze nie wyglądali równie krzepko jak Frasa i Jen, chociaż i ci seriańscy szlachcice byli mizerakami w porównaniu z przeciętnym mieszkańcem Barca’s Hamlet.

– Twarde mikrusy – rzekł Cashel do duszki, dostojnie maszerując po trapie. Ten wyraźnie ugiął się pod nim i pod ciężarem dwóch skrzyń, które pasterz niósł na ramionach. – Wprost trudno uwierzyć, że są tak silni. A wyglądają tak, jakby pierwszy silniejszy podmuch wiatru mógł ich porwać.

Mellie zaśmiała się. Ledwie czuł jej ciężar we włosach, jakby wietrzyk nastroszył mu jeden lok. – Och, bardzo silni – przytaknęła, ale Cashel odniósł wrażenie, że powiedziała to kpiącym tonem. „Złoty Smok” miał siedem poprzecznych luków towarowych, a każdy z nich był oddzielony od pozostałych. Taka konstrukcja utrudniała zmianę wyważenia statku na morzu, ale także czyniła go niezwykle wytrzymałym i sterownym. Przez wybitą w burcie dziurę woda mogła zalać najwyżej jedną ładownię i barkas bez trudu mógł utrzymać się na powierzchni.

Kapitan statku rozebrał się do przepaski biodrowej, tak jak jego załoga, ale nosił pas z czerwonego jedwabiu, będący oznaką rangi. Idący przed Cashelem marynarz chciał złożyć skrzynkę w otwartej ładowni. Kapitan wrzasnął na niego gniewnie, machając laską zrobioną z kręgosłupa dużej płaszczki. Popchnął marynarza w kierunku ostatniej ładowni. Potem zwrócił uwagę na następnego tragarza: Cashela. Ton jego głosu zmienił się w połowie zdania, chociaż Cashel i tak nie zrozumiał ani słowa. Kapitan skłonił się i skierował młodzieńca do następnej ładowni.

Dwóch marynarzy mocowało kołkami pokrywę najbliższego luku. Trzeci przywiązywał kołki sznurem zrobionym z włóknistej kory jakiejś rośliny.

Cashel przyklęknął. Marynarze w ładowni wzięli od niego obie skrzynki i ustawili je w poprzek na poprzednich. Obdarzyli go promiennymi uśmiechami i tylko ich terkocząca mowa sprawiała nieuzasadnione wrażenie, że są wrogo nastawieni.

Papierowe latarnie zwisające z bomu rzucały powykęcane cienie, gdy Cashel wyprostował się i odetchnął. Te dwie skrzynki sporo ważyły, chociaż nie powiedziałby tego głośno. Wszedł po wąskich schodkach na pokład dziobowy, gdzie siatka z grubych lin łączyła statek z wychodzącym od brzegu pomostem.

Wnętrze „Złotego Smoka” było całkowicie przeznaczone na ładunek. Trzy ciasne kajuty znajdowały się przy prostokątnym dziobie, bezpośrednio pod pokładem, na którym stali teraz Jen i Frasa, obserwując, lecz nie kierując załadunkiem. Na wysięgnikach na dziobie była zawieszona szalupa.

Bracia odbyli trzy niespieszne wycieczki do budynku, przenosząc boginię miłosierdzia oraz jej demony, umieszczając posągi w środkowej kabynie. Potem nie brali udziału w załadunku. Skłonili się mijającemu ich Cashelowi. Ten podejrzewał, że zwykli marynarze śpią na pokładzie, kiedy „Złoty Smok” wychodzi w morze, a wcale by się nie zdziwił, gdyby oficerowie statku sypiali tam również.

Górale z zaciekawieniem obserwowali pracę marynarzy, ale nie uczestniczyli w niej tak samo, jak Jen i Frasa. W stosunku do swego wzrostu ci mali wojownicy zapewne byli równie silni jak wszyscy obecni, z Cashelem włącznie. Poszturchiwali się i chichotali, gdy Cashel przechodził obok nich z Mellie siedzącą na ramieniu.

– Nie mogliby pomóc? – mruknął do niej. Wiedział, że kilku górali stoi na straży w przedsionku, ale pozostali radośnie się obijali, podczas gdy wszyscy wokół zwijali się jak w ukropie.

– A czemu mieliby to robić? – spytała Mellie. – Czemu ty tak ciężko pracujesz?

– Co takiego? – zadziwiło go to pytanie. – Hm, ludzie muszą pracować, Mellie.

– Ja nie muszę – odparła duszka. – Oni też nie.

Przytknęła kciuki do uszu i pomachała palcami do patrzącego na nią górala, który miał górną wargę przekłutą dziesięciocentymetrowym kołkiem z tekowego drewna, na jednym policzku wytatuowaną swastykę, a na drugim słońce. Groteskowy karzeł ubawił się tak setnie, że padł na pokład, trzymając się za boki ze śmiechu.

Cashel zczekał aż trzej zgięci pod ciężarem skrzyń marynarze przejdą przez bramę. Dziedziniec był prawie pusty. Cashel chciał wejść do budynku, ale w drzwiach spotkał sekretarza, który machnął ręką. Serianin powiedział coś w swojej mowie – a przynajmniej nie w języku Haft – lecz szybkie gesty i rzucone w stronę wnętrza spojrzenie przekonały Cashela, że budynek został opróżniony.

Odwrócił się, by wziąć ostatnią skrzynię, jaka została na placu. Pracujący Serianie uwijali się w sposób, jaki Cashel uznał za beznadziejnie nieskoordynowany. Może tak też było, a mimo to zrobili co do nich należało. Podczas sianokosów normalny człowiek oszalałby, słuchając ich terkotania i patrząc na gorączkową krzątanicę, ale Cashel podejrzewał, że zebraliby siano do ostatniego źdźbła.

– Cashelu – powiedziała Mellie obojętnym tonem, jakiego używała, kiedy nie żartowała – czas stąd odejść. Nadchodzą.

– Hę? – zdziwił się Cashel.

W budynku dał się słyszeć trzask łamanego drewna. Sekretarz przebiegł przez pomost, szybko przebijając nogami. Kolejne uderzenie odrzuciło na boki resztki solidnych frontowych drzwi. Tłum musiał postarać się gdzieś o prawdziwy taran, ponieważ nie było łomotania ani zwłoki: wyważyli drzwi dwoma uderzeniami.

Cashel oparł pałkę o tylny mur dziedzińca, obok bramy. Zapamiętał gdzie ją postawił, a potem oburącz podniósł ostatnią skrzynię. Prawą ręką chwycił za rączkę, lewą za krawędź, nieco w bok od środka. Domyślał się, że w środku są naczynia, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Pozostali marynarze zmykali na statek, depcząc po piętach sekretarzowi. W budynku rozległy się triumfalne wrzaski, potem brzęk cięciw i przeraźliwe wrzaski.

– Och, Cashelu! – powiedziała duszka. To zabawne, że słyszał ją tak wyraźnie nawet w tym hałasie.

Trzej górale wypadli z budynku, pędząc co sił w krzywych nóżkach. Czwarty utykając, biegł kilka kroków za towarzyszami. Krwawił z rany w udzie, a w ręce trzymał ludzkie ucho, również zakrwawione. Cashel zaparł się lewą nogą w ziemię i zamachnął się.

W drzwiach zaroilo się od ludzi, obwiesiów z rodzaju tych, z jakimi rozprawił się, gdy napadli na Jena i Frasę. Tuż za nimi cisnęli się strażnicy Themo, wolniejsi w swych ciężkich zbrojach. Cashel z całej siły cisnął skrzynią, jakby rzucał kamieniem na dożynkowych zawodach.

Nie wiedział, ile ważyła ta skrzynia. Oceniał, że mniej więcej sto kilogramów, bo siła bezwładności obróciła go twarzą do portu.

Skrzynia z tekowego drewna uderzyła w tłum, lecąc na wysokości piersi stojącego człowieka. Tłum poszedł w rozsypkę, ale skrzynia nie – nadal była w jednym kawałku, gdy znikła w gąszczu rozpaczliwie machających kończyn, wpadając do budynku, na spotkanie niczego nie spodziewających się napastników. Ci, którzy znaleźli się na jej drodze, byli w znacznie gorszym stanie od niej.

Cashel chwycił pałkę i pobiegł w kierunku dziobu. Nie był szybkobiegaczem, ale biegł

wystarczająco prędko, kiedy już się rozpędził. Na słupach pomostu wisały zapalone latarnie. Wszyscy seriańscy marynarze byli już na pokładzie, lecz kilku górali czekało na pomoc.

Gdy Cashel wypadł z bramy fabryki, górale wypuścili strzały w kierunku dziedzińca. Usłyszał stuknięcie jednej o tarczę strażnika, lecz chór wrzasków świadczył, że inne pociski trafiły w nieosłonięte ciała.

– Unik! – krzyknęła Mellie. Cashel skulił się. Strzała przeleciała mu tuż nad głową, muskając krótko przystrzyżone włosy. Strzelającym był łucznik siedzący na rei barkasa. Mellie uprzedzała, że górale są kiepskimi strzelcami...

Zwykle żaglowce wychodziły z portu holowane przez łodzie wiosłowe, lecz tego wieczoru nie wchodziło to w grę. Marynarze bosakami odpychali rufę statku od nabrzeża, żeby zanurzyć w wodę cztery długie wiosła, za pomocą których będzie można odbić od brzegu. Trap dziobowy nadal był opuszczony. Górale wspięli się po nim zwinnie jak stado małp.

Cashel przystanął przy trapie.

– Mellie, moja droga, lepiej wejdź na pokład – powiedział, chociaż wcale nie spodziewał się, że go usłucha. Lampy kołysały się na rei, oświetlając wszystko baśniowym, pastelowym blaskiem.

Na ulicy Portowej zebrał się tysięczny tłum, lecz stosunkowo niewielu napastników wybiegło z budynku na dziedziniec. Cashel słyszał dobiegający ze środka trzask drewna. Zapewne odgłos łamanych mebli i okiennic. Cały towar został ponownie załadowany na statek, oprócz tej jednej skrzynki, którą użył jako pocisku.

Pierwszymi, którzy przeszli przez tylną bramę, byli dwaj strażnicy Themo, a nawet i ci zachowali ostrożność. Wprawdzie tarcze osłaniały ich przed strzałami z lekkich łuków górali, lecz ci dwaj, którzy zetknęli się z rzuconą przez Cashela skrzynią, przypłacili to połamanymi zębami, jeśli nie czymś gorszym.

– Tutaj! – rzucił przez ramię jeden z nich. – Tu jest łup i tu chowają się ci czciciele diabła!

Ruszyli naprzód, kryjąc się za tarczami. Dołączył do nich kolejny strażnik i tuzin cywilów, jeden w szacie splamionej cudzą krwią. W górnych oknach fabryki zamigotały płomienie. Rabusie podłożyli ogień w budynku.

Kilka strzał ze świstem poleciało ku napastnikom, ale górale byli myśliwymi, a nie żołnierzami. W zrobionych z bambusowych rurek kołczanach mieli po trzy, najwyżej cztery strzały.

Cashel czekał, nic nie mówiąc, tylko czujnie obserwując ruchy. Twarze nie miały już żadnego znaczenia. Na dziedziniec wypadli następni przeciwnicy.

Strażnicy wyjęli miecze.

– Na niego! – wrzasnął jeden, zamierzając się na Cashela. Drugi runął naprzód, osłaniając głowę tarczą. Pałka Cashela zatoczyła łuk tuż nad ziemią, podcinając strażnikowi nogi i obalając go na ziemię. Nieszczęśnik runął jak długi z połamanymi nogami, rycząc z bólu. Hełm zleciał mu z głowy, a tarcza z brzękiem upadła na ziemię. Trzeci strażnik atakował tuż za nim. Potknął się o nogi kompana i padł na ziemię. Cashel końcem pałki uderzył go w tył głowy, a potem przesunął ręce, chwytając drzewce w połowie długości.

Zaczął obracać pałką, przy każdym obrocie krzyżując ręce. Nic nie mówiąc, obserwował motłoch przez wirujące drzewce.

Jeszcze jeden strażnik w zbroi dołączył do trzech kompanów na pomoście, lecz wyraźnie kulał i nie zdradzał ochoty do konfrontacji z człowiekiem, który cisnął skrzynią. Kilka tuzinów cywilów, w tym kobiety, wyszło na pomost i z każdą chwilą dołączali do nich następni, gdy ogień coraz bardziej obejmował budynek za ich plecami.

Ktoś rzucił kamieniem. Pałka Cashela odbiła pocisk, który i tak by go nie trafił. Większość

cywilów miała maczugi lub łomy, ale kilku miało miecze. Nie zabrali ze sobą kamieni, a nie mogli ich znaleźć na nie wybrukowanym dziedzińcu fabryki.

Cashel zaryzykował spojrzenie przez ramię. Statek był mocno wyladowany, więc marynarze mieli trudności z odepchnięciem go od brzegu. Napastnicy próbowali przeskakiwać na statek, przeszkadzając im w tym. Ktoś rzucił latarnią. Papierowa osłona buchnęła płomieniem i olej ognistą kałużą rozlał się na deskach.

Cashel zakręcił pałką. Przestał myśleć. Okute końce laski zamigotały błękitnym płomieniem, zimnym jak szron pokrywający w zimie gałązki.

Pałka wirowała coraz szybciej. Ręce Cashela ledwie mogły za nią nadążyć, a jednak nadążały... Wiatr zerwał się, zaświszczał i zawył.

„Złoty Smok” oderwał się od brzegu. Trap zsunął się z krawędzi pomostu i z pluskiem wpadł do wody. Cashel nadal stał i kręcił pałką. Jej żelazne końce tworzyły płonący błękitny krąg, za którym tłum wrzeszczał z przerażenia.

– Skacz! – krzyknęła Mellie.

Cashel skoczył w tył, na dziób „Złotego Smoka”. Rozciągnął się na pokładzie. Odbijający od brzegu statek zadrżał pod jego ciężarem. Cashel leżał na brzuchu. Był tak zmęczony, że czuł, jak mięśnie jego potężnej klatki piersiowej boleśnie napinają się przy każdym oddechu.

Seriańscy marynarze wkładali długie wiosła w dulki na burtach, a kapitan wrzeszczał i smagał ich laseczką z kręgosłupa płaszczy. Motłoch na brzegu zmykał w kierunku bramy fabryki, zbyt przestraszony, by przejmować się tym, że cały budynek stoi w ogniu i w każdej chwili może przysypać ich płonącymi szczątkami.

– Jesteś taki silny, Cashelu! – powiedziała czule Mellie, trzymając go za ucho.

W pobliżu rozległy się dźwięki przypominające kwik zarzynanej świni. Jeden z napastników nadal był na „Złotym Smoku”. Kilku roześmianych górali przycisnęło go do pokładu, a inny kościanym nożem poderżnął mu gardło.

Cashel ścisnął pałkę, zaczerpnął tchu i pozwolił, by omdlenie spowiło go cieniem, tylko sporadycznie rozświetlanym przez błękitne błyski.

Dopóki Sharina wstrzymywała oddech, najbardziej zdumiewającą cechą wioski Pływającego Ludu był lodowiec na jej środku. Lód migotał w słońcu jak ogromny klejnot w wieńcu ze skórzanych łodzi, a jego ogrom pomniejszał imponujące rozmiary pływających domów.

Kiedy musiała wciągnąć powietrze, największe wrażenie robił smród.

– Pewnie się przyzwyczaję – mruknęła. Ta myśl najbardziej ją przerażała.

Wszyscy czworo przyплыnęli w łodzi Śpika. Nonnus i Sharina przykucnęli obok siebie, spoglądając naprzód. Arystokraci byli tuż za nimi, plecami do dziobu, tak blisko, że kolana Asery prawie dotykały nóg Shariny.

Gdy tylko łodzie łowców dotarły do wioski, załoga Śpika przymocowała dłubankę do swojego pływającego domu – jednego z sześćdziesięciu lub osiemdziesięciu statków przywiązanych długimi linami do lodowca. Potem łodzie ze wszystkimi dorosłymi członkami rodziny wyruszyły w kierunku dwóch pływających domów, związanych ze sobą jak katamaran i znajdujących się pół kilometra dalej.

– Dokąd nas zabierają? – zapytał Meder. Kierując pytania do Nonnusa, przestał już dodawać „mój dobry człowieku”, chociaż Sharina nie wiedziała, czy tę zmianę spowodował szacunek dla umiejętności pustelnika, czy też zwyczajny strach.

– To siedziba króla – odparł Nonnus, wskazując podwójny statek. – Król mieszka tam ze swoją rodziną i strażą. Między dwoma kadłubami jest pokład, na którym obywatele zbierają się na narady.

– Obywatele? – spytała Sharina.

– Jeśli możesz wejść w skład obsady łodzi łowieckiej – wyjaśnił pustelnik – jesteś obywatelem. W przeciwnym razie jesteś własnością tego, kto zechce cię żywić. A jeśli nikt nie podejmie się tego obowiązku, no cóż... morze jest wielkie.

Wyspiarze weszli na łódź mieszkalną Śpika, podczas gdy Lud przywiązywał do niej dłubankę. Sharina zobaczyła resztę rodziny – tuzin małych dzieci i sześcioro dorosłych, w tym pięć kobiet, gapiących się na przybyszów z podziwem lub wzgardą. Napotykając spojrzenia obcych, dzieci kulily się ze strachu.

Jeden chłopczyk wisiał na burcie łodzi. Chował się za nią, ilekroć Sharna spojrzała w jego stronę, po czym znów wystawiał głowę, kiedy nie patrzyła. Na pewno palce miał w wodzie, ale członkowie tego plemienia najwidoczniej nie obawiali się morza.

Trzypalcy stał na dziobie łodzi. Zapewne był synem Śpika, chociaż Sharina podejrzewała, że obywateli Pływającego Ludu łączy bardzo skomplikowane więzy pokrewieństwa.

W regularnych odstępach czasu, mniej więcej co dwadzieścia uderzeń wiosła, Trzypalcy dał w spiralnie skręconą muszlę amonita. Gdyby ją rozprostować, miałaby dobre dwa metry długości. Powierzchnia muszli błyszczała w słońcu łagodnym odblaskiem, który powinien zachwycać, lecz Sharinie wydał się równie obrzydliwy jak wiszący nad wioską smród.

Nonnus też spoglądał na muszlę.

– Powiadają, że Lud oddaje cześć Wielkim z głębin – powiedział ledwie słyszalnym głosem. – Ludzie wygadują różne rzeczy, o Pewlanach też.

Uśmiechnął się do smutnych wspomnień.

– Przekonałem się, że prawda jest zazwyczaj wystarczająco paskudna.

Meder słuchał słów pustelnika, z żywym zainteresowaniem rozglądając się wokół. Natomiast

prokurator siedziała w głuchym milczeniu, zbyt przygnębiona, by okazywać jakieś uczucia. Sharina była zaszokowana widząc, jak bardzo Asera schudła, od kiedy przybyła do Barca's Hamlet. Ta zmiana nie rzucała się do tej pory w oczy. Dopiero, kiedy Sharina po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczyła ją wśród innych ludzi.

Góra lodowa była bezkształtną masą dominującą nad pływającą wioską. W zależności od tego, pod jakim kątem padało światło, powierzchnia lodu błyszczała niebiesko, biało lub zielono.

Nonnus powiódł wzrokiem za spojrzeniem Shariny.

– Na morzu bez trudu można znaleźć pożywienie – rzekł. – Natomiast z wodą pitną mogą być problemy. Nie można liczyć na deszczówkę, a poza tym trudno ją przechowywać.

Wskazał na górę lodową.

– Każdej wiosny od lodowców na Lodowych Czapach odrywają się góry lodowe. Unoszą je te same prądy i wiatry, z których korzysta Lud. Wioska otacza taką górę dopóki po roku czy dwóch lód nie zacznie pękać. Wtedy szukają innej.

– Czy te góry lodowe są ze słodkiej wody? – zapytała Sharina. – Och. Pewnie tak, jeśli odrywają się od lądu.

– Rzadko się zdarza, by plemię musiało przenieść się dalej niż kilometr – powiedział Nonnus – ale czasem widzi się, jak cała wioska płynie po otwartym morzu, ponieważ za długo zwlekali ze zmianą. To dopiero jest widok.

Na królewskim katamaranie zadęto w róg. Członkowie plemienia opuścili inne łodzie mieszkalne, by popłynąć do miejsca narad łódkami łowieckimi i dziwacznymi jednoosobowymi pontonami ze skórzanych pęcherzy z wysięgnikiem z wielorybiej kości. Użytkownik siedział na pęcherzu jak na koniu i wiosłował podwójnym wiosłem. Morze zaroilo się od jednostek, jakich nigdy nie widywano na Haft.

– Zwołali naradę – powiedział Nonnus. Mówił łagodnie, lecz z prawej ręki nie wypuszczał oszczepu, co komuś znającemu go tak dobrze jak Ilna zdradzało, jaki był spięty. – Będą się o nas spierać, ale niezbyt długo. Dłużej będą się kłócić o to, jak podzielić pień. To może potrwać nawet całą noc.

Zszyta ze skór łódź poruszała się jak żywe i złośliwe stworzenie. Jej szkielet był zrobiony z kawałków wielorybich żeber, połączonych ze sobą i powiązanych ścięgnami. Obciągnięto je skórą wieloryba, pozszywaną na zakładkę, tak że dziury po igle w żadnym miejscu nie przechodziły na wylot. Pomimo to szwy uszczelniono gęstym smarem, zapewne uzyskiwanym z wielorybiej wątroby.

Sharina dziwnie się czuła, siedząc wśród wioślarzy zwróconych twarzami naprzód, a nie do siedzącego na rufie sternika. Wysokie burty sprawiały raczej wrażenie pułapki niż osłony, nie podobało jej się skrzypienie łodzi na fali i zdecydowanie niepokoił ją zapach. Wiedziała jednak, że ta unosząca się jak olej na wodzie łódka wytrzyma sztorm, który zatopi szalupę zrobioną z desek. I taka musiała być jednostka pływająca zimą na północnych wodach.

Łódź Śpika dopłynęła do królewskiej rezydencji i zatrzymała się po jednym zgodnym uderzeniu wiosła. W czasie gdy pokonywali ten półkilometrowy odcinek, Sharina nie słyszała żadnych rozkazów. Wysyłane przez Trzypalcego sygnały były skierowane do wszystkich mieszkańców wioski, a nie do załogi łodzi. Wioślarze zgodnie wiosłowali bez rozkazów sternika.

Sharina pomyślała o ławicach rybek lub stadach gołębi, w których dziesiątki, a nawet tysiące osobników działają zgodnie bez żadnego dostrzegalnego sygnału. A Pani świadkiem, że z tego, co dotychczas widziała, wynikało, że Pływający Lud przypominał zwierzęta nie tylko umiejętnością wspólnego funkcjonowania.

Królewska rodzina tłoczyła się wzdłuż burt katamaranu. Rodzina Śpika z harpunami w rękach

przeskoczyła na pokład, odpychając domowników, którzy rewanzowali się tym samym. Jakaś kobieta wpadła do wody, wynurzyła się i wskoczyła z powrotem do łodzi jednym płynnym ruchem, który przypominał Sharinie skok morświna.

– Hej! – krzyknął Śpik. – Przywiążcie łódź, wy! Niech ktoś ją przywiąże!

Załoga zignorowała go. Śpik, cięższy od młodszych członków załogi, wdrapał się po burcie katamaranu. Nonnus uśmiechnął się krzywo do Shariny. Przeszedł na dziób i owinał linkę cumowniczą wokół jednej ze sterzących wręg pływającego domu.

Cuma była zrobiona z jednego kawałka rzemienia, a nie spleciona z wielu włókien. Słabo wyprawiony rzemień był sztywny i gruby, tak że bicepsy pustelnika napięły się, kiedy wiązał węzeł.

– Co by zrobili, gdyby łódź odpłynęła? – zapytała Sharina.

Nonnus wzruszył ramionami.

– Popłynęliby po nią. Na wodzie Lud może zrobić wszystko. Na lądzie... cóż, myślę, że byliby równie przydatni jako nawóz, co taka sama ilość foczych wnętrzności.

Skrzywił się, gdy dotarło do niego to, co powiedział.

– Przepraszam, dziecko – mruknął. – Wróciłem do miejsc mojej młodości i zaczynam mówić tak samo jak wtedy, kiedy byłem młody i głupi.

Chociaż załoga Śpika obojętnie zostawiła wyspiarzy – którzy stracili już dla nich urok nowości – członkowie królewskiej rodziny cisnęli się do burty, żeby popatrzeć na obcych. Mężczyźni głośno wyrażali zainteresowanie Shariną. Najeżyła się. Pracowała w barze podczas Święta Barana, kiedy w wiosce przebywało wielu obcych, ale Reise prowadził porządny lokal. A jeśli któryś handlarz wypił zbyt wiele i zapomniał o tym... no cóż, Garric lub któryś z sąsiadów szybko mu o tym przypominał.

Tutaj miała Nonnusa.

Pustelnik jednym susem wskoczył na pokład katamaranu.

– Miejsce dla moich kobiet! – ryknął, kciukiem i dwoma pierwszymi palcami lewej ręki obracając oszczep nad głową. – Miejsce dla mojego syna!

Lud odpowiedział gniewnym pomrukiem. Nonnus kopnął najpierw prawą, potem lewą i znów prawą nogą. Z tyłu wyglądało to tak, jakby wykonywał jakiś skomplikowany taniec. I w pewnym sensie tak było, bo przy każdym kopnięciu trafiał twardą piętą w czoło jednego gapia, strącając go do wody.

– Chodźcie! – warknęła Sharina do Asery i Medera. Wsunęła rękę w pasie i pomogła prokurator wyjść z łodzi łowieckiej. – Nonnusie, idziemy!

Wiatr był słaby, a wysoka burta łodzi mieszkalnej dawała dobrą osłonę. Sharina podsadziła piszczącą Aserę, a Nonnus pochylił się, przeniósł ją przez reling i postawił na pokładzie. On i Sharina nie zrobiliby tego zręczniejszy, nawet gdyby długo ćwiczyli.

Meder sam wgramolił się na katamaran. Zrobił to niezdarnie, ale przynajmniej oszczędził sobie upokarzającego przenoszenia w charakterze worka ziarna.

Sharina wiedziała, że nie jest równie zręczna jak pustelnik, ale była młoda, dumna i podekscytowana wydarzeniami. Wskoczyła na reling obok Nonnusa, zatrzymała się tam na moment i natychmiast zeskoczyła na pokład katamaranu. Nonnus cicho zachichotał i zamiast zeskoczyć tak jak ona, zszedł po wręgach jakby były schodami.

Wokół wyspiarzy cisnęło się około czterdziestu członków plemienia. Siedząc lub klęcząc w łodzi, wyglądali jak bogowie. Byli barczyści i muskularni. Stojąc na krótkich i cienkich nóżkach, sprawiali koszmarnie wrażenie. Chodzili niepewnie jak małpy, które zeszły z drzew. Największa odległość, jaką przebywali na własnych nogach, była równa długości pokładu łodzi mieszkalnej.

– Przyprawicie ich tu! – krzyknął mężczyzna stojący na pokładzie łączącym oba kadłuby. – Nie ruszać ich! To ja ich osądzę!

– Słyszeliście króla – rzekł z ponurym uśmiechem Nonnus do otaczającego go tłumu. Drzewcem oszczepu torował sobie przejście. – Trzymajcie się blisko – mruknął do towarzyszy, maszerując w kierunku platformy.

Łodzie mieszkalne były tęponosymi rurami, mierzącymi trzydzieści metrów długości i dwanaście szerokości. Dzioby i rufy miały pokryte pozszywanymi skórami rozpiętymi na szkielecie z wielorybich kości, tak samo skonstruowano resztę kadłuba.

Z zakrytych części buchał potworny smród, zdumiewająco silny nawet w cuchnącej wiosce Pływającego Ludu. Zajmujące połowę statku śródokręcie nie było wiele lepsze. Zęzy nie były zakryte ani wypompowywane. W mazi lęgło się robactwo. Wyspiarze przeszli po wystających wręgach, a Lud człapał po tym błocie, nie zważając po czym depte.

– To szaleństwo! – mruknęła Asera.

– Oto co sprowadziły na nas czary! – warknęła Sharina.

Idący przodem i używający oszczepu jako bufora Nonnus nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się pod nosem.

Szkielet łodzi mieszkalnej składał się z ogromnej ilości trójkątnych, nie krzyżujących się wsporników. Choć jej kadłub wyginał się na tej niewielkiej fali, to nie złamałby się nawet podczas najgorszej burzy. Poszycie z wielorybiej skóry było niezwykle silne, a szwy ze ścięgien zapewniały szczelność i elastyczność, jakiej nie dawał żaden drewniany kadłub.

Oba kadłuby katamaranu łączyła platforma w kształcie kwadratu o boku dwunastu metrów, zrobiona ze skóry rozpiętej na stelażu z wielorybich kości. Burty łodzi mieszkalnych miały najwyżej półtora metra wysokości, więc w spokojny dzień fale uderzały od spodu w platformę, a czasem przelewały się po niej, gdy katamaran wznosił się i opadał. Liczni członkowie plemienia, którzy stali lub klęczeli na niej, nie zwracali na to uwagi.

Nonnus zaprowadził swoich podopiecznych na ten chwiejny pokład, a potem jednym zwinnym skokiem poszedł w ślad za nimi. Sharina wiedziała, że pustelnik był prawie w tym samym wieku co prokurator, lecz nikt by tego nie odgadł, patrząc, jak się poruszał.

Siedzący na tronie z kłów morsa i macicy perłowej król był potężnie zbudowany, lecz szczuplejszy i starszy od większości obecnych. Wokół tronu stało sześciu młodych, postawnych mężczyzn. Na głowach nosili czapki ze skóry wilka morskiego, a w rękach trzymali długie wąskie tarcze z tego samego materiału. Jeden z nich oprócz harpuna z kościanym grotem, jaki posiadał chyba każdy obywatel Ludu, miał jeszcze stalowy kordelas.

– Tych strażników nazywają królewskimi synami – mruknął Nonnus do ucha Shariny. – Bardzo możliwe, że naprawdę są jego krewniakami, ale niekoniecznie.

Klęcząca obok tronu starucha z żywym zainteresowaniem zerknęła na wyspiarzy. W pierwszej chwili Sharinie wydało się, że stara nosi jakąś błękitną szatę, lecz kiedy wstała, okazało się, że jej ciało pokrywają skomplikowane kręgi tatuażu. Poczłapała po skraju platformy, podpierając się rzeźbioną laską z kła narwala.

Śpik stanął przed królem, tak blisko, że jeden ze strażników opuścił harpun i szturchnięciem zmusił go do cofnięcia się o krok.

– Królu Długopalcy, ci wyspiarze pływali w morzu obok kłody drzewa, którą znalazłem. Żądam tego drewna i tych obcych jako moich niewolników.

Sharina położyła dłoń na toporku. Nonnus od tyłu wepchnął drzewce oszczepu między nogi Spika i szarpnął, rzucając go na twarz. Strażnik kopniakiem odrzucił padającego do tyłu. Obserwujący to

Lud ryknął śmiechem, tłukąc rękami o platformę, która zadudniła jak bęben.

– Królu Długopalczy – rzekł pustelnik. – Jestem Nonnus, syn Brana, syn wyspy Pewle. Ofiarowuję ci kłodę drzewa jako zapłatę za przyjęcie mojej rodziny do plemienia. Pięć bali tej średnicy... – Palce lewej ręki ułożył w półokrąg o średnicy czterech wioseł i rei, a grotem oszczepu zakreślił krąg na skórzanym pokładzie. – ...i takiej długości. – Nonnus odszedł sześć metrów od tronu. Tłum rozstąpił się przed nim i jego oszczepem. – Trzy sztuki tej średnicy... – Mówił o pływakach i maszcie zrobionych z rei triremy. Przeszedł jeszcze półtora metra. – ...i tej długości. A także kłodę takiej grubości...

Szeroko rozłożył ramiona.

– I równie długą, ale wydrążoną w jednej trzeciej. Słowo honoru Pewlanina!

Tłum zawył z podziwu. Lud prawie wszystko potrafił zrobić z kości, lecz drzewo było taką rzadkością, że miało tu sporą wartość. Kłody tej wielkości rzadko trafiały na wody, po których krążył Pływający Lud.

– A co jest warte słowo Pewlanina! – odezwał się głos z gromadki Śpika.

– Jest warte naszyjnika z twoich zębów i potrawki z twojego serca, jeśli będzie tam brakowało choć piędzi drzewa! – odparł Nonnus. – Chcesz zawrzeć taką umowę, Trzypalczy?

Trzypalczy schował się za potężne cielsko ojca. Nonnus wrócił i ponownie stanął przed królem, trzymając oszczep oparty o ramię.

– To cena szczęścia obywateli! – powiedział do Długopalcego. – Za mnie, moje dwie żony i syna, którym się opiekuję. Jest chory i nie może polować, lecz mimo to przysięgam na mych bogów, że zdołam go wyżywić.

– No tak, Pewlaninie – mruknął Długopalczy. Odezwał się po raz pierwszy, od kiedy zażądał, żeby przyprawiono do niego wyspiarzy. Głos miał ochrypy i przenikliwy. – Jeśli dołączysz do plemienia, to do czyjej rodziny? Śpika?

Zbierał się coraz liczniejszy tłum, bo wciąż przyplływali mieszkańcy dalej zacumowanych łodzi. Wszyscy zachichotali, słysząc tę propozycję. Nie ulegało wątpliwości, że oznaczałaby czyjąś rychłą śmierć. Sharina nie miała najmniejszej wątpliwości, że Śpika.

– Sam jestem ojcem rodziny! – rzekł Nonnus. – Skorzystam z twojej gościny, królu, dopóki nie zbuduję własnej łodzi.

Wytatuowana kobieta znikła w tłumie. Teraz niespodziewanie wyłoniła się obok Medera i powiedziała mu coś ściszym głosem. Meder podskoczył, a Sharina zaczęła wyciągać toporek, którego nie wypuszczała z dłoni od kiedy weszli na pokład królewskiego katamaranu.

– Nie, Pewlaninie, nie sędzę, by to był dobry pomysł – rzekł ospale Długopalczy. Powoli obrócił głowę, wodząc wzrokiem po zgromadzonych. – Maminsynku, weźmiesz Pewlanina i jego niewolników na pokład twojej łodzi. Nie sędzę, aby ten dodatkowy ciężar ją zatopił, ale...

Uśmiechnął się. W górnej szczęce brakowało mu przedniego zęba.

– ...gdyby bogowie jednak się rozgniewali, nie chciałbym stracić lepszej łodzi niż twoja. No nie?

Wszyscy ryknęli śmiechem, oprócz zgarbionego, łysego mężczyzny i tuzina plemieńców, którzy stali za nim.

– Moja łódź wcale nie jest taka zła – mruknął gniewnie.

Meder i wytatuowana staruszka rozmawiali z ożywieniem, głowa przy głowie. Asera patrzyła na to z zaciekawieniem. Sharina rozluźniła mięśnie, chociaż ten widok budził w niej niepokój.

– W porządku, mój królu – powiedział Nonnus i skłonił się. – Usłucham, jak każe prawo.

Cofnął się. Śpik, Maminsynek i pół tuzina starszych mężczyzn natychmiast zgłosiło roszczenia do kłody i zaczęło się spierać o wysokość swoich udziałów.

– Tędy – mruknął Nonnus. – Popłyniemy łodzią Maminsynka i chcę w niej być, kiedy stąd odpłynie. Nigdy nie byłem dobrym pływakiem.

– Ja zostaję tutaj, mój dobry człowieku – rzekł niespodziewanie Meder. – Gwiazdnowidna i ja chcemy porozmawiać. Mówi, że odwiezie mnie do was przed zmrokiem.

– Naprawdę? – powiedział beznamiętnie Nonnus. – Jak chcesz, panie Meder. Rób jak uważasz. Gwałtownie odwrócił się do Shariny i Asery.

– Chodźcie!

Sharina nie była pewna, co zrobi prokurator, ale Asera dość chętnie poszła z nimi. Od kiedy starucha zaczęła rozmawiać z Mederem, arystokratka wyraźnie uspokoiła się.

Sharina nie miała pojęcia, w jaki sposób Nonnus zdołał rozpoznać łódź myśliwską Maminsynka wśród dziesiątków innych przycumowanych do katamaranu, ale nawet nie przyszło jej do głowy, by wątpić w słowa pustelnika. Uwiązana do drugiego kadłuba katamaranu łódka, była pod każdym względem identyczna z tą, która należała do rodziny Śpika.

– Czy ta łódź mieszkalna naprawdę może zatonać? – zapytała cicho.

Nonnus wzruszył ramionami.

– Wszystko zaczyna się rozpadać zaraz po zbudowaniu – rzekł – ale łodzie Ludu są skonstruowane lepiej niż większość tego, co znajdziesz na lądzie. Jeśli trzeba będzie ją pozszywać lub połatać, to cóż, przynajmniej będziemy mieli zajęcie, dopóki nie wymyślimy jakiegoś sposobu, żeby stąd uciec.

Tuzin młodych mężczyzn opuścił naradę i otoczył wyspiarzy, trzymając się w bezpiecznej odległości. Właściwie nie zachowywali się wrogo, ale najwyraźniej wiedzieli, że ich obecność nie jest mile widziana. Jednym z nich był Trzypalcy.

– Słuchaj, Pewlaninie – rzekł. – Jesteś stary. Na nic się nie zdasz młodej żonie. Uważamy, że powinieneś oddać nam ją od razu, bo i tak będzie się do nas wymykać.

Sharina wyjęła toporek z pętli przy pasie.

Pustelnik parsknął wyzywającym, nieprzyjemnym śmiechem. Cofnął się i oparł plecami o burtę, ani na chwilę nie spuszczać z oka młodzieńców.

– Kto chce odebrać mi moje kobiety? – zapytał chrapliwym, groźnym głosem, przestępując z nogi na nogę. Podskoczył i przerzucił oszczep z ręki do ręki, zanim znów dotknął stopami pokładu. – No, kto? Trzypalcy, chcesz spróbować?

Młodzieńcy cofnęli się o krok. Kilku innych członków plemienia, głównie dzieci z królewskiej rodziny, przyglądało się temu z zainteresowaniem.

– Och, nie możemy z tobą walczyć, bo masz metalową włócznię – mruknął jeden z wioślarzy Śpika.

Nonnus doskoczył do nich tak szybko, że nawet Sharina, która spodziewała się czegoś takiego, nie zdołała pochwycić tego okiem. Jeszcze w powietrzu przerzucił oszczep do lewej ręki, a prawą wyrwał Trzypalcemu harpun.

– O! – wrzasnął Trzypalcy i odskoczył do tyłu, wpadając na kilku kompanów.

Nonnus obrócił harpun tępy końcem do przodu i cisnął nim w pierś młodzika, który mówił o metalowej włóczni. Trzasnęły żebra. Trafiony ze świstem wypuścił powietrze z płuc i runął na wznak.

– Boicie się mojej stali, mizeraki? – warknął Nonnus, cofając się z powrotem pod burtę. – Obawiajcie się mnie. Mnie!

Zaskoczeni młodzieńcy ryknęli śmiechem, wszyscy prócz Trzypalcego i leżącego na pokładzie wioślarza, który leżał jęcząc i rozpaczliwie usiłując zaczerpnąć tchu. Jeden z jego kompanów kopnął

go, gdy wijący się nieszczęśnik wpadł mu pod nogi.

Grupka rozproszyła się i odeszła ze śmiechem. Ranny zdołał obrócić się na brzuch i odpełznąć, boleśnie pojękując.

Nonnus znów stanął obok Shariny.

– Na razie nic nam nie grozi – powiedział cicho. – Lepiej jednak nie rozdzielajmy się.

Sharina kiwnęła głową.

Meder i wytatuowana kobieta przykucnęli na końcu pokładu, twarzami do siebie. Meder trzymał w ręku coś, co wyglądało jak rzeźbiony kiel morsa. Mówiąc, gestykulował z ożywieniem. Z pokładu przed nim uniosła się blada spirala czerwonego światła.

Słyszając słabe, nieśmiałe stukanie do drzwi, Ilna nie odeszła od okna.

– Wejść – powiedziała na moment przed tym, zanim znów zdążył zapukać. Nadal spoglądała na ulicę.

Do pokoju wdarł się szmer głosów ze sklepu na dole i znów ucichł, gdy Beltar zamknął za sobą drzwi.

– Przyszedłem po wstążki, jeśli zrobiłaś ich więcej – rzekł nieśmiało. – Niektórzy klienci bardzo nalegają. Są... hm... przyzwyczajeni dostawać to, co chcą.

– Śmietanka Erdinu – powiedziała obojętnie Ilna. I tym samym tonem dodała: – Nitki mojego splotu.

Trzy stojące na ulicy powozy i jedna lektyka z czerwonymi aksamitnymi zasłonami w oknach tamowały ruch. Ich właściciele znajdowali się w sklepie Beltara. Dobrze się stało, że bławatnik wynajął Ilnie pokój po przeciwnej stronie ulicy, a nie nad swoim składem. Jego nieustanna obecność w pobliżu mogłaby być niepokojąca. Wzór tkał się nawet wtedy, kiedy nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Zastanawiałem się... – zaczął Beltar. – Może powinniśmy ograniczyć długość wstążki jaką sprzedajemy jednemu klientowi. Jak sądzisz, pani?

Wiedziała, że kupiec wolał mówić do jej pleców niż patrząc jej w oczy. Nie przejmowała się tym. Beltar miał robić tylko to, co do niego należy.

– To mnie nie obchodzi – odparła. – Już ci mówiłam: sposób w jaki prowadzisz interesy to wyłącznie twoja sprawa. – Odwróciła się. – Więcej nie zawracaj mi głowy takimi głupstwami.

Beltar przestąpił z nogi na nogę i nieświadomie wyprężył się.

– Tak, panienko – powiedział, tylko przez moment wytrzymując jej spojrzenie i lekkim skrzywieniem warg zdradzając zdenerwowanie. – Tylko, że uważa się...

Zamilkł, zastanowił się nad tym określeniem, zaakceptował je i dokończył: – Uważa się, że twoje wstążki nie tylko mają spodziewany efekt, ale też działanie wprost proporcjonalne do ich długości.

Ilna uśmiechnęła się.

– Tak, to prawda – powiedziała. – Tkany przeze mnie materiał przyciąga mężczyzn do tych kobiet, które go noszą, a im więcej widać materiału, tym większe budzi zainteresowanie.

Pokój był podłużnym pomieszczeniem na pierwszym piętrze budynku. Trzy okna dawały dużo światła od rana do zmroku, chociaż to już nie obchodziło Ilny. Mogła tkać nawet po ciemku i ani razu nie pomylić splotu.

Beltar wynajął ten pokój nie umeblowany. Teraz znajdowało się w nim tylko łóżko, sześć krosien różnej wielkości oraz kosze cienkiej przędzy, z której tkala. Więźniowie i pustelnicy nie żyli bardziej ascetycznie od Ilny os-Kenset, która powoli stawała się najpotężniejszą osobą na Sandrakkanie.

Beltar pobladł. Ilna uśmiechnęła się do niego.

– Biedny głupcze – powiedziała ze wzgardą i rozbawieniem. – Myślałeś, że to tylko szarlatańska sztuczka, prawda? Sądziłeś, że sama rozpuszczam plotki, że moje wstążki mają miłosną moc, a głupie kobiety wierzą w ich działanie. No cóż, może są głupie, ale kupują dokładnie to, co spodziewają się kupić, Beltarze.

Zamknął oczy.

– Nie mogę pozwolić, by ktoś inny sprzedawał te wstążki – powiedział cicho. – Nie mogę zaufać

nawet mojej żonie. Były u mnie kobiety, niektóre z najbogatszych rodów Erdinu, które proponowały mi dziesięć razy tyle, ile żądałem, bylebym tylko sprzedał im więcej twojej tkaniny.

Ilna dotknęła wstążki, którą zaczęła tkać zaledwie kilka minut przed przyjściem Beltara. Splot miał szerokość palca. Wzór był kompletny po trzech centymetrach i zazwyczaj kończyła wstążkę po trzech powtórzeniach, ale nie zawsze.

Używała tylko dwóch kolorów: białej i nie białej włóczki, żadnych barwników. Wołała len od zwierzęcych produktów, takich jak wełna czy jedwab, ale mogła tkać z dowolnej przędzy. Tkanina nie jest labiryntem, z którego wiedzie tylko jedna droga. Tysiące nici splata się i przeplata w tańcu tak skomplikowanym jak samo życie. Pójdź za jedną z nich, a zaprowadzi cię do końca wzoru.

– Podnieś ceny, Beltarze – poradziła mu. – Tnij wstążki na mniejsze kawałki, albo wstrzymaj sprzedaż na miesiąc, a potem sprzedaj je za wyśrubowaną cenę. Wybór należy do ciebie.

Ton jej głosu nieznacznie się zmienił.

– W każdym razie jakoś zdobądź więcej pieniędzy, ponieważ będziesz musiał wynająć mi dom przy placu Pałacowym. – Uśmiechnęła się krzywo. – Widzisz, zamierzam wejść do lepszych sfer.

– Panienko... – zająknął się Beltar. – Tylko arystokratów stać na to, żeby tam mieszkać. Czysz za mieszkanie przy placu Pałacowym jest sto razy wyższy niż za cały mój skład!

– Zatem podnieś ceny – poradziła zimno Ilna. – Mówiłam ci, szczegóły to twoja sprawa. Mnie interesują tylko rezultaty.

Odwróciła się z powrotem do okna. Na ulicy stał już czwarty powóz. Stangreci w liberiach głośno kłócili się i wymachiwali batami. Zawołowane kobiety wyglądały przez okna. Niedługo wybuchną zamieszki.

Ilna znów uśmiechnęła się. Niepotrzebnie się denerwowały. Beltar nie miał więcej towaru. Słudzy mogli sobie wrzeszczeć i rozbijać głowy, lecz to niczego nie zmieni.

– Zapłacą, wiesz? – powiedziała głośno. – Kobiety, które wydają majątek na paczki ziół mających rzekomo wygładzać zmarszczki... Ile one zapłacą za to, co ja im dostarczam? Wszystkie te piękne stroje i biżuteria, wszystkie kosmetyki, to tylko okrzężna droga do celu, który bezpośrednio osiągną dzięki moim wstążkom: zwrócą uwagę mężczyzn!

– Rozumiem – rzekł Beltar. Sądząc po żalonym tonie jego głosu, naprawdę zaczynał rozumieć. – Popytam o rezydencję przy placu Pałacowym, tak jak sobie tego życzysz, panienko.

Zaśmiał się.

– Nawet nie wiem, gdzie szukać pośrednika zajmującego się takimi nieruchomościami, ale z pewnością jakiś się znajdzie. I przemyślę kwestię naszych cen. Niewątpliwie w tej sprawie również masz rację.

Trzej tragarze zostawili lektykę i wspinali się na powóz, podczas gdy woźnica tłukł ich grubą rączką bata. Kobieta w przekrzywionej koronkowej mantylce zarzuconej na błękitną suknię, głośnymi okrzykami zagrzewała do walki którąś ze stron. Wymachiwała wsuwką do włosów, która wyglądała jak złoty sztylet.

– Tak – powiedziała Ilna z nikłym uśmiechem. – Na pewno mam rację.

Pierwsze wstążki sprzedano prostytutkom i pokojówkom, po bardzo umiarkowanych cenach – taniej niż kosztowały bezwartościowe miłosne amulety. Wieść rozeszła się szybko. Naprawdę bardzo szybko.

– Śmietanka Erdinu – powtórzyła szeptem Ilna. Nie nienawidziła ich. Nie było kogo. Jak ta Iniana przędza, byli materiałem, z którego tkła.

Beltar odkaszlnął, usiłując pozbyć się ściskania w gardle.

– Zważywszy na zapotrzebowanie, panienko – powiedział ostrożnie – czy nie rozważałaś

możliwości przyjęcia uczennic, które... hm... ulżyłyby ci w pracy?

Spojrzała na niego. Skulił się, mnąc w dłoniach modny, purpurowy beret i czekając na nieunikniony wybuch jej gniewu.

– Nie potrafiłabym nauczyć tego, co umiem, Beltarze – odparła dziwnie łagodnym tonem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał w jej ustach. – A gdybym mogła, nie chciałabym tego robić jakiejś głupiej dziewczynie, która nigdy nie zrobiła mi nic złego.

– Aha – rzekł Beltar, kiwając głową i udając, że rozumie. – Po prostu zapotrzebowanie jest tak ogromne, że pomyślałem...

Nie dokończył. Spoglądając w okno, chociaż z tej odległości nie mógł zobaczyć ulicy, ale przynajmniej nie patrzył w zimne oczy Ilny, dodał: – No cóż, jeśli masz jeszcze kilka wstążek, to może zabiorę je do sklepu i...?

– Przez dzień lub dwa nie będzie towaru – ucięła Ilna. – Pracuję teraz nad czymś innym. Możesz zamknąć sklep i poszukać mi tego apartamentu. Kiedy znów go otworzysz, będą cię błagać, żebyś przyjął ich pieniądze.

Podeszła do podwójnego krosna, które zajmowało połowę szerokości pokoju. Tkała na nim z jedwabiu. Na razie na ramie był tylko wąski pas materiału, tak cienkiego, że Bławatnik widział go jako lekką mgiełkę w słonecznym świetle.

Ilna pogładziła ramę warsztatu. Beltar usiłował skupić wzrok na cienkiej jak pajęczyna tkaninie. Trudno było ją dostrzec, tak że miał ochotę rzec, iż Ilna tka materiał przejrzysty jak źródłana woda, prawie niewidzialny.

Prawie. Nagle poczuł przyływ pożądania tak pierwotnego, że nawet nie będącego żądzą, raczej podobnego do siły każącej na wiosnę kiełkować ziarnu i wypuszczać pędy w górę, do światła. Jęknął i oderwał wzrok od tkaniny, mimowolnie kuląc się, jakby kopnięto go w krocze.

– Jak sobie życzysz, panienko – szepnął, zwrócony twarzą do drzwi. Chwycił za klamkę. – Wrócę kiedy znajdę ci apartament przy placu Pałacowym.

Kupiec pospiesznie zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał na korytarzu, oparty czołem o ścianę, usiłując złapać oddech. Już zaczynał wątpić w siłę oddziaływania tego, co zobaczył na krosnach Ilny, tak samo jak udało mu się zapomnieć tę wizję, jaką ukazała mu na ladzie jego sklepu w dniu, kiedy ją spotkał.

Jednak wciąż dręczyło go jedno pytanie: jeśli siła oddziaływania materiału zależała od jego rozmiarów, jak głosiła plotka i twierdziła sama Ilna, jakie działanie będzie miała tkanina, której ta czarodziejka nadała metr szerokości?

Owce skubały trawę między kamiennymi grzebalnymi dzbanami na zboczu. Były krótkonogie, nizinne, o białej wełnie, a mimo to budziły w Garricu tęsknotę za domem.

– O Pasterzu, dobry dla twych dzieci – rzekł młodszy kapłan. Był młodym, lecz już łysawym mężczyzną. Popołudniowe słońce wycisnęło kropelki potu na jego wysokim czole. – Nie pozwól by twój syn Benlo poszedł po śmierci do Podziemi.

Ciało Benlo leżało w cmentarnej kaplicy. Było przykryte pożyczonym całunem ze szkarłatnego jedwabiu ze złotymi brzegami, spod którego wystawała twarz, której grabarz nadał kosmetykami wyraz surowej wyniosłości. Przez ten krótki czas, jaki znał go Garric, prawdziwe oblicze handlarza skrywała maska udawanego dobrego humoru. Gdyby życie Benlo potoczyło się inaczej, może tak wyglądałby naprawdę.

– Nie pozwól, by jasne klejnoty oczu Benlo pokrył proch Podziemi – zaintonował kapłan. Nosił szatę z bielonej wełny, zbyt grubą na taką pogodę. Ta szata była reliktem z dawnych czasów – formalnym strojem Dawnego Królestwa. Garricowi przemknęły w myślach wspomnienia króla Carusa rozstrzygającego spory prawne. Dworscy urzędnicy nosili kolorowe szaty, lecz większość radców, adwokatów i sędziów odziewała się w białą wełnę.

Kaplica pogrzebowa na wzgórzu wznoszącym się nad Carcosą była niskim prostokątnym budynkiem, mieszczącym warsztaty i magazyn. W jednej ze ścian było wejście, a w pozostałych trzech nisze z posągami różnych bogów. Msze odprawiano na otwartym powietrzu. Przed każdym posągiem znajdowała się kamienna ława i brukowany plac. Garric podejrzewał, że mogły się tu odbywać trzy pogrzeby naraz, ale wątpił, by zdarzało się to często.

Liane popłakiwała. Może ten nobliwie wyglądający zmarły był ojcem jakiego pamiętała z dzieciństwa, człowiekiem, który śpiewał żonie i córce.

– Nie pozwól, by marmurowe zęby Benlo rozsypały się w wapienny pył – mówił kapłan. Wyglądał na porządnego człowieka. Kondolencje złożone przez niego Liane przed nabożeństwem, brzmiały szczerze, a nie jak gładzenie biurokraty czekającego na najhojniejszą zapłatę, jaką otrzyma w tym tygodniu, a może i miesiącu. Mimo wszystko odprawiał tę ceremonię zbyt często, by jego słowa były czymś więcej niż tylko słowami.

Tenoctris, Liane i Garric byli jedynymi żałobnikami. Staruszka widziała rzeczy, jakich Garric nie widział i nie mógł zobaczyć. Zaciskała dłonie, a jej pozornie obojętna twarz miała ponury wyraz.

Garric zastanawiał się, który z bogów zajmował się zmarłymi w Carcosie. Mieszkańcy wioski nie wątpili, że Pani jest królową niebios, lecz jej małżonek Pasterz był im znacznie bliższy. Ludzie często zostawiali kroplę mleka czy okruch chleba Duzi lub przed niewielkimi płaskorzeźbami na tylnych ścianach chat. Wielcy bogowie ze swoich odległych świątyń rządzą niebiosami, lecz pasterze żyli wśród owczego łajna i znosili ból narodzin.

– Nie pozwól, by wspańnięte drewno ciała Benlo zostało zużyte na opał – mówił kapłan, bezwiednie ocierając czoło rękawem szaty. Garric zastanawiał się, co by zrobił, gdyby lunął deszcz.

Czterej miejscowi robotnicy czekali, by przenieść ciało. Krzepcy mężczyźni w średnim wieku, wyraźnie znudzeni zachowywali uprzejmy spokój, konieczny w ich zawodzie.

Czy przyszedłoby więcej żałobników, gdyby Benlo zginął na Sandrakkanie? Pewnie nie: cokolwiek zrobił, ściągnęło na niego biedę i niełaskę. Potrzeba byłoby lepszego człowieka niż ten, jakim z opisu Liane był jej ojciec, aby zachować przyjaciół po takim nieszczęściu.

– Łaskawy Pasterzu, nie pozwól, by twój syn Benlo poszedł po śmierci do Podziemia!

Nikt w Barca's Hamlet nie modlił się do Siostry. Jej imię było przekleństwem, w dodatku rzadko używanym, gdyż przesądni ludzie uważali, że wymawiając jej imię, mogą ją przywołać. Tutaj jeden z posągów cmentarnej kaplicy przedstawiał Siostrę w całym majestacie Królowej Podziemia: z berłem zwieńczonym łbem węża, spódniczką z puszczeli i naszyjnikiem z ludzkich czaszek.

Ława i bruk przed niszą Siostry były równie wytarte jak te przed posągami Pasterza i Pani. Garric podejrzewał, że podczas pogrzebu warto prosić o błogosławieństwo królowej zmarłych, ale ta myśl budziła w nim niepokój. Śmierć nie jest złem: przecież zmniejsza się liczebność stada na zimę, a Natura również redukuje swe stada, włącznie z ludzkim, z tego samego powodu. Mimo to wznoszenie modłów do uosobienia śmierci wydawało się perwersją.

– Benlo bor-Benlimanie – powiedział kapłan, lekko zająknawszy się na nieznanym nazwisku. Zapewne wśród tych setek pogrzebów, jakie celebrował, nieczęsto trafiali mu się arystokraci. – Przyjmij tę wodę życia, niechaj wskrzesi cię ze świata zmarłych.

Był upalny dzień. Pachnidła, którymi personel kaplicy namaścił zabalsamowane ciało Benlo, tłumiły, lecz nie w pełni maskowały woń rozkładu. Proces balsamowania zwykle polegał na chirurgicznym usunięciu organów wewnętrznych zmarłego i wypełnieniu jamy ciała wonnościami.

Stradedon ułatwił zadanie balsamującym Benlo.

Kapłan zanurzył złote kropidło w stojącej obok ławy kropielnicy z wodą, po czym spryskał twarz nieboszczyka. Odłożywszy kropidło, wziął odrobinę pszennego opłatka ze złotej czary.

– Benlo bor-Benlimanie, przyjmij chleb życia, abyś mógł zmartwychwstać z Podziemia.

Te złote naczynia i brokatowy całun były używane tylko podczas pogrzebów najznamienitszych obywateli. Członkowie klasy średniej musieli zadowolić się srebrem i lnianym całunem, zaś najbiedniejszych zbywano fajansowymi naczyniami, a całun rodzina musiała dostarczyć sama.

Jeśli zmarły był bogaty, spodziewano się, że jego lub jej świta pójdzie za trumną. W takich pogrzebach brał udział chór sześciu zawodowych płaczek. Czasem wynajmowano jeszcze dodatkowe. Liane nie chciała nawet sześciu, ku ogromnemu zdziwieniu kapłana.

Kapłan skruszył opłatek, posypując nim twarz Benlo. Opuszki kciuka i wskazującego palca miał spocone i sporo białego proszku przywarło do nich, dopóki ukradkiem nie otarł ich o rękaw szaty. I tak miało to czysto symboliczne znaczenie. Potem zakrył całunem twarz zmarłego i trzykrotnie skłonił się posągowi Pasterza – szczupłego młodzieńca z laską na prawym ramieniu. Zwróciwszy się do Liane, rzekł: – Panienko, ceremonia zakończona. Czy mam...?

– Proszę – rzuciła. Otarła oczy chusteczką, a potem starannie ją złożyła i schowała w lewym rękawie.

Kapłan skinął na robotników, którzy wprawnie wystąpili naprzód i nie przepychając się, zręcznie zajęli miejsca przy narożach katafalku. Podnieśli nosze z leżącym na nich ciałem i weszli do kaplicy. Katafalk pozostał. Na bokach miał wyrzeźbiony motyw drzewa życia. Garric pomyślał o podobnie zdobionych trumnach na starożytnym cmentarzu naprzeciw „Czerwonego Muła”. We wiosce rodziny po prostu grzebały swoich zmarłych, oddając ziemi ciała tych, którzy uprawiali ją za życia.

Garric nie wiedział, który sposób jest lepszy. Może ważne było tylko to, że ludzie przestrzegali swoich zwyczajów, jakiegokolwiek one były. W głębi duszy Garrica, król Carus zachichotał twierdząco.

– Ach – rzekł kapłan do Liane. – Pójdę z nimi, żeby wszystkiego dopilnować, dobrze?

– Oczywiście – powiedziała Liane. Była już zupełnie opanowana. Miała na sobie niebieską szatę, w której pojawiła się w Barca's Hamlet. Jedynym ustępstwem jakie uczyniła na rzecz okoliczności był biały czepek – w kolorze żałoby.

Ponownie skłoniwszy się, kapłan wszedł w ślad za grabarzami do kaplicy. Niżej, na zboczu, jakaś staruszka klęczała przed grzebalnym dzbanem, z którego zupełnie zeszła farba, odsłaniając wybieloną słońcem terakotę. Garric zauważył, że kobieta położyła na dzbanie bukiet kwiatów.

Liane odwróciła się i uściśnęła dłonie Garrica i Tenoctris. Uśmiechnęła się smutnie.

– Teraz, kiedy straciłam ojca, mam już tylko was – powiedziała. – Czy udacie się ze mną do Erdinu, żeby dowiedzieć się, co mu się przydarzyło?

Tenoctris spojrzała na Garrica, a potem na młodą dziewczynę.

– Droga do prawdy może wieść dalej niż na Sandrakkan, Liane – odparła. – I na pewno będzie niebezpieczna, bardziej niż przypuszczasz. Obawiam się, że są rzeczy gorsze od śmierci.

– Nie mogę tego tak zostawić – odparła z prostotą Liane. – Utraciłam ojca już przed laty, ale odwracałam głowę i udawałam, że tego nie widzę. Więcej tego nie zrobię.

Tenoctris skinęła głową.

– Musiałam ci to powiedzieć – rzekła. Odwróciła się i dodała: – Wszystko zależy od ciebie, Garricu. Moja ścieżka biegnie razem z twoją.

Uśmiechnęła się szeroko, przy czym wyglądała jak inna kobieta, znacznie młodsza i bardziej kobieca.

– A przynajmniej tak sędzę. Jeśli jestem tylko kamykiem spadającym ze wzgórza, to chyba nie ma znaczenia, w którą polecę stronę.

Kapłan wyszedł z kaplicy, a za nim czterej grabarze. Ci nieśli kije przewleczone przez uszy dzbana, w którym złożono ciało Benlo. Jediną ozdobą dzbana była biała gwiazda namalowana na jego boku. Gorąca smoła, którą zapieczętowano pokrywę dzbana miała zapach sosnowej żywicy.

Obie kobiety spojrzały na Garrica.

– Tak – odparł. – Pójdę z tobą, Liane.

Król Carus ryknął swym ogłuszającym śmiechem.

Hali rzadko zabierała klientów tak daleko w głąb cmentarza, lecz ten chłopiec był pomocnikiem rzeźnika, zaręczonym z córką chlebobdawcy. Przyłapany z prostytutką utraciłby nie tylko pracę, ale i perspektywy na zawarcie korzystnego małżeństwa.

Tego wieczoru interesy w „Czerwonym Mule” szły kiepsko. Hali nie chciała stracić potencjalnego klienta tylko dlatego, że był nerwowy.

– Chodź ze mną, chłopcze – kusila. – Tu będzie miłe miejsce, nie uważasz?

Poklepała białą kamienną ścianę wznoszącego się obok grobowca. Nawet za dnia na cmentarzu było cieniście i chłodno, a wiszące na drzwiach grobowca i złożone przed nim kwiaty były dostatecznie świeże, by ich zapach unosił się w powietrzu.

– No, teraz daj mi pieniądze i możemy się zabawić.

Chłopiec wahał się. Był roslym młodzieńcem o zbyt małych i za blisko osadzonych w owalnej twarzy oczach, aby można uznać go za przystojnego, ale w sakiewce miał trzy miedziaki, czyli tyle, ile brała Hali. Był wczesny wieczór, słońce dopiero co zaszło. Hali nie piła od południa, a bardzo tego potrzebowała. Zamierzała zarobić te trzy miedziaki i pójść z nimi prosto do baru.

Lekko uniosła skraj tuniki, pozwalając chłopcu zobaczyć to i owo. Brzeg szaty był ozdobiony wzorem liści winogron, teraz trochę wytartym, ale zręcznie wyhaftowanym. Hali zrobiła to sama przed zaledwie kilku laty, kiedy była porządną kobietą, wykonującą uczciwą pracę. Wtedy picie było przyjemnością, nie koniecznością. Kilka lat i całe życie temu.

Chłopiec miał na sobie skórzany fartuch. Niezdarnie rozwiązał go, żeby sięgnąć po zawieszoną pod nim sakiewkę, a potem znowu się zawahał.

– Słuchaj – rzekł, rozglądając się wokół z cielecym zachwytem. – Czy to nie tu działy się niedawno dziwne rzeczy?

Niech mnie weźmie Siostra, on ma rację!, pomyślała Hali. *I niech porwie też tego rozlazłego gamonia, który zaciągnął mnie aż tu, chociaż spokojnie mogliśmy zrobić to pod murem!*

Stajenny z „Czerwonego Muła” był tutaj dwa dni wcześniej, z przedsiębiorcą pogrzebowym i strażnikami miejskimi, którzy zabrali stąd ciało. Opisał miejsce, w którym to się zdarzyło: dwa bliźniacze grobowce stojące naprzeciw siebie przy niewielkim wybrukowanym placu. Biały był używany przez bor-Rusamanów, właścicieli kilku żaglowców. Morderstwo miało miejsce w czarnym, który ze względu na reputację stał pusty, chociaż był w stosunkowo niezłym stanie.

– Nie, nie – skłamała Hali. – To na pewno było na drugim końcu cmentarza, kochasiu. Byłam tam osobiście i to na pewno nie tutaj.

Znów poklepała ścianę grobowca.

– No, daj mi pieniądze, kochasiu, i bierzmy się do roboty, dobrze?

Teraz, kiedy chłopiec poruszył ten temat, Hali zaczęła się niepokoić. Nie była strachliwa, ale stajenny był zbyt wstrząśnięty tym, co zobaczył w grobowcu, aby ubarwić swoją opowieść tak, jak zapewne zamierzał. Opis wypatroszonego trupa z grymasem zgrozy na twarzy był tym bardziej przerażający, że pochodził z ust mocno wystraszonego człowieka.

Chłopak gapił się na nią. Ten młody dureń miał tyle samo rozumu co barany, które zarzynał. *Jak do tej pory udało mu się nie trafić młotkiem we własną głowę i nie poderznąć sobie gardła?*

Westchnęła i podeszła do chłopaka, po czym okręciła rozpięty fartuch do tyłu, tak by nie przeszkadzał – i nie zasłaniał sakiewki wiszącej mu u pasa. Zrobiło się znacznie ciemniej.

Zacisnął palce na sakiewce.

– No, nie bądź głupi – zachęcała Hali. – Jesteś zbyt przystojny, żeby przejmować się głupstwami, no nie?

Coś trzasnęło w grobowcu za ich plecami. Chłopiec odskoczył od Hali. Obejrzała się. Ten odgłos przypominał dźwięk pękającego dzbana grzebalnego.

– Hej, nie przejmuj się kilkoma dachówkami, które spadają ze starego dachu! – powiedziała Hali, z rozpaczą widząc, jak jej wieczorne wino znika wraz z wystraszonym klientem. – To nic...

W grobowcu rozbłysło błękitne światło, rozchodząc się przez irysowate otwory wentylacyjne w ścianie szczytowej. Metalowa zasuw drzwi pękła z ostrym trzaskiem.

Chłopak zakwiczał jak zarzynana świnia i umknął w mrok. Hali usłyszała, jak potknął się o jakąś płytę nagrobną i upadł. Przez chwilę złośliwie życzyła mu, żeby skręcił sobie kark, ale zaraz poderwał się i uciekł z wrzaskiem.

Hali cofnęła się pod ścianę grobowca. Musiała się czegoś napić i nagle stwierdziła, że nie może ją tu spotkać nic gorszego niż życie, jakie próbowałyby ocalić uciekając.

Żelazne drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Wyszedł z nich jakiś mężczyzna. Powoli szedł przez cmentarz, nie rozglądając się wokół, aż w końcu znikł za kępą wiekowych cyprysów, zmierzając w kierunku bramy. Kiedy szedł, wokół jego nóg coś migotało – jakby lśniący błękitny kurz.

Hali rozpoznała go, chociaż było ciemno. Arame bor-Rusaman. Kilkakrotnie widziała go jadącego ulicami Carcosy w karocy z herbem na drzwiczkach. Oczywiście, był zbyt bogaty, aby mógł być klientem Hali, ale umiejętność oceny mężczyzn była ważną cechą jej profesji.

Trzy dni temu widziała go po raz ostatni, gdy kondukt pogrzebowy przechodził obok „Czerwonego Muła”. Jego namalowana na grzebalnym dzbanie twarz wyglądała nawet lepiej niż za życia.

Sharina przytrzymała baryłkę na wodę, jedną z tych, które zabrali z triremy, podczas gdy Nonnus nabijał górną obręcz na miejsce młotkiem zrobionym z kręgu i kości płetwy grzbietowej jakiejś dużej ryby.

– Trzyma się – orzekł pustelnik – ale zamierzam obejrzeć sobie te antałki, które Lud robi z wielorybich kości. Nie wierzę, że te deszczułki nie rozeschną się, jeśli za długo będą na słońcu.

– Nie widzę w tym żadnego sensu – rzekła z goryczą Asera. Chociaż słońce mocno grzało, obejmowała się ramionami, jakby było jej zimno. – Nigdy się stąd nie wydostaniemy. Sam powiedziałeś, że cywilizowani ludzie nie zapuszczają się tak daleko na północ.

W ciągu tygodnia pobytu u Pływającego Ludu, prokurator przestała obawiać się rychłej śmierci. Mimo to nie nabrała otuchy i miała dość energii, by narzekać na ich położenie.

Członkowie licznej rodziny Maminsynka odpoczywali, korzystając z ładnej pogody. Większość z nich była nie w łodzi mieszkalnej, lecz w wodzie, ścigając się na pontonach lub po prostu pływając. Sam Maminsynek z trzema żonami siedział na śródkręciu. Kobiety miażdżyły wodorosty w kościanych moździerzach, a wódz popijał z brązowego kielicha zrabowanego z jakiegoś starożytnego wraku.

Tak przygotowane wodorosty fermentowały, dając dość mocny napój alkoholowy, który popijał Maminsynek. Ten trunek był zarezerwowany dla wodzów i ich ulubieńców, ale Sharina nie miałaby ochoty skosztować go, nawet gdyby jej pozwolono. Kobiety inicjowały proces fermentacji, plując na zmiażdżone łodygi. Napój był zielony, gumowaty i jej zdaniem cuchnął jak brązowa maź sącząca się spod stosu mokrego siana.

– To prawda, nie spodziewam się, by ktoś nas stąd zabrał – odparł spokojnie Nonnus. Ostukiwał obręcz, raz z jednej strony, raz z drugiej. Nigdy nie uderzał dwa razy w tym samym miejscu, bowiem Sharina za każdym razem przesuwiała kciuk po przeciwnej stronie obręczy, wskazując mu, gdzie ma stuknąć. – I wcale na to nie liczyłem. Nie dopłynęliśmy tak daleko tylko po to, żeby do końca naszych dni krążyć przy Lodowych Czapach. Kiedy nadarzy się okazja, musimy być przygotowani.

Około dwudziestu członków rodziny Maminsynka wykorzystywało sjęstę, by gapić się na wyspiarzy. Nonnus zaanektował dla siebie i towarzyszy kawałek przedniego pokładu łodzi. Ich dobytek był przywiązany do kościanych prętów, które pustelnik umocował do wręg kadłuba. Łodzie mieszkalne nie miały relingów, nawet wokół pokładów.

Wyspiarze spali przy tym dobytku, między innymi po to, żeby zapobiec kradzieży. Drewniane baryłki były cenne, a tych kilka kawałków metalu jeszcze bardziej. Sharina zauważyła, że większość metalowych narzędzi używanych przez rodzinę Maminsynka zrobiono z gwoździ, które wyciągnięto z dryfujących wraków statków należących do wyspiarzy.

Nie wiedziała, co zrobią, jeśli zmieni się pogoda, bo ona wolałaby wyskoczyć za burtę, niż schować się w brudnych norach pod pokładem, ale wierzyła, że w razie potrzeby pustelnik znajdzie na to jakiś sposób. Obiecał, że jeśli z nadejściem pory burz nadal będą wśród Ludu, to postara się o skórę i zrobi z nich nadbudówkę.

Nonnus wyprostował się i sprawdził denko antałka, naciskając je kciukiem. Pozostało na miejscu. On i Sharina poprzedniego dnia napełnili beczułkę kawałkami lodu, które odłupali od góry lodowej. Nie przypuszczała, by kiedykolwiek nauczyła się sprawnie posługiwać pontonem, który jej pożyczono, ale przynajmniej zdołała go nie wywrócić. Pojedynczy pływak nie zapewniał równowagi,

jeśli za bardzo przesunęło się ciężar ciała w bok.

– Nonnusia – powiedziała ściszym głosem. – Śpik twierdził, że nie pozwolą nam opuścić wioski. Czy to prawda?

– Tak głosi prawo – potwierdził spokojnie Nonnus. Obejrzał ramę do suszenia sztokfisa, którą sporządził z pasków fiszbinów i strącił jeden kawałek ryby do wody. – Z tej strony uciąłem za gruby filet i zaczął się psuć.

Wyspiarze nie mieli nadmiaru dobytku, który mogliby odstąpić, więc Nonnus sprzedawał Ludowi swoją pracę – a czasem zręczność Shariny przy łataniu sieci – w zamian za różne materiały, których potrzebował. Jego umiejętności i stalowe ostrze pewlańskiego noża dokonywały więcej w ciągu godziny niż leniwy członek rodziny Maminsynka przez cały dzień.

Ponadto Pływający Lud lubił obserwować pracujących wyspiarzy. Zgodnie z prawem wyspiarze byli teraz członkami plemienia, lecz prawdę mówiąc, miejscowe społeczeństwo było bardziej zaściankowe niż mieszkańcy najbardziej zapadłej wioski na Haft. Zasadniczo to prawo było wykorzystywane przez plemieńców uciekających przed jakąś waśnią, chociaż Nonnus twierdził, że zdarzały się już takie przypadki, że wyspiarze znajdowali schronienie w pływających wioskach.

Mały rekin obrócił się na grzbiet i w chmurze banieczek powietrza chwycił kawałek rybiego mięsa. Wokół łodzi mieszkalnej roily się ławice ryb, tuczając się wyrzucanymi za burty resztkami. Dzieci chlapały się w tej samej wodzie, nie zważając na niebezpieczeństwo. Chociaż Sharina nie zauważyła żadnych wilków morskich ani większych rekinów. Na tych wodach największymi drapieżnikami byli mieszkańcy pływających wysp.

– Jeśli złapią cię na próbie ucieczki – rzekł Nonnus, uśmiechając się do Shariny nad ramą do suszenia ryb – uznają cię za zdrajczynię i zjedzą. Wolałbym, żeby mnie nie złapali. Lepiej poczekać na północny wiatr...

Popatrzył na Medera.

– Jak chyba już mówiłem – zakończył obojętnym tonem, mierząc czarodzieja twardym spojrzeniem.

Czarodziej siedział na uboczu. Od kiedy tu przybyli, codziennie kilka godzin spędzał z Gwiednowidną na królewskim katamaranie, przewożony tam i z powrotem jedną z łodzi myśliwskich Długopalcego. Asera czasem rozmawiała z nim w cztery oczy, ale Sharina zauważyła, że od kiedy zaczął zadawać się z wytatuowaną kobietą, Meder zupełnie przestał słuchać prokurator.

– Zastanawiam się, czym on płaci tej kobiecie za te wszystkie rzeczy, które od niej dostaje? – mruknęła Sharina do Nonnusa, zerkając z ukosa na czarodzieja. Asera siedziała dostatecznie blisko, by ją usłyszeć, ale nie zareagowała.

Z każdej wizyty na katamaranie Meder wracał z jakimś nowym amuletem, na nowo kompletując zestaw, który Sharina cisnęła do morza. Miał teraz rytualny sztylet z kości morsa, o brzeszczocie ostrym jak brzytwa. Rękojeść sztyletu miała kształt dwóch splecionych w walce demonów.

Gwiednowidna dała mu również kotlarz z kręgosłupa wieloryba i kilka mieszków zrobionych z pęcherzy pławnych jakiejś dużej ryby. Zawierały różnobarwne proszki, widoczne przez przezroczyste ścianki. Od czasu do czasu – tak jak teraz – Meder zapalał ogień w kotlarzu i spalał na nim szczyptę proszku, ale nigdy nie rzucił przy tym zaklęć.

– Tenoctris mówiła, że on jest potężnym czarodziejem – odparł Nonnus, sprawdzając szpunt drugiej baryłki. – Nic dziwnego, że Gwiednowidna chętnie z nim rozmawia. Zapewne czuje się tu równie samotna, jak ja we wiosce... – Urwał i uśmiechnął się do Shariny. – Tylko że ja byłem samotny z własnego wyboru.

Błękitny dym buchnął z kotlarza, gdy Meder sypnął coś w ogień. Suchy proszek był czerwony.

– Nie możemy dokonać wyboru za Medera – rzekł łagodnie Nonnus, nadal spoglądając na czarodzieja.

Większość członków plemienia trzymała się w bezpiecznej odległości od wyspiarzy. Wyjątkiem był trzy – lub czteroletni chłopczyk, o rudych włosach i piegowatych ramionach, jakie miała większość Ludu. Godzinami leżał, opierając brodę na rękach i obserwując czarodzieja.

Za pierwszym razem Meder krzyknął na malca. Wtedy jedna z miażdżących wodorosty kobiet podeszła do nich i rąbnęła Medera w głowę tłuczkiem zrobionym ze szczęki wieloryba. Nonnus przemył gąbką i opatrzył rozbitą głowę nieprzytomnego czarodzieja. Po tym wypadku Meder ignorował chłopca.

– Mówi, że zabierze nas stąd – mruknęła Asera. – Tylko że mówił tak już poprzednio i za każdym razem pakował nas w jeszcze gorsze tarapaty.

– Ty też to zauważyłaś? – powiedziała sarkastycznie Sharina. – Powinnam teraz zabrać mu to wszystko i cisnąć do morza tak samo, jak zrobiłam to z kuferkiem!

Meder sypnął w płomień następny składnik. Biały dym uniósł się gęstą i leniwą smugą, jakby niechętnie opuszczając palenisko. Czarodziej i dziecko bacznie patrzyli jak z dymu powstał nieco podobny do korzenia mandragory humanoidalny kształt, który zaraz rozwiął się z szybkością topniejącego w wodzie śniegu.

– Nie – orzekł Nonnus. – Sami powinniśmy wybierać nasze drogi i pozwalać na to innym. – I tym samym tonem dodał: – Łódź Śpika płynie tu z rezydencji.

Asera domyśliła się, że te słowa zapowiadają niebezpieczeństwo, chociaż ton jego głosu wcale na to nie wskazywał.

– Co masz na myśli? – zapytała, niepewnie wychylając się, by spojrzeć na płynących.

Sharina wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać kobietę i nie pozwolić jej wypaść za burtę. Nie lubiła Asery. Wystarczył jeden dzień w dłubance, by pozorny majestat królewskiej urzędniczki zmarniał szybciej niż wyrzucona na brzeg ryba w letnim słońcu. Nadal czułaby się zobowiązana skoczyć do wody za tonącą Aserą, więc lepiej zapobiec takiej sytuacji.

– Poradzimy sobie ze Śpikiem – odparł cicho Nonnus. Ponownie chwycił oszczep. – Nie powiedziałem, że mamy pozwolić, by inni decydowali za nas.

Rodzina Maminsynka bez większego zainteresowania obserwowała przybycie łodzi sąsiadów. Jedna z jego żon podeszła do burty i pokazała pośladki załodze łodzi myśliwskiej. Bawiące się w wodzie dzieci nurkowały wokół. Jedno chwyciło za wiosło i bezskutecznie próbowało wyrwać je z rąk wiosłarza. Sharina nie wiedziała, czy są to zwykłe rubaszne żarty, czy też oznaka prawdziwej wrogości między obu rodzinami.

Śpik siedział na rufie łodzi, a Trzypalcy na dziobie, tak jak poprzednio. Nie dał w róg z muszli amonita, chociaż miał go pod ręką. Muszla musiała sporo ważyć, nawet bez wewnętrznych ścianek, które wyłamano, by zrobić z niej instrument.

Śpik skierował łódkę do dziobu łodzi mieszkalnej, trzy metry od wyspiarzy. Trzypalcy rzucił linę na wysoki dziób i przycumował łódź myśliwską. Sharina zastanawiała się, dlaczego teraz zrobił to staranniej niż przy królewskim katamaranie.

– Co ty tu robisz, Śpiku? – zapytał Maminsynek. Stał na śródokręciu, patrząc jak drugi wódz i tuzin członków jego załogi wchodzi na pokład. Maminsynek nie pofatygował się i nie wszedł na pokład, żeby stanąć oko w oko z przybyłym. – Nadal jesteś mi winien pięć płatów fiszbinu. Przybyłeś mi je oddać?

– Nie przypląnąłem do ciebie, Maminsynku – odparł niedbale Śpik. – Poza tym, Czarnozęby miał ci za nie zapłacić w ramach wiana za moją siostrę. Pogadaj z nim.

Przybyli ruszyli ławą. Śpik zatrzymał się sześć kroków przed Nonnusem i oparł ręce na biodrach.

– No, Pewlaninie – powiedział. – Jutro wypływam łowić wieloryba. Prawo pozwala mi wybrać po jednym członku rodziny do załogi mojej łodzi. Wybieram ciebie na mojego harpunnika.

– Nie możesz odmówić! – powiedział stojący na drugim końcu szeregu Trzypalcy. – Tak głosi prawo!

Niemal wszyscy na łodzi obserwowali to spotkanie. Ludzie wyszli spod pokładu, a wielu pływających wokół teraz gramoliło się z wody. Asera przesunęła się tak, by rama do suszenia ryb znalazła się pomiędzy nią a ludźmi Śpika, którzy groźnymi minami usiłovali przestraszyć Nonnusa.

Sharina stanęła u boku pustelnika i wyjęła toporek z pętli przy pasie. Nonnus uniósł twarz ku niebu i ryknął śmiechem. Ten śmiech brzmiał najzupełniej szczerze.

Śpik był zaskoczony. Nie odrywał oczu od stalowego grotu oszczepu na ramieniu pustelnika. Sharina wiedziała, że popełniał błąd. Oszczep uderzy tam, gdzie pośle go Nonnus. Śpik powinien patrzeć w oczy przeciwnika.

– Harpunnik to niebezpieczne stanowisko! – rzucił gniewnie Trzypalcy. Potrząsnął harpunem, ale przeczornie trzymał go pionowo, tak by Nonnus nie mógł uznać tego gestu za groźbę i wyzwanie. – Kiedy stoisz na dziobie, ktoś przypadkiem może wypchnąć cię za burtę!

Sharina usłyszała, że Meder mamrocze coś pod nosem, ale nie odważyła się teraz obejrzeć. Zrozumiała, że Śpik i jego syn chcą przestraszyć Nonnusa, żeby oddał im coś cennego.

Aby zgodził się oddać im Sharinę.

Nie znali Nonnusa. Kiedy zrozumieją, że groźba nie poskutkowałą, wszystko może się zdarzyć. Gdyby teraz Nonnus lekkomyślnie odwrócił się do nich plecami, z pewnością żaden z przybyłych nie przejmowałby się prawem zabraniającym dźgnąć współplemieńca w plecy.

– To dla mnie zaszczyt, że wybrałeś mnie do twojej zacnej załogi, Śpiku – powiedział uprzejmie Nonnus. W jego głosie nadal słychać było kpiącą nutę. – Jednakże obawiam się, że nie będę mógł przyjąć tej propozycji. Widzisz...

– Nie możesz odmówić! – prychnął Trzypalcy. – Prawo głosi, że możemy cię wziąć!

– Niestety – rzekł pustelnik tonem rozbawionego rodzica mówiącego do dziecka – właśnie wybieram się do królewskiej rezydencji, aby rzucić wyzwanie Długopalcemu o jego tron. No cóż, jutro sprawy przybiorą inny obrót. Ponieważ to król decyduje o składzie załóg łodzi.

Płomienie na palniku Medera gniewnie zasyczały pod wpływem czegoś, co do nich dosypał. Sharina poczuła gorzki odór, ale nie spuszczała z oka ludzi Śpika.

Ten cofnął się o krok, zapewne nieświadomie.

– Będziesz musiał zmierzyć się ze wszystkimi królewskimi synami, zanim wyzwiesz króla! – powiedział, ale wyraźnie stracił pewność siebie.

– Nie sądzę, żeby królewscy synowie sprawili mi wiele kłopotu, no nie? – rzucił nonszalancko Nonnus. Okręcił oszczep w palcach prawej ręki i jeszcze wirujący przerzucił do lewej, schowanej za plecami. – Oczywiście...

Kobieta obok Śpika obróciła się tak, że dwudziestoramienna gwiazda wytatuowana na jej ramieniu skierowała się do pustelnika. Sharina przypomniała sobie, co Nonnus mówił o tym, że Lud oddaje cześć potworom z głębin.

– ...bardzo możliwe, że Długopalcy postanowi jutro ciebie zrobić harpunnikiem w dowodzonej przeze mnie łodzi – dokończył Nonnus, uśmiechając się do wodza i ponownie przerzucając oszczep do prawej ręki. – Gdyby Długopalcy to zrobił, cóż, może nie musiałbym rzucać mu wyzwania.

Śpikowi opadła szczęka. Wyglądał tak, jakby pustelnik trzymał go nad otwartą paszczą wilka morskiego, bo też prawie tak było. Członkowie jego załogi powoli wycofywali się. Nawet Trzypalcy

spoglądał na ojca tak, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– *Barbathiathiao brimaiao chermari!* – krzyknął Meder, kończąc zaklęcie. Ogień zasyczał i strzelił tak głośno jak trzaśnięcie z bata.

Wszyscy ludzie Śpika zaczęli się cofać. Sharina zaryzykowała i obejrzała się.

Z paleniska unosił się obłok pulsującego białego dymu. Miał znów humanoidalny kształt i wielkość człowieka, ale nadal rósł. Chłopczyk zerwał się na równe nogi i szeroko otworzył oczy. Meder chwycił go za długie włosy.

Nonnus obrócił się bokiem, tak że mógł widzieć czarodzieja, nie odwracając się plecami do Śpika, chociaż wódz i jego ludzie nie stanowili już takiego zagrożenia jak minutę wcześniej.

– Mederze! – powiedział pustelnik. – Zostaw chłopca! Panuję nad sytuacją.

Dzieciak wrzeszczał i wierzgał. Meder uderzył go ręką sztyletu, a potem przyłożył mu ostrze do gardła. W oczach czarodzieja strach mieszał się z triumfem.

– Oddacie nam waszą łódź i pozwolicie odpłynąć! – zawołał do Śpika. Obłok dymu kołysał się, jakby ludzka postać tańczyła na płomieniach. Miała teraz prawie trzy metry wysokości, była zwalista, nieforemna, o torsie i ramionach znacznie dłuższych niż nogi.

Trzypalcy i Śpik popatrzyli po sobie. Młodszy mężczyzna zaśmiał się i zrobił krok naprzód, nie zbliżając się do Nonnusa.

– Bo co, wyspiarzu? – rzekł. – Jeśli myślisz, że twoje sztuczki...

Meder poczerwieniał. Pchnął sztyletem w gardło chłopca. Trysnęła fontanna krwi. Krzyk dziecka przeszedł w cichnący bulgot, zagłuszony krzykiem Shariny.

Strumień krwi z przeciętej tętnicy trysnął w ogień. Buchnęły czerwone płomienie, jakby ciecz podsyciła je, zamiast zgasić. Iskry strzeliły na wszystkie strony, przypalając skórzany pokład lub przelatując za burtę i z sykiem gasnąc w wodzie.

Meder stał niewzruszony pośród płomieni, chociaż włosy chłopca zaczęły się palić. Chmura białego dymu rozwiała się.

Morze ożyło z rykiem. Z wody wyłonił się człekokształtny stwór, czerwony jak ogień. Jedną ręką chwycił burtę łodzi i wskoczył na pokład. Jego ciało gięło się, jakby było pozbawione kości.

Śpik wrzasnął i pchnął w pierś stwora. Harpun ugrzązł, jakby wbił się w rozgrzaną smołę. Potwór zaryczał. Chwycił Śpika za głowę i zerwał mu ją z ramion.

Meder wybuchnął demonicznym śmiechem. Odrzucił od siebie ciało dziecka. Ogień zgasł. Kotlarz rozpadł się na kawałki poczerniałej kości, zniszczony mocą, do wywołania której posłużył.

Trzypalcy cisnął harpunem w plecy stwora i zwinnie jak rybołów wyskoczył za burtę łodzi. Załoga Śpika popędziła na dziób. Niektórzy wskoczyli do wody, a pozostali usiłowali uciec do łodzi. Stwór złapał dwóch ostatnich i zmiążdżył ich w objęciach. Rzuciwszy trupy, stwór chwycił cumę łodzi i wyciągnął jej dziób z wody. Trzej siedzący już w niej wioślarze wyskoczyli za burtę. Nie próbowali wrócić na pokład łodzi Maminsynka, tylko popłynęli w kierunku innej, zacumowanej co najmniej sto metrów dalej. Członkowie rodziny Maminsynka już byli w wodzie, albo szykowali się by skoczyć w fale.

Stwór puścił cumę ze skóry wieloryba i odwrócił się do Nonnusa. Pustelnik zamierzył się do rzutu oszczepem. Sharina stanęła obok niego, twarzą do potwora.

Meder wykrzyknął jakieś zaklęcie, które zagłuszył gromowy huk. Stwór stopił się, jak wosk w ogniu. Stał się bezbarwny. Zmienił się w brudną ciecz, która z pluskiem spłynęła po pokładzie i burcie łodzi.

Sharina upuściła toporek. Odwróciła się z płaczem i objęła ramionami Nonnusa. Widziała tylko twarz chłopca, który dusił się własną krwią.

– Co się stało, to się nie odstanie, dziecko – szepnął pustelnik. Jego ciało pod szorstką czarną tuniką było twarde i kanciaste jak kora dębu. – Z tym dzieckiem, z tobą i ze mną. Co się stało, to się nie odstanie – powtórzył.

Poruszył się i chociaż nadal oślepiały ją łzy, Sharina wyczuła, że obrócił głowę.

– Natomiast co do Medera... No cóż, każdy z nas ma własne upiory. Będę się modlił za jego duszę tak samo, jak za moją.

– Musiałem to zrobić – rzekł piskliwym głosem Meder. – Asero, widziałaś, że nie miałem innego wyjścia. Widziałaś!

– Pomóż mi załadować prowiant na łódź, dziecko – powiedział cicho Nonnus do ucha Shariny. – Myślę, że nie będą nas ścigać.

Westchnął.

– Skórzane łodzie nie płyną pod wiatr lepiej niż dłubanka, ale jakoś sobie poradzimy. Z pomocą Pani.

Ilna usłyszała głosy w przedsionku. Odeszła od krosna, zanim usłyszała lekkie, nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Panienko? – zawołała pokojówka. Na drzwiach był wyrzeźbiony łeb odyńca, herb któregoś z poprzednich właścicieli. – Jest tu jakiś człowiek, który mówi, że musi się z tobą zobaczyć.

Komnatę zaprojektowano jako zimowy salon. Światło wpadało przez osadzone w niszy okno wychodzące na ogród. Ilna urządziła tu swój warsztat. Ustawiła krosna tak, że kiedy tkała, słońce zawsze świeciło jej przez ramię.

Od kiedy Beltar wynajął dla niej tę posiadłość, zaniedbała ogród, który mimo to nadal był bajecznie kolorowy. Różowe i żółte malwy sterczały z rabatek między ceglаныmi alejkami, a czerwone i białe róże pokrywały mury oddzielające posiadłość od sąsiednich posesji i głównego kanału Erdinu.

Ilna nie zwracała uwagi na piękne kwiaty. Kiedy pracowała, nigdy nie rozglądała się wokół, nigdy nie zauważała gry światła na ich płatkach i sennego brzęczenia zwabionych przez nie owadów. One nie były częścią jej wzoru.

Pokojówka, która otworzyła drzwi, była młoda, niska, czarnowłosa i przerażona. Powiedziano jej, że Ilnie nie wolno przeszkadzać w pracy. Obawiała się, że złamanie tego rozkazu przypłaci co najmniej utratą pracy, na której bardzo jej zależało. A plotki, jakie krążyły o jej pracodawczyni, sugerowały znacznie bardziej przerażające możliwości.

Ilna skinęła głową.

– Wprowadź go – nakazała.

Dziewczyna nie miała powodu do obaw. Nie usłuchała Ilny tylko dlatego, że została do tego zmuszona. Ilna doskonale rozumiała, co to konieczność. Nie współczuła przymuszonym ani komukolwiek innemu, lecz nie miała też ochoty nikogo karać bez powodu.

Pokojówka dygnęła.

– Voder or-Tettigan, panienko – powiedziała i odetchnęła z ulgą. – Z biura kanclerza.

Człowiek, który wszedł zanim wyszła i zamknęła drzwi, był niewysokim i dość dobrze ubranym mężczyzną po trzydziestce. Miał wydatny brzusek i wystarczająco wysoką rangę, by tylko hikorowa pałka identyfikowała go jako pracownika straży miejskiej.

Nie zawsze miał tę wysoką rangę. Ta pałka sporo widziała, tak samo jak jej właściciel.

– Panienko – rzekł, kłaniając się odrobinę niżej niż wymagała tego uprzejmość. Szacował ją wzrokiem, tak samo jak ona jego.

– Regularnie składam dotację kapitanowi tej dzielnicy – powiedziała zimno Ilna. – Jeśli są jakieś problemy z podziałem tej kwoty, proponuję, abyś omówił to z nim. Do widzenia, panie!

Voder pokręcił głową.

– Pracuję w głównej kwaterze, panienko – rzekł. – I nie zamierzam wymuszać od ciebie haraczu. Przyszedłem tu zamknąć twój interes.

Mówił cicho, powoli, lekko przeciągając słowa. Budową ciała i zachowaniem przypominał jej Cashela. Voder nie był zbudowany równie potężnie jak on, lecz wydawał się równie solidny jak jej brat i tak samo stanowczy jak Ilna.

– Czy prawo zabrania porządnej kobiecie tkać we własnym domu? – zapytała Ilna. Do innego człowieka powiedziałaaby to z pogardą, lecz w tym człowieku nie znalazła niczego, czym mogłaby

gardzić. – Nie prowadzę żadnych interesów w tym budynku. W ogóle nie prowadzę żadnych interesów, panie Voder. Jeśli kanclerz ma jakieś pytania co do jakości moich wyrobów, niech przedstawi je Beltarowi or-Holmanowi w jego sklepie przy ulicy Szklanej.

Voder ponownie pokręcił głową.

– Przykro mi, panienko – powiedział i wydawało się, że mówi to szczerze. – Z powodu twoich wstążek doszło już do kilkunastu zabójstw. Mężczyźni zabijają żony, małżonki kochanki mężów... Ludzie topią się, ponieważ ktoś ich opuścił, a zeszłej nocy pewien biedak powiesił się z powodu tego, że źle traktował swoją żonę. Sądzę, że naprawdę ją kochał. Są tacy ludzie.

Mówiąc, powoli wodził wzrokiem po pokoju, spoglądając na krosna, stół, okuty kufer przymocowany do podłogi i brak jakichkolwiek zbytków. Ponownie napotkał spojrzenie Ilny, obdarzył ją krzywym uśmiechem i dodał:

– To musi się skończyć, panienko. Musi.

Ilna prychnęła i przeszła przez komnatę do kufra.

– W porządku – ucięła zdecydowanie, chociaż wiedziała, że tym razem to nie poskutkuje. – Ile chcesz?

– Panienko, naprawdę chciałbym, żeby to było takie proste – powiedział Voder i w jego głosie znów usłyszała nutę szczerości. – Nie będę cię okłamywał. Mam rodzinę i robiłem, co musiałem, żeby nie głodowała. Jednak tym razem nie po to tu jestem. To co czynisz, jest złe, panienko. Ty o tym wiesz i ja to wiem. Gdybyś tylko łamała prawo, może mógłbym przymknąć oko, ale to musi się skończyć.

Spojrzała mu w twarz.

– Powiedziałeś to, co chciałeś rzec – ucięła lodowatym tonem. – A teraz odejdz.

– Panienko – powiedział Voder. – Ciężko zapracowałem na to, co mam. Sądzę, że ty także. Tak więc rozumiesz, co chcę powiedzieć: albo sama z tym skończysz, albo ja to zrobię. Jest mi naprawdę bardzo przykro, ale tak musi być.

Ich spojrzenia spotkały się: jej piwne oczy z jego szarymi, równie twardymi jak młyńskie kamienie.

– Panienko – dodał Voder. – Ja mieszkam tutaj, w Erdinie od urodzenia. – Z niechęcią potrząsnął głową. – I chociaż to głupio zabrzmie, kocham to miasto. Nie pozwolę, żeby to działo się nadal.

– Do widzenia, panie Voder – powtórzyła obojętnie Ilna.

Voder kiwnął głową.

– Przykro mi – powiedział.

Otworzył drzwi i zamknął je za sobą, stanowczo, lecz cicho.

Ilna podeszła do krosna, na którym tkąła portret. Przez długą chwilę spoglądała na obraz na migoczącej tkaninie, a potem wróciła do drzwi i otworzyła je. Pokojówka czekała w przedpokoju, odrętwiała jakby spodziewała się wyroku śmierci. Ilna uśmiechnęła się pogardliwie.

– Poślij posłańca po Beltara or-Holmana – rozkazała. – Chcę natychmiast go tu widzieć.

– Pan Beltar czeka w salonie aż skończysz pracę, panienko – wykrztusiła pokojówka. – Czy mam...

Ilna odprawiła ją machnięciem ręki. Złościła się, kiedy traktowano ją jak kapryśnego potwora. Nigdy nie krzywdziła nikogo bez jakiegokolwiek przyczyny... a kosmos dał jej powody by czyniła więcej krzywd niż wyrządziła dotychczas.

Beltar nadszedł korytarzem, uśmiechając się z przymusem do Ilny. Wprowadziła go do pracowni. Bławatnik ubierał się teraz w kosztowne szaty, ale w konserwatywnych kolorach: miał tunikę w cienkie brązowo-oliwkowe paseczki i czarne skórzane cizmy z czubkami zagiętymi do góry

i ozdobionymi chwostami z końskiego włosia.

Schudł, a jego twarz miała szarawą barwę odbicia w cynowym lustrze.

– Powstał pewien problem – powiedziała Ilna, zamknąwszy drzwi. Przeszła między dwoma krosnami. Największe z nich, podwójne, było nakryte muślinową zasłoną skrywającą tkaninę. – Podejź tu. Czy znasz kobietę zwaną Leah os-Wenzel? Kochankę kanclerza?

– Słyszałem o niej – odparł ostrożnie Beltar. Nigdy nie pokazywała mu tego gigantycznego krosna od przodu, tak by mógł zobaczyć powstającą na nim tkaninę. – Teraz zwie się Leah bosZelliman. Kupuje u mnie.

Na kilku krosnach powstawały wstążki. Każda z nich miała odrobinę inny wzór. Wprawdzie Beltar nie mógł tego dostrzec, ale rozpoznawał zmiany po sposobie, w jaki na niego działały.

– Jakby nazwisko miało jakieś znaczenie – prychnęła Ilna. Skrzywiła się. – Jakby szlachetne urodzenie cokolwiek oznaczało!

Po raz pierwszy w obecności bławatnika okazała jakieś emocje. Zamrugał oczami ze zdziwienia. Ilna skrzywiła się i podeszła do krosna, na którym tkąta chyba jakiś szal – długi na pół metra i mający co najmniej dwadzieścia centymetrów szerokości. Materiał był utkany z wełny owczej i koziej, obu czarnych, tak że wzór uwidaczniała raczej faktura niż kolor włóczki.

Beltar spojrział na ramę, westchnął i odwrócił oczy. Ilna uśmiechnęła się zimno i zdjęła materiał z ramy.

– Chcę, żebyś zaniósł to pannie Leah – powiedziała, kładąc tkaninę na stole. – Powiesz jej, że to prezent ode mnie. Za darmo.

Ilna rozłożyła szal na stole, wygładziła go i wzięła do ręki nóż. Inne tkaczki używały zwykle nożyc. Kciukiem i wskazującym palcem przycisnęła górny lewy róg materiału do blatu stołu.

– Powiesz pannie Leah – dodała, przeciągając ostrym nożem na ukos, rozcinając materiał na dwa idealnie równe trójkąty – że dostanie drugą połowę, kiedy urzędnik z biura kanclerza, niejaki Voder or-Tettigan, zostanie aresztowany.

Spojrzała na Beltara. Skrzywił się na widok jej miny.

– Na przykład pod zarzutem przyjmowania łapówek – powiedziała. – Nie sądzę, by w Erdinie znalazł się choć jeden policjant, któremu nie można by tego zarzucić.

Uśmiechnęła się. Lodowiec miał w sobie więcej ciepła.

– Oczywiście, wcale nie wymagam, by to oskarżenie było uzasadnione – dodała.

Położyła jeden z trójkątów na kawałku sukna, którego używała do pakowania. Zwinęła je tak, że szorstka tkanina skrywała tę, która była jej dziełem. Beltar odchrząknął.

– Czy... jest coś co powinienem wiedzieć, panienko? – zapytał.

– Powinieneś wiedzieć, że masz nie wchodzić mi w drogę! – warknęła Ilna. I znów się skrzywiła, gardząc bławatnikiem i sobą za brak samokontroli. – Ale ty już to wiesz, prawda? – dodała spokojnie. – Nie odważyłbyś się mi przeszkadzać.

Beltar przełknął ślinę, ale nic nie powiedział. Ilna obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, przypomniawszy sobie coś.

– Po co chciałeś się ze mną widzieć? – zapytała. – Przyszedłeś powiedzieć, że nie będziesz już dla mnie pracować, tak?

Kupiec zachwiał się, jakby pchnęła go w serce. Twarz miał lśniąca od potu i całą w plamach. Ilna zaśmiała się jak dorosły z nieporadnych wysiłków dziecka.

– Ja nie... – szepnął ochryple Beltar. – Wcale nie mówiłem...

– No nic, to bez znaczenia – powiedziała Ilna, dobrodusznie marszcząc brwi. – Nie zrezygnujesz, ponieważ jeszcze jesteś mi potrzebny.

Podala mu zwinięty materiał.

– Natychmiast zanieś to tej damie – rozkazała. – Będzie bardzo zadowolona z rezultatu. Ostatnio kanclerz nie przychodził do niej tak często jak dawniej. A gdyby porzucił pannę Leah, musiałaby znów sprzedawać pomarańcze na widowni kabaretu, prawda?

Beltar wziął zawiniątko. Pozostały trójkąt leżał na stole. Patrząc nań czuł się tak, jakby słyszał w ciemności dyszenie jakiejś bestii: jeszcze nie widział niczego straszego, ale wiedział, że tuż obok czai się ogromny drapieżnik.

– Mogłoby tak być, panienko – rzekł bezbarwnym tonem Beltar. Stłumiła jego bunt zanim zebrał odwagę, by się jej przeciwstawić. Wiedział, od samego początku, że jest narzędziem w ręku Ilny, która będzie go wykorzystywać dopóki będzie chciała. – Voder or-Tettigan ma być natychmiast aresztowany za przyjmowanie łapówek.

Spojrzenie Beltara padło na materiał rozpięty na innym standardowym krośnie. Utkany z jedwabiu i cienkich drucików szlachetnego kruszcu wzór przedstawiał pełnej wysokości postać Pani.

Była to najpiękniejsza rzecz, jaką widział w życiu.

– Panienko! – wykrztusił Beltar z podziwem i zdumieniem. Padł na kolana. Tkanina była w trzech czwartych gotowa. Tryk i owca stały na tylnych nogach, liżąc dłonie Pani, której głowę otaczała nieziemska poświata. – Panienko! To takie piękne!

Ilna krytycznie spojrzała na materiał.

– Prawda? – powiedziała. Chwyciła za kraj tkaniny, naciągnęła nitki i szarpnęła. Materiał był cienki, lecz z mocnego jedwabiu, mimo to Ilna z groźnym grymasem na twarzy rozdarła go.

Beltar krzyknął. Zerwał się na równe nogi i wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, lecz było za późno. Ilna odrzuciła strzępy, które zwisły z ramy krosna, niczym szczątki zeschniętych w pajęczynie motyli.

– Idź zająć się moimi sprawami, Beltarze – powiedziała ochryple. – I dziękuj bogom, że nie masz dość odwagi, by mi się sprzeciwiać.

Ujęła kupca za rękę i zaprowadziła, szlochającego i roniącego łzy, do drzwi, które zamknęła za nim. Potem wróciła do krosna.

Nie wątpiła, że panna Leah wszystkim się zajmie. Jeśli sam kanclerz nie zechce spełnić życzenia kochanki, ona w jego imieniu wyda jego podwładnym rozkazy. Nikt ich nie zakwestionuje, dopóki nie będzie za późno, a potem... no cóż, nie da się już tego cofnąć. Voder zostanie usunięty z drogi, zanim zdąży zniszczyć wzór tkany przez Ilnę.

Wznowila pracę nad jedną ze wstążek, którą zaczęła tkać przed przybyciem Vodera. Prosta rzecz, zaledwie godzina pracy dla palców, które nie popełniały żadnych błędów. Po chwili odeszła od krosna i zaczęła zwijać tę część przeciętego szala, która leżała na stole. Złożyła ją na pół. Wyciągnęła ręce do tkaniny, którą przed chwilą zerwała z ramy. Czubkami palców pogładziła migoczący materiał. Tkała go, żeby dowieść sobie, że jej talent jest właśnie tym: talentem, a nie przejawem zła.

Uklękła przed krosnem. Ścisnęła w palcach podartą tkaninę i zaczęła płakać.

„Złoty Smok” powoli przybił do brzegu, popychany uderzeniami czterech wiosł. Cashel sam poruszał jednym z nich, a przy pozostałych siedziało po dwóch seriańskich marynarzy. Zachodzące słońce rzuciło długi cień statku na piaszczystą plażę i tamaryszkowe zarośla.

– Hura! – zawołała siedząca na ramieniu Cashela Mellie, podskokiem stając na rękach i znów na nogach. – Och! Jak dobrze znów być na lądzie, prawda?

Cashel uśmiechnął się, wciągając wiosło, starał się nie potrącić marynarzy robiących to samo na drugiej burcie. Ścisłe mówiąc, Mellie stała na jego ramieniu, a on stał na pokładzie „Złotego Smoka”. Osobiście było mu obojętne, czy płaskodenny statek sunął po płyciźnie, czy osiadł na piasku.

– No, ja nie jestem wodną duszką! – powiedziała z urazą Mellie, jakby czytała w jego myślach. – Och, chodźmy, Cashelu!

Zeskoczyła z jego ramienia, chwyciła się jedną ręką skórzanego pasa i lekko jak wietrzyk zsunęła się po włochatej nodze młodzieńca na ziemię.

– Hej, zaczekaj na mnie! – zawołał Cashel. Czasem zapominał, że inni ludzie nie widzą duszki tak jak on, ale zapewne nie miało to większego znaczenia. Serianie i tak traktowali go tak, jakby należał do zupełnie innej rasy. Fakt, że mówił sam do siebie, nie czynił go wcale dziwniejszym.

Górale widzieli Mellie i zachowywali się tak, jakby Cashel był jednym z nich. Kiedy przychodziło mu to na myśl, wydawało się to jeszcze bardziej niepokojące.

Wszyscy górale opuścili teraz okręt, a wielu z nich zrobiło to, jeszcze nim dobił do brzegu. Teraz chichotali i wywijali koziołki na pokładzie Złotego Smoka”. Mellie nie była jedyną osobą cieszącą się z tego, że znów stoi na lądzie. Jeden z nich zawołał coś śpiewnie i wskazał ręką, po czym całą gromadą znikli w dochodzącym do samej linii wody i porośniętym krzakami parowie.

To z powodu górali „Złoty Smok” przybił do tej niezamieszkaney wysepki, jednej z setek, jakimi usiane było Morze Wewnętrzne. Ponieważ seriański statek musiał wypłynąć z portu bez uzupełnienia zapasów, brakowało im świeżych warzyw i mięsa, które dla górali było jedynym godziwym pożywieniem. Seriańscy marynarze dostawali zmniejszone o jedną czwartą racje placków i cebuli, czasem uzupełniane złapanymi rybami, co mogło im wystarczyć do czasu zawinięcia do następnego portu, lecz górale pomarliby z głodu.

Zywność zawsze była problemem podczas długich rejsów, a czasem stanowiła różnicę między życiem a śmiercią. Kupiecki żaglowiec mógł na cały miesiąc utknąć w morskiej ciszy, powoli posuwając się naprzód tylko dzięki wysiłkom załogi przy wiosłach przeznaczonych jedynie do manewrowania w portach. W ciągu wielu wieków przezorni kapitanowie wysadzali kozy na wysepkach porośniętych choćby skąpą roślinnością i mających przynajmniej wgłębienia, w których zbierała się deszczówka. Te wytrzymałe zwierzęta czasem padały łupem wilków morskich i często bywały źródłem świeżego mięsa dla tych marynarzy, którzy mieli chęć zapolować.

W przypadku górali „chęć” była niewłaściwym słowem. Cashel wątpił, by fatygowali się pieczeniem pierwszych zwierząt, jakie złapią.

Wiosła umieszczono na stojakach wzdłuż obu burt. Cashel wsunął swoje w nacięcia i cofnął się, pozostawiając obsadzie drugiego wiosła na sterburcie, przywiązanie ich w sposób zgodny z żeglarską tradycją. Węzły były tu równie zindywidualizowane jak uczesania i Cashel wiedział, że Serianie, by go nie urazić, za jego plecami natychmiast przywiązałyby wiosło po swojemu.

Pochylił się, podniósł Mellie ze swojej kostki i ponownie umieścił sobie na ramieniu, nie zważając na jej piski protestu.

– Panowie? – zawołał do stojących na pokładzie szanconym Jena i Frasy. – Czy ja też mogę zejść na ląd?

Jeden z nich – Cashel z daleka nadal nie potrafił ich odróżnić – przerwał rozmowę z kapitanem i skłonił się nisko.

– Oczywiście, panie Cashelu – powiedział.

– Można by pomyśleć, że to ty przez ostatnie tysiąc lat uczyłeś się, jak pozostać przy życiu na tej płaszczyźnie – narzekła Mellie, gdy Cashel podniósł swoją pałkę i pomaszerował na dziób.

– Tutaj mogą być szczury – rzekł, niewzruszony jej narzekaniem. – I wiemy, że są tu górale. Nie pozwolę, by coś ci się stało, kiedy jesteś pod moją opieką.

Marynarze zeskakiwali z burt i z pluskiem brnęli do brzegu. Natną gałęzi, z których zbudują sobie szałas i rozniecą ogniska do podgrzania wieczery, lecz w przeciwieństwie do Mellie i górali nie emocjonowali się tak tym, czy mają pod nogami ziemię, czy nie. Serianie – a dotyczyło to w tym samym stopniu Jena i Frasy, co zwykłych marynarzy – byli ludźmi zamkniętych przestrzeni. Nie zwracali uwagi na to, czy są to pomieszczenia statku, czy kupieckiego składu.

Czterej marynarze szli po piasku, uginając się pod ciężarem żelaznej głównej kotwicy, podczas gdy inni wyciągali za nimi linę. Osadzili kotwicę dwanaście metrów za linią wody, żeby „Złoty Smok” nie odpłynął z nocnym przypiływem. Inni żeglarze rzucali z rufy mniejszą kotwicę, by z kolei poranny przybój i wiatr nie wepchnęły statku zbyt głęboko na brzeg.

Jen i Frasa byli przekonani, że to lądowanie nie wiąże się z żadnym niebezpieczeństwem, lecz Cashel pamiętał sztorm, który spadł na Barca’s Hamlet i przygnał do nich triremę. No cóż, nie pytali go o zdanie, a górale niewątpliwie potrzebowali mięsa.

Mellie prychnęła i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, plecami do kierunku marszu.

– Nie ma tu szczurów – powiedziała. – Wyczulabym je. A górale nic mi nie zrobią, bo uważają mnie za twoją maskotkę.

Obróciła głowę i pokazała mu język.

– Zdaje się, że ty też tak myślisz – dodała.

Cashel oparł jeden koniec pałki o piach. Zapadła się kilka centymetrów w miękkie dno, ale głębiej znajdowało się twardsze podłoże. Zamiast zeskoczyć tak jak górale i marynarze, opuścił się powoli, trzymając się pałki i relingu na dziobie. Mężczyzna o wadze i sile Cashela wcześniej uczy się nie poruszać w pośpiechu. Poza tym, nigdzie mu się nie spieszyło.

Nie miał nic przeciwko życiu na statku, a mimo to zaskakująco przyjemnie było znaleźć się wśród zieleni, nawet jeśli przeważnie były to drobne, gorzkawe listki tamaryszku. Zastanawiał się, jak kozy przetrwały na takiej paszy i jak smakuje ich mięso. Nie podejrzewał jednak, by górale byli szczególnie wybredni.

Mellie zeskoczyła na ziemię, gdy tylko Cashel znalazł się poza zasięgiem przypiływu. Wspięła się na jakiś krzak i zerwawszy jeden z różowych kwiatuszków, zatknęła go sobie za ucho. Na maleńkiej główce kwiatuszek wyglądał jak kwiat wilczomlecza.

– Och! – zawołała, ponownie zeskakując na ziemię. – Jak dobrze!

Parów był nie tyle korytem strumienia, ile korytem uformowanym przez wiatr, chociaż pewnie płynęła nim woda, kiedy nad wysepką przechodziły sztormy. Krzaki sterczały na piedestałach z koralowego piasku, który przytrzymywały korzeniami, lecz między tymi maleńkimi płaskowyzami wiatr wyrył kręte przejścia.

Cashel przystanął na połowie parowu, szukając na ziemi śladów kóz lub mogących zagrozić

Mellie szurów. Chociaż duszka twierdziła, że wyczułaby ich obecność, ale to on...

Podniósł głowę w samą porę, by zobaczyć jak duszka znika w głębi parowu, co kilka kroków fikając koziołki. Jej śmiech doleciał zza odległego o dziesięć metrów załomu parowu, a potem ucichł.

– Mellie! – krzyknął Cashel. Uniósł pionowo pałkę, tak, by nie zaczepiała o twarde gałęzie i pobiegł kłusem. Miał nadzieję, że zaraz za zakrętem zobaczy czekającą na niego duszkę, drwiąco pokazującą mu język.

Minął zakręt. Mellie nie było. Za zakrętem parów rozszerzał się i na jego środku zaskoczony Cashel ujrzał przycupniętą chatkę z ogromnych skamieniałych kości. Przed nią paliło się ognisko z tamaryszkowych gałęzi, przy którym przykucnął staruszek odziany tylko w przepaskę na biodrach. Podgrzewał jakiś ciemny płyn w poszczerbionym kamionkowym garnku.

– Och! – powiedział Cashel, stając jak wryty. Nie spodziewał się spotkać tu nawet kozy. Widok człowieka i jego stałej choć topornej siedziby był prawdziwym zaskoczeniem.

– Dzień dobry, panie! – rzekł staruszek. Zwinnie zerwał się z ziemi. – Bardzo miło mi cię widzieć! Bardzo! Czy napijesz się ze mną herbaty?

– Ja... – zaczął Cashel. Opuścił pałkę, obawiając się, że wygląda tak, jakby miał zamiar zdzielić nią starca po głowie. – Ach nie, ja tylko szukam...

Urwał, przypomniawszy sobie, że staruszek może widział górali, lecz Mellie mogła być dla niego niewidzialna.

– ...kogoś – dokończył niezręcznie.

Podszedł do stojącej tuż przy ścianie parowu chatki, za którą była szpara zbyt wąska, by zmieścić się w niej człowiek, lecz wystarczająco szeroka dla duszki.

– Małej rudowłosej dziewczyny? – powiedział stary. Kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki pokazał w przybliżeniu wzrost Mellie. – No, przechodziła tędy. Miałem nadzieję, że zatrzyma się na chwilę i porozmawia ze mną, ale pobiegła prosto w tamte krzaki.

Machnięciem wskazał kierunek. Ściana parowu, opleciona korzeniami roślin, wznosiła się na półtora metra, a tamaryszki jeszcze na dwa lub trzy. Cashel zmarszczył brwi, spoglądając na ten gąszcz.

– Na pewno zaraz wróci, dobry panie – rzekł uprzejmie staruszek. – Może zaczekasz tu ze mną i pogawędzisz przy herbacie?

Cashel nadal spoglądał na krzaki, falujące jak morze. Gdyby chciał, mógłby przedrzeć się przez nie, ale na pewno nie znalazłby duszki, gdyby próbowała się przed nim ukryć. Czy aż tak rozżłościła się na niego za to, że chciał ją mieć przy sobie?

– Mellie! – zawołał. – Przepraszam, Mellie. Wróć i nie strasz mnie tak!

Odpowiedziało mu milczenie.

Cashel odwrócił się. Miał wrażenie, że niebo przytłacza go swoim ciężarem. Nie miał pojęcia, co robić.

– Biedny chłopcze – rzekł stary. – Jestem pewny, że ona zaraz wróci. Usiądź przy mnie, proszę.

I ze smutnym i nieśmiałym uśmiechem dodał:

– Od bardzo dawna z nikim nie rozmawiałem. Przybyłem tu, szukając znajomości i obawiam się, że znalazłem jej więcej niż chciałem.

– Ja... – zaczął Cashel. Pomyślał o tym, jak ciężko mieszkać na tej bezludnej wyspie, nie widując nikogo poza sporadycznie polującymi marynarzami. Staruszek wyglądał na kulturalnego człowieka.

– No cóż, chyba mogę usiąść z tobą na chwilę – powiedział Cashel. – Jednak nie będę niczego pił, dziękuję. Przynajmniej dopóki nie wróci moja przyjaciółka.

– No to może później – powiedział staruszek, chwytając garnek za gruby brzeg i podnosząc go z ognia. Sprawiał wrażenie spiętego, a zarazem przyjacielskiego jak mały piesek. Wolną ręką wskazując na chatę, dorzucił: – Chcesz zobaczyć moją siedzibę?

Cashel jeszcze nigdy nie widział niczego podobnego do tej chaty. Jej ściany były zrobione ze skamieniałych kości udowych, a każda z nich miała grubość pnia. Równie wielkie żebra tworzyły sufit. Szpary uszczelniono wodorostami, ale Cashel nie przypuszczał, by podczas złej pogody było w niej sucho czy przyjemnie. Sam sypiał w kamiennych schronach dla owiec, ale tam miał zwierzęta, które zapewniały ciepło.

– Widzisz, jestem pustelnikiem, chociaż to brzmi pretensjonalnie – tertotał staruszek. A kiedy Cashel zawahał się, stary wszedł do środka, jakby chciał udowodnić, że jego chata nie kryje w sobie niczego złego. – Postanowiłem znaleźć taką bezludną wyspę, żeby studiować, medytować i oczyścić umysł w kompletnej samotności.

Pokręcił głową i zachichotał. Ten dźwięk miał w sobie tyleż szaleństwa, co wesołości.

– O bogowie, jak mi się udało! Kompletna samotność! Och tak!

Cashel przykucnął, żeby zajrzeć do chaty, nie zasłaniając światła. Czuł się nieswojo: może po prostu niepokoił się o Mellie, ponieważ czuł, że staruszek jest naprawdę przyjaźnie nastawiony. Był starym dziwakiem, pewnie, ale chyba niewiele różnił się pod tym względem od Tenoctris.

Ponadto pustelnik był zupełnie nieszkodliwy. Cashel mógłby skrócić mu kark jedną ręką, chociaż nie wyobrażał sobie sytuacji, w jakiej mógłby mieć na to ochotę.

Pod jedną ścianą znajdowało się posłanie z wodorostów i gałęzi tamaryszku, pod drugą leżał odwrócony do góry dnem żelazny garnek, trochę większy od tego kamionkowego. Obok stała skrzynia z desek połączonych na jaskółczy ogon. Miała około pół buszla pojemności i odchyłone wieko. Cashel zauważył, że jej wnętrze jest podzielone na szereg pionowych przegródek, a w każdej z nich znajduje się rulon pergaminu o końcach zupełnie wytartych od częstego używania. Chociaż stare, były najwidoczniej starannie przechowywane.

W chacie nie zauważył innych sprzętów oprócz tych dwóch garnków i skrzyni ze zwojami. Żadnego noża, lampy ani ubrań. Przepaska biodrowa pustelnika była nieudolnie spleciona z włóknistej kory tamaryszku, najwidoczniej przez samego właściciela.

Cashel oparł pałkę o frontową ścianę chaty. Zmierzył wzrokiem otwór wejściowy, a potem klęknął i obrócił się bokiem, żeby wejść. Otwór był prawie wystarczającej wysokości, ale bardzo wąski. Cashel ponownie rozejrzał się wokół, przekonany, że musi tu być coś więcej.

– Żywisz się kozami? – zapytał, chociaż nie widział żadnych kości czy skór i nie czuł zapachu rzeźni, którego nie da się ukryć.

– Jestem wegetarianinem – odparł staruszek. – Ja... Dobry panie, nie bierz tego, co mówię za dezaprobatę dla twoich poglądów, jakiegokolwiek by one były. Jednak moim zdaniem postępowałbym niesłusznie, gdybym utrzymywał się przy życiu, odbierając je innym stworzeniom.

Uśmiechnął się wstydliwie.

– Widzisz, to część procesu oczyszczenia. Żywię się tym, co przyniesie morze. Prądy wyrzucają na plażę różne rodzaje wodorostów, tak regularnie jak wschodzi słońce. Lubię myśleć, że sama Natura pomaga tym, którzy żyją z nią w harmonii.

– Ach – powiedział cicho zdumiony Cashel. Ponownie rozejrzał się po chacie, zastanawiając się, w jaki sposób staruszek zdołał podnieść coś tak ciężkiego jak te skamieniałe kości. – Ja nie mógłbym... Chcę powiedzieć, że ja też nie jadam ze złotych talerzy. Ale to...

Pustelnik uśmiechnął się nieśmiało.

– Wcale mi tego nie brak – rzekł. – Tego pożywienia, tych... no... rzeczy, które ludzie nazywają

„wygodami”. Mam moje książki.

Ruchem głowy wskazał kufer, obok którego przykucnął Cashel.

– Zrealizowałem wiele tych celów, jakie postawiłem sobie, przybywając tutaj – ciągnął stary. – Przyznaję jednak, że czasem czuję się samotny. Obawiam się, że bardzo samotny.

Cashel słyszał w jego głosie desperację.

– Od jak dawna tu jesteś, panie? – zapytał.

Nie przedstawili się sobie. Cashel nie wiedział, jakby zareagował, gdyby stary zapytał go o nazwisko. Może właśnie dlatego nie pytał. Imiona mają swoją moc, którą zyskujesz, jeśli możesz nazwać coś lub kogoś po imieniu.

Cashel żałował, że nie ma przy nim Mellie. Brakowało mu jej, brakowało bardziej niż się spodziewał – a szczególnie jej dobrych rad. Mellie zrozumiałaby tę sytuację, która budziła w nim dziwny niepokój.

– Od dawna – odparł pustelnik. Głos mu drżał. Próbował się uśmiechnąć. – Tak długo, że straciłem poczucie czasu. Z początku nie zwracałem uwagi na jego upływ, a potem... Obawiam się, że nie potrafię powiedzieć nawet w przybliżeniu.

Cashel słyszał kiedyś wdowę płaczącą nad grobem jedyne dziecko. W słowach staruszka słyszał jeszcze większy smutek i samotność.

– Wiesz... – zaczął Cashel. Czyjego głos brzmiał podejrzliwie? – Moja przyjaciółka, ta której szukam... Większość ludzi jej nie widzi.

Pustelnik uśmiechnął się na to niewypowiedziane pytanie.

– Dziwisz się, że ja ją zobaczyłem? Naprawdę, dobry panie, gdybym jej nie zobaczył, byłoby to dziwniejsze od tego, że ty ją widzisz. Ja przez całe moje długie życie zajmowałem się takimi sprawami, podczas gdy ty...?

Delikatnie nie dokończył. Cashel zdołał zachichotać.

– Ja zajmowałem się owcami – przyznał. – Oraz ścinaniem drzew i tym podobnymi rzeczami. Niestety, nawet nie umiem czytać, chociaż mam przyjaciela, który to potrafi.

Zaledwie to powiedział, zaczerwienił się, pojmując, że głupio robi, chwając się cudzymi umiejętnościami.

– Nie wiem, w jaki sposób widzę Mellie – przyznał. – Po prostu tak jest.

Spojrzał na staruszkę.

– Znam pewną damę, która jest czarodziejką – rzekł. – Domyślam się, że ty też jesteś czarodziejem, panie?

Stary uśmiechnął się.

– Raczej filozofem – odparł. – Przyznaję jednak, iż w pewnym punkcie łączy się wszelka wiedza.

Cashel czuł się dziwnie przytłoczony. Grube kamienne ściany wydawały się jakby niematerialne, lecz świat za progiem – piasek i szumiące tamaryszki – przytłaczały go. Powietrze zdawało się gęstnieć, przyciemniając blask słońca.

– Muszę znaleźć Mellie – powiedział ochryple. Miał wrażenie, że zakopano go w mokrym piasku. Mógł się poruszać, lecz jego ciężar przytłaczał go.

– Proszę, napij się herbaty, a na pewno znajdziesz swoją przyjaciółkę – zachęcał pustelnik, pochylając się do niego z miseczką. Płyn w niej prawdopodobnie był wywarem z jakiegoś wodorostu. Z pewnością nie był herbatą, ale miał aromatyczny, przyjemny zapach.

– Proszę, dobry panie – rzekł pustelnik. – Od tak dawna jestem sam. Napij się ze mną.

Staruszek podniósł czarkę do ust, pociągnął długi łyk i przełknął. Nie odrywał oczu od Cashela. Ten usiłował wstać, walcząc z ciężarem tak ogromnym jak świat.

– Proszę... – namawiał stary.

Błękitne światło. Maleńka postać z błękitnego światła, jasny cień odbity we wnętrzu żelaznego garnka.

Mellie!

Cashel chwycił garnek i z całej siły cisnął nim o kamienne zebra dachu. Mellie skoczyła mu na rękę i zatańczyła po ramieniu, podskakując z radości.

Kamionkowy garnek leżał wywrócony na ziemi, a pustelnik kulił się pod ścianą. Cashel wstał, napierając rękami na sufit i boczną ścianę.

Proszę...

Cashel ryknął i pchnął. Spowiła go błękitna poświata. Kamienie były lekkie jak puch, delikatne jak pajęczyna. Wyprostował ręce, rozrywając ściany napierającego nań świata. Krzycząc triumfalnie, ujrzał słoneczny blask, piasek i woskowate zielone liście tamaryszków.

Krzyk ścichł w oddali, a błękitne światło zgasło, ustępując miejsca mrokowi omdlenia.

...tak bardzo samotny...

Ziemię, na której leżał, okrywała ciemność, ale tylko kilka gwiazd lśniło na purpurowym niebie. Cashel usłyszał wesołe głosy nadchodzących parowem górali. Podniósł głowę.

– Mam ich poprosić, żeby ci pomogli? – zaproponowała Mellie. – Musisz być bardzo zmęczony, Cashelu. Nawet ty.

Trzej górale wyszli zza załomu parowu, krocząc zwawo, chociaż każdy z tych maluchów taszczył na ramionach kozła wążącego co najmniej połowę tego, co on. Stanęli zdumieni widokiem leżącego na ziemi Cashela. Zaczęli ćwierkać jeszcze szybciej, jak pisklęta w gnieździe na widok wracającej matki.

– Nie, dam radę sam... – odparł Cashel, opierając dłonie o ziemię. Wszystko wokół falowało jak prześcieradło na wietrze. Nigdy w życiu nie był taki słaby. Co mu się stało?

– Cashelu, nie... – zaczęła duszka.

– Dam radę – mruknął Cashel. Zapomniał o wszystkim poza kamienistą ziemią pod palcami. Nie chciałby żyć, gdyby nie zdołał wstać. Nie będzie leżał tu jak okulawiony koń.

– Dam radę! – rzekł i wypchnął tors w górę, klęknął, odchylił się w tył i tym samym ruchem wstał. Zachwiał się, górując nad zdumionymi myśliwymi.

Świat uspokoił się i Cashel mocno stał nogami na ziemi. Górale jak stado ptaków kręcili się wokół niego, a Mellie chichotała cicho, gładząc jego ucho.

– Och! – powiedziała. – Jesteś taki silny, Cashelu. Ten garnek był z żelaza!

Nigdzie nie dostrzegł śladu chatki. Natychmiast otrzeźwiało. Odwrócił się, przekonany, że chata znajduje się za nim.

Nie było jej tam. Pochylając się, mimo zmroku dostrzegł ślady swoich stóp, ale gigantyczne kości i poczerniała od popiołu ziemia, które nie mogły tak po prostu zniknąć...

Jednak znikły.

– Czy to był sen? – powiedział Cashel, na pół do siebie, na pół do duszki na ramieniu. – Był tu jakiś stary człowiek, filozof...

Górale otoczyli go, przyjaźnie poklepując i popychając w kierunku statku. Długowłose kozły na ich ramionach były jeszcze ciepłe.

Cashel rozłożył ramiona. Mięśnie bolały go, ale mógł poruszać rękami. Poszedł z małymi myśliwymi, rad z ich towarzystwa i powrotu Mellie.

– Śniło mi się, że rozwalilem mu chatę – mruknął Cashel. Na plaży paliły się ogniska. Zachodni

horyzont był ścianą czerwonego ognia, na tle której stała niezgrabna sylwetka „Złotego Smoka”. – Nie powinienem tego robić.

– Gdybyś cokolwiek wypił lub zjadł, Cashelu – powiedziała Mellie – nigdy nie moglibyśmy stąd odpłynąć.

Górale podbiegli do grupki swoich towarzyszy, którzy natychmiast zaczęli piec zdobycz na ogniu, nie zdzierając z kóz skóry. Nie zwracali najmniejszej uwagi na smród palonej sierści. Frasa i Jen uprzejmie wstali na powitanie. Siedzieli przy ogniu przezornie rozpalonym po nawietrznej w stosunku do ognisk górali.

– To był tylko samotny stary człowiek – rzekł Cashel.

Zerknął na Mellie. Duszka odpowiedziała mu zdziwionym i zachwyconym spojrzeniem.

– Uścimy opłaty portowe w Erdinie! – ryknął Aran, kapitan handlowego dwumasztowca. Wydał z siebie tak donośny krzyk, jakiego zdaniem Garrica żaden człowiek nie byłby w stanie powtórzyć bez pomocy tuby. – Idźcie bawić się z kimś, kto ma dużo czasu do stracenia!

– Mają na pokładzie czarodzieja – powiedziała Tenoctris do Garrica i Liane, którzy stali z nią przy relingu. Uśmiechnęła się nieznacznie i dodała: – A przynajmniej on za takiego się uważa.

Oficer na dziobie jednorzędowej wojennej galery użył tuby.

– Zatrzymać się – zagrzmał – albo zatopimy was i będziecie mogli żartować sobie z rybami!

– To królewski okręt z Ornifal – powiedziała cicho Liane. Dłonie lekko oparła o reling i rozłożyła palce. – Widzicie orła na proporczyku? Gdyby byli z Sandrakkanu, widniałby tam łeb konia.

– Phi! – prychnął Aran. – Pierwszy raz w tym roku mamy sprzyjający wiatr, z którym bez wiosłowania moglibyśmy dopłynąć w górę rzeki Erd, a tu z powodu widzimi się jakiegoś szlachetki każą nam się zatrzymać. Pewnie do czasu, aż wiatr się zmieni.

Posłał gniewne spojrzenie czekającej na rozkazy załodze i dodał:

– Tak, zrzucić żagle! Ten dureń w dzbanku na głowie nalega!

Garric mierzył wzrokiem okręt, który płynął piętnaście metrów dalej, równoległe do kursu ich statku. Dwadzieścia pięć par wiosł galery poruszało się w rytmie nóg stonogi. Przyzwyczajony do mniejszych i lżejszych stateczków rybackich Garric uznał ich ruch za powolny, ale nie wątpił, że okuty brązem dziób galery bez trudu rozbiłby burtę kupieckiego statku.

– Co tu robi królewski okręt? – zapytał Garric. – Czy earl Sandrakkanu nie jest sprzymierzeńcem króla?

– Nie toczą otwartej wojny – wyjaśniła Liane – lecz earl Sandrakkanu jest najgorszym wrogiem króla. Może poza królową.

Garric zerknął na nią, sprawdzając czy żartowała. Na nieruchomej jak wykutej z marmuru twarzy dziewczyny nie dostrzegł niczego poza uprzejmym zainteresowaniem.

Grotreja opadła z łoskotem. Marynarze chwyтали garściami żagiel, refując go i przeklinając porywisty wiatr. Jego podmuchy mogły zanieść statek do miejsca przeznaczenia, do Erdinu, a teraz wrywały im płótno z rąk. Żeglarze z Sandrakkanu uważali, że wydęty żagiel przytrzymuje wiatr jak wiadro wodę, natomiast rybacy z Haft, wśród których wychował się Garric, wierzyli tylko w płaskie jak deska płótno.

– Ponieważ mają na pokładzie czarodzieja – powiedziała Tenoctris, jak zwykle obojętnym tonem – sądzę, że możemy zakładać, iż szukają nas. A przynajmniej twojego ojca, Liane.

Dwaj marynarze ściągali fok. Nie mogli pozwolić, by zrobiła to za nich siła ciężenia, ponieważ fokmaszt był pochylony skośnie jak bukszpryt, tak że żagiel znajdował się już poza kadłubem. Było to niezbędne choć niezgrabne rozwiązanie wymuszone mocno wydętym grotżaglem, chociaż Garric musiał przyznać, że dzięki takiemu ustawieniu fok stateczek niezwykle szybko mógł zmieniać hals.

– Król nas szuka? – spytała Liane.

– Jeśli to jest królewski okręt, tak jak twierdzisz – powiedziała Tenoctris – to myślę, że tak.

Liane miała taką minę, jakby skosztowała czegoś kwaśnego.

– Zastanawiam się, czy mój ojciec pracował dla królowej – powiedziała.

Tenoctris wzruszyła ramionami.

– W tę historię są zamieszane więcej niż dwie strony – powiedziała. – Chociaż obawiam się, że gdyby podążyć ich śladem, na końcu tropu znalazłabyś tę samą osobę.

– Zakapturzonego? – spytał Garric, nie odrywając oczu od zbliżającego się okrętu. Tylko paru wioślarzy na dziobie i rufie nadal wiosłowało.

– Nie – odparła Tenoctris. – Chociaż chciałby udawać, że nią jest. Mówię o Malkarze.

Wioślarze siedzieli na osobnych ławkach oddzielonych głównym przejściem tak wąskim, że marynarze musieli obracać się bokiem, żeby się minąć. Na śródkręciu galery była osada masztu, lecz obecnie okręt nie miał ani grotmasztu ani rei. Zapewne pozostawiono je w porcie, aby nie przeszkadzały podczas żeglugi za pomocą siły mięśni. Przy sterzącym nad bukszprytem kliwerbomie był zrefowany niewielki żagiel.

Na wąskiej rufie samotny sternik pilnował steru. Resztę załogi okrętu stanowili dwaj oficerowie: jeden na dziobie, a drugi siedzący przy bębnie, niedaleko sternika. Zapewne, kiedy potrzebni byli ludzie do stawiania żagli, wioślarze wstawali z ławek.

Statek stanął w dryfie, kołysząc się na fali. Ponieważ miał krótki kadłub i rufę wyższą od dziobu, stateczek zaczął powoli obracać się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. To komplikowało zadanie kapitanowi podpływającego okrętu wojennego.

– Rzućcie nam linę! – zawołał. A kiedy kapitan Aran zignorował go, dorzucił: – Rzućcie nam linę, albo niech porwie mnie Siostra, jeśli nie poszarpię wam relingu hakami abordażowymi!

– Zakichani wojacy! – parsknął Aran, ale podszedł do relingu obok Garrica i podniósł zwój leżącej tam liny cumowniczej. Rzucił ją szerokim zamachem ramienia, tak że lina rozwijała się, lecąc. Kapitan galery równie zręcznie złapał ostatni zwój i okręcił cumę wokół knagi, skracając cumę, w miarę jak wioślarze redukowali odległość między dwoma statkami.

Owce w ładowni stateczku zaczęły pobekiwać. Podczas podróży były dość spokojne, ale te nerwowe podskoki mogły zaniepokoić nawet doświadczonego marynarza. Garric zastanawiał się, czy zejść na dół, ale niewiele mógł zrobić, by ulżyć im w cierpieniach. Mimo otwartego luku w ładowni było ciemno, a owce miały mniej miejsca niż wioślarze. Nie było sensu narażać się na te niewygody.

Załoga okrętu wojennego składała się z wioślarzy i trzech oficerów. Ten, który wezwał statek handlowy do zatrzymania się, nosił mosiężny hełm i napierśnik imitujący muskularny tors półboga. Zapewne on sam lub jego sługa codziennie rano polerował metal, aby lśnił w słonym powietrzu.

Drugi oficer nosił żelazny hełm i kolczugę. Miał ponurą minę i trudno było mu się dziwić. W tej zbroi musiało mu być strasznie gorąco w prażącym słońcu. Ponadto zapewne równie dobrze jak Garric zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby wypadł za burtę, ciężar żelaza pociągnie go od razu na dno.

Obaj żołnierze byli uzbrojeni w miecze, a trzeci dodatkowo miał jeszcze włócznię. Ta broń była tylko na pokaz, bo gdyby dysponowali tylko nią, to osiemnastoosobowa załoga Arana bez trudu wyrzuciłaby wszystkich trzech żołnierzy za burtę i popłynęła dalej. Prawdziwą siłą galery był taran.

Dzioby statków zetknęły się, a potem prawa burta statku dotknęła lewej burty okrętu. Nawet dziób frachtowca znajdował się o metr wyżej niż dziób galery. Oficer skrzywił się z obrzydzeniem, lecz wraz z podwładnym wspiał się na pokład, nie prosząc o pomoc marynarzy, którzy bynajmniej się do niej nie kwapili. Widocznie w przeszłości przeżyli wiele takich spotkań.

Garric nie odrywał oczu od trzeciego członka oddziału, chudego starca w cudzoziemskim stroju. Zamiast tuniki nosił spięty pod szyją płaszcz uszyty ze skór dziesiątków różnych ptaków i zwierząt. I nosił kunsztownie rzeźbioną laskę wyciętą z drewna tak ciemnego, że prawie czarnego.

Gdy tylko przeszedł przez reling statku kupieckiego, ten człowiek zaczął podskakiwać na jednej nodze, jednocześnie warcząc i wygrażając pięścią niebu. Jego laska miała na jednym końcu gałkę,

a na drugim szpikulec.

– Jarmarczne przedstawienie – mruknęła pogardliwie Tenoctris. – Chociaż nadeszły takie czasy, że dysponuje większą siłą niżli mu się śniło. Niestety, nadal jest prymitywnym szamanem, nie rozumiejącym ich tak samo jak wtedy, kiedy szukał zaginionych broszek i mieszał miłosne zioła w jakiejś zapadłej wiosce.

Kiedy obwołano ich z wojennej galery, Garric sięgnął po broń, ale nie nałożył cięciwy na łuk i nie wyjął miecza z naoliwionego opakowania, w które owinał broń na czas morskiej podróży. Był spięty. Wiedział, że mógłby oddać sprawy w ręce króla Carusa, gdyby tylko chwycił rękojeść miecza, ale byłoby to kiepskie rozwiązanie. Ponadto, Garric or-Reise nigdy nie zniknąłby całkowicie w miejscu, gdzie w pobliżu pobekiwały owce.

– Nasdirze – warknął do czarodzieja oficer. – Przestań podskakiwać i weź się do roboty.

Czarodziej wyprostował się, usiłując dodać sobie powagi. Miał obwisłe siwe wąsy, chociaż rzadkie włosy na jego czaszce nadal były czarne.

– Nie rozumiesz mojej sztuki – powiedział.

– Rozumiem, że im szybciej znajdziemy Benlo, tym prędzej opuścimy ten kawałek skały, który parzy w stopy, kiedy nie jest śliski od deszczu – odparł oficer. – Bierz się do roboty!

– I przestaniemy się zastanawiać, czy za chwilę zza horyzontu nadciągnie sztorm, czy kilkuset sandrakkańskich żołnierzy, którzy poderzną nam gardła – dodał trzeci żołnierz. Gniewnie spojrzął na czarodzieja, jakby zastanawiając się, gdzie wbić w niego włócznię przy najlżejszej prowokacji. Służba na tym odległym od reszty posiadłości posterunku może nie była aż tak ciężka, jak sugerowały to słowa żołnierza, ale najwidoczniej wystarczająco trudna, by długa akcja poszukiwawcza działała im na nerwy.

– Nie jesteście inspektorami celnymi księcia? – zapytał kapitan Aran. Swoje czarne włosy przycinał krótko, ale nosił gęstą brodę, która zjeżyła się teraz, gdy rozważał sytuację. – Kim więc jesteście, wy kochające Siostrę szczury?

– Jesteśmy reprezentantami naszego władcy – odparł zimno oficer. – Szukamy pewnego człowieka, Benlo bor-Benlimana. I powiem ci od razu, że jeśli znajduje się na pokładzie twojego statku, to oszczędzisz sobie kłopotów, a może czegoś jeszcze gorszego, jeśli natychmiast go nam wydasz.

Liana lekko wyprostowała się, a jej wargi wykrzywił drwiący grymas. Garric nie wyobrażał sobie, by ktoś patrzący na tę dziewczynę nie domyślił się, że jest szlachetnie urodzona. Jednakże większość ludzi nie patrzyła. Widzieli i słyszeli tylko to, czego się spodziewali, a nikt nie podejrzewał, że młoda szlachcianka będzie podróżować z Carcosy do Erdinu na frachtowcu pełnym owiec.

Aran chrząknął.

– Widzicie tu wszystkich obecnych na pokładzie – rzekł. – O ile wiem, żaden z nas nie nazywa się Benlo, ale jeśli go tu zauważycie, to możecie go sobie zabrać. I wynieść się stąd, zostawiając porządnego człowieka w spokoju!

– Obejrzyjmy twoje ręce – powiedział oficer, środkowym i wskazującym palcem postukując w grzbiet prawej dłoni Arana. – I wasze też – dodał, wskazując na dwóch żeglarzy w średnim wieku, którzy składali bezan. Ani oni, ani ich kapitan nie byli podobni do Benlo, ale byli mniej więcej w jego wieku. Pozostali byli za młodzi, oprócz sternika, który miał ciemną skórę i warkoczyki, ale nie miał języka.

Oficer zerknął na dłonie tej trójki. Miały charakterystyczne dla ich profesji stwardnienia od lin i wioseł. Taki szlachcic jak Benlo nie mógłby udawać marynarza, gdyby kazano mu pokazać dłonie.

– A teraz – rzekł Aran – czy mam ci pokazać jeszcze tyłek, czy też mogę już kazać stawiać żagle?

– Jeszcze nie – warknął oficer. Rozejrzał się wokół, szukając czarodzieja. Nadir przysiadł przy grotmaszcie, uważnie obserwowany przez kilku marynarzy. Końcem swej laski z tekowego drzewa nakreślił na deskach pokładu sześcioramienną gwiazdę.

Kapitan wojennej galery poluzował linę, tak by kadłuby na fali nie ocierały się o siebie. Czterej wiosłarze powoli poruszali wiosłami, utrzymując statki obok siebie. Oficer zmrużył oczy i spojrzał na Garrica.

– Co tam masz, chłopcze? – zapytał, wskazując na zawiniątko. – To mi wygląda na miecz.

– Bo to jest miecz – odparł Garric, z rozmysłem akcentując te słowa w taki sposób, w jaki wymówiłaby je większość sąsiadów z jego wioski. – A także łuk, jeśli jesteś ślepy lub tak tępy, że nie potrafisz go rozpoznać. A pod pokładem jest pięćdziesiąt owiec, które wiozę do Sandrakkanu dla pana Hakara or-Mulina.

Obrócił się i splunął za burtę. Sprzyjający wiatr sprawił, że ślina wpadła w wodę niedaleko od wiosła galery. Ponura uraza była naturalną reakcją nękanego przez władzę wieśniaka, a ponadto skrywała obawę.

– Nie sędzę, żeby któraś z tych owiec nazywała się Benlo – ciągnął – ale może lepiej zejść tam i sam je zapytaj.

Kapitan Aran ryknął śmiechem i klepnął Garrica w plecy.

– Tak, zrób to, żołnierzyku! – powiedział. – Może znajdziesz w ładowni kilku rekrutów. Bee, bee!

Oficer poczerwieniał, ale miał dość rozumu, by nie wszczynać awantury, która niewątpliwie zaszkodziłaby jego karierze, nawet gdyby załoga statku kupieckiego również ucierpiała. Trzeci żołnierz uśmiechnął się i natychmiast spowaźniał, gdy zwierzchnik rozejrzał się wokół.

Czarodziej wstał i zaczął tańczyć wokół heksagramu. Garric cofnął się, żeby lepiej widzieć jego poczynania. Wszyscy obecni na pokładzie również obserwowali Nadira.

– *Salbathbal authgerotabal basuthateo!* – wykrzyknął Nasdir. Przy każdym słowie postukiwał laską o pokład. Garric zauważył, że czarodziej nie nakreślił żadnych słów wokół heksagramu, tylko nakreślił kółka między każdą parą ramion. Zastanawiał się, czy Nasdir umie czytać Dawne Pismo. Czy w ogóle umiał czytać? – *Aleo sambethor amuekarptir!* – krzyknął Nasdir, łopoczając dziwacznym płaszczem. Pod nim był zupełnie nagi.

Tenoctris ze skupieniem ferującego wyrok sędziego spoglądała na czubek grotmasztu. Jej twarz była jak wykuta z kamienia. Czy w ten sposób okazywała dezaprobatę dla poczynań Nasdira, czy też zastanawiała się nad czymś?

– Benlo bor-Benlimanie *erchonsoi razaabua!* – zawołał Nasdir, uderzając laską w sam środek heksagramu. Dwaj najbliższe niego stojący żeglarze jęknęli i odskoczyli, ściskając palcami kciuki, gestem odżegnującym zły urok.

Powietrze nad heksagramem zamigotało, tworząc wir świetlnych plamek. Ich kolor zmieniał się od czerwonego do niebieskiego, niczym lśniące kocie oczko.

Wir zmienił się w niewyraźny wizerunek Benlo. Powoli uniósł prawą rękę, wskazując na nadbudówkę, w której znajdowały się dwie kabiny pasażerskie.

– Mamy go! – krzyknął oficer. Wyjął miecz. – Na Panią, w końcu go mamy!

Załoga galery słyszała krzyki, lecz siedząc tuż nad wodą, nie widzieli, co się dzieje na pokładzie kupieckiego statku. Dobosz stanął prawą nogą na relingu rufy i usiłował wystawić głowę nad burtę. Wąska galera niebezpiecznie zachybotwała się na wodzie. Kapitan odwrócił się i gniewnie krzyknął.

Liane zamarła jak zimowy wschód słońca. Tenoctris stała tyłem do wiru, ale bezdźwięcznie

poruszała ustami. Garricowi wydało się, że dostrzega na nich cień uśmiechu.

Drzwi obu kabin wychodziły na dziób. Zjawa wskazywała na prawe, wiodące do kabiny, w której sypiał Garric. Żołnierz ostrożnie podszedł do nich. Trzymał włócznie na wysokości pasa, przygotowaną do pchnięcia, gdyby ktoś go zaatakował.

Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. W ciasnej kabynie zawirowały czerwone i błękitne skry. Garric wiedział, że takie połączenie świadczy o tym, iż Nasdir nie rozróżnia sił, które wezwał na pomoc.

– Benlo bor-Benlimanie! – powtórzył czarodziej. – *Erchonsoi razaabua!*

Dał się słyszeć głośny trzask. Pokrywa grzebalnego dzbana znajdującego się w kabine Garrica uniosła się. Część szyi pękła i uniosła się razem z wiekiem, przytrzymywana smołową pieczęcią.

Nagie ciało Benlo powoli podniosło się. Rozerwana jama brzuszna została zszyta konopnym sznurkiem. Aromatyczny zapach korzeni mieszał się z odorem gnijącego ciała, ale nie zdołał go stłumić.

Żołnierz wrzasnął, odwrócił się i wpadł na grotmaszt. Z łoskotem odbił się od drzewca. Włócznie ze szczękiem upadła po jednej stronie masztu, a hełm spadł mu z głowy i wylądował za nim. Żołnierz zerwał się i chwiejnie pobiegł dalej, nadal oszalały ze strachu.

Nasdir zakwiczał jak kastrowany wieprz i zasłonił się skrzyżowanymi rękami, nie wypuszczając z nich ciężkiej czarnej laski. Cofający się oficer wpadł na niego i obaj z wrzaskiem runęli na pokład. Żołnierz zamierzał wyskoczyć za burtę. Liane oburącz chwyciła go za lewą rękę i pociągnęła w bok, tak że zagięciem łokcia zaczepił o linę łączącą oba statki. Kapitan galery wykrzykiwał rozkazy, a wiosłarze, jeszcze przed chwilą leniwie odprężeni, zajęli miejsca na ławeczkach i chwycili wiosła.

Z otwartych drzwi kabiny trysnęły błękitne i czerwone skry, jak chmura unosząca się z dogasającego ogniska. Po chwili znikły w słońcu. Trup Benlo zapadł z powrotem do grzebalnego dzbana. Tylko jedna jego ręka nadal zwisała zza pękniętej krawędzi.

Nasdir i oficer na czworakach gramolili się przez reling. Kąpiel w morzu trochę otrzeźwiła żołnierza, który zsunął się na środek liny i zaczął wspinać się po niej w kierunku burty galery.

Oficer odepchnął czarodzieja, chwycił linę i dopiero wtedy zauważył, że wciąż trzyma w ręku miecz. Upuścił broń, która wpadła do morza. Kościana rękojeść i złocenia na jelcu błyskały jeszcze przez chwilę w czystej wodzie.

Nasdir zerwał się z wrzaskiem i machnął ciężką laską. Liane uchyliła się przed ciosem, który połamałby jej kości.

Garric czuł taką samą odrazę jak owej nocy, kiedy znalazł szczura chłepczącego krew gołębia, któremu przegryzł gardło. Zrobił krok naprzód.

Uważaj...!, krzyknęła Liane.

Garric podniósł otwartą lewą dłoń. Laska świsnęła w powietrzu i uderzyła w nią z kłaśnięciem. Garric uchwycił gładkie i lepkie tekowe drzewo. Zapiekle go dłoń, lecz pokrywały ją odciski od ciężkiej pracy i ból nie był dla niego pierwszym. Rzucił laskę za burtę, a prawą ręką ścisnął gardło czarodzieja.

Nasdir zacharczał. Garric podniósł go, chwycił za nogę – chudą i słabiej umięśnioną niż męskie ramię – po czym z taką siłą cisnął czarodziejem, że ten wylądował między zanurzonymi w wodzie wiosłami galery. Staruch zdołał złapać się jednego z nich i przytrzymać przez dostatecznie długą chwilę, aby jeden z marynarzy wyciągnął go na pokład. Garric był z tego rad, chociaż nie przejmował się losem Nasdira, kiedy wyrzucał go za burtę. Teraz pochylił się i oparł o reling, ciężko dysząc.

Większość załogi statku handlowego wycofała się na dziób, a sternik spoglądał na nich w niemym

zdmieniu. Ze swego miejsca na dachu nadbudówki widział tylko wywołany przez Nasdira wir. Nie miał pojęcia, co było powodem tego ogólnego przerażenia.

Kapitan okrętu i ociekający wodą żołnierz wrzeszczeli na siebie. Tenoctris nie poruszyła się, od kiedy żołnierze weszli na pokład statku. Teraz wyciągnęła prawą rękę w kierunku galery. Wokół jej wskazującego palca zamigotał błękitny płomień, intensywny i czysty jak blask szafiru.

Żołnierz skoczył do zejściówki. Kapitan ochrypłym głosem rzucił rozkaz. Wioślarze zaczęli nierówno wiosłować. Dopiero kiedy dobosz zaczął bić w bęben, wyrównali rytm. Galera odpłynęła z szybkością biegnącego człowieka. Tenoctris opuściła rękę. Wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechała się.

– Niech Siostra weźmie was wszystkich! – ryknął do niej kapitan Aran, jak zraniony niedźwiedź. Wskazał na kabinę. – Ta rzecz natychmiast poleci za burtę! – dodał. – I możecie uważać się za szczęściarzy, że nie potraktuję was tak samo.

– Nie! – krzyknęła Liane. – To mój ojciec!

Aran ruszył w kierunku nadbudówki. Czterej jego ludzie poszli za nim.

– Nie – rzekł Garric. Wiedział co się stanie, jeśli wyjmie miecz z nieprzemakalnej tkaniny. Zamiast tego podniósł włócznie upuszczoną przez żołnierza, który wpadł na maszt. – Nie, zgodnie z umową wysadzicie nas wraz z naszymi bagażami na ląd w Erdinie, więc za kilka godzin rozstaniemy się i może nigdy w życiu już się nie zobaczymy.

Aren gestem przywołał do siebie marynarzy. Z gniazda na relingu prawej burty wyjął ciężką dulkę.

Garric podniósł włócznie i obrócił ją w palcach prawej ręki. Drzewce było grube, ale i tak cieńsze od pałki. Garric nie był równie zręczny jak Cashel, lecz lżejsze drzewce zawirowało w jego dłoni.

– Stawiać żagle, kapitanie! – krzyknął. – Czy też mam zawołać na pomoc przyjaciela z mojej kabiny?

Tenoctris nieznacznie machnęła ręką. Garric nie widział, co się stało za jego plecami, ale Aran wypuścił kołek, jakby drewno parzyło go w palce. Żeglarze cofnęli się.

– Stawiać żagle – powtórzył Garric, tym razem prosząco, a nie rozkazująco. Zakręcił włócznie nad głową. W razie potrzeby potrafiłby nieźle się nią posłużyć, chociaż wątpił, by zdołał powstrzymać atak całej załogi.

Aran nie ruszył się z miejsca. Wskazał na drzwi kabiny za plecami Garrica.

– Zamknijcie te drzwi – rzekł. – Wtedy zabierzemy się do roboty. I przysięgam na Pasterza, że już nigdy więcej wasza noga nie postanie na pokładzie tego statku.

– Tak – powiedziała Liane, wchodząc do kabiny, w której znajdowało się ciało jej ojca. – Z całą pewnością.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Zanim Aran zdążył wydać rozkazy, marynarze skoczyli do grotmasztu i zaczęli stawiać żagiel. Pogodzili się z myślą, że jedynym sposobem na pozbycie się towarzystwa Benlo będzie wyładowanie grzebalnego dzbana na brzeg.

Garric oparł włócznie o pokład i wsparł się na niej całym ciężarem ciała. Był kompletnie wykończony. Jakaś owca zabczała żałośnie pod pokładem.

Garric miał ochotę zrobić to samo.

Gdy Sharina zrzuciła żagiel, błyskawica przecięła niebo i potworny, przeciągły ryk gromu wstrząsnął powietrzem. Namoknięty skórzany żagiel łodzi opadł mimo porywistego wiatru. Po trzech dniach sztormu Sharinę bolał prawy bark i męczyła gorączka wywołana oparzeniem przez meduzę, którą fala przerzuciła przez burzę. Mimo oszołomienia ani ona, ani pustelnik nie zamierzali powierzyć sterowania łodzią Aserze czy Mederowi.

Wokół ryczał przybój, w niebieskobiałym blasku błyskawic pokazując kły piany. Sztorm usiłował obrócić łódkę bokiem, ale Nonnus kontrował wiosłem sterowym. Chociaż łódź chybotąca się na fali, bezpiecznie dobiła do północnego brzegu Sandrakkanu. Chociaż gdyby nie zręczność pustelnika, z pewnością wywróciłaby się, a wtedy pokaźny ciężar wielorybich kości i skór mógłby pociągnąć ją wraz załogą na dno.

Fala cofnęła się. Łódź powoli przechyliła się na sterburzę. Ponieważ Pływający Lud nigdy nie przybijał do brzegu, nie zaopatrywał swych łodzi w odbijacze, ale piaszczysta plaża nie stanowiła żadnego zagrożenia dla kadłuba.

Sharina pozwoliła, by przechylająca się łódź wyrzuciła ją na piach. Stała na czworakach, wbijając weń palce. Gdyby nie to, że po cierpieniach ostatnich dni nie miała zamiaru spędzić reszty życia na Sandrakkanie, modliłaby się, by już nigdy nie opuścić stałego lądu... A także dlatego, że w obecności Nonnusa nie chciała niepotrzebnie wzywać bogów.

Pustelnik wyskoczył z łodzi myśliwskiej, zanim spieniona fala zdążyła się cofnąć. Chwycił za cumę dziobową – kawałek liny zabranej z triremy, nie sztywny rzemień używany przez myśliwych, którym zabrali tę łódź – i poszedł w kierunku jednego z wielu pali wbitych w piach. Na brzegu leżało już kilkanaście łodzi rybackich, odwróconych do góry dnem, żeby nie wypełniły się zacinającym deszczem.

W szczelinie między chmurami przez dwadzieścia sekund pulsowała błyskawica, rozświetlając niebo i ziemię. Sharina wstała. Chciała pomóc Nonnusowi, lecz w tym momencie z trudem mogła utrzymać się na nogach.

– O rany, to Gonalia! – zawołał entuzjastycznie Meder. – Zatoka Gonalia! Poznaje zamek na półwyspie.

Zamilkł, gdy po niebie przetoczył się grom, wstrząsając pogrążoną w mroku ziemią. Czarodziej dodał zupełnie innym tonem:

– W zamku pali się światło. Kto tam może być? Tego miejsca lepiej nie odwiedzać po nocy.

– Co masz na myśli? – zapytała Asera. Znów stała się królewskim prokuratorem, o władczym głosie i zachowaniu. Strzepnęła szatę. Powinna była ją wykręcić. Materiał był tak nasiąknięty wodą, że ociekał nią nawet teraz, kiedy na chwilę przestało padać.

Nonnus wracał do nich. Patrząc na pustelnika, Meder wyjaśnił ściszym głosem:

– Pewien czarodziej wybudował ten zamek tysiąc lat temu. Nie zostawił żadnych śladów swojej działalności, ale uczynili to inni i te historie nie zachęcają do odwiedzin. Cała ta okolica była niezamieszkała przez kilka wieków po jego śmierci.

– Czarodzieje! – prychnęła Asera, jakby to słowo było przekleństwem.

Pustelnik dołączył do nich. Trzema palcami dotknął czoła Shariny. Jego palce były zimne. Wiedziała, że ma gorączkę, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak wysoką.

– Musimy znaleźć jakiś dach nad głową – orzekł. – Możesz iść?

– Wszyscy potrzebujemy schronienia – rzuciła prokurator. Nawet nowe strugi deszczu nie zdołały pozbawić ją świeżo odzyskanej pewności siebie. – Jeśli to jest Gonalia...

– Jest – wtrącił Nonnus.

Asera zmarszczyła brwi, zirytowana tym, że jej przerwał.

– W takim razie powinien jeździć tędy dyliżans do Erdinu. A tam wykupimy miejsca na statku.

Omiotła towarzyszy spojrzeniem i zatrzymała je na Nonnusi. Odległa błyskawica zmieniła jej oczy w dwie kulki z niebieskiego szkła.

– I trzymajcie języki za zębami! – rozkazała. – Będę podróżowała jako ornifalska szlachcianka z rozbitego statku, a wy będziecie moimi sługami. Mam dość pieniędzy na bieżące potrzeby, a w Erdinie będę mogła zaciągnąć kredyt. Jeśli rozejdzie się, że jestem emisariuszką króla, przypłacimy to życiem. Rozumiecie?

Sharina miała ochotę ją spoliczkować. Na myśl o tym, że wszyscy mieszkańcy Barca's Hamlet czuli się zaszczytzeni obecnością pani prokurator, robiło się jej niedobrze.

Nonnus odparł z nikłym uśmiechem:

– Tak, pani – odparł. – Doskonale rozumiem kwestie życia i śmierci.

Rękojeścią oszczepu wskazał w kierunku drewnianych domów przy biegnącej wzdłuż brzegu ulicy. Przez szpary w zamkniętych okiennicach widać było światła, ale w taką pogodę nikt nie wychodził na zewnątrz.

– Idźcie do gospody. Ja zaraz tam przyjdę.

Prokurator zmarszczyła brwi, prychnęła i wyjęła z łodzi niewielką sakwę z jej dobytkiem. Sharina myślała, że arystokratka każe pustelnikowi, by niósł jej bagaż, ale prokurator nie była aż tak głupia.

Meder już trzymał w ręku swój węzełek. Kościany sztylet wepchnął za pas. Sharina spojrzała na niego i powiedziała do Nonnusa:

– Zostanę z tobą.

– Nie, dziecko, nie ma mowy – odparł, dotykając jej policzka palcami. – Jesteś zbyt chora. Jednak wznosząc modły do Pani, poproszę również o twoje wyzdrowienie.

Asera potruchtała w kierunku drewnianych schodów prowadzących na bulwar. Meder spojrzał na Sharinę, potem nie powiedziawszy słowa, i poszedł za prokurator.

Sharina uścisnęła rękę Nonnusa i ruszyła za nimi, niosąc swój węzełek. Deszcz znów zaczął padać. Jego krople mroziły jej duszę, chociaż nie chłodziły rozpalonego ciała.

Meder mruknął coś do Asery, kiedy oboje znaleźli się na szczycie schodów. Zaczekali na Sharinę. Błyskawice migotały, odbijając się w mokrym drewnie i zalanych deszczem twarzach arystokratów.

– Pewlanin oddał nam znaczne usługi, przyznaję – powiedziała Asera do Shariny, gdy ta pokonała ostatni schodek. – Teraz jednak, kiedy wróciliśmy do cywilizacji, powinien znać swoje miejsce. Jeśli jesteś jego przyjaciółką, dopilnuj, żeby usłuchał mojego ostrzeżenia.

– Nie zrobił niczego dla ciebie, pani – odparła Sharina. Gospoda znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Sharina mówiła to, nie zatrzymując się, bo nie była pewna, czy zdołałaby pójść dalej, gdyby przystanęła na schodach. – A skoro mowa o ostrzeżeniach, to gdyby coś stało się Nonnusowi, przekonasz się, jak dobrą jestem jego przyjaciółką.

Pewnie nie powiedziałyby tego, gdyby nie miała gorączki. Nic nie szkodzi. Była to prawda i powinni o tym wiedzieć.

Droga pod stopami Shariny była wybrukowana, śliska, zimna i wyboista. Stwardniałe stopy nie chroniły przed chłodem. Arystokraci nie skarżyli się na niewygodę: Meder miał na nogach buty, lecz

cienkie podeszwy pantofelków prokurator stanowiły niewielką ochronę.

Tak właśnie wyglądałoby życie w pałacu. Być może Sharina naprawdę była córką księcia Niarda i miała w swoich żyłach królewską krew, choć nie miało to dla niej żadnego znaczenia, lecz nic nie wiedziała o życiu, jakie miałyby wieść w Valles. Czułaby się tam nieswojo, tak samo jak na tej wybrukowanej ulicy...

Asera przez moment zmagiała się z frontowymi drzwiami gospody. Bez trudu podniosła rygiel, ale zaskoczył ją ciężar grubych drzwi. Pewnie zawsze otwierała je przed nią służba.

Meder skłonił się, przepuszczając Sharinę. Gdyby mu pozwoliła, pewnie poniósłby jej węzełek. Po powrocie do cywilizacji oboje arystokraci zmienili się. Podczas gdy Asera stała się szorstka i władcza, czarodziej z ponurego młodzieńca przemienił się w gładkiego światowca nadskakującego damie.

Sharina doszła do wniosku, że wołała ponurego młodzieńca. W takim nastroju Meder przynajmniej trzymał się od niej z daleka.

W sali było duszno. Siedzący przy kominku właściciel wstał na widok wchodzących. Jedyne goście zajmujący miejsce naprzeciw niego tylko odwrócił głowę i zmierzył ich posępnym spojrzeniem. Ogień był maleńki, pomniejszany przez ogromne rozmiary zrobionego z wapienia kominka.

– Ty jesteś tu właścicielem? – zapytała Asera. – No to zacznij zachowywać się, jak na gospodarza przystało. Chcę coś zjeść i zażyć gorącej kąpieli. Masz podgrzewacz do wina?

Gospodarz był zdumiony. Frontowe drzwi otworzyły się na oścież. Meder nie domknął ich za sobą. Sharina wyjrzała, sprawdzając czy Nonnus nie poszedł za nimi, a potem zamknęła je.

– Cóż, ja... – zaczął szynkarz. Troje gości zjawiających się podczas burzy zaskoczyło go jak grom z jasnego nieba. – Mogę zagrzać wino.

Spojrzał w stronę schodów.

– Enzi! Zejdz tu zaraz! Pao! Pao! Gdzie jesteś, chłopcze?

Wepchnął w ogień pogrzebacz, zerknął na minę Asery i pospiesznie dorzucił jeszcze trzy szczapy drewna.

Sharina opadła na jedną z ław biegnących pod ścianami sali. Wszystko zaczęła zasnuwać pastelowa mgiełka. Prawe ramię przestało ją boleć, ale miała wrażenie, że skrzypi przy każdym jej ruchu. Otworzyła i zacisnęła palce – poruszały się normalnie.

Kobieta z włosami zaplecionymi w dwa upięte na czubku głowy warkocze wychyliła się zza balustrady schodów, zobaczyła arystokratów i zbiegła na dół, powstrzymując gniewną odpowiedź na wołanie męża. Z pokoiku na tyłach przybiegł chuderławny chłopak.

Asera usiadła przy ogniu na miejscu opuszczonym przez karczmarza. Pochyliła się i zaczęła grzać ręce nad ogniem.

Meder zerknął na siedzącego z drugiej strony mężczyznę, jakby zamierzał go przepędzić. Sharina podejrzewała, że gość odmówiłby opuszczenia miejsca albo ogłuszył czarodzieja grubą laską, którą trzymał między kolanami. Widocznie Meder doszedł do tego samego wniosku, ponieważ usiadł obok Shariny.

Karczmarz poszedł z chłopcem do drzwi, tłumacząc mu coś ściszym głosem, tak że nie słyszeli słów. Chłopak szeroko otworzył oczy. Karczmarz wypchnął go za drzwi i zamknął je za nim.

– Przynieś wina, kobieto! – powiedział do żony. – Nasi goście chcą wina z korzeniami na rozgrzewkę!

Pospieszyła do baru i podstawiała miedziany dzbanek pod umieszczony na stojaku antałek. Karczmarz z zadowoloną miną splótł palce i odwrócił się do Asery.

– Pani? – spytał. – Mogę wiedzieć, jak długo tu zostanieie?

– Do pierwszego dyliżansu odjeżdżającego stąd do Erdinu – odparła Asera. – Kiedy to będzie?

– Ach – mruknął gospodarz. Zamiast odpowiedzieć, wziął od żony dzban z winem i zaniósł go na kominek. – Mogę spytać, jak się tu dostałaś, pani?

– Możesz zostać wychłostany, jeśli nie będziesz pilnował własnego nosa! – odparła Asera. – Czyżbyś martwił się o zapłatę? Nie masz powodu!

Wyjęła z sakiewki monetę i stuknęła nią o gzyms kominka. Złoto brzęknęło melodyjnie.

– Oprócz miejsc w dyliżansie dla mnie i mojej świty, muszę uzupełnić utraconą podczas katastrofy statku garderobę. No, kiedy odjeżdża pierwszy dyliżans?

– Chłopiec powinien wkrótce wrócić z tą informacją – odparł karczmarz. – Pozwól, pani, że zmieszam ci napój.

Wyjął z ognia pogrzebacz, strząsnął węgle z płonącego metalu i wepchnął go do dzbana. Po sali rozszedł się zapach gorącego wina i korzeni, przypominając Sharinie zimowe wieczory w domu.

Pomyślała o przeszłości. Dopiero teraz zrozumiała, że już nigdy nie zdoła wrócić do domu, a przynajmniej nie takiego, jaki знаła. Była pionkiem w dłoniach obcych, którzy nigdy nie zostawiają jej w spokoju i będą ją ścigać, gdyby spróbowała uciec.

Zamknęła oczy. Poczula łzy na policzkach, ale nie zważała na to. Wokół słyszała głosy: karczmarz mówił coś o pogodzie i ścieleniu łóżek. Ktoś podsunął jej wino. Wzięła fajansowy kubek i trzymała go w dłoniach. Nie miała ochoty pić, ale naczynie rozgrzewało jej dłonie.

Na zewnątrz rozległ się stukot końskich kopyt. Uderzające o bruk podkowy wydawały przykry, głośny brzęk. Jeźdźcy, nie powóz, gdyż dźwiękom tym nie towarzyszył turkot kół.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Sharina otworzyła oczy. Do gospody wpadło sześciu żołnierzy z mieczami w dłoniach. Na kolczugach nosili białe lniane jak i z czarnym łbem konia na prawej piersi. Ich krzyki wypełniły salę.

Meder zerwał się na równe nogi. Jeden z żołnierzy pchnął go z powrotem na ławę, a drugi przyłożył miecz do szyi czarodzieja i warknął:

– Nie ruszaj się albo sprawdzimy, czy jesteś wypchany trocinami!

Asera krzyknęła coś gniewnie. Sharina nie widziała jej przez pierścień zbrojnych. Podniosła kubek do ust i pociągnęła łyk wina. Żołnierz spojrzał na nią, zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

Żona karczmarza wsypała za dużo gałki muszkatołowej, a za mało cynamonu, ale wino było z dobrego rocznika. Sharina rzadko pijała wino, lecz ojciec zadbał o to, by ona i Garric znali się trochę na tych sprawach.

Dźwięki i obrazy stały się tak klarowne, jak powietrze w mroźny poranek. Gorączka wypaliła wszystkie uboczne myśli, pozostawiając jej umysł jeszcze bystrzejszym niż zwykle.

Wszedł jakiś oficer w ozdobnym napierśniku i brązowym hełmie z długą kitą końskich włosów, a nie w kolczudze i żelaznym garnku, jakie nosili zwykli żołnierze. Nie nosił też jaki, lecz lniany płaszcz przywiązany do zaczepów na napierśniku. Czarny koński łeb znajdował się na rękawie, na wysokości ramienia.

Dwaj żołnierze wyprostowali się, trzymając Aserę. Inny żołnierz groził mieczem siedzącemu przy kominku podróżnemu, który bronił się groźnie podniesioną pałką.

– Callinie! – powiedziała Asera do oficera. – Co robisz w barwach Sandrakkanu? Czyżby nawet królowa nie mogła cię już znieść?

Callin zaśmiał się wesoło. Zerwał z głowy hełm i skłonił się prokurator.

– Pani Asera – powiedział. – Wprost nie potrafię wypowiedzieć, jak się cieszę, że to tobie król zlecił tę misję i z tego, że znalazłem się tutaj, żeby cię powitać. Widzisz, nie zapomniałem o roli, jaką odegrałaś w tej historii z żoną majordomusa.

Callin był wysokim, przystojnym mężczyzną o sięgających ramion blond włosach, równie jasnych jak włosy Shariny. Miał niebieskie oczy, nieruchome jak ślepie węża. Powiódł nimi po komnacie i zatrzymał je na człowieku stojącym przy kominku.

– Nie on, panie – rzekł pospiesznie karczmarz. – Pan Eskal przeprowadza inspekcję dóbr księcia w tym okręgu i na zachodzie. Dobrze go znam.

Callin kiwnął głową i gestem odprawił żołnierza grożącego mieczem Eskalowi. Potem zwrócił uwagę na Sharinę i Medera. Żołnierz królowej był zwinny i elegancki, chociaż przyjechał w ulewnym deszczu.

Sharina znów pociągnęła łyk wina. Pomyślała o toporku u pasa, o znajdującym się gdzieś na zewnątrz Nonnusie i czekała.

– Czy earl wie, że płaczesz się po jego ziemi? – powiedziała Asera do pleców Callina. – Jak myślisz, co robi z tą karczmą i wszystkimi mieszkańcami Gonalii, kiedy dowie się, że ci pomagali?

Callin zachichotał. Strzepnął koński włos z rękawa.

– Och, earl i moja pani są bardzo dobrymi przyjaciółmi, Asero – powiedział. – W tej sprawie działałam na rzecz ich obojga, a ci ludzie...

Poklepał osłonę policzka stojącego obok żołnierza, który zrobił taką minę, jakby przełknął coś paskudnego.

– ...to żołnierze samego earla. Prawda, chłopcy?

Żołnierze niechętnym pomrukiem potwierdzili jego słowa. Sharina widywała jadowite węże, które podobały jej się bardziej niż Callin, lecz tak samo jak one, agent królowej był urodziwy. Spojrzał na Medera i uśmiech znikł z jego warg.

– Tak – powiedział. – Ciebie też znam, prawda, Mederze bor-Medermanie?

Wyjął zza jedwabnego pasa czarodzieja kościany sztylet, popatrzył nań z odrazą i jednym spojrzeniem oceniwszy odległość i kąt, cisnął nóż do kominka. Potem znów się uśmiechnął.

– Panie Mederze – rzekł. – Królowa poleciła mi wziąć was wszystkich żywcem, jeśli to będzie możliwe. Podobno macie jakieś cenne informacje. Jeśli jednak wydasz jakiś dźwięk, który uznam za zakłęcie lub klątwę, każę ci wyrwać język.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie, źle powiedziałem – dodał. – Osobiście wyrwę ci język.

Żołnierz nadal przyciskał Medera do ściany. Callin dwoma palcami ujął go pod brodę.

– Nie mam nic przeciwko czarodziejom, jeśli znają swoje miejsce – rzekł wesoło, do nikogo w szczególności. – Niewątpliwie czary stały za decyzją wysłania mnie na to zapomniane przez bogów odludzie, abym czekał tu na agentkę króla. Jeśli jednak jakiś nędzny czarodziej spróbuje wchodzić mi w drogę, to na pewno nie spodoba mu się miejsce, w jakim go umieszczę.

Staął przed Shariną i podparł się pod boki.

– A kogóż my tu mamy, panienko? – zapytał.

Kubek był pusty. Sharina postawiła go na ławie obok siebie.

– Jestem Sharina os-Reise z Barca's Hamlet na Haft – powiedziała, spoglądając na tego wysokiego, uśmiechniętego mężczyznę. – Pani Asera zatrudniła mnie jako pokojówkę.

– Och, myślę, że jesteś kimś więcej, moja droga – rzekł Callin. – I chyba nawet kimś więcej niż najładniejszą dziewczyną, jaką widziałem na Sandrakkanie.

Wyjął toporek z pętli przy jej pasie i obrzucił go krytycznym wzrokiem. Na ostrzu była rdza, ponieważ nie otarła go po wyjściu z wody i deszczu, lecz stał była ostra jak brzytwa, bez szczerb i wgłębień.

– Jesteśmy rozbitkami – powiedziała Sharina.

Callin uśmiechnął się ze szczerą aprobatą.

– No cóż, zadbamy o to, żeby już się wam to nie przydarzyło – powiedział. Obejrzał się i rzucił toporkiem w belkę nad barem. Ostrze wbiło się na palec w twarde drewno. Żona karczmarza pisnęła ze strachu, a potem obiema rękami przycisnęła skraj fartucha do ust.

– Ruszamy – rzucił ostro Callin do swoich ludzi. – Ja zajmę się panienką Shariną. Pozostałych dwoje przywiązać do końskich ogonów.

Uśmiechnął się do prokurator.

– Jeśli będę w dobrym humorze, moja droga Asero, wrócę do zamku stępa. Ostrzegam cię jednak, że mój rumak pięknie kłusuje.

Callin podał ramię Sharinie. Drzwi gospody otworzyły się. Żołnierze gwałtownie odwrócili się ku nim. Callin tak szybko wyrwał miecz z pochwy, że ostrze zaświstało o jej brązowe okucie. Stał niczym struga wody zamigotała w powietrzu.

Do gospody wszedł Nonnus. Na lewym ramieniu trzymał oszczep, skierowany grotem do przodu, a na końcu drzewca zawiesił sobie węzełek.

Jeden z żołnierzy próbował chwycić go za gardło. Nonnus kopnął go w krocze i spazmatycznie łapiącego powietrze odepchnął na bok. Na moment wszyscy zamarli.

– A kim ty jesteś, człowieku? – zapytał Callin.

Sharina chwyciła kubek. Był dostatecznie ciężki, żeby mógł posłużyć jako broń...

– Jestem Nonnus syn Brana, syn Pewle – odparł pustelnik głębokim basem. – A kim ty jesteś, kolego, który zaraz zobaczysz twoje flaki na podłodze, jeśli tamten nie skieruje tego miecza gdzie indziej?

– Nie! – rzucił Callin do jednego z żołnierzy. Sharina nie zauważyła manewru tamtego, lecz Nonnus z wilczym uśmiechem skinął głową oficerowi.

– Co tu robisz, panie Nonnusie? – spytał Callin.

Wprawdzie nie schował miecza, ale sytuacja nie groziła już wybuchem krwawych jatek.

– Szukam kupca Waleya – odparł Nonnus. Obrzucił obecnych gniewnym spojrzeniem zimnych oczu, które nie zmieniły wyrazu nawet wtedy, gdy odbił się w nich blask kominka. – Czy ktoś z was wie, gdzie on mieszka?

Callin spojrzął na karczmarza i pytająco uniósł brew.

– Waley nie żyje już od dziesięciu lat – odparł nerwowo gospodarz. – Teraz wielorybimi skórąmi handluje jego przybrany syn Arduk. Jest stajennym, mieszka trzy bramy stąd, po tej samej stronie ulicy.

– Dobrze – rzekł Nonnus, skinąwszy głową. – A więc zostawiam was. Bawcie się dobrze.

Spojrzał na Callina. Ten odprężył się i skłonił głowę. Pustelnik zamknął za sobą drzwi. Callin schował miecz do pochwy, a Sharina odstawiła kubek.

– Ruszajmy – powtórzył Callin i nagle wyraz jego twarzy zdradził napięcie kilku ostatnich chwil. Cokolwiek jeszcze robił w życiu młody dworzanin, z pewnością spotkał już ludzi z Pewle.

– Panienko – wyciągnął rękę do Shariny – pojedziesz na koniu przede mną. Żałuję, ale nie zabraliśmy zapasowego wierzchowca.

Sharina zignorowała ramię, wstała i poszła do drzwi. Każdy obraz i dźwięk był krystalicznie czysty i poruszała się wśród nich, jakby otaczały ją kryształowe noże.

Kapitan wachlował się czapką i ten słaby podmuch był jedynym powiewem wiatru, jaki tego dnia owiewał otwarty pokład kupieckiej jolki. Splunął przez reling burty, co było znanym sposobem na przywołanie wiatru. On i czterej marynarze jego załogi mieli wargi suche i zdrętwiałe od spluwania – na próżno.

– Jeśli rano nie zerwie się wiatr – rzekł kapitan – trzeba będzie wiosłować. Nie ma innego wyjścia.

– Jest piekielny skwar – jęknął chudy pierwszy oficer, spoglądając na odległy horyzont. Erdin leżał tuż za nim, o dzień żeglugi. Lub całą wieczność stąd, jeśli nie będzie wiatru.

Jolka była wyładowana pomarańczami z wyspy Shengy w południowym łuku. Za owoce cytrusowe można było uzyskać niezłą cenę w Erdinie. Kapitan postanowił zaryzykować ciszę na środku Morza Wewnętrznego niż wybrać powolną i znacznie dłuższą, choć pewną trasę wokół zachodnich wysp: Shengy, Cordin, Haft i w końcu Sandrakkan. Dotychczas wciąż mieli równy południowy wiatr – aż do teraz, kiedy byli już tak blisko portu.

Kapitan próbował ponownie splunąć. Zaszło mu w ustach. Trzej marynarze patrzyli na niego w ponurym milczeniu.

– Jutro do wiosel – wyrzeził. – Jeśli nie będzie wiatru.

Pierwszy oficer wstał i zwinnie jak małpa – do której był podobny – wdrapał się na szczyt krótkiego, pochylonego do przodu masztu. Objął nogami słup i spojrzał na północ, osłaniając oczy obiema dłońmi.

– Coś porusza się na horyzoncie! – zawołał.

Kapitan wskoczył na reling i przeszedł po nim, aż mógł wyrzeć zza obwisłego trójkąta żagla. Rzeczywiście, coś się tam poruszało.

– To jakiś człowiek na tratwie – oznajmił pierwszy. – Niechaj mnie Siostra połknie, ale to mi wygląda na człowieka na tratwie!

– A więc jak się porusza? – spytał sternik, również wstając. Jolka zakołysała się lekko pod jego ciężarem.

Jednak to coś zniknęło za północnym horyzontem lub pod gładką jak olej powierzchnią morza. Jolka była tu sama, nie licząc pary krążących wysoko na niebie mew.

– Nie – mruknął kapitan, schodząc z relingu. Lekko drżał. – To był wieloryb. Woda tryskająca z jego oddechem wyglądała jak ludzka postać.

Pierwszy spojrzał na niego, a potem trzema szerokimi wymachami ramion z powrotem spuścił się po wancie na pokład. Nic nie powiedział.

– Wyczuwam wiatr – rzekł kapitan, co było w połowie modlitwą, a w połowie wiadomością dla załogi. Lekko obrócił głowę i długie włosy wyrastające mu z ucha poruszyły się. – Wyczuwam wiatr! – powtórzył, tym razem z uciechą i pewnością siebie. – Ze sterburty! Podnieść żagiel! W południe będziemy w Erdinie!

Sam chwycił jedną z lin, zadowolony nie tylko z wiatru, ale i tego, że dzięki niemu mógł zapomnieć o tym, co najwidoczniej mu się przywidziało. Kapitan miał wzrok lepszy niż jakikolwiek znany mu człowiek, lecz z tak wielkiej odległości nawet on nie był pewny tego, co zobaczył.

Coś, co wyglądało jak otyły człowiek w pogrzebowym całunie, siedzący na pustym pokładzie tratwy. Ta była otoczona niebieskawą poświatą i poruszała się. Nie było cienia wątpliwości:

pływała.

I nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kapitan miał nadzieję nigdy więcej jej nie zobaczyć.

Garric nigdy nie widział miejsca równie płaskiego jak Erdin. Morze w bezwietrzny dzień nie było równie gładkie jak teren na jakim stało to miasto, którego jedyne naturalne wzniesienie miało najwyżej metr wysokości.

Nawet tutejsze budynki wznosiły się najwyżej na dwa piętra, w przeciwieństwie do Carcosy, której zabudowania często pięły się na pięć lub sześć kondygnacji w górę. Garric podejrzewał, że ziemia w Erdinie nie była dostatecznie twarda, by utrzymać ciężar wysokich budynków.

Tenoctris z zainteresowaniem rozglądała się wokół, razem z Garricem i Liane podążając w ślad za dwuosobowym pojazdem jadącym szeroką brukowaną ulicą. Erdin był kwitnącym miastem, a nie zapadłą dziurą. Carcosa żyła bardziej dniem wczorajszym niż dzisiejszym i miała niewielkie nadzieje na przyszłość.

– Za moich czasów... – zaczęła Tenoctris. Uśmiechnęła się na myśl o różnicy między tysiącleciem, o jakim mówiła, a kilkudziesięcioma laty, jakie miałyby na myśli większość starych kobiet. – Za moich czasów włości earla Sandrakkanu nie rozpościerały się dalej niż na wypuszczenie strzały z łuku z jego zamku na wschodnim krańcu tej wyspy. Był raczej bandyckim watażką niż władcą. I nigdy nie słyszałam o Erdinie.

– Stancon Czwarty założył to miasto na miejscu starego portu Zabir, osiemnaście kilometrów w głąb lądu – powiedziała dumnie Liane. Właściwie wszyscy szlachcice Wysp byli jedną klasą, niezależnie od miejsca urodzenia, lecz w szkole na Ornifal dziewczyna z Sandrakkanu nasłuchiwała się zbyt wielu zniewag rzucanych na jej rodzinną wyspę. – To było przeszło trzysta lat temu.

Garric – a raczej jego umysł niż jaźń – przypomniał sobie bagniska po obu stronach rzeki Erd, brązowe od osadów nanoszonych z połowy wyspy. Tamten krajobraz i gwarne, kwitnące miasto Erdin łączyło tylko to, że oba były płaskie.

– Czy ten... Stancon założył tu miasto, ponieważ łatwiej było bronić bagnisk? – zapytał Garric. Spojrzał na Liane, nie wiedząc w jakim stopniu zawdzięcza królowi Carusowi to pytanie, które tak nagle przyszło mu do głowy.

Liane najeżyła się, a potem odparła z zakłopotanym uśmiechem:

– Tak, owszem. Piraci z Ornifal każdej wiosny napadali na południowe wybrzeże. Wybudował nowe miasto, do którego można było dopłynąć tylko rzeką, a tę można było przegrodzić łańcuchem. Wiem, że nie powinnam się oburzać, ponieważ to prawda.

– Jedyne co mogę rzec o earlu z moich czasów – rzekła Tenoctris – to że nie miał dostatecznie dobrej biblioteki, żeby skusiła mnie do wizyty w jego zamku. W Yole była naprawdę niezła biblioteka, ale od tysiąca lat spoczywa pod wodą. Co dowodzi, że earl Sandrakkanu dokonał lepszego wyboru.

Dwaj tragarze truchtali obok – jeden ciągnął, a drugi pchał wózek z ciałem Benlo. Garric ponownie zapieczętował pokrywę grzebalnego dzbana gorącą smołą. Pęknięcie znajdowało się powyżej uszu dzbana, tak więc można ich było nadal używać do przenoszenia ciężkiego naczynia. Nawet teraz, kiedy już opuścili portową dzielnicę handlową, na ulicach panował ożywiony ruch. Kamienice mieszkalne ustąpiły miejsca domkom jednorodzinny. Były ustawione w szeregach, ale każdy miał ogrodzony murem basen lub ogród między domem a ulicą.

Garric ze zdziwieniem zauważył, że ciężkie wozy zaprzęgano tu tylko w parę koni lub mułów. Erdin leżało na płaskim terenie, a na wybrukowanych ulicach koła nie zapadały się w ziemię. Dwa

konie bez trudu mogły ciągnąć ładunek, który na Haft wymagałby zaprzęgu sześciu lub ośmiu mułów.

Zmierzając na wschód od portu, przecięli trzy kanały. Płaskodenne barki sunęły po ciemnej wodzie, ciągnięte na linach przez marynarzy śpiewających przy tym posępne pieśni. Te barki były większe od jakiegokolwiek statku, który przybił do Barca's Hamlet, zanim przyплыnęła tam trirema.

– Mój ojciec nigdy nie przejmował się tym, co ludzie myśleli o Erdinie lub Sandrakkanie – wyjaśniła Liane, prawie przepraszająco. – Nie wiem, dlaczego mnie to obchodzi.

– Benlo uważał się za obywatela wszystkich Wysp? – zapytał Garric. Było to jego pytanie, nie króla Carusa, ale nie przyszłoby mu do głowy, gdyby nie jego sny z ostatnim królem zjednoczonych Wysp. Można pochodzić z Barca's Hamlet, z Haft czy skądkolwiek i być dumnym ze swego miejsca urodzenia, ale jeśli z tego powodu ma się ochotę rozbijać głowy mieszkańców sąsiednich wiosek czy miasteczek...

To było złe. Prowadziło do rządów królów z mieczami w dłoniach, często chwytających za broń tylko dlatego, że nie było innego wyjścia.

Liane z lekkim zdumieniem popatrzyła na Garrica. Uświadomił sobie, że niektóre z jego pytań były dość dziwne jak na wieśniaka z Haft, nawet bardzo oczytanego. Garric or-Reise nie był już zwyczajnym wiejskim chłopcem z Haft, a przynajmniej nie tylko. Zawsze jednak pozostanie także wieśniakiem.

– Nie – odparła – nie o to chodziło. Mój ojciec nie uważał się za część czegokolwiek. Wiele podróżował po Wyspach i podejrzewam, że nie tylko, lecz to nie miało dla niego większego znaczenia niż morze dla ryb. Żył na tym świecie, ale nie należał do żadnej jego części.

Spojrzała na grzebalny dzban. Terrakotowe naczynie było nawoskowane z zewnątrz, żeby nie wchłaniało deszczówki i nie pękło przy pierwszym przymrozku, lecz wyglądało topornie, zanim jeszcze Garric zalepił pęknięcie plastrem ze smoły.

Liane nie widziała dzbana ani nawet spoczywającego w nim człowieka. Widziała ojca, który śpiewał jej o dalekich krainach, kiedy była dzieckiem. Łza spłynęła jej z kącika oka. Otarła ją bez żenady.

– Nie sądzę, aby zależało mu na kimkolwiek oprócz mojej matki – powiedziała. – Zawsze był dla mnie dobry, Garricu, ale myślę, że tylko dlatego, że widział we mnie mamę.

Garric odchrząknął. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Ulica poszerzyła się jeszcze bardziej. Jej prawy i lewy pas oddzielał rząd karłowatych cyprysów, między którymi w regularnych odstępach znajdowały się ozdobnie ocembrowane stawki. Garric usiłował wyobrazić sobie koszt budowy i utrzymania czegoś takiego. Po raz pierwszy zaczął zdawać sobie sprawę z tego, wśród jakiego bogactwa i przepychu wychowała się Liane.

– Nawet ulice są tu luksusowe – powiedział głośno.

Tenoctris spojrzała na niego.

– Wybudowanie tego miasta na bagnach zajęło trzy wieki – przypomniała. – Jeśli znów nadejdzie wiek ciemności, bagno może powrócić w trzy lata.

Garric ścisnął ukryty pod koszulą medalion. Kiwnął głową.

Minęła ich szybko przenoszona lektyka. Truchtający tragarze mieli na nogach sandały o grubych podeszwach i rytmicznie pokrzykiwali „ho!”, przy każdym kroku prawą nogą. Sztynno wyprostowana kobieta siedząca pod baldachimem z purpurowego aksamitu była idealnie piękna jak marmurowy posąg Pani, ale miała w sobie mniej życia.

Domy były nadzwyczaj piękne. Każdy stał we własnym ogrodzie, otoczonym kutym metalowym płotem. Liane z lekko zdziwioną miną wróciła do rzeczywistości i zawołała:

– Tragarze! Skręćcie tutaj, w tę uliczkę!

Mężczyzna popychający wózek z tyłu obejrzał się przez ramię. On i jego towarzysz zwolnili, lecz szli dalej przez skrzyżowanie bulwaru z szeroką zaledwie na trzy metry uliczką, która i tak była szersza od większości przelotowych ulic, jakie Garric widział w nowej Carcosie.

– Nie, panienko – rzekł tragarz. – Wejście dla dostawców znajduje się z drugiej strony. Już dostarczaliśmy tu różne towary.

– Niczego nie dostawiamy – odparła Liane z lekkim rumieńcem gniewu na policzkach. – Skręćcie tutaj, jeśli chcecie otrzymać zapłatę.

Z tolerancyjnym wzruszeniem ramion zatrzymali się, obrócili w miejscu i skierowali wózek w uliczkę, którą dopiero co minęli. Widocznie jeden z nich zawsze prowadził, a drugi szedł za nim.

– Sama zobaczy – powiedział idący z przodu, nie odwracając się. Spojrzenie Liane mogłoby skruszyć kamień.

Posiadłość była ogrodzona wysokim płotem z ostro zakończonych prętów, lecz Garric ujrzał przez nie dom o ceglanych ścianach, zbrązowiałych ze starości. Okna były wąskie i lśniły ośmiokątnymi szybami – kolejny znak, że ten dom został zbudowany w minionym stuleciu, zanim szklarze nauczyli się produkować większe szyby.

Garric popatrzył na Liane.

– Czy to był... – zaczął i nie kończąc pytania, ruchem głowy wskazał na dom.

– Tak – odparła beznamyślnie. – Tu się urodziłam i tutaj mieszkałam do śmierci mojej matki.

Odwróciła się i zawołała do tragarzy:

– Zatrzymajcie się tutaj.

– To nie jest... – zaczął jeden z nich. – No, przecież to grobowiec! Co jest w tym dzbanie?

Dopóki tragarz nie zaczął mówić podniesionym głosem, Garric nie zdawał sobie sprawy z tego, że tragarze nie mają pojęcia, że przewożą ciało. Grzebalne dzbany z Carcosy były równie nieznanne obywatelom Erdinu, co Garricowi.

– To ładunek do przewiezienia którego zostaliście wynajęci – powiedziała Liane, wyjmując zza pasa skomplikowany klucz z brązu. – A ponieważ przewieźliście go bez przesądnej gadaniny, zamierzam zapłacić wam podwójnie, gdy tylko umieścicie go w środku.

Tragarze spojrzeli po sobie. Ten z przodu wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz, panienko – rzekł z szacunkiem.

Garric zakładał, że wszyscy mieszkańcy miast mają takie same zwyczaje. Równie dobrze można by zakładać, że wszyscy na Haft hodują owce. Dobrze przynajmniej, że nie narobił sobie wstydu, mówiąc to głośno.

Gdzieś poza czasem król Carus zaśmiewał się. Człowiek może poczynić znacznie gorsze założenia, których skutki mogą być o wiele dotkliwsze od publicznej kompromitacji.

Grobowiec był niskim budyneczkiem z cegły, wzniesionym na tyłach posiadłości i oddzielonym od niej własnym ogrodzeniem. Garric podejrzewał, że ze względu na wysoki poziom wód gruntowych w Erdinie nie chowano zmarłych w ziemi. Rosnący na ogrodzeniu i budowli bluszcz od dawna nie był przycinany. Wbił korzonki w zaprawę i obluźował niektóre cegły. W frontowej ścianie budyneczku nie było okien, a w tylnej tylko jedno – małe i okrągłe.

Liane odemknęła furtkę w ogrodzeniu. Przed grobowcem znajdował się brukowany plac, a obok drzwi kamienna ławeczka. Zardzewiałe zawiasy opierały się wysiłkom Liane. Garric podszedł do niej i pociągnął. Drzwi otworzyły się z piskiem.

Tenoctris spoglądała przez dziurę w bluszczu na dom. Obrośnięty pnączem płot niemal całkowicie zasłaniał grobowiec przed wzrokiem patrzących z głównego budynku. Zapewne nowi właściciele postawili go celowo. Co wiedzieli o człowieku, który mieszkał w tym domu przed nimi?

Kiedy Liane włożyła klucz do zamka, Garric zamierzał pomóc jej otworzyć drzwi do grobowca, ale zawiasy tych były z brązu, a w dodatku osłonięte przez sterczący okap. Drzwi bez trudu otworzyły się na oścież. Liane odsunęła się na bok i powiedziała do tragarzy:

– Proszę, umieśćcie ten dzban jak najbliżej tylnej ściany.

Dotknęła rzemyków sakiewki, przypominając tragarzom o zapłacie. Bez narzekań zdjęli dzban z wózka i wnieśli do środka.

Wykuty w marmurowym nadprożu drzwi herb przedstawiał winne grono nad skośną linią – *lamaczem*, podpowiadała Garricowi cudza pamięć – a poniżej ludzką czaszkę. Liane powiodła wzrokiem za spojrzeniem Garrica i wyjaśniła:

– Nasze ziemie na zachodzie wyspy słynęły z winnic. Nie wiem, dlaczego przodkowie wybrali trupią czaszkę.

Zaśmiała się z odrobiną goryczy.

– Te ziemie pewnie nadal są słynne ze swych winnic. Tylko, że nie są już nasze. Nie mamy już niczego poza tym grobowcem.

Tragarze umieścili dzban na wskazanym miejscu i pospiesznie opuścili grobowiec, kichając od kurzu. Liane wyjęła z sakiewki monetę – srebrną, tak jak obiecała. Kiedy obaj mężczyźni wyszli z wąskiego przejścia, Garric mógł wreszcie obejrzeć wnętrze grobowca.

Po obu stronach pomieszczenia znajdowały się ceglane półki. Każda z nich mogła pomieścić cztery długie drewniane skrzynie. Większość miejsc była zajęta, a resztki na podłodze wskazywały na to, że w minionych wiekach więcej trumien rozsypało się tu w proch wraz z zawartością. Garric pomyślał o kurzu i wstrzymał oddech.

Pod tylną ścianą biegła pojedyncza, szersza półka. U wezglowia i nóg spoczywającej tam trumny z brązu stały pięcioramienne kandelabry. Wosk stopił się, tworząc stalaktyty już tak dawno, że znikł nawet odór ich spalenizny. Te świeczniki, chociaż zaśniedziałe, niemal na pewno były srebrne.

– Moja matka – powiedziała po prostu Liane. Koła wózka zaturkotały. Tragarze wracali na swoje miejsce w pobliżu portu. – On chciałby być tuż przy niej. Żałuję...

Zamilkła, a potem bezbarwnym tonem dodała:

– Żałuję, że mama umarła. Żałuję, że ojciec nie umarł razem z nią. I czasem żałuję, że się narodziłam, Garricu.

Objął ją ramieniem i przytrzymał, stojąc nieruchomo z twarzą zwróconą ku tylnej ścianie grobowca. Po pewnym czasie wyprostowała się i wytarła nos. Garric puścił ją, ale nadal patrzył na wnętrze grobowca.

– Nie ma tu żadnych okien – powiedział. – Za tym pomieszczeniem jest jeszcze jedno.

– Z drugiej strony budynek jest dozorcówka – odparła Liane nieco normalniejszym głosem. – To osobne pomieszczenie.

Odkasznęła i dodała:

– Dziękuję ci, Garricu. Myślę, że możemy już zamknąć ten grobowiec i odejść. Nie sądzę, żebym miała tu jeszcze kiedyś wrócić.

Garric spojrzał na nią. Wskazała na trumny.

– To nie są moi rodzice – powiedziała. – Szkoda, że ojciec nie mógł tego zrozumieć. Może nie utraciłabym go, gdyby pojął, że proch nie jest prawdziwą osobą.

Garric cofnął się, żeby Liane mogła zamknąć drzwi. Tenoctris powiedziała:

– Twój ojciec pracował tu przez wiele lat. Jego moc wywarła piętno na ceglach tej budowli, a nawet na ziemi, na której stoi. Nigdy nie widziałam czegoś takiego poza starożytnymi świątyniami.

Liane starannie zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Wyszła na ulicę i czekała aż Garric

zamknie żelazną furtkę.

– Znajdziemy bankiera Polewa, przedstawiciela mojego ojca – powiedziała. – A przez niego osobę, która zatrudniła mojego ojca. A wtedy...

A wtedy, pomyślał Garric, *co?* Na to pytanie nie było odpowiedzi, nawet w głowie Liane.

Ruszyli z powrotem w kierunku portu i biura Polewa. Dzień miał się ku końcowi.

– Twój ojciec był bardzo potężnym czarodziejem, Liane – powiedziała w zadumie Tenoctris. – Zastanawiam się, co zdołałby osiągnąć, gdyby nie wykoleił się po śmierci twojej matki. I oczywiście, gdyby nie został zabity.

Wystraszony blaskiem pochodni szczur przebiegł po nodze Shariny. Słyszała Morze Zewnętrzne wpadające z westchnieniem w kanały wykute pod lochami, chociaż wydawało jej się, że Callin sprowadził swoich więźniów poniżej poziomu morza.

– Niezbyt luksusowe warunki dla naszych gości, prawda, chłopcy? – wesoło zawołał idący na końcu Callin. – Jednak to mądrzy ludzie, więc na pewno się przystosują.

Może rzeczywiście byli poniżej poziomu morza. Podobnie jak młyn w Barca's Hamlet, ten zamek został wzniesiony w czasach Dawnego Królestwa z wielkich głazów dopasowanych bez zaprawy. Był jednak także dziełem czarodzieja, a ten mógł zaprojektować go tak, że woda płynęła w górę.

– Skoro nie zdołam rozprawić się z tobą osobiście, Callinie – powiedziała prokurator – to przynajmniej mam tę satysfakcję, że królowa zrobi to za mnie. Ona jest jedyną znaną mi osobą, która jest nawet bardziej podstępna od ciebie!

Głos Asery odzyskał dawną stanowczość. Ogrom morza i sztormów pognębił ją, lecz żaden człowiek nie był w stanie złamać jej ducha.

Meder drżał tak gwałtownie, że dwaj żołnierze na pół wlekli, a na pół nieśli go po krętych schodach i korytarzem z czarnego kamienia. Callin myślał, że Meder udaje, lecz Sharina była przekonana, że nie. Młody czarodziej był wyczerpany, kiedy żołnierze odcięli go od konia, lecz Meder zaczął trząść się i potykać dopiero wtedy, kiedy wszedł do zamku.

Sharina nie lubiła go, ale miała zbyt wiele dowodów, by wątpić, że naprawdę jest potężnym czarodziejem. Duch człowieka, który przed tysiącem lat zbudował ten zamek, nadal wywierał piętno na tych kamieniach. Wrażliwy umysł Medera odczuwał to tak, jakby zamknięto go w bębnie, w który tłucze jakiś olbrzym.

– Rozumiem! – krzyknął Meder. Zaczął się śmiać. – Naprawdę rozumiem!

Trzymający jego lewą rękę żołnierz prychnął z niesmakiem i gniewem. Uderzył Medera w skroń, niezgrabnie, ale mocno. Meder na moment zwiotczał. Żołnierz idący po jego prawej stronie zapytał towarzysza:

– Po co to zrobiłeś? Chcesz go nieść?

Meder poszedł dalej, chociaż miał zamknięte oczy, a kolana ugięłyby się pod nim, gdyby żołnierze go puścili. Co chwilę chichotał pod nosem.

Niski sufit jeszcze ociekał wodą, której krople perlity się także na spiralnych kolumnach na środku korytarza. Dwaj żołnierze na czele pochodu trzymali pochodnie na wysokości pasa, a mimo to w powietrzu rozchodził się syk i para, buchająca z omiatanych płomieniami wilgotnych kamieni.

Inny żołnierz z pochodnią szedł obok Callina. W kwaterach w pomieszczeniach zamku były świece i latarnie. Z tego, co Sharina zdążyła zauważyć zanim sprowadzono ich do podziemi, wynikało, że Callin przybył do Gonalii z wyposażeniem pozwalającym stworzyć coś, co uważał za oazę cywilizacji w barbarzyńskiej dżicy. Jego ludzie używali teraz pochodni, ponieważ wiedział, że w migocącym świetle podziemia wydają się jeszcze bardziej ponure i przerażające.

Takie też były. Sharina zastanawiała się, czym żywią się tu szczury, bo najwyraźniej znajdowały tu sobie jakieś pożywienie. Największy z nich ważył co najmniej trzy kilo.

– Całkiem spore te lochy, prawda? – rzekł Callin. – Pierwszy właściciel zamku musiał być ciekawym człowiekiem.

Zaśmiał się. Tak jak pochodnie, gadanina Callina miała złamać ducha więźniów. Nie miało to

żadnego wpływu na Medera, którego atmosfera tego zamku doprowadzała do szaleństwa. I nie działało na prokurator, która była zbyt dumna i za bardzo nienawidziła Callina.

Sharina postanowiła, że i ona się nie załamie, lecz w tych wilgotnych ciemnych lochach czuła się jak pogrzebana żywcem. A kiedy żołnierze odejdą i zabiorą ze sobą światło...

Pierwsi dwaj żołnierze zatrzymali się. Dotarli do końca korytarza i znajdujących się tam trzech cel.

– Wsadźcie chłopca tutaj – rzekł Callin, kopiąc pręty drzwi celi po prawej. Jak wszystko, co robił, słowo „chłopiec” miało zgnębić więźnia, a mimo to miało w sobie ziarno prawdy. Chociaż Callin też ledwie przekroczył trzydziestkę, Meder nie mógł równać się z nim doświadczeniem.

Drzwi były zamknięte. Żołnierz odemknął je żelaznym kluczem i otworzył ze zgrzytem. Wstawił do środka pochodnię, żeby troje więźniów mogło dobrze przyjrzeć się otoczeniu.

Podłoga i tylna ściana celi były wykute w litej skale, na której wzniesiono zamek. Boczne ściany były z głazów półmetrowej grubości, wyciętych z tego samego czarnego bazaltu co reszta budowli.

Z osadzonych w murze kajdan zwisały długie kości ludzkiego ramienia, a w śliskiej mazi poniżej leżało kilka zębów, ale pozostała część szkieletu zniknęła. Sharina pomyślała o szczurach ogryzających kości. Zastanawiała się, czy czekały na śmierć więźnia, zanim zaczęły go pożerać.

Meder z krzywym uśmiechem spojrział na Aserę.

– Powinienem przyjść tu wcześniej – powiedział i znów zachichotał. – Wszystko jest takie proste, kiedy...

Jeden z trzymających go żołnierzy zaklął z obrzydzeniem. Wrzucili czarodzieja do celi i zatrzęsęli za nim drzwiami.

– Umieście panią Aserę po drugiej stronie korytarza – rzekł Callin ospałym i nonszalanckim tonem. – W ten sposób ona i czarodziej będą mogli patrzeć na siebie.

Zaśmiał się i dorzucił:

– Zaraz, zaraz! Zapomniałem, że nie będą mieli światła, żeby coś zobaczyć! Jaka szkoda.

Sharina zauważyła, że jeden z żołnierzy skrzywił się do drugiego, podczas gdy trzeci tym samym kluczem otworzył wskazaną celę. Ci ludzie nie lubili dowódcy przysłanego z Valles, co jednak nie przeszkadzało im sprawnie wykonywać jego rozkazy.

Asera z dumnie podniesioną głową i zimną pogardą na twarzy wmaszerowała do celi. Woda stała tam w owalnej bruździe, jaką wdeptały przez dziesiątki lat stopy chodzącego w kółko więźnia. W płytkiej wodzie zabłysły ślepka jakiegoś stworzenia i znikły w rozchodzących się kręgach.

Żołnierze zamknęli drzwi za prokurator. Zawiasy nie skrzypiały. Chociaż mury tych podziemi mogły pamiętać – i niewątpliwie pamiętały – Dawne Królestwo, żelazo już dawno skorodowałoby w tym wilgotnym środowisku. A kości rozpadłyby się jeszcze szybciej. Ktoś korzystał z tego zamku nie tak dawno, jak sądził Meder, choć być może nie w ciągu ostatnich stu lat.

Otwarto drzwi do celi na końcu długiego korytarza. Miała najwyżej cztery metry kwadratowe i podłogę oraz ściany pokryte galaretowatym śluzem, który lśnił żółtawo w blasku pochodni.

Callin położył dłoń na ramieniu Shariny.

– Obawiam się, że ta trzecia jest dla ciebie, moja droga – powiedział. – Chyba że...

Uśmiechnął się jak łasica do kury uwięzionej w kurniku.

– Wiesz co? – ciągnął. – Jestem pewny, że taka miła dziewczyna, jak ty, zasługuje na coś lepszego. Może pójdziesz ze mną na górę, gdzie porozmawiamy o tym przy posiłku?

Nadal trzymając Sharinę, Callin żwawo ruszył korytarzem. Żołnierze, najwyraźniej uprzedzeni, czego mogą się spodziewać, natychmiast ruszyli za nim. Trzymający pochodnię zbrojny, który uprzednio szedł na końcu, teraz prowadził pochód.

– Przyjemnych snów, Asero – zawołał przez ramię Callin. – Może jutro przyślę wam coś do jedzenia.

Sharina szła wyprostowana, z kamienną twarzą, nie zwracając uwagi na wilgotną posadzkę pod stopami. Lochy cuchnęły solą i rozkładem, jak trup marynarza.

Kolumny podtrzymujące sklepienie podziemi wyglądały na wykute w litej skale. W blasku pochodni wydawały się więc z bólu.

Ona nie będzie płakać. Nie będzie prosić. Nonnus ją uratuje.

Pokonali trzy kondygnacje krętych schodów i wyszli do holu, a z niego dostali się do komnat na parterze zamku, które Callin zajął dla siebie. Ich ściany były z wszechobecnego bazaltu, ale pozasłaniane gobelinami, a podłogi pokryte warstwą ściętej trzciny.

Żołnierze zapalili lampy naftowe i cisnęli pochodnie na kominek, podpalając leżące na palenisku polana. Wiatr zawodził, ale widoczne przez wąskie okna na jednej ścianie niebo rozjaśniał księżyc. Burza przeszła.

– Tutaj, moja droga – rzekł Callin, przysuwając do ognia sofę. – Moi ludzie przyniosą nam posiłek. Obawiam się, że tylko zimne mięso, ale w przyszłości lepiej się postaram. Rozumiesz, nie wiedziałem, kiedy dokładnie przyplyniecie.

Weszli dwaj żołnierze, niosąc stół z rozłożonym na nim serem, szynką i chlebem. Trzeci trzymał w jednej ręce dwie butelki wina, a w drugiej dwa kieliszki. Wyglądało na to, że chętnie i zręcznie pełnią rolę kamerdynerów, co było zaskakujące po ich gwałtownym wtargnięciu do gospody.

Sharina ostrożnie usiadła twarzą do ognia. Sofa była pochyła, przeznaczona do spoczywania w półleżącej pozie przyjętej na królewskim dworze lub wśród małpujących jego zwyczaje arystokratów. Lora postarała się, żeby córka poznała obyczaje obowiązujące na królewskim dworze, lecz Sharina nie miała zamiaru się kłaskać. Przede wszystkim dlatego, że to ucieszyłoby Callina.

Żołnierze ustawili stół na końcu sofy. Callin przysunął sobie drugą i wyciągnął się na niej, podpierając się na lewym łokciu i z kpiącym uśmiechem spoglądając na Sharinę. Wbił widelec w szynkę i podał jej plasterk.

– Spróbuj trochę, moja droga – powiedział. – Myślę, że ci zasmakuje. Jest z dodatkiem pieprzu i pochodzi z moich posiadłości.

– Dziękuję – powiedziała Sharina, ale zamiast szynki wzięła palcami klin sera i zaczęła go ogryzać. Była głodna jak wilk i z trudem powstrzymywała chęć wepchnięcia całego kawałka do ust i sięgnięcia po drugi. – Jak długo tu czekaliście, panie?

Callin zachichotał i sam ugryzł kawałek szynki.

– W jaki sposób doszło do naszego spotkania, moja droga – rzekł – to przeszłość, a więc rzecz bez znaczenia. Natomiast musimy porozmawiać o twojej przyszłości. Jesteś bardzo cenną osobą – dla innych. Chodzi o to, żebyś sama знаła swoją wartość.

– Jestem pokojówką – powiedziała Sharina. Skończyła ser i sięgnęła po jeden z dużych okrągłych bochenków chleba.

Callin wyciągnął rękę, by jej pomóc i zmrużył oczy, gdy silne palce dziewczyny bez trudu rozerwały twardą skórkę. Podniósł brwi i rzekł:

– Myślę, że możemy zrezygnować z tej bajeczki, moja droga. Fakt, że czekałem tu na was, powinien cię przekonać, że doskonale wiem, co się dzieje. Jestem pewien, że lepiej niż ty. Pochodzisz w prostej linii od ostatniego wielkiego króla Wysp i jesteś godna zostać królową. Możesz też uczynić odpowiedniego mężczyznę królem.

Żołnierz trzymający butelki napełnił oba kieliszki winem i postawił je na stole przed uczującymi.

– Mam nadzieję, że nie wzgardzisz winem – rzucił z irytacją Callin. – Jestem dumny z tego

rocznika, chociaż przyznaję, że morska podróż trochę mu zaszkodziła.

– Dziękuję – powtórzyła Sharina. Podniosła kielich i pociągnęła łyk. Wino było mocne i bardzo słodkie. Nie przywiązywała wagi do smaku, lecz chleb był suchy i zaschło jej w ustach.

– Widzisz – wyjaśniał Callin – w obecnej sytuacji jesteś tylko pionkiem. Obawiam się, że to prawda niezależnie od tego, czy znajdziesz się w rękach mojej pani, królowej, czy gdyby Asera zdołała dostarczyć cię królowi, tak jak zamierzała. Zarówno król jak i królowa bez wahania wykorzystają cię albo nawet pozbędą się ciebie, jeśli to będzie im wygodne.

W głosie Callina pojawiły się nutki irytacji. Sharina wzięła plasterk szynki. Jej chłód wywierał zamierzony efekt, wytrącając z równowagi dworaka, mimo że ten w pełni kontrolował sytuację.

– Co powinnaś zrobić, to przystąpić do tej gry – powiedział Callin do metodycznie przeżuwej Shariny. – A ponieważ nie masz żadnej władzy, musisz poślubić arystokratę z odpowiednimi koneksjami, którego ród jest prawie tak stary jak twój. Oczywiście, mam na myśli siebie.

Sięgnął po rękę Shariny, która odłamywała następny kawałek chleba. Lekko obróciła bochenek, blokując ten ruch.

Grymas gniewu ukazał prawdziwe, nieprzyjemne oblicze Callina, zaraz jednak znikł pod maską obojętności i ogłady.

– Nie musisz się obawiać, że taki związek ograniczy twoje życie osobiste – dodał szlachcic głosem, w którym wyczuwało się napięcie. – Będiesz mogła brać sobie do woli i jakich zechcesz kochanków, a zapewniam cię, że i ja będę tak czynił.

Po raz pierwszy, od kiedy wyszli z lochów, Sharina spojrzała prosto w oczy dworaka.

– Sądzę, że miłość do lustra jest w najlepszym razie niewygodą – powiedziała – ale nie wyobrażam sobie, żebyś był zdolny do innej. I by ktokolwiek mógł miłować ciebie.

Callin wyszczerzył zęby jak atakujący rekin. Złapał ją za lewą rękę silnymi palcami szermierza i pociągnął do siebie. Chlusnęła mu winem w twarz i próbowała wbić kielich w oko.

Najbliżej stojący żołnierz upuścił butelkę i złapał ją za ramię. Callin puścił rękę Shariny i zerwał się z sofy, ocierając twarz aksamitnym rękawem. Sofa Shariny wywróciła się, gdy drugi żołnierz chwycił dziewczynę za drugą rękę.

Callin spoliczkował ją. Uderzyła głową o ramię żołnierza po prawej. Wprawdzie żołnierze po powrocie do zamku zdjęli zbroje, ale i tak pociemniało jej w oczach.

– W porządku, moja droga pani! – wrzasnął Callin. – Życzę ci wygodnego pobytu w kwaterze, na jaką zasługujesz!

Porwawszy świecę ze ściennego lichtarza, Callin pomaszerował w kierunku schodów wiodących do szcurów, śluzu i ciemności. Żołnierze poszli za nim, niosąc Sharinę, której stopy ocierały o zasłaną trzciniami posadzkę.

Księżyc zaszedł i wokół panowała cisza przedświt. Nad Erdinem jak zawsze zalegała poranna mgielka. Sprzedawca warzyw zatrzymał swój wózek przed budką dozorca.

– Reava upiekła dziś rano ciasto z czereśniami – powiedział. Odwinął zawinięty w szeroki i brązowy liść dziewanny placek, który kucharka dała mu, kiedy dostarczył zamówione produkty do kuchni na tyłach domu.

– Trzymałbym się jej, nawet gdyby była dobra tylko w gotowaniu – rzekł dozorca, gdy obaj jak zwykle podzielili się ciastem. Sprzedawca owoców przytaknął niewyraźnie, z pełnymi ustami.

Kucharka i dozorca żyli ze sobą podczas długich okresów nieobecności jej męża – marynarza. Teraz żeglarz był w Erdinie, więc dozorca dyskretnie omijał kuchnię, a kucharka nigdy nie podchodziła do frontowej bramy. Zawsze jednak za pośrednictwem sprzedawcy warzyw podsyłała kochankowi resztki z pańskiego stołu.

– Spokojnie, prawda? – rzekł sprzedawca owoców. Obaj znali się od dziesięciu lat. Przeprowadzając się z przedmieść Erdinu do tej posiadłości w bogatszej dzielnicy, rodzina bor-Mulliman nie zmieniła służby ani dostawców. Ci dwaj mężczyźni byli dobrymi przyjaciółmi, chociaż oprócz tych porannych pogawędek rzadko kontaktowali się ze sobą.

– Jak w grobie – przytaknął dozorca z drugiej strony kutego ogrodzenia. – Rozumiesz, wcale nie narzekam. Lepiej niech będzie cicho, niż miałbym patrzeć, jak tłum nadchodzi ulicą, by gwałcić i rabować bogatych.

Sprzedawca owoców roześmiał się.

– Pewnie drogo sprzedałbyś swoje życie w ich obronie, co Esilu? – zapytał.

Dozorca prychnął.

– Nie płacą mi dostatecznie dużo, abym mógł uznać się za bogacza, Toze – odparł. Zlizął z palców resztę nadzienia. – Chociaż zadałbym sobie trochę trudu, żeby uratować Reawę. Ona potrafi gotować.

– Niech mnie odepchnie Pasterz, jeśli to nieprawda – przytaknął sprzedawca, przeżuując. Przestał poruszać szczękami i zmarszczył brwi, patrząc na zamgloną ulicę. – Jakiś człowiek właśnie skręcił w boczną uliczkę.

– Prawo tego nie zabrania – odparł dozorca, ale zmrużył oczy. – Pewnie jakiś pijak chce podlać bluszcz. Wyjdzie za chwilę.

– Przeszedł spory kawałek, żeby się odlać – mruknął sprzedawca warzyw.

Przez chwilę wypatrywał ruchu w miejscu, gdzie uliczka dochodziła do bulwaru. Dopóki dozorca nie otworzył drzwi i nie wyszedł, widział tylko ten odcinek ulicy, który znajdował się bezpośrednio przed budką.

– Wyglądał zupełnie zwyczajnie – dodał sprzedawca warzyw, przesuwając językiem po zębach, żeby je oczyścić. – Gruby gość w białej tunice. Chyba miał ze sobą latarnię...

Nie potrafił opisać niebieskawej poświaty, jaką zauważył.

Na końcu posiadłości rozległ się szcęk metalu.

– A niech go Siostra! – mruknął dozorca. Wstał ze stołka i chwycił opartą o ścianę budki halabardę. – Chyba trzeba zapracować na pensję.

Spojrzał na sprzedawcę.

– Chcesz iść ze mną?

Tamten skrzywił się.

– Taak, pewnie – odparł. Odwrócił się i wziął z wózka metrowej długości dębową pałkę, podczas gdy kompan otwierał bramę.

Ogród za porośniętym winoroślą ogrodzeniem był starannie utrzymany. Krzewy, które poprzedni właściciele ignorowali przez lata, zostały przycięte lub wykarczowane i zastąpione nowymi, jeżeli rozrosły się i nie można już było ograniczyć ich wzrostu.

Obaj mężczyźni w milczeniu poszli tam, skąd dochodził dźwięk. Aby zasłonić grobowiec na tyłach posiadłości, rodzina bor-Mullimanów postawiła tam ceglany gazon. Kiedy obaj mężczyźni znaleźli się po drugiej stronie szkarłatnych lobelii, błękitny błysk rozświetlił ciemność. Gdy zgasł, zapadł jeszcze głębszy mrok. Metal pękł z trzaskiem.

Dozorca cicho zaklął i mocniej chwycił halabardę. Ruszył naprzód. Sprzedawca warzyw chwycił go za rękaw i zatrzymał.

Drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Mglista niebieskawa poświata sącząca się przez listowie była równie ulotna, co odór gnijącego mięsa.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Sprzedawca warzyw odciągnął przyjaciela. Razem wrócili do frontowej bramy, co chwilę oglądając się za siebie.

– To nie twoja sprawa, no nie? – rzekł sprzedawca. – Teren, na którym znajduje się ten grobowiec, nie należy do posiadłości. Sam mi to mówiłeś.

– Taak – mruknął dozorca. – To nie moja sprawa.

Otworzył bramę, wypuszczając sprzedawcę warzyw, a potem przesunął dłonią po prętach. Dotykając zimnego metalu, trochę się uspokoił.

– Schodząc ze służby, mógłbyś zgłosić, że ktoś tu przyszedł – rzekł powoli sprzedawca. – Oczywiście, jeśli to zrobisz, zaczną się zastanawiać, dlaczego tak długo z tym czekałeś.

– Racja – przytaknął dozorca, spoglądając w mrok i marząc o tym, żeby słońce wzeszło trochę wcześniej. – W końcu nikogo nie zauważyliśmy. Nawet nie jestem pewny, czy naprawdę widziałem światło. – A potem dodał: – Wiesz co, Toze? Gdyby ten tłum nadszedł teraz ulicą, chyba nawet by mnie to ucieszyło.

Dwaj żołnierze trzymali Sharinę za ramiona, obracając ją bokiem, gdy schodzili po wąskich, spiralnych schodach. Trzeci, ten z kluczem od celi, szedł przodem, świecąc im latarnią.

Callin zamykał pochód. Nie osłonięta świeca w jego ręce migotała i często przygasiała do błękitnego płomyka, ale jakoś nie gasła.

Zanim jeszcze zeszli ze schodów, Sharina dostrzegła pulsującą różową poświatę sączącą się z korytarza. Rozejrzała się na boki. Callin i jego ludzie najwyraźniej nie zauważyli tego, co dla niej było oczywiste. Ten blask falował jak morze w momencie zmiany pływów, dokładnie między przyptywem a odpływem.

Dotarli do podnóża schodów. Meder nucił głośno i piskliwie, lecz budzące się w długim korytarzu echa nie pozwalały rozróżnić słów. Idący przodem żołnierz przystanął i uniósł latarnię. Sączące się z celi Medera światło było dostatecznie silne, by rzucić na posadzkę korytarza cień krat.

Callin też zauważył tę poświatę.

– Mówiłem mu, czego może oczekiwać – zamruczał, wyjmując miecz. – Niech mnie porwie Siostra, jeśli go nie ostrzegąłem.

I zupełnie innym tonem dodał:

– Chodźcie.

Pomaszerował korytarzem, rzuciwszy świeczkę pod nogi. Zamigotała, ale nie zgasła. Niosący Sharinę mężczyźni potruchtali za dworzaniem, a ona wydłużyła krok, żeby nie musieli jej wlec.

Asera stała tuż przy prętach oddzielających celę od korytarza. Z jej nieruchomej twarzy trudno było coś wyczytać, ale Sharina miała wrażenie, że widzi na niej lęk.

Sama też była przestraszona.

Meder siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i nucił.

– *Sesengen io barpharnices...*

Sharina wyczuła odór krwi. Pod ścianą celi leżał szczur z rozerwanym gardłem. Czarodziej miał twarz usmarowaną krwią. Widocznie rozszarpał gryzonia zębami.

– Otwórz te drzwi! – krzyknął Callin do żołnierza, który miał klucz. Mężczyzna gmerał za pasem albo ze zdenerwowania nie mogąc znaleźć klucza, albo celowo się ociągając. – Otwieraj!

Czarodziej nakreślił szczurzą krwią sześcioramienną gwiazdę na posadzce celi. Odłamał kawałek jednej z dwóch zwisających z kajdan kości i wykorzystał ją jako rytualny sztylet. Machając nim, podśpiewywał:

– *Nebouthosaoualeth aktiophi ereschigal...*

Żołnierz włożył klucz do zamka celi Medera i przekręcił ze zgrzytem. Jeden z pozostałych puścił rękę Shariny, żeby wyjąć miecz. Drugi nieświadomie zacisnął chwyt i wyszczerzył zęby.

– *Io berbita io thobagra baui!*

Kamienie posypały się ze sklepienia. Sharina i trzej żołnierze rozejrzeli się wokół, lecz Callin zignorował ten dźwięk i szarpnął odporne drzwi celi. Trzymający latarnię żołnierz przeraźliwie wrzasnął.

Najbliższa kolumna rozsypała się. Z jej wnętrza wyłoniła się postać demona czarnego jak sam kamień. Nogi miał krótkie, lecz ręce groteskowo długie, niczym odnóża kraba i zakończone czterema ostrymi jak sztylety szponami, ułożonymi w kształcie płatków kwiatu.

Callin obejrzał się i uderzył, zwinnie jak kot. Hartowane stalowe ostrze skrzeszło skry na łbie

demona i odskoczyło, brzęcząc jak napięta do granic wytrzymałości lina. Callin wydał okrzyk gniewu i bólu, chwytając lewą dłonią rękojeść miecza, aby wytłumić drgania. Demon złapał go za głowę i urwał mu ją w fontannie krwi.

Kamienie odpadały z filarów znajdujących się w głębi długiego korytarza, tłukąc i podskakując na podłodze jak miniaturowa lawina. Mężczyzna trzymający latarnię cisnął nią w twarz demona i usiłował uciec. Demon chwycił go w objęcia i zaczął rozrywać na strzępy. Sylwetki zabójcy i ofiary były dobrze widoczne w blasku świecy palącej się na podłodze na drugim końcu korytarza.

Pozostali żołnierze przebiegli obok stwora zajętego ich towarzyszem. Ten, który wydobył miecz, teraz go rzucił. Pierwszy demon ruszył za nimi, odrzucając na boki szczątki rozszarpanego człowieka. W głębi korytarza pięć innych demonów wydobywało się ze skalnego więzienia i rozkładało ramiona.

Cela Medera była otwarta. Sharina wyjęła klucz z zamka i odwróciła się, by uwolnić Aserę. Twarz prokurator była nieruchoma jak oblicze trupa. Sharina złapała kobietę za rękę i krzyknęła:

– Chodź!

Jedyna droga z lochu wiodła obok demonów. Musiały spróbować. Teraz, kiedy filary nie podtrzymywały już ciężaru budowli, na sklepieniu pojawiły się długie pęknięcia. Kawał skały wielkości ludzkiej głowy z trzaskiem runął na posadzkę obok Shariny.

Ostatni z żołnierzy wrzeszczał jak zdychający zając, gdy cztery demony rozszarpywały go na sztuki.

– Mederze! – zawołała Sharina. – Czy możesz nad nimi zapanować?

Meder spokojnie wymaszerował z celi i spojrzał na nią z wyższością.

– Och, one sobie pójdą – rzekł. – Widzisz, już nie są mi potrzebne.

Gestem posiadacza położył dłoń na ramieniu Shariny. Strząsnęła ją.

– Tylu spraw nie rozumiałem, dopóki tu nie przyszedłem – powiedział z satysfakcją. – Teraz wszystko jest dla mnie jasne.

Strop osypywał się kawałkami różnej wielkości, od ziaren grochu po kawały dorównujące rozmiarami gzymsowi nad kominkiem. Demony też zaczęły się rozpadać. Najbliższemu odpadła długa ręka, potem noga, a w końcu cały tors popękał jak spadające na podłogę jajko. Ciągnąc za sobą Aserę, pewna, że czarodziej podąży za nimi, Sharina pobiegła ku odległym schodom.

Nie obchodziło ją to, czy Meder biegnie za nimi. Poślizgnęła się na stosie ludzkich wnętrzności leżących tam, gdzie cisnął je demon.

Niech Meder pójdzie tam, gdzie jest jego miejsce, do najgłębszych kręgów piekieł.

Ściana między dwiema celami rozsypała się, pociągając za sobą lawinę strzaskanych gładów sklepienia. Huk ogłuszył przerażoną Sharinę. Świeczka zgasła, wypalona, przywalona lub przysypana pyłem zbyt gęstym, by pozwalał oddychać.

Kamień przekręcił się i rozpadł w proch pod stopą Shariny. To kończyła demona rozsypała się, tak jak cały podtrzymywany przez niego zamek. Oślepiąca i kaszląca po omacku szukała klatki schodowej.

Światło rozbłysło w tumanie kurzu tak gęstym, że widać było tylko dłoń trzymającą pochodnię.

Przybył Nonnus.

– Na górę! – krzyknął. – Będę was osłaniał!

W prawej ręce trzymał swój pewlański nóż. Oszczep zawadzałby mu na krętych schodach.

– Oni wszyscy nie żyją! – powiedziała Sharina. Runął kolejny kawał sklepienia, wtłaczając jej do płuc strumień pełnego skalnego pyłu powietrza. Zakrztusiła się. – Tylko my...

Prześlizgnęła się obok Nonnusa, wiedząc, że nie pójdzie pierwszy. Nie było czasu na spory, może

w ogóle nie było na nic czasu. Nadal trzymała Aserę za rękę, ale prokurator szła już o własnych siłach. W miarę jak wchodzili wyżej, coraz łatwiej było im oddychać, chociaż przy każdym kolejnym trzasku z dołu napływały nowe kłęby pyłu.

Sharina dotarła do holu. Leżał tam żołnierz ze zdziwionym wyrazem twarzy i poderżniętym od ucha do ucha gardłem. Wzdłuż bocznej ściany posadzkę korytarza przecinało szerokie pęknięcie, lecz piwnice znajdujące się nad lochami jeszcze się nie zapadły.

Sharina pochyliła się nad zabitym i nie tracąc czasu na rozpinanie pasa i ściąganie pochwy, wyrwała z niej sztylet. Brakowało jej znajomego ciężaru toporka na biodrze i po prostu musiała mieć jakąś broń.

Asera wyszła na korytarz tuż przed Nonnusem, który ciągnął Medera za kołnierz tuniki. Pęknięcie poszerzyło się i cała ściana wyraźnie zadygotała.

– Na zewnątrz! – krzyknął pustelnik. – W stajni jest powóz i konie. Szybko, zanim cały zamek runie nam na głowy!

W komnacie, w której Sharina jadła posiłek, na podłodze leżał następny żołnierz. Na kominku nadal palił się ogień. Przy każdym wstrząsie z komina sypała się sadza, pokrywając szarym całunem trupa.

Sharina całym ciężarem oparła się o drzwi i otworzyła je pchnięciem. Pozostali biegli tuż za nią. Przystanęła na dziedzińcu wybrukowanym sześciokątnymi bazaltowymi płytami, ponieważ nie wiedziała, gdzie znajdują się stajnie. Callin zsiadł z konia przy bramie i oddał go w ręce stajennych.

– Tędy! – rzekł Nonnus, prowadząc ich za narożnik czarnego zamkowego muru. Znów trzymał w ręku oszczep.

Niebo było bezchmurne i rozgwieżdżone, chociaż nie było księżyca. Meder zgubił gdzieś sztylet z kawałka kości. Twarz i ubranie miał pokryte skalnym pyłem, ale wciąż się uśmiechał.

Ściany stajni nadal stały, lecz z upływem lat większość dachu zapadła się. Kiedy był cały, ten budynek mógł pomieścić czterdzieści koni w oddzielnych kamiennych stanowiskach. Nad jego bliższym końcem ostały się jeszcze dachówki. Ludzie Callina oczyścili kilka stanowisk i osłonili je daszkiem z płótna żaglowego.

Konie parskały, zdenerwowane drżeniem ziemi pod nogami. Od szczytowej ściany oderwał się głaz i kilkakrotnie przekoziółkował w powietrzu, zanim uderzył o ziemię.

– Uratowałem cię, Sharino – rzekł wyniośle czarodziej. – Widzisz, co mogę dla ciebie zrobić. Ze mną zawsze będziesz bezpieczna.

– Kłamco! – wrzasnęła Sharina. – Nonnus ocaliłby nas! Ty nic nie zrobiłeś! Nic!

Pustelnik ujął jej dłoń i znów obrócił w kierunku stajni.

– Musisz zaprząć konie, dziecko – powiedział. – Ja nigdy nie nauczyłem się tej sztuki.

A potem dodał z rozpaczą:

– Co się stało, to się nie odstanie. To, co on zrobił i co ja uczyniłem. Stało się.

Sharina pociągnęła go za sobą do stajni, żeby poszukać uprzęży. Nie chciała, żeby teraz był sam.

KSIĘGA V

Z zewnątrz ceglany budynek wyglądał jak magazyn, niczym nie różniący się od tuzinów innych stojących nad rzeką Erd. Zaprzężony w muły wóz wyładowany beczkami terpentyny wyjechał z jego bramy, w chwili gdy dochodził do niej Garric z Liane i Tenoctris. Wokół wozu unosił się silny sosnowy zapach, będący miłą odmianą po bagiennym odorze stojących wód portu.

Garric spojrział na Liane, zastanawiając się, czy nie pomyliła adresu. Żwawo podeszła do drzwi wejściowych i energicznie zastukała żeliwną kołatką – dość nieoczekiwanym elementem w tym otoczeniu.

Otworzyło się trójkątne okienko na poziomie oczu.

– Panna Liane os-Benlo z towarzyszami do pana Polewa – powiedziała Liane. – Mój ojciec jest niedysponowany i muszę w pilnej sprawie porozmawiać z bankierem.

– Chwileczkę – odparł głos. Okienko zamknęło się.

Liane odwróciła się do towarzyszy i wyjaśniła:

– Polew jest Serianinem. Oni nie lubią chwalić się światu swoim bogactwem.

Drzwi otworzyły się. Odzwierny był wysokim chudym mężczyzną w kurtce i pantalonach z brązowego jedwabiu.

– Zaopiekuję się pańskim mieczem, panie – rzekł do Garrica. – Albo możesz poczekać na zewnątrz, jeśli wolisz.

Garric odpiął pas i owinał go wokół pochwy, po czym oddał miecz odzwiernemu. Nie lubił tej broni. Ciężka mu na biodrze, pozbawiając równowagi, a okucie chroniące koniec pochwy regularnie obijało mu się o łydkę. W Erdinie miecze noszono rzadziej niż w Carcosie, lecz nie aż tak, by Garric wyróżniał się w tłumie. Uznał, że jeżeli ma ochraniać Liane, to powinien w miarę możliwości zawsze być uzbrojony.

Ponadto chwytając rękojeść miecza, przekazywał problemy królowi Carusowi, który rozwiązywał je szybko i pewnie.

Carus zachichotał w głębi jego jaźni. Zdarzają się takie sytuacje, gdy trzeba działać bez namysłu. Sęk w tym, by wiedzieć, kiedy.

Odzwierny stanął w niszy obok schodów wiodących na piętro. Ceglany mur oddzielający schody od reszty budynku był tak gruby, że kiedy drzwi zamknęły się za plecami przybyłych, Garric nie słyszał już gwaru i krzątania w magazynie.

Liane poszła przodem, obiema rękami uniósłszy suknię, żeby nie nadepnąć na jej skraj. Matowy świetlik rozjaśniał klatkę schodową, ukazując coś, czego Garric jeszcze nigdy nie widział: pięcioramienny świecznik zawieszony na łańcuchu i zapewne używany wieczorami.

Młoda kobieta o ciemnej skórze i czarnych włosach rozsunała kotarę na drzwiach na szczycie schodów i skłoniła się Liane. Ta odpowiedziała skinieniem głowy i wprowadziła towarzyszy do komnaty.

Wysoki mężczyzna, bardzo chudy i stary, stał za sekretarzykiem o cienkich nóżkach. Garric podejrzewał, że gospodarz skrywa łysinę pod czapeczką z białego jedwabiu, z jakiego była uszyta również szata, którą nosił. Ściany pokrywała dębowa boazeria, pokryta na spojeniach złoceniami w formie winorośli i męczennicy.

– Panie Polew – powiedziała Liane, ponownie się kłaniając.

– Panno Liane – rzekł Polew, odwzajemniając ukłon. – Przykro mi słyszeć o niedyspozycji pani

ojca. Usiądźcie, proszę.

Za biurkiem stało krzesło, a przed nim jeszcze trzy. Były delikatne, złożone i emaliowane, a wyglądały tak krucho, że Garric bał się powierzyć ciężar swego ciała jednemu z nich. Ukradkiem nacisnął ręką oparcie i stwierdził, że się nie ugięło. Usiadł chwilę później niż pozostali.

Pod boczną ścianą stał posąg jakiejś smukłej bogini, a przy niej w osobnych niszach wizerunki dwóch demonów. Na drugim końcu pokoju znajdował się żelazny sejf przymocowany stalowymi taśmami do podłogi i ściany. Poza tym w pokoju nie było innych mebli.

Za krzesłem Polewa stał Serianin średniego wzrostu, ubrany w cienką bawełnianą togę. Głowę miał lekko przechyloną na bok, a ręce luźno opuszczone wzdłuż boków. Wydawało się, że myślami błądzi gdzie indziej, ale Garric odniósł wrażenie, że nic nie uchodzi uwagi tego człowieka.

Garric spodziewał się, że bankier będzie otoczony strażnikami obwieszonymi orężem. Ten człowiek sam był śmiertelnością bronią.

– Panie Polew – powiedziała bez żadnych wstępów Liane. – Mój ojciec został zabity podczas wykonywania pracy zleconej mu przez jego pracodawcę. Muszę natychmiast skontaktować się z tym pracodawcą.

Bankier splótł dłonie. W jego oczach malowała się czujność.

– Bardzo mi przykro z powodu pani ojca, panienko – rzekł. – Zasadzę drzewko ku jego pamięci. I jest mi też bardzo przykro, ponieważ nie mogę spełnić pani prośby.

Liane pochyliła się, chcąc coś powiedzieć. Polew uciszył ją, lekko unosząc otwartą dłoń.

– Panienko – rzekł. – Moja rodzina od trzech pokoleń prowadzi wasze rodzinne interesy. Niestety, zadanie, o które pytasz nie zostało zlecone przez bor-Benlimanów, lecz innego klienta naszej firmy. Rozumiesz, że jako człowiek honoru i solidny biznesmen nie mogę omawiać spraw mojego klienta z osobami trzecimi.

– Pan Benlo został zabity przez demona – rzekł Garric. W swoim głosie usłyszał lekkie drzenie. Położył dłonie płasko na udach i wbił w nie wzrok. – Demon rozszarpał go, a potem porwał pannę Liane do piekła. Do piekła, szanowny panie, z którego zdołała ją uratować wielka czarodziejka.

Spojrzał prosto w oczy bankiera.

– Panie Polew, ona ma prawo wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny.

Polew opuścił rękę. Jego twarz była bez wyrazu. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć.

– Panie Polew – rzekła pospiesznie Liane, zanim zdążył odmówić. – Szanuję pana niechęć do wyjawiania tożsamości klienta. Może jednak mógłbyś mi podać nazwisko bankiera, który przelał należność na twoje konto? To w niczym nie zagroziłoby twojemu honorowi.

Bankier uśmiechnął się.

– Owszem, panienko – odparł – ale obawiam się, że tej informacji również nie mogę ci udzielić. Widzisz, należności nie uiszczono przelewem. Klient dostarczył złoty kruszec wysokiej próby. Ściśle mówiąc, monety Dawnego Królestwa.

Wydał usta i dorzucił:

– Panienko Liane... Po namyśle sądzę, że mogę ci powiedzieć, iż ja również nie znam tego klienta. Człowiek, który uiścił należność, był zamaskowany. Nie rozpoznałbym go, a poza tym na pewno nie był to sam zleceniodawca. Dalsze instrukcje przekazywano za pośrednictwem gońców. Mówili, że zatrzymywała ich na ulicy jakaś zamaskowana postać mówiąca, iż zapłacę im za doręczenie listu. To wszystko, co wiem.

– Czy ma pan jeszcze którąś z tych monet? – zapytała Tenoctris.

Polew spojrzał na nią, po raz pierwszy zwracając uwagę na postać, która do tej pory siedziała cicho jak mebel.

– Tak – odparł. – Prawdę mówiąc, zatrzymałem je wszystkie. To najładniejsze egzemplarze tych monet, jakie kiedykolwiek widziałem.

Podszedł do kasetki i uklęknął przed nią. Szeroka szata zasłaniała ruchy jego rąk, ale z pewnością nie używał klucza. Strażnik stanął między Polewem a gośćmi, posyłając im roztargniony uśmiech. Jeśli nie zauważyło się wyrazu jego oczu i grubych węzłów mięśni tuż pod skórą, można było uznać go za tępego kuchcika, który znalazł się tu przypadkiem.

Polew wstał i wręczył Liane monetę wielkości odcisku kciuka Garrica. Król Carus przeszył ich majestatycznym spojrzeniem. Jego profil był równie wyrazisty, jak w dniu, kiedy wytłoczono monetę.

– Nie, nie musisz mi płacić, panienko – rzekł bankier, gdy Liane sięgnęła do sakiewki. – Weź ją jako ofiarę dla twojego ojca. W dawnych czasach...

Polew z nikłym uśmiechem rozejrzał się po pokoju. Szybki w oknach były z barwnego i matowego szkła, zniekształcającego wszystko w plamy koloru.

– Widzisz, ja rzadko opuszczam moją kwaterę – dodał. – Twój ojciec przynosił mi opowieści o dalekich lądach, tak cudowne, że czasem miałem ochotę sam tam pojechać. Jednak dobrze wiedziałem, że te historie nie byłyby tak piękne, gdybym to ja je przeżył.

– To było przed śmiercią mojej matki – powiedziała Liane.

Polew skinął głową.

– Tak, przed tą okropną stratą, jaką była śmierć pani Mazzony – potwierdził. – Przyjmij tę monetę, panienko, a także moje wyrazy ubolewania z powodu tego, że nie mogę ci w niczym więcej pomóc.

Liane i bankier wymienili ukłony. Odwróciła się, a służąca znów rozchyliła kotarę przed trojgiem gości.

Nie rozmawiali, dopóki nie znaleźli się na ulicy i usłyszeli za plecami trzask zasuwanych rygli. Liane dała monetę czarodziejce.

– Co zamierzasz zrobić, Tenoctris? – spytała.

– Jutro... – odparła Tenoctris. – Nie dzisiaj, ponieważ już zapada zmrok, ale jutro chcę wrócić za dnia do twojego rodzinnego grobowca. Tam będę mogła spokojnie rzucić tropiący czar, który powinien ujawnić nam, skąd pochodzi ta moneta. Obawiam się, że w gospodzie ktoś mógłby nam przeszkodzić.

Liane spoważniała.

– Ona nie musi tam iść, prawda? – powiedział Garric.

– Pójdę – rzekła Liane. – To mój ojciec, Garricu. Nie boję się zrobić, co będzie konieczne, aby zrozumieć, dlaczego musiał umrzeć w taki sposób.

– Ja się boję – stwierdziła Tenoctris z uśmiechem, który nie umniejszał powagi tych słów. – Chociaż sam rytuał nie jest niebezpieczny. Ryzykowne jest dopiero to, co nastąpi później...

Sharina przyprowadziła ostatniego z czterech koni pociągowych znad strumienia, w którym je poiła. Meder siedział, wpatrując się w ognisko, a Asera słała sobie koc pod powozem. Niewygody nie zmieniły charakteru prokurator, ale w razie potrzeby nagięła się do okoliczności.

– Gdzie jest Nonnus? – zapytała Sharina. Odjechali osiem kilometrów od Gonalii. Zdaniem dziewczyny wychowanej w Barca's Hamlet trakt był całkiem niezły – bez grząskich miejsc i dziur, w które koła zapadłyby się powyżej osi – ale kiedy już oddalili się na bezpieczną odległość od zamku, nie było sensu ryzykować dalszej jazdy w ciemnościach.

Meder odwrócił się i bez słowa spojrział na nią. Ogień za plecami czarodzieja skrywał jego rysy.
– Poszedł do lasu – powiedziała Asera. Wskazała na drugą stronę drogi, na której stał powóz. – Niedawno. Niezbyt dawno.

Sharina spętała konia. Zwierzęta parskały na siebie. Były przyzwyczajone do osobnych stanowisk w stajniach. Większość życia spędzały w zamknięciu lub w zaprzęgu i nie były pewne, czy podoba im się to nowe doświadczenie.

Niedawny deszcz wywabił żaby i ropuchy. Nie należały do gatunków znanych Sharinie z Haft. Ich rechot, szczególnie monotonne zawodzenie jednej z żab, działało jej na nerwy. Weszła w las, trzymając w ręku długi bat i używając go jako laski.

Nie miała prawa gniewać się na Aserę i Medera za to, że tak się zachowują. Ona była przestraszona i samotna, ale oni również.

Ominęła kępę cedrowych drzewek, rosnących zbyt gęsto, by można się przez nie przedrzeć. Trudno zachować spokój, kiedy jest się samotnym w ciemnościach.

– Tędy, dziecko – rzekł Nonnus. Stał tuż obok, przy pniu sosny mającym co najmniej trzy metry grubości.

– Ja tylko chciałam sprawdzić... – zaczęła Sharina. – Chciałam sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

Zaśmiał się.

– Oczywiście, że nic – odparł. – Modliłem się.

Inne olbrzymie drzewo upadło tu w zeszłym roku, wybijając sześćdziesięciometrową ścieżkę w lesie. Młode drzewka usiłujące zapełnić tę lukę jeszcze nie zasłoniły nieba nad głową. W blasku gwiazd widać było twarz pustelnika i przecinbę.

Nonnus wyciął w korze pnia sosny wizerunek Pani. Zrobił to najwyżej sześcioma szybkimi cięciami, lecz nawet cudzoziemiec natychmiast rozpoznałby boginię. Pewlanin posługiwał się swym nożem jak artysta.

Teraz nóż wraz z pochwą i pasem wisiał na gałęzi modrzewia, trzy metry od klęczącego przed wizerunkiem pustelnika. Oszczep był oparty o tę samą gałąź. Jego szeroki grot lśnił w blasku gwiazd.

– Musiałam uwolnić się od nich – wyznała cicho Sharina. – Chciałam...

Spoważniała, pozwalając by jej twarz zdradziła to, co naprawdę czuła.

– Nonnusie – powiedziała – on nie powinien żyć. Brzydę się jego krwawą magią. Wolałabym umrzeć niż z niej korzystać! Nie widziałeś, co stało się z Callinem i jego żołnierzami.

Pustelnik odparł z nikłym uśmiechem:

– Nie. Nie widziałem.

Spojrzał na nią. Jego twarz jak zwykle była nieprzenikniona. Tylko wtedy zmieniała wyraz, kiedy

Nonnus trzymał w ręku zakrwawiony nóż.

– Martwemu nic nie wróci życia – rzekł łagodnie Nonnus. – Nie obchodzi go, w jaki sposób został zabity i nie ma żadnego znaczenia dla Pani. Ja nie zamierzam wtrącać się do tego, jak ktoś wykonuje swoją pracę.

– Nonnusie, on już nie jest człowiekiem! – powiedziała. Chciało jej się płakać. – Nie jestem pewna, czy w ogóle kiedyś nim był.

– Nie mów tak! – skarcił ją pustelnik. I znacznie łagodniej dodał: – Dziecko, nigdy nie pozwalaj sobie myśleć, że ktoś nie jest człowiekiem, ponieważ nie podoba ci się jego postępowanie, ubiór lub modlitwy. Nigdy tego nie rób, bo w przeciwnym razie zaczniesz robić rzeczy, których później nigdy nie zdołasz sobie wybaczyć. Ani zapomnieć.

Sharina uklękła, ponieważ ugięły się pod nią nogi. Schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Nonnus kucnął przy niej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie powinnaś pytać o to, dlaczego ktoś umarł, a ty żyjesz – rzekł. – To sprawa Pani. Musimy w to wierzyć.

– Nienawidzę tego, co zrobił – powiedziała Sharina. Jej szloch powoli ucichł i w końcu ustał. – Nonnusie, on mówi, że zrobił to dla mnie i ja mu wierzę!

– Tak, ja też mu wierzę – powiedział pustelnik. Ujął dwoma palcami jej brodę i delikatnie podniósł tak, że spojrzała mu w oczy. – Zabiłem tych ludzi na górze – rzekł. – Nie dałem im szans. Musieli zginąć, żebyś była bezpieczna, więc zabiłem ich.

Sharina spoglądała na niego, zastanawiając się, co widział, kiedy na nią patrzył.

– Jeśli zabiłeś dla mnie – powiedziała – to nie masz ich krwi na rękach.

Nonnus nie odpowiedział.

Sharina wyjęła zza pasa sztylet i podeszła do pnia przewróconego drzewa. Wbiła nóż w grubą korę, bo nie miała paska i pochwy, żeby na chwilę odwiesić broń.

Odwróciła się, uklękła przed wizerunkiem Pani i zaczęła modlić się za dusze wrogów, którzy umarli po to, aby ona mogła żyć. Po chwili Nonnus klęknął przy niej.

– „Bóg mądrze skrywa przyszłość jak monetę trzos” – przeczytała Liane odę Celondre’a.

Ze znajdującego się za nimi grobowca, w którym zamknęła się Tenoctris, doleciał metaliczny syk.

Ten dźwięk był ledwie słyszalny. Liane przerwała w połowie zdania, a potem podjęła:

– „Bóg kpi z ludzkich obaw i nadziei. Spokojnie przyjmuj wszystko, co przynosi los!”

Cienki tomik był jedynym zbytecznym przedmiotem, jaki Garric zabrał ze sobą z Barca’s Hamlet.

Większość swej przeszłości musiał tam zostawić. Celondre był jego jedyną więzią z czasami, kiedy wszystko było prostsze, gdy jedynym zmartwieniem Garrica or-Reise było pilnowanie owiec lub ewentualny gniew ojca, wywołany zbyt późnym podjęciem obowiązków w stajni.

„Ody” Celondre’a pozostały takie same od tysiąca lat i nie zmieniają się przez kolejny tysiąc. Wiecznotrwały brąz, jak słusznie rzekł sam Celondre. Z tego punktu widzenia można było z dystansem spojrzeć na wszystkie problemy, nawet kwestie życia i śmierci.

Jeśli Tenoctris miała rację, to tym razem zagrażające im niebezpieczeństwo przeważy nawet nad zbawiennym działaniem „Ód”. Garric wierzył staruszce, lecz cywilizowane prawdy Celondre’a wydawały mu się wieczyste.

Z wnętrza grobowca dobiegła kaskada dźwięków. Liane nasłuchiwała i pod maską opanowania na jej twarzy malowało się napięcie. Razem z Garricem od dłuższego już czasu czekali na kamiennej ławce przed grobowcem. Otaczający ich, porośnięty bluszczem płot tworzył rodzaj ogródka, w którym w innych okolicznościach byłoby miło posiedzieć.

Przebrzmiał ostatni dźwięk. Liane odłożyła książkę i obdarzyła Garrica drżącym uśmiechem.

– Boję się – wyznała z prostotą. – Nie chcę, by znów ktoś przeze mnie zginął. Ty i Tenoctris jesteście teraz moimi jedynymi przyjaciółmi.

Uśmiech zgasł na jej ustach.

– I wciąż myślę o tym, co przydarzyło się ojcu – dodała.

– Tenoctris nie jest taka jak twój ojciec – rzekł Garric. – Ona wszystko robi systematycznie. I powiedziała, że to nie będzie niebezpieczne.

Nie wyobrażał sobie, że Liane może się czegoś bać. Zawsze zdecydowanie robiła to, co należało zrobić: spokojnie, szybko i stanowczo, chociaż widziała demona, który wyrósł jak spod ziemi i zabił jej ojca.

– Bawiłam się tutaj, kiedy byłam mała – powiedziała z uśmiechem. – Grobowiec zawsze był odgradzony od reszty posiadłości, chociaż wtedy nie zamykano furtki. Oczywiście, nie wiedziałam, że to grobowiec, ale to i tak nie miałyby żadnego znaczenia. Dopóki nie umarła moja mama, nie myślałam o śmierci.

Strach nie zmienił jej zachowania. Gdyby zamiast Tenoctris z drzwi grobowca wyłonił się inny demon, Liane z braku lepszej broni wykłubałaby mu ślepią rylcem.

Garric skinął głową. Przez cały czas słyhać było szum ulicznego ruchu na odległym o kilkadziesiąt metrów bulwarze. Bardzo rzadko ktoś przechodził pobliską alejką: grupka służących z sąsiedniej posesji, woźnica zjeżdżający pustym wozem do stajni, goniec pogwizdujący i postukujący kijkiem o ogrodzenie. Ten ostatni krzyknął ze strachu na widok Garrica i Liane, obserwujących go przez gąszcz bluszczu.

– Nie sądziłem, że to tak długo potrwa – rzekł Garric. Rano zjedli śniadanie w portowej tawernie, lecz on miał zdrowy apetyt i przywykł do obiadu będącego najważniejszym posiłkiem dnia.

Tymczasem nadchodził wieczór, a Tenoctris nadal nie wychodziła z grobowca.

Drzwi pisnęły. Garric zerwał się na równe nogi. Najpierw sięgnął do klamki, a potem po rękojeść miecza, ale nie dotknął żadnej z nich w obawie, że popełni błąd.

Tenoctris wyszła na światło dnia. Garric jeszcze nigdy nie widział jej tak zmęczonej. Z drzwi grobowca sączył się dym o oleistym zapachu. Zapewne spaliła tuzin woskowych świec, które zabrała ze sobą do pozbawionej okien krypty.

Uśmiechnęła się do młodych towarzyszy. Bali się zapytać, co się stało w środku.

– Dowiedziałam się, skąd pochodzi złoto – oznajmiła. Oboje pomogli jej, gdy najpierw przyklękła, a potem krzyżując nogi, usiadła na ziemi. – Właściwie nie było to takie trudne, ale wymagało więcej zachodu niż się spodziewałam.

Tenoctris użyła łodygi bluszczu jako różdżki. Nadal ją trzymała, chociaż od kiedy ją zerwała, podwinięty koniec pędu zdążył zwiędnąć.

– Powinnam to przewidzieć – powiedziała. Spojrzała na Liane, a potem na stojącego obok Garrica. – Zajęło mi to tyle czasu, ponieważ znajduje się na płaszczyźnie oddzielonej od tej. Powinnam wiedzieć, że tak będzie. Zakapturzony nie przetrwałby w naszym czasie, w moim czasie, gdyby został tam, gdy wyspa zapadła się w morze.

– I co teraz? – zapytała spokojnie Liane. Świeca nadal paliła się na podłodze grobowca. Jej żółtawy blask kontrastował z barwą zachodzącego słońca.

– Myślę – powiedziała Tenoctris – że ktoś powinien udać się na tę płaszczyznę i zobaczyć, co tam jest. Chciałabym zrobić to sama, ale muszę utrzymywać otwarte przejście.

– Ja pójdę – zaproponowała Liane.

– Nie – odparł Garric. Wstał i po raz pierwszy od konfrontacji z kapitanem Aranem i jego załogą poczuł się trochę lepiej. Miał coś do roboty. – Ja to zrobię. Czy tam będzie tak jak w tym miejscu, gdzie mieszkał Strasedon?

– Nie wiem – odparła Tenoctris. – Musisz opisać mi to miejsce. Dopiero wtedy będę mogła zaplanować następny krok.

Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Dlatego musisz stamtąd powrócić, Garricu – powiedziała. – Nie możesz tam dokonać niczego, co byłoby ważniejsze od twego powrotu. Jeśli napotkasz jakieś niebezpieczeństwo, odwróć się i uciekaj. Przejście będzie otwarte.

– Nie! – powiedziała Liane, również wstając. – To nie w porządku, żeby on tam szedł! Benlo był moim ojcem, więc to ja powinnam zaryzykować!

– Gdyby chodziło tylko o twojego ojca, nie robiłabym tego – odparła siedząca na ziemi Tenoctris. – Przykro mi, Liane, lecz tu chodzi o cały kosmos. Garric lepiej się do tego nadaje. Natomiast ty pomożesz mi tutaj.

Spojrzała na Garrica z czułością i jeszcze czymś... jakby ze smutnym szacunkiem.

– Garric zapewne jest najlepszym kandydatem na świecie, co jest kolejnym faktem podważającym moją wiarę w przypadkową naturę kosmosu. To straszne, kiedy człowiek musi na starość zmieniać przekonania.

Garric zaśmiał się, a cień króla Carusa zawtórował mu. Będą razem, on i Carus, dokądkolwiek pójdą. Pochylił się i podniósł Tenoctris z ziemi.

– Teraz? – zapytał. – Czy też musisz odpocząć, pani?

– Najlepiej teraz – odparła. – Już wykonałam połowę pracy. Położyła dłoń na przedramieniu Liane. Dziewczyna drżała z gniewu i rozczarowania.

– Jeszcze nieraz będziesz ryzykowała, Liane – powiedziała starszka. – Nie tylko ty, ale i cały

kosmos.

– Jular bor-Raydiman! – oznajmiła służąca, z niskim ukłonem wprowadzając tytułarnego naczelnika policji Erdinu do salonu, w którym Ilna czekała na kanapie pod oknem na południe.

Jular skłonił się, gdy Ilna wstała na powitanie.

– Pani Ilna – rzekł. – Co za przyjemność w końcu panią poznać.

Szlachcic nieczęsto wstawał tak wcześnie – i rzadko bywał o tej porze na nogach, chociaż czasem dopiero o tej godzinie kładł się spać. Jednakże nie mógł odrzucić zaproszenia tajemniczej pani Ilny.

Okna sięgały aż pod sufit. Jular oczekiwał zasłon. W końcu ta kobieta podobno była tkaczką. Nie dostrzegł tu niczego takiego, tylko szal z szarej wełny, rzucony na kanapę. Umeblowanie składało się ze stoliczka ze szklanym blatem, solidnej, lecz topornej komody z ciemnego orzecha i kanapy. Jular odruchowo spojrzął na kanapę.

– Nie – powiedziała Ilna, podchodząc do komody. – Nie po to pana wezwałam, panie Jular.

Była atrakcyjną małą kobietką. Nieco sztywną, ale takie lubił. Kiedy w końcu się poddawały, robiły to bez zastrzeżeń...

Ilna odwróciła się i uśmiechnęła. Jular nienawidził pajaków, bał się ich bardziej niż samej śmierci. Przez chwilę...

Wszystko wróciło do normy. Jular opuścił dłoń, którą instynktownie przycisnął do serca.

– Mówiłam ci – powiedziała kobieta – że nie po to cię wezwałam.

Otworzyła pokrywę kufra.

Jular był otyły, lecz wciąż dostatecznie młody, by w kiepskim oświetleniu uchodzić za przystojnego. Wpadające do salonu przez okno od wschodu światło było naprawdę bardzo dobre. Ciężko dyszał, zaszokowany iluzją, i usiadłby bez zaproszenia, gdyby było tu jakieś krzesło.

Niestety, w komnacie znajdowała się tylko kanapa. Wolałby umrzeć niż na niej usiąść.

– Podejź tu – poleciła Ilna, zamykając wieko komody i kładąc na niej trzy właśnie wyjęte zawiniątka.

Jular zdawał sobie sprawę, że powinien rozgniewać się o to, że ktoś z gminu – a w dodatku kobieta – wydaje mu rozkazy. Jednak nie dlatego się zawahał.

Ilna obdarzyła go szyderczym uśmiechem.

– Podejź – powtórzyła. – Nie ugryzę cię. Jesteś mi potrzebny, a przynajmniej człowiek na twoim stanowisku.

Jular usłuchał, ponieważ obawiał się tego, co w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć. Nie odezwał się słowem od momentu powitania. Wydawało mu się, że od tej chwili minęło całe życie.

– Chcę by aresztowano i przyprowadzono do mnie tych dwoje ludzi – powiedziała Ilna, rozwijając jeden z rulonów. – Nie chcę by stała im się jakaś krzywda...

Zmierzyła Julara gniewnym spojrzeniem, na jakie wcale nie zasłużył. *Przecież nic nie zrobiłem!*

– W żadnym wypadku nie może im się stać krzywda – powiedziała. – Rozumiesz, co mówię? Odpowiedz.

– Rozumiem – rzekł Jular, przełknąwszy ślinę. – Ach... pani? Myślę, że przeceniasz moje możliwości w kwestiach... hm... aresztowania ludzi i tego rodzaju rzeczach. Prawdę mówiąc...

– Tak, wiem – przerwała mu Ilna. – Jesteś grubym durniem, który pewnie nie wie, gdzie znajduje się miejskie więzienie. Nosisz ten tytuł po prostu dlatego, że inni szlachcice uważają, iż to jeden

z „nich” powinien kierować tak ważnym ministerstwem – przynajmniej na papierze. Mimo to wykonają twoje rozkazy, jeśli je wydasz, prawda?

Julara obrzucano w życiu rozmaitymi inwektywami. Sposób, w jaki ta kobieta wymówiła słowo „nich”, zmienił je w najgorszą zniewagę, jaką kiedykolwiek słyszał. Odchrząknął.

– No cóż – wyjąkał. – Tak, pewnie tak. Oczywiście, w przeszłości oddawałem przysługi.

Niektórym z nich.

Ilna skinęła głową i rozwinęła dwa rulony, rozkładając je na wieku komody.

– Tak też myślałam – powiedziała. – Statek wynajęty przez Benlo bor-Benlimana zawinął przedwczoraj do portu. Te dwie osoby zapewne były na pokładzie. Chcę, żeby przyprawiono je do mnie. Jeśli opuścili Erdin, chcę wiedzieć, dokąd się udali.

Jular spojrział na dwa portrety. Były zdumiewająco realistyczne. Przedstawiały niemodnie opalonego młodzieńca i uderzająco piękną czarnowłosą kobietę.

– Mogą posługiwać się nazwiskami Garric or-Reise i Liane os-Benlo – powiedziała Ilna. – Każ skopiować te obrazy rysownikom, żeby każdy policjant je dostał.

– Tak... – wykrztusił Jular. W tych okolicznościach zgodziłby się nawet przyznać, że jest synem poganiacza osłów. – Sądzę, że mamy ludzi, którzy mogą to zrobić.

Ilna ponownie zwinęła portrety i zawinęła je osobno w kawałki sukna.

– Pewnie zastanawiasz się, co z tego będziesz miał? – spytała.

Jular chciał tylko jak najprędzej wydostać się z tego domu i znaleźć się jak najdalej od tej kobiety. Nie wiedział, co mogłoby się stać, gdyby spróbował uciec. W tym domu było kilku krzepkich służących, lecz to nie ich się obawiał.

Podala mu oba portrety i zważyła w dłoni trzeci rulon materiału.

– Dostaniesz to, kiedy wykonasz zadanie – obiecała. – Dokładnie tego potrzebujesz do twoich prywatnych polowań.

Jej uśmiezek był obraźliwy, lecz Jular już nie był w stanie się rozgniewać.

– Niewątpliwie słyszałeś o moich wyrobach? – dodała.

– Tak – odparł Jular, zainteresowany mimo burzy szalejących w jego mózgu myśli. – Słyszałem, pani. Ta tkanina...

Wskazał na rulon, lecz nie próbował go dotknąć.

– Czy ona tak działa na kobiety jak inne twoje materiały na mężczyzn?

– Nie – odparła krótko Ilna. – Po taką musiałbyś udać się do kogoś innego, zapewne do mężczyzny tkacza, jeśli takowy istnieje. Mimo to można dzięki niej uzyskać taki sam efekt.

Rozwinęła materiał i przewiesiła go przez lewe przedramię, jakby była ekspedientką, a Jular klientem. Pozornie była to tylko czarna tkanina, delikatna jak koronka, niewątpliwie cenna dla kogoś, kto lubi takie rzeczy.

W rzeczywistości rozpałała w Jularze pożądanie, jakiego nigdy nie spodziewał się poczuć. Pragnął tej kobiety, chciał ukorzyć się przed nią, całkowicie się jej poddać...

A jednocześnie przez cały czas wiedział, że zatopiłaby w nim jadowe kły, wysssała z niego krew i zostawiła pustą skorupę w jej pajęczynie. Nieważne. Nic nie było ważne prócz tego, by ją mieć.

Ilna ponownie zwinęła materiał. Jular mocno przytrzymał się komody. Spoglądał za okno, dopóki nie złapał tchu.

– Ten materiał jest znacznie lepszej jakości niż wstążki, które nabywali inni – powiedziała Ilna za jego plecami. W jej głosie słyszał śmiech. – Sądzę, że uznasz go za co najmniej zadowalającą łapówkę. Cnotliwe kobiety, których z pewnością nie zwabiłbyś złotem do łóżka, zapłacą ci każdą cenę, aby wyrzucić nieodparte wrażenie na mężczyznach z ich snów.

Jular doszedł do siebie. Wprostował się.

– Pewnie w twoim towarzystwie będą zatykały nosy – ciągnęła Ilna – ale to nieważne, prawda, Jularze? Ciebie interesuje tylko dopisanie ich do swojej listy.

Jular spojrział na nią. Już się nie bał. Osiągnął stan absolutnego spokoju wynikającego z bezwarunkowej kapitulacji. Zrobiłby dla tej kobiety dosłownie wszystko, byle tylko się od niej uwolnić. Ona o tym wiedziała, a mimo to obiecała dać mu w zamian coś, za co oddałby połowę swej niemałej fortuny.

Jular zważył w dłoni oba zwinięte portrety, nieświadomie naśladowując gest Ilny sprzed kilku chwil.

– Tak, natychmiast się tym zajmę – rzekł. – Dlaczego interesujesz się... – Zreflektował się. – Oczywiście, to nie moja sprawa.

Ponownie spojrział na rulony i wzruszył ramionami.

– Dziewczyna jest śliczna, prawda? – rzekł. – Wiem, że to też nie moja sprawa. Jestem pewien, że tej koronki wystarczy mi na długie lata.

– Doskonale się rozumiemy – powiedziała Ilna. Zadzwoiła dzwoneczkiem. – Do widzenia, panie Jularze.

Jular ujrzał swoje odbicie w szklanym blacie stoliczka. Jego uśmiech był równie paskudny jak grymas na twarzy kilkudniowego nieboszczyka. Nie przejmował się tym. Wiedział kim jest i nie przejmował się tym.

– Do widzenia, pani – powiedział. Służąca otworzyła mu drzwi. Jular zaledwie zdawał sobie sprawę z tego, że była kobietą. Chciał tylko, jak najprędzej stąd wyjść.

A jeśli uda mu się aresztować tych dwoje ludzi, już nigdy nie będzie musiał oglądać uśmiechu Ilny.

Przejście miało idealnie lazurową barwę – kolor nieba na wschód od Barca's Hamlet we wiosenny wieczór. Unosiło się w powietrzu przed Garricem, zbudowane z blasku, który nie oświetlał posadzki ani stojących wokół trumien.

Liane i Tenoctris siedziały po przeciwnych stronach kręgu, który Tenoctris nakreśliła woskiem wokół Garrica. Przy każdym wymawianym na przemian przez obie kobiety słowie, czarodziejka potrząsała różdżką ze świeżej łądy winorośli.

– ...sterxerx! – zawołała Tenoctris, kończąc zaklęcie. Z mieczem w dłoni, Garric wszedł w blask i na leśną dróżkę. Westchnął ze zdumienia i ulgi. Spodziewał się...

Sam nie wiedział, czego się spodziewał. Czegoś strasznego, na przykład czekającego na niego licha lub krateru lawy, która pochłonęłaby go, gdyby choć ruszył palcem.

Tutaj nie wyglądało tak jak w Barca's Hamlet, ponieważ nie było sosen, ale brzozy, hikory, dzikie derenie i dęby wyglądały znajomo. Nawet gruba jak męskie ramię, włochata łądyga trującego bluszczu wijącego się wokół pnia dębu ku niebu wydawała się przyjazna, ponieważ często widywał go w lasach wokół wioski.

Trujący bluszcz żył własnym życiem i nie wtrącał się do twojego, dopóki zostawiałeś go w spokoju. Nie ścigał cię, szczerząc kły lub wymachując zardzewiałym kordelasem. Garric wepchnął miecz do pochwy i pozwolił, by król Carus wycofał się w głąb jego umysłu.

Tutaj panowała wczesna jesień. Drzewa jeszcze nie zaczęły zrzucić liści, lecz wcześniej opadające listowie dereni i klonów znaczyły kolorowe plamy. Powietrze było orzeźwiająco chłodne, niczym w wilgotnym lesie, nawet podczas najbardziej upalnego lata.

Garric przyklęknął i obejrzał ziemię. Na warstwie liści nie znalazł żadnych tropów ani innych śladów stworzenia, które wydeptało tę ścieżkę wśród zarośli. Była dostatecznie szeroka, by mógł nią przejść pieszy lub przejechać jeździec nie mający nic przeciwko temu, że drzewka ocierają się końcami gałęzi o jego kolana.

Garric obejrzał się. Przejście wisiało w powietrzu i przez jego migotliwą taflę widział leśny gąszcz, ale dobrze wiedział, że gdyby wszedł w to światło, znów znalazłby się w grobowcu bor-Benlimanów. Tak powiedziała mu Tenoctris, a on jej wierzył.

Powierzył jej swoje życie.

Poszedł ścieżką, powstrzymując chęć gwizdania. Ten dźwięk poprawiłby mu samopoczucie, lecz Garric wiedział, że nie powinien zwracać na siebie uwagi. Ptaki podśpiewywały do siebie, a na gałęziach rechotały nadrzewne żabki.

– Pomocy! – zawołała ponagłajaco jakaś kobieta. – Och pomóżcie mi, proszę!

Garric wyjął miecz. Nadal był to jego miecz i jego ręka, lecz roześmiany król Carus napierał jak mgła na szybę okna. Garric wiedział z doświadczenia, jak zachować kontrolę nawet wtedy, kiedy wola starego monarchy atakowała go poczuciem groźącego niebezpieczeństwa.

Obaj wiedzieli, że Garric nie jest szermierzem. Tymczasem w razie potrzeby Carus potrafił posługiwać się tą bronią lepiej niż jakikolwiek żyjący człowiek.

Las był stosunkowo rzadki. Rosnące między drzewami paprocie i krzaki nie były żadną przeszkodą dla spieszącego się człowieka. Garric rozchyłał je na boki jak zasłonę.

Kobięcy głos podniósł się do krzyku. Znajdowała się jakieś sześć metrów na lewo od miejsca, w którym spodziewał się ją zastać. W takim miejscu jak to prawie nic nie widać. Młode drzewka

miały większe liście niż ich wyżsi krewni i kołysały się jak chorągwie na wysokości oczu. Zasłaniały wszystko, co znajdowało się w odległości przekraczającej cztery metry.

Garric zatrzymał się i stał nieruchomo, rozglądając się wokół. Było bardzo cicho, umilkły nawet nadrzewne żaby.

Gdzieś w oddali usłyszał kobiecy śmiech, który przez chwilę odbijał się melodyjnym echem.

Odwrócił się i głęboko oddychając szeroko otwartymi ustami, ruszył z powrotem. Bladozielone światło lasu wydawało się przyjazne. Rozglądał się na boki, raz po raz szybko zerkając przez ramię i wypatrując ukrytych w gęstwinie niebezpieczeństw. Nie dostrzegł żadnego, dopóki nie dotarł do czegoś, co powinno być ścieżką, a okazało się brukowaną drogą.

Ptaki trzepotały w gałęziach. Niebieski błysk okazał się trznadlem, który wydziobywał nasiona pomiędzy kamieni. Niebo było teraz trochę ciemniejsze, co było najzupełniej naturalne, gdyż nadchodził wieczór.

Wszystko wyglądało zwyczajnie, oprócz drogi, której nie powinno tu być. Garric miał doskonałe wyczucie kierunku, równie pewne jak wschód i zachód słońca. Nie zablądził, a tymczasem wyłobione w nawierzchni tej drogi koleiny świadczyły, że znajdowała się tu od wieków.

Wepchnął miecz do pochwy. Zastanawiał się, czy powinien wrócić i sprawdzić, czy przejście nadal jest otwarte, ale obawiał się tego, co mógłby zobaczyć.

Jeśli nie z powrotem, to naprzód. Garric podjął przerwany marsz, pogwizdując melodię, którą często grał pilnowanym owcom. Przeszedłszy kilka kroków po twardych okrągłych kamieniach, zszedł na bok i maszerował dalej miękkim rowem na lewo od drogi.

Ta wiała się tak jak ścieżka, którą podążał poprzednio. Lekko wznosiła się lub opadała, może omijając jakieś wzniesienie, które łatwiej było obejść niż zniwelować. Wszystko to wyglądało zupełnie niewinnie – naturalny krajobraz minimalnie zmieniony przez człowieka.

Przeszedłszy pół kilometra przez las, Garric ujrzał kamienny mur. Niewątpliwie z czasów Dawnego Królestwa, a w każdym razie bardzo podobny do stawianych w tamtych czasach: warstwy wielkich, prostokątnych głazów dopasowanych bez zaprawy. Mur wznosił się na dobre sześć metrów, lecz w razie potrzeby Garric bez trudu mógłby się nań wspiąć, nawet ze zwisającym u pasa mieczem.

Jednak nie musiał się wspinać, ponieważ droga wiodła przez łukowatą bramę. Nie było w niej wrót. W pierwszej chwili Garric pomyślał, że odrzwia i ich metalowe części wypadły z kamiennej framugi, lecz nie zauważył w niej żadnych wycięć na zawiasy czy inne uchwyty.

Droga po drugiej stronie muru wyglądała tak samo jak brukowany trakt, na którym stał Garric. Rosnący dalej las był tak podobny do tego, przez który przeszedł, że mógłby być jego lustrzanym odbiciem, gdyby nie stojący po tej stronie młodzian, zastanawiający się, co robić.

Garric uśmiechnął się i zrobił krok naprzód. Poczłł chłód, emanujący z gładkich czarnych kamieni nad nim i po bokach. Jeszcze jeden krok...

I świat przestał być podobny do tego, w jakim był przed chwilą.

Garric znalazł się w wodnym ogrodzie. Strumyczki szemrały w omszonych korytach lub spadały z głazów starannie ułożonych w „naturalny” sposób. Odgłos płynącej wody i brzęczących wśród kwiatów pszczoł był uspokajający i znacznie głośniejszy niż w pierwszej chwili. Głos mówiącego człowieka byłoby słyszeć zaledwie na odległość pół metra.

W niszach w murze stały posągi kobiet o miłych, uśmiechniętych twarzach. Wszędzie było pełno kwiatów: wyrastających ze stawków, rosnących wzdłuż strumieni, różowymi, błękitnymi i fioletowymi gronami pnących się po ścianach. Garric nie rozpoznał żadnego z nich.

Z tej strony nie mógł dojrzeć szczytu muru. Dotknął głazu. Ten był chłodny w dotyku, pociemniały

od długiego kontaktu z powietrzem i twardy jak skalne urwisko, z którego odłupano go przed wiekami.

Nigdzie nie zauważył bramy ani żadnego innego otworu. Najwidoczniej po tej stronie ściany nigdy takiego nie było

– Och, Garricu, tak długo na ciebie czekałyśmy! – zawołały dwa, może trzy dziewczęce głosy.

Garric obrócił się na pięcie. Nikogo nie dojrzał, lecz opadające kaskadą z kraty sznury białych kwiatów kołysały się, jakby przed chwilą ktoś się tam ukrył. Garric podszedł do kwiecistej kurtyny i ostrożnie rozchylił ją lewą ręką. Płatki były wilgotne w dotyku, pszczoły brzęczały z ożywieniem, a w powietrzu unosił się zapach przywodzący na myśl letnie noce.

Prawą dłoń trzymał w pobliżu rękojeści miecza, lecz nie dotykał jej. Po drugiej stronie kraty nie było nikogo.

– Tu jesteśmy, Garricu! – usłyszał.

Ponownie odwrócił się i były tam, otaczając go, jakby wyrosły spod ziemi. Sześć nagich dziewcząt o pastelowych włosach, ze śmiechem ciągnęło go za tunikę długimi, smukłymi palcami.

– Tak nam miło cię widzieć, Garricu! – powiedziała dziewczyna o niebieskich włosach, które migotały jak górski potok. Chwyciła go oburącz za prawą rękę. Palce miała delikatne i chłodne.

Dwie inne złapały go za lewe ramię. Ich różowe i zielone włosy spływały po jego skórze jak deszcz.

– Chodź z nami, Garricu – powiedziały jednocześnie. – Tak się cieszymy, że w końcu przybyłeś!

– Proszę, ja... – zaczął Garric. Nie poczuł dotknięcia, tylko brak ciężaru. Jego miecz znikł wraz z pasem odpiętym przez dziewczynę o włosach barwy pszenicy.

Obrócił się i daremnie próbował odebrać jej broń. Odskoczyła z chichotem i schowała miecz za plecami. Garric objął ją, usiłując chwycić miecz. Dziewczyna niespodziewanie pocałowała go i wymknęła się z jego ramion. Miała puste ręce i broni nie było też w kępie wspaniałych purpurowych kwiatów, przed którą stała.

Wszystkie dziewczęta zaśmiały się wesoło.

Garric miał wrażenie, że kątem oka dostrzega pletwy i łuski.

– Oddajcie mi miecz! – powiedział, czując się jak kompletny dureń. Co zrobiłby mieczem, nawet gdyby go odzyskał?

Dziewczyna o ciemnoczerwonych włosach ujęła go za rękę.

– Chodź z nami – powiedziała. – Damy ci znacznie lepszy miecz.

– Chodź z nami, Garricu! – zawołały wszystkie. Kiedy poruszały się, ich włosy wirowały jak jeziorka kolorowego oleju.

Garric obejrzał się na porośnięty pnączami mur, znajdujący się w miejscu, które wszedł do ogrodu. Dotyk dziewczęcych palców był jak krople letniego deszczu. Nie miał wyboru.

– Dobrze – powiedział. – Pójdę z wami.

Liane oparła się o ścianę i odkaszlnęła, usiłując przeczyścić gardło. Już ochrypła, a od duszącego zapachu palących się świec zbierało się jej na mdłości. Po drugiej stronie kręgu Tenoctris cichym głosem podjęła litanie:

– *Phanoibihoc petriade kralarnade...*

Przed nimi unosiła się w powietrzu błękitna tafla przejścia. Już trzy razy powtarzały zaklęcia, na zmianę, żeby druga mogła odzyskać głos i zwilżyć śliną zeschnięte usta. Tenoctris zaczęła recytować zaklęcie po raz czwarty. Potem znów przyjdzie kolej Liane.

– *Arthu lailam semisilam...*

Zanim otworzyły przejście, powinny przynieść do grobowca żywność albo przynajmniej coś do picia, ale Tenoctris twierdziła, że jest konieczny pośpiech, Garric był gotowy do drogi, a Liane chciała by jak najszybciej zrobił swoje i bezpiecznie wrócił przez portal.

Jeśli Garricowi coś się stanie, będzie to wina Liane, która naraziła go na niebezpieczeństwo.

– *Bachuch bachaxichuch menebaichuch...*

Na zewnątrz zapadł mrok. Drzwi grobowca zostały lekko uchylone, lecz przez szparę nie wpadało już światło dnia, by wspomóc blask świecy, która płonęła obok trumny matki Liane. Portal był jasny, lecz nie rozjaśniał pomieszczenia.

Liane i Tenoctris pozostaną tu, powtarzając zaklęcie, dopóki Garric nie wróci lub póki nie zemdleją z wysiłku. Jeśli potok słów ustanie na minutę lub dwie, przejście zamknie się i na zawsze uwięzi Garrica w płaszczyźnie, do której udał się z powodu Liane i jej ojca...

– *Raracharara anaxarnaxa achara...*

Drzwi grobowca otworzyły się na oścież.

Liane podniosła głowę, spodziewając się dozorca lub któregoś z właścicieli domu. Znajdowała się na własnej ziemi, a w sakiewce miała złoto, które załatwi sprawę, gdyby pojawiła się policja. Tego zaklęcia nie można przerwać!

– *Belias belioas...*

Mężczyzna, który wszedł do krypty, miał puste spojrzenie. Liane krzyknęła i chwyciła brązowy rylec, który trzymała w okuciu tabliczki do pisania. Intruz złapał ją za rękę.

Czas zatrzymał się. Nie było już grobowca, tylko płaszczyzna, na której wszystko istniało jednocześnie.

Intruz zarzucił sobie Liane na ramię. Był tęgim mężczyzną, nie tyle okrytym prześcieradłem, ile spowitym nim. Uderzył Tenoctris, która upadła na trumny. Leżąca na spodzie, najstarsza z nich, rozsypała się pod ciężarem padającej staruszki.

Portal zgasł. Intruz obszedł błękitny blask, stawiając nogi z siłą i rozważą kroczącego po lodzie konia pociągowego. Tenoctris leżała tam, gdzie upadła.

Brązowa trumna Mazzony ważyła co najmniej trzysta kilogramów, a może nawet pięćset. Intruz wziął ją pod pachę i odwrócił się. Końce metalowego pudła skruszyły drewniane trumny, o które zawadziły.

Intruz wyszedł w noc, unosząc Liane i trumnę jej matki. Niebieskawa poświata migotała i falowała wokół niego, a portal znikł na zawsze.

– Kim jesteście? – zapytał Garric, gdy dziewczęta powiodły go wokół sadzawki u podnóża muru. Była ocembrowana miękkim wulkanicznym kamieniem, gładkim i pociemniałym ze starości. Kwiaty lotosu kwitły nad pływającymi na nieruchomej wodzie liśćmi.

– Jesteśmy twoimi przyjaciółkami, Garricu! – odparła dziewczyna o fioletowych włosach.

– Mieszkamy tu! – dodała inna. Nie był pewny, która: może Różowowłosa. Rzadko widział jednocześnie wszystkie sześć, chociaż ani razu nie zauważył, by któraś zniknęła czy ponownie się pojawiała.

Kolorowe rybki pływały w stawku, tuż pod migoczącą powierzchnią wody.

– Jesteście nimfami wodnymi, prawda? – spytał Garric.

Zachichotały.

– Chodź z nami, Garricu, to już niedaleko! – powiedziała Zielonowłosa, przemykając obok.

Opuścili wodny ogród i weszli do oliwnego gaju. Garric nie zauważył, kiedy i jak zaszła ta zmiana. Drzewa były bardzo stare. Ich poskręcane pnie grube jak jego tors. Z gałęzi zwisały czarne owoce. Oliwki musiały bardzo głęboko zapuścić korzenie w tę jałową ziemię, żeby znaleźć wodę i sole mineralne.

Był głodny. Przechodząc pod nisko zwisającą gałęzią zastanawiał się, czy nie zerwać kilku dojrzałych owoców, lecz po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nie jest aż tak głodny.

– Dokąd idziemy? – zapytał. Nie sądził, by nimfy miały złe zamiary, ale wiedział, że nie są jego przyjaciółkami. Nie obchodziło ich to, czego on chciał.

– Już jesteśmy na miejscu! – oznajmiła Błękitnowłosa.

Delikatnie trzymany za ręce przez dwie inne, Garric przeszedł za nią przez podparte kolumnami drzwi. Kolumny były ozdobione sztukaterią, nieco szersze na górze niż u podstawy. Pomalowano je na jaskrawe kolory, wśród których dominowała czerwień i błękit, chociaż większość ścian była kremowobiała.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Garric. W tym momencie był bardziej zirytowany niż przestraszony, ale zaczął się bać.

Nimfy powiodły go korytarzem. Po jednej stronie wznosiły się filary, a po drugiej ozdobiona freskami ściana. Malowidła przedstawiały ludzi walczących z potworami o nogach wijących się jak węże. W tle widać było mroczną krainę, rozświetloną przeskakującymi między chmurami błyskawicami oraz wybuchami wulkanów.

– Nie wiesz? – powiedziała Różowowłosa. Garric nie wiedział, czy drwiła, czy też naprawdę spodziewała się, że rozpozna to otoczenie. – To pałac, głuptasie. Pałac Malkara!

Garric stanął jak wryty. Dziedziniec po drugiej stronie kolumnady nie był zadaszony, ale niebo nad nim spowijał mrok nocy lub burzowe chmury. Garric nie miał pojęcia, skąd pada łagodne szare światło rozjaśniające korytarz.

– Dlaczego zabieracie mnie do Malkara? – zapytał spokojnie. Teraz wiedział, że gdyby odwrócił się i pobiegł z powrotem, nie znalazłby już drogi, którą tu przybył. Próbując uciekać, tylko naraziłby swoją godność. I tak niewiele mu jej zostało, skoro pozwolił, by sześć rozchichotanych dziewcząt prowadziło go na spotkanie śmierci lub czegoś jeszcze gorszego.

– Och, nie zabieramy cię do Malkara! – powiedziała ze zgrozą Szafranowłosa. Jej pozostałe siostry znikły na moment, chociaż zanim zdążył mrugnąć okiem, znów patrzyły na niego

z przerażeniem. – Och, Garricu, nie zrobiłybyśmy czegoś takiego!

– Prowadzimy cię do miecza – rzekła Zielonowłosa. – Przecież chciałeś mieć miecz, Garricu.

– My nie mamy nic wspólnego z Malkarem – rzekła Różowowłosa. – To byłoby okropne!

– Chodźmy po ten miecz – zachęciła Błękitnowłosa.

A Fioletowowłosa dodała karcącym tonem:

– Przestraszyłeś nas takim głupim podejrzeniem, Garricu!

Garric pobiegł z nimfami korytarzem. Był przekonany, że żałowałyby, gdyby spotkało go coś złego, tak samo jak dziecko przez dzień czy dwa oplakuje martwe kocię. Zastanawiał się, czy w tym miejscu, do którego go zwabiono, w ogóle istnieje czas.

Pomylił się co do fresków: w rzeczywistości pokazywały potwory walczące z ludźmi, a nie odwrotnie. Wężonogie stworzenia roily się w ruinach ludzkich miast, triumfalnie wymachując pochodniami i orężem. Garric usiłował nie patrzeć na te obrazy.

Nimfy zaprowadziły go do komnaty o wysokim sklepieniu i pasmach geometrycznych wzorów na ścianach. Z wbitych w ściany kołków zwieszały się ogromne tarcze nieznanego typu: w kształcie ósemek i pokryte odwróconymi włosiem w dół skórami srokatek mułów. Obok każdej tarczy umieszczona była długa włócznia z brązowym grotem.

– To jest wartownia – wyjaśniła Różowowłosa. Garricowi wydało się, że powiedziała to bardzo głośno.

Wskazała na kasetonowe drewniane drzwi na drugim końcu pokoju. Były to pierwsze zamknięte drzwi, jakie Garric ujrzał w tym pałacu.

– Za nimi znajduje się sala tronowa – oznajmiła. – Ale tam nie pójdziemy.

– Och nie! – powiedziało chórem kilka innych nimf.

– A tutaj jest miecz, Garricu – rzekła Zielonowłosa, wskazując na wiszącą z prawej strony drzwi broń. – Tak, jak ci obiecałyśmy.

– Nie poznajesz jej? – spytała Różowo włos, wyciągając obie ręce i przegarniając palcami wspaniałą grzywę. – To miecz króla Carusa.

To rzeczywiście miecz króla Carusa!

– No weź go, głuptasie! – zachęciła Szafranowowłosa.

Garric zrobił krok naprzód i zdjął z kołka pas z mieczem. Chwycił owiniętą rzemieniem rękojeść i wyciągnął z pochwy kilka centymetrów klingi. W myślach ujrzał kalejdoskop obrazów – z życia króla Carusa, nie własnego. Jakby wyszedł z ciemnego pokoju na światło dzienne: w porównaniu z tym bladło wszystko, czego dokonał Garric or-Reise.

– Dotknij metalu, Garricu – powiedziała Fioletowowłosa. – Jeśli dotkniesz tego żelaza, nie będzie na ciebie działał żaden czar.

Proste ostrze było dłuższe niż miecz darowany przez Benlo, lecz idealnie wyważone i nie nazbyt ciężkie. Rękojeść, krzyżyk i jelec były wykute z tego samego kawałka stali. Garric uważnie przyjrzał się rękojeści, żeby mieć pewność, ale nie dostrzegł żadnych linii wskazujących na to, że zrobiono je osobno i przylutowano później.

Wewnątrz jelca znajdował się pierścień na palec wskazujący, by szermierz nigdy nie tracił kontaktu z orężem. Garric wsunął weń palec. Rękojeść idealnie pasowała do jego dłoni.

W powietrzu przed nim unosiła się rybka o pastelowych płetwach. Wyrwał palec z pierścienia.

– Chodźmy już stąd, Garricu – rzekła Zielonowłosa. – Nie chcemy zostawać tu zbyt długo.

Wyszli drzwiami, przez które tu weszli. Nimfy otaczały go jak kręgi wiosła. Na zewnątrz był brukowany dziedziniec z fontanną na środku. Odlana z brązu dziewczyna trzymała parę gęsi, z których otwartych dziobów woda tryskała do zbiornika na dole.

Sześcioboczny dziedziniec miał co najmniej dwadzieścia łukowatych drzwi na każdej ścianie. Ta architektura wcale nie przypominała pałacu, do którego Garric wszedł przed kilkoma minutami.

Owinięty wokół pochwy miecza pas był z grubej skóry i tak szeroki, że jego klamra miała dwa ząbki. Garric zastanawiał się, czy powinien się nim opasać.

– Panienki? – powiedział niepewnie. – Dziękuję za miecz, ale teraz muszę już wracać. Ludzie czekają na mnie... hm... tam, skąd przybyłem. Czy możecie pokazać mi powrotną drogę?

Nimfy zaśmiały się wesoło. Błękitnowłosa chwyciła go tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pojawiły się przed nim.

– Och, głuptasie! – powiedziała. – Dałyśmy ci to, czego chciałeś, Garricu, żebyś teraz ty dał nam to, czego pragniemy!

– A my pragniemy ciebie! – zawołały radosnym chórem pozostałe nimfy.

Cashel przechylał się przez reling „Złotego Smoka”, spoglądając w dół, na fosforyzujący odkos dziobowy. Siedzący w pobliżu masztu żeglarz grał na lutni o szyjce zgiętej pod kątem prostym. Kilku towarzyszy siedziało u jego stóp, kołysząc się w rytm melodii.

– Kocham wasze gwiazdy – powiedziała Mellie, leżąc na relingu obok Cashela i trzymając głowę na splecionych dłoniach. – One są takie jak wy, ludzie: poruszają się, a potem znów są takie jak przedtem.

Podniosła prawą nogę i wyprostowała stopę, jakby celowała w księżyc w pełni.

– No wiesz – powiedziała z uśmiechem do Cashela – wy zawsze robicie to samo. Budujecie miasta, a potem niszczycie je i zabijacie wszystkich mieszkańców. Sądzisz, że to dlatego, że używacie żelaza?

Cashel spojrzał na duszkę i starał się nie marszczyć brwi. Nigdy nie wiedział, kiedy żartowała. Nie miał pewności, czy kiedykolwiek żartowała tak jak ludzie.

Wiał łagodny wietrzyk i widzialność była dobra, lecz statek płynął z częściowo zrefowanym grotzagle, ponieważ kapitan uważał, że Erdin znajduje się tuż za horyzontem. Nawigacja z daleka od lądu była bardziej dziedziną sztuki niż wiedzą ścisłą. Trzeba było liczyć się nawet ze stukilometrowym odchyleniem, szczególnie podczas rejsu drogą, jakiej załoga jeszcze nigdy nie przebyła. Znacznie mniejszy błąd mógł wprowadzić „Złotego Smoka” na przybrzeżne skały Sandrakkanu, gdyby kapitan płynął w ciemności pod pełnymi żaglami.

– Żelazo jest dobre do wielu rzeczy – powiedział Cashel, ponownie spoglądając w wodę. – Pewnie, lubię dotykać wygładzonego drewna, lecz na obręcz do wozu lub lemiesz nie ma jak żelazo.

Na galerijce na rufie, gdzie na wyciągach wisiała szalupa, jakiś góral grał na bambusowym flecie. Nie grał tego samego, co lutnik – Cashel podejrzewał, że to w ogóle nie była żadna konkretna melodia – a mimo to oba instrumenty tworzyły przyjemny podkład do odgłosów morza.

Westchnienia omywających kadłub fal przycichły, gdy Cashel uważnie się im przyjrzał. Miał wrażenie, jakby woda znikła i statek unosił się w powietrzu. W dole pływała ryba płonąca własnym różanym blaskiem. Miała dziesięć metrów długości i prostą płetwę ogonową, nie wachlarzową, jakie przywykł oglądać Cashel.

– Co to jest? – zapytał ze zdumieniem.

– Hmm? – powiedziała Mellie, obracając się na brzuchu i wychylając głowę za reling.

Ryba znikła w bezmiarze niewidocznego morza. Ludzie tańczyli wokół ołtarza na zboczu wzgórza, wykonując skomplikowane figury. Ich postacie były maleńkie, lecz Cashel widział każdy szczegół ich rysów i strojów. Na ich twarzach malowało się napięcie, jakby tańczyli ze strachu, a nie z radości.

– Och, oni martwią się o zbiory – powiedziała Mellie. Obróciła głowę i po raz pierwszy Cashel ujrzał jak zmarszczyła brwi. Dodała: – Powinieneś trzymać się od nich z daleka, Cashelu. Oni nikogo nie lubią, chociaż udają, że jest inaczej.

Cashel spojrzał w dół. Czy widział dno? Marynarz stojący na oku wydawał się niczego nie dostrzegać.

– Kim oni są? – spytał Cashel. Wzgórze przesunęło się pod kilem, razem z tancerzami i wszystkim. Nie mógł tego pojąć.

– Och, patrz! – zawołała Mellie, wskazując ręką. Pomachała nogami ze wzburzenia. – Cashelu, to

twój przyjaciel, Garric! Och, złapały go nimfy!

Zachichotała.

– Powinien był uważać – powiedziała. – Jest dość miły jak na człowieka, ale nie tak silny jak ty.

– Garric? – powtórzył Cashel, wychylając się za burzę. – Co on...

To rzeczywiście był Garric i wyglądał dokładnie tak jak wtedy, kiedy Cashel po raz ostatni widział go w Carcosie. Stał na wielkim dziedzińcu, otoczony przez rozradowane dziewczęta, z niepokojem rozglądając się wokół.

– Co on robi pod wodą? – spytał Cashel, po krótkim wahaniu dokończywszy zdanie.

– Złapały go nimfy – powtórzyła cierpliwie Mellie. – Jak myślisz, po co tam poszedł? One nigdy go nie wypuszczą.

Prostokątny tekowy dziób „Złotego Smoka” sunął naprzód. Cashel musiał wychylić się jeszcze bardziej, żeby nie stracić z oczu dziedzińca.

– Nie możemy mu pomóc? – zapytał niespokojnie.

– No, ty oczywiście możesz – powiedziała Mellie. Przeskoczyła z relingu na potężne ramię Cashela i zaczęła tańczyć. – Po prostu wyskocz za burzę.

Wskazała ręką.

Nie wahając się dłużej niż zrobiłby to na widok wylaniającego się z fal wilka morskiego, zamierzającego zaatakować jego stado, Cashel przerzucił prawą nogę przez reling i dał nura. Nawet nie poczuł uderzenia o wodę, gdy „Złoty Smok” znikł w niebie nad jej powierzchnią.

– Och! – wykrzyknęła ze zdumieniem Błękitnowłosa. Nimfy spoglądały na coś, co znajdowało się za plecami Garrica. Odwrócił się i ujrzał Cashela, wchodzącego jednym z wielu drzwi na dziedziniec. Na ramieniu miał małą dziewczynę, idealnie zbudowaną i różniącą się od zwyczajnej kobiety jedynie rozmiarami oraz niesamowicie czerwonymi włosami.

– Cashelu! – zawołał. – Co ty tu robisz? I kto siedzi na twoim ramieniu?

Nimfy przysunęły się do Garrica. Błękitnowłosa stanęła między nim a nowoprzybyłymi. Ona i jej siostry były zaniepokojone, ale i zdeterminowane.

Cashel zerknął na ramię.

– Och, to Mellie – odparł. – Nie sądziłem, że możesz ją zobaczyć. Pewnie śnię.

– Musicie go wypuścić, Cyjan – powiedziała Mellie do niebieskowłosej nimfy.

– Garric jest nasz! – upierała się Błękitnowłosa. – Ty masz własnego, Mellie! Po co tu przybyłaś?

Cashel pozornie nie zwracał uwagi na ich spór.

– Mellie mówi, że możemy pomóc ci wydostać się stąd – powiedział do Garrica. – Chociaż jeśli to sen, to sam nie wiem. Jak się czujesz?

– Nieźle – odparł Garric. – Chociaż trochę się pogubiłem.

Roześmiał się i dodał:

– Teraz dochodzę do siebie. Myślę, że ja też śniłem, ale chciałbym się obudzić.

Dobrze było znów zobaczyć Cashela. Emanował poczuciem bezpieczeństwa, z jakim nie mogło się równać nic na tym, a być może i w rzeczywistym świecie. Zawsze można było mieć pewność, że Cashel nie wybierze złej drogi, nawet jeśli często nie chciało mu się podążać żadną z wielu dobrych.

– Cashel chce, żebyście wypuścili jego przyjaciela – powiedziała mała dziewczyna na ramieniu Cashela. – On jest jeszcze silniejszy niż sądzicie. Zróbcie co mówi, Cyjan, albo...

Pomachała małymi rączkami gestem równie groźnym jak pomruk nadciągającej z nad morza burzy.

– Śniło mi się, że wyskoczyłem za burtę statku – rzekł Cashel. Zmarszczył brwi, usiłując przywołać wspomnienia. – Tylko że nie było tam żadnej wody. Po prostu przeszedłem przez drzwi.

– Ja podążałem drogą, ale zszedłem z niej i zabłądziłem – wyjaśnił Garric. – Znalazłem ten...

Popatrzył na miecz i ponownie zastanowił się, czy powinien go sobie przypasać.

– ...chociaż wcale go nie szukałem. A przynajmniej tak sędzę.

On też zmarszczył brwi.

– To nie w porządku! – zawołały chórem nimfy. Zielonowłosa wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozplakać z rozczarowania.

– Pokażcie przyjacielowi Cashela, jak stąd wyjść – odparła z okrutną nonszalancją Mellie – inaczej Cashel utoruje mu drogę. Wiecie, że to robi.

– Spotkałem Mellie po drodze do Carcosy – rzekł niejasno Cashel. – Wtedy nic nie mówiłem, ponieważ nie przypuszczałem, że możesz ją zobaczyć. Pewnie widzisz ją tylko we śnie?

Garric wzruszył ramionami. Zakładał pas. Miał do dyspozycji pięć dziurek. Zapiął pas o jedną dziurkę ciaśniej niż poprzedni właściciel.

– To nie w porządku – jęczała Zielonowłosa, biorąc Garrica za rękę i delikatnie ciągnąc za sobą. Zawahał się i spojrzął na Cashela.

– Idź z Prasiną – poradziła Mellie. Garric słyszał jej głos równie wyraźnie, jakby miała wzrost

zwyczajnej kobiety. – I powinieneś bardziej uważać, w co się pakujesz. Następnym razem w pobliżu może nie być mojego Cashela i nikt nie przyjdzie ci z pomocą!

Oparła ręce na biodrach, pochyliła się i pokazała Garricowi język.

– Mellie! – powiedział zmieszany Cashel. Dziewczyna wybuchła śmiechem i jedną ręką poklepała go po płatku ucha, a drugą pomachała Garricowi.

Prasina ponownie pociągnęła go za sobą. Jej siostry znikły gdzieś, kiedy nie patrzył. Poszedł za zielonowłosą nimfą ku jednemu z przejść.

– Żegnaj, Cashelu! – zawołał przez ramię. – Miło było cię widzieć, nawet we śnie.

Jeśli to był sen...

Prasina przystanęła przy drzwiach.

– Tędy możesz wrócić, Garricu – powiedziała. – Droga, którą przybyłeś, jest zamknięta, ale ta i tak jest krótsza.

Uśmiechnął się z przymusem do nimfy. Cashela i jego małej przyjaciółki już nie było na dziedzińcu. Garric bał się odezwać choć słowem, żeby jednak tu nie pozostać, tak więc wskoczył w drzwi.

– Żegnaj, Garricu! – zawołała za nim nimfa. – Nie schodź ze ścieżki!

Korytarz był wyłożony żółtymi sosnowymi deskami z mnóstwem sęków. Z każdym krokiem było w nim ciemniej, lecz plamy grzyba na drzewie jarzyły się słabym światłem, z którym po chwili oswoił się wzrok Garrica. Do tego czasu szedł, wodząc po ścianie palcami prawej ręki.

Szedł zwawo, lewą ręką przytrzymując pochwę z mieczem, żeby nie obijała mu się o nogi. Robił to bezwiednie, zupełnie instynktownie, ale podejrzewał, że Carus sprzed tysiąca lat musiał się tego nauczyć.

Trzydzieści metrów od wejścia dotarł do skrzyżowania z innym korytarzem. W odgałęzieniu po prawej paliły się światła i słychać było wesołą muzykę.

Tym razem Garric nie miał zamiaru schodzić ze ścieżki, którą podążał. Gdyby zobaczył, że w bocznym korytarzu mordują jego siostrę, uznałby to za złudzenie i poszedł dalej.

Poszedł dalej, modląc się do Pasterza, żeby rzeczywiście było to złudzeniem.

Dotarł do miejsca, gdzie zawaliło się sklepienie. Przeszedł przez zawał. Między kamieniami leżał hełm z brązu i złota rękojeść miecza, lecz ostrze i kości posiadacza tej broni już dawno rozpadły się w proch.

Kamienne ściany pokrywała śluzowata grzybnia. Garric kilkakrotnie przeskakiwał przez szerokie szczeliny w dnie tunelu, z których wydobywało się gorące powietrze o zapachu siarki. Korytarz zmienił się w wykuty w litej skale tunel. W jednym miejscu od ściany do ściany przechodziła metalowa rura. Była zimna i cicho brzęczała, kiedy ją dotknął.

Garric ujrzał przed sobą światło. Przygryzł wargi i nie rzucił się biegiem, tylko nadal podążał zwawym krokiem. Coś z trzaskiem rozsypało się pod twardą podeszwą jego stopy. Miał wrażenie, że to nagie kości pozbawione osłony mięśni i futerka.

Tunel zakończył się owalną salą o średnicy kilkudziesięciu metrów. Ze sklepienia spływało oślepiająco jasne światło. Garric nie potrafił ocenić wysokości tego pomieszczenia, lecz to światło przygniatało go do ziemi. Przystanął i puścił pochwę miecza. Bolała go ręka. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak mocno ścisną broń.

Do podłogi były przymocowane maszyny, których przeznaczenia nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Większość z nich rozpadła się w stosy rdzy, z których sterczały rurki z jakiejś krystalicznej substancji, niektóre potłuczone.

Wyjście znajdowało się kawałek dalej, po prawej stronie. Garric odetchnął z ulgą. Dopóki nie

dostrzegł tego prostokątnego otworu w ścianie, obawiał się, że jednak nie zdoła się wyrwać z tego koszmarnego snu. W nieco lepszym humorze poszedł do wyjścia, pozwalając, by miecz swobodnie kołysał mu się na biodrze.

Po drugiej stronie korytarz poszerzał się, ale prawie zatarasował go szkielet olbrzyma, który tutaj utknął. Prawą rękę miał wyciągniętą, a kości palców leżały tuż przy wejściu do owalnej sali.

Garric przecisnął się obok czaszki, której skronie były oddalone od siebie o dobry metr. Miała tylko jeden oczodół w miejscu, gdzie u człowieka znajduje się nasada nosa. Garric nie wiedział, czy było to kalectwo, czy też charakterystyczna cecha wszystkich krewniaków tego olbrzyma. Kości były zdecydowanie grubsze od ludzkich.

Klatka piersiowa jeszcze się zachowała. Pajaki wielkości dłoni Garrica wisały na cienkich jak jedwab pajęczynach o zygzakowatym wzorze. Na widok nadchodzącego czmychnęły do kryjówek między kolczastymi kośćmi kręgosłupa.

Włochate ciała pajaków były brudno żółte, a ich mnogie ślepia lśniły w blasku sączącym się obok Garrica i trupiej czaszki. Przedzierał się przez pajęczyny, udając, że to cienki materiał, powtarzając sobie, że nie boi się opastych żółtawych ciał, spadających mu w ciemności na szyję.

Tędy wiodła droga z kosmaru. Wracał do przyjaciół. Szedł do domu i strach go nie powstrzyma.

Korytarz skręcił. Zrobiło się zupełnie ciemno. Garric wymacał sobie drogę po biodrze potężniejszym niż miednica słonia. Zszedł na dół, prawą ręką przytrzymując się wielkiej kości udowej, i nie wyczuł pod nogą podłogi.

Krzyknął. Rozpaczliwie usiłował złapać się puszczeli, lecz palce ześliznęły mu się z gładkiej powierzchni. Runął w mrok, odruchowo podkurczając nogi. Uderzenie o kamienne podłoże wstrząsnęło nim tak samo jak fakt, że znajdowało się ono trzy metry niżej niż oczekiwał, ale wylądował na nogach.

Stał na środku kręgu, nakreślonego przez Tenoctris na podłodze grobowca. Świeca na pustej półce przewróciła się, lecz nadal płonęła w kałuży wosku. Drzwi stały otworem, a na zewnątrz była ciemna noc.

Tenoctris leżała nieprzytomna na posadzce, a po Liane nie było żadnego śladu.

Cashel ocknął się. Słońce stało już wysoko na niebie, a seriańska załoga wśród ożywionych rozmów refowała żagiel. Cashel podniósł głowę i zobaczył, że „Złoty Smok” płynie korytem szerokiej rzeki. Unosili się na brązowej wodzie, a po obu stronach aż po horyzont rozpościerały się moczary.

Zerwał się na równe nogi.

– Mellie? – zawołał, nagle przeraziwszy się, że duszka była tylko częścią snu.

Mellie zjechała po puklu jego włosów i specjalnie zakołysała mu się przed oczami, zanim zeskokczyła. Wywinęła salto w powietrzu, a potem wylądowała na jego ramieniu i stanęła na rękach.

– Dobrze spałeś, Cashelu? – spytała go, stojąc głową w dół.

Cashel odetchnął z ulgą. Tunikę miał suchą, może trochę wilgotną na ramionach, gdzie zmoczyły ją bryzgi fal. Z pewnością nie pływał w morzu.

– Nie mam pojęcia, jak mogłem tak zaspać – rzekł, spoglądając na krzątającą się na pokładzie załogę. Marynarze musieli go omijać, żeby postawić żagiel, gdy pozwolił na to brzask i by teraz zwinąć płótno, gdy ruch na rzece nakazywał zachować ostrożność. Dwaj uśmiechnięci marynarze zaczęli obracać kabestan, którego nie mogli użyć, kiedy spał pod nim Cashel.

– Powinni byli mnie zbudzić – rzekł. Zbytnia uprzejmość Serian lub obawa przed nim nie pozwoliły, by zbudzić go kopniakiem w żebra, na jaki zasługiwał. Cashel zawstydził się.

Jen i Frasa stali na mostku. Kiedy zauważyli, że Cashel spogląda w ich kierunku, złożyli dłonie i skłonili mu się. Zaczerwienił się i odpowiedział ukłonem.

Zaraz trzeba będzie użyć wiosł. Wtedy im się przyda.

– Nigdy nie widziałam Erdinu – powiedziała Mellie. – Chociaż podejrzewam, że to tylko miasto. Od tysiąca lat nie byłam na Sandrakkanie. Tam często pada i można spotkać rodzaj prądkowanego kota, który jest znacznie szybszy od lisa.

Zachichotała i usiadła na ramieniu Cashela.

– Oczywiście, być może wy, ludzie, wyłapaliście je wszystkie i zrobiliście sobie z nich ubrania. Zawsze robicie takie rzeczy.

– Zeszłej nocy miałem sen, Mellie – powiedział powoli Cashel.

– Nie, nie, Cashelu – odparła ze śmiechem duszka. – Przecież wcale nie spałeś. Nie pamiętasz? Byłeś zbyt zajęty pomaganiem twojemu przyjacielowi Garricowi.

Prokurator zakołysała się w wynajętej lektyce, gdy czterej tragarze oparli sobie uchwyty na ramionach i potruczali w kierunku rezydencji bor-Dahlimanów w centrum Erdinu. Miejskie przepisy zabraniały używania pojazdów kołowych za dnia, a do zachodu słońca pozostały jeszcze trzy godziny. Asera nie chciała czekać, więc wynajęła lektykę czekającą przed zajazdem na północnych przedmieściach.

Sharina zacisnęła dłonie, zastanawiając się, czy teraz, kiedy dotarli do miasta, powinna czuć ulgę. Bor-Dahlimanowie byli sandrakkańską szlachtą popierającą króla i prawdopodobnie przeciwną earlowi Sandrakkanu. Jediną rzeczą łączącą prokurator z jej miejscowym kontaktem była niechęć do earla, lecz to powinno wystarczyć.

Asera załatwi dla całej ich czwórki żywność, ubrania i zakwaterowanie, dopóki nie znajdzie miejsc na statku do Valles. Polityczna rywalizacja między Sandrakkanem a Ornifal nie zahamowała handlu prowadzonego przez statki obu tych wysp ani przewozu towarów przez niezależnych kupców.

Sharina nie pamiętała, czy podczas jej pobytu w Barca's Hamlet wiedziała o tym, że Sandrakkanem rządzi earl. W czasach Dawnego Królestwa Sandrakkan był barbarzyńskim miejscem, wymienianym w epickich poematach jedynie jako skalisty brzeg lub ojczyzna zagrażających bohaterom dzikusów. Zwróciła się do Nonnusa.

– Myślałam o starych poematach epickich, Nonnusie – powiedziała. – Widzieliśmy skalisty brzeg Sandrakkanu. Zastanawiam się, czy ujrzymy tam dzikusów, o których wciąż mówiono?

Pustelnik uśmiechnął się, chociaż trudno byłoby zdecydować, czy wyraz jego twarzy można by uznać za „nieobecny” czy „ponury”.

– Z pewnością cywilizowany człowiek będzie uważał Sandrakkan za nieprzyjazny brzeg lub krainę dzikich – rzekł. – Twoi poeci powinni popłynąć na wyspę Pewle, żeby zobaczyć jak naprawdę stoją sprawy.

Zatrzymali się w rządowym zajeździe dla dylizansów, tak jak przez ostatnie cztery noce podróży na południe. Nie mieli innego wyboru, bo powóz Callina miał herb earla Sandrakkanu i nocując gdzie indziej, wzbudziłiby jeszcze większe podejrzenia, niż swym podejrzanym wyglądem.

Teraz powóz stał na podwórzu wraz z dwoma innymi, z których jeden był prywatnym pojazdem bogatego ziemianina. Foryś, młody gbur w rdzawej tunice, w której wyglądał jak rudzik, mył lakierowane boki powozu, podczas gdy woźnica – sługa stojący w hierarchii znacznie wyżej od niego, popijał w gospodzie.

Foryś jechał uczepony tylnej ściany karety, gdzie najgorzej trzęsło i najbardziej się kurzyło. Miał dodawać splendoru zaprzęgowi, tak samo jak kity piór na końskich łbach. Ponadto otwierał drzwi przed pasażerami i czyścił pojazd podczas postojów.

Nie było to stanowisko, z jakiego człowiek mógł być dumny, ale foryś miał o sobie lepsze mniemanie niż Sharina. Prawdę mówiąc, nawet lepsze niż ona o królu Valles. Teraz oczyściłaby ich powóz, gdyby nie wiedziała, że przy korycie z wodą spotka forysia.

Nonnus rozważył sytuację.

– Może wejdiesz do środka, dziecko? – rzekł. – Ja podziękuję Pani i wkrótce do ciebie dołączę.

Sharina zawahała się. Chętnie by mu towarzyszyła, ale wiedziała, że pustelnik woli modlić się w samotności. Zaproponował, by weszła do środka, ponieważ tam nikt nie będzie jej niepokoił. Personel stajni, dwaj stajenni i chłopak, byli ulepieni z tej samej gliny co foryś i samotna kobieta nie

była bezpieczna w ich towarzystwie. Tylko że Meder wszedł do gospody razem z prokuratorem i pozostał tam, kiedy Asera odjechała. Ponadto po całym dniu tłuczenia się w powozie, Sharina chciała odetchnąć świeżym powietrzem. Kabina karety była zawieszona na skórzanych pasach, a nie zamocowana bezpośrednio do osi. To zmieniało pomniejsze wstrząsy w łagodne kołysanie, lecz nie tłumilo podskoków kół trafiających na wyboje lub głębokie dziury.

– Przejdę przez kuchnię – powiedziała Sharina, ruchem głowy wskazując na tyły budynku. W tej samej chwili z drzwi kuchni wyszła dziewczyna i odwróciła się. Na głowie miała jedną drewnianą tacę, a drugą trzymała w rękach. Pod muślinowymi ściereczkami chroniącymi od much znajdowały się bochenki chleba. Dziewczyna niosła je do znajdującego się na zewnątrz pieca.

Nonnus przytaknął skinieniem głowy. Między kuchnią a piecem i studnią panował zbyt ożywiony ruch, żeby mężczyźni ze stajni nie próbowali zaczepiać Sharinę.

– Nie odejdę daleko – rzekł. – Ani na długo.

Nadal miał wątpliwości. Sharina poklepała go po ręce i z wawo ruszyła w kierunku kuchennych drzwi, zanim zdążył zmienić zdanie i pójść razem z nią.

Nonnus odczekał jeszcze chwilę, po czym podszedł do bocznej furtki. Chłopak stajenny zostawił ją otwartą, kiedy wracał po wysypaniu taczki nawozu na leżącą tam stertę. Nawóz zbierany w takim ruchliwym zajeździe był cennym towarem, chętnie nabywanym przez okolicznych farmerów.

Meder wyszedł z bocznych drzwi gospody i zauważył Sharinę zmierzającą na tyły budynku. Natychmiast skręcił, żeby do niej dołączyć.

Czarodziej zręcznie powoził kareta z Gonalii, czego nie potrafili pozostali. Jako szlachcic umiał kierować czwórka koni, co było czynnością równie skomplikowaną jak pieczenie chleba czy oprawianie foki. Sharina mogłaby policzyć na palcach, ile razy widziała w Barca's Hamlet cztery konie naraz i nie przypuszczała, by na wyspie Pewle było ich więcej.

Gdyby nie umiejętności Medera, arystokraci pojechaliby zapewne na wierzchowcach żołnierzy, a Sharina i Nonnus musieliby iść pieszo. W żaden sposób nie zdołaliby odbyć tak długiej podróży na kawaleryjskich wierzchowcach, nie łamiąc sobie przy tym kończyn lub karków.

Jednakże z tego powodu Sharina wcale nie polubiła czarodzieja, ani nie zapragnęła jego towarzystwa. Zmienił się w lochach Gonalii, lecz jej zdaniem bynajmniej nie na korzyść. Zmierzyła go zimnym spojrzeniem i z rozmysłem odwróciła się do niego plecami.

Mimo to podszedł do niej.

– Panienko Sharino – powiedział z udawanym ożywieniem. – Z pewnością cieszysz się z powrotu do cywilizacji. Bor-Dahlmanowie to stara rodzina. W ich posiadłości na pewno będzie nam wygodnie.

Sharina ponownie spojrzała na niego. Meder zapewne nie nazwałby cywilizowanym żadnego miejsca, w jakim przebywał od wyjazdu z Valles. Zajazdy, w których zatrzymywali się we czwórka, od kiedy opuścili Gonalie, były dość wygodne, chociaż żaden z nich nie był równie czysty jak gospoda prowadzona przez Reisego.

Jedyną prawdziwą wadą sandrakkańskich zajazdów było to, że nie były domem. Na myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy domu, Sharina żałowała, że nie utonęła w morzu wtedy, kiedy zanurkował w nie tamten gigantyczny żółw.

Meder niepewnie zamrugnął oczami, kiedy nie odpowiedziała. Wyraz jego twarzy zmieniał się jak w kalejdoskopie, a poszczególne miny nie pasowały do siebie.

– Przed nami jeszcze podróż do Valles – rzekł Meder. Rozpaczliwie usiłował skłonić ją do tego, by zaakceptowała go jako człowieka. – Jestem jednak pewny, że na dużym statku handlowym będzie nam wygodniej niż na okręcie, na którym uparła się płynąć Asera.

Jeśli nikt nie zaatakuje nas na morzu, pomyślała Sharina, chociaż dotychczas żywi ludzie nie byli dla nich największym zagrożeniem. Nie gniewała się na Medera, czuła tylko obrzydzenie i niesmak za każdym razem, gdy przypomniła sobie jak stał w kałuży krwi.

– Panie Mederze... – zaczęła.

Zamierzała bez ogródek powiedzieć mu, że nie życzy sobie jego towarzystwa ani teraz, ani nigdy. Zerknąwszy przez ramię, zauważyła wychodzącego ze stajni chłopca, który uśmiechał się z satysfakcją. *Czyżby podglądał Nonnusa przez szparę w deskach?*

Za chłopcem szli dwaj stajenni. Jeden z nich trzymał widły do gnoju. Zmierzali do bocznej furtki.

Sharina ruszyła w tym kierunku, zostawiwszy Medera jakby był kołkiem w płocie. Wiedziała, że nawet biegiem nie zdążyłaby dotrzeć do furtki przed tamtymi.

Oszczep pustelnika został w powozie. Erdin nie był miastem, po którym zwykli ludzie chodzili z włóczniami na ramieniu. Oczywiście, Nonnus miał swój pewlański nóż.

Na pewno odłożył go do modlitwy.

– Nonnusie! – zawołała Sharina, której zostało jeszcze kilka kroków do bramy, którą otworzyli stajenni. Obaj byli roslymi mężczyznami. Jeden miał czarne włosy oraz brodę i utykał, natomiast jego towarzysz z widłami był wysoki i chudy, o zbyt długich rękach i nogach.

Chłopiec stajenny odwrócił się do Shariny i odskoczył z jękiem przerażenia, gdy zobaczył sztylet, który wyjęła zza pasa. Chłopakowi brakowało przedniego zęba, a czoło pod grzywą brudnych blond włosów miał usiane pryszczami.

Foryś złapał Sharinę od tyłu za oba łokcie. Kopnęła, lecz nie mogła dostatecznie wysoko unieść nogi, żeby zrobić mu krzywdę bosą piętą. Foryś pchnął ją naprzód i uderzył jej prawą ręką o mur, aż wypuściła sztylet. Wniósł ją do zaułka, a chłopak stajenny wszedł za nimi i zamknął bramę. Podniósł sztylet i pogardliwie spojrzał na Sharinę.

Pewlański nóż wisiał na bramie. Nonnus stał pod drewnianym płotem po drugiej stronie zaułka i uśmiechał się, dopóki nie zobaczył Shariny w uścisku forysia. Wtedy jego twarz przybrała kamienny wyraz.

Sharina natychmiast zrozumiała swój błąd. Uliczka była otwarta z obu końców, chociaż wielka sterta słomy i końskiego nawozu po prawej byłaby raczej cuchnącą drogą ucieczki, lecz płot nie stanowił żadnej przeszkody dla mężczyzny tak atletycznie zbudowanego jak Nonnus. Gdyby się nie wmieszała, ta sytuacja groziłaby mu najwyżej utratą noża.

Nonnus nie przywiązywał wagi do dóbr materialnych, nawet do noża, który pewnie nosił, od kiedy stał się dorosłym mężczyzną. Zależało mu tylko na Pani i na dziewczynie, która właśnie zmieniła nieprzyjemny incydent w prawdziwą katastrofę.

Pustelnik modlił się przed wizerunkiem Pani, który wyciął na płocie. Wysoki stajenny pchnął widłami w kierunku jego twarzy. Nonnus cofnął się, nie mrugnawszy okiem.

– Pewnie jesteście wrogami earla, skoro modlicie się do Pani, co? – warknął człowiek z widłami. – My tu jesteśmy wierni Panu.

– Myślisz, że nie słyszeliśmy jak mówi twoja panienka? – rzekł drugi stajenny. Wyciągnął rękę i chwycił pewlański nóż. Wyjął go z pochwy, po czym razem z pasem cisnął na stertę nawozu. – Ona jest z Ornifal. Bogaci mogą sobie mówić, że to nie szkodzi, ale ja straciłem ojca przy Kamiennym Murze!

Chłopiec stajenny podniósł wolną ręką pecynę nawozu i z rozmysłem posmarował nim wizerunek Pani. Zagwizdał przez szparę w zębach.

– Nie jestem wrogiem waszego earla – rzekł Nonnus. – I nikogo nie chciałem obrazić. Chętnie pomodłę się z wami do Pasterza, przyjaciele.

Pocztalion zaśmiał się.

– Jeden z was rozchyli dla mnie nogi tej klaczki. Możecie walczyć o to, kto będzie drugi.

Sharina kopnęła go w kolano. Jęknął i zaklął. Stajenni i chłopak spojrzeli w ich kierunku.

Nonnus chwycił widły tuż za zębami i wbił koniec styliska w przeponę trzymającego je mężczyzny. Stajenny upadł, nie zdoławszy krzyknąć ani utrzymać drzewce wideł. Pustelnik obrócił je i pchnął w twarz chłopca stajennego. Jeden z drewnianych zębów wbił się w oczodół i chłopak padł, nie wydawszy dźwięku. Drugi odskoczył i uderzył plecami o mur otaczający podwórze gospody. Zasłonił twarz rękami, najwidoczniej zapomniawszy, że trzyma w nich pewlański nóż.

– Przywitaj się z ojcem! – powiedział Nonnus i pchnął go w gardło. Boczne zęby uderzyły w mur po obu stronach szyi mężczyzny. Środkowy przebił krtań i tętnicę, a trafiony zacharczał i osunął się na kolana. Nonnus wyrwał widły z jego szyi. Pienista tętnicza krew trysnęła na przód tuniki ofiary.

Nonnus spojrział na forysia i roześmiał się. Mężczyzna wrzasnął i podniósł Sharinę, osłaniając jej ciałem swoją twarz i tors. Sharina kopnęła go w krocze.

Forys zgiał się z jękiem przerażenia. Wyrwała mu się i odturlała na bok. Usłyszała głuchy stuk wideł, po raz ostatni trafiających w cel.

Sharina podniosła się na klęczki. Brama otworzyła się. Stał w niej Meder i oniemiał.

Nonnus chwycił pierwszego stajennego za włosy i pewlańskim nożem poderznął mu gardło. Ofiara spazmatycznie wierzgnęła nogami.

Jak kurczakowi, tylko więcej krwi...

Sharina szarpnęła widły, wyrwijąc je z pleców forysia

– Wynos się stąd! – powiedziała do Medera. Płakała. – Będziesz tylko przeszkadzał, kiedy będziemy ich zakopywać!

Wbiła widły w nawóz. Tej sterty nikt nie ruszy co najmniej przez tydzień, szczególnie w zamieszaniu, jakie wywoła w zajeździe zniknięcie stajennych wraz z biżuterią Asery z bagażu w powozie. Dopóki nie znajdą ciała, wszyscy kupią tę bajeczkę.

Brama zamknęła się. Sharina nic nie widziała przez łązy, ale musiała tylko wykopać dół w stercie nawozu. Dwa całe zęby wideł i ułamki pozostałych zupełnie wystarczały do tego.

– Na Pewle nosimy opończe z czarnej wełny... – rzekł Nonnus, z trudem łapiąc oddech. – Ponieważ nie widać na niej krwi. Przy zabijaniu zwierząt zawsze jest dużo krwi. Moje dziecko, będziesz musiała przynieść mi wiadro wody, zanim ktoś mnie zobaczy, bo ręce mam zakrwawione do łokci. Jak za dawnych czasów...

Uśmiechnął się przez łązy.

Tenoctris chciwie piła z dzbanka, niczym nie okazując, że drażni ją mulisty smak erdińskiej wody. Na prawej skroni miała siniaka, który będzie wyglądał naprawdę okropnie za sześć godzin, kiedy wszędzie słońce.

– Och! – sapnęła, odstawiając naczynie i nabierając tchu. Zanim udał się na poszukiwanie wody, Garric wyniósł ją na placyk przed grobowcem.

Moskity bzyczały i milkły w ciemnościach. Garric od czasu do czasu przesuwał dłonią po nagim ramieniu lub czole, lecz najczęściej nie zwracał uwagi na ukąszenia. Owady zajmowały dalekie miejsca na liście jego obecnych zmartwień.

Tenoctris spojrzała na niego. Uśmiechnęła się równie mrocznie jak blask księżyca oświetlający jej twarz.

– Benlo wrócił po córkę – powiedziała. – Był w innym ciele, lecz bez trudu rozpoznałam jego aurę.

Skrzywiła się.

– Myślałam, że ciebie też straciłam, Garricu.

– Bo tak było – odparł. – Chociaż to nie twoja wina. Cashel sprowadził mnie z powrotem.

Tenoctris pokiwała głową, jakby wcale to nie zdziwiło.

– Cashel jest porządnym młodzieńcem – powiedziała. – Ma dobre serce, więc brak...

Zacisnęła usta, powstrzymując słowo, które zamierzała wymówić.

– ...wykształcenia nie jest tak niebezpieczny jak u innego czarodzieja dysponującego równie wielką mocą. Ma bardzo dobre serce.

– Cashel jest czarodziejem? – zadziwił się Garric. – Cashel?

– Tak – przytaknęła Tenoctris. Podniosła dzbanek i znów upiła kilka łyków. Odstawiła naczynie i dodała: – Naprawdę jest czarodziejem, choć pewnie byłby równie zdumiony jak ty, gdyby to usłyszał.

Pokręciła głową i dodała:

– Mniej dziwi mnie to, że ludzie nie dostrzegają pewnych rzeczy, niż to co widzą, rozumieją lecz ignorują. Skąd wzięłaś wodę?

Garric wciąż usiłował oswoić się ze zdumiewającą wizją przyjaciela rzucającego zaklęcia w martwym języku i wykonującego skomplikowane gesty nad tajemniczymi symbolami. Dopiero po chwili zrozumiał, że Tenoctris zadała mu pytanie dotyczące zrozumiałych dla niego spraw.

– Och! – rzekł. – No cóż, podszedłem do tylnych drzwi domu i próbowałem kupić wodę w kuchni. Dali mi ten dzbanek i trochę chleba, ale nie chcieli przyjąć pieniędzy. Pewnie wyglądałem...

Zaśmiał się, myśląc jak zareagowałaby jego matka, gdyby w jej kuchennych drzwiach pojawił się człowiek z długim mieczem, dzikim wejrzeniem i zakurzonymi pajęczynami we włosach.

– No cóż, byłem dość wzburzony.

Jeśli Liane znikła, to razem z sakiewką pełną złotych monet. Garric nadal miał zapłatę w srebrze, więcej pieniędzy niż widział w życiu przed opuszczeniem Barca's Hamlet. W najbliższej przyszłości pieniądze nie będą problemem.

– Jak odzyskamy Liane? – zapytał prosto z mostu.

Tenoctris pokiwała głową.

– Najpierw musimy ją odnaleźć – odparła. – Nie ma pewności, że nadal znajduje się na tej płaszczyźnie, chociaż uważam, że to najbardziej prawdopodobne.

Spojrzała na Garrica i dodała:

– Benlo zabrał nie tylko Liane, ale także mumię żony. Dlatego... niepokoję się o Liane. W chwili śmierci Benlo przestał być jej ojcem. Pozostawił duszę, która jest niezwykle potężna, ale nie w pełni ludzka.

Garric podniósł się, przy czym poczuł zeszywniałe mięśnie i siniaki, jakie ponabijał sobie, wracając z... tego miejsca, gdzie był. Wstając, poprawił sobie pas. Kiedy ten był mocno ściśnięty, ciężar miecza lepiej się rozkładał.

– Może więc zacznijemy od razu? – spytał. – Chcę powiedzieć, że im dłużej zwlekamy, tym bardziej prawdopodobne...

Nie miał pewności, czy tak jest naprawdę. Nie wiedział, co zdaniem Tenoctris mogłoby przydarzyć się Liane i chyba nie chciał się dowiedzieć.

– Tak, powinniśmy zrobić to teraz – powiedziała staruszka, przytrzymując się Garrica i ogrodzenia. – *Situs*, czyli ten grobowiec, jest już przygotowany.

Weszła w mrok – bo świeczka wypaliła się już dawno temu. Stary dym i smród rozkładu tworzyły odór, od którego Garricowi wywracało się w żołądku.

Tenoctris znalazła sakiewkę zawierającą zapasowe świece. Garric wyjął krzesiwo. Drewno jednej z trumien rozpadło się w proch, który doskonale nadawał się na podpałkę.

– Nie fatyguj się – powiedziała Tenoctris. Mruknęła coś pod nosem. Niebieska iskra przeskoczyła między jej złożonymi dłońmi, zapalając knot świecy.

Tenoctris postawiła ją na półce, na której uprzednio spoczywała trumna Mazzony, po czym uśmiechnęła się.

– W tym grobowcu każdy może być czarodziejem, Garricu – powiedziała. – Jest tu więcej mocy niż użyto do zatopienia Yole. Na szczęście ta jest zrównoważona.

Stała z boku poprzednio nakreślonego kręgu i zaczęła rysować na posadzce jakieś symbole. Nie było tam wiele miejsca.

– Garricu – poprosiła, nie przerywając pracy. – Proszę, wyjmij ciało Benlo z grzebalnego dzbana i połóż je na tej półce. Obawiam się, że to konieczne.

– Tak, w porządku – odparł Garric. Wyjął nóż i zaczął wpychać proste żelazne ostrze w smołę, którą pracownicy zakładu pogrzebowego w Carcosie zapieczętowali naczynie. Nienawidził tego, co robił, tak samo jak pełzania wśród olbrzymich pajaków w drodze do rzeczywistego świata, lecz nie zwykł unikać pracy tylko dlatego, że była nieprzyjemna. – Tenoctris? – spytał nie przerywając. – Czy to, co robimy, jest niebezpieczne? Nie obawiam się o siebie...

Tenoctris zachichotała. Przez chwilę nadal kreśliła, używając wosku nie zapalanej świecy jako kredki, ale zaczęła śmiać się tak głośno, że musiała przerwać. Popatrzyła na Garrica.

– Mój drogi przyjacielu – powiedziała. – Mój drogi młody przyjacielu. Czy zdarzyło ci się kiedyś zbiegać ze zbocza tak stromego, że nie mogłeś się zatrzymać? I musiałeś biec coraz szybciej, żeby nie upaść?

Garric skinął głową.

– To właśnie wszyscy troje robiliśmy od początku – wyjaśniła Tenoctris. – Jednak nie, nie przewiduję żadnego większego niebezpieczeństwa przy następnym kroku.

Garric też się roześmiał. Poczuł ulgę. Zbyt długo był spięty. Spięty, zagubiony i samotny.

– Sądzę, że to było głupie pytanie – przyznał. W obecności przyjaciółki czuł się jak w domu, a niebawem odzyskają Liane albo zginą, próbując.

Położył trupa na kamiennej ławie, nie zwracając uwagi na nieprzyjemny zapach. Podczas pracy na farmie od czasu do czasu trzeba brodzić po kolana w nieczystościach. Garric jeszcze nigdy nie przeniósł na pół zmumifikowanego ciała ludzkiego, ale miewał do czynienia z gorszymi rzeczami.

Tenocris skończyła kreślić symbole i wyprostowała się z westchnieniem. Woskowe litery były ledwie widoczne na kamiennej posadzce. Garric domyślił się, że te zaklęcia powinny być napisane, a zarazem niewidoczne dla ludzkich oczu.

– Zwykle potrzeba byłoby kilkakrotnie rzucić zaklęcie – powiedziała do siebie i do Garrica. – Przy takich mocach, jakie zebrały się dziś w tym miejscu, wątpię czy będę musiała powtarzać je choć raz. Zapewne nie.

Spojrzała na Garrica.

– To nekromancja – powiedziała, jakby oczekując, że wrzaśnie ze zgrozy. – Zamierzam przywrócić trupa do życia, żeby odpowiedział nam na kilka pytań.

Garric skinieniem głowy dał jej znać, że nie ma nic przeciwko temu. Zakłócanie spokoju zmarłego było skromną ceną za ocalenie życia dziewczyny. Jednak...

– Jeśli Benlo jest w innym ciele – rzekł głośno – to, jak zdołasz...

Rozłożył ręce.

– Przywołuję ducha człowieka, którego ciało zajmuje Benlo – odparła Tenocris. – On na pewno zachował jeszcze jakąś więź z dawnym ciałem i mam nadzieję, że to nam pomoże.

Ze zdumieniem pokręciła głową.

– Trudno mi uwierzyć, że robisz takie rzeczy – powiedziała. – Że kontroluję takie moce.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, najważniejsza jest nie „moc”, lecz jej „kontrolowanie”.

Znów skupiła się na Garricu i czekającym ją zadaniu.

– Każę ci powtarzać zaklęcie, gdyby trzeba je było powtórzyć więcej razy niż wytrzyma moje gardło – zapowiedziała. – Lecz byłabym bardzo zdziwiona, gdyby do tego doszło.

Garric pokiwał głową.

– Ostatnio spotkało mnie sporo niespodzianek zauważył. – Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zrobię, co będę mógł.

Nie mógł odczytać nakreślonych kredą symboli. To nie powinno mieć żadnego znaczenia, gdyż zdoła je zapamiętać, jeśli Tenocris powtórzy je tyle razy, że będzie potrzebowała odpoczynku.

Staruszka dwukrotnie machnęła trzymaną w dłoni łodygą bluszczu, jakby ją zmiękczała, a potem powiedziała:

– *Catama zauaththeie cerpho...*

Garric wsunął palec w żelazny pierścień przy jelicu i poczuł, że król Carus budzi się w nim jak człowiek ze snu. Miecz, chociaż ciężki i przydługi, doskonale leżał mu na biodrze.

– *Ialada kale cbesi...*

Włoski na ramionach i karku Garrica stanęły dęba, jakby zaraz miał gdzieś opodal uderzyć grom. Obrócił głowę i spojrzał na trupa. Zwłoki otaczała błękitna poświata, lekko przesłaniając rysy, które już zmiękczył proces rozkładu.

– *Iaththa maradtha achilothethee chooo!* – zakończyła Tenocris.

Trup powoli usiadł. Ramiona nadal miał złożone na piersi. Białą grzebalną szatę plamiła ciecz sącząca się z okropnej rany w piersi i brzuchu.

– Na moc Phaboeaia, powiedz mi twe imię! – rozkazała stalowym głosem Tenocris.

– Jestem Arame bor-Rusaman – odparł trup Benlo. Jego szepczący głos miał barwę ocierających o siebie kawałków drewna. – Jestem martwy.

– Arame, czy czujesz swoje własne ciało? – spytała Tenoctris.

Garric mocno ścisnął rękojeść miecza. Nakazał sobie puścić broń.

– Tak – rzekł trup. Jego pierś poruszała się jak miech, napędniając się i opróżniając miarowymi ruchami, nie mającymi nic wspólnego z rytmem ludzkiego oddechu. – Czuję moje ciało. Ono się nie porusza.

– Arame – dociekała Tenoctris – dlaczego twoje ciało się nie rusza?

– Moje ciało czeka na pełnię księżyca – odrzekł trup. Jego wargi poruszały się z powolnym rozmysłem węża, który połyka jajko. – Moje ciało czeka na jutrzejszą noc.

Garric spodziewał się, że Tenoctris zapyta zwłoki – Benlo – co uczyni podczas pełni księżyca. Zamiast tego powiedziała:

– Arame, opisz, co widzi twoje ciało.

– Moje ciało widzi drzwi – rzekł trup. Kawałek skóry zsunął się z jego czaszki, odsłaniając kość. Na skutek ruchu ożywione ciało rozpadało się szybciej niż powinno. – Te drzwi są z żelaza. Te drzwi są z zimnego żelaza.

Teraz pierś trupa poruszała się szybciej, lecz powietrze ze świstem uchodziło przez ranę na piersi i jego głos brzmiał słabiej. Pękały szwy, którymi zamknięto ranę podczas balsamowania w Carcosie.

– Na tych drzwiach jest herb – ciągnął trup, dysząc jak bliski omdlenia biegacz. – Winne grono nad czaszką. Nad czaszką. Nad...

Szept przeszedł w suchy chichot, który w ustach żywego człowieka byłby śmiechem, natomiast u tego brzmiał jak przedśmiertne rżenie. Dolna szczeka trupa wypadła z zawiasów. Jeszcze przez chwilę kołysała się, aż ścięgną puściły i opadła na pierś.

Trup opadł na półkę, bezwładnie jak omyty przez falę zamek z piasku. Rozpuszczające się ciało odsłoniło paliczki palców. W powietrzu rozszedł się potworny smród.

– Benlo jest w posiadłości – rzekł Garric, usiłując utrzymać w żołądku chleb, który zjadł zanim Tenoctris odzyskała przytomność. – Miał tam ukrytą komnatę, o której nowi właściciele nie wiedzą.

– Możemy już iść – powiedziała Tenoctris. Z trudem podniosła się z ziemi, ciężko dysząc. – Biedny Arame nic więcej nam nie powie. Myślę jednak, że sami dowiemy się reszty.

Wyszli wreszcie na świeże powietrze.

– Nie ruszać się! – krzyknął ktoś. Światło latarni rzuciło ich cienie na frontową ścianę kamiennego grobowca.

„Złoty Smok” delikatnie ocierał się o odbijacze ze starych lin, umieszczone między kadłubem a kamiennym nabrzeżem. Ciągnięte przez muły wozy ze skrzyniami, belami i beczkami powoli sunęły biegnącą wzdłuż wybrzeża ulicą. Erdin był ruchliwym portem, a przechodzące przezeń towary były zapakowane na więcej sposobów, niż Cashel sobie wyobrażał.

– Rozmawiają o tobie – powiedziała Mellie. Chwyciła się ucha Cashela i wychyliła, pokazując mu Frasę i Serianina, który przyszedł do portu na spotkanie „Złotego Smoka”. – Będą chcieli, żebyś coś dla nich zrobił.

Cashel stał na końcu kolejki seriańskich marynarzy, którym Jen wypłacał pieniądze, w miarę jak pojedynczo schodzili z pokładu. Górale stłoczyli się na przednim pokładzie wokół erdińskiego inspektora celnego, wyraźnie zafascynowani tuniką urzędnika, obszytą złotą i purpurową koronką. Cashel był przekonany, że nie zrobią dostojnikowi nic złego, lecz nieszczęsny inspektor zeszytniał jakby wpadł do jamy pełnej jadowitych węży.

Oczywiście, zmije byłyby miłszym towarzystwem od wrogo nastawionych górali.

– To pewnie będzie pan Latias, pośrednik – rzekł Cashel. Serianin był podobnie zbudowany jak dwaj bracia. Nosił ciemnoniebieską a nie brązową szatę, lecz z równie jedwabistego materiału.

– Racja – przytaknęła Mellie. – Co im powiesz?

Cashel zastanawiał się, co teraz porabia Ilna. Spodobałyby się jej te jedwabie. W ładowniach były ich całe bele – piękny towar, chociaż Cashel wiedział, że nie potrafi ocenić tkaniny tak dobrze jak Ilna.

Wciągnął nosem powietrze.

– Tu nie da się wypasać owiec – rzekł, celowo unikając odpowiedzi na pytanie Mellie. – Gniłyby im kopyta.

Duszka zachichotała i objęła go za szyję.

Stojący przed Cashelem żeglarz otrzymał swoją zapłatę i poszedł dołączyć do grupy kolegów, żywo gawędzących ze switą towarzyszącą panu Latiasowi. Słudzy pośrednika nie byli Serianinami, ale najwyraźniej dostatecznie dobrze mówili w tym języku, aby przekazać tego rodzaju informacje, jakie są potrzebne marynarzowi z pieniędzmi w sakiewce.

Frasa i Latias dołączyli do Jena i Cashela.

– Mówiłam ci – zaśmiała się Mellie do ucha młodzieńca.

Bracia szeptali przez chwilę. Latias powitał Cashela uprzejmym skinieniem głowy. Ten odpowiedział nieśmiałym uśmiechem i ukłonem.

Latias prawdopodobnie dobiegał trzydziestki, chociaż zrównoważony sposób bycia charakterystyczny dla wszystkich seriańskich arystokratów sprawiał, że na pierwszy rzut oka wydawał się starszy. Stał z założonymi rękami, czekając, aż bracia skończą dyskusję.

Frasa ponownie odwrócił się do Cashela i powiedział:

– Najpierw twoja zapłata, panie Cashelu.

Odliczył sporo sztuk srebra do ręki młodzieńca. Były to monety z Haft, nie miedziaki czy erdińskie srebrniki, którymi zapłacono seriańskim żeglarzom. Bez kijka, na którym mógłby zaznaczyć ilość, Cashel stracił rachunek po dziesiątej monecie.

– Daję ci premię – powiedziała Mellie. – Serianie to miłe istoty. – I ze śmiechem w głosie dodała: – Jednak będą chcieli, żebyś wykonał dla nich pewne naprawdę trudne zadanie.

– To za dużo – wypalił Cashel, gdy Frasa nadal odliczał monety.

Jen i Latias wymienili spojrzenia. Chociaż Serianie raczej nie byli skłonni do publicznego okazywania uczuć, pośrednik wyglądał na zdumionego, a Jen uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Latias zaproponował nam, żebyśmy w powrotnej drodze zabrali ładunek na bardzo dogodnych warunkach – wyjaśnił Jen. – Ponieważ to dzięki tobie zawarliśmy tę transakcję, dodajemy do twojego wynagrodzenia przysługujący za to procent. Cashelu, powiedziałem Latiasowi o twoich umiejętnościach, jakimi wykazałeś się w trakcie naszej współpracy. Sądzę, że możesz mu pomóc rozwiązać problem, który dotychczas okazał się nie do pokonania.

Pośrednik uroczyście skłonił się przed Cashelem.

– Panie Cashelu – rzekł. – Jeśli zechcesz pójść z nami do mojej kwatery i wysłuchać mojej propozycji, podwoję sumę, którą otrzymałeś. A jeśli zaakceptujesz moją propozycję, zapłacę ci znacznie więcej.

– Oczywiście, tylko jeśli to przeżyjesz – zauważyła Mellie obojętnym tonem, jakim mówiła o sprawach, jakie uważała za poważne. – Czegokolwiek od ciebie chcą, będzie to naprawdę trudne, Cashelu. Możesz stawić temu czoło?

Cashel spojrział na pieniądze w swojej dłoni. Chyba nigdy nie widział tylu monet naraz, a na pewno nie srebrnych.

– No cóż... – rzekł. – Chyba nie zaszkodzi wysłuchać.

Poszedł z trzema Serianinami jedną z uliczek przylegających do nabrzeżnej ulicy. Część świty pośrednika weszła na pokład „Złotego Smoka”, by zabezpieczyć towary przed rozładunkiem. Przy okazji uwolnili celnika od rozgadanych górali. Pozostali poszli przed lub za arystokratami, torując im drogę w tłumie.

Cashel powoli przesuwiał dłonią po gładkiej pałce, usiłując nie myśleć o kłębiących się wokół tłumach ludzi. Nie przeszkadzałyby mu tak, gdyby byli owcami...

Minęli jednopiętrowy budynek z arkadami na parterze.

– To gmach Towarzystwa – wyjaśnił Latias, zauważywszy zaciekawione spojrzenie Cashela. – Wielu armatorów i kupców ma tutaj biura. Dziedziniec jest wykorzystywany do werbowania marynarzy. Biuro mojej rodziny jest połączone z kwaterami mieszkalnymi, dlatego w pobliżu mamy osobną rezydencję.

Wskazał wzrokiem ceglany mur po drugiej stronie ulicy. W najbliższym narożniku znajdowała się łukowata brama. Seriańscy słudzy otworzyli ją na oścież. Jej odrzwia były polakierowane na niebieski kolor, taki sam jak szata Latiasa, a służba nosiła tuniki w granatowe paski.

W obrębie murów Cashel dostrzegł trzy budynki i dach czwartego, a zapewne było ich tu więcej. Były połączone wspartymi na kolumnach arkadami, chociaż miał wrażenie, że te daszki nie dawałyby dostatecznej osłony przed deszczem.

Obok seriańskich odźwiernych stali dwaj miejscowi ochroniarze z sękatymi pałkami. Z zawodową rezerwą spojrzeli na Cashela. Doszedł do wniosku, że bez trudu poradziłby sobie z nimi, a oni też o tym wiedzieli. Najwidoczniej w Erdinie Serianie nie spotykali się z takim wrogiem nastawieniem jak w Carcosie.

Dozorcy zaprowadzili przybyłych do pokrytego dachówkami budynku o oknach z barwionego szkła. Poszczególne szybki były tak małe jak kawałki mozaiki, a ołowiane ramki znacznie cieńsze od tych, jakie Cashel widział w Carcosie.

Wnętrze było jedną dużą salą. Składane parawany zasłaniały drzwi w bocznych ścianach. Służba bezszelestnie wniosła tace z różnokolorowymi napojami i pokrojonymi na kawałki owocami.

Na środku pokoju stał niski stolik z krzesłem po jednej i trzema następnymi po drugiej stronie.

Pod ścianami znajdowały się kufry z metalu i tekowego drewna obitego żelaznymi taśmami. Niektóre z nich były ozdobione kunsztownymi listwami i malunkami.

Latias wskazał gościom trzy krzesła i zasiadł naprzeciw nich. Cashel ostrożnie oparł pałkę o ścianę i usiadł z prawej strony.

– Och... – rzekła Mellie. Pokazała mu szczególnie ozdobny kufer pod przeciwległą ścianą. Z każdej żelaznej ścianki spoglądał zrobiony z czerwonej emalii demon z głową psa. – Spójrz na tę, Cashelu. Będą chcieli, żebyś ją otworzył. Oo, to będzie trudne!

Służba, same kobiety o pociągłych twarzach, klęcząc podawała napoje odświeżające. Cashel wziął szklanekę bladozielonego soku. Napój był zimny i miał przedziwny smak.

Latias splótł palce.

– Być może już wiesz, dlaczego chcę cię zatrudnić, panie Cashelu? – zapytał.

Była to próba, gra. Cashel wyczuł, że siedzący obok Frasa zeszytniał z dezaprobaty. Nieufny pośrednik podważał nie tylko uczciwość młodzieńca, ale i obu braci.

Rozgniewany głównie zniewagą jaka spotkała Jena i Frasę, którzy dobrze go traktowali i bardzo hojnie mu zapłacili, Cashel odstawił szklanekę na podłogę. Wstał.

– Jeśli chciałeś, żebym otworzył tę skrzynię – warknął, ruchem głowy wskazując ozdobiony emalią kufer – to mogłeś powiedzieć mi to jak mężczyzna. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.

Latias jęknął, jak pchnięty nożem w serce. Rzucił się na niski stolik i splótł dłonie na karku, gestem bezwarunkowego poddania. Frasa i Jen również wstali.

– Panie Cashelu – rzekł Frasa. – Młody wiek mojego ziomka nie tłumaczy jego zachowania, ale przyszłość całego klanu zależy od wykonania zadania, jakie spoczywa na jego barkach.

– Proszę – dodał Jen – przyjmij przeprosiny moje i mego brata za grubiańskie zachowanie Latiasa, ale wysłuchaj go.

Mellie roześmiała się i klasnęła w ręczki.

– Teraz już będzie wiedział, że nie wolno igrać z moim Cashelem! – zawołała radośnie. – Och! To było piękne!

– Panie – rzekł Latias, przyciskając się do stołu. – Przyjmij moje najszczerze przeprosiny. Tak długo żyję wśród ludzi bez poczucia honoru, że sam go straciłem!

– Och... – mruknął Cashel i zaczerwienił się. – Posłuchajcie, może po prostu powiecie mi, czego chcecie, dobrze? Nie wiem, dlaczego tak się uniosłem.

Chociaż chyba wiedział. Ludzie w Barca's Hamlet byli równie skłonni do kłamstw i przechwałek jak wszędzie, lecz tam nikomu nie przyszłoby do głowy by wątpić w słowa Cashela – ani Illy, jeśli ktoś wiedział, co dla niego dobre. Teraz Cashel nie był w domu. Pewnie już nigdy nie zobaczy Barca's Hamlet. Powinien przywyknąć do tego, że ludzie będą nazywać go kłamcą, tak samo jak oswoił się z myślą, że nie jest najbystrzejszy.

Latias wstał, lecz nie odrywał oczu od posadzki.

– Panie Cashelu – rzekł. – Mój ojciec był głową naszej rodziny na Seres. Kiedy podróżował, jak to robił do niedawna, odwiedzając majątności, którymi obecnie administruję na Sandrakkanie, zabierał ze sobą obrazy naszego klanu, aby móc składać przed nimi ofiary w rocznicę naszego stworzenia przez bogów. Ta rocznica przypada jutro.

Frasa i Jen mieli bardzo poważne miny. Cashel skinął głową, ponieważ tego po nim oczekiwano. Był lekko zdumiony, jak wtedy gdy Garric przeczytał mu fragment książki, która bardzo go podekscytowała, a Cashel słyszał jedynie słowa.

– Nigdy nie widziałam boga – powiedziała Mellie, siedząca ze skrzyżowanymi nogami na ramieniu Cashela i rozczesująca sobie włosy kolcami jakiegoś nasionka. Uśmiechnęła się. – Myślisz,

że to coś, co twój lud widzi zamiast mego ludu, Cashelu?

– Mój ojciec umarł niespodziewanie na morzu – rzekł Latias. – On...

– Och! – wykrzyknął Cashel, teraz jeszcze bardziej zawstydzony tym, że tak okropnie potraktował tego człowieka. Sam nie pamiętał śmierci swego ojca, ale często widywał we wiosce synów i córki rozpaczających po utracie bliskich. – Przykro mi, że tak zareagowałem. Nie wiedziałem, że jesteś w żałobie.

Trzej Serianie spojrzeli na niego ze skrywanym zdziwieniem. Po chwili Latias rzekł:

– Wszystkie ceremonie pogrzebowe odbyły się zgodnie ze zwyczajem, kiedy w zeszłym tygodniu statek zawinął do portu. Z tym nie było żadnych problemów.

– Ach – mruknął Cashel. Znów się zaczerwienił. Nie dostrzegając czegoś, co dla innych było oczywiste. Nie było to nowe doświadczenie, ale turlająca się ze śmiechu na jego ramieniu Mellie nie polepszała sytuacji.

– Mój starszy brat towarzyszył ojcu podczas rejsu z Seres – ciągnął pośrednik. – Po śmierci ojca został głową klanu, więc trzy dni temu otworzył skrzynię, aby przygotować obrazy do jutrzejszej ofiary. Demon, którego ojciec postawił na straży obrazów rozszarpał mojego brata na kawałki i ponownie zamknął kufer.

Mellie, jak zwykle z oszałamiającą szybkością, zsunęła się po nodze Cashela i pobiegła po podłodze, wyłożonej splecionymi z trawy matami. Cashel ani tu, ani w Carcosie nie zauważył, by Serianie trzymali koty, a mimo to niepokoił się o duszkę.

– Demon zabił twój brata? – spytał, usiłując znaleźć sens w tym, co mówił mu pośrednik. Wolałby, żeby usiedli na krzesłach, a jeszcze lepiej na podłodze. Czasem miał wrażenie, że tym lepiej mu się myśli, im jego głowa znajduje się bliżej ziemi.

– Owszem, lecz jego również pochowaliśmy zgodnie ze zwyczajem – rzekł Latias. – Były pewne trudności ze znalezieniem wszystkich kawałków ciała, ale na szczęście do wypadku doszło w zamkniętym pomieszczeniu. Tak więc jestem głową klanu, lecz nie mogę wyjąć obrazów z kufra.

Uśmiechnął się krzywo.

– A przynajmniej nie mogę tego zrobić i pozostać przy życiu, aby złożyć ofiarę przed obrazami.

– Twój ojciec i brat zginęli, a ty martwisz się tylko o ofiarę? – rzekł zdumiony Cashel. Zastanawiał się, czy właśnie w tym pomieszczeniu został rozszarpany na kawałki brat Latiasa. Powinny tu być świeże ślady na suficie, wyszorowane, ale nie dające się usunąć...

Mellie wróciła, obejrzawszy kufer. Zrobiła przewrót w tył na stole, ale nie włożyła w to całego serca.

– Demon ma na imię Derg – oznajmiła nonszalancko. – Cashelu, on jest bardzo silny.

– Mój ojciec, brat i wszyscy przodkowie mogą być pewni spokojnego życia na tamym świecie – stwierdził Latias, mówiąc z ostrożnością człowieka, który odpowiada na pytanie, którego nie dosłyszał – dopóki przestrzegamy corocznych rytuałów. Rozumiesz, panie, że nie ma czasu, by wykonać i poświęcić nowe obrazy.

– Czy twój brat nie wiedział, że obrazów strzeże demon, Latiasie? – zapytał Jen.

Pośrednik przecząco pokręcił głową.

– Nie – odparł – chociaż nie mogę rzec, aby było to wielkim zaskoczeniem. Mój ojciec był człowiekiem zamkniętym w sobie i – co mówię z przykrością – bardzo podejrzliwym. Przez całe życie handlował z cudzoziemcami, aż przed pięciu laty został głową klanu.

Latias wyszedł zza stołu i pokornie przyklęknął przed Cashelem. Potem wstał i dodał:

– Widocznie odziedziczyłem te same cechy, panie Cashelu. W przeciwnym razie nie wątpiłbym w twoje umiejętności, o jakich zapewniali mnie Frasa i Jen.

– Posłuchaj – powiedział Cashel. Nie zastanawiając się nad tym, ponownie wziął do ręki pałkę.
– Wiem, że wy nie zabijacie i nie walczyacie, ale czy nie mogłeś wynająć kogoś z miejscowych, żeby... no, zaczekał aż otworzysz skrzynię?

– Owszem, próbowałem tego – przytaknął Latias. – Stał, kamień i spiz nie mają się ciała demona. Drewniana maczuga złamała się, a to stworzenie zerwało jedwabny sznur do duszenia. I oczywiście zabiło wszystkich najemników.

– To nie ono a on – powiedziała Mellie. Znów siedziała na ramieniu Cashela. Miała zamyśloną minę. – Derg jest samcem.

– Czy wyprawiliście im należyty pogrzeb? – spytał ostrożnie Cashel, zastanawiając się, co to właściwie oznacza. Myślał, że chcieli, by posłużył się pałką.

Serianie popatrzyli po sobie.

– Cóż, strażnicy nie mieli rodzin... – zaczął Frasa.

– Seriańskich rodzin – pospiesznie wtrącił jego brat.

– Seriańskich rodzin – powtórzył Frasa, skinąwszy głową. – Jednak jestem przekonany, iż ich bliscy otrzymali odpowiednią rekompensatę.

– No tak, zapłaciłem rodzinom ofiar – zapewnił pośrednik. – Jednak demon nadal pełni straż wewnątrz kufra.

– Nie rozumiem – powiedział Cashel. – Co chcecie żebym zrobił z tym Dergiem?

– Nawet nie znaliśmy imienia tego demona – rzekł Latias – a ty tak po prostu nam je podajesz?

– Zwie się Derg – wyjaśnił Cashel, zakłopotany podziwem malującym się w oczach Serian. – Jest samcem. – Przełknął ślinę. – Przynajmniej tak myślę.

– Och, jest samcem, Cashelu – zapewniła lekko urażona duszka. – Tak jak ty.

– Nasz ojciec umarł nagle i nie zdążył przekazać mojemu bratu władzy nad demonem – powiedział Latias. – Ja też jej nie mam.

Nabrał tchu. Jego twarz zdradzała więcej uczuć niż Cashel widział dotychczas na twarzy Serianina, nawet w Carcosie, gdy braciom groziła śmierć z rąk bandy łotrów.

– Panie – rzekł. – Potężny czarodziej może pokonać demona. Jediną alternatywą jest egzorcyzmowanie skrzyni przez tego kapłana, który w ten sposób ją zabezpieczył. Niestety, nie ma czasu, by odesłać ją na Seres. – Pokornie klęknął. – Panie, jeśli zdołasz uwolnić te obrazy od ich strażnika, chętnie oddam ci połowę mojego majątku. Od ciebie zależy, czy moi przodkowie będą spoczywać w pokoju.

Cashel przełknął ślinę.

– Nadal nie rozumiem, jak mógłbym wam pomóc – rzekł. – Znałem pewną czarodziejkę, ale ona została na Haft. I mówiła, że wcale nie jest potężna.

– Ty nie jesteś takim czarodziejem, za jakiego cię uważają – powiedziała Mellie. Siedziała z rękami splecionymi na kolanach, spoglądając na ozdobny kufer. – I nie w takim sensie, jaki nadajesz temu słowu, Cashelu. Możesz jednak walczyć z Dergiem, jeśli chcesz.

Cashel obrócił głowę, by spojrzeć prosto na duszkę.

– Mellie? – zapytał. Nie obchodziło go, co Serianie pomyślą o tym, że mówi do siebie. – Czy powinienem to zrobić? Czy mogę tego dokonać?

Pośrednik chciał coś powiedzieć. Jen uciszył go machnięciem ręki. Bracia uważnie przyglądali się Cashelowi.

Mellie spojrzała mu w oczy.

– Nie wiem, co powinieneś zrobić, Cashelu – odparła. – Myślę, że jesteś bardzo silny... silniejszy niż Derg. Jednak Derg jest bardzo silny.

Cashel nie rozumiał. Ktoś powinien dać mu stado owiec do pilnowania, tylko że jeśli chciał pilnować owiec, to powinien być zostać w domu. Chciał czegoś innego i właśnie to dostał.

Zachichotał. Chociaż nie rozumiał.

– Panie – rzekł Latias. Ponownie wstał, tak że przynajmniej oszczędził młodzieńcowi zakłopotania wywołanego widokiem człowieka klęczącego przed nim, jakby Cashel był posągiem Pasterza. – Oprócz nagrody, jaką otrzyma ode mnie człowiek, który pokona demona, może zażądać spełnienia jednego życzenia. Od niego.

– Nie, nie, on się myli – wtrąciła Mellie. – Derg da ci to...

Uniosła jedną nogę prawie pionowo, balansując na palcach drugiej. Cashel nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł być od niej zwinniejszy.

Serianie gapili się na niego. Zignorował ich.

– ...czego zażyczyłbyś sobie, gdybyś wiedział tyle, ile wie Derg – dokończyła Mellie, zmieniając nogę tak szybko, jak koliber porusza skrzydełkami. Uśmiechnęła się do niego. – A Derg wie znacznie więcej niż ty.

– Każdy wie więcej niż ja – powiedział Cashel. On też uśmiechnął się. – Poza owcami.

– Oczywiście – dodała duszka – najpierw musisz go pokonać.

– Panie Latiasie – rzekł Cashel. – Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Mam ich już więcej, niż spodziewałem się kiedykolwiek zobaczyć.

Nie przesadzał. Monety wypełniały zawieszoną na jego szyi sakiewkę, jak kiełbasa skórę. Powinien zmienić trzos na większy albo zamienić część srebra na złoto. Cashel or-Kenset posiadający złoto!

– Domyślam się, że to bardzo ważne dla ciebie, twoich przodków i wszystkich – dodał. – A najwidoczniej Jen i Frasa chcą, żebym to zrobił i...

– Proszę, Cashelu! – rzekł Frasa. – Decyzja należy wyłącznie do ciebie. Jeśli chcesz zostać z nami, mój brat i ja chętnie zatrudnimy cię i zapłacimy dotychczasową stawkę.

– Jasne, wiem – rzekł Cashel. – Tylko że nie przyprowadzilibyście mnie tutaj, gdybyście nie chcieli, żebym pomógł. Ja to rozumiem. Obaj byliście dla mnie dobrzy i chętnie oddam wam przysługę.

– Zagłada klanu na skutek niedopełnienia rytuału to straszna rzecz, Cashelu – powiedział Jen, trzymając dłonie ukryte w rękawach.

– W każdym razie – powiedział Cashel – traktowaliście mnie uczciwie i mówicie, że pan Latias potraktował was uczciwie.

Napotkał spojrzenie pośrednika, zastanawiając się, co o tym sądzi Mellie. Nie rozumiał duszki, tak samo jak ludzi – i pewnie nie lepiej niż rozumiał taką dziewczynę jak Sharina.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy, panie Latiasie – powtórzył. – Tam skąd pochodzę, ludzie zwykle pomagają sobie nawzajem. Myślę, że pomogę ci, ponieważ wygląda na to, że tego potrzebujesz.

– No cóż, przypuszczałam, że to zrobisz, Cashelu – powiedziała Mellie dziwnym tonem. – W końcu stado ma tylko jednego przywódcę...

Garric miał ochotę wyjąć miecz i przebić się przez ludzi stojących za kręgiem światła latarni. Ta chęć nie pochodziła tylko z tej części jego umysłu, w której król Carus majestatycznie przechadzał się po krwawych polach bitew.

Tyle, że ci ludzie byli oddziałem straży miejskiej, sprawdzającymi błyski światła i dźwięki wydobywające się z grobowca w dobrej dzielnicy Erdinu. Mieli prawo tu być – ale Garric i Tenoctris również.

– Dobry wieczór, panowie! – rzekł Garric. – Jesteśmy sługami panny Liane bos-Benliman. Przysłała nas, abyśmy sprawdzili stan jej rodzinnego grobowca.

– Chcę, abyście ich aresztowali! – rzekł pulchny człowieczek stojący za strażnikami. – Zamierzają włamać się do mojego domu!

Strażników było sześciu. Nosili mosiężne hełmy i napierśniki z sandrakkańskim łbem konia i falami będącymi symbolem Erdinu. Dwaj mieli chwytaki – rozwidlone drzewca ze sprężynową zapadką, którymi można było z daleka chwycić za szyję lub kończynę podejrzanego. Pozostali trzymali maczugi, a wszyscy mieli krótkie miecze.

– Ten budynek jest własnością Benlimanów – powiedziała wyniośle Tenoctris, mówiąc jak arystokratka do pospólstwa. Tak też było, oczywiście, chociaż jej rodowe włości zapewne przepadły przed tysiącem lat. – Nasz pan zatrzymał go, kiedy sprzedawał resztę swych posiadłości na Sandrakkanie. Kto śmie podważać jego prawo własności?

Oficer dowodzący patrolem miał kitę białych piór, osadzonych w rurce po prawej stronie hełmu. Spojrzał na pulchnego człowieczka i zapytał:

– Czy to prawda, panie?

– Oto klucz do grobowca – rzekł Garric, sięgając do wiszącej u pasa sakiewki. Klucz leżał na podłodze. Widocznie Liane zgubiła go, kiedy nieboszczyk wynosił ją z grobowca.

– Cóż, ja... – zająknął się mężczyzna. Najwyraźniej był właścicielem domu i posiadłości. Był dostatecznie bogaty, by wpakować do więzienia włóczęgów, nawet jeśli nie wtargnęli na jego teren, ale domagać się aresztowania przedstawicieli innego szlachcica, wykonujących polecenia ich pana... to zupełnie inna sprawa.

– Jeśli zechcecie zajrzeć do środka, panowie – rzekł Tenoctris tonem tolerancyjnej wyższości – zobaczycie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Zapewniam, że nie ma tam żadnych narzędzi włamywacza ani stert łupów.

– Mieszkamy pod „Trykiem i Owcą” przy rzece – dodał Garric. – Tam można nas znaleźć, oczywiście, jeśli panna Liane nie odeśle nas z innymi zadaniami do jej posiadłości.

– Cóż... – zaczął oficer.

– Kapralu? – odezwał się jeden ze strażników z chwytakami. – Zdaje mi się, że to ten z obrazka.

Oficer sięgnął do torby i wyjął dwie drewniane tabliczki.

– Przyświećcie no tu! – rzucił ostro.

Dwaj strażnicy mieli latarnie ze szklanymi koszami, które można było zasłonić, ukrywając światło. Przytrzymały je tak, by oświetliły namalowane na deseczkach twarze.

Nawet z daleka Garric rozpoznał, że obrazy przedstawiały jego i Liane.

– Na Pasterza! – rzekł kapral. – Masz rację, Challis, to on.

– Uważajcie na niego! – krzyknął strażnik.

Garric rozłożył ręce. Mógł przedrzeć się i uciec, ale musiałby zostawić Tenoctris. Nie obawiał się walki, lecz to byli ludzie, a nie licho, żeby zabijać ich bez namysłu.

Sześciu strażników i właściciel domu. Musiałby zabić ich wszystkich. Nie miał na to ochoty. Chwytnak śmignął w kierunku jego szyi. Garric odbił go w bok.

– Zamierzam odpasać miecz – powiedział głośno. – Obchodźcie się z nim dobrze albo pożałujecie!

Nie wiedział, czy to mówi Garric, czy też ukryty w jego ciele król doszedł do głosu w opresji. Dlaczego straż szukała jego i Liane?

– Masz na imię Garric? – zapytał kapral.

– Tak – odparł. – O co chodzi?

– No cóż, Garricu – rzekł kapral – mamy traktować cię uprzejmie podczas zatrzymania i tak też zrobimy. Jednak mamy cię zatrzymać. Rozumiesz?

Garric owinał pochwę miecza pasem i podał ją kapralowi. Challis, młody mężczyzna o bystrym spojrzeniu, wyręczył oficera.

– Rozumiem – rzekł Garric.

– A co z nią, kapralu? – zapytał któryś strażnik. – Ma co najmniej czterdzieści lat za dużo.

– Racja – odrzekł kapral, chowając tabliczki do torby. – Mimo to ją też zatrzymamy. Znacznie łatwiej wyjaśnić, dlaczego się kogoś aresztowało niż wytłumaczyć, czemu się tego nie zrobiło.

Zmierzył wzrokiem Garrica.

– Pójdziecie z nami na wartownię, a tam wyślę gońca do ludzi, którzy cię szukają. Reszta nie zależy ode mnie.

– Czy earl Sandrakkanu kazał aresztować Garrica? – spytała Tenoctris.

Kapral wzruszył ramionami.

– Nie wiem, kto wydał rozkaz – rzekł. – Ja tylko wykonuję moją pracę. Jednak goniec...

Popatrzył na Tenoctris.

– Goniec uda się do jednego z prywatnych domów przy placu Pałacowym.

Wszyscy prócz Cashela i Mellie opuścili pokój. Drzwi zamknięto, a na zewnątrz czekali ludzie z bronią, która zdaniem Latiasa była bezużyteczna przeciwko demonowi. Cashel z żalem odstawił pałkę pod ścianę. Uwierzył Mellie, która powiedziała mu, że musi walczyć gołymi rękami, ale miło byłoby poczuć w dłoniach gładkie i znajome hikorowe drzewce.

Duszka siedziała na drewnianym kufrze obok tego żelaznego i emaliowanego, w którym znajdowały się obrazy. Nogi zwisały jej za krawędź.

Żelazna skrzynia miała pół metra długości oraz ćwierć szerokości i wysokości. Cashel nie rozumiał, jak demon ukryty w tak niewielkiej przestrzeni mógł być niebezpieczny. Czyżby Derg był jadowity jak niektóre węże?

– Co mam robić? – zapytał.

– Po prostu podnieś wieko – odparła Mellie. – A potem sam zobaczysz, no nie?

W absolutnie zdumiewający sposób obróciła się w powietrzu i stanęła na rękach na skraju pokrywy.

– Albo możemy sobie pójść i obejrzyć resztę Erdinu – dodała, stojąc głową w dół. – Chociaż wygląda tak, jak się spodziewałam. Po prostu jeszcze jedno miasto.

Skrzynia nie była zamknięta. Cashel podniósł zatrzask.

Nie było sensu zwlekać. Jak powiedziała Mellie, decyzja należała wyłącznie do niego. Uniósł ciężkie wieko i wyprostował się, oczekując, że demon wypłynie ze skrzyni jak dym z komina.

W środku leżały obrazy nakryte zielonym brokatem, przetykanym złotymi, szkarłatnymi i niebieskimi nitkami. Jasnoczerwony demon o psiej głowie, nie większy od Mellie, stał na tym zawiniątku, spoglądając na Cashela.

Mellie wykonała zgrabne salto w powietrzu, zeskakując z krawędzi żelaznej skrzyni i lądując stopami na brokacie.

– Tu czy tam, Dergu? – zapytała.

Demon rozdziawił pysk. Jednak ryk nie wydobył się z jego gardła, lecz z całego kosmosu. Wszystko pojaśniało, poszarzało, a w końcu zapłonęło czerwienią.

Cashel poleciał. Jedyным stałym punktem był zwierzęcy pysk Derga, sterczący z morza płomieni. Cashel uderzył nogami o ziemię. Cienka warstwa gleby pokrywała twardą glinę podłoża. U podstawy pni gigantycznych drzew rosły paprocie i drzewka o bladych liściach. Powietrze było gorące i nieruchome.

Mellie była normalną kobietą. Podparła się rękami pod boki i lekko wysunęła biodro. Derg, równie wysoki jak Cashel i tak czerwony, że zdawał się wibrować w tym zielono-czarno-brązowym otoczeniu, rzucił się Cashelowi do gardła.

Cashel był wielki, ale nie powolny. Złapał Derga za przegub i przedramię wyciągniętej ręki, po czym rąbnął demonem o ziemię. Derg odbił się od niej, rozbryzgując wodę z mokrego podłoża. Cashel cofnął się. Spodziewał się, że demon będzie próbował zapasów. W zależności od tego, jak był silny, ta walka mogła potrwać dłużej lub krócej, ale Cashel nie spodziewał się klęski. Wiedział, że Garric był mądrzejszy niż większość ludzi, a Cashel or-Kenset silniejszy od każdego, kogo napotka.

Derg przetoczył się i zerwał na równe nogi. Te były krótsze niż ludzkie, natomiast tors i ramiona miał dłuższe. Wgłębienie pozostałe w miejscu, w którym uderzył o ziemię, zaczęło wypełniać się

wodą.

Derg roześmiał się. Głębokim, poważnym głosem rzekł:

– To było bardzo dobre, człowieku. Czy teraz ja mogę tobą rzucić?

– Możesz spróbować – odparł Cashel. On i demon ruszyli naprzód, wyciągając ręce. Zderzyli się pierściami i chwycili za ręce. Cashel miał wrażenie, że wpadł na pień dębu, ale nie ustąpił.

Derg zabalgotał śmiechem i przekręcił głowę, usiłując złapać zębami za gardło Cashela. Ten bykiem uderzył w psi pysk. Kły skaleczyły go w czoło, lecz demon wrzasnął i gwałtownie cofnął łeb. Cashel obrócił się i używając ciała jako dźwigni, przerzucił Derga przez głowę.

Demon rąbnał o ziemię z takim samym impetem jak poprzednio, wypuszczając ręce Cashela. Ten wyprostował się, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Tym razem nie zdziwił się, kiedy Derg obrócił się i powoli wstał z ziemi. Siła uderzenia połamałaby wszystkie kości zwykłemu śmiertelnikowi.

– Jesteś bardzo silny, człowieku – rzekł z wyraźnym szacunkiem Derg. – Z przykrością urwę ci głowę i pozrę twoje wnętrze.

Cashel był zbyt zajęty łapaniem oddechu, by mówić, a poza tym nie było o czym. Nigdy nie lubił ludzi, którzy mówili o tym, co zamierzają zrobić, zamiast zabrać się do roboty.

Stado zielono-żółtych papużek wielkości drożdów przyleciało na polanę. Zobaczywszy Cashela i demona, skrzecząc odleciały z powrotem. Cashel znów ruszył na przeciwnika.

– Cashelu – powiedziała Mellie ze skraju polanki. – On czerpie siłę z ziemi. Nie pozwól mu jej dotykać.

Derg warknął i zaatakował. Zderzyli się ze sobą. Jakby wpadł na dębowy pień albo na głaz wielkości osła...

Równie dobrze Cashel mógłby mocować się z jednym z marmurowych posągów strzegących wejścia do posiadłości Latiasa. Mięśnie demona były jak z kamienia. Jednak Cashel podnosił głazy, a kiedyś nawet wyrwał z ziemi hikorowe drzewko i zawinął nim nad głowę. Nikt inny w wiosce nie potrafił tego zrobić, ale on mógł i zaraz załatwi tego stwora.

Odchylił się w tył, wyginając się w pasie, i pociągnął za sobą demona, który usiłował ciągnąć go w przeciwną stronę. Derg miał znacznie krótsze nogi od Cashela. Kiedy obaj zgięli się na wysokości talii młodzieńca, stopy demona oderwały się od ziemi.

Mellie roześmiała się i wywinęła salto w powietrzu. Kły Derga kłapnęły o włos od gardła Cashela, ale nie zdołały przysunąć się ani odrobinę bliżej. Cashel zaśmiał się ochryple i triumfalnie. Utrzymanie Derga w powietrzu było najtrudniejszym zadaniem jakiego się podjął w życiu, ale poczuł, że demon zaczyna słabnąć w jego uścisku. Cashel zdecydowanie wygiął lewe ramię demona do tyłu. Jeszcze nie mógł rozluźnić chwytu, ale już wiedział, że jest wyraźnie silniejszy od przeciwnika.

Uzyskawszy odpowiednie oparcie, Cashel złapał demona za prawą kostkę. Obrócił go w powietrzu i oparł o lewe kolano, nie zwracając uwagi na to, że Derg szarpie mu ciało wolną ręką. Pazury demona były krótkie, jak u psa i nie tak ostre jak kocie, chociaż nawet i te nie mogłyby już uratować Derga.

Mellie podbiegła do nich i spojrzała w odwróconą do ziemi twarz demona.

– On cię zabije, Dergu – powiedziała. – Wiesz, Cashel nie jest jednym z nas. Zabija, kiedy ktoś wejdzie mu w drogę.

Demon w rozpaczę toczył pianę z ust. Usiłował obrócić się bokiem, lecz Cashel nie pozwolił mu na to.

Pot zlepiał włosy Cashela i spływał mu po piersi. Górna połowa jego tuniki wisiała w strzępach, poszarpana pazurami Derga, lub rozdarta przez napinające się mięśnie. Nie znał przyczyny i nic go to

nie obchodziło. Nadal naciskał na ramiona i nogi demona, przeginając go na swoim kolanie.

– To już nie potrwa długo, Dergu – powiedziała wesoło Mellie. Lekko pociągnęła demona za nos. – No wiesz, Cashel zawsze kończy to, do czego się zabiera. Ciekawe, jak głośno trzaśnie twój kręgosłup...

– Poddaję się! – zarzęził demon.

Cashel ledwie usłyszał te słowa przez szum krwi w uszach. Odrzucił Derga i zaczął wstawać.

Kosmos z rykiem stracił wszystkie barwy. Polanka znikła. Cashel poczuł, że ziemia przyjmuje go w swe objęcia, a potem nie czuł już nic.

Challis poszedł jako posłaniec. Teraz siedział z woźnicą na koźle zamkniętej karocy podjeżdżającej do aresztu. Za nim stali dwaj mężczyźni o ciemnej skórze i oczach, których białka żółto błyszczały w blasku palących się przed aresztem lamp. Koła turkotały po bruku, chociaż pojazd już zwolnił.

Challis zeskoczył z kozła i powiedział:

– Garric ma jechać z tymi ludźmi, stara kobieta jest wolna. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Areszt był dużą klatką przed wartownią. Uprzejmość kaprała zaszła tak daleko, że wyrzucił pół tuzina pijaczków, którzy inaczej spędziliby noc w ciupie, towarzysząc Garricowi i Tenoctris. Wprawdzie po pijakach pozostał odór i kałuża wymiocin, ale na szczęście nie siedzieli tam długo.

Poza tym zaduch panujący w areszcie nie był ich prawdziwym zmartwieniem.

Kapral otworzył drzwi. Kiedy opuszczali areszt, Tenoctris nikłym uśmiechem dodała Garricowi odwagi, ale ona też nie wiedziała, co się dzieje.

Drzwi powozu otworzyły się. Dwaj ciemnoskórzy i krępi mężczyźni, należący chyba do tej samej rasy co forysie, wysiedli i stanęli po obu stronach drzwi. Z karety wysiadł jasnoskóry mężczyzna. Spojrzał na Garrica i skinął głową.

– Tak, to on. Wsiadaj, panie.

– Oto co miał przy sobie – rzekł kapral. Jasnoskóry wziął miecz, sakiewkę oraz trzos Garrica i wręczył je najbliższemu stojącemu forysiowi.

Garric przypuszczał, że strażnicy podzielią się jego pieniędzmi, lecz nie zrobili tego. Z jakiegoś powodu ta sytuacja zaniepokoiła ich tak, że zachowali się wyjątkowo uczciwie.

– Wsiadaj, powiedziałem – powtórzył mężczyzna. Jego głos był jak trzask iskier, ostry, lecz pozbawiony życia.

Tenoctris znikła w mroku, zanim straż lub ten cywil zmieniliby zdanie. Zdążyła jeszcze szepnąć, że ma jakiś plan, ale w obecności strażników nie mogła powiedzieć nic więcej.

– Dobrze – rzekł Garric i wsiadł do powozu. W środku siedzieli jeszcze dwaj mężczyźni. Pierwsi dwaj wsiedli za nim i zajęli miejsca po jego bokach, tak że nie mógł otworzyć drzwi i wyskoczyć.

Powóz ruszył, gdy tylko jasnoskóry usiadł naprzeciw Garrica. Jedyнным źródłem światła był blask lamp, wpadający przez cienkie ścianki powozu. Twarz białego mężczyzny i żółtawe gałki oczne siedzących obok niego strażników zdawały się unosić w powietrzu.

– Gdzie jest Liane bos-Benliman? – zapytał biały, podnosząc głos, by zagłuszyć turkot kół. – Powiedziałaś straży, że jesteś na jej służbie.

– Pewnie, że jestem na jej służbie – rzekł Garric. – Zostawiłem ją pod „Trykiem i Owcą”. Sądzę, że nadal tam jest.

Kłamał, ale na razie nie mogli tego wiedzieć. Gdyby powiedział prawdę, że Liane porwał jej martwy ojciec, nie uwierzyliby mu i tylko pogorszyłby sytuację.

Jakkolwiek wyglądała ta sytuacja.

– Dlaczego zostałem aresztowany? – zapytał. Cień króla Carusa przechadzał się w głębi jego umysłu, jak lew w klatce: niespokojny, lecz nie zdenerwowany, czekający, aż Garric uwolni go. – Dla kogo pracujecie?

Białoskóry uśmiechnął się.

– Nic ci się nie stanie – rzekł. – I z pewnością wkrótce otrzymasz odpowiedź na te wszystkie pytania.

Powóz zatrzymał się wśród skrzypienia upręży i skórzanych zawiasów. Nie ujechali daleko, lecz turkot kół na bruku sugerował, że jechali szybciej niż wydawało się Garricowi.

Forys otworzył drzwi. Stali przed jakąś okazałą rezydencją. W zasłoniętych oknach paliły się światła. Dwaj strażnicy wysiedli i czujnie obserwowali Garrica.

– Wejdz – rzekł jasnoskóry. – Kazano mi cię dobrze traktować.

Jego twarz wykrzywił uśmiech lub nerwowy tik.

– Ona nie kłamie. To być może jest w niej najbardziej przerażające. Zawsze robi dokładnie to, co obiecuje.

– Kto? – zapytał Garric, wysiadając z pojazdu. – Dla kogo pracujesz?

– Wejdz, panie Garricu – odparł blady mężczyzna. – Nie ma sensu z nią walczyć. Po prostu nie można.

Garric odwrócił się i zrobił trzy kroki do frontowych drzwi. Dwaj strażnicy szli przodem, dwaj pozostali i forysie za nim. Jeden z nich niósł jego miecz i sakiewki.

Kasetonowe drzwi z tekowego drewna otworzyły się, zanim Garric do nich doszedł. Słyszając odjeżdżający powóz, obejrzał się przez ramię. Odpowiedziały mu spojrzenia czterech czarnoskórych. Biały mężczyzna znikł.

Odźwierny był kolejnym ciemnoskórym mężczyzną, równie postawnym i milczącym jak pozostali. Garric zastanawiał się, czy mówią jego językiem i czy przypadkiem nie są niemi.

W holu oprócz odźwiernego czekała jakaś kobieta.

– Czeka na pana umywalka i czyste ubranie, panie Garricu – powiedziała. Tak jak głos jasnoskórego, jej również był bezbarwny jak tafla szkła.

Na ścianach wisiały lustrzane kandelabry, w których paliło się więcej świec, niż Garric kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Boazeria była z cedrowego drewna, ozdobiona złotem.

Garric zamrugał. *Jasno jak w dzień*, pomyślał, chociaż wiedział, że to nieprawda. Mimo połysku i czystości, ten budynek był jak grobowiec, w którym spoczywali przodkowie Liane.

– Chodź – powiedziała kobieta. Garric poszedł za nią, ponieważ wiedział, że zaprowadzi go do pani, a tylko właścicielka tego budynku mogła odpowiedzieć na jego pytania.

Przylegająca do holu komnata była wyłożona marmurem. Znajdowała się w niej alabastrowa umywalka i zlew, a w jednym kącie wielka miedziana wanna. Pomieszczenie było większe niż połowa chat w Barca's Hamlet, chociaż w porównaniu z całą rezydencją wydawało się niewielkie.

Kobieta odeszła. Przy otwartych drzwiach został lokaj. Służba, choć dyskretna, z pewnością pojawiłaby się w porę, żeby przeszkodzić Garricowi w ucieczce.

Wanna była pełna parującej wody. Garric zignorował to i napełnił umywalkę wodą z miedzianego dzbanka. Gąbką umył twarz i ramiona.

Nad umywalką wisiało lustro z posrebrzanego brązu. Za pomocą znalezionego wśród przyborów toaletowych grzebienia Garric wyczesał pajęczyny z włosów. Przypomniał sobie pająki z tunelu, przez który udało mu się uciec ze snu.

Po snach nie zostają pajęczyny – ani miecze.

Nie zamierzał uciekać. Właścicielka tego domu była jedną z tych osób, które chciały kierować życiem Garrica. Miał zamiar dowiedzieć się, dlaczego.

Na wieszakach wisiała czysta tunika i para sandałów. Tunika Garrica rano była czysta, lecz od tej pory minął cały dzień. Jednak nie przebrał się. To ubranie było jedyną własnością, jaka mu

pozostała, z wyjątkiem duszy.

– Teraz możesz zaprowadzić mnie do twojej pani – rzekł do lokaja.

Żółtooki odsunął się. W holu czekała chuda kobieta.

– Proszę za mną – powiedziała i poprowadziła Garrica korytarzem do zachodniego skrzydła rezydencji.

Hol był rzęście oświetlony, lecz wszystkie drewniane drzwi, jakie mijali, były zamknięte. Kobieta zastukała do tych, które znajdowały się na samym końcu.

– Wejść – powiedział głos.

Otworzyła drzwi i cicho zamknęła je za Garricem.

W tym pokoju było ciemniej niż w pozostałych, chociaż para trójramiennych kandelabrow dawala więcej światła niż kaganki używane we wiosce. Naprzeciw drzwi znajdowała się kanapa, a między wysokimi, zasłoniętymi oknami z prawej strony stał duży kufer.

Kobieta stała plecami do Garrica, oglądając leżący na wieku skrzyni miecz i resztę jego rzeczy. Blask świec na ścianie nad nią krył jej postać w cieniu.

– Ten miecz jest tak interesujący nie dlatego, że jest ostry czy ciężki – powiedziała spokojnym, znajomym głosem. – Chociaż również dlatego. Jego najważniejszą właściwością jest to, że dotknięcie tego metalu wyzwala z wszelkiego czaru. Kowal, który go wykuł, musiał być równie zręczny jak ja.

To samo mówiły nimfy, kiedy podarowały mu miecz.

– Kim jesteś? – zapytał.

Kobieta odwróciła się z uśmiechem.

– Czyżbyś mnie zapomniał, Garricu? – spytała. – Ja cię nie zapomniałam.

To była Ilna.

– Ilna! – wykrzyknął. Zrobił krok ku niej, żeby ją uściskać, ale zaraz przystanął. – Czy ty też zostałeś aresztowana? Nawet nie wiedzieliśmy, że jesteś na Sandrakkanie!

Wciąż się uśmiechała. To ten uśmiech sprawił, że zatrzymał się.

– Wcale nie, Garricu. Ten dom jest mój. Sandrakkańska szlachta dobrze płaci za miłość.

Zaśmiała się.

– A raczej za żądzę. Zdaje się, że to właściwie to samo.

Głos Ilny sprawił, że Garric zaczął się o nią bać. Czuł się tak, jakby obserwował jej wspinaczkę po skalnym urwisku. Przypominał sobie sen o skale setki metrów nad spienionym wirem...

– Ilno? – spytał. – Co ci się stało? Czy mogę ci jakoś pomóc?

Wzięła z kufra kawałek materiału. Był nie większy od złożonej chusteczki, lecz Ilna rozwinęła go w chustę cieńszą od pajęczyny. Garric zauważył, iż blask świec przechodzi bez trudu przez tkaninę, która jednak w jakiś dziwny sposób zniekształca wszystko, co przez nią widać. Ilna zarzuciła ją sobie na ramiona i zawiązała pod szyją. Garricowi ścisnęło się serce. Wyciągnęła do niego ramiona.

– Wszystko w porządku, Garricu – powiedziała. – Teraz nie będziesz mnie ignorował, prawda? Chodź.

Ogień gorętszy od paleniska kowala rozgorzał w duszy Garrica, spalając jego osobowość i wolę. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Zrobił krok naprzód, świadomy swego istnienia jedynie w takim stopniu, w jakim mógłby zdawać sobie sprawę z obecności posągu w sąsiednim pokoju.

Śmiech Ilny przypominał trzask pękającego w zimie lodu. Chwyciła chustę i narzuciła ją sobie na głowę. Luźny materiał jak przezroczysty woal spłynął jej po bokach twarzy.

– Chodź – powtórzył kosmos głosem zimnym jak światło księżyca.

Garric wpadł w jej ramiona. Nie mógł się temu oprzeć, tak jak spływająca woda nie może

zatrzymać się w połowie stoku.

W holu rozległy się krzyki i szczęk oręża. Serce waliło Garricowi jak młotem, a ten huk gromowym echem odbijał się w jego uszach. Dotknął policzka Ilny przez cieniutki materiał.

Trzasnęło wybite okno. Zatrzepotały zasłony, gdy przez parapet zaczęły gramolić się jakieś postacie. Drzwi otwarły się na oścież.

– Garricu! – krzyknęła Ilna. Cofnęła się. Garric ruszył za nią, widząc, co się dzieje, lecz nie zważając na to.

W progu stały dwa licha. Jedno trzymało włócznię, drugie czerwony od krwi i rdzy kordelas. Przez okna wdzierały się kolejne potwory. W komnacie zaśmierdziało gnijącym bagnem.

Licha ruszyły naprzód, unosząc broń. Już były martwe. Magia Ilny nie miała na nie żadnego wpływu.

– Garricu! – krzyknęła Ilna, bojąc się o niego tak, jak nigdy nie obawiała się o swoje życie. Licha nacierały, szczerząc zęby przez półprzezroczyste tkanki.

W obliczu zagrożenia Ilna nie pomyślała o ostrym jak brzytwa nożu z kościaną rękojeścią, który zabrała z Barca's Hamlet i miała za pasem. Jej ulubioną bronią był sznur.

Zerwała chustę i błyskawicznie skręciła z niej powróż. Był lekki jak pajęczyna, ale zarazem wytrzymały. Garric, uwolniony od czaru, zareagował błyskawicznie. Ilna jeszcze nigdy nie widziała tak szybko poruszającego się człowieka.

Chwyciwszy jedną ręką mocno pochwę, drugą wyrwał miecz i tym samym ruchem rozplątał czaszkę przechodzącego przez okno potwora. Obrócił się na pięcie, pochwą zablokował cios topora i ściał głowę licha uzbrojonego w kordelas. Cięcie płynnie przeszło w pchnięcie, które przeszło oczodół stwora z toporem, zanim jeszcze zgasły iskry tryskające pod uderzeniem z okutej żelazem rękojeści.

Ilna skrzyżowała ramiona i gwałtownie wyprostowała je, chwytając miecz licha w pętlę materiału. Ostrze było zbyt skorodowane, by przeciąć jedwab. Stwór przez chwilę usiłował wyrwać ostrze z pętli, zanim Garric rozplątał mu głowę jak jajko na miękko.

Garric stanął pierś w pierś z lichem, nie pozwalając mu użyć włóczni. Uderzył gałką miecza, obrócił się i jednym zamaszystym cięciem rozplątał piersi dwóch atakujących go potworów.

Pod silnymi i błyskawicznymi ciosami Garrica galaretowate ciało pryskało na ściany i sufit. Kości niektórych napastników łamały się pod uderzeniem jak suche patyczki, inne, odcięte, ukazywały żółtawą tkankę ze śladami szpiku w środku.

Przeciwników było co najmniej tuzin, lecz Garric położył już wszystkich oprócz dwóch. Ci nacierali nieustraszenie jak toczące się kłody. Garric uderzył nisko, pod tarczę w kształcie latawca, a powrotnym cięciem rozplątał ostatnie lichy aż po pierś.

Ilna podniosła topór. Roztrzaskała łeb licha z nogami obciętymi w kolanach, a potem tak samo potraktowała tego, który na oślep machał zardzewiałym mieczem, chociaż jego miednica leżała obok reszty ciała.

Garric obrócił się. Był zupełnie wyczerpany i twarz miał szarą jak popiół. Kawalki cuchnącej żelatyny ciemniały i rozplływały się, ściekając z jego rąk i torsu.

– Garricu! – powiedziała Ilna, czując nagłe zmęczenie. Jej chusta leżała owinięta wokół zardzewiałego miecza, podarta i zmoczona rozkładającą się tkanką.

Słyszając znajomy głos, Garric spojrział na nią. Uśmiech, który zaczął rozciągać jego wydatne wargi, nagle zastygł i zmienił się w grymas przerażenia i odrazy. Ilna ujrzała siebie w zwierciadle jego oczu.

Jej cienka tunika była poplamiona cuchnącą mazią. Ostrze przebiło ją na wysokości pasa, od przodu do tyłu, rozdzierając materiał, lecz nie dotykając ciała, tak że nawet nie dostrzegła niebezpieczeństwa.

Za nią, owijając ją gałęziami, których końce wchodziły do jej uszu i oczu, stało drzewo o ohydnej białej korze. Bezlistne gałęzie oplatały ją jak robaki wijące się na ciele. Pień i konary dygotały i kołysały się w sposób budzący większe obrzydzenie, niż widok ciała ściekającego ze zbutwiałych kości potworów.

Ilna wrzasnęła. Chwyciła gałęzie wchodzące do jej oczu, lecz równie dobrze mogłaby próbować

wyrwać wbite w ziemię słupy.

Garric doskoczył do niej i zamachnął się trzymanym oburącz mieczem. Twarz miał jak wykutą z kamienia, twarz młodzieńca, który ścinał wiele drzew i zawsze trafiał ostrzem tam, gdzie mierzył. Ciężkie ostrze przecięło pień tuż poniżej węzła splątanych gałęzi.

Przeraźliwy ryk wściekłości wstrząsnął kosmosem. Szara jak popiół otchłań oddzieliła nagle Ilnę od Garrica, od wszystkiego. Dziewczyna osunęła się w nią.

Była jednak wolna. Ilna os-Kenset była wolna po raz pierwszy, od kiedy przeszła przez portal w Carcosie i jej dusza uśmiechała się.

Łoże było jak ze szklanych włókien, miękkie i sprężynujące w sposób, w jaki pierze nigdy nie zachowywało się pod ciężarem Cashela. Przez moment cieszył się jego pieśczołą, chociaż wiedział, że powinien wstać.

W końcu otworzył oczy. Słońce wisiało ogromną rubinową kopułą na zachodnim horyzoncie. Rozsiane w regularnych odstępach na letnim niebie chmury były przetykane smugami purpury, różu i – w najwyższych swych warstwach – złota. W kryształowych wieżach miasta wznoszących się nad baldachimem drzew odbijały się wszystkie barwy tęczy.

Cashel usiadł i przeciągnął się. Bolało go chyba wszystko, co może boleć człowieka: przyjemne uczucie, świadectwo dobrze wykonanej pracy. Mellie weszła na szeroki zadaszony balkon, na którym stało jego łóżko. Niosła kubek z tak przejrzystego szkła, że wydawało się, iż zielony napój sam uformował się w słupek.

– Jak długo spałem? – zapytał Cashel. Wstał, ostrożnie ale nie chwiejnie. Mięśnie nie odmówiły mu posłuszeństwa, chociaż usłuchały go niezbyt chętnie.

– Długi czas – powiedziała wesoło duszka. Nie zdziwiło go to, że była kobietą normalnego wzrostu, wprawdzie nie tak wysoką jak Sharina, ale o znacznie pełniejszych kształtach. – Masz wypij to, a zaraz poczujesz się lepiej.

– Czuję się znakomicie – mruknął Cashel, chociaż nie był pewny czy to prawda. Właściwie nie czuł się źle, ale nie miał ochoty podejmować większego wysiłku niż ten związany z przejściem przez pokój.

Małymi łykami wypił napój, nie odrywając naczynia od ust i nie spiesząc się. Banieczki laskotały go w nos. Sam płyn był chłodny w ustach i gardle, ale przyjemnie rozgrzewał ciało.

Cashel spojrział na swój tors. Zadrapania pozostawione przez pazury Derga już na pół się zagoiły. Pozostały tylko długie strupy.

– Jak długo? – powtórzył, zdumiony. – Mellie, powinnaś mnie obudzić!

Ptaki kołowały wysoko na niebie w skomplikowanym tańcu. Słońce prawie całkiem schowało się już za horyzontem, lecz od czasu do czasu ich skrzydła mieniły się w ostatnich promieniach.

Mellie zachichotała i objęła Cashela ramieniem. Jej mięśnie były równie twarde jak jego mięśnie.

– Potrzebowałeś snu, Cashelu – powiedziała. – Mówiłam ci, Derg jest bardzo silny.

Pamiętał ich walkę tak, jak zawsze pamięta się bitwę: strzępy i kawałki, zbiór oderwanych fragmentów, a nie zwartą całość. Kły kłapiące o włos od jego gardła, widok krępego czerwonego ciała ociekającego wodą i podnoszącego się po upadku, który powinien połamać kości...

– Rzeczywiście – rzekł Cashel. – Mam nadzieję, że nigdy nie spotkam nikogo silniejszego.

Dotknął czoła. Skaleczenia, które pozostawiły zęby Derga, kiedy Cashel uderzył go bykiem, nadal bolały, chociaż i one się zasklepiły.

– Popatrzmy na wschód księżyców – powiedziała Mellie. Wyjęła Cashelowi z ręki pusty kubek i postawiła na stoliku o nóżkach jak szafirowe druty. Poszli razem, trzymając się pod rękę, na most ze szkła, odchodzący łukiem z balkonu.

Powietrze było naelektryzowane i wibrujące, chociaż jedynymi zapachami były te, które napływały z lasu na dole: tu aromat kwiecica, tam woń dojrzewającego owocu, a nad tym wszystkim zielona siła życia. W baldachimie listowia coś się poruszało. Z pewnością to poruszały się

gniazdujące ptaki i nocne zwierzęta, wychodzące wraz z nadejściem mroku, przebiegające swoimi ścieżkami na wysokości kilkudziesięciu metrów.

Most miał szerokość trzech metrów i balustradę tak delikatną, że widoczną tylko jako słaby odbłask wzdłuż konstrukcji. Wygięcie mostu było ledwie dostrzegalne, lecz w najwyższym punkcie jego wzniesienie całkowicie skrywało odległą o pół kilometra wieżę na drugim końcu. Powierzchnia była przyjemnie, sprężyste stabilna, niczym gęsta i soczysta trawa.

Cashel prawie zupełnie odzyskał siły i kontrolę nad swoimi mięśniami. Podniósł ręce nad głowę i wyprostował je, śmiejąc się z radości.

Mellie uścisnęła go.

– Tak – powiedziała, znów odpowiadając na jego niewypowiedziane pytanie. – Teraz jesteś tylko tak silny, jak dwóch przeciętnych ludzi, Cashelu!

Zachichotała. Cashel podniósł ją i posadził sobie na ramieniu. Poszedł dalej, niosąc duszkę jakby była piórkiem. W koronach drzew poniżej melodyjnie nawoływały się i szczebiotały leśne stworzenia.

Dotarli na środek mostka. Wieże nad ciemnym lasem jarzyły się bajecznie kolorowymi światłami.

Wzeszły księżycy, niniejszy nieco wyżej i w niewielkiej odległości od większego. Były w pełni, świecąc srebrzystym blaskiem przez pastelową poświatę.

Cashel oburącz przytulił do siebie Mellie i w tym momencie obudził się.

– Och! – wykrzyknął. Leżał na polance, na której walczył z Dergiem. Jego głowa spoczywała na wiązce sprężystych gałęzi. Mellie z zatroskaną miną siedziała przy nim, a demon przykucnął z drugiej strony. Oboje byli normalnej wielkości. Cashel podniósł się z trudem, wiedząc, że Derg ma teraz nad nim przytłaczającą przewagę.

Tymczasem demon nie zaatakował go, tylko klęknął i uderzył czołem o ziemię.

– Panie – warknął.

– Masz, Cashelu – powiedział Mellie. Rzuciła Dergowi orzech wielkości pięści. – Wypij to i poczujesz się lepiej.

Demon włożył orzech między długie szczęki i zgrabnie odgryzł czubek. Wypluł łupinę i podał Cashelowi otwarty orzech.

– Nic mi nie jest – mruknął Cashel. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek bolało go tyle części ciała jednocześnie. Upił łyk, spodziewając się mleczka kokosowego, a zamiast niego znajdując pienisty zielony płyn. Rozchodząc się w jego ciele, napój jak łaźnia parowa rozgrzał i rozluźnił mu mięśnie.

Cashel spojrzał na demona o psim łbie.

– Między nami zgoda, no nie? – spytał.

W wiosce walka zazwyczaj kończyła się, kiedy jeden z walczących się poddał, ale czasem przegrany nie chciał na tym poprzestać. Derg ponownie się skłonił.

– Jesteś moim panem, dopóki nie spełnię twego życzenia, człowieku – rzekł. Uśmiechnął się, przy czym jego zębata paszcza przybrała niezwykle groźny wygląd. – Potem poszukam sobie przeciwnika, który nie jest tak silny.

Cashel roześmiał się i uścisnął łapę demona.

– Ja chyba też – powiedział.

Wstał, powoli rozluźniając mięśnie. Spojrzał na swoją pierś. Mellie – albo Derg – któreś z nich posmarowało zadrapania brązową maścią o żywicznym zapachu. Zmarszczył brwi i poczuł, jak kurczy się warstwa zaschniętej maści pokrywającej skaleczenia na czole.

– Miałem bardzo dziwny sen, Mellie – rzekł. – Byłem kimś innym.

Derg zerwał purpurowy kwiat zwisający z pnącza wijącego się po gałęzi nad ich głowami. Kiedy demon stał, długi tors sprawiał, że dorównywał wzrostem Cashelowi.

– Oddech tych kwiatów sprowadza sny – rzekł. Trzeba było oswoić się z jego głuchym głosem, tak samo jak z wyrazem psiego pyska.

Cashel nie wyczuł żadnego szczególnego zapachu, ale nie miał powodu, by nie wierzyć Dergowi. Sam umiał poznać owce po beczeniu z tak dużej odległości, że nikt we wiosce nie potrafił odróżnić tego odgłosu od świstu wiatru. Demon swoim długim nosem z pewnością mógł rozróżnić zapachy, jakich Cashel nie czuł.

– I co sądzisz o tym śnie, Cashelu? – zapytała duszka. Gdyby powiedział to ktoś inny, Cashel przysięgłby, że w jej głosie słyszy napięcie.

Wzruszył ramionami.

– Był miły – odparł. – Chociaż trochę zabawnie było śnić, że jestem kimś innym.

– Ta osoba ze snu – spytała Mellie. – To nie mogłeś być ty?

– Och nie – odparł Cashel. Zaśmiał się zmieszany, żałując, że poruszył ten temat. – Nie, to był ktoś zupełnie inny.

Duszka zrobiła szybkie salto w tył, stanęła na rękach i znów skoczyła na nogi. Od kiedy znaleźli się w tej zielonej dżungli, po raz pierwszy wykonała takie akrobacje.

– Będziemy musieli przejść długą drogę, żeby Derg mógł spełnić twoje życzenie – powiedziała. – Możemy już iść?

– Hę? – zdziwił się Cashel. – Chyba tak. Chociaż będziemy musieli iść wolno, dopóki się nie rozruszam.

– A więc tędy! – powiedziała raźnie Mellie, przechodząc między dwiema paprociami o wysokości człowieka.

Cashelowi wydało się, że na policzku Mellie zabłysła łza. Na pewno mu się przywidziało.

– Nie – rzekł Nonnus do dowódcy czterech jeźdźców, eskortujących powóz, który Asera przysłała po towarzyszy. – Pojadę na stopniu, nie w środku.

Strażnik zmarszczył brwi. Światło latarni odbijało się od jego stalowego hełmu i napierśnika. Miał długi wygięty miecz, który wisiał mu przy lewym boku i pobrzękiwał przy każdym ruchu.

– No to lepiej się nie ześlizgnij – poradził. – I powiem ci tylko tyle, że jeśli spadniesz, to miej nadzieję, że koła nie przejadą ci po głowie ani brzuchu.

Powóz zawracał na dziedzińcu gospody. Kareta miała drewniany szkielet obciążony grubym wodoszczelnym płótnem, więc mogły ją ciągnąć już dwa konie. Personel zajazdu czekał, by przenieść skromny dobytek przybyłych z dyliżansu do tego lżejszego, miejskiego pojazdu.

– Tak – odparł pustelnik. – Muszę o tym pamiętać.

– Sarko! – zawołał karczmarz, wzywając jednego ze stajennych, który powinien mu pomóc. Teraz sam niósł koc, na którym sypiała Sharina. – Brann! Gdzie jesteście?

Powóz zawrócił. Karczmarz z dwiema służącymi podał bagaż woźnicy, który położył wszystko na dachu pojazdu.

– Sarko! – ponownie zawołał karczmarz.

Sharina usiłowała przypomnieć sobie twarze tych ludzi, ale widziała tylko rozmazane plamy. Nawet zabici zasługiwali na coś więcej niż szarość zapomnienia.

– A więc wsiadać! – rzekł strażnik. Okręcił konia i wyjechał z podwórka, wykrzykując rozkazy do swoich ludzi.

Nonnus spojrział na Sharinę, uśmiechnął się i podsadził ją do pojazdu. Meder poszedł w ich ślady, siadając naprzeciw. Powóz natychmiast ruszył. Pustelnik wsunął lewą rękę przez okno, trzymając się framugi. W okienku widać było kontur jego twarzy. Stopień był wąski, przeznaczony tylko dla palców pasażera wchodzącego lub wychodzącego z pojazdu, ale Sharina nie obawiała się, że Nonnus mógłby upaść.

Właściwie sama nie wiedziała, czego się boi. Może unosiły się nad nią duchy zabitych stajennych.

Siedzenia były obite ciemnym pluszem. Podejrzewała, że powóz był własnością bor-Dahlimanów, ale nigdzie nie było ani herbu, ani innego znaku właścicieli. A strażnicy nie nosili liberii.

Meder patrzył na nią, chociaż rzadko do wnętrza karety wpadało tyle światła, by widać było coś więcej niż tylko niewyraźny zarys twarzy.

– Nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo mnie potrzebujesz, panienko – powiedział. Turkot kół zmienił jego głos z metaliczny szept. – Jeszcze to zrozumiesz. Pewnego dnia uratuję cię, kiedy nikt inny nie zdoła, a wtedy mnie docenisz.

Sharina odwróciła głowę. Dotknęła czubkami palców przedramienia Nonnusa. Uśmiechnął się, lecz nie spojrział do środka pojazdu. Mięśnie miał jak z marmuru.

Sharina nie wiedziała, jak daleko jechali. Powóz nie zwolnił ani na chwilę, lecz czasem słyszała, jak jadąca przodem eskorta wykrzykuje pogróżki, torując im drogę. W pewnej chwili rozległ się szcęk metalu.

Turkot i podskakiwanie kół na bruku usypiały ją, lecz ilekroć zamknęła oczy, przypominali jej się zabici w zaułku. Nie ich twarze, tylko przerażenie w ich oczach. Gwałtownie prostowała się,

z zamętem w głowie. *Nawet źli ludzie...*

Powóz zatrzymał się tak gwałtownie, że Sharina zakołysała się na siedzeniu. Widocznie woźnica zaciągnął hamulec, zanim konie stanęły. Nonnus zeskoczył ze stopnia i otworzył drzwi wolną, lewą ręką. W prawej trzymał oszczep.

Sharina wysiadła. Znajdowali się przed jakąś rezydencją, pod mającym chronić przybywających w deszczu gości daszkiem, który z jednej strony podtrzymywały słupy. Powietrze było słone i wilgotne. Widocznie byli w pobliżu portu lub wiodącego do niego kanału, ponieważ wszystkie domy wokół tego placu wyglądały na pałace, a nie na magazyny czy tawerny obsługujące marynarzy.

Nie paliły się lampy, ale wschodzący księżyc był w pełni. W drzwiach stała wysoka kobieta w szarym stroju. Padające z komnaty za nią światło świecy rzucało długi cień na jej policzek.

– Wchodźcie szybko – powiedziała. – Zanim ktoś was zobaczy.

Sharina weszła do środka za Mederem. Nonnus bezszelestnie kroczył za nią. Marmurowe kafelki posadzki były ułożone w geometryczny wzór, a sufit podzielony na cztery kasetony z mitologicznymi malowidłami. W świetle jednej świecy Sharina nie mogła dostrzec szczegółów, lecz na jednym z obrazów ludzie dosiadali smoków.

Kobieta zamknęła drzwi i wprowadziła ich do głównego holu. Przez wysokie okna wpadały kliny chłodnego, jasnego blasku księżyca. Asera czekała na nich z następnym sługą, tym razem mężczyzną, ale również ubranym na szaro. Słudzy mieli blade twarze, a włosy rzadkie i matowe, oblepiające czaszki niczym wosk.

Sharina usłyszała, że powóz i eskorta odjeżdżają z hałasem – ulicą, a nie do stajni na tyłach. Rozejrzała się wokół. Hol był wyłożony marmurem: z nisz w ścianach spoglądały posągi, a balaski podtrzymujące balustradę galerii również były miniaturowymi posążkami.

Większość korytarzy wiodących z holu do innych komnat zamykały wysokie drzwi z ciemnego drewna, bogato rzeźbione i osadzone na zawiasach ze złoconego brązu. Podwójne schody znajdowały się naprzeciw frontowych drzwi, nie bocznych, przez które weszli do pałacu. Między rzędami schodów łukowate przejście wiodło prosto do spiżowej kraty, przypominającej bramę zamku. Za nią Sharina dojrzała marmurowe nabrzeże, lśniące w blasku księżyca. Pałac stał tuż nad jednym z kanałów.

Miejska rezydencja bor-Dahlimanów była luksusowym pałacem. Zapewne w Carcosie nie było takiego, który mógł się z nią równać. Teraz stała pusta albo prawie, bo nawet w słabym świetle księżyca Sharina dostrzegła cienką warstwę kurzu, jaki nieuchronnie osiada w nieużywanych pomieszczeniach. Lepkie słone powietrze przyciąga kurz, a najwidoczniej nie było tu armii służących, którzy mogliby go ścierać. Zastanawiała się, czy ta para bladych ludzi to cała służba tego pałacu.

– Gdzie jest właściciel? – spytała ostro. – Z kim mamy się tu spotkać?

Asera zmarszczyła brwi zirytowana, że kwestionuje się jej decyzje.

– Regin bor-Dahliman jest nieobecny. Jego słudzy zajmą się nami do rana, kiedy to załatwi nam transport.

Sharina usłyszała cichy szmer na piętrze. Nonnus też go usłyszał. W jego zachowaniu nie zaszła żadna widoczna zmiana – bo od chwili przybycia do tego domu był spięty jak mangusta w norze węża – ale zauważyła, że bacznie rozejrzał się wokół.

Frontowe drzwi były solidne, zamknięte i zaryglowane. Wytrzymałyby atak tłumu z taranem; nawet ich otwarcie od wewnątrz wymagałoby kilku minut. Okna holu na parterze były zakratowane i niewątpliwie otwory okienne w innych pomieszczeniach za ciemnymi drzwiami były równie dobrze zabezpieczone. Kratę w drzwiach prowadzących na brzeg trzeba było podnieść, co trwałoby długo

nawet po znalezieniu służącej do tego korby.

Drzwi, którymi tu weszli, były jedyną drogą, jaką w pośpiechu można było opuścić pałac. Jeśli rzeczywiście była to pułapka, ci, którzy ją zastawili, także zdawali sobie z tego sprawę.

Służąca skłoniła się Sharinie.

– Pani – powiedziała – proszę, pozwól ze mną do zachodniego skrzydła. Tam jest przygotowany dla ciebie pokój.

– W zachodnim skrzydle? – zdziwiła się Asera. – Mówiłaś, że wszystkie używane pokoje są w...

– Chodźmy – rzekł cicho Nonnus. W lewej ręce trzymał swój pewlański nóż.

Ruszyli w kierunku przedsionka. Sharina wyjęła sztylet i wolną ręką sięgnęła do zasuw. Krata zamykająca wyjście nad kanał ze szczękiem zaczęła się unosić.

– Dokąd idziecie? – pytała prokurator. – Czyście oszaleli?

– Pani – powiedziało któreś ze sług. Ich głosów nie dało się odróżnić – były blade i bezbarwne, jak ich szare oczy. Sharina gwałtownie otworzyła drzwi.

Drzwi na zewnątrz już były otwarte, a w przedsionku roiło się od potworów, ciągnących za sobą sznury wodorostów. Ruszyły naprzód, unosząc ociekający wodą oręż.

Nonnus kopniakiem zamknął drzwi, zanim Sharina zdążyła zareagować.

– Tędy! – zawołał, popychając ją w kierunku zamkniętych drzwi po drugiej stronie holu.

Asera krzyknęła ze strachu i gniewu. Licha pojawiły się na galerijce i zaczęły schodzić po schodach, a w korytarzu wiodącym do kanału pojawiły się następne.

Służąca chwyciła Sharinę wpół. Miała siłę ośmiornicy. Sharina pchnęła sztyletem w tył i w górę, niezgrabnie, ponieważ nie spodziewała się tego ataku.

Sztylet był ostry jak brzytwa. Rozorał bok kobiety – jeśli to była kobieta. Służąca nadal trzymała Sharinę, która rozpaczliwie przekręciła ostrze. Upadły razem i Sharina uderzyła głową o marmurową posadzkę.

Kobieta nagle zwiotczała. Jej głowa potoczyła się po kafelkach, a z przeciętej szyi popłynęła nie krew, lecz gęsta, brązowa maź.

Nonnus chwycił za kołnierz tuniki Shariny i szarpnięciem postawił dziewczynę na nogi. Trochę rozjaśniło się jej w oczach, lecz nie mogła skupić obu w jednym punkcie – wszystko widziała podwójnie. Służący leżał na boku, przebity na wylot oszczepem pustelnika. Grot do połowy sterczał mu spomiędzy łopatek.

Meder już otworzył drzwi. Blask księżycy wpadał przez okienka clerestorium, oświetlając czarny tron. Meder z krzykiem podbiegł doń i chwycił rzeźbione poręcze. Nonnus wniósł Sharinę do środka, popychając przed sobą prokurator.

Sharina usiłowała otrząsnąć się z szoku. Brązowa maź już zaczęła trawić ostrze jej sztyletu.

W wielkiej sali znajdował się tylko rzeźbiony tron, a pod przeciwległą ścianą hebanowy stół, na którym stały dwa srebrne kandelabry, oksydowane na czarno, pod kolor tych dwóch mebli. Okna były zbyt wąskie, by przedostał się przez nie człowiek, a poza tym zakratowane.

Jedynie drzwi prowadziły do głównego holu, pełnego potworów.

Nonnus spojrział na zamek – skomplikowane urządzenie, które wsuwało dwie metalowe sztaby w otwory we framudze. Te sztaby i same drzwi były bardzo mocne, lecz dziesiątki potworów przetną je w kilka minut.

– Zamknijcie za mną drzwi – powiedział Nonnus i wyszedł z powrotem do holu.

– Nonnusie! – jęknęła Sharina, chwiejnie podnosząc się z podłogi. Asera zasunęła podwójny rygiel. – Nonnusie, nie!

Brzęknęła stal. Coś uderzyło o drzwi i odbiło się.

– Pomódl się za tych, których dziś zabiję, dziecko! – zawołał pustelnik przez drzwi.

Ponieważ sam nie będzie już mógł się za nich pomodlić.

– Nie! – powtórzyła Sharina, chwytając za pokrętko zamka, aby otworzyć drzwi.

Prokurator uderzyła ją w tył głowy srebrnym świecznikiem.

Sharina straciła władzę w kończynach. Bezwładnie osunęła się na podłogę, chociaż wciąż wszystko widziała i słyszała. Sztylet wypadł jej z palców i ze szczękiem upadł na posadzkę.

Meder klęczał na podłodze przed wielkim czarnym tronem. Zaczął rzucać zaklęcie. Za drzwiami słychać było odgłosy walki. Głośnemu szczękowi żelaza nie towarzyszyły żadne inne dźwięki.

Nonnus mógł zapewnić zaledwie trochę czasu, lecz nie bezpieczeństwo, dziewczynie, którą obiecał chronić. I kupował ten czas, swoim pewlańskim nożem i życiem.

– Większą osełką łatwiej się ostrzy – rzekł król Carus, wodząc małym kamieniem po ostrzu miecza w pobliżu końca. Ostrzył drugą krawędź klingi, tę po przeciwnej stronie pierścienia przy jelcu. Jego duch w ciele Garrica ciosem na odlew przeciął żelazny hełm. Metal ustąpił jak pszenica pod kosą, ale lekko wyszczerbił ostrze. – Ta jednak też wystarczy.

Uśmiechnął się do Garrica.

– Tylko nie obetnij sobie palców, chłopcze. To nie żart, widziałem kiedyś taki przypadek.

Garric ze snu skinął głową.

– Zmęczony człowiek popełnia błędy – przytaknął. – A przynajmniej ja je popełniam.

– Każdemu się to zdarza – rzekł Carus, obracając ostrze, by zająć się jego drugą stroną. Mając większą osełkę można przesuwając po niej ostrze, lecz ta, wyjęta z mieszka przymocowanego do pasa podtrzymującego pochwę, była na to za mała. – I nigdy nie będziesz tak zmęczony jak po walce, ale właśnie wtedy musisz zająć się twoim mieczem.

Roześmiał się z humorem człowieka, który znajduje życie zabawnym i potrafi śmiać się ze swoich błędów.

– Nie ma nic gorszego niż ocknąć się i zobaczyć, że nieprzyjaciel ruszył do nocnego kontrataku, a twój miecz jest tępy, ponieważ nie chciało ci się wygładzić jego szczerb przed snem.

Carus podniósł miecz do światła i obejrzał ostrze.

– Tylko szczerby, pamiętaj. I bez przesady. Nie ruszasz do walki z mieczem tak ostrym, że obróci ci się w rękę lub pęknie uderzywszy w coś twardego.

– Ostrzyłem noże – powiedział Garric. – I topory. Kości mogą być twardsze od hikorowych korzeni, ale niewiele twardsze.

Carus ponownie się zaśmiał.

– Czy twoje drzewa nosiły zbroje, chłopcze? – zapytał. – Chociaż rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Westchnął.

– Tyle trzeba wiedzieć, żeby być królem. Niektórych rzeczy nigdy się nie nauczyłem i może nigdy się nie nauczę. Ty będziesz mądrzejszy.

Siedzieli na końcach marmurowej ławki w ogrodzie. Po drugiej stronie owalnego dziedzińca róże pięły się po długiej kracie. Niebo nad głowami było prawie zupełnie puste: tylko kilka ledwie widocznych obłoczków majaczyło na jego bladoniebieskim tle.

Carus wytarł szmatą opiłki z ostrza, uśmiechnął się doń i wepchnął je z powrotem do pochwy.

– Dobry miecz – rzekł. – Nigdy mnie nie zawiódł.

– Czy wykuł go dla ciebie czarodziej? – zapytał Garric. Wiedział, że gdyby wstał i zajrzał za różany żywopłot, niczego by nie zobaczył. No, może wirującą szarość, materię, z której jego umysł tkął sny. Nie chciał sobie tego udowadniać.

Król roześmiał się.

– W każdym razie dał mi go czarodziej – odparł. – Chociaż nie sądzę, żeby to on go wykuł. Czarodzieje wiedzą różne rzeczy, lecz zwykle nie są zbyt zręcznymi rzemieślnikami. Kował, który sporządził ten miecz...

Wepchnął osełkę z powrotem do mieszka.

– ...musiał być równie zręczny jak twoja przyjaciółka Ilna. Nigdy nie przepadałem za

czarodziejami, ale potrafię uszanować dobrego rzemieślnika.

Carus zwrócił miecz Garricowi, który wstał i ponownie go przypiął. Król nadal siedział z zamyśloną miną.

– Nienawidziłem czarodziei – rzekł. – Pewnie dlatego, że nie rozumiałem tego, co robią. To był błąd.

Podniósł głowę. Jego profil był wyrazisty jak pieczęć.

– Nie popełnij tego błędu, chłopcze. Z czarodziejami i czymkolwiek innym.

Twarzy Carusa rozpromienił znajomy, szeroki uśmiech.

– Ale także nie popełnij takiego błędu, jaki zrobił diuk Yole i nie zaufaj komuś tylko dlatego, że posiada wiedzę, jakiej ty nie masz.

Król Carus wstał z ławki i spojrzał prosto w oczy Garricowi ze snu. W tle słychać było jakieś dźwięki: głos rzucający zaklęcia. Barwy świata snu jaśniały i przygasały, pulsując przy każdej sylabie.

– Teraz musisz już iść – powiedział Carus. Poklepał ręką miecz. – Zaopiekuj się nim, chłopcze. Niedługo znów będę go potrzebował.

Ogród znikł w perłowym świetle. Garric rozpostarł ramiona, padając, ale już leżał na zimnych alabastrowych płytach w komnacie zalanej księżycowym blaskiem. Tenoctris uśmiechnęła się, widząc, że otworzył oczy, ale nadal rzucała zaklęcia, dopóki nie zdołał usiąść.

Znajdowali się w zdemolowanym salonie Ilny. Ciała potworów leżały tam, gdzie powaliły je ciosy Garrica. Kości niektórych już były nagie, ponieważ powlekające je ciało rozpuściło się w kałuże czarnej cieczy.

Potężne uderzenie maczugi roztrzaskało kufer z orzechowego drzewa. Zniszczenie tego pięknego mebla martwiło Garrica bardziej niż widok leżącego w progu, rozsiekanego mężczyzny, jednego z żółtookich sług Ilny. Zmarszczył brwi, zaniepokojony tą myślą.

Ilna znikła.

– Była tu Ilna – powiedział. – Widziałaś ją?

Przypomniał sobie to coś, co trzymało dziewczynę. Uderzenie, które przecięło poskręcany pień, zadał Garric, a nie król Carus w jego ciele. Mógł to jednak być sen, koszmar, jak wiele innych.

Tenoctris przecząco pokręciła głową.

– Byłeś jedyną żywą osobą w tym domu, Garricu – powiedziała. – Możesz wstać?

Wyciągnęła rękę. Garric oparł dłonie o podłogę, omijając kałuże mazi. Powoli podniósł się. Uśmiechnął się w duchu na myśl o tym, że potrzebuje pomocy staruszki – a przynajmniej fizycznego wsparcia. Nie wątpił w to, że zdołał wstać nie tylko dzięki swojej wytrzymałości, ale także sile jej zaklęć.

– Sądząc po tym, co pozostawiła tu Ilna – powiedziała Tenoctris, odpowiadając na pytanie, które zadał przed chwilą – obawiam się, że znajduje się w miejscu, gdzie nie powinna być. W bardzo złym miejscu. To samo dotyczy Liane i jeśli nie uratujemy jej przed północą...

Wskazała oczami księżyc, który już stał wysoko na niebie.

– ...prawdopodobnie będzie za późno.

Garric instynktownie rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się co miała na myśli Tenoctris, mówiąc o „tym, co pozostawiła tu Ilna”. Niczego tu nie było – a przynajmniej on niczego nie dostrzegł – co i tak nie miało żadnego znaczenia. *Nie wszystko naraz.*

– A więc odnajdźmy Liane – rzekł. – Czy ona jest w dawnej rezydencji jej rodziny?

– Znajduje się w dozorówce, która jest częścią jej rodzinnego grobowca – odparła Tenoctris. – Nie mogłam tam pójść sama. Nie przeciw Benlo.

– Teraz nie jesteś już sama – powiedział Garric.

Ruszył pierwszy, przestępując przez ciało zabitego sługi. Nagle coś przyszło mu do głowy. Przystanął i wyjął długi miecz, po czym uważnie obejrzał jego ostrze w blasku wciąż palących się w holu świec.

Tenoctris mogła przypasać mu miecz, kiedy Garric leżał nieprzytomny, ale z pewnością nie naostrzyła wyszczerbionego ostrza.

Chociaż jej ciało osunęło się na posadzkę sali tronowej, Sharina oczami duszy widziała hol i rojące się w nim potwory. Nonnus stał plecami do drzwi, pozornie zepchnięty do obrony, lecz nagle rzucił się na napastników, zanim zdążyli zareagować.

Pewlański nóż zamigotał w blasku księżyca.

Jedno lichy padło z kręgosłupem przeciętym przez szerokie ostrze.

Drugie runęło z roztrzaskaną uderzeniem rękojeści lewą skronią czaszki.

Trzecie osunęło się na posadzkę, gdy pustelnik wbił palce w jego oczodół i gwałtownym szarpnięciem skręcił mu kark, jakby dobijał schwytanego w sidła królika.

Nonnus cofnął się. Pozostałe potwory nie okazały strachu ani cienia wahania. Te na środku mozolnie przeszły po ciałach towarzyszy, a te po bokach nadal sunęły naprzód.

Nonnus ciężko dyszał. W jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej bosak o drzewcu ułamanym metr od haka. Uśmiechnął się, patrząc w prawo i skoczył w lewo, w tłum wrogów.

Trysnęły skry, gdy stal uderzyła o stal. Z ciżby wyleciała czaszka nieżywego od wieków stworzenia, teraz martwego na zawsze, pryskając kawałkami galaretowatego ciała.

Nonnus cofnął się, lecz był już przyparty do drzwi i nie miał swobody ruchów. Licha otoczyły go z trzech stron. Sterta szarych ciał i zardzewiałego oręża kłębiła się znacznie dłużej niż byłby w stanie przeżyć jakikolwiek człowiek...

Sharinie pociemniało w oczach i nagle jej duch powrócił do ciała, które leżało na posadzce sali tronowej.

– *Phasousouel eistocliama nouchael!* – wykrzyknął Meder. On i prokurator stali w kręgu, który zakreślił na posadzce sztyletem Shariny. Marmurowe płytki dymiły i syczały pod dotknięciem brązowej mazi pozostałej na ostrzu.

Asera spoglądała w kierunku drzwi, nie biorąc udziału w rytuale. Zapewne bała się, lecz jako arystokratka nie chciała okazywać strachu.

– *Apraphes! Einath! Adones!*

Drzwi zadrżały pod silnymi uderzeniami. Zardzewiałe ostrze topora rozłupało jedną z desek i znikło. Grot halabardy przebił drewno w połowie wysokości drzwi. Licha używały długiego drzewca, jako dźwigni, próbując je wyważyć.

Sharinie wydawało się, że znów może się poruszać, chociaż nie była pewna, czy tego chce. Kiedy nacierające potwory zabijają ją, uwolnią ją od cierpień – i poczucia winy.

– *Dechochtha iathennaouian zaarabem!* – zawołał Meder. Krzyczał coraz głośniejsze, a na jego oświetlonej księżycowym blaskiem twarzy malowała się dzika radość.

Sharina nie miała pojęcia, co zamierzał zrobić czarodziej. Dotychczasowe doświadczenia podpowiadały jej, że z pewnością będzie to coś okropnego, z czym człowiek w żadnym wypadku nie chciałby mieć nic wspólnego.

Uderzenie maczugi i topora rozłupało górną połowę drzwi. Galaretowate ramiona zaczęły wyłamywać strzaskane deski. Drzazgi wbijały się w śluzowate ciało.

Nonnus nie chciałby, żeby uważała Medera za potwora. Nonnus nie chciałby, żeby dziewczyna, za którą oddał życie, leżała na podłodze, gdy triumfuje zło.

Obok leżał świecznik, którym uderzyła ją prokurator. Sharina podniosła go i wstała, po czym zaczęła cofać się od drzwi i szarych, paskudnych stworów, które je wyłamywały.

– *Namadon! Zamadon! Thestis!*

Drzwi pękły od góry do dołu. Połówka z przymocowanym do niej zamkiem opadła i runęła na posadzkę sali tronowej. Dwa lica wypchnęły drugą część. Tuż za drzwiami leżała sterta posiekanych potworów. Sharina spodziewała się tego widoku.

Napięła mięśnie i uniosła ciężki świecznik. Lica już były martwe, ale może jej własna krew da Mederowi moc potrzebną do rzucenia zaklęcia.

– Sharino! – zawołał czarodziej. Słyszając swoje imię, odruchowo obejrzała się.

Meder lewą ręką chwycił Aserę za włosy, a trzymanym w prawej dłoni sztyletem poderżnął jej gardło. Prokurator otworzyła usta, lecz była zbyt zaskoczona by choć wrzasnąć. Krew trysnęła na jej beżową szatę i znikła w strumieniu czerwonego ognia, który wypełnił krąg i podniósł się pod sufit nad czarnym tronem.

Nawet lica zamarły na moment. Czarodziej i jego ofiara znikli w ryczących płomieniach. Sztylet upadł na posadzkę i odbił się od niej, poskręcany i płonący. Piekielny ogień nawet nie tknął Shariny, chociaż stała zaledwie na wyciągnięcie ręki od ochronnego kręgu.

Płomień zamigotał i zgasł, jakby zasłonięty kurtyną. W środku kręgu stał czerwonoskóry stwór o kaprawych oczkach. Miał trzy metry wzrostu i ramiona tak długie, że szponiastymi długimi paluchami dotykał posadzki.

– Uratuję cię, Sharino – rzekł demon ochryplą parodią głosu Medera. Ruszył naprzód, skrobiąc pazurami o marmur.

Sharina odsunęła się na bok, nie puszczając świecznika. Była zbyt wstrząśnięta, by się bać.

Połowa otynkowanego sklepienia runęła z hukiem, grzebiąc tron i osmaloną posadzkę. Trysnęła chmura białego pyłu. Na odsłoniętych krokwiach zamigotał ogień.

Cokolwiek ożywiało umysły potworów, nie pozostawiało miejsca na strach. Te dwa, które stały w drzwiach, skoczyły na demona, wymachując orężem. Maczuga z trzaskiem odbiła się od czerwonej czaszki. Zadane przez drugie licho pchnięcie nie dosięgło celu, gdyż demon chwycił jedną ręką ostrze i skruszył stal jak dziecko łądygę dmuchawca.

– Uratuję cię, Sharino – powtórzył potwór, w którego zamienił się Meder. Złapał oba lica i ścisnął. Kiedy je puścił, kości ich ramion i żeber były skruszone na drobne kawałki tkwiące w galaretowatych ciałach.

Demon na swych krótkich nóżkach wyszedł do holu. Kłębił się tam tłum potworów. Opadły go zawzięcie jak rój pszczoł atakującego ul niedźwiedzia i równie nieskutecznie. Demon rozdzierał je na kawałki lub miażdżył w uścisku. Ani zbroje, jakie miały na sobie niektóre lica, ani ciosy, jakie zadawały mu różną bronią, w najmniejszym stopniu nie powstrzymywały Medera.

Sharina opadła na kolana przy stercie posiekanych ciał przed drzwiami do sali tronowej. Grzebała w cichnących tkankach i kościach. Niektóre gnaty były tak zmurszałe, że rozpadały się pod dotknięciem.

Nonnus leżał na samym spodzie, z pewlańskim nożem w prawej ręce. Twarz miał spokojną – jak zawsze.

– Niechaj Pani okryje cię swym płaszczem, mój przyjacielu. Niechaj Pasterz zaprowadzi cię do Jego zagrody.

Sharina objęła martwego pustelnika. Zaczęła płakać.

Demon odrzucił na bok resztki ostatniego potwora. Odwrócił się do niej z uśmiechem na płaskiej, bezwargiej twarzy.

– Uratowałem cię, Sharino – powiedział. – Teraz jesteś moja.

Ruszył ku niej.

Derg wskazał długą ręką na zrujnowany zamek.

– Tam – rzekł. – Dotarliśmy do miejsca, gdzie spełnię twoje życzenie.

Cashel potarł gojące się rany na piersi. Z początku myślał, że mają przed sobą naturalne wzniesienie. Teraz widział pod listowiem prostokątne głazy, lecz drzewa porastały nawet te fragmenty muru, których nie rozkruszyły korzenie.

– W porządku – rzekł. – Co mam robić?

Cashel nie widział w tych ruinach niczego godnego uwagi, ale ufał Dergowi. I oczywiście Mellie uprzedziłaby go, gdyby coś było nie tak...

Uśmiechnął się do duszki. Trochę zbijał go teraz z tropu jej normalny wzrost. Odpowiedziała mu uśmiechem, ale pozbawionym zwykłej radości. Wyciągnęła rękę i krzepiąco uściśniła jego dłoń.

– To jest w środku – rzekł demon, prowadząc ich wzdłuż wypukłego muru. – Jedna z wież nadal ma dach i w niej znajduje się to, czego pragniesz.

Ze szczytu muru na towarzyszy spoglądał prątkowany jelonek, nie większy od kozy. Korzenie jak kaskada spływały po kamieniach. Jelonek przez chwilę poruszał szczękami, przeżuując resztę dużego liścia wraz z kępką mniejszych listków. Potem parsknął, podrzucił zwieńczoną ostrymi różkami głową i skoczył w las.

Cashel zastanawiał się, czego właściwie chce. Na pewno nie pieniędzy. Sakiewka ciążyła mu już tak, że jej ramię ocierał mu kark, więc owiązał go wokół pasa, na przepasce biodrowej, w jaką zmieniła się jego podarta tunika. W tej dżungli nikt nie ukradnie mu srebra, a nawet gdyby, Cashel wcale by się tym nie zmartwił.

Jeśli Derg prowadzi go do skrzyni ze złotem lub klejnotami... Pewnie je weźmie, ze zwykłej uprzejmości. Nieładnie odmawiać przyjęcia prezentu, nawet niepotrzebnego.

Brama dawno runęła, lecz jej słupy i nadproże były trzema największymi ociosanymi kamieniami, jakie Cashel widział w swoim życiu. Mur wzniesiono z drobnoziarnistego piaskowca o niebieskawym odcieniu, twardego budulca, który przetrwał niezliczone wieki. Zamek zbudowali świetni budowniczości, chociaż pokonał go czas – bowiem czas pokona wszystko.

Przeszli po resztkach bramy. Mellie zręcznie przeskakiwała z kamienia na kamień. Niektóre z nich były równo ociosane, wciąż gładkie mimo upływu wieków. Duszka wyglądała jak skaczący po dachu młyna dudek.

Czego chcesz? Mellie powiedziała, że Derg wie to lepiej ode mnie. Nie było w tym nic dziwnego. Cashel nie pragnął niczego, a przynajmniej żadnego przedmiotu. Ludzie mówili o szczęściu, lecz on nie wiedział, czym ono właściwie jest. I sądząc z tego, co widział, oni też nie wiedzieli.

Mellie poruszała się ze swoją zwykłą zręcznością, ale nie podskakiwała i nie wywijiała koziółków od kiedy... no, od kiedy tu przybyli. Jakby z chwilą, gdy przybrała normalne rozmiary – albo kiedy Cashel się skurczył – zaczęła się zachowywać jak zwykli ludzie.

Gdyby ktoś go o to zapytał zanim tutaj przybyli, Cashel powiedziałby, że duszka jest szczęśliwa. Teraz nie był tego pewny.

Dziedziniec zamku był wybrukowany płytami z tego samego twardego kamienia, z jakiego wzniesiono ściany, lecz porastał je gąszcz drzew. Korzenie znalazły szpary między kamieniami i powiększając się, powyrywały je.

Ludzie sądzą, że kamień jest wieczny. Naprawdę wieczne jest życie, z jego niezmiennymi

cyklami. Skala jest twarda, ale Cashel w każdej chwili mógł wziąć solidny hikorowy drąg...

Przypomniał sobie miecz, który nosił Garric, kiedy spotkali się we śnie. Przypięta do pasa broń wyglądała tak, jakby była jego własnością.

– Dergu? – zapytał Cashel. – Czyżbyś prowadził mnie do jakiegoś miecza? Ponieważ ja nie...

Derg i Mellie parsknęli śmiechem. Cashel od dawna nie słyszał w głosie duszki takiego rozbawienia.

– Och, głuptasie! – powiedziała. – I co ty byś robił z mieczem? Ty!

– To jest tam – przerwał Derg. – W środku.

Stajnie wokół dziedzińca zawaliły się lub zostały przysypane przez walący się mur. Budynki naprzeciw bramy nadal były całe – a przynajmniej ich ściany. Sądząc po pustych otworach okiennych, niegdyś były dwupiętrowe. Dachówki rdzawymi stosami leżały na ziemi wokół i w środku, a stropy nie przetrwały wiele dłużej.

Na lewym końcu tego domu lub pałacu wznosiła się wieża o dwa piętra wyższa od reszty budowli. Jej spiczasty dach zachował się, chociaż i z niego osypała się większość dachówek. Ptaki – nie jaskółki, jakich spodziewałby się Cashel – trzepocząc skrzydełkami wlatywały i wylatywały przez okna.

Derg szedł przodem, równie często na czterech, co na dwóch nogach. Kiedy opadał na czworaki, podpierał się knykciami, chowając pazury w dłoniach. Mellie podskakiwała jak ptaszek, a Cashel szedł tak, jak zawsze w trudnym terenie, ostrożnie stawiając nogi, ponieważ pozornie solidny gład mógł obrócić się pod jego ciężarem. Żałował, że nie ma laski, lecz nie był aż tak dumny, żeby nie podpierać się rękami.

Nie sądził, aby było wiele takich rzeczy, których duma nie pozwalałaby mu zrobić w razie potrzeby.

Derg doprowadził ich po stercie gruzu do drzwi, które kiedyś zapewne znajdowały się na pierwszym piętrze budynku, z którego wyrastała ta wysoka wieża. Cashel roześmiał się. Derg i Mellie spojrzeli na niego.

– Pomyślałem, jak to dobrze, że gruz usypał tu stertę, po której mogliśmy wejść na górę – wyjaśnił. – Zaraz jednak doszedłem do wniosku, że gdyby dach się nie zawalił, to pewnie weszlibyśmy tu po schodach. Niektóre problemy same się rozwiązują, prawda?

Derg miał zdziwioną minę. Duszka uśmiechnęła się do Cashela.

– Tak, Cashelu – powiedziała. – Niektórym ludziom.

Wiodące na szczyt wieży stopnie były zrobione z kamieni, sterczących z wewnętrznej ściany. Pnącze męczennicy wiło się po długich i krętych schodach, wystawiając ostre purpurowe kwiaty przez każde wąskie okienko i przez dziurę w dachu.

Na zagiętej ścianie wieży, osłonięty schodami oraz resztkami stropu wisiał gobelin. Wydawał się tu równie nie na miejscu, jak wyglądałby na ścianie młyna, w którym wychowali się Cashel i jego siostra.

– Och – powiedział, ostrożnie dotykając palcem brzegu tkaniny. – Spodobałby się Ilnie.

We wnętrzu wieży było ciemno, lecz przedstawiona na gobelinie scena była niezwykle żywa. W oddali nad wierzchołkami drzew wznosiły się bajecznie piękne wieże miasta. Kryształowe, smukłe mosty łączyły jedną wieżę z drugą, a czasem spiralami opadały między drzewa. Niebo było pastelową kopułą, po której szybowwały wielkie, barwne ptaki.

– Śniło mi się to! – powiedział Cashel. – Widziałem ten gobelin, tylko że byłem w nim!

Derg pytająco uniósł brwi, ale patrzył na Mellie. Duszka uściśnęła Cashela i powiedziała:

– Tak, Cashelu. Ale to był tylko sen, pamiętaj.

Na pierwszym planie, na dole gobelinu znajdowała się łąka, oddzielona od lasu szeroką rzeką. Nad rwącą wodą przerzucono most. Przy nabrzeżu był zbudowany z kamieni i desek jak mostki napotykanne po drodze do Carcosy, lecz na środku tworzył łuk z błyszczącego szkła, który bez żadnego wsparcia prowadził do miasta.

Cashel nie miał pojęcia, z jakiej tkaniny zrobiono ten gobelin. Nie sądził, aby był to jedwab, a choć nitki lśniły złotem i srebrem, lekko prześwitywały, więc nie mogły być metalowe.

– Mam go zabrać dla siostry? – zapytał Cashel. Prezent dla Ilny to rzeczywiście coś, co chciałby mieć.

– Nie – odparł Derg. – Przejdź przez drzwi za nim. One zaprowadzą cię tam, gdzie chcesz być.

Cashel zachował niewzruszoną minę. Lekko uniósł gobelin i znalazł pod nim jeszcze gładsze, lekko wklęsłe kamienne bloki, takie same jak tworzące ścianę wieży.

Spojrzał na towarzyszy.

Demon wykrzywił psi pysk w uśmiechu.

– To przejście tu jest – powiedział. – Kiedy przejdiesz przez gobelin, znajdziesz je.

– On ma rację, Cashelu – powiedziała Mellie. W jej uśmiechu nie było ani cienia zwykłej radości. – Znajdziesz się w miejscu, w którym najbardziej pragniesz być.

Cashel wzruszył ramionami i uściśnął łapę demona.

– Pewnie nie pójdziesz z nami – rzekł. – Miło mi było cię poznać, Dergu. Wolę cię jako przyjaciela niż wroga.

Demon mocno uściśnął dłoń Cashela. Miał mięśnie jak postronki.

– Przyjaciela? – powtórzył. – No cóż, jesteś człowiekiem, więc znasz się na takich sprawach lepiej ode mnie. Życzę ci sukcesów we wszystkich twoich walkach, Cashelu.

Cofnął się.

– Ja też nie idę, Cashelu – powiedziała Mellie.

Cashel zmarszczył brwi. Nie rozumiał tego, co teraz powiedziała. Często mu się zdarzało, że ludzie mówili mu różne rzeczy, których on nie rozumiał...

– Przeprowadziłeś mnie do miejsca, skąd mogę bezpiecznie wrócić do domu – wyjaśniła Mellie.

– Nigdy nie dotarłabym tu sama, Cashelu. Jesteś bardzo silny.

– Nie sądziłem, że mnie opuścisz, Mellie – powiedział. – Ja...

Nie wiedział, jak to powiedzieć. Nie chciał rzec, że przyzwyczyił się do duszki, bo to mogło zabrzmieć tak, jakby była strzykaniem w lewym kolanie na każdą zmianę pogody – pamiętką po drzewie, które upadło w złą stronę, kiedy miał dwanaście lat.

– Będę za tobą tęsknił – rzekł.

Mellie podeszła bliżej i pocałowała go. Była jak króliczek, jednocześnie mięciutka i muskularna.

– Radź sobie ze wszystkimi tak jak ze mną – powiedziała.

– Mellie... – zająknął się Cashel, gdy odsunęła się.

– Idź! – powiedziała duszka. – Idź już! Tego naprawdę chcesz!

Cashel pospiesznie odwrócił się, zmieszany widokiem jej łez. Odsunął gobelin na bok i ruszył naprzód, jakby nie było tam kamiennej ściany.

I nie było jej tam – tylko ciemność. Zrobił następny krok. Nie miał innego wyjścia – musiał skończyć to, co zaczął.

KSIEGA VI

Brama do grobowca bor-Benlimanów była zamknięta na łańcuch i kłódkę. Nowi mieszkańcy rezydencji postanowili zniechęcić intruzów, chociaż nie byli właścicielami tej części posesji. Garric poczuł, że ogarnia go gniew.

– Nie mieli prawa – szepnął, chwytając za rękojeść miecza. Kiedy miał go w dłoni, gniew przestawał być frustrującym, osłabiającym uczuciem. Jeśli ktoś wejdzie mu w drogę...

Tenoctris dotknęła jego dłoni.

Garric stropił się i spojrzał na staruszkę. Pozwolił, by miecz wsunął się z powrotem do pochwy.

– Chciałem tylko przeciąć łańcuch – mruknął zmieszany. – To miękkie żelazo. Ten miecz...

– Myślę, że zrobimy to bez hałasu – odparła Tenoctris. Nie powiedziała nic więcej, lecz w jej oczach widział nie wypowiedziane pytania. Wzięła w dłonie kłódkę.

Garric poczerwieniał, zastanawiając się, w jakiej mierze ten wybuch był jego reakcją, a w jakiej króla, który zaśmiewał się w jego umyśle. Nigdy nie uważał się za kogoś skłonnego do nadużywania władzy, ale też nigdy nie miał żadnej władzy. Nie był pewny, co się zmieniło, ale powodem nie był tylko miecz, który wisiał teraz u jego boku.

Nadal trzymając kłódkę, Tenoctris wymamrotała jakieś zaklęcie. W środku kłódky rozbłysło zimne niebieskawe światło. Metal brzęknął melodyjnie i kłódką otworzyła się.

– Powiedziała, że nie jestem potężną czarodziejką – wyjaśniła Tenoctris, zdejmując kłódkę. – Nie mówiłam, że wcale nie jestem czarodziejką.

Garric odwinął łańcuch z prętów furki, starając się nie pobrzękiwać ogniwami. Teraz, kiedy zaczął myśleć, a nie reagować na prowokację ze strony tłustego ziemianina, który uważał, że prawo nie dotyczy bogatych, usłyszał cichy głos. W powietrzu przetoczył się głuchy pomruk, jakby odległego przyboju.

Garricowi wydało się, że kątem oka zauważył jakiś niebieskawy błysk. Zerknął na Tenoctris. Z ponurą miną kiwnęła głową i weszła przed nim za ogrodzenie grobowca.

Garric miał ochotę wyciągnąć miecz, ale trzymał ręce opuszczone wzdłuż boków. W tym momencie oręż mógłby najwyżej dodać mu otuchy. Garric nie chciał, by uważano, że potrafi być mężczyzną tylko wtedy, kiedy trzyma w ręku broń.

Okienko po tej stronie dozorcówki było okrągłe i miało najwyżej dwadzieścia centymetrów średnicy. Ramki dzieliły przezroczyste szkło na cztery szybki, zasłonięte bluszczem.

Garric rozchylił liście, po czym razem z Tenoctris zajrzeli do środka. Przez podobne okienko po przeciwnej stronie wpadało do środka trochę księżycowego blasku, lecz pomieszczenia oświetlała niebieskawa poświata, otaczająca pulchnego i łysawego mężczyznę, który przemawiał głosem Benlo.

Pod ścianą odgradzającą stróżówkę od grobowca w drugiej części budynku leżała pusta trumna z brązu. Otwarte wieko odsłaniało wyściółkę z białej satyny.

Rzucający zaklęcia czarodziej miał na sobie grzebalny strój. Na podłodze obok niego spoczywała mumia kobiety, o zapadniętych policzkach i sterczących jak postronki żyłach na splecionych palcach. Nie zdradzała żadnych oznak rozkładu.

Inne ciała w rodzinnym grobowcu nie były zachowane lepiej niż zwłoki Benlo. Garric spędził wystarczająco dużo czasu między spróchniałymi trumnami, żeby to wiedzieć. Zapewne podczas swych licznych podróży Benlo nauczył się sztuki balsamowania zwłok – może na jakiejś wyspie, a może na innej płaszczyźnie, do której przeniósł się za pomocą czarów.

Po drugiej stronie czarodzieja leżała Liane. Była równie nieruchoma jak jej matka.

Benlo uniósł pulchne ramiona ciała, które opanował. Przemówił, lecz Garric nie słyszał już słów zaklęcia. Kosmos pulsował, stając się na przemian ciaśniejszy i luźniejszy, przy każdym ruchu warg czarodzieja.

Cienka jak ostrze miecza nitka błękitnego światła łączyła czoło Mazzony z czołem jej nieprzytomnej córki. Ta nic z każdą chwilą stawała się coraz grubsza i jaśniejsza.

– Możesz odwrócić jego uwagę? – szepnęła Tenoctris. – Nie mam dość mocy, aby...

Garric kiwnął głową. Drzwi dozorcówki były z drewna, a nie z metalu, lecz patrząc przez okienko zauważył, że zamykała je zasuwa grubości jego ramienia. Nie mógł wywalić drzwi kopniakiem, a rozrąbanie ich mieczem potrwałoby za długo. Ponadto od wejścia dzieliły go jeszcze jedne drzwi.

Garric cofnął się od okienka. Z takimi problemami umiał sobie radzić. Dopóki nie spotkał Tenoctris, nie miał nic wspólnego z czarami i potworami, natomiast miał spore doświadczenie w robieniu dziur w różnych rzeczach.

Ocecił ciężar kamiennej ławy stojącej przed grobowcem. Przykucnął i wykorzystał siłę nóg, by podnieść siedzenie z podpórek. Nie miał pojęcia, ile waży ten kamień. Spodziewał się, że dostatecznie dużo, a jeśli trzeba będzie uderzyć w ścianę więcej niż raz, to trudno.

Tenoctris uskoczyła mu z drogi, gdy Garric ruszył naprzód ze swym prowizorycznym taranem. Jej mina świadczyła, że zrobił na niej wrażenie.

Przy ostatnim kroku Garric zawinął ławą, wspomagając siłę ramion całym ciężarem ciała. Kamienna płyta uderzyła prosto w okienko. Szyba i kawałek ściany znikły w lawinie potrzaskanych cegieł i zwiertzałej zaprawy.

Łoskot kamieni zagłuszył zaklęcie rzucone przez Benlo. Czarownik nadal spokojnie poruszał ustami.

Ława uwięzła w rozbitym murze. Garric pchnął ją w bok, wyłamując kawał ściany. Wyrwał taran i wgramolił się do wypełnionego lazurowym blaskiem pomieszczenia.

Monotonne zawodzenie czarodzieja ucichło, chociaż niewidzialne siły wciąż napierały na Garrica. Młodzieniec nie potrafił sobie wyobrazić, jak działały na Tenoctris, która potężne sztormowe fale rozumiała lepiej niż on.

Benlo obrócił głowę. Wszystkie siły opuściły Garrica. Osunął się na stertę gruzu, dusząc się wapiennym pyłem i nawet nie mogąc wstrzymać oddechu. Wyciągniętą ręką dotknął ramienia Liane. Jej ciało było tak twarde, jak cegły, na których leżał.

Benlo wyciągnął rękę w kierunku głowy Garrica. Kciuk i palce ułożył na kształt kleszczy kraba. Między czubkami palców z trzaskiem przelatywały błękitne skry.

Za plecami czarodzieja Mazzona nagle usiadła. Nabrała tchu i wrzasnęła:

– Na pomoc! Pomocy!

Benlo odwrócił się.

– Mazzono! – powiedział.

Nadal siedząc, mumia niezdarnie cofnęła się pod przeciwległą ścianę. Na jej ściągniętej twarzy malowało się przerażenie.

– Na pomoc! – zawołała ponownie. – Ten potwór zabija moją córkę! Pomocy!

– Mazzono, moja miłości – rzekł Benlo. Wyciągnął ramiona do żony. Garric nadal nie mógł się poruszyć, lecz poczuł napór niewidzialnej siły, płynącej z grobowca.

– Potwór! – krzyknęła Mazzona. Próbowała wstać, lecz jej zmumifikowane kończyny nie mogły jej unieść. – Ohydny potwór!

– Ukochana... – zabalgotał Benlo, dławiąc się przy ostatniej sylabie. Niebieskawa poświata szybko gasła jak woda wyciekająca z dziurawego wiadra.

Mumia kobiety zeszywniała i upadła na ziemię, odłamując sobie przy tym prawą rękę.

Ciało, które opanował Benlo, utrzymało się na nogach zaledwie chwilę dłużej. Plamy sinej pleśni z szybkością pożaru suchej łąki rozeszły mu się po policzkach i ciasne pomieszczenie wypełnił odór rozkładu. W ciągu kilku sekund ciało ulegało procesom, które magia powstrzymywała przez parę tygodni.

Gałki oczne zaczęły się rozpływać i trup runął na twarz, już nie ożywiany przez duszę czarodzieja. Trup z obrzydliwym plaśnięciem uderzył o posadzkę.

– Niech prowadzi go Pasterz – szepnął Garric.

Wiedział, że mógłby już wstać, lecz psychicznie jeszcze nie czuł się na siłach. Niezbyt lubił Benlo, nawet gdy ten jeszcze żył. Jako umarły okupujący ciało innego człowieka, czarodziej był przerażający. Garric był w stanie działać tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia – pomimo strachu musiał uratować Liane i zapewne Tenoctris. Uratować przyjaciółki.

Żadna ludzka istota nie zasługiwała na los, jaki sprowadził na siebie Benlo.

Liane poruszyła ręką. Jej pierś podniosła się i opadła.

Żyła.

Garric z trudem stanął na nogi. Czuł mrowienie mięśni, jakby siedział w pozycji utrudniającej krążenie krwi, ale szybko wracało mu czucie.

– Zamierzał przenieść duszę żony do ciała Liane – powiedziała cicho Tenoctris. Nadal znajdowała się na zewnątrz. – Do tego potrzebował Liane. Potrzebna była więź między matką i córką, nawet czarodziejowi tak potężnemu jak Benlo. Nawet tej części Benlo, jaka pozostała.

Liane wymamrotała coś, jakby miała zły sen. Otworzyła i zacisnęła dłonie. Garric spojrzał na staruszkę.

– Nie mów jej o tym – rzekł. Sam zdziwił się stalowym tonem swego głosu. – Ona nie musi o tym wiedzieć.

– Pewnie – rzekła Tenoctris. – Ona nie musi o tym wiedzieć.

Garric odsunął rygiel i otworzył drzwi, a potem podniósł Liane. Pragnął opuścić to pomieszczenie. Chciał jak najszybciej wyjść na świeże powietrze – dosłownie i w przenośni.

– Był tak potężny – powiedziała Tenoctris. – Mogłam tylko zmienić kierunek działania mocy, które przywołał. Odrobinkę je odchylić. Jakbym stała w korycie młynówki...

Dotknęła zamka przy kracie – otworzył się z cichym szcękaniem. Drzwi dozorcówki wychodziły na teren posiadłości, nie na placyk należący do grobowca. Garric wyniósł Liane na ulicę, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Z bramy pobliskiego domu obserwował ich strażnik z halabardą. Tenoctris ukloniła mu się i poszła za Garricem.

Liane poruszyła się. Staruszka przyłożyła dłoń do jej czoła. Garric nie miał pojęcia, czy chciała użyć czarów, czy też robiła to po prostu ze współczucia.

Dziewczyna otworzyła oczy i powiedziała:

– Garric? Ja żyję?

Garric postawił ją na ziemi, przytrzymując za ramiona, dopóki nie upewnił się, że Liane może ustać o własnych siłach.

– Chyba tak – odparł. – Chociaż przez chwilę nie byłem tego pewny.

– Kim był ten człowiek, który nas zaatakował? – zapytała Liane. Jej głos brzmiał jak z oddali. Albo jeszcze odczuwała skutki uwięzienia, albo w ten sposób świadomie usiłowała powstrzymać krzyk przerażenia.

Garric spojrział na Tenoctris, szukając u niej pomocy. Staruszka uważnie spoglądała w niebo.

– Och! – powiedziała z roztargnieniem. – Ten stwór, który cię zaatakował... to był upiór grasujący w grobowcach. Teraz już naprawdę nie żyje, odszedł na zawsze. – Otrząsnęła się i westchnęła. – Coś się dzieje w pobliżu pałacu – powiedziała. – Coś bardzo poważnego.

Czule i ze znużeniem uśmiechnęła się do Liane. Garric uświadomił sobie, że podniesienie tej kamiennej ławy było niczym w porównaniu z wysiłkiem, jaki musiała podjąć ta drobna staruszka, żeby pokonać potężniejszego od niej czarodzieja.

– Liane – dodała Tenoctris – ten stwór, który cię zaatakował, działał na własną rękę, przynajmniej na końcu. Zakapturzony oraz jego rywal działają osobno i właśnie niedaleko widać skutki tych działań.

Liane odparła z wymuszonym uśmiechem:

– Przybyliśmy tu, żeby uporać się z tym. – Zauważyła, że Garric marszczy brwi i dodała z lekką irytacją: – Nic mi nie jest! To tutaj dowiemy się, kto wysłał mojego ojca na Haft i na śmierć, prawda?

– Istotnie – odparła Tenoctris.

Objęła ramieniem Liane i ruszyła w kierunku skupiska sił, których odbicie jej wyostrzone zmysły czarodziejki dostrzegły na niebie.

Garric szedł po drugiej stronie Liane, zadowolony z tego, że ma u boku miecz, a jeszcze bardziej rad z towarzystwa.

Cashel odsunął gobelin i wszedł do sali tronowej, cuchnącej odorem spalizny i śmierci. Sharina stała oparta plecami o przeciwległą ścianę, trzymając w ręku ciężki nóż pustelnika. Naprzeciw niej stał długoręki demon o cętkowanym czerwonym ciele.

Cashel doskoczył do niego, chwycił go lewą ręką za gardło i przerzucił przez biodro za siebie. Demon z takim impetem upadł na posadzkę, że aż popękały kafelki.

Sharina ruszyła naprzód, podnosząc nóż do ciosu.

– Odejdź, dziewczyno! – powiedział Cashel. – Tym nożem możesz zrobić krzywdę tylko sobie lub mnie!

Własne słowa zdziwiły go może nawet bardziej niż Sharinę. Jednak Cashel nigdy długo się nie wahał, jeśli dostrzegł drogę wiodącą do celu i nie lubił, kiedy ktoś próbował go zatrzymać. Wprawdzie nie znał się na walce z demonami tak dobrze jak na owcach, ale i to już zdarzyło mu się robić.

Gdyby miał jakieś wątpliwości, czy ten stwór należy do tego samego rodzaju co Derg, rozwiałyby się one na widok pobojuwiska w komnacie i przedsionku. Na gładkiej posadzce leżały dziesiątki porąbanych i zmiażdżonych lich oraz porzucony przez nie oręż. Rdzawa skóra demona nie była nawet draśnięta.

Sharina wycofała się za czarny tron dominujący nad salą. Ten paskudny przedmiot wyglądał tak, jakby nie był wykuty z kamienia, lecz uformowany przez splecione cielska węży.

Tylko że teraz Cashel nie miał czasu przyglądać się temu meblowi.

Demon wstał. Był wyższy od Derga, ale nie tak mocno zbudowany. Jego niezwykle długie ramiona przypominały Cashelowi kraba lub pajaka.

– Teraz cię zabiję, wieśniaku – powiedział stwór głosem Medera, czarodzieja.

Cashel potrząsnął głową, jak byk zrzucający coś z rogów.

– Lepsi ludzie tego próbowali – odparł. – I lepsze demony.

Starli się. Cashel chwycił przedramiona Medera, ponieważ nawet szeroko rozłożywszy ręce nie mógł dosięgnąć obu jego przegubów.

W sali tronowej nie paliły się żadne światła, a w wielkim holu za drzwiami migotała jedna czy dwie świece, lecz blask księżycy wpadał przez okienka umieszczone tuż pod kopułą sklepienia. Wiszące na ścianach gobeliny, w tym ten, przez który przeszedł Cashel, powiewały poruszone podmuchem. Każdy z nich ukazywał jakiś obcy świat, oddany z realizmem maski pośmiertnej.

Cashel bykiem uderzył Medera w pierś. Demon nie był cięższy od Cashela, a przynajmniej niewiele, ale był potwornie silny. Szukając oparcia, wbijał w posadzkę pazury nóg, zostawiając rysy na marmurowych płytkach. Zgiął ramiona, kierując ręce jak kleszcze ku skroniom młodzieńca. Cashel nie miał dobrego punktu oparcia, aby temu zapobiec. Zanim demon całkiem zgiął ręce w łokciach i wbił mu szpony w czaszkę, Cashel przekręcił się w bok i ponownie przerzucił demona przez biodro, tym razem w bok.

Meder ponownie runął z trzaskiem, ślizgając się po gładkiej podłodze. Cashel przykucnął, opierając dłonie na podłodze i spazmatycznie łapiąc powietrze.

Dotychczas uratowało go tylko to, że Meder nie wiedział, jak wykorzystać przewagę – nie umiał walczyć. Nie był wiele silniejszy od Cashela, ale nie męczył się i nawet uderzenie kruszące kamień nie wyrządzało mu krzywdy. Był zbudowany jak strach na wróble i miał giętki kręgosłup. Cashel nie

mógłby go złamać na kolanie.

Meder wstał. Z gniewnym, piskliwym śmiechem ruszył na Cashela.

Jedyne wyjście z tej sytuacji, jakie dostrzegał Cashel, musiało zakończyć się fatalnie, gdyż dawało chwilę czasu demonowi, który mógł rozszarpać go na strzępy. Przeżycie – a nawet ocalenie Shariny – nie było teraz najważniejsze.

Musiał po prostu wygrać tę walkę.

Cashel ryknął gniewnie i rzucił się na Medera, zaskakując demona. Zanim czerwone łapska zacisnęły się na jego plecach, Cashel wsunął lewe przedramię pod brodę demona, a prawym objął jego kark. Potem z całej siły zaczął wypychać lewe ramię w górę, nie zwracając uwagi na pazury orzące mu plecy. Meder stawiał opór, usiłując opuścić brodę. Obrócił głowę, próbując zmniejszyć nacisk.

Krew spływała po plecach Cashela. Zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy: będzie jak najdłużej naciskał ramieniem na szyję Medera. A potem umrze.

Jak jasny, czerwony płomyk, kilkucentymetrowa postać zeskoczyła z jednego z gobelinów. Wilczym pędem przemknęła po posadzce i zatopiła kły w łydce Medera, w miejscu, gdzie u człowieka jest ścięgno Achillesa.

Meder tak głośno wrzasnął z bólu i zdumienia, że zabrzączał leżący na podłodze oręż. Ten wrzask zakończył się donośnym trzaskiem pękających kręgow, gdy Cashel skręcił demonowi kark.

Z okrzykiem bardziej ulgi niż triumfu, Cashel odrzucił trupa. Nieforemne ciało Medera upadło obok czarnego tronu. Krew kapłała ze szponów na marmurową posadzkę.

– Nic ci nie byłem winien, człowieku! – zawołał Derg, tak mały jak wtedy, gdy Cashel ujrzał go po raz pierwszy. – To był mój dar dla przyjaciela!

I ponownie skoczył na – a raczej w – gobelin, z którego zbiegł.

Sharina uklękła obok Cashela. Pewłańskim nożem zaczęła ciąć swój płaszcz na bandażę.

– Cashelu, w głównym holu jest fontanna – powiedziała. – Zdołasz tam dojść, czy mam ci tu przynieść wodę w hełmie?

Nie sądził, że jeszcze kiedyś usłyszy jej głos. Miała bardziej wyraziste rysy twarzy niż dziewczyna, którą pamiętał z Barca's Hamlet i była jeszcze piękniejsza.

– Dojdę tam – powiedział. Zrobił kolejny głęboki wdech, zbierając siły. Powiedział coś, więc nie pozostało mu nic innego jak zrobić to, co obiecał.

Gobelin, zza którego przyszedł, był niemal idealnym duplikatem tego ze zrujnowanej wieży, w której zostawił Derga i Mellie. Przerzucony nad szeroką rzeką most wiódł w kierunku lasu i ku kryształowemu miastu.

Na samym środku mostu stały dwie maleńkie postacie. Machały do Cashela. Jedną z nich był demon o głowie psa, a drugą duszka o cudownie rudych włosach.

– To Cashel! – rzekł ze zdumieniem Garric.

Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, nie ulegało wątpliwości, że rosła postać przedzierająca się przez tłum na placu Pałacowym to jego przyjaciel. Cashel miał na sobie przepaskę biodrową i pierś owiniętą bandażem. Jedna z rezydencji stała w ogniu. Nie ta, która należała do Ilny, chociaż tego w pierwszej chwili obawiał się Garric, lecz posiadłość położona nieco dalej, ale także nad brzegiem kanału.

Na jednym końcu budynku z okien na pierwszym piętrze buchały płomienie. Strażacy uwijali się przy pożarze, podczas gdy setki policjantów i żołnierzy z pałacowych koszar daremnie usiłowały utrzymać porządek. Tłum zwabionych tym widowiskiem gapiów jeszcze nie był groźną tłuszcą, lecz pożar był doskonałą okazją, by zwykli obywatele mogli splądrować dom bogacza – i tak też robili.

Garric rozumiał to, ale ze zdziwieniem zobaczył, że przyjaciel niesie pod pachą jakiś rulon. Cashel był ostatnią osobą, jaką Garric podejrzewałby o skłonności do grabieży. No może przedostatnią, jeśli liczyć Ilnę.

– Cashelu! – zawołał, wysuwając się przed Liane i Tenoctris. Cashelowi towarzyszyła jakaś kobieta, wysoka...

– Sharina! – wykrzyknął Garric. – Niech mnie prowadzi Pasterz! Tenoctris, to Sharina!

Cashel uśmiechnął się szeroko. Zmienił kierunek marszu, ale nie rzucił się biegiem jak Garric i Sharina, którzy w pośpiechu odpychali ludzi na boki. Garric uściskał siostrę, unosząc ją w ramionach. Dopóki nie wyjechała, nigdy nie przypuszczał, że mógłby za nią tęsknić i nawet pustką, jaką poczuł po odpłynięciu triremy, nie zapowiadała radości wywołanej ponownym spotkaniem.

– Co ty tu robisz? – zapytał i oboje wybuchnęli lekko histerycznym śmiechem, gdyż Sharina jednocześnie zadała mu to samo pytanie.

– Garricu – powiedziała cicho Tenoctris. – Sądzę, że Liane nie zna twojej siostry.

Garric puścił Sharinę. Cashel dołączył do nich. Garric uściskał rękę przyjaciela – tym razem naprawdę, nie we śnie – i spojrzał przez ramię na obie dziewczyny. Twarz Liane była nieruchoma i zimna jak blask księżycy, który ją oświetlał.

– Ach – rzekł Garric. – Liane, to moja siostra Sharina. Liane przybyła do Barca's Hamlet po twoim wyjeździe.

Nie wiedział, jak wyjaśnić Sharinie, co przydarzyło mu się po tym, jak odpłynęła z wioski. Ta sytuacja była zbyt skomplikowana – wielu wydarzeń nie rozumiał, inne nadal pozostały nie zakończone, a jeszcze inne mogły wcale się nie zdarzyć, tak jak ten sen, w którym otrzymał miecz – więc wołał zamilczeć.

Sharina miała za pasem ciężki nóż. Garric zamrugał oczami. Siostra pod wieloma względami wyglądała inaczej, niż kiedy widział ją ostatnio, lecz ta zmiana była najłatwiejsza do zauważenia.

Sharina dostrzegła jego spojrzenie. Dotknęła rękojęści i powiedziała:

– Nonnus nie żyje, Garricu. Zginął ponieważ... ponieważ...

– Ach – rzekł Garric. – Przykro mi. Nie znałem go zbyt dobrze.

– Chodźcie – huknął Cashel ze stanowczością, jaką zwykle wykazywał, tylko pilnując owiec. – Jest pewien człowiek, który... hm... zatrudnił mnie. To Serianin nazwiskiem Latias. Mieszka niedaleko, a mam wrażenie, że powinienem się położyć.

Wszyscy pięcioro wyglądali tak podejrzanie, że w innych okolicznościach na pewno zwróciliby

uwagę policji. Garric wiedział, że za pewnością jeszcze nie cofnięto nakazu zatrzymania jego i Liane, chociaż w tym momencie tłum i pożar w znacznym stopniu chroniły ich przed zainteresowaniem władzy.

Cashel poszedł pierwszy, prowadząc towarzyszy w tym kierunku, w jakim zmierzał z Shariną, gdy zobaczył ich Garric. Bandaże na plecach Cashela były przesiąknięte krwią, która wciąż sączyła się z ran. Te skaleczenia musiały być niezwykle bolesne, choć nie licząc nieco sztywnej postawy, Cashel niczym tego nie okazywał po sobie.

Ta sztywność też była dla niego typowa. Cashel należał do tych, którzy maszerują miarowo, nie przyspieszając i nie zatrzymując się, dopóki nie dotrą do celu.

– Chcesz żebym to poniósł? – zaproponował Garric, wskazując na zwój materiału tkwiący pod lewą pachą przyjaciela. Rulon nie wyglądał na ciężki, ale ktoś poraniony tak paskudnie jak Cashel nie powinien nieść żadnych ciężarów.

Cashel z dziwnym uśmiechem spojrział na rulon. Uprzednio materiał migotał w płomieniach pożaru. Teraz, kiedy opuścili plac i szli jednym z odchodzących od niego bulwarów, łagodniejszy księżycowy blask odbijał się w tkaninie, niczym lśniąca struga.

– Nie trzeba – odparł Cashel. – Dom, w którym byliśmy, stanął w płomieniach. Sądzę, że w trakcie walki, zanim tam przybyłem. Pomyślałem, że zabiorę ten gobelin na wypadek...

Garric odchrząknął, po raz pierwszy od dłuższej chwili okazując cień wahania.

– Na wypadek, gdyby pewni moi przyjaciele woleli, żeby nie spłonął.

– To Meder zaproszył ogień – powiedziała Sharina, drżąc bynajmniej nie ze strachu. – Swoimi czarami. Swoim ostatnim zaklęciem.

– Byłoby bardzo dobrze – powiedziała Tenoctris – gdybyśmy u pana Latiasa znaleźli spokojną przystań. Obawiam się, że to, co teraz musimy zrobić, jest dość trudne i wymaga samotności.

Cashel spojrział przez ramię na staruszkę.

– Myślę, że da nam wszystko, o co poproszę – rzekł.

– Mamy uporać się z czymś jeszcze? – zapytał Garric. Wcale się nie obawiał. Po prostu zbierał informacje, żeby wiedzieć, co go czeka.

– Tak – powiedziała Tenoctris. – Z ciemną mocą, która teraz więzi Ilnę.

Sharina patrzyła na troje seriańskich uzdrowicieli – staruchę, mężczyznę w średnim wieku i dziesięcioletnią dziewczynkę – którzy gawędząc z ożywieniem, opatrywali plecy Cashela, spokojnie siedzącego wraz z czworgiem przyjaciół na podłodze. Serianin czyścił rany i smarował je maścią, a dziewczynka zaszywała je, wykonując polecenia staruszki. Cashel nie zwracał na to uwagi, jakby uzdrowiciele kopali rów na jakiejś innej wyspie.

– Muszę pójść po Inę – rzekł Garric. Przesunął sprzączkę pasa w prawo, tak że długi miecz nie sterczał teraz z tyłu, lecz spoczywał mu na kolanach. – To, co jej się przydarzyło, to moja wina.

Latias oddał im do dyspozycji cały budynek o wysokich sklepieniach i zasłoniętych żaluzjami oknach, które zapewniały wentylację oraz odosobnienie. Przed każdym z gości stały na trójnogach tace z sokami i plasterkami owoców.

Cashel nazwał Latiasa swoim pracodawcą. Zachowanie Serianina wobec Cashela bardziej przypominało Sharinie szacunek, z jakim Krwawe Orły traktowały Aserę.

– To moja siostra – rzekł Cashel. – Ponadto byłem już...

Skrzywił się, szukając odpowiedniego słowa albo z niechęci do tego, które znalazł.

– Byłem już w innych miejscach. Przyprawdzą ją z powrotem.

Sharina zawsze wiedziała, że Cashel jest silny. Nie miała pojęcia jak bardzo, aż opuściła Barca's Hamlet i zobaczyła dostatecznie wielu ludzi, by stwierdzić, że chłopiec, którego знаła od dziecka, nie jest tylko najsilniejszym mężczyzną we wiosce.

Widziała jak zabił potwora, w jakiego zmienił się Meder. Wychowała się obok chłopca, który opiekował się owcami i gołymi rękami zabijał demony.

– To nie jest kwestia odpowiedzialności – powiedziała Tenoctris, wodząc spojrzeniem po obu młodzieńcach. – Garricu, uwolniłeś Inę od bardzo złego pana. Wówczas uległa działaniu innej złej siły, która chciała ją podporządkować, ale to nie twoja wina.

Opatrujący rany Cashela Serianie szczebiotali jak stado ptaków. Wydawało się, że nie znają żadnego obcego języka i nie okazywali zainteresowania tym, co przy nich mówiono.

– Jeszcze gorszej siły – rzekł ponuro Garric.

Tenoctris wzruszyła ramionami.

– Nie sędzę – powiedziała – chociaż na pewno źlej. Znalazła się w mocy człowieka, a przynajmniej istoty, która kiedyś była człowiekiem. To Zakapturzony.

Tenoctris uparła się i rzuciła uzdrawiające zaklęcie na Cashela, chociaż nie chciał, by nadwerężała nadwątlone siły i twierdził, że nic mu nie jest. Sharina przypomniawszy sobie, jak pokiereszowany Garric leżał w gospodzie ojca, a Tenoctris z Nonnusem dyskutowali o bogach i gojeniu.

Chciało jej się płakać. Nie wiedziała, dlaczego brakło jej łez. Zrobiłaby wszystko, żeby Nonnus nie zginął pod drzwiami do sali tronowej, lecz pustelnik nie żył.

Garric dotknął rękojeści miecza.

– Jeśli ma ją Zakapturzony, to ja muszę po nią iść.

Nie poznawała brata. Wydawał się kimś zupełnie innym, a jednak... Cashel nadal był sobą, po prostu Sharina zobaczyła go teraz w zupełnie innym świetle. Może tak samo było z Garricem, może to co przeżył ujawniło takie cechy jego charakteru, jakich nikt w wiosce nie miał okazji zauważyć.

Nikt, włącznie z Garricem.

– Mogę zabrać cię tam, gdzie jest Ilna, Garricu – wyjaśniła staruszka – ale nikogo innego. Nie mam potrzebnej do tego mocy. – Spojrzała na Cashela. – Garrica coś łączy z tym miejscem, a raczej z czasem, w którym ukrywa się Zakapturzony. On próbuje załatwić tu swoje sprawy, ale tylko za pośrednictwem innych.

– Takich ludzi jak mój ojciec – powiedziała Liane.

Była piękną kobietą, niewątpliwie damą, chociaż w tym momencie wyglądała jak wyłowiona z morza po zatonięciu okrętu. Może tak było. Sharina, Cashel i Garric pokrótce opowiedzieli swoje przygody od czasu opuszczenia Barca's Hamlet, lecz Liane nie zabierała głosu podczas ich rozmowy.

– Nie sędzę – powiedziała Tenoctris, napotykając spojrzenie Liane. – Uważam, że twój ojciec służył innej sile, rywalizującej z Zakapturzonym. A na końcu służył już tylko sobie. I Malkarowi, gdyż wszystkie zło służy jemu.

Liane kiwnęła głową.

– Rozumiem – rzekła. – No cóż, chciałam wiedzieć.

– Czy przez tę więź rozumiesz ten miecz? – spytał Cashel. Przysłuchiwał się rozmowie i wyłowił z niej jedyną interesującą go kwestię. – Bo jeśli tylko o to chodzi, to mogę go wziąć.

Tenoctris uśmiechnęła się.

– Nie, nie chodzi o miecz, lecz o pochodzenie – powiedziała. – Garric ciałem i duszą jest związany z jedną z płaszczyzn, na których ukrywa się Zakapturzony. Właśnie dlatego mogę go tam przenieść.

Powiodła po nich wzrokiem i dodała:

– Pewnie wszyscy zdajecie sobie z tego sprawę, ale mimo to powiem: Garric i ja możemy stawić czoło Zakapturzonemu, lecz on prawdopodobnie pokona nas oboje.

Znów wykrzywiła usta w nikłym uśmiechu.

– Jeśli będziemy mieli więcej szczęścia niż się spodziewam, zabije nas.

Garric wzruszył ramionami.

– Może próbować – mruknął.

Stał się kimś innym niż brat, z którym się wychowała, ale nadal był jej bratem.

– Garricu – powiedziała. Spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem, ale nadal się uśmiechał. – Nie daj się zabić dla Ilny. Ona nie...

Zająknęła się, ale dokończyła:

– Ilna nie chciałaby, żeby przyjaciel zginął, usiłując ją ratować. Wolałaby umrzeć!

Przez chwilę wszyscy milczeli. Sharina otarła oczy, raz i drugi.

– Nie chodzi tylko o ratowanie Ilny – wyjaśniła Tenoctris, mówiąc do wszystkich, lecz patrząc na Garrica. – Chociaż o to również, rzecz jasna.

Pokazała im strzęp materiału utkanego przez Ilnę, podartego w walce z potworami.

– Obecność Ilny pozwala mi zlokalizować kryjówkę Zakapturzonego. Gdybyśmy tylko ograniczyli się do krzyżowania jego planów, wycofałby się i ukrył gdzieś, jeśli poczułby zagrożenie. Musimy do niego pójść, żeby go pokonać.

– W pałacu, w którym była Sharina, stał tron – rzekł Cashel. Seriański uzdrowiciel owijał czystym bandażem jego pierś, a dziewczynka trzymała końce opatrunku. – Czarny. I brzydki.

Tenoctris pokiwała głową.

– To mnie nie dziwi – powiedziała. – Sędzę, że to typowe dla jego magii. Tacy czarodzieje jak Zakapturzony uważają, że jeśli będą twierdzić, iż zasiadają na tronie Malkara, stanie się to rzeczywistością. – Wzruszyła ramionami. – Może ma rację – dodała. – Z pewnością jest potężniejszym czarodziejem niż ja.

– Kiedy ruszamy? – zapytał Garric z wystudiowaną nonszalancją, która świadczyła o skrywanym napięciu.

– Będę musiała poczynić pewne przygotowania – odparła Tenoctris. – Potrzebne mi różne proszki. Jak myślisz, Cashelu, czy pan Latias zechce nam pomóc?

– Pewnie. Myślę, że może dostarczyć ci wszystko, czego potrzebujesz – rzekł Cashel. – On jest bardzo ważną osobą w Erdinie.

I uśmiechnął się szeroko, z zadowoleniem. Serianie zaczęli zbierać się do wyjścia. Przystanęli w drzwiach – a raczej w otworze drzwiowym – i zaćwierkali ze zgrozą, widząc, jak ich pacjent przeciąga się, prostując splecione ręce.

Bandaże wytrzymały.

– Mówi, że ceremonia była nadzwyczaj udana – dodał z cichą dumą Cashel. – Ta, przy której trochę mu pomogłem.

– Garricu – powiedziała Tenoctris. – Nie musisz iść ze mną, chociaż mam nadzieję, że pójdziesz, gdyż nie jestem tak niemądra, by sądzić, że sama poradzę sobie z Zakapturzonym. Niestety, obawiam się, że i we dwoje sobie nie poradzimy.

Z przygnębieniem pokręciła głową.

– Sharino – ciągnęła – powiedziałam twojemu przyjacielowi Nonnusowi, że dobro i zło to jedynie ludzkie koncepcje. Okazuje się, że ja też jestem człowiekiem. Mam nadzieję, że Nonnus śmieje się, gdy to słyszy.

Sharina dotknęła dłoni staruszki. Garric wstał.

– Muszę pójść z tobą – rzekł. Dotknął rękojeści miecza, uśmiechnął się jak zupełnie inny człowiek i dodał: – Carus i ja musimy z tobą iść.

Sharina patrzyła na brata i myślała o Nonnusi. W końcu zdołała zapłakać.

– Wolałbym, żebyś najpierw trochę się przespał – rzekł Cashel, ściskając dłoń Garrica. Odsunęli słomiane maty pod ściany pokoju, żeby Tenoctris mogła nakreślić na terakotowych kafelkach krąg o średnicy trzech metrów. Ten okrąg i otaczające go słowa Dawnego Pisma, również nakreślone proszkiem, zajmowały prawie całą podłogę.

– Ja również bym wolał – odparł Garric. – No cóż, tam dokąd się udajemy, zmęczenie chyba nie będzie naszym największym zmartwieniem.

Zastanawiał się, czy Cashel zdołałby zasnąć w ciągu tych sześciu godzin, jakie zajęły Tenoctris przygotowania. Może tak. Garric zbyt dobrze znał Cashela, by podejrzewać go o brak wyobraźni, ale przyjaciel z pewnością nie pozwalał na to, by niepokoiła go ona tak, jak większość ludzi.

Cashel cofnął się.

– Garricu – dodał. – Nie ufaj temu mieczowi. Wierz w siebie, dobrze?

Garric kiwnął głową, chociaż nie był pewny, o co Cashelowi chodzi. Sharina mówiła, że zabił demona gołymi rękami, ale on nic o tym nie wspominał. Garric podejrzewał, że słowa przyjaciela mają głębsze znaczenie niż się zdawało.

Tenoctris stała wewnątrz kręgu, po raz ostatni sprawdzając nakreślone symbole. Każda litera była nakreślona innym proszkiem, a czasem więcej niż jednym. Były to sproszkowane minerały, włosy, rogi i kości różnych zwierząt oraz suszone drewno i liście różnych roślin. Wszystkie dokładnie rozdrobnione i rozsypane z precyzją, z jaką staruszka zawsze posługiwała się rylcem lub pisakiem.

Sharina uściśnęła Garrica. Jej wzrost był dla niego lekkim zaskoczeniem po tych kilku tygodniach spędzonych w towarzystwie Liane i Tenoctris. Nie, żeby Liane była niska, nie o to chodzi...

– Uważaj na siebie, bracie – powiedziała. – Nonnus powiedział mi, że nie był tak miłosierny, jak powinien być. Ja wcale nie jestem miłosierna. Jeśli znajdziesz tego, kto jest odpowiedzialny za śmierć Nonnusa... zabij go, Garricu. Rozgnieć go jak karalucha w spizarni.

Słowa siostry nie zaskoczyły Garrica. Nigdy nie wątpił, że Sharina jest równie twarda jak ich matka, chociaż nie tak złośliwa jak Lora.

Tenoctris skończyła sprawdzać krąg mocy. Podniosła opakowanie po jednym proszku i skręciła zeń rurkę.

Liane nie uściśnęła po męsku przedramienia Garrica, tylko jego dłoń. Uśmiechała się z przymusem, choć niewątpliwie życzliwie.

– Cóż – powiedział. – Żegnaj, Liane. Chcę powiedzieć...

Liane mocno pocałowała go w usta. Nie spodziewał się tego. Oczywiście, była to jedna z wielu rzeczy, jakie zupełnie niespodziewanie przydarzyły mu się w ostatnim czasie. Cofnęła się. Teraz uśmiechnęła się wesoło.

– Idź i zrób, co uważasz za słuszne, Garricu – powiedziała. – Od kiedy cię znam, zawsze tak postępowałeś. I wróć do mnie.

Tenoctris chrząknęła. Garric skinął głową. Nie był pewny, czy w odpowiedzi Liane czy Tenoctris. Może obu. Odwrócił się i wszedł w krąg lśniącego szarego proszku, uważając, by go nie naruszyć.

Błękitna iskra trzasnęła w powietrzu, zapalając koniec tulejki w ręku staruszki. Garric spodziewał się, że Tenoctris zacznie rzucać zaklęcia. Tymczasem ona przytknęła płomień do tego

punktu okręgu, w którym usypała z proszku stożek. Ten przez chwilę skwierczał i od czasu do czasu tryskał białymi iskrami, gdy płomień palącej się tulejki lizały jego niebieski brzeg.

Potem buchnął płomieniem i chmurą szarego dymu.

Tenocris wyprostowała się, sprawdziła czy płomień nie zgaśnie, po czym rzuciła płonąca tulejkę na kafelki podłogi za kręgiem. Ponuro uśmiechnęła się do Garrica.

Ogień szybko rozszedł się w obie strony po kręgu, płonął białym płomieniem, który skakał i przygasał wśród welonów dymu. Litery Dawnego Pisma też płonęły, poczynając od dołu, gdzie stykały się z kręgiem. Ich płomyki były mniejsze i nie iskrzyły tak gwałtownie jak proszek ochronnego kręgu. Wielobarwne płomień migotały jak zorza polarna, rzucając pastelowe refleksy na białe ściany komnaty.

Przez kurtynę dymu Garric widział obserwujących to z niepokojem przyjaciół. Przez złowrogi syk płomieni usłyszał coś, co w pierwszej chwili wziął za pulsowanie odległego grzmotu. Potem ten dźwięk zmienił się w słowa odbijające się echem w ogromnej sali. Każda ich sylaba wibrowała mocą.

Tenocris stała nieruchomo jak słup, uśmiechając się z tą samą cichą dumą, jaka malowała się na obliczu Cashela wspominającego o tym, co zrobił dla Latiasa. Wprawdzie to jeszcze nie wszystko, ale niewątpliwie dobrze wykonała zadanie.

Przyjaciele Garrica znikli, a ściany komnaty pogrążyły się w mroku. Wciąż widział wszystko, co znajdowało się za kurtyną szarego dymu, ale teraz to otoczenie zmieniło się.

Przez chwilę znajdował się w lesie. Wśród wiecznie zielonych drzew, sosen lub świerków. Śnieg piętrzył się wokół ich pni i tworzył białe wiry wokół szorstkiej kory.

Dym i śnieżne tumany stopiły się, zlały ze sobą. Kiedy opar ponownie zrzedniał, Garric ujrzał łąkę, a na niej pasące się zwierzęta. Jelenie, pomyślał, lecz kiedy jedno uniosło łeb, zobaczył rogi nie tylko na czole, ale także na środku długiego pyska.

Chmura dymu z trzaskających płomieni przetoczyła się i cofnęła. Gwałtowny podmuch wiatru przeleciał przez bambusowy zagajnik, nie dotykając płomieni ochronnego kręgu. W pobliżu rozświetliła niebo błyskawica. W jej błysku Garric ujrzał tuzin zwierząt o kocich pyskach i karłowatych ludzkich ciałach, tańczących wokół pala, do którego była przywiązana dziewczyna.

Jeden z karłów pogroził pięścią Garricowi. Dym litościwie zasłonił tę scenę.

Ogień dogasał, pozostawiając krąg szarego popiołu z kraterami w miejscach, gdzie płonął najsilniej. Przylegające do niego litery również dopaliły się i zgasły. Kiedy kolorowe płomyki znikły, wraz z nimi ucichły grzmiące echa nakreślonych przez Tenocris słów.

Dym rozwiął się, pozostawiając gorzkawy odór. Garric i Tenocris stali na piaszczystej plaży. Było ciepło i lekki wietrzyk poruszał liśćmi palm.

Zapadła noc. Księżyc w pełni był dwukrotnie większy niż powinien być. Jego złowroga czerwona poświata zalewała piasek i fale przyboju.

Za Garricem wznosił się mur z wielką płaskorzeźbą. Przedstawiała postacie naturalnej wielkości i scenę zatonięcia królewskiej floty tysiąc lat przed narodzinami Garrica. Na środku rzeźby król Carus wygrażał pięścią niebu, stojąc na pokładzie flagowego okrętu, który pogrążał się w kamiennych falach.

Przed Garricem i Tenocris, na brzegu morza, na czarnym tronie zasiadała jakaś postać. Roześmiała się: głośniejsze niż ocean, głośniejsze niż jakakolwiek żywa istota.

– Podejdźcie bliżej, ludzie – rzekł Zakapturzony. – Czekałem na was.

Garric wyszedł z kręgu. Pod bosą stopą poczuł miętki i ciepły popiół jednego z zaklęć. Wiedział, że musi działać natychmiast, zanim zmrozi go rosnący strach.

Ten popiół nie mógł go już chronić. Rozumiał to, lecz wiedział także, że jeśli nie opanuje lęku, skuli się w kręgu i wyjdzie na głupca.

– Podejdźcie – powtórzył Zakapturzony. Skinął długą laską, którą trzymał w ręku. Z końca różdżki tryskało fioletowe światło. – Chodźcie do Malkara, ludzie.

Tenoctris roześmiała się.

– Widziałam, jak twój fałszywy tron rozpadł się na Yole, czarodzieju – powiedziała. – Wiesz, że z tym będzie tak samo.

Ona również wyszła z kręgu. W rękach trzymała następny kawałek papieru, który powoli zwinęła w rurkę, czarodziejską różdżkę. Toporna prostota tego przedmiotu świadczyła o pogardzie, jaką darzyła czarodzieja.

Fale gniewnie ryknęły. Pomimo pozornego piękna, było to złe miejsce.

– Dziwię się, że taka nędzna czarodziejka jak ty zdołała przyprowadzić do mnie tego chłopca – powiedział Zakapturzony. Nie krzyczał, lecz jego głos odbił się echem od morza i nieba. – Doceniam twoje wysiłki, starucho. Może zabiję cię szybko w nagrodę za twoje wysiłki.

Garric zrobił krok naprzód, stając między Tenoctris a postacią na tronie. Wyjął miecz Carusa. Rdzawy blask księżyca omył ostrze, niczym rzeka krwi.

– Przybyliśmy po Ilnę – rzekł Garric. Miecz w jego dłoni wydawał się równie znajomy jak piasek pod nogami, ale to on przemówił, młodzieniec z Barca's Hamlet, a nie ukryty w nim król, śmiejący się z pokrewnej wilkom uciechy.

Kiedy palce Garrica dotknęły stalowego ostrza, tron z zasiadającą na nim postacią zbladł i stał się równie nierzeczywisty jak blask księżyca. A więc to było złudzenie: Zakapturzony wcale nie przebywał w tym miejscu.

Zjawa sięgnęła do rękawa szaty i wyjęła zeń maleńką postać, którą zacisnęła w dłoni.

– Oto twoja Ilna – rzekł Zakapturzony. – Co mi za nią ofiarujesz, człowieku? Czy dasz mi tron Malkara?

Zmuszony do podjęcia decyzji, Garric nie miał żadnych wątpliwości. Nie roztrząsał kwestii dobra i zła, ładu i chaosu, chciał tylko zapewnić bezpieczeństwo przyjaciółom, których życie splotło się z jego życiem.

– Ofiaruję ci twoje życie, człowieku – odparł. – Zabiorę Ilnę z powrotem do naszego świata i nie będę sprawiał ci kłopotów, jeśli ty nie będziesz sprawiał kłopotów nam.

To była prawda – prawda Garrica. Tenoctris nie zgodziłaby się z nim, ani król Carus, lecz taka była uczciwa odpowiedź Garrica.

Co i tak nie miało znaczenia. Zakapturzony nigdy nie przyjmie żadnych warunków oprócz swoich własnych. Garric nie prowokował tej walki, lecz i tak miało do niej dojść, a on nie uciekłby przed nią, nawet gdyby mógł.

– Nie wykazujesz większej inteligencji niż oczekiwałem po barbarzyńcy z Haft – rzekł Zakapturzony. Żadne z przeciwników nie kuliło się u jego stóp, co wyraźnie go irytowało. – Starucho, powiedz mu, że nie może mnie tu tknąć.

Garric już się nie bał. Pomogło mu to, że udawał nieustraszonego, gdyż pozorowana odwaga

łatwo stawiała się rzeczywistość. Co do Tenoctris, to staruszka nie interesowała się na tyle światem materialnym, by przejmować się tym, czy pozostanie na nim czy nie.

– Wiem, że w tym miejscu tylko osoba z twojego czasu może ci coś zrobić, czarodzieju – powiedziała. – Jeszcze nie dotarliśmy do twego prawdziwego „ja”.

– Nie pozwoliłem wam dotrzeć do płaszczyzny, na której istnieję w materialnym znaczeniu tego słowa! – zagrmiał Zakapturzony. Wstał i uderzył laską o podstawę tronu. – To ja was tu sprowadziłem, a nie twoje wysiłki! Chcesz mnie zaatakować, starucho? Tak?

– Nie mam na to dość siły, czarodzieju – odparła Tenoctris. Garric słyszał lekkie rozbawienie w jej spokojnym głosie. Wiedziała coś, o czym on nie miał pojęcia i Zakapturzony również.

Albo blefowała, oczywiście.

Zakapturzony wskazał laską na morze. Woda trysnęła jakby rozbiła się o sterczącą rafę.

– Sądzę, że już spotkaliście licha – rzekł Zakapturzony. – Pomniejsi czarodzieje tworzą je z dusz i ciał utopionych marynarzy, ale dla was dwojga mam coś specjalnego.

Morze spieniło się wokół czegoś, co wyłaniało się z fal trzydzieści metrów od brzegu...

Jakby ogromny dziesięciometrowy wieloryb przybrał ludzką postać. Nieprawdopodobnie grube nogi jak filary podtrzymały potworny ciężar jego torsu. W krwawym świetle księżyca lśniło jedno wielkie oko na środku czoła.

Stwór zaczął wychodzić z morza. Fale rozbijały się i pryskały pianą, jakby jego nogi były kamiennymi słupami.

Uciekając z krainy snów, Garric przeszedł przez klatkę piersiową szkieletu takiego giganta. Teraz zobaczył następnego, obleczonego galaretowatym ciałem. Stwór trzymał w ręku zrobioną z pnia młodego drzewka pałkę. Przymocowana do drzewca była lśniącego nefrytu miała wielkość końskiego łba.

– Przedludzka rasa – rzekł Zakapturzony. Zaniósł się śmiechem. – Wybrałem duszę wielkiego wojownika, żeby ożywić to ciało wedle mej woli. Pamiętasz go, nędzna czarodziejko?

Tenoctris klęczała i rzucała zaklęcia nad symbolami, które nakreśliła na piasku. Garric wiedział, że staruszka nie ma tyle siły, żeby bezpośrednio walczyć z Zakapturzonym, ale był rad, że nie zrezygnowała. Mocno ujął rękojeść miecza i ruszył naprzód.

– To diuk Yole! – oznajmił triumfalnie Zakapturzony.

Błyskawica poraziła Garrica. Wokół rozbłyśły kolory i dźwięki, lecz on słyszał tylko ryk płomieni. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, jak po skoku do lodowatej wody.

Leżał na piasku. Król Carus, brodaty i w błyszczącym diademie ze snów Garrica, zstąpił z kamiennej płaskorzeźby. Silnymi rękami pomógł Garricowi wstać. Potem odpiął mu pas i zapiął go na swoim nieco wydatniejszym brzuchu, a następnie wyjął miecz z dłoni Garrica.

Zakapturzony znów stał się czarną postacią na czarnym tronie, lecz teraz Garric zdawał sobie sprawę, że to złudzenie i wcale się go nie obawiał.

Carus szeroko uśmiechnął się do Garrica i rzekł:

– Przyprowadziłeś mnie tu, gdzie chciałem być, chłopcze. Lepiej późno niż wcale, no nie? Zajmij się twoimi sprawami, a mnie zostaw diuka Tedry’ego.

Carus zakręcił mieczem nad głową.

– Haft i Wyspy! – zagrmiał i z krwiożerczym śmiechem runął na wyłaniającego się z fal olbrzyma.

Widok człowieka atakującego takiego giganta powinien być śmieszny, lecz w Carusie nie było niczego zabawnego. Lewą ręką przytrzymywał pochwę, by nie obijała mu się o udo, a spod butów rozbryzgiwały mu fontanny piachu.

Carus tysiąc lat czekał na tę chwilę. Wielkość ciała jego przeciwnika nie mogła zmienić wyniku starcia.

Garric odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Może dobro nie zatriumfuje, ale jednego złego człowieka spotka sprawiedliwa kara, chociaż z tysiącletnim opóźnieniem.

Postać na tronie wrzasnęła i uderzyła laską w ziemię. Kosmos wywinął kozła na więcej niż dwóch płaszczyznach.

Wszystko poszarzało. Garric słyszał głos Tenoctris, która nadal rzucała zaklęcia. Stopami stał na ziemi, ale zupełnie stracił poczucie kierunku. Garric wyciągnął ramiona, łapiąc równowagę i dotknął tuniki staruszki, chociaż nie widział jej przez migotliwą szarą mgłę.

Świat zmienił się po raz czwarty. Garric stał w komnacie oświetlonej pochodniami, której ściany ociekały wilgocią. Na posadzce stały kałuże wody, a wokół unosił się silny zapach morza.

Ilna leżała obok czarnego tronu, na którym siedziała zakapturzona postać, nie większa od zwykłego człowieka. Laska w ręku czarodzieja pulsowała złowrogim ametystowym blaskiem.

– Miał do wyboru: stawić czoło twojemu przodkowi tam, albo zabrać nas do swej kryjówki – powiedziała stojąca przy Garricu Tenoctris. – Oto Zakapturzony. To jego prawdziwa postać.

Garric ruszył naprzód.

Zakapturzony wstał i ponownie uderzył laską w ziemię. Kosmos uniósł się wokół Garrica.

Garric stał na sterczącej nad morzem skale, naprzeciw monstrualnie wielkiej postaci Zakapturzonego. Głowa czarodzieja dotykała przeszywanych błyskawicami chmur, a nogi ginęły gdzieś w dole.

Garric spojrział przez ramię. Tysiąc stóp niżej pieniał się wir z jego koszmaru, pokrywając morze prawie do horyzontu. Wśród pochwyconych w jego objęcia szczątków pływały stworzenia tak ogromne, że wyraźnie widoczne nawet z tak wysoka. Spirala wody wirowała powoli i nieuchronnie jak sam przyptyw i nie było od niej ucieczki.

– Tenoctris? – zawołał Garric.

Odpowiedziało mu tylko wycie wiatru i ryk wiru w dole. On i Zakapturzony byli tu sami. Choć Garric wiedział, że gigantyczna postać była złudzeniem, kiedy podniósł głowę i spojrział na swego przeciwnika, nie był w stanie w pełni uporać się z tą iluzją.

– Chciałbyś być królem Wysp, Garricu or-Reise? – powiedział Zakapturzony. Przemawiał grzmiącym głosem, głośniejszym od gromów. – Niech żyje król Garric! Jak ci się to podoba? Uczynię cię większym królem, niż był nim którykolwiek z twych przodków, chłopcze. Potężniejszym od Carusa, gdyż to ja będę cię wspierać!

Zbrojni paradujący w centrum miasta większego od starożytnej Carcosy. Nieprzebrane tłumy tłoczące się przed olbrzymimi świątyniami i arkadami, wiwatujące ile sił w płucach: – Wielki jest Garric, król Wysp! Wielki jest Garric!

Wszystkie budowle były z czarnego kamienia, a niebo koloru sadzy.

Garric nabrał tchu i zrobił krok naprzód.

– Zabiorę moje przyjaciółki tam, gdzie nasze miejsce – powiedział. Podmuch wiatru uderzył weń z impetem, ale Garric szedł dalej. – Zostawisz nas w spokoju. Tego chcę i dostanę to albo cię zabiję.

– Chcesz tę Ilnę? – krzyknął gniewnie Zakapturzony. – Możesz ją mieć! Możesz mieć każdą kobietę, wszystkie kobiety, chłopcze! Zaprowadź mnie do tronu Malkara, a dam ci całą resztę świata!

Ilna stała przed nim, spowita długim szalem, który okrywał ją od ramion po kostki. Przytrzymała jeden koniec przezroczyściego materiału i kręciła piruety, zdejmując warstwę po warstwie.

Za Ilną było tuzin innych kobiet, wszystkie młode i piękne, wszystkie kokietujące go na rozmaite sposoby. Liane też była wśród nich.

Garric skrzywił się i zrobił krok naprzód. Powietrze stawiało mu opór. Był gęste jak żelatyna, jakby brodził w zupie. Chociaż wiedział, że w tym miejscu nie dało się trafnie ocenić odległości.

– Ja jestem twoją królową, ty głupcze! – rzekł czarodziej. – Skłoń się przed twą władczynią, Garricu or-Reise!

Garric nie spostrzegł chwili przemiany, lecz zamiast czarodzieja stała przed nim kobieta o zimnej urodzie, odziana w koronki i paski drogocennych kruszców. W prawej dłoni trzymała berło zwieńczone purpurowym klejnotem.

Garric przystanął. Nigdy nie widział królowej ani nawet jej wizerunku, lecz ta kobieta wyglądała na władczynię.

– Jesteś lojalnym poddanym, Garricu – powiedziała. – Ze względu na twoją odwagę i wierność, czynię cię moim małżonkiem. Książę Garric, nieformalny władca Wysp... i mój kochanek!

– Nie – rzekł Garric, robiąc kolejny krok. – Ty nie jesteś królową, a gdyby nawet, to i tak nie

miałoby żadnego znaczenia.

Zmarszczyła brwi i upuściła berło. Fioletowy błysk oślepił Garrica, a potem zmienił się w łagodną złocistą poświatę. Wokół rozpościerała się łąka porośnięta wysoką do kostek trawą i kwiatami o pastelowych barwach. Prąd ciepłego powietrza tworzył korytarz na niebie, choć błyskawice nadal przesywały chmury. Wiał łagodny wietrzyk, niosący słodki zapach ziół.

Przed Garricem stała Pani w szacie z bielonej wełny.

– Garricu, moje dziecko – powiedziała głosem delikatnym jak trel słowika. – Sprawdzalam, czy jesteś godny. Pokłoń mi się, Garricu. A kiedy wstaniesz, uczynię cię moim Pasterzem – bogiem wspólnie ze mną władającym kosmosem. Pokłoń mi się, Garricu!

Była piękna i czysta. Była uosobieniem boskości.

Garric nie wiedział, gdzie leży prawda. On i jego sąsiedzi niezbyt głęboko wierzyli w bogów. Niechętnie uczestniczyli w procesji i oddawali dziesięcinę, a zamożniejsi poświęcali im jagnię. Mimo to nie mógł wątpić w istnienie tej boskiej postaci, jaką widział teraz przed sobą.

Sam nie wiedział, co jest prawdą. Jeśli się mylił, to poniesie karę, wiedząc, że jest sprawiedliwa.

– Duzi, wybacz mi, jeśli zbłądziłem – szepnął Garric. Zrobił kolejny krok. Zaraz chwyci Panią za gardło i...

Grom przetoczył się potrójnym echem, wypełniając świat niebieskobiałą poświatą. Wszystko znów było skałą, burzą i rykiem morza.

Zakapturzony stał przed Garricem. Znowu nie był większy od normalnego człowieka. Odrzucił kaptur, ukazując gładką, twardą, bezpłciową twarz. Zimne oczy miały barwę zdobiącego jego laskę klejnotu. Od Garrica dzieliły go trzy metry.

– Stój! – rozkazał, wskazując laską na młodzieńca. Trysnął fioletowy płomień i skała między nimi pokryła się pęcherzami.

Odlamki uderzyły Garrica po łydkach, parząc skórę. Zatrzymał się.

– Zachowałem cię przy życiu – oznajmił czarodziej – ponieważ chcę, abyś znalazł mi tron Malkara. Jeśli jednak mnie zmusisz, zetrę cię w proch.

Jeżeli Garric ruszy naprzód, czarodziej rozpuści go strugą fioletowego ognia. Garric wiedział, że nie zdąży dopaść przeciwnika, zanim ten posłuży się czarodziejską laską.

Ci sami mieszkańcy wioski, którzy uważali Cashela za powolnego, twierdzili, że Garric jest sprytnym chłopcem. Cashel nie był jednak tak powolny za jakiego uważała go większość sąsiadów, a Garric może nie był aż tak sprytny, ale zawsze uważał, że równie dobrze jak każdy potrafi sobie radzić z problemami.

Tego nie potrafił rozwiązać. Musiał poddać się złu lub zginąć.

Garric roześmiał się, gdyż teraz zrozumiał, co miał na myśli Cashel, kiedy powiedział: „Nie ufaj temu mieczowi. Wierz w siebie”. Nie miał żadnego wyboru.

– Nie będę służył złu – odparł Garric i ruszył naprzód.

– Zatem giń, głupcze! – rzekł czarodziej i próbował wycelować weń laską.

Pajęczyna światła delikatną siateczką spowiła rękę i ramię czarodzieja. Czerwone nitki przeplatały się z błękitnymi, cieniutkie, lecz mocne. Laska Zakapturzonego emanowała fioletową mocą, rozpuszczając skałę, ale nie pajęczynę.

– Jestem Malkarem! – wrzasnął czarodziej.

– Jesteś kukiełką! – rzekł Garric. – A ja widzę twoje sznurki!

Przeskoczył płonąca skałę i oburącz złapał laskę. Była z metalu i tak zimna, że aż parzyła. Wyrwał ją czarodziejowi z ręki i zgiał, z całą siłą młodości i rozpacz.

Laska rozsypała się w deszczu pyłu i tęczowego światła. Stercząca skała rozpadła się jak zamek z piasku pod uderzeniem fali. Garric usłyszał przeraźliwy wrzask Zakapturzonego.

Garric nie upadł. Stał – nadal stał – przed pustym tronem, w komnacie o ścianach ociekających morską wodą.

Tron zadrżał i rozsypał się, tworząc stertę prochu. Ilna leżała obok niej, dysząc z wysiłku. Palce miała omotane pajęczyną nitek, które wyrwała z szala. Tenoctris położyła dłoń na jej ramieniu.

– Ona ma taką nadzwyczajną moc – mruknęła do Garrica. – Nawet jak na kobietę, której matka była duszką. Teraz jednak, kiedy zrobiliśmy swoje, powinniśmy jak najszybciej wydostać się stąd, zanim utoniemy.

Garric podszedł do Ilny i wziął ją na rękę. Zielona woda z bulgotem wlewała się przez porowate ściany, które zaczęły pękać. Z komnaty odchodził tylko jeden korytarz, wiodący w górę.

Garric wszystko widział i słyszał, lecz myślami częściowo pozostał w innym miejscu. Zakapturzony rozpaczliwie wymachiwał kończynami, spadając w wir.

Wydawało się, że nigdy nie przestanie krzyczeć.

Ilna była zupełnie przytomna, ale musiała zebrać wszystkie siły, żeby choć się uśmiechnąć. Jej słabość i oszołomienie pozwoliły tamtym ją wykorzystać.

Nie była jednak tak słaba, jak sądzili. W ostatniej chwili Zakapturzony z pewnością pożałował, że nie zostawił Ilny os-Kenset w spokoju. Ilna śmiałaby się z tego, gdyby miała siłę, ale mogła się tylko uśmiechać.

Garric niósł ją na rękach. Oparła głowę na jego piersi. Garric ciężko dyszał, utrudzony poprzednimi zmaganiem, nie jej ciężarem.

Korytarz przed nimi zalewała lekko fosforyzująca woda. Jej słaba blask był jedynym źródłem światła, od kiedy opuścili komnatę. Na powierzchni wirowały pęcherzyki powietrza, a od czasu do czasu przepływał po niej jakiś cień.

Tenoctris szła pierwsza. Woda już sięgała jej do połowy chudych łydek. Wkrótce staruszka będzie musiała podnieść skraj tuniki.

– Jeszcze kawałek – powiedziała Tenoctris. – Chociaż potem nie...

Ilna usłyszała potworny huk za plecami. Fale pofałdowały powierzchnię wody, odbijając się o ściany tunelu.

– Tutaj! – zawołała Tenoctris, skręcając w prawo i wchodząc w coś, co jeszcze przed sekundą wyglądało jak lita skała.

Z dołu korytarza nadciągnęła wysoka fala. Sięgnęła Garricowi do pasa i zmoczyła stopy Ilny. Nie zważając na rwący prąd, wszedł za staruszką na schody. Dwa pierwsze były wykute w tej samej skale co korytarz, a trzeci i ostatni był ułożony z bloków żółtawego kamienia.

– Tenoctris? – spytał Garric. – Czy Zakapturzony i królowa to naprawdę ta sama osoba?

Znaleźli się w wysoko sklepionej piwnicy. Przez klatkę schodową na jej drugim końcu wpadało powietrze i dość światła dla oczu przywykłych już do ciemności korytarza.

– Nie sądzę, Garricu – powiedziała staruszka, podążając w kierunku schodów. Skała zadrżała. – Sądzę, że królowa też jest czarodziejką, rywalką Zakapturzonego, który na chwilę tylko przybrał jej postać. Oboje szukają tronu Malkara. Oczywiście, mogą się mylić.

Pod filarami leżał naniesiony piasek, którego cienka warstwa pokrywała całą posadzkę. W suchym powietrzu unosiły się chmury kurzu, który szaleńczo zawirował przy kolejnym wstrząsie. Nigdzie nie było widać śladu wody, która zalała korytarz na dole. Jeśli „na dole” było właściwym określeniem.

Tenoctris dotarła do schodów. Zatoczyła się, gdy cała piwnica gwałtownie zadygotała. Kolumny chwiały się jak drzewa na wietrze, a z podłogi uniosły się tumany drobnego piasku.

Z jednego łuku odpadł wielki kamień. Z trzaskiem uderzył o posadzkę i całe sklepienie zaczęło się rozpadać.

Garric wyciągnął lewą rękę, aby wesprzeć Tenoctris, nadal podtrzymując przedramieniem nogi Ilny. Staruszka raźnie ruszyła schodami w górę, odpychając się jedną ręką od ściany. Czwarty wstrząs nie był silny, lecz wszyscy troje z napięciem wyczekiwali następnego.

Ilna poruszyła nogą, sprawdzając czy może nią ruszać. Wątpiła czy zdołałaby ustać, a na pewno nie mogłaby iść bez niczyjej pomocy.

Tenoctris znikła na szczycie schodów. Podziemia trzęsły się tak gwałtownie, że spadające głązy podskakiwały na wysokość pasa.

Garric skoczył naprzód. Oderwana od słupków poręcz spadając, otarła się o jego ramię. Wokół unosił się pył potrzaskanych murów, ale wydostali się z podziemi i stanęli u stóp urwiska tuż przed napierającą na nie pionową ścianą lodowca.

Tenoctris już podążała stromą ścieżką wiodącą wzdłuż ściany. Lód trzeszczał. Była noc, rozjaśniana tylko blaskiem gwiazd. Ilna nie rozpoznała konstelacji.

– Chcieli mieć Sharinę, ponieważ jest córką księcia i księżnej – rzekł Garric. – A dlaczego chcieli mnie?

– Sharina jest córką księcia Niarda – powiedziała Tenoctris – lecz jej matką była pokojówka księżnej, Lora. Ty jesteś synem księżnej Tery, Garricu, a poprzez nią potomkiem króla Carusa. Tylko to wyjaśnia więź łączącą cię z Carusem, a jego z tobą.

Garric potknął się ze zdziwienia, podążając za staruszką. Kawał skały przeleciał obok nich i z łoskotem upadł na ziemię. Pod naporem lodu urwisko kruszyło się i osypywało.

– Postaw mnie – powiedziała Ilna najgłośniej jak mogła. – Idź, a ja pójdę za tobą.

– Nie – odparł Garric. – I nie kręć się albo zabijesz nas oboje.

Nadal szli w górę.

– Tenoctris? – zapytał Garric. – Moja matka mówiła, że Sharina jest córką księżnej. Była tego pewna!

– Lora była oszołomiona po porodzie – odparła Tenoctris. – Znam się na tym, chociaż na szczęście ominęło mnie to. Uwierzyła we wszystko, co powiedział jej twój ojciec.

A po chwili dodała:

– Reise jest bardzo inteligentnym człowiekiem, Garricu. I równie obowiązkowym jak syn, którego wychował.

Ścieżka stała się zbyt wąska, by Garric nadal mógł nieść Ilnę w poprzek. Obrócił się plecami do ściany i posuwał się bokiem. Ilna wisiała nad przepaścią, widząc ziemię na dole. Wiatr wiejący między urwiskiem a lodowcem był zimny i kłuł skórę igłami lodowych kryształków.

– Och! – krzyknęła Tenoctris. Kamień ukruszył się pod jej nogą i poleciał w mrok, o mało nie trafiając w nogę Ilny.

Garric błyskawicznie wyciągnął lewą rękę i złapał staruszkę, która zaczęła spadać. Ilna całym ciężarem zawisała na jego prawym ramieniu. Sapnęła i instynktownie skuliła się.

Tenoctris chwyciła zwisający z przewieszanej ściany korzeń i przytrzymała się. Jedną nogą była już za krawędzią przepaści. Garric chwycił ten sam korzeń i podsadził Ilnę. Nie znalazła solidnego oparcia dla stóp i zawisała w powietrzu, oblewana ciepłą słoną wodą przez szalejący huragan.

Tenoctris jak nadrzewna żaba leżała na pniu, wbijając palce rąk i stóp w szorstką korę. Uderzała ją fala za falą. Gdy tylko woda opadła, czarodziejka znów zaczęła pełznąć w kierunku bezlistnych konarów, oddalonych o prawie trzydzieści metrów. Obejrzała się przez ramię i zawołała coś do Ilny. Wiatr porwał jej słowa, lecz dziewczyna domyśliła się, co oznaczały. Nie była pewna, czy zdoła już iść, ale mogła się czołgać. Upewniła się, że Garric podąża za nią i ruszyła naprzód.

Niebo było całkiem zasłane czarnymi chmurami, sporadycznie rozjaśnianymi światłem błyskawic. W błysku jednej z nich Ilnie wydało się, że dostrzega olbrzymie oko w odległej o piętnaście metrów fali. *To złudzenie, a nie potwór polujący w tej szalejącej kipieli...*

Pień drzewa uniósł się w objęciach fali. Ilna odzyskiwała siły. Już dogoniła Tenoctris. Musiała uważać, żeby niechcący nie chwycić jej za nogę. Już przebyły połowę drogi. Ze szczeliny w korze zerknęła na nie piętnastocentymetrowa jaszczurka, nerwowo wysuwając język. Jak dawno temu upadło to drzewo, wydając jego małych mieszkańców na pastwę bezlitosnego morza?

Zamigotała błyskawica. Tym razem Ilna dostrzegła nie tylko oko o wąskiej źrenicy, ale też

perłową skorupę i tuzin machających macek amonita. Drapieznik znajdował się już o sześć metrów od pnia. Ilna uklęknęła, wystawiając tors na uderzenia wiatru. Szeroko rozłożyła ramiona.

– Co ty robisz? – przeraził się Garric, przekrzykując wiatr.

Zignorowała go, czekając na błyskawicę. Przy jej błysku zaczęła poruszać palcami tak pewnie, jakby wybierała pasma z krosien stojących w jej komnacie.

Potwór z rozczarowaniem machnął macką i zapadł z powrotem w morze. Jego muszla miała co najmniej dziesięć metrów średnicy, a ukryty wśród macek dziób mógł przeciąć na pół dorosłego mężczyznę.

Tenoctris dotarła do pierwszych konarów. Ilna podążała tuż za nią, uśmiechając się z ponurą satysfakcją. Podejrzewała, że teraz mogłaby przemówić także do pajaków. No cóż, zawsze podziwiała ich robotę.

Gałąź zwieszała się nad rozkołysaną powierzchnią morza, oddaloną o pół metra lub trzy, zależnie od wysokości fal. Staruszka dotarła do miejsca, gdzie jedna z gałęzi odłamała się tak dawno, że ranę zdążył już pokryć kalus. Tenoctris skoczyła nogami naprzód do morza i znikła zanim dotknęła wody.

Ilna popatrzyła na Garrica, sprawdzając czy dostrzegł, co się stało, a potem skoczyła za Tenoctris. I nagle mocno uderzyła stopami o płytę szorstkiego wapienia.

Znalazła się na porośniętej dżunglą piramidzie, której wysokie stopnie wznosiły się ku zadaszonemu ołtarzowi. Tenoctris pokonywała następny sięgający do pasa próg. Drzewa, niektóre o pniach ponad metrowej grubości, wbiły korzenie w szczeliny, krusząc kamień. Ilna dostrzegła dziesiątki różnego rodzaju roślin. Oprócz wielkich drzew rosły tu pnącza, mchy, pierzaste paprocie i sterczące ananasowce.

Garric zeskoczył z gałęzi pobliskiego drzewa. Miało złożone liście i kwiaty podobne do mimozy.

– Tędy! – powiedział. Zarzucił sobie Ilnę na ramię jak worek z ziarnem.

Ilna próbowała protestować, co zgodnie z jej przewidywaniami nie odniosło żadnego skutku. Nawet nie przystanąwszy, Garric drugą ręką chwycił Tenoctris i przerzucił ją sobie przez lewe ramię. Potem pobiegł po tarasie ku schodom biegnącym środkiem ściany piramidy. Ilna wcześniej nie zauważyła ich, może ze zmęczenia.

Roślinność u podstawy piramidy zaczęła żółknąć, jak plama rozchodząca się na materiale. Z głębi lasu nadciągnęły owady. Ilna podejrzewała, że są to mrówki, lecz każda z nich miała wielkość małego palca. Było ich niewyobrażalnie wiele. *Jak ziarna zboża na polu, jak kamyki na plaży Barca 's Hamlet...* Nadciągały z nieuchronnością wrzając na ogniu wody.

– Mogę iść – powiedziała Ilna, lecz z jej ust wydobył się tylko szept. Trzask owadzych szczęk był głośniejszy od przelatującego przez las wiatru. Budził w niej lęk, jakiego dotychczas nie zaznała. *Małeńkie nożyce tnące jej ciało w tysiącu miejsc, w tysiącu tysięcy miejsc...*

Garric podążał schodami w górę, biegnąc pomimo niesionego na ramionach ciężaru. Sapał, ale nie zwalniał. Ilna nie wiedziała, czy zauważył nadciągające mrówki, czy po prostu spodziewał się pościgu.

– Tenoctris! – powiedziała Ilna. Obie gwałtownie podskakiwały na plecach Garrica, przy każdym jego kroku. – Jak długo jeszcze?

Staruszka próbowała się uśmiechnąć. Te wstrząsy musiały być dla niej jeszcze bardziej dokuczliwe, ale nie było wyboru.

– Jeszcze trochę – wysapała.

Garric dotarł na szczyt piramidy. Chwiał się ze zmęczenia. Potknął się o pokryty włochatymi przylgami korzeń grubości ludzkiego ramienia i o mało nie upadł.

– Do środka – powiedziała Tenoctris, usiłując dojrzeć coś zza ramienia niosącego ją młodzieńca.

Mrówki były żółtobrazową masą zaledwie jeden próg niżej. Wspiwały się po wszystkich czterech ścianach piramidy. Garric wskoczył ze swoim brzemieniem pod kamienny dach. Ołtarz miał zbiornik na krew i rowki do odprowadzania jej nadmiaru. Jego kamienne boki pokrywały płaskorzeźby ukazujące odprawiane tu rytuały. Topornie przedstawione obrazy były wystarczająco wyraźne, by Ilna zauważyła, że ofiarami byli ludzie, natomiast kapłanami potwory.

Mrówki dotarły na najwyższy taras. Tenoctris skoczyła na płytę ołtarza i znikła. Trzymając się za rękę, Garric i Ilna poszli w jej ślady. Upadli na ziemię w nieckowatym kraterze, z którego dna wznosiły się ostre, szkliste kolce.

Ilna podniosła się na czworaki. Wszyscy troje ciężko dyszeli. Powietrze było chłodne i drażniło płuca. Wysoko stojące na niebie słońce miało zielonkawą barwę.

– Tędy – powiedziała Tenoctris. Wskazała na pęknięcie w ścianie niecki, zacięcie biegnące w górę po powierzchni, która w innych miejscach była zbyt gładka i stroma, by po niej iść. – Garricu, Ilna, czy dacie radę...?

Ilna tylko kiwnęła głową. Oszczędzała oddech. Garric przyklęknął i oboje wstali.

Zza odległej o pół kilometra krawędzi krateru wyłoniło się jakieś stworzenie. Miało mnóstwo nóg, jak stonoga, oraz segmentowane ciało, błyszczące jak stal. Zaczęło schodzić do krateru, w kierunku ludzi. Miało ponad trzydzieści metrów długości oraz szczęki ostre i lśniące jak miecze.

– Idźcie w równym tempie, nie przyspieszajcie – rzekł Garric, wskazując kobietom pęknięcie. – Jesteśmy zmęczeni i w pośpiechu możemy spaść. Jeśli zachowamy spokój, wydostaniemy się stąd.

Miał rację, że w pośpiechu mogliby spaść, ale Ilna nie była pewna czy podążając tą nierówną ścieżką, zdołają uciec przed wijem. Mimo to przestała się już bać.

Tenoctris wspinała się pierwsza, pozostawiając na powierzchni krwawe ślady rąk. Ten krater nie był wulkanicznego pochodzenia. Jego powierzchnia była pokryta pajęczyną pęknięć, z których to, którym podążali, było po prostu największe. Coś tak mocno uderzyło tu w ziemię, że skała stopiła się i rozprysła na boki.

Wij pędził za nimi, bębniąc pazurami po skale, jak grad o dach młyna. Ilna nie oglądała się za siebie. Co ma być, to będzie. Pamiętała wszystko, co zrobiła w Erdinie. Żałowała tylko, że Garric umrze razem z nią. To była jej wina, lecz nie ona utkała ten wzór.

Nagle stopy staruszki znikły jej z oczu. W następnej chwili Ilna upadła, nie natrafiwszy ręką na skałę, której mogłaby się przytrzymać. Rozciągnęła się na płaskiej jak kamień młyński równinie, na której jedynym wzniesieniem był czarny tron, stojący jak wyspa na spokojnym morzu.

Garric upadł obok niej. Uciekli wijowi. Słyszeli tylko swoje zdyszane oddechy i głośnie bicie serc.

– Tron Malkara – szepnął Garric.

– Tak – powiedziała Tenoctris.

Wokół panowała cisza.

Ilna podkurczyła nogi i oparła czoło o ziemię. Nie wyczuła jej temperatury ani struktury. Ta szara powierzchnia była idealnie nijaka. Ani kolorowa, ani bezbarwna. Namacalna forma zapomnienia, w jakim pograżyła się jej dusza.

We troje znajdowali się w ogromnym kręgu padającego nie wiadomo skąd światła, pośrodku którego stał czarny tron. Ściana ciemności zbliżała się.

– Chodźcie – rzekł Garric. Wstał.

– Garricu, nie – jęknęła Ilna. Płakała z gniewu, złości i strachu. Rozpoznała ten lęk. – Lepiej umrzeć, Garricu. Ja wiem, co tam jest.

Tenoctris podnosiła się.

– Chodźcie – powtórzył Garric i dotknął dłonią policzka Ilny. Wstała, oślepiona łzami, ale usłuchała go.

Poszli w kierunku tronu. Garric szedł między obiema kobietami, tuż przy nich. Ściana mroku napierała coraz bardziej, chociaż odległość dzieląca ich od tronu wcale się nie zmniejszała. Ilna pochyliła się i spojrzała na staruszkę.

– Tenoctris? – spytała.

– To jedyna droga – powiedziała czarodziejka. – Nie wiem czy właściwa.

– Wybraliśmy ją – rzekł Garric – i przejdziemy nią do końca.

Mrok deptał im po piętach, popędzając, grożąc wchłonięciem, jeśli się nie pospieszą. Ilna słyszała w niej głuche jęki wieczystej rozpacz. Ich rozpacz, jeśli Ilna, Garric i Tenoctris pozwolą, by ta czarna ściana wchłonęła ich.

Choć ta okropna ciemność byłaby lepsza niż połączenie z tym, co uosabiał ten tron.

– Malkar to nie osoba – powiedziała Tenoctris. Jej głos był wyraźny, lecz dziwnie głuchy: w tym miejscu nie budziły się żadne echa, nawet odbite od podłoża. – Malkar po prostu istnieje. Ten tron jest tylko jego symbolem.

Tenoctris równie dobrze mogła mówić do nich, jak do siebie, zbierając myśli. Ilna wiedziała, że staruszka jest zawsze żądna wiedzy.

A co było jej pragnieniem, Ilny os-Kenset? No cóż, pomogła pokonać Zakapturzonego. Było to, jeśli nie celem, to przynajmniej rezultatem jej egzystencji. Zachichotała. Garric przyjaźnie uściśnił jej dłoń. Czy on ją rozumiał, nawet teraz? Cóż, to również nie miało żadnego znaczenia.

– Ten, kto zasiądzie na tronie Malkara, skupi połowę sił kosmosu – powiedziała Tenoctris. – Będzie miał połowę kosmicznych mocy. Człowiek dysponujący taką potęgą może zrobić wszystko.

– Jednak nie będzie człowiekiem – powiedziała Ilna.

– Tak – potwierdziła czarodziejka. – Nie będzie człowiekiem.

Teraz Ilna dostrzegła szczegóły tronu, chociaż gdy usiłowała skupić na którymś z nich wzrok, natychmiast znikał we mgle. Jakby usiłowała o zmroku obserwować parzące się węże. Te wzory były zbyt skomplikowane nawet dla niej, chociaż rozumiała ich sens.

Niedawno sama była ich częścią. Drzewo, któremu poddała się gdzieś w szarej otchłani, było maleńką cząstką ogromnej materii tego tronu.

– Zasiadający na tronie Malkara – powiedziała z obojętnym uśmiechem – stanie się zły.

– Według ludzkich kryteriów – dodała Tenoctris. – Tak.

Byli już bardzo blisko. Tron stał na wysokim podium. Miał szerokie poręcze i wysokie oparcie z tego samego materiału. Był zrobiony dla człowieka – rosnącego mężczyzny, takiego jak Garric – a jednocześnie Ilna czuła, że był większy niż cała ta równina, a nawet cały wszechświat.

Garric objął ramionami obie kobiety i uniósł w powietrze. Ruszył naprzód.

Nie, pomyślała Ilna, lecz jej wargi nie wypowiedziały tego słowa. Jeśli tak ma być...

Garric wbiegł po trzech stopniach na podium, poruszając się ze zręcznością, jaka od dziecka cechowała wszystkie jego poczynania. Nie zwracał uwagi na ciężar kobiet, które niósł. Uśmiechał się.

– Cała moc... – szepnęła Tenoctris.

Niech tak będzie!

Zamiast usiąść, Garric stanął nogą na siedzeniu tronu. Poderwał się w górę i zrobił następny krok, stawiając lewą nogę na rzeźbionej poręczy fotela. Potem skoczył tak wysoko, jakby wcale nie był zmęczony, jakby nie niósł dwóch kobiet, które z różnych powodów nie dotarłyby tak daleko bez jego pomocy.

Prawą nogą natrafił na oparcie tronu. Jeszcze raz z całej siły odbił się od tej krawędzi i wszyscy troje runęli w mrok.

Wpadli w czyjeś ramiona. Oślepił ich blask papierowych latarni i nawet zalegający w przejściu półmrok był jak blask słońca.

Znajdowali się w pomieszczeniu, którego Ilna nie poznała, chociaż zauważyła seriańskie meble. Garric leżał w ramionach Cashela, który spoglądał na niego z troską, niepokojąc się o nieprzytomnego przyjaciela. Sharina podtrzymywała Tenoctris i sięgała po szklankę soku, aby zaproponować go czarodziejce.

– Zaczekaj, pomogę ci się położyć – powiedziała Liane. – Wszystko w porządku, Ilno. Jesteście już bezpieczni.

Garric leżał z zamkniętymi oczami, ciesząc się tym, że na razie nic nie musi robić. Małe rączki smarowały maścią jego zadrapania i płytkie skaleczenia. Seriańscy uzdrowiciele szczebiotali tak samo, jak poprzednio. Jedynym naprawdę bolesnym obrażeniem był siniak na żebrach. Nawet nie pamiętał, kiedy go sobie nabił.

Był tylko zmęczony. Tak bardzo zmęczony.

– Dziękuję ci za przyprowadzenie Ilny – powiedział Cashel. – Żałuję, że nie mogłem ci pomóc, ale najwidoczniej nie byłem ci potrzebny.

Garric próbował się roześmiać. To był błąd: miał wrażenie, że ktoś wbił mu kilka noży pod żebra. Kiedy przestał dyszeć, wychrypiął:

– To w znacznym stopniu zasługa Ilny. Nie poradzilibyśmy sobie bez niej.

– Przez większość drogi musiał mnie nieść – powiedziała cicho Ilna, gdzieś w pobliżu Garrica. Nie spodziewał się, że Ilna może się załamać, lecz te przejścia najwidoczniej bardzo nadwątlily jej siły jak zbyt częste ostrzenie osłabia ostrze noża. – Jednak Zakapturzony nie żyje.

Garric otworzył oczy i usiadł. Seriańska dziewczynka skarciła go niezrozumiałymi słowami, które i tak by zignorował.

– To prawda, czyż nie, Tenoctris? Zakapturzony naprawdę nie żyje.

Wokół na ścianach wisiały lampy rzucające łagodne światło przez papierowe osłonki. Na palniku grzały się zioła w porcelanowych miseczkach, czujnie obserwowane przez Seriankę, podczas gdy uzdrowiciel smarował środkiem odkażającym podrapane udo Tenoctris.

Liane masowała Ilnę, której mięśnie zwiotczały jak ciepły wosk. *Tak strasznie zmęczona...*

Tenoctris usiadła. Zdołała się uśmiechnąć, chociaż lekko mrużyła oczy za każdym razem, gdy uzdrowiciel dotknął pędzlem jej nogi.

– Może przypominasz sobie, że tysiąc lat temu myślałam tak samo – powiedziała. – Może tym razem to prawda, ale obawiam się, że to nie ma większego znaczenia.

– Dla mnie ma – powiedziała Sharina. Mówiła cicho, lecz jej głos był ostry jak topór. Siedziała obok Cashela, zaciskając dłonie na rękojeści pewłańskiego noża.

– Tak – potwierdziła Tenoctris, z dawną stanowczością kiwając głową. – Dla nas wszystkich. I dla Zakapturzonego, przez ten bardzo długi czas, przez jaki upadał. Jednak on stanowił tylko część problemu.

Ilna spojrzała na Garrica. Uśmiechnęła się w niepokojąco chłodny sposób.

– To drzewo nie było tronem Malkara – powiedziała, wspominając o tym, co spośród obecnych w tym pomieszczeniu tylko Tenoctris potrafiła zrozumieć. – Jednak i tak mnie pokonało. Byłam słaba.

– Nie – zaprzeczyła czarodziejka. – To twoja siła, nie słabość, uczyniła cię jego ofiarą. Masz jednak rację, że Zakapturzony był tylko narzędziem jakiejś mocy. Ta siła spróbuje użyć innych tak, jak wykorzystywała jego i to, co nazywasz drzewem. Malkar pojawia się i znika. Teraz powstaje, tak jak robił to tysiąc lat temu. Jeśli zwycięży, zepchnie Wyspy z powrotem w otchłań barbarzyństwa.

– Nie tym razem – rzekł Garric. Splótł ramiona na piersi, trzęsąc się pod wpływem emocji i wspomnień, które tylko częściowo były jego własnymi. – Nie tym razem!

Wydało mu się, że słyszy śmiech monarchy.

– Nie tym razem, chłopcze! – usłyszał jak we śnie. – Nie tym razem, królu Garricu!

Spoglądała na turmalinowe pionki, rozstawione na planszy w sposób, jakiego nie mogła zrozumieć.

Jej zakapturzony przeciwnik był martwy, lecz to nie ona go pokonała i nie wiedziała, kto to zrobił. Byli inni gracze, inni czarodzieje, dla których kosmos był tylko grą i którzy grali przeciwko niej. Teraz była tego pewna, chociaż jeszcze przed kilkoma miesiącami wykluczała taką ewentualność.

Zidentyfikuje i pokona tych nowych przeciwników. Zasiądzie na tronie Malkara i wyciśnie w ręce kosmos jak dojrzały owoc, jeśli będzie miała na to ochotę. Ona jedna!

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Sługa skłonił się, jak zawsze niewzruszony.

– W żadnym wypadku nie wolno mi przeszkadzać – rzuciła.

– Przybył agent z Erdinu – rzekł sługa. – Czeka w prywatnej sali audiencyjnej.

– W żadnym wypadku! – powtórzyła. Uniosła rękę, jakby zamierzała cisnąć nią grom.

– Tak, królowo – powiedział sługa. Skłonił się. Jego twarz pozostała nieruchoma, lecz na czole pojawiły się kropelki potu.

Drzwi były za ciężkie, by nimi trzasnąć. Zamknęła je stanowczym pchnięciem, a potem wróciła do planszy.

Czasem... w chwilach, kiedy budziła się ze snu, w którym koszmar był jej najbliższym towarzyszem, niepokoiła ją myśl, że te pionki grają same – i biada czarodziejowi, który spróbuje im przeszkadzać.

Królowa Wysp zmarszczyła brwi i zasiadła przy agatowej planszy. Te turmalinowe figurki to tylko pionki, nic więcej.

Będzie poruszać nimi tak, jak zechce.